

**Robert R. McCammon**

# **Godzina wilka**

**(Z angielskiego przełożył Janusz Skowron)**

# PROLOG

Trwała wojna.

Do lutego 1941 roku przeskoczyła jak burza z Europy na wybrzeże północno-zachodniej Afryki. Wtedy właśnie z pomocą Włochom przybył do Trypolisu na czele niemieckich oddziałów doświadczony hitlerowski dowódca, Erwin Rommel. Wkrótce zaczął odpychać siły brytyjskie w kierunku Nilu.

Oddziały Afrikakorps parły do przodu przez krainę zabójczego gorąca, burz piaskowych, wąwozów i skalistych urwisk opadających setki stóp w dół na pustynne równiny, które od wieków nie zaznały deszczu. Siły niemieckie posuwały się wzdłuż drogi równoległej do wybrzeża, prowadzącej z Bengazi przez Al-Mardż, Darnę i Al-Ghazalę. Masy żołnierzy, broni przeciwpancernej, samochodów ciężarowych i czołgów szły na wschód, odbierając Brytyjczykom dwudziestego czerwca 1942 roku twierdzę Tobruk i zbliżając się do tak pożądanego przez Hitlera trofeum, którym był Kanał Sueski. Obejmując kontrolę nad tą ważną drogą wodną, Niemcy byłyby w stanie zdusić transport morski aliantów i ruszyć dalej na wschód, aby uderzyć w odsłonięte podbrzusze Rosji.

W ostatnich dniach tego upalnego czerwca brytyjska VIII Armia, której większość żołnierzy znajdowała się w stanie bliskim skrajnego wyczerpania, brnęła w kierunku stacji kolejowej o nazwie Al-Alamajn. Na trasie jej odwrotu saperzy zakładali w panicznym pośpiechu zamaskowane pola minowe w nadziei opóźnienia marszu nadciągających sił pancernych wroga. Wśród Brytyjczyków krążyły pogłoski, że wojskom Rommla zaczyna brakować benzyny i amunicji, ale żołnierze VIII Armii czuli drżenie ziemi pod gąsienicami niemieckich czołgów, kiedy kryli się w swoich okopach, wykopanych w białej, twardej ziemi. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi i sępy wyruszały na żer, brytyjscy żołnierze widzieli na zachodnim horyzoncie słupy kurzu. Rommel dotarł pod Al-Alamajn i nie miał zamiaru zatrzymać się wcześniej niż w Kairze.

Wieczorem trzydziestego czerwca zachodzące słońce zabarwiło na krwistoczerwono zachodni skraj mlecznobiałego nieba, rzucając długie cienie na powierzchnię pustyni. Żołnierze VIII Armii czekali na rozwój wydarzeń, podczas gdy oficerowie studiowali poplamione potem mapy, a oddziały saperów kontynuowały prace nad zakładaniem pól minowych pomiędzy brytyjskimi liniami a siłami niemieckimi. Wkrótce na ciemnym, bezksiężycowym niebie zajaśniały gwiazdy. Sierzanci sprawdzali rezerwy amunicji i rzucali ostre rozkazy żołnierzom, nakazując im uprzątnięcie okopów. Wynajdywali przeróżne

zajęcia, aby tylko odciągnąć ich myśli od mającej rozpocząć się o świcie rzezi. Kilkanaście mil na zachód, gdzie tylko zwiadowcy na pokrytych piaskiem motocyklach BMW i w pojazdach opancerzonych przemierzali w ciemności pustynię, na skraju pola minowego wylądował mały, pomalowany na piaskowy kolor samolot „Storch”, wzniesając obłok kurzu z wytyczonego przez niebieskie flary pasa lądowiska. Na skrzydłach widniały namalowane czarne swastyki.

Kiedy tylko koła storcha przestały się obracać, podjechał do niego samochód sztabowy z odkrytym dachem i osłoniętymi od góry reflektorami. Z samolotu wysiadł niemiecki pułkownik, ubrany w zakurzony jasnobrązowy mundur Afrikakorps i okulary motocyklowe chroniące oczy przed wirującym w powietrzu pyłem. Do prawego nadgarstka miał przypiętą kajdankami sfatygowaną brązową teczkę. Kierowca samochodu zsalutował i otworzył drzwi pojazdu. Pilot storcha pozostał na rozkaz oficera w kabinie samolotu. Samochód sztabowy ruszył tą samą drogą, którą przed chwilą przybył, i kiedy tylko zniknął z pola widzenia, pilot pociągnął łyk jakiegoś napoju z manierki i ułożył się do drzemki na siedzeniu w kabinie.

Samochód wspiał się na niewielki grzbiet, wyrzucając spod opon piasek i ostrokanciaste kamyki. Po drugiej stronie grzbietu stały namioty i pojazdy wysuniętego batalionu zwiadowczego. Cały obóz spowijały ciemności, tylko z namiotów błyskało czasami słabe światło lub migał malutki promyk z osłoniętych reflektorów ruszającego motocykla czy opancerzonego samochodu. Samochód sztabowy zatrzymał się przed największym namiotem, ustawionym pośrodku obozowiska. Pułkownik zaczekał, aż kierowca otworzy mu drzwi, i wysiadł z pojazdu. Podchodząc do namiotu, usłyszał brzęczenie puszek i zobaczył kilka wychudłych psów myszkujących w śmieciach. Jeden z nich, z wystającymi żebrami i zapadniętymi oczami, ruszył w jego kierunku. Pułkownik kopnął psa, ledwie ten zdołał się do niego zbliżyć. Zwierzę, uderzone ciężkim butem w bok, odskoczyło do tyłu, ale nie wydało żadnego głosu. Wiadomo było, że takie kundle są zapchłone i pułkownika nie pociągała perspektywa usuwania insektów przez nacieranie skóry piaskiem z braku odpowiednich środków czystości. Pies odwrócił się, pokazując pokrytą śladami wcześniejszych kopniaków skórę. Już zapadł na niego wyrok śmierci głodowej.

Oficer zatrzymał się tuż przed klapą namiotu.

Zobaczył w ciemności coś jeszcze. Coś kryło się poza kręgiem słabego światła, poza miejscem, gdzie psy przetrząsały śmieci w poszukiwaniu odpadków.

Dostrzegł ślepią tego zwierzęcia. Błyszczały zielonym blaskiem, odbijając światło latarni oświetlającej wnętrze namiotu. Wpatrywały się w niego nieruchomo, bez śladu strachu

czy prośby. „Jeszcze jeden cholerny tubylczy pies” - pomyślał oficer, chociaż nie widział nic oprócz oczu zwierzęcia. Psy włoczyły się za obozowiskami i mówiono, że wylizająby z talerza mocz, gdyby go im podano. Sposób, w jaki pies na niego patrzył, wzbudził niepokój oficera. W oczach zwierzęcia było coś chytrego i zimnego. Pułkownik miał ochotę wyjąć lugera z kabury i posłać psa do muzułmańskiego nieba. Poczuł, jak po plecach przechodzą mu ciarki.

- Podpułkownik Voigt. Proszę wejść. Czekaliśmy na pana. Poła namiotu odłoniła się przed przybyłym. Major Stummer, mężczyzna w okrągłych okularach, o ogorzalej twarzy i krótko ostrzyżonych rudawych włosach, zasalutował przed Voigtem, a ten odpowiedział skinieniem głowy. Wewnątrz namiotu było jeszcze trzech oficerów. Stali wokół stołu, na którym rozłożone były mapy. Światło latarni oblewało opalone teutońskie twarze, obrócone wyczekująco w kierunku Voigta. Podpułkownik przystanął przy wejściu i jeszcze raz spojrzął w prawo. Zielone ślepiea gdzieś zniknęły.

- Czy coś nie tak? - zapytał Stummer.

- Nie - odpowiedział Voigt pośpiesznie, chyba zbyt pośpiesznie.

„Co za głupota denerwować się z powodu psa” - dodał w myślach. Był bardziej spokojny, gdy osobiście wydawał obsłudze przeciwpancernej osiemdziesiątki ósemki rozkaz zniszczenia czterech brytyjskich czołgów, niż w tej chwili. „Gdzie polazł ten pies? Z pewnością na pustynię. Ale dlaczego nie przyszedł buszować pomiędzy pustymi puszkami jak pozostałe psy? Jakie to śmieszne, że tracę czas na myślenie o takich rzeczach” zreflektował się. Rommel wysłał go tutaj w celu zebrania informacji dla dowództwa armii i Voigt miał zamiar wywiązać się z tego zadania.

- Wszystko w porządku, poza tym, że mam wrzody żołądka, wysypkę z gorąca na szyi i chciałbym zobaczyć śnieg, zanim zwariuję - dodał, dając krok do środka. Poła namiotu opadła za jego plecami.

Stanął przy stole razem ze Stummerem, majorem Klinhurstem i pozostałymi dwoma oficerami. Jego stalowoniebieskie oczy spoczęły na mapach. Widać na nich było niegościnnie, pocięty wąwozami teren pomiędzy Wzgórzem 169, to znaczy owym małym grzbietem, przez który niedawno przejechał, a brytyjskimi umocnieniami. Zamalowane na czerwono kółka oznaczały pola minowe, a niebieskie prostokąty symbolizowały naszpikowane bronią maszynową i otoczone drutem kolczastym stanowiska obronne. Były to przeszkody, które niemieckie wojska musiały pokonać podążając na wschód. Czarne linie i prostokąty przedstawiały rozlokowanie niemieckiej piechoty i czołgów. Każda mapa była ostemplowana pieczętką batalionu rozpoznawczego.

Voigt zdjął czapkę, otarł pot z twarzy niezbyt świeżą chusteczką do nosa i zaczął studiować mapy. Był wysokim, barczystym mężczyzną o spalonej na brąz, stwardniałej skórze. Jego blond włosy zaczynały pokrywać się na skroniach siwizną, natomiast bujne brwi były już prawie całkiem siwe.

- Mam nadzieję, że te dane są całkowicie aktualne - rzucił.

- Tak jest. Ostatni patrol wrócił dwadzieścia minut temu. Voigt mruknął coś niewyraźnie, wiedząc, że Stummer oczekuje pochwały dla swojego batalionu za dokładne rozpoznanie pól minowych.

- Nie mam za wiele czasu. Feldmarszałek Rommel czeka na mnie. Jakie są pańskie uwagi?

Stummer poczuł się rozczarowany tym, że praca jego batalionu nie znalazła uznania. Dwie ostatnie ciężkie doby upłynęły jego ludziom na poszukiwaniach luki w brytyjskich umocnieniach. On sam i jego żołnierze czuli się tak osamotnieni, jakby byli na końcu świata.

- W tym miejscu. - Stummer wziął do ręki ołówek i postukał nim w jedną z map. - Sądźmy, że najłatwiejsza droga prowadziłyby przez ten teren, nieco na południe od grzbietu Ruweisat. Pola minowe nie są tutaj zbyt gęste i jak pan widzi, w tym rejonie jest luka w strefie ognia z tych dwóch stanowisk - powiedział, wskazując dwa niebieskie prostokąty. - Zmasowane uderzenie mogłoby łatwo dokonać tu wyłomu.

- Nic nie przychodzi łatwo na tej cholernej pustyni, majorze - odparł znużonym tonem Voigt. - Jeżeli nie dostaniemy w porę paliwa i amunicji, to jeszcze przed końcem tygodnia będziemy nacierać na piechotę, rzucając przed siebie kamieniami. Proszę mi złożyć mapy.

Jeden z młodszych rangą oficerów zajął się wypełnianiem polecenia. Po chwili Voigt rozpiął zamek teczki i wsunął do niej mapy. Potem zamknął teczkę, otarł pot z twarzy i nałożył czapkę. Był gotów do lotu powrotnego do stanowiska dowodzenia Rommla, gdzie przez resztę nocy czekały go dyskusje i odprawy, w wyniku których miały nastąpić ruchy piechoty, czołgów i zaopatrzenia w rejony będące celem ataku. Bez tych map decyzje feldmarszałka można by porównać do rzutu kostką.

Voigt podniósł z zadowoleniem ciężką teczkę.

- Jestem przekonany, majorze, że feldmarszałek chciałby, abym powiedział panu, że doskonale się pan spisał - rzekł w końcu. Stummer zrobił zadowoloną minę. - Wypijemy toast za powodzenie Afrikakorps na brzegach Nilu. Heil Hitler!

Voigt szybkim ruchem uniósł rękę i wszyscy obecni, z wyjątkiem Klinhursta, który nie skrywał swego braku entuzjazmu dla partii, odpowiedzieli podobnym gestem. Spotkanie

dobiegło końca. Voigt odwrócił się od stołu i energicznym krokiem wyszedł z namiotu, kierując się do czekającego nań samochodu.

Był już kilka kroków od otwartych drzwi, gdy zauważył jakiś szybki ruch po prawej stronie.

Obrócił głowę w tym kierunku i nogi z miejsca zrobiły mu się jak z waty.

Tuż obok niego, bliżej niż na wyciągnięcie ramienia, stał pies o zielonych oczach. Najwyraźniej wyskoczył z drugiej strony namiotu i podbiegł do niego tak szybko, że ani kierowca, ani on sam nie zdążyli zareagować. Czarna bestia nie wyglądała jak inne wygłodniałe psy. Była wielka jak mastiff, w kłębie musiała mierzyć dwie i pół stopy, a na jej grzbiecie i udach rysowały się pod skórą mięśnie, napięte jak wiązki strun. Pies położył uszy po sobie, wpatrując się błyszczącymi jak lampy sygnałowe ślepiami wprost w oczy Voigta. To spojrzenie zdradzało inteligentnego mordercę.

„To nie pies - pomyślał Voigt. - To wilk”.

- Mein Gott - wykrztusił, jakby otrzymał cios w obolały od wrzodów żołądek.

Muskularny, potworny wilk był już na nim. W jego otwartej paszczy widać było białe kły i czerwone dziąsła. Voigt poczuł na nadgarstku, do którego miał przypiętą teczkę, gorący oddech zwierzęcia. Uświadomiwszy sobie z przerażeniem, co bestia ma zamiar zrobić, sięgnął prawą ręką do kolby spoczywającego w kaburze lugera.

Wilk zacisnął szczęki na przegubie Voigta i potężnie szarpnął głową.

Ostry odłamek złamanej kości przebił skórę na ręce i z rany trysnęła łukiem krew, pokrywając plamami bok samochodu. Voigt krzyknął, na próżno mocując się lewą dłonią z zapięciem kabury lugera. Próbował wyszarpnąć rękę, ale wilk wbił pazury w ziemię, nie dając się ruszyć z miejsca. Kierowca zamarł zszokowany, Stummer natomiast zaczął wzywać na pomoc żołnierzy, którzy właśnie wrócili z patrolu. Opalona twarz Voigta pożółkła. Wilk nie przestawał zaciskać szczęk. Jego zęby przybliżały się do siebie, przecinając kości i bluzgające krwią ciało. Zielone ślepia wpatrywały się w Voigta z wrogością.

- Pomocy, pomocy! - krzyknął podpułkownik i wtedy wilk znów szarpnął głową, przepełniając bólem każdy cal jego ciała i niemal urywając mu dłoń.

Bliski omdlenia Voigt wyrwał lugera z kabury, akurat gdy kierowca przeładował swojego waltera i wycelował go w czaszkę wilka. Voigt też skierował lufę pistoletu prosto w zakrwawiony pysk bestii.

Jednak kiedy obydwaj zaczęli ściągać spust, wilk nagle rzucił się w bok i nadal trzymając zębami nadgarstek Voigta, pociągnął go wprost pod lufę waltera. Pistolet kierowcy z głośnym trzaskiem bluznął ogniem i w tej samej chwili kula z lugera trafiła w ziemię.

Pocisk z waltera przebił plecy podpułkownika, znacząc czerwoną dziurę w klatce piersiowej w miejscu wylotu. Nogi ugięły się pod Voigtem, a wtedy wilk szarpnął jeszcze raz i całkowicie oderwał mu dłoń od nadgarstka. Obręcz kajdanków połączonych z teczką zsunęła się z kikuta ręki. Szybkim ruchem łba wilk wypuścił drgającą dłoń ze swoich zakrwawionych szczęk. Spadła pomiędzy wygłodniałe psy, które od razu rzuciły się na świeży kąsek.

Kierowca wystrzelił znowu, był przerażony, a ręce trzęsły mu się ze strachu. Wilk uskoczył błyskawicznie w bok i tylko odrobina ziemi rozprysnęła się pod jego łapami. Z obozowiska nadbiegło trzech żołnierzy ze schmeisserami w rękach.

- Zabijcie go! - wrzasnął Stummer.

W tym samym momencie wypadł z namiotu Klinhurst z pistoletem w dłoni. Czarny zwierz rzucił się do przodu, przeskakując nad ciałem Voigta. Odszukał pyskiem metalową obrączkę kajdanków i zacisnął na niej zęby. Kierowca wystrzelił po raz trzeci i kula przebiła teczkę, a potem odbiła się z jękiem od powierzchni ziemi. Klinhurst wycelował swój pistolet, lecz zanim zdążył ściągnąć spust, wilk rzucił się w bok i pobiegł na wschód, niknąc wnet w ciemnościach.

Kierowca posłał za nim resztę zawartości swojego magazynka, ale nie usłyszeli żadnego skowytu. Z namiotów wybiegali kolejni żołnierze i w całym obozie zaczęły rozlegać się okrzyki ogłaszające alarm. Stummer podbiegł do ciała Voigta i przyklękawszy odwrócił je na plecy. Zrobiło mu się słabo na widok spływających krwią ran. Przełknął ślinę. Nie mógł pojąć, jak to wszystko mogło się tak szybko rozegrać, ale od razu zrozumiał to, co najważniejsze - wilk zabrał teczkę pełną map zwiadowczych i biegł z nią na wschód.

W kierunku linii brytyjskich.

Te mapy pokazywały także pozycje wojsk Rommla i jeżeli Brytyjczycy by je zdobyli...

- Do wozów! - wrzasnął, podrywając się na równe nogi. - Szybko, na Boga, szybko, musimy go zatrzymać!

Przebiegł obok auta sztabowego do stojącego nieopodal innego pojazdu - żółtego opancerzonego samochodu z zamontowanym z przodu ciężkim karabinem maszynowym. Kierowca podążył w ślad za nim, a inni żołnierze rzucili się do swoich motocykli BMW z przyczepami, które także były wyposażone w karabiny maszynowe. Stummer wskoczył na siedzenie pasażera, a kierowca zapalił silnik i włączył światła. Równocześnie rozległ się ryk uruchamianych silników motocykli i zabłyśły światła reflektorów.

- Naprzód! - krzyknął Stummer do kierowcy, chociaż czuł niemalże, jak na jego szyi zaciska się już pętla kata.



Samochód opancerzony skoczył do przodu, podrywając spod kół obłoki kurzu, a cztery motocykle zakreśliły wokół niego, przyspieszyły i ruszyły przodem.

Wilk biegł ćwierć mili przed nimi. Jego ciało pracowało jak maszyna zaprojektowana do pokonywania dużych odległości z wielką prędkością. Przymknął oczy, zostawiając tylko szczeliny między powiekami, i zacisnął mocno szczęki na kajdankach. Ciągnięta przez niego teczka obijała się rytmicznie o ziemię, a on oddychał głęboko, sapiąc potężnie.

Skręcił kilka stopni w prawo, potem wbiegł na skalisty pagórek i zbiegł z niego, tak jakby miał wytyczoną trasę. Piasek tryskał mu spod łap, a znajdujące się na jego ścieżce skorpioń i jaszczurki rzucały się do ucieczki.

Wilk poruszył uszami. Z lewej strony zbliżał się do niego szybko jakiś warkot. Zwierzę przyspieszyło tempo, słychać było tylko mocne uderzenia łap o stwardniałe podłoże. Warkot był coraz bliżej i w pewnej chwili dał się słyszeć niemal dokładnie po lewej stronie wilka. Snop światła z reflektora przesunął się obok niego, po czym wrócił i zatrzymał na biegnącej sylwetce. Jadący w przyczepie motocykla żołnierz krzyknął: „Jest tam!” i odbezpieczył karabin maszynowy. Obrócił lufę w kierunku zwierzęcia i otworzył ogień.

Wilk zarył łapami w miejscu, a kule wbiły się w ziemię tuż przed nim. Motocykl przemknął obok, chociaż kierowca manipulował hamulcem i kierownicą. Wilk znowu zmienił kierunek i ruszył pełną prędkością na wschód, ciągle trzymając w zębach kajdanki.

Karabin maszynowy nie przerywał swojego ujadania. Pociski smugowe znały pomarańczowe linie w ciemnościach i odbijały się od kamieni jak wyrzucone niedopałki papierosów. Wilk gnał zygzakiem, trzymając klatkę piersiową przy ziemi, i mimo że kule przelatowały koło niego, przebiegł przez następny pagórek i zniknął z kręgu światła.

- Tam! - krzyknął strzelec.

Kierowca skręcił ciężkim motocyklem i popędził w ślad za wilkiem. W świetle reflektora widać było wirujący biały pył. Dodał gazu do maksimum i silnik zawarczał potężnie. Przejechawszy przez szczyt wzgórza, ruszyli w dół i wtedy w świetle reflektora ukazała się tuż przed motocyklem głęboka na osiem stóp rozpadlina. Czekająca, wyszczerzona w uśmiechu. Motocykl wpadł w nią, przewrócił się kołami do góry i wtedy karabin maszynowy zaczął siać wokół kulami. Pociski odbijały się od ścian rozpadliny, trafiając w ciała kierowcy i strzelca. Motocykl rozpadł się i od razu wybuchł zbiornik benzyny.

Wilk biegł już po drugiej stronie rozpadliny, którą przesadził jednym susem, uciekając przed dzwoniącymi wokół niego kawałkami gorącego metalu.

Przez odbite od wzgórz echo wybuchu dotarł do uszu zwierzęcia, tym razem z prawej strony, odgłos jeszcze jednego drapieznika. Wilk podniósł głowę i zobaczył reflektor

kolejnego motocykla. Rozległa się seria z karabinu maszynowego i kule załomotały wokół łap wilka. Inne zaczęły przelatywać z gwizdem koło jego ciała. Wilk biegł klucząc rozpaczliwie, jednak motocykl był coraz bliżej, a kule niemal już dosięgały celu. Jeden pocisk przeleciał tak blisko, że wilk wyczuł przylepiony do niego gorzki zapach ludzkiego potu. Skręcił szybko, jeszcze raz podskoczył w powietrze nad przelatującymi pod łapami kulami i dał susa do wąwozu, który przecinał pustynię, biegnąc na południowy wschód.

Motocykl ruszył wzdłuż krawędzi wąwozu. Siedzący w przyczepie żołnierz oświetlał dno rozpadliny niewielką latarnią.

- Trafiłem go, widziałem, jak kule go sięgają...

Nagle poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Chciał się obrócić z latarnią, ale nie zdążył. Biegnący za motocyklem wielki czarny wilk skoczył do przodu, przeleciał nad przyczepą i uderzył całą swoją masą w kierowcę. Dwa żebra motocyklisty pękły jak spróchniałe patyki i mężczyzna runął z siedzenia. Zdążył tylko jeszcze zobaczyć, jak wilk staje na tylnych łapach zupełnie jak człowiek i przeskakuje przez szybę osłaniającą. Ogon zamiótł po twarzy strzelca, który przerażony wyskoczył z przyczepy. Motocykl przejechał jeszcze jakieś piętnaście stóp, przechylił się koszem przez krawędź wąwozu i spadł na dno. Wilk biegł dalej, znowu kierując się wprost na wschód.

Wkrótce płatanina wąwozów i pagórków ustąpiła miejsca płaskiej skalistej pustyni, oświetlonej przez jaskrawo płonące gwiazdy. Wilk biegł, nie zatrzymując się. Jego serce biło coraz gwałtowniej, a płuca pompowały czysty zapach wolności, zapach perfum życia. Rzucił łbem w lewo, wypuścił kajdanki i chwycił zębami skórzaną rączkę teczki. Przestała obijać się o ziemię. Poczuł chęć, żeby wypuścić z paszczy tę rączkę - miała na sobie znieprawiony zapach dłoni człowieka, jednak przemógł się.

I wtedy z tyłu rozległ się kolejny warkot, tym razem niższy od głosów poprzednich drapieżników. Wilk obejrzał się i zobaczył dwa żółte księżycy pędzące przez pustynię jego śladem. Nad obydwoma księżycami pokazał się czerwony ogień z lufy karabinu maszynowego. Kule uderzyły w piasek nie dalej niż trzy stopy od wilka. Zwierz skręcił, zwolnił gwałtownie i znowu rzucił się do przodu. Kolejne kule wręcz otarły się o sierść na jego grzbiecie.

- Szybciej! - krzyknął Stummer do kierowcy. - Nie zgub go! - Pociągnął za spust i zobaczył, jak wilk nagle skręca w lewo. - Do cholery, jedź równo.

Zwierz nadal trzymało w pysku teczke Voigta i biegło wprost do linii brytyjskich.

„Co to za wilk, który zamiast ochłapów ze śmietnika kradnie teczke pełną map! Trzeba zatrzymać tę przeklętą bestię” - myślał Stummer. Poczul, jak mu się pocą dłonie, i

zaczął znowu celować w wilka, ale on w dalszym ciągu robił uniki. Zwalniał i gwałtownie przyśpieszał, tak jakby...

„Tak... - pomyślał Stummer - tak jakby umiał rozumować jak człowiek”.

- Równo, równo! - wrzasnął, ale samochód podskoczył na wyboju i kule znowu chybiły. Musiał celować przed wilka, licząc na to, że zwierzę wbiegnie pod deszcz pocisków. Przygotował się do odrzutu broni i nacisnął spust.

Nic. Karabin był gorący jak słońce w południe, ale musiał się zagwoździć. Albo skończyła się amunicja.

Wilk obejrzał się i zobaczył, że samochód przybliżył się szybko do niego. Popatrzył znowu do przodu, jednak było już za późno: tuż przed nim, bliżej niż sześć stóp, widniały zasieki z drutu kolczastego. Wilk napiął tylne łapy i odbił się od ziemi. Jednak płot był za blisko, żeby mógł go przeskoczyć. Gdy już przelatował nad przeszkodą, jego prawa tylna łapa uwięzła w płataninie drutu.

- Teraz! - krzyknął Stummer - Przejedź go!

Wilk szarpnął się, napinając mięśnie w całym ciele, i zaczął drzeć ziemię przednimi łapami, ale bez skutku. Stummer uniósł się na swoim siedzeniu, pęd powietrza uderzył mu w twarz. Kierowca wcisnął do końca pedał gazu. Jeszcze pięć sekund - i opancerzony pojazd zmiażdży wilka.

W ciągu tych pięciu sekund Stummer zobaczył coś, w co nigdy by nie uwierzył, gdyby nie ujrzał tego na własne oczy. Wilk skręcił ciało i przednimi łapami chwycił drut, który go uwięził. Rozdzielił zwoje i odsunął je od siebie, wyciągając łapę. I już znowu stał na czterech kończynach, rzucając się do przodu. Samochód zgniótł swoją masą zwoje drutu, ale wilka już tam nie było.

Reflektory nadal jednak oświetlały uciekającą sylwetkę i Stummer zobaczył, że zwierzę już nie biegnie, jedynie podskakuje to w prawo, to w lewo, czasami dotyka ziemi tylko jedną tylną łapą i znowu skacze, skręcając w innym kierunku.

Serce Stummera zamarło.

„On wie - przyszło mu do głowy. - To zwierzę wie...”

- Jesteśmy na polu mi... - szepnął.

I wtedy lewe przednie koło trafiło na minę. Siła wybuchu wyrzuciła majora Stummera z samochodu. Lewa tylna opona najechała na kolejną minę, a poszarpane resztki prawego przedniego koła zdetonowały jeszcze jedną. Pojazd zatrząsł się od wybuchu zbiornika z benzyną i w kolejnej sekundzie znowu wpadł na minę. Po chwili nie pozostało z niego już nic, tylko strzępy lecące w górę metalu i płonący wrak.

Wilk zatrzymał się sześćdziesiąt jardów dalej i obejrzał się.

Przez chwilę patrzył na ogień błyszczącymi w jego blasku zielonymi ślepiami, potem odwrócił się i ruszył ostrożnie przez pole minowe w kierunku bezpiecznego schronienia na wschodzie.

„Niedługo tu będzie” - pomyślała hrabina.

Była podniecona jak uczennica na pierwszej randce. Nie widziała go już od ponad roku. Nie miała pojęcia, gdzie był przez ten czas i co robił, i wcale jej to nie obchodziło. To nie była jej sprawa. Słyszała, że potrzebuje spokojnego schronienia i że ma za sobą ryzykowną misję. Nie było bezpiecznie wiedzieć więcej niż to konieczne. Usiadła przed owalnym lustrem w swojej lawendowej garderobie i uważnie zaczęła malować usta. Za prowadzącymi na taras drzwiami balkonowymi migały złote światła Kairu. W powietrzu poruszonym nocną bryzą unosił się zapach drzew muskatołowych i cynamonowców, a na dziedzińcu cicho szumiały liście palm. Zauważyła, że drży, odłożyła więc pomadkę, żeby nie zepsuć sobie makijażu.

„Nie jestem przecież niewinną dziewicą” - napomniała się w myślach z nutką żalu.

Może to właśnie stanowiło część jego uroku - podczas poprzedniej wizyty tutaj doprowadził do tego, że poczuła się, jakby była pierwszoklasistką w szkole miłości. Pomyślała, że być może dlatego jest tak podniecona, iż w całym życiu, mimo procesji tak zwanych kochanków, nie doświadczyła dotyku, który dałby się porównać z dotykiem jego ciała. Tęskniła za tym dotykiem.

Wiedziała już, że sama należy do tego rodzaju kobiet, przed którym przestrzegala ją kiedyś matka. Mieszkała w Niemczech, zanim jeszcze ten szalenciec wyprał mózgi jej rodaków. To też było częścią jej życia, niebezpieczeństwo dodawało jej energii. „Lepiej jest żyć niż po prostu istnieć” - pomyślała. Kto to jej powiedział? Och, oczywiście, że on.

Przesunęła szczotką z kości słoniowej po blond włosach ułożonych w stylu Rity Hayworth, puszystych i opadających łagodnie na ramiona. Natura obdarzyła ją delikatną budową, wysokimi kośćmi policzkowymi, jasnobrązowymi oczami i szczupłą sylwetką. Nietrudno było jej utrzymać tutaj taką figurę, ponieważ nie przepadała za egipską kuchnią. Miała dwadzieścia siedem lat i do tej pory była już trzy razy zamężna. Każdy kolejny mąż był bogatszy od poprzedniego. Obecnie posiadała większościowy pakiet udziałów w wychodzącym w Kairze angielskojęzycznym dzienniku. Ostatnio, kiedy Rommel zbliżał się do Nilu, a Brytyjczycy walczyli dzielnie, aby powstrzymać niemiecką nawałę, czytała swoją gazetę z coraz większym zainteresowaniem. Wczorajszy najważniejszy nagłówek brzmiał: „Pochód Rommla zatrzymany”. Wiedziała, że wojna potrwa jeszcze, ale wydawało się - przynajmniej w tym momencie - że Hitler nie pojawi się na wschód od Al-Alamajn.

Usłyszała łagodny warkot silnika rolls-royce'a „Silver Shadow” zatrzymującego się przed frontowymi drzwiami i poczuła, jak podskakuje jej serce. Wysłała szofera, żeby go przywiózł, bo otrzymała takie polecenie w hotelu „Shepherd”. On tam nie mieszkał, brał tylko udział w jakimś spotkaniu, chyba nazywali to raportem. Hotel „Shepherd”, ze swoim słynnym westybuliem zastawionym wiklinowymi fotelami i wyłożonym orientalnymi kobiercami, pełen był zmęczonych wojną brytyjskich oficerów, pijanych dziennikarzy, mużłmańskich rzeźmieszków i oczywiście niemieckich agentów. Jej mieszkanie na wschodnich peryferiach miasta było bezpieczniejszym miejscem niż hotel. No i oczywiście o wiele bardziej cywilizowanym.

Hrabina Margritta podniosła się od swojej toaletki, zdjęła jasną morskozieloną sukienkę ze stojącego z tyłu parawanu pomalowanego w niebiesko-złote pawie, włożyła ją i zapięła guziki. Jeszcze jedno spojrzenie na włosy i makijaż, mgiełka nowych perfum „Chanel” na białą szyję - i już była gotowa do wyjścia. Ale nie, nie całkiem. Postanowiła rozpiąć strategiczny guzik sukienki, żeby jej piersi nie były za bardzo osłonięte. Potem wsunęła stopy w sandały i stanęła, czekając na Aleksandra.

Pojawił się po jakichś trzech minutach.

- Tak, słucham? - powiedziała, gdy zapukał delikatnie do drzwi.

- Przybył pan Gallatin, hrabino - rozległ się sztywny, brytyjski głos Aleksandra.

- Powiedz mu, że niebawem zejdę.

Zaczekała jeszcze, aż w wyłożonym lękowym drewnem korytarzu ucichły kroki. Nie pragnęła aż tak bardzo go zobaczyć, żeby zejść na dół, nie zmuszając go do chwili czekania - to była część gry między damą a dżentelmenem. Dała więc mu jeszcze trzy czy cztery minuty, zaczerpnęła głęboko powietrza i opuściła garderobę niezbyt spiesznym krokiem. Przeszła korytarzem o ścianach obwieszonych zbrojami, włóczniami, mieczami i inną średniowieczną bronią. Należały one do poprzedniego właściciela domu, sympatyka Hitlera. Uciekł stąd, kiedy Włosi zostali pokonani przez O'Connora w 1940 roku. Nie interesowała się zbytnio bronią, ale uważała, że pasuje ona do wyłożonego tekowym i dębowym drewnem wnętrza, a poza tym były to cenne okazy. Ich widok dawał jej poczucie nieustannej ochrony. Dotarła do szerokiej klatki schodowej z rzeźbionymi dębowymi słupkami i zeszła na parter. Drzwi salonu, do którego poleciła Aleksandrowi wprowadzić gościa, były zamknięte. Zatrzymała się na kilka sekund, chcąc ukryć oznaki podniecenia, przyłożyła dłoń do ust, żeby sprawdzić oddech. Stwierdziwszy z ulgą, że pachnie świeżą miętą, z nerwową energią otworzyła drzwi.

Na błyszczących niskich stolikach paliły się srebrne lampki. W kominku migotał niewielki ogień, gdyż po północy wiejący z pustyni wiatr bywał dość zimny. Światło

plamienia igrało w kryształowych szklankach oraz butelkach wódki i szkockiej whisky i padało odbite na karafkę stojącą na tle ozdobionej sztukaterią ściany. Podłogę pokrywał dywan z płataniną pomarańczowo-szarych figur geometrycznych, a na gzymsie kominka stał zegar pokazujący właśnie dziewiątą. On też tam był, siedział rozluźniony w wiklinowym fotelu, trzymając nogi skrzyżowane w kostkach, tak jakby ten teren był jego własnością i jakby bronił go przed wszelkimi intruzami. Patrzył w zamyśleniu na umieszczone nad kominkiem trofea myśliwskie.

Nagle ich oczy spotkały się. Swobodnym ruchem podniósł się z fotela.

- Margritta - powiedział, wręczając jej trzymane w rękach czerwone róże.

- Och, Michael, jakie one są piękne - zabrzmiał jej zmysłowy głos, w którym słychać było arystokratyczną melodię północnych równin niemieckich. Podeszła do niego. „Nie za szybko” - napomniała się w myślach. - Gdzie o tej porze roku znalazłeś w Kairze róże?

Uśmiechnął się delikatnie, odsłaniając mocne białe zęby.

- W ogrodzie twojego sąsiada - odpowiedział.

Znowu usłyszała tak bardzo ją intrygujący leciutki ślad rosyjskiego akcentu. Jak to się stało, że ten urodzony w Rosji dżentelmen współpracował z brytyjską służbą wywiadowczą w Afryce Północnej? I dlaczego jego nazwisko nie brzmiało z rosyjska?

Margritta roześmiała się, biorąc od niego róże. Wiedziała przecież, że tylko żartuje. W ogrodzie jej sąsiada, Petera van Gynta, naprawdę były wspaniałe grządki z różami, ale mur oddzielający ich posesje miał sześć stóp wysokości. Było oczywiste, że Michael Gallatin nie mógł się przez niego dostać. Świadczył o tym dodatkowo jego nieskazitelnie czysty garnitur w kolorze khaki. Pod marynarką miał jasnoniebieską koszulę i krawat w przeplatające się szaro-brązowe paski. Jego twarz była spalona na brąz przez słońce pustyni. Hrabina powąchała jedną z róż - nadal były na niej krople rosy.

- Wyglądasz pięknie - powiedział. - Uczesaaś się inaczej. - Tak, to nowy styl, podoba ci się?

Wysunął dłoń, dotykając jednego z loków. Pogładził go pieśczołliwie palcami, a potem przesunął rękę na policzek, delikatnie dotykając jej skóry, aż na przedramieniu Margritty ukazała się gęsia skórka.

- Jesteś zmarznięta - rzekł. - Powinnaś stanąć bliżej ognia. Powiódł dłonią po podbródku Margritty, musnął delikatnie jej wargi, po czym cofnął rękę. Przysunął się i objął ją ramieniem w pasie. Nie drgnęła nawet, czując, jak zapiera jej dech w piersi. Jego twarz była tuż przy jej twarzy, a zielone oczy połyskiwały światłem odbitym z kominka, jakby

płomyki błyskały w ich wnętrzu. Przybliżył wargi. Poczowała bolesne napięcie przesywające jej ciało. Zatrzymał usta niespełna dwa cale od jej ust i oznajmił:

- Jestem okropnie głodny.

Zamrugła oczami, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Nie jadłem od śniadania - dodał - na które dostałem tylko jajka w proszku i suszoną wołowinę. Nic dziwnego, że VIII Armia walczy tak dzielnie. Chcą pojechać do domu i zjeść coś przyzwoitego.

- Och, jedzenie. Oczywiście, jedzenie. Poleciłam kucharzowi, żeby przygotował dla ciebie kolację. Baraninę. To twoje ulubione danie, prawda?

- Cieszę się, że pamiętasz.

Pocałował ją lekko w usta, a potem musnął wargami jej szyję. Miękki dotyk jego ust obudził dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Wypuścił ją, czując w nozdrzach aromat perfum „Chanel” i jej własny, wyraźny zapach kobiety.

Margritta wzięła go za rękę. Miał twardą skórę dłoni, zupełnie jak murarz. Podprowadziła go do drzwi i kiedy już prawie w nie wchodzili, Gallatin zapytał:

- Kto zabił tego wilka? Zatrzymała się.

- Słucham?

- Tego wilka. - Wskazał ręką w kierunku szarej bestii umieszczonej nad kominkiem. - Kto go zabił?

- O, słyszałeś chyba o Harrym Sandlerze, prawda? Pokręcił głową.

- To amerykański myśliwy, poluje na grubą zwierzynę. Dwa lata temu pisali o nim we wszystkich gazetach, kiedy zastrzelił na Kilimandżaro białego leoparda. - Po oczach Michaela widać było, że nic mu to nie mówi. - Zostaliśmy... dobrymi przyjaciółmi. Przysłał mi tego wilka z Kanady. Wspaniałe zwierzę, prawda?

Michael mruknął coś cicho. Spojrzał na inne trofea, które Margritta dostała od Sandlera - głowę afrykańskiego wodnego bawołu, wspaniałego jelenia, cętkowanego leoparda i czarną panterę. Jego wzrok jednak znowu wrócił do wilka.

- Z Kanady - powtórzył. - A z którego rejonu Kanady?

- Nie wiem dokładnie. Harry chyba mi mówił, że ustrzelił go w Saskatchewan. - Wzruszyła ramionami. - Ale w końcu wilk to wilk, prawda?

Nie odpowiedział, spojrzał tylko na nią swym przesywającym wzrokiem i uśmiechnął się.

- Będę musiał kiedyś spotkać się z panem Harrym Sandlerem.



- Miałeś pecha, że nie byłeś tutaj tydzień temu. Harry przejeżdżał przez Kair w drodze do Nairobi. - Pociągnęła go żartobliwie za rękę, żeby odwrócić jego uwagę od trofeów.. - No chodź, zanim jedzenie wystygnie.

Usiedli w jadalni przy długim stole, nad którym zwieszał się kryształowy żyrandol. Michael dostał medaliony z baraniny, a Margritta sałatkę z rdzenia palmy i kieliszek chablis. Jedząc, rozmawiali swobodnie o tym, co się dzieje w Londynie, o popularnych ostatnio sztukach teatralnych, modzie, literaturze, muzyce, czyli o tym wszystkim, czego tak brakowało Margritcie. Michael oznajmił, że podoba mu się ostatnie dzieło Hemingwaya i to, że autor tak dokładnie potrafi przedstawiać rzeczywistość. Przyglądając się oświetlonej jasnym światłem żyrandola twarzy Michaela, Margritta zauważyła, że zmienił się od ich ostatniego spotkania, które miało miejsce rok i pięć tygodni temu. Były to subtelne zmiany, jednak wyraźnie widoczne: więcej zmarszczek wokół oczu i być może więcej szpakowatych pasemek w gładkich, krótko przystrzyżonych czarnych włosach. Wiek Michaela był dla niej zagadką; mógł mieć od trzydziestu do trzydziestu czterech lat. Mimo to jego ruchy były pełne młodzieńczej energii, a barki i ramiona świadczyły o imponującej sile. Dłonie Michaela też wyglądały tajemniczo, były kształtne i długopalce jak ręce pianisty, ale zewnętrzną stronę porastały czarne włosy i widać było, że są to ręce człowieka nawykłego do pracy fizycznej. Mimo to srebrny nóż i widelec trzymał w dłoniach z zaskakującym wdziękiem.

Michael Gallatin był wysokim mężczyzną, mierzącym może sześć stóp i dwa cale wzrostu, o szerokiej klatce piersiowej, wąskich biodrach i długich, smukłych nogach. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, Margritta zapytała, czy może był kiedyś lekkoatletą, na co odpowiedział jedynie, że biega czasami dla przyjemności.

Margritta pociągnęła łyk wina i spojrzała na niego ponad krawędzią kieliszka. „Kim on jest tak naprawdę, co robi dla wywiadu, skąd się tu wziął i dokąd zmierza?” - myślała. Miał ostro zakończony nos i Margritta zauważyła, że zanim coś zje czy też wypije, wacha dany produkt. Jego gładko ogolona i czerstwa twarz była przystojna w jakiś ponury sposób. Kiedy się uśmiechał - zdarzało się to niezbyt często - jego twarz promieniała światłem. Gdy był rozluźniony - ciemniała, i wtedy przygasający żar jego zielonych oczu kojarzył się jej z kolorem głębokiego cienia dziewiczego lasu, którego tajemnice bezpieczniej pozostawić nienaruszone. W takim miejscu mogły czyhać wielkie zagrożenia.

Wyciągnął rękę po swój kieliszek z wodą, ignorując wino, a wtedy Margritta powiedziała:

- Dałam służbie wolne na dziś wieczór.

Michael pociągnął jeszcze łyk wody i odstawił kieliszek. Wbił widelec w kolejny kawałek mięsa.

- Od jak dawna Aleksander pracuje u ciebie? - zapytał. Pytanie całkowicie ją zaskoczyło.

- Prawie osiem miesięcy, został mi polecony przez konsulat. Dlaczego pytasz?

- On ma... - zaczął Michael i przerwał, ważąc słowa; mało brakowało, a powiedziała, że Aleksander ma podejrzany zapach - ...niemiecki akcent - dokończył.

Margritta nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Przecież Aleksander nie mógł być już bardziej brytyjski, no, chyba że założyłby kalesony uszyte z brytyjskiej flagi.

- On dobrze to ukrywa - ciągnął Michael. Powąchał kawałek baraniny, włożył go do ust i zjadł w całości, zanim podjął rozmowę. - Ale nie do końca dobrze. Ten brytyjski akcent to tylko maskarada.

- Aleksander przeszedł prowadzone przez wywiad procedury sprawdzające. Wiesz, jakie one są rygorystyczne. Mogę ci opowiedzieć jego życiorys, jeżeli chcesz go usłyszeć. Urodził się w Stratfordzie.

Michael skinął głową.

- Och, to prawdziwe miasto aktorów. Już po tym można poznać manipulacje Abwehry. O siódmej przyjedzie tu po mnie samochód. Uważam, że też powinnaś wyjechać.

- Wyjechać? Dokąd?

- Do innego kraju, jeżeli się da. Może do Londynu. Powinnaś opuścić Egipt. Nie sądzę, żebyś była tutaj bezpieczna.

- Och, to niemożliwe, zbyt wiele zobowiązań. Mój Boże, mam gazetę, nie mogę po prostu się wynieść w pięć minut.

- W porządku. Więc zamieszkać w konsulacie. Ale uważam, że powinnaś jak najszybciej wyjechać z Afryki Północnej.

- Przecież się nie pali. - Nie dawała się przekonać. - Poza tym nie masz racji co do Aleksandra.

Michael nie odpowiedział. Zjadł jeszcze jeden kawałek baraniny i otarł usta serwetką.

- I co, wygrywamy? - zapytała po chwili.

- Trzymamy się - odpowiedział - trzymamy się zębami i pazurami. Rommel ma kłopoty z zaopatrzeniem i jego czołgom zaczyna brakować benzyny. Uwaga Hitlera skupiona jest na Związku Radzieckim. Stalin wzywa aliantów do ataku z zachodu. Żaden kraj, nawet tak silny jak Niemcy, nie jest w stanie prowadzić wojny na dwóch frontach. Więc jeśli będziemy w stanie powstrzymać Rommla do czasu, aż mu się skończą zapasy amunicji i

paliwa, to wtedy może odepchniemy go z powrotem do Tobruku. A jak się nam poszczęści, to i dalej.

- Nie wiedziałam, że wierzysz w szczęście. - Uniosła jasnoblond brwi.

- To pojęcie subiektywne. Tam, skąd pochodzę, szczęście i brutalna siła znaczą to samo.

- A skąd jesteś, Michael? - Wykorzystała okazję, by zadać to pytanie.

- Z bardzo daleka. - Sposób, w jaki to powiedział, dał jej jasno do zrozumienia, że to koniec rozmowy na temat jego życia osobistego.

- Mamy jeszcze deser - oznajmiła, kiedy Michael skończył posiłek i odsunął od siebie talerz. - W kuchni jest tort czekoladowy, przy okazji zrobię kawę.

Wstała, ale on był szybszy. Nie dała jeszcze dwóch kroków, kiedy znalazł się u jej boku.

- Tort i kawa mogą być później, teraz wolę inny deser. - Wziął ją za rękę i całował jeden palec po drugim.

Objęła go ramionami za szyję, z szaleńczym biciem serca. Uniósł ją bez wysiłku w ramionach i wyjął pojedynczą różę z bukietu stojącego w błękitnym wazonie na środku stołu.

Z Margritą na rękach ruszył po schodach, a potem przez korytarz przyozdobiony zbrojami i bronią, aż doszedł do sypialni, z której okien rozciągał się widok na wzgórza Kairu.

Rozebrali się nawzajem przy świetle świecy. Pamiętała jego owłosione ramiona i klatkę piersiową, ale teraz zobaczyła coś nowego: był ranny, o czym świadczył przyklejony na piersiach opatrunek.

- Co ci się stało? - zapytała, dotykając palcami jego brązowego ciała.

- Zaplątałem się w coś - powiedział, patrząc na jej halkę zsuwającą się na podłogę.

On też już był nagi. Odślonięte węzły mięśni sprawiały, że wydawał się jeszcze większy. Położył się koło niej i wtedy oprócz zapachu delikatnej cytrynowej wody kolońskiej poczuła jeszcze jakąś woń. Jakiś piżmowy zapach. Znowu w jej wyobraźni pojawiły się zielone lasy i zimne wiatry omiatające pustkowia. Michael zaczął zataczać palcami kółka wokół jej sutek i po chwili nakrył jej usta swoimi. Połączyli się w żarze przepływającym z jednego ciała w drugie, aż zadrżała do głębi duszy. Wtem zamiast jego palców poczuła na ciele coś innego - to była ta róża o aksamitnych płatkach. Wędrowała wokół jej sterczących sutek, drażniąc piersi niczym pocałunki. Przesunął różę niżej na brzuch, zatrzymał się, żeby obwieść kółkiem pępek, po czym obsunął kwiat jeszcze niżej, do trójkąta gęstych złotych włosów. Nieprzerwanie zataczał różą kółka i drażnił ją delikatnie, aż wygięła ciało z

pożądania. Róża przesunęła się aż do wilgotnego środka jej pragnień, przemknęła pomiędzy jej udami i wtedy dotknął jej tam językiem. Zaciśnęła palce na jego włosach i jęknęła, witając go ruchami bioder.

Znieruchomiał na chwilę, przytrzymał ją nieco i znowu rozpoczął swój rytuał. Język i róża grały na niej jak palce na czułym instrumencie. Margritta wydawała z siebie muzykę, szepcząc i pojękując, a fale gorąca narastały, atakując wszystkie jej zmysły.

I wtedy nastąpiło to - gorąca eksplozja, która uniosła ją, aż wykrzyknęła jego imię. Rozluźniła się i opadła na łóżko jak jesienny liść: pełen koloru i zwiotczały nieco na brzegach.

Wszedł w nią, napotykał swym żarem jej żar, a ona wczepiła się palcami w jego plecy. Poruszał biodrami nie z dzikim pożądaniem, ale delikatnie, i kiedy już myślała, że nie zniesie więcej rozkoszy, otworzyła się przed nim, chcąc, aby znalazł się w tym miejscu, gdzie mogliby być jedną istotą z dwoma imionami i łomoczącymi sercami, i żeby weszły w nią nawet jego objające się o jej wilgotność stwardniałe jądra. Chciała go całego, każdy cał, cały płyn, który mógł jej przekazać. Jednak nawet wśród tej burzy zmysłów wyczuła, że on zachowuje się z rezerwą, jakby w jego wnętrzu było coś jeszcze, coś, do czego sam nie może dotrzeć. Wydało się jej, jakby usłyszała warknięcie, ale było przytłumione i sama nie wiedziała, czy to nie jej własny głos. Odezwały się sprężyny łóżka. Odzywały się dla wielu mężczyzn w przeszłości, ale nigdy tak jak teraz.

Jej ciało naprężyło się spazmatycznie. Raz, dwa, trzy razy. Pięć razy. Michael zadrżał, a jego palce zaciśnęły się na wygniecionym prześcieradle. Margritta zaplotła nogi wokół jego pleców, zachęcając go do pozostania w niej. Odnalazła ustami jego usta, rozkoszując się słonym smakiem jego wysiłku.

Przez chwilę odpoczywali, nadal rozmawiając, ale tym razem szeptem. Tematem rozmowy nie był już Londyn czy wojna, ale sztuka miłości. Potem wzięła różę leżącą na nocnym stoliku i zaczęła pieścić jego ciało, przesuwając kwiat w kierunku odradzającej się męskości. „Jakie to piękne urządzenie” - pomyślała, obsypując je pieścotami.

Na prześcieradle leżały płatki róży. Płomień świecy dopalał się. Michael Gallatin leżał na plecach, spał z głową Margritty na swoim ramieniu. Oddychał, wydając z siebie cichy, niski, grzmiący odgłos niczym dobrze pracujący silnik.

Jakiś czas później Margritta obudziła się i pocałowała go w usta. Michael nie zareagował. Spał mocno. Odczuwała przyjemny ból ciała, była rozciągnięta, przebudowana, jakby otrzymała nową sylwetkę. Spojrzała na jego twarz, próbując skojarzyć jej surowy wygląd z zapamiętanymi doznaniem. „Za późno, aby odczuwać prawdziwą miłość” -

pomyślała. Za wielu mężczyzn było dotąd w jej życiu, za wiele statków zawijało nocą do jej portu. Wiedziała, że jest przydatna dla wywiadu jako punkt kontaktowy dla agentów i przystań dla tych, którzy potrzebują schronienia. Oczywiście sama decydowała, z kim ma spać i kiedy, ale było ich w przeszłości tak wielu. Ich twarze zlewały się w jej pamięci w jedną, ale twarz Michaela wyróżniała się, nie był taki jak inni. Nie był taki jak żaden mężczyzna, którego kiedykolwiek znała. „No cóż, można to nazwać młodzieńczym urzeczeniem” - pomyślała. On miał swój własny cel, a ona swój, i nie było prawdopodobne, żeby to był ten sam port.

Wymknęła się z łóżka ostrożnie, żeby go nie obudzić, i nago weszła do dużej garderoby, która oddzielała jej pokój od sąsiedniego. Włączyła światło, wybrała białą jedwabną podomkę, włożyła ją, a następnie wzięła męski szlafrok kąpielowy i nałożyła na stojący w sypialni manekin o żeńskich kształtach. Pomyślała, że przed snem mogłaby sobie kapnąć odrobinę perfum pomiędzy piersi lub rozczesać włosy. Samochód miał przyjechać o siódmej, ale pamiętała, że Michael lubi wstawać o piątej trzydzieści.

Z różą w ręku przeszła do drugiego pokoju. Na stoliku nadal paliła się lampka od Tiffany'ego. Powąchała kwiat, wyczuwając w nim zapachy ich obojga, i włożyła go do wazonu. Postanowiła zasuszyć tę różę pomiędzy kawałkami jedwabiu. Wciągnęła z zadowoleniem głęboki oddech, wzięła do ręki szczotkę i spojrzała w lustro.

Za parawanem ktoś stał. Zobaczyła jego twarz nad górną krawędzią i w ułamku sekundy, zanim opanowało ją przerażenie, uświadomiła sobie, że to klasyczna twarz mordercy: nie wyrażająca żadnych emocji, blada i pozbawiona wszelkich cech szczególnych. Taka twarz łatwo gubi się w tłumie i nie pamięta się jej już chwilę po spotkaniu.

Otworzyła usta, żeby zawołać Michaela.

Rozległo się lekkie parsknięcie i z oka jednego z namalowanych na parawanie pawi trysnął ogień. Kula uderzyła hrabinę w tył głowy, dokładnie tam, gdzie mierzył morderca. Krew, kości i mózg trysnęły na szkło, a głowa Margritty uderzyła w stojące na toalecie flakony z perfumami.

Mężczyzna wyśliznął się zza parawanu szybko jak wąż. Miał na sobie dopasowany czarny ubiór, a w jego okrytej czarną rękawiczką dłoni spoczywał mały pistolet z tłumikiem. Rzucił okiem na metalową, powlekaną gumą kotwiczkę zaczeponą o balustradę tarasu. Przytwierdzona do kotwiczki lina opadała na dziedziniec. Hrabina nie żyła, więc jego zadanie zostało już wykonane, ale wiedział, że w mieszkaniu jest też brytyjski agent. Spojrzał na zegarek; miał jeszcze dziesięć minut do chwili, w której pod bramę podjedzie umówiony samochód. Dość, żeby wysłać tego gnojka do diabła.

Odwiódł kurek pistoletu i ruszył w kierunku garderoby.

"Ach, to tam jest sypialnia tej suki" - pomyślał. Zobaczył dopalającą się świeczkę i kształt ciała pod prześcieradłem. Przyjął postawę strzelecką i wycelował pistolet w głowę leżącej sylwetki, przytrzymując drugą ręką nadgarstek, żeby dokładniej trafić. Tłumik parsknął raz i drugi. Leżący kształt poruszył się, uderzony pociskami.

Wtedy, jak dobry artysta, który musi zobaczyć rezultat swojego działania, zabójca odsunął prześcieradło.

Ale pod nim nie było ciała.

Był tylko manekin krawiecki z dwiema dziurami od pocisków w białym czole.

Coś się poruszyło z prawej strony. Ktoś szybki. Morderca obrócił się w panice, żeby wystrzelić w tym kierunku, ale zanim zdążył nacisnąć spust, został trafiony w plecy krzesłem. Pistolet wypadł mu z dłoni i zniknął w fałdach pościeli na łóżku.

Zabójca był potężnym, niesłychanie umięśnionym mężczyzną; mierzył sześć stóp i trzy cale i ważył dwieście trzydzieści funtów. Wypuścił powietrze z rykiem lokomotywy wypadającej z tunelu. Uderzenie krzesłem oszołomiło go, ale nie zdołało pozbawić przytomności. Wyrwał krzesło z rąk przeciwnika, zanim ten zdążył znowu uderzyć, i kopnął go, trafiając butem w żołądek. Brytyjski agent w brązowym szlafroku jęknął z bólu i uderzył plecami o ścianę, trzymając się za brzuch. Morderca cisnął krzesłem, jednak Michael wyczuł jego zamiar, widząc pierwsze drgnięcie rąk, i zrobił unik. Krzesło uderzyło o ścianę, rozbijając się na kawałki. Wtedy zabójca rzucił się na niego, zaciskając mu palce na gardle i

wciskając je w tchawicę. Czarne plamy pojawiły się przed oczami Michaela. Czuł wokół siebie żelazistą woń krwi i mózgu, woń śmierci Margritty. Ten zapach dotarł do niego sekundę po tym, jak usłyszał śmiercionośny trzask tłumika.

To był zawodowiec, Michael zdawał sobie z tego sprawę. Walczyli jak równy z równym i było oczywiste, że za kilka minut tylko jeden z nich pozostanie przy życiu. „Niech tak będzie” - pomyślał.

Michael szybko poderwał ręce do góry, odciągając dłonie mordercy od swojego gardła, i uderzył nasadą prawej dłoni w nos przeciwnika. Chciał wbić złamane kości w jego mózg, ale morderca był szybki i obrócił głowę, żeby osłabić siłę uderzenia. Mimo to jednak nos napastnika trzasnął i rozpadł się, a jego oczy wypełniły łzy bólu. Cofnął się dwa kroki i wtedy Michael uderzył go w szczękę, najpierw lewą, potem prawą ręką. Dolna warga mordercy pękła, ale chwyciwszy kołnierz szlafroka, podniósł Michaela do góry i rzucił nim o drzwi sypialni.

Michael wypadł na korytarz, uderzając w jedną z wiszących tam zbroi. Spadła ze stojaka z łoskotem. Niemiec wyskoczył za nim, z ust spływała mu krew. Kiedy Michael usiłował się podnieść, trafił go kopniakiem w ramię i odrzucił na osiem stóp wzdłuż holu.

Morderca rozejrzał się; oczy mu zabłyśły na widok kolekcji broni i przez chwilę na jego twarzy pojawił się przeblysłak niemal zachwytu, jakby trafił przypadkiem do świątyni przemocy. Chwycił morgensztern złożony z drewnianej rączki i przytwierdzonego do niej trzystopowego łańcucha, na którego końcu znajdowała się żelazna, najeżona kolcami kula. Zatoczył koło nad głową i ruszył na Michaela.

Średniowieczna broń zapiszczała, kiedy kula runęła w kierunku głowy Michaela, ale on zrobił unik i uskoczył poza jej zasięg. Zanim zdążył stanąć równo na nogach, morgensztern zatoczył kolejne koło i żelazne kolce otarły się o brązowy szlafrok, ale Michael znowu uskoczył, uderzając o zbroję. Upadając, chwycił metalową tarczę i obrócił się w kierunku napastnika. Udało mu się sparować cios wymierzony w jego nogi. Z wypolerowanej metalowej tarczy posypały się iskry; drgania powstałe wskutek uderzenia wstrząsnęły ramieniem Michaela, dochodząc aż do jego poobijanego barku. Morderca znowu uniósł morgensztern z zamiarem zmiażdżenia czaszki przeciwnika, ale wtedy Michael rzucił tarczę. Niemiec, trafiony jej kantem w kolana, stracił równowagę i upadł. Michael uniósł stopę, żeby kopnąć go w twarz, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Gdyby złamał nogę, nie pomogłoby mu to w walce.

Napastnik zaczął się podnosić, nadal trzymając w rękach morgensztern. Michael skoczył do ściany i pochwycił wiszący na hakach miecz. Obrócił się, aby stawić czoło nowemu atakowi.

Niemiec popatrzył na miecz i wybrał dla siebie berdysz, odrzucając trzymaną dotychczas w rękę krótszą broń. Wpatrywali się w siebie przez kilka sekund. Każdy szukał jakiejś luki w obronie przeciwnika. Nagłe Michael natarł mieczem, ale Niemiec sparował cios berdyszem i sam rzucił się na niego z uniesioną bronią. Michael zdążył osłonić się mieczem i berdysz osunął się po ostrzu, krzesząc z niego niebieskie iskry i odłupując klingę u samej gardy. Gallatin został tylko z rękojeścią w dłoni. Morderca zamachnął się berdyszem w kierunku twarzy ofiary, już się ciesząc na trafienie przeciwnika. W ułamku sekundy Michael ocenił sytuację. Wiedział, że krok do tyłu czy na bok będzie kosztował głowę, skoczył więc do przodu, zacieśniając dystans. Zauważył już wcześniej, że ciosy w twarz nie sprawiają na Niemcu większego wrażenia, toteż uderzył go pięścią w odsłoniętą pachę, starając się trafić w punkt, w którym przecinają się żyły i tętnice.

Morderca krzyknął z bólu i jego gotowa do ciosu ręka opadła bezwładnie, wypuszczając broń. Berdysz wbił się na głębokość dwóch cali w wykładaną dębowym drewnem ścianę. Michael uderzył przeciwnika w jego porozbijany nos, aż głowa Niemca odskoczyła do tyłu, i poprawił kolejnym ciosem w czubek podbródka. Faszysta stęknął, wypływając krew, i upadł plecami na balustradę. Michael skoczył za nim, wymierzając cios w gardło zabójcy, ale ten niespodziewanie wyrzucił ręce do przodu i zacisnął potężne dłonie na szyi przeciwnika, podnosząc go do góry.

Michael szarpnął się, ale nie miał żadnego punktu oparcia. Morderca trzymał go niemal na odległość wyciągniętych ramion i było jasne, że za chwilę spróbuje zrzucić go przez balustradę na wykładaną terakotą podłogę niższej kondygnacji. Dwie stopy nad głową Michaela znajdowała się dębowa belka więźby dachowej, gładka i wypolerowana. Krew załomotała mu w głowie, a oleisty pot wystąpił na skórę; gdzieś w głębi ciała coś zaczęło się rozciągać i budzić z mrocznego snu.

Ręce mordercy naciskały tętnice, blokując przepływ krwi. Potrząsały nim, trochę po to, żeby okazać mu swą pogardę, a trochę po to, żeby chwycić go jeszcze pewniej. Koniec był blisko. Niemiec zobaczył, jak oczy przeciwnika zaczynają występować z orbit.

Michael uniósł ręce, drapiąc palcami po dębowej belce. Jego ciało zatrzęśło się gwałtownie, co morderca uznał za zapowiedź nadchodzącej agonii.

Rzeczywiście była to oznaka bliskiej śmierci, ale jego samego.



Prawa ręka Michaela Gallatina zaczęła się skręcać i drgać. Krople potu spłynęły po jego twarzy, na której zarysował się wyraz skrajnego cierpienia. Na zewnętrznej stronie dłoni pojawiły się czarne włosy, pod skórą widać było przesuwające się ścięgna. Rozległ się trzask pękających kości. Jego dłoń zakrzywiła się, palce nabrzmiały, a ciało zaczęło się zagęszczać.

- Giń, ty sukinsynu! - warknął morderca po niemiecku. Zamknął oczy, koncentrując całą siłę na duszeniu przeciwnika. Jeszcze trochę... jeszcze trochę.

Coś poruszyło się pod jego dłońmi. Poczł jakby mrowienie. Ciało przeciwnika było coraz cięższe. Coraz gęstsze. Morderca poczuł ostry, zwierzęcy zapach.

Otworzył oczy i popatrzył na swoją ofiarę.

Trzymał coś, co nie było już człowiekiem.

Krzyknął, próbując przerzucić to coś przez balustradę, ale dwie pary szponów wbiły się w belkę. Monstrum uniosło swą nadal ludzką nogę i uderzyło go kolanem w podbródek tak potężnie, że o mało nie stracił przytomności. Wypuścił tę istotę i nadal wrzeszcząc, tym razem wysokim, piskliwym głosem, zaczął się niezdarnie wycofywać. Przewrócił się przez leżącą na podłodze zbroję i rzucił się na czworaka w kierunku drzwi sypialni. Obejrzał się i zobaczył, że potwór wyciąga szpony z belki i spada na podłogę, trzęsąc się konwulsyjnie i uwalniając z brązowego szlafroka.

Teraz dopiero morderca, jeden z najlepszych w swojej branży, poznał prawdziwy smak strachu.

Potwór stanął pewnie na podłodze i ruszył w jego kierunku. Nie był jeszcze w pełni uformowany, ale jego zielone oczy wbiły się w mordercę, obiecując mu śmierć.

Niemiec chwycił włócznię. Natarł nią na potwora, ale on uskoczył w bok i czubek ostrza trafił go jedynie w zdeformowany policzek, rysując na nim szkarłatną linię. Morderca zaczął kopać rozpaczliwie, chcąc pokonać drzwi do sypialni i dotrzeć do balustrady na tarasie, i wtedy poczuł, jak kły potwora zaciskają się na jego nodze z potworną siłą, która łamie mu kości jak zapalki. Szczęki rozwarły się i natychmiast zacisnęły ponownie na łydce drugiej nogi. Jeszcze raz rozległ się trzask łamanych kości i morderca zwałił się z nóg.

Zaczął przyzywać Boga na pomoc, ale nie było żadnej odpowiedzi, słychać było tylko równy, potężny oddech bestii.

Niemiec podniósł ramiona, aby się nimi osłonić, ale ludzkie ręce nie mogły tu nic zdziałać. Bestia skoczyła na niego, przybliżając mokry pysk z patrzącymi wściekle oczami wprost do twarzy. Potem przesunęła pysk w kierunku jego klatki piersiowej, odsłaniając błyszczące kły. Morderca poczuł uderzenie jak młotem w mostek, potem jeszcze jedno, jakby był rozłupywany na dwoje. Bestia zaczęła drapać pazurami, spod których trysnęła czerwona

krew. Zabójca wykręcał się i walczył, jak tylko był w stanie, ale jego najlepsze umiejętności nic już nie znaczyły. Szpony bestii wbiły się w jego płuca, rozerwały pulsującą tkankę i zagłębiły w ciało. Potwór wetknął pysk w ranę i odnalazł pulsujące trofeum. Dwoma szarpnięciami łba wyrwał serce jak przejrzały, ociekający sokiem owoc i rozduśił je w szczękach.

Oczy mordercy były nadal otwarte, ale ciałem miotają już drgawki. Cała krew wypływała na zewnątrz, za mało zostało jej w ciele, by podtrzymać życie mózgu. Mężczyzna jęknął przeciągle i przeraźliwie, a bestia podniosła głowę i zawtórowała mu głosem, który zadźwięczał w całym domu jak żałobny dzwon.

Następnie wcisnęła pysk w dziurę ziejącą w klatce piersiowej zabitego i zaczęła ucztę, z wściekłością wgrzyzając się w tajemnice wnętrza człowieka.

Później, kiedy światła Kairu zaczęły już przygasać i nad piramidami ukazał się pierwszy blask wschodzącego słońca, w apartamencie hrabiny Margritty coś o postaci ni to zwierzęcia, ni to człowieka zatrzęsło się spazmatycznie, targane torsjami. Z pyska bestii wydobyły się czerwone strzępy i morze krwi, która przepłynęła pod balustradą i zaczęła ściekać przez krawędź tarasu na płytki podłogi niższej kondygnacji. Wymiotująca naga bestia skuliła się na podłodze w pozycji płodowej, drżąc niepowstrzymanie, i zaczęła łkać. Nikt nie słyszał jej płaczu w tym domu umarłych.

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

**ŚWIĘTO WIOSNY**

Znowu obudził go ten sam sen. Leżał w ciemności, słuchając wycia wiatru za oknami i stukania okiennic. Śniło mu się, że jest wilkiem, któremu się śni, że jest człowiekiem, któremu się śni, że jest wilkiem, któremu się coś śni. W tym labiryncie snów były jakieś fragmenty wspomnień, przemieszczające się jak elementy rozrzuconej układanki: utrzymane w tonacji sepii twarze jego ojca, matki i starszej siostry, które wyglądały jak twarze z nadpalonej fotografii. Pałac z białego ciosanego kamienia otoczony gęstym dziewiczym lasem, w którym wycie wilków witało księżyc. Przejeżdżający pociąg ciągniony przez parowóz, jaskrawe światło reflektora i młody chłopiec biegnący wzdłuż torów wraz z pociągiem coraz szybciej i szybciej w kierunku wlotu tunelu.

Z układanki pamięci wyłoniła się stara, stwardniała i porośnięta białą brodą twarz, której usta szepnęły: „Żyj wolny”.

Przykucnąwszy zauważył, że nie leży w łóżku, ale na zimnej kamiennej podłodze obok kominka. Kilka nie dopalonych kawałków drewna żarzyło się w ciemności, czekając na rozdmuchanie ognia. Wstał i podszedł do wysokich wykuszowych okien, z których roztaczał się widok na dzikie wzgórza północnej Walii. Jego muskularne ciało było nagie. Za oknem szalał marcowy wiatr i fale deszczu ze śniegiem uderzały co chwila w szybę przed jego twarzą. Patrzył z ciemności wnętrza w ciemność na dworze i wiedział, że jada, że przyjada.

Długo już zostawiali go w spokoju. Hitlerowcy byli spychani w kierunku Berlina przez żądną zemsty rosyjską nawałnicę, ale Europa Zachodnia, osłonięta przez Wał Atlantycki, nadal znajdowała się pod panowaniem Hitlera. Teraz, w roku 1944, zaczynały się rozgrywać wielkie wydarzenia - wydarzenia, które mogły mieć wpływ na zwycięstwo, a zarazem niosły ze sobą ogromne ryzyko klęski. Wiedział, że klęska znacząłaby umocnienie nazistowskiego panowania nad Europą Zachodnią i być może nasilenie oporu hitlerowców przeciwko wojskom rosyjskim, a także bezlitosną walkę o terytorium pomiędzy Berlinem a Moskwą. Mimo że ich szeregi się przerzedziły, naziści nadal byli najbardziej zdyscyplinowanymi mordercami na świecie. Nadal też byli w stanie powstrzymać rosyjskiego olbrzyma i ruszyć w kierunku stolicy Związku Radzieckiego. Ojczyzny Michaiła Gałatinowa.

Teraz jednak nazywał się Michael Gallatin i mieszkał w innym kraju, mówił po angielsku, myślał po rosyjsku, a rozumował w języku starszym niż którykolwiek z tych ludzkich języków.

Zbliżali się. Czuł ich coraz bliżej z taką samą pewnością, z jaką czuł wiatr kluczący przez las sześćdziesiąt jardów od domu. Zgiełk świata zbliżał się z nimi do tego domu na omijanym przez większość ludzi skalistym wybrzeżu. Był tylko jeden powód, dla którego mogliby podążać ku niemu.

Potrzebowali go.

„Żyj wolny” - pomyślał, wykrzywiając usta w gorzkim uśmiechu. Wolność była iluzją, którą odczuwał w zaciszu owego domu stojącego na smaganym przez sztormy skrawku łądu. Najbliższa wieś, Endore's Rill, znajdowała się piętnaście mil na południe. W jego pojęciu istotną częścią wolności była izolacja od innych, ale teraz, kiedy przysłuchiwał się na falach krótkich transmisjom pomiędzy Londynem a Europą i wyłapywał pośród trzasków zakłóceń głosy podające zaszyfrowane wiadomości, rozumiał coraz lepiej, że został zniewolony przez więzi panujące w ludzkim społeczeństwie.

Nie miał więc zamiaru odmawiać wpuszczenia ich, kiedy już się pojawiają; był człowiekiem i oni też byli ludźmi. Wysłucha tego, co mają do powiedzenia, może nawet przez chwilę się nad tym zastanowi, a potem odmówi. Będą mieć za sobą długą podróż po ciężkich drogach, więc być może nawet zaoferuje im nocleg. On sam jednak skończył już służbę dla swojej przybranej ojczyzny i teraz sprawa należała do młodych żołnierzy z wysmarowanymi błotem twarzami i z palcami zaciskającymi się nerwowo na językach spustów. Generałowie i dowódcy mogą rzucać rozkazy, ale to młodzi giną, aby je wypełnić. Tak było od wieków, a przyszłe wojny też nie będą się różniły pod tym względem. Taka jest natura człowieka.

Nie można było powstrzymać ich przed przybyciem do jego domu. Mógłby zamknąć bramę na końcu podjazdu, ale znaleźliby na to jakiś sposób, przeszliby przez nią górą, albo przecięliby płot z drutu kolczastego i wkroczyli do środka. Brytyjczycy mieli wiele doświadczenia w przecinaniu drutów kolczastych. Najlepiej więc było zostawić bramę nie zamkniętą i czekać na nich. Ich przyjazd mógł nastąpić jutro albo pojutrze, albo w następnym tygodniu. Kiedykolwiek miałyby jednak nastąpić, to on i tak będzie na nich czekał.

Wsluchiwał się przez chwilę w pieśń wiatru, lekko przechylając głowę na bok. Potem wrócił przed kominek i położył się na kamieniach, zaplatając ręce wokół kolan. Postanowił odpocząć.

- Ale wybrał cholerne miejsce na dom, prawda? - powiedział major Shackleton, zapalając cygaro. Opuścił po swojej stronie szybę w oknie czarnego forda, aby dym ulatniał się na zewnątrz. Czubek cygara jarzył się w posępnym półmroku późnego popołudnia. - Wy, Brytyjczycy, lubicie taką pogodę, co?

- Niestety, nie mamy żadnego wyboru poza tym, żeby ją polubić - odpowiedział kapitan Humes-Talbot. Uśmiechnął się jak najuprzejmiej, rozdymając przy tym swe arystokratyczne nozdrza. - Przynajmniej musimy ją akceptować - dodał.

- Słusznie - odparł Shackleton, amerykański oficer o twarzy wyglądającej jak obuch topora. Wyrzwał na zewnątrz na szare, niskie chmury i siąpiącą z nich nieprzyjemną mżawkę. Nie widział już słońca od ponad dwóch tygodni i od ciągłego chłodu czuł ból w kościach.

Samochód, prowadzony przez starszego, noszącego się sztywno wojskowego kierowcę, który siedział oddzielony od pasażerów szklaną przegrodą, wiózł ich powoli wzdłuż wysypanej żwirem wąskiej drogi, wijącej się pomiędzy ciemnymi, spowitymi w chmury wzgórzami i kępami gęstego sosnowego lasu. Ostatnia wieś, przez którą przejeżdżali, Houlett, została dwanaście mil za nimi.

- To dlatego jesteście tacy bladzi - dodał Shackleton z wdziękiem słońca w składzie porcelany. - Wszyscy tu wyglądają jak upiory. Jakbyś kiedyś przyjechał do Arkansas, tobym ci pokazał, jak wygląda wiosenne słońce.

- Nie jestem pewien, czy moje obowiązki mi na to pozwolą - odparł Humes-Talbot i opuścił o półtora obrotu szybę po swojej stronie.

Był bladym i szczupłym dwudziestoosmioletnim oficerem sztabowym, którego najbliższym spotkaniem ze śmiercią był skok na głowę do Kanału w Portsmouth, kiedy siedemdziesiąt stóp nad nim przelatywał z wyciem messerschmitt. Wydarzyło się to jeszcze w sierpniu 1940 roku; teraz żadne samoloty Luftwaffe nie ośmielały się już przekraczać kanału La Manche.

- Więc Gallatin zasłużył się w Afryce Północnej? - powiedział Shackleton, trzymając w zębach cygaro. - To było dwa lata temu. Jeżeli od tamtego czasu nie jest w służbie, to dlaczego wasi ludzie uważają, że może sobie poradzić z tym zadaniem?

Humes-Talbot popatrzył na niego spokojnie spoza szkieł okularów.

- Ponieważ major Gallatin jest zawodowcem.

- Ja też, synu - odparł Shackleton, który był starszy od Brytyjczyka o dziesięć lat. - Ale to nie znaczy, że jestem w stanie skakać ze spadochronem nad Francją. A nie siedziałem na tyłku przez ostatnie dwadzieścia cztery miesiące. Mogę ci to, cholera, przysiąc.

- Tak, proszę pana - zgodził się Brytyjczyk tylko dlatego, że tak nakazywały zasady dobrego wychowania - ale wasi... mhm... ludzie poprosili o pomoc w tej sprawie i ponieważ jest to korzystne dla obydwu stron, moi zwierzchnicy postanowili...

- Tak, tak, to stara śpiewka. - Shackleton machnął ręką, przerywając Brytyjczykowi. - Mówiłem moim, że nie jestem pod wrażeniem osiągnięć Gallatina, przepraszam, majora Gallatina. Brak mu doświadczenia bojowego. Ale oni życzą sobie, żebym wydał opinię na podstawie osobistego spotkania. W Stanach nie pracujemy w ten sposób. Badamy dossier takiej osoby.

A u nas bierzemy pod uwagę charakter - odparł Humes-Talbot z chłodem w głosie - proszę pana.

Shackleton uśmiechnął się lekko. No, wreszcie udało mu się wydobyć jakąś reakcję z tego sztywniaka.

- Wasz wywiad mógł sobie polecić Gallatina, ale jeśli chodzi o mnie, to mi to lata koło dupy. Och, pardon, przepraszam za mój wykwintny język. - Parsknął dymem z nosa, aż mu się zaczerwieniły oczy. - O ile wiem, on nie nazywa się naprawdę Gallatin. Kiedyś nazywał się Michaił Gałatinow i jest Rosjaninem, prawda?

- Urodził się w Petersburgu w 1910 roku - odpowiedział ostrożnie Brytyjczyk. - W 1934 roku uzyskał obywatelstwo Wielkiej Brytanii.

- Tak, ale ma rosyjską krew. Nie można wierzyć Rosjanom. Piją za dużo wódki. - Strząsnął popiół do popielniczki przymocowanej do oparcia siedzenia kierowcy, ale trafił niezbyt dokładnie i większość popiołu spadła na jego wypolerowane buty. - Więc dlaczego wyjechał z Rosji? Może był tam ścigany za jakieś przestępstwo?

- Ojciec majora Gallatina był generałem i przyjacielem cara Mikołaja II - odparł Humes-Talbot, utkwivszy wzrok w wijącą się w żółtym blasku reflektorów drogę. - W maju 1918 roku generał Fiodor Gałatinow, jego żona i dwunastoletnia córka zostali rozstrzelani przez bolszewickich ekstremistów. Młody Gałatinow uciekł.

- No i kto go przywiózł do Anglii? - Shackleton nie dawał za wygraną.

- Sam przyjechał jako marynarz na statku - odparł kapitan. - W 1932 roku.

Shackleton zamilkł, zaciągając się cygarem.

- Momencik, mówisz, że udało mu się ukrywać w Rosji przed plutonem egzekucyjnym, odkąd miał osiem lat, aż do czasu, gdy skończył dwadzieścia dwa lata? Jak on tego dokonał?

- Nie wiem - przyznał Humes-Talbot.

- Nie wiesz? A ja, cholera, myślałem, że wy, chłopaki, wiecie wszystko o Gałatinowie. Nie sprawdzaliście jego życiorysu?

- Jest w nim pewna luka - powiedział Humes-Talbot, dostrzegając równocześnie słabe światła przeświecające przez sosny. Droga zakręcała w tym miejscu, podążając w kierunku świateł. - Te informacje są utajnione. Mają do nich dostęp tylko najwyżej postawione figury.

- Tak, więc to mi już wystarczy, żebym powiedział, że go nie chcę w tej robocie.

- Sądzę, że major Gallatin podał nazwiska osób, które pozostały lojalne wobec poprzednich władz i pomogły mu przeżyć. Ujawnienie tych nazwisk może być... eee... niezbyt rozsądne.

Z mżawki zaczęły się wynurzać niewielkie domki i skupione zabudowania wsi. Na niewielkiej tablicy zawieszanej na słupie widniał napis: „Endore's Rill”.

- Pozwolę sobie przekazać panu pewną plotkę - powiedział Humes-Talbot, mając ochotę odbić sobie na Amerykaninie jego żarty. - O ile wiem, ten szalony mnich Rasputin był w Petersburgu w 1909 i 1910 roku i miał okazję utrzymywać... mhm... kontakty z wieloma damami z dobrych domów. Jedną z tych dam, jak słyszałem, była Jelena Gałatinowa. - Popatrzył Shackletonowi prosto w oczy. - Rasputin mógł być prawdziwym ojcem Michaela Gallatina.

Shackleton zakasłał, zakrztusiwszy się dymem z cygara. W tym momencie Mallory, kierowca, zastukał w oddzielającą go od pasażerów szklaną przegrodę. Samochód zwolnił, a na przedniej szybie pokazał się spychany przez wycieraczki śnieg z deszczem. Kiedy Humes-Talbot opuścił szklaną przegrodę, Mallory powiedział ze sztywnym oksfordzkim akcentem:

- Przepraszam pana, ale sądzą, że powinniśmy się zatrzymać i zapytać o drogę. To może być odpowiednie miejsce - wskazał oświetloną światłami latarni tawernę, która wynurzyła się z półmroku po prawej stronie.

- Rzeczywiście, dobry pomysł - zgodził się oficer i znowu podniósł szybę, a Mallory podjechał wprost pod drzwi tawerny. - Wrócę za chwilę - powiedział Humes-Talbot, podciągając kołnierz płaszcza i otwierając drzwi samochodu.

- Poczekaj na mnie - rzucił Shackleton. - Przydałby mi się łyk whisky na rozgrzewkę.

Zostawili Mallory'ego w samochodzie i po kilku kamiennych stopniach podszli do drzwi, nad którymi wisiał na łańcuchach szyld tawerny. Shackleton, podniósłszy głowę,



zobaczył namalowaną owcę i nazwę lokalu: „Barani Kotlet”. Wewnątrz w żeliwnym piecyku palił się ogień, wydzielając słodkawy zapach torfu, a pomieszczenie oświetlały lampy naftowe, zawieszane na kołkach wystających z drewnianych ścian. W głębi tawerny siedziało przy stole trzech mężczyzn i popijało piwo imbirowe. Podnieśli głowy, zobaczywszy wchodzących oficerów.

- Witam panów - powiedziała z wyraźnym walijskim akcentem atrakcyjna czarnowłosa barmanka. Z naturalną wprawą szybko otaksowała gości swymi jasnoniebieskimi oczami. - Czym mogę panom służyć?

- Whisky, kochanie - powiedział Shackleton, szczerząc zęby, w których trzymał cygaro. - Najlepszą trucizną, jaką masz.

Kobieta wyjęła korek z gąsiorka i nalała mu pełną szklanę.

- To jedyna trucizna, jaką mamy, jeżeli nie brać pod uwagę piwa. - Obdarzyła Shackletona cierpkim, wyzywającym uśmiechem.

- Dla mnie nic, ale chciałbym zasięgnąć pewnych informacji - powiedział Humes-Talbot, rozgrzewając dłonie przy piecyku. - Szukamy człowieka, który mieszka tu niedaleko. Nazywa się Michael Gallatin. Czy...

- Och, tak - przerwała mu z błyskiem w oku - znam Michaela.

- Gdzie on mieszka? - zapytał Shackleton. Pociągnął łyk whisky i poczuł nagle, jakby ktoś mu przypalał gardło gorącym żelazem.

- Niedaleko, ale nie przyjmuje gości - powiedziała, przesuwając ścierką po gąsiorku. - Nie za bardzo.

- On się nas spodziewa, kochanie. Urzędowa sprawa.

Zamilkła na chwilę, patrząc na ich błyszczące guziki.

- Pojedźcie drogą ze wsi, przez osiem mil jest dobra, a potem zamienia się w drogę polną czy błotną, to zależy. Jeszcze dalej rozdziela się na dwie. Odnoga w lewo jest mniej przejezdna i ona właśnie prowadzi do jego domu. Ale czy zastaniecie bramę otwartą czy zamkniętą, to będzie zależało już od niego.

- Otworzymy ją, jeżeli będzie zamknięta - powiedział Shackleton. Wyjął cygaro z ust i uśmiechając się do kobiety, podniósł szklanę whisky.

- Do dna! - rzuciła barmanka.

Whisky wlała mu się do gardła niczym lawa i Shackleton poczuł, że nogi się pod nim uginają. Miał wrażenie, jakby połykał kawałki szkła albo żyłki. Pot wystąpił mu na całym ciele. Powstrzymał kaszel, gdyż barmanka obserwowała go, uśmiechając się z miną wtajemniczonej. Za cholerę nie mógł dopuścić do tego, żeby paść na dupę przed kobietą.

- Jak ci smakuje, kochanie? - zapytała niewinnym tonem. Shackleton bał się włożyć cygaro z powrotem do ust, żeby przypadkiem opary alkoholu nie zapaliły się i nie urwały mu głowy. Palące łyzy napłynęły mu do oczu, ale zacisnął zęby i z hukiem postawił szklankę na kontuarze.

- Potrzeba... jej leżakowania - zdołał wykrztusić. Zaczerwienił się, słysząc śmiech siedzących przy stole mężczyzn.

- Zgadza się - powiedziała delikatnym głosem, który brzmiał jak szelest jedwabnej zasłony. Shackleton sięgnął po portfel, ale powstrzymała go. - To na koszt firmy, fajny z ciebie facet.

Uśmiechnął się z miną bardziej chorą niż uprzejmą, a Humes-Talbot chrząknął i powiedział:

- Dziękujemy za informacje i gościnność, proszę pani. Pójdziemy, majorze?

Shackleton mruknął coś, co miało prawdopodobnie wyrażać zgodę, i ruszył za Humes-Talbotem do drzwi, czując, że nogi ma jak z waty.

- Majorze, kochanie! - zawołała barmanka, zanim jeszcze opuścili lokal. Shackleton obejrzał się, chociaż czuł jedynie chęć wyjścia z tego duszącego gorąca. - Możesz podziękować Michaelowi za drinka, kiedy go zobaczysz. To jego prywatne zapasy. Nikt inny tego by nie pił.

Shackleton wyszedł na zewnątrz „Baraniego Kotleta”, czując się sam jak barani kotlet.

Ruszyli drogą wiodącą przez Endore's Rill i zanim jeszcze opuścili wieś, zapadły całkowite ciemności. Jechali pomiędzy targanymi przez wichur zagajnikami i górami wyrzeźbionymi palcami czasu. Siedzący z nieco poźółkłą twarzą Shackleton zmusił się do dokończenia cygara i wyrzucił resztkę przez okno. Pociągnęło za sobą ogon iskier jak spadająca kometa.

Mallory zjechał z głównej drogi, która była po prostu pełnym kałuż szlakiem dla wozów konnych, i wjechał w jeszcze gorszą, odchodzącą w lewo. Osie samochodu zazgrzytały, kiedy pojazd zaczął się przebijać przez dziury w drodze, a sprężyny w siedzeniach zapiszczały jak zawory wypuszczające nadmiar pary. Shackleton zaczął podskakiwać i przewracać się na boki, targany wstrząsami samochodu. Młody brytyjski kapitan, nawykły do niewygodnych dróg, zacisnął rękę na uchwycie ponad drzwiami, unosząc się nieco znad siedzenia.

- On... nie chce... żeby go znaleźć - ledwie wydobył z siebie Shackleton. Żaden czołg, którym kiedykolwiek jeździł, nie trząsał tak jak ten ford.

„Niech się Bóg zmiłuje nad moją kością ogonową” - pomyślał.

Droga ciągnęła się jak ścieżka tortur przez gęsty zielony las. W końcu, po dwóch lub trzech jeszcze milach okropnej drogi, światła reflektorów wydobyły z ciemności wysoką żelazną bramę. Była szeroko otwarta, więc wjechali na teren posiadłości. Za bramą błotnista droga poprawiła się, ale nie zanadto. Co chwila wpadali w jakiś wybój i wtedy Shackleton szcząkał zębami tak mocno, że gdyby nie cofnął języka, to mógłby go sobie odgryźć. Wiatr mknął przez las po obu stronach drogi, miotając śniegiem. Shackleton poczuł nagłą nieprzepartą tęsknotę za Arkansas.

Niespodziewanie Mallory nacisnął na pedał hamulca.

- Och, co to?! - wykrzyknął Humes-Talbot, patrząc przed maskę samochodu. W świetle reflektorów stały na drodze trzy wielkie psy, wiatr targał ich futrem. - O Boże! - Humes-Talbot zdjął okulary, pośpiesznie przetaił szkła i nałożył je na powrót. - Zdaje się, że to wilki.

- Zamknij porządnie drzwi! - wrzasnął Shackleton.

Ford toczył się w żółtym tempie. Major uderzył pięścią w blokadę drzwi po swojej stronie. Zwierzęta podniosły pyski, zwęszywszy woń rozgrzanego metalu i paliwa, i zniknęły w ciemnej ścianie drzew po lewej stronie drogi. Ford znowu przyśpieszył. Pokryte starczymi plamami dłonie Mallory'ego pewnie spoczywały na kierownicy. Przejechali długi łuk drogi przez las i wjechali na prowadzący do domu podjazd wybrukowany polnymi kamieniami.

Przed nimi stał dom Michaela Gallatina.

Wyglądał jak kościół zbudowany z ciemnoczerwonego kamienia spojonego białą zaprawą. Shackleton pomyślał, że to kiedyś musiał być kościół, ponieważ wąska wieża budynku kończyła się białą iglicą i biegnącym dookoła balkonem. Ale najbardziej zadziwiało go to, że w budynku była elektryczność. Światło wylewało się z okien na parterze i odbijało w niebieskich i czerwonych szybach witraży umieszczonych wysoko na wieży. Na prawo od domu stał mniejszy budynek z kamienia, przypuszczalnie jakiś warsztat czy garaż. Pokonawszy kolisty podjazd, Mallory zatrzymał samochód i zaciągnął dźwignię ręcznego hamulca. Zapukał w przegrodę i kiedy Humes-Talbot ją opuścił, zapytał z nutką niepokoju w głosie:

- Czy mam poczekać tutaj, proszę pana?

- Tak, na razie tak. - Humes-Talbot wiedział, że stary szofer został im przydzielony spośród kierowców pracujących dla wywiadu i nie ma potrzeby mówienia mu więcej, niż to jest absolutnie konieczne.

Mallory skinął głową gestem posłusznego sługi i wyłączył silnik i światła.

- Majorze... - Humes-Talbot wskazał ręką w kierunku domu.

Obydwaj ruszyli od samochodu przez tnący po twarzach mokry śnieg, wtulając głowy w ramiona. Wszedłszy po trzech kamiennych schodkach, stanęli przed odrapanymi dębowymi drzwiami, na których wisiała kołatka - jakiś stwór z zaciśniętą w zębach kością, wykonany z pozieleniałego brązu. Humes-Talbot ujął w drżącą dłoń kość, podnosząc ją razem z dolną szczęką bestii, i zastukał w drzwi.

Zgrzytnęła zasuwka. Shackleton czuł, jak mu się gotuje w żołądku od piekielnego napoju, który dostał w tawernie. Drzwi otworzyły się gładko na dobrze naoliwionych zawiasach i w padającym z wewnątrz świetle stanął ciemnowłosy mężczyzna.

- Proszę - usłyszeli głos Michaela Gallatina.

Wewnątrz panowało ciepło. Podłogi wyłożone były nasyconym olejem drewnem dębowym, a w głównym pomieszczeniu, o wysokim, podtrzymywanym przez drewniane belki stropie, szalał ogień w kominku z nie ociosanych, grubych kamieni. Kapitan Humes-Talbot wręczył Michaelowi list polecający, podpisany przez pułkownika Valentine'a Viviana z Biura Kontroli Paszportów w Londynie.

Shackleton podszedł od razu do kominka, żeby ogrzać dłonie. - Fatalna pora na takie wyprawy - powiedział, masując palce. - Nie mógł pan wybrać bardziej odludnego miejsca?

- Nie mogłem - odparł cicho Michael, czytając list. - Gdybym chciał przyjmować nieproszonych gości, kupiłbym dom w Londynie.

Shackleton poczuł, że krew znów zaczyna krążyć mu w dłoniach, odwrócił się więc od kominka, by lepiej się przyjrzeć człowiekowi, do którego jechał tak długo. Michael Gallatin ubrany był w czarny sweter z podciągniętymi rękawami i stare, wyblakłe spodnie wojskowe. Na nogach miał sfatygowane brązowe pantofle. Jego gęste czarne włosy, przyprószone na skroniach siwizną, były ostrzyżone na wojskową modłę: krótko po bokach i z tyłu. Twarz miał pokrytą ciemnym, dwu-, a może trzydniowym zarostem. Na lewym policzku widniała blizna, która zaczynała się tuż pod okiem i prowadziła ku górze, znikając we włosach. „Blizna od noża - pomyślał major. - Niewiele brakowało. Więc Gallatin ma trochę doświadczenia w bezpośredniej walce. No, ale co z tego?”

Shackleton przypuszczał, że gospodarz mierzy około sześciu stóp i dwóch cali wzrostu, no, może ćwierć cala więcej, i że musi ważyć około stu dziewięćdziesięciu czy też stu dziewięćdziesięciu pięciu funtów. Był barczysty i wyglądał na sprawnego fizycznie, jak futbolista czy też gracz w rugby, czy jak tam to ci Angole nazywają. Gallatin emanował jakąś spokojną siłą, jak potężna sprężyna, która została ściśnięta i teraz tylko czeka na rozprostowanie. Ale i tak nie znaczyło to, że nadawał się do misji w okupowanej przez Niemców Francji. Gallatin potrzebował słońca; wyglądał, jakby się zbudził ze snu zimowego, prawdopodobnie nie widział słońca od pół roku. „Och, do diabła - pomyślał major - pewnie w tym przeklętym kraju nie ma przez całą zimę nic oprócz ponurej poświaty”. Zima na szczęście już się kończyła, do zrównania dnia z nocą pozostały tylko dwa dni.

- Czy wie pan, że ma pan wilki na swoim terenie? - zapytał Shackleton.

- Tak - odpowiedział Michael, składając list. Już od dawna nie miał informacji od pułkownika Viviana. Musiało to więc być coś ważnego.

- Na pana miejscu nie spacerowałbym po dworze - ciągnął Shackleton. Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni, wyjął cygaro i przyciął je małymi cążkami. Potem zapalił zapałkę, potarłszy ją o kamienie kominka. - Te sukinsyny lubią mięso.

- To suki - powiedział Michael, wsuwając list do kieszeni.

- Mniejsza z tym. - Shackleton zapalił cygaro, zaciągnął się głęboko i wypuścił niebieski dym. - Jak się pan chce trochę rozerwać, to powinien pan wziąć strzelbę i zapolować na wilki. Wie pan chyba, jak się obchodzić ze strzelbą?

Przerwał, ponieważ Michael Gallatin stanął nagle tuż przed nim, wbijając w niego lodowate spojrzenie jasnozielonych oczu. Podniósł rękę, chwycił cygaro i wyrwał je majorowi z ust, po czym złamał na pół i wrzucił do kominka.

- Majorze Shackleton - powiedział z nikłym śladem rosyjskiego akcentu, osłabionego przez chłodną brytyjską wymowę. - To jest mój dom. Żeby tu palić, powinien pan zapytać mnie o pozwolenie. A kiedy pan zapyta, powiem „nie”, rozumiemy się?

Shackleton się zaczerwienił.

- To było... to było cygaro za pięćdziesiąt centów - wyrzucił z siebie.

- Więc pojedyncze obłoczki dymu warte są pół centa - powiedział Michael, zatrzymując jeszcze przez kilka sekund wzrok na twarzy majora, aby się upewnić, że został zrozumiany. Następnie znowu zwrócił się do młodego kapitana: - Jestem na emeryturze, oto moja odpowiedź.

- Ale... proszę pana... jeszcze pan nie słyszał, co mamy do powiedzenia.

- Domyślam się - odrzekł Michael i podszedł do przeszklonych drzwi, patrząc na rysującą się w ciemności linię lasu. Wyczuł zapach swojej starej whisky wydzielający się ze skóry Shackletona i uśmiechnął się lekko, wiedząc, w jaki sposób Amerykanin, nawykły do rozcieńczanych alkoholi, musiał zareagować. „Brawo, Maureen” - pochwalił w myślach barmankę. - Chodzi o wspólne przedsięwzięcie rozpoczęte przez aliantów. Gdyby to nie było tak ważne dla Amerykanów, to major tutaj by nie przyjechał. Słuchałem transmisji radiowych idących przez Kanał. Wszystkich tych kodów, wszystkich wiadomości o kwiatach dla Rudy'ego i skrzypcach, które muszą być dostrojone. Nie rozumiem większości tych informacji, ale rozumiem brzmienie głosów, słyszę wielkie podniecenie i dużo strachu. Moim zdaniem wskazuje to na bliską inwazję na Wał Atlantycki. - Spojrzał na Humes-Talbota, który nie ruszył się do tej pory z miejsca i nie zdjął mokrego płaszcza. - Sądzę, że za jakieś trzy, cztery miesiące. Kiedy na Kanale zapanuje łagodniejsza, letnia pogoda. Jestem pewien, że ani pan Churchill, ani Roosevelt nie mają ochoty wysadzić na opanowane przez Niemców plaże armii cierpiących na morską chorobę. Więc któryś dzień czerwca czy lipca byłby

właściwą datą. Sierpień to za późno, Amerykanie musieliby walczyć posuwając się na wschód w najcięższych miesiącach zimowych. Jeżeli natomiast zajmą przyczółki w czerwcu, będą w stanie stworzyć linie zaopatrzenia i wdrzeć się w pozycje obronne na granicy Niemiec przed pierwszym śniegiem. Czy jestem blisko? - Uniósł brwi pytająco. Shackleton głośno odetchnął.

- Jesteś pewien, że ten facet jest po naszej stronie? - zapytał Humes-Talbota.

- Proszę mi pozwolić na jeszcze trochę domysłów - powiedział Michael, przenosząc wzrok na młodego kapitana i z powrotem na Shackletona. - Żeby odnieść sukces, inwazja musi być poprzedzona zakłóceniem niemieckiego systemu komunikacyjnego, wysadzeniem w powietrze magazynów z amunicją i paliwem, krótko mówiąc - atmosferą piekła na ziemi. Ale chodzi o ciche piekło z zimnymi płomieniami. Sądzę, że sieć ruchu oporu będzie miała pracowitą noc przy wysadzaniu torów kolejowych i może jest tu jakaś rola do odegrania dla Amerykanów. Atak przeprowadzony przez spadochroniarzy mógłby wywołać takie zamieszanie, że Niemcy zaczęliby biegać jednocześnie we wszystkie strony. - Michael podszedł do kominka, stanął obok majora i wystawił dłonie na działanie ciepła. - Sądzę, że to, czego ode mnie oczekujecie, ma jakiś związek z inwazją. Oczywiście nie wiem, gdzie ona nastąpi ani kiedy, i nie chcę znać tych informacji. Musicie też zdawać sobie sprawę, że dowództwo niemieckie oczekuje próby inwazji w ciągu nadchodzących pięciu miesięcy. Ponieważ Sowieci zbliżają się ze wschodu, Niemcy wiedzą, że nadszedł odpowiedni czas, przynajmniej z punktu widzenia aliantów, na atak z zachodu. - Zatarł ręce. - Mam nadzieję, że moje wnioski nie mijają się zanedo z prawdą?

- Nie, proszę pana, to strzał w dziesiątkę - powiedział Humes-Talbot.

Michael skinął głową.

- Ma pan jakichś szpiegów w Londynie? - zapytał Shackleton.

- Mam oczy, uszy i rozum. Więcej nie potrzebuję.

- Proszę pana... - Humes-Talbot, stojący do tej pory niemal na baczność, nieco się odprężył i dał krok do przodu. - Czy możemy... ee... przynajmniej pokrótce... wprowadzić pana w istotę tej misji?

- Marnowałby pan czas swój i majora. Jak już powiedziałem, jestem na emeryturze.

- Na emeryturze po jakimś jednym wszawym zadaniu w Afryce Północnej! - wybuchnął Shackleton. - Więc był pan bohaterem w czasie bitwy pod Al-Alamajn, tak? - W drodze z Waszyngtonu Shackleton czytał dokumenty dotyczące służby Michaela. - Dostał się pan do kwatery niemieckiego dowództwa i wykraść plany rozmieszczenia wojsk. Co za osiągnięcie! Jak się pan chyba orientuje, majorze, wojna jeszcze trwa i jeżeli tego lata nie

uchwycimy porządnie przyczółka w Europie, to możemy dostać takiego kopa, że wylądujemy w morzu i przez długi jeszcze czas nie będziemy mogli powtórzyć inwazji.

Michael spojrział na niego z takim żarem, że major poczuł się, jakby zaglądał w pokryte zielonym szkłem wizjery pieca hutniczego.

- Majorze Shackleton - zabraniam panu mówić o Afryce Północnej - powiedział Gallatin cicho, ale z groźbą w głosie. - Tam... zawiodłem przyjaciela. - Zamrugał oczami i na chwilę jego spojrzenie złagodniało. Zaraz jednak odzyskało pełną intensywność. - Afryka Północna to zamknięty temat.

„Do diabła z nim” - pomyślał Shackleton. Jakby mógł, to rozdeptałby Gallatina.

- Chodziło mi tylko o to...

- Nie interesuje mnie, o co panu chodziło - odparł Michael, patrząc na Humes-Talbota. Kapitan wyraźnie chciał zabrać głos, więc Gallatin westchnął i rzekł: - No, w porządku, posłuchajmy, co pan ma do powiedzenia.

- Tak jest, czy mogę? - zapytał kapitan, wskazując swój płaszcz.

Michael wyraził zgodę ruchem ręki i kiedy obydwaj oficerowie zdejmowali okrycia, podszedł do obitego skórą krzesła z wysokim oparciem i usiadł, patrząc w płomienie.

- To problem dotyczący spraw bezpieczeństwa - powiedział Humes-Talbot, zbliżając się do kominka, żeby móc obserwować twarz Gallatina. Wyrażała absolutny brak zainteresowania. - Oczywiście, jak pan zauważył, ma on związek z planami inwazji. Wraz z Amerykanami chcemy wyjaśnić wszystkie niejasności przed pierwszym czerwca, na przykład wydostać tych agentów z Francji i Holandii, których bezpieczeństwo może być zagrożone. W Paryżu przebywa amerykański agent...

- Ma pseudonim „Adam” - wtrącił Shackleton.

- Paryż już nie jest rajem - zauważył Michael, splatając palce - zniszczyły go te faszystowskie węże.

- Zgoda - ciągnął major, przejmując inicjatywę. - W każdym razie wasze chłopaki z wywiadu otrzymały zaszyfowaną wiadomość od Adama nieco ponad dwa tygodnie temu. Poinformował, że dzieje się coś bardzo poważnego - coś, o czym nie ma jeszcze kompletnych informacji. Ale dodał, że cała sprawa jest bardzo pilnie strzeżona przez Niemców. Dowiedział się o tym od pewnego artysty z Berlina, człowieka nazwiskiem Theo von Frankewitz.

- Chwileczkę - przerwał Michael i Humes-Talbot zobaczył iskrę koncentracji w jego oczach jak błysk ostrza miecza. - Od artysty? Dlaczego od artysty?

- Nie wiem. Nie możemy zdobyć informacji na temat Frankewitza. W każdym razie Adam wysłał kolejną wiadomość osiem dni temu. Tylko kilka linijek. Przekazał, że jest



obserwowany i że posiada dane, które muszą być wywiezione z Francji przez kuriera. Musiał kończyć transmisję, zanim doszedł do szczegółów.

- Gestapo? - rzucił Michael, spoglądając na Humes-Talbota.

- Nasi informatorzy nie sugerują, że gestapo ma Adama - odparł kapitan. - Myślimy, że wiedzą, iż pracuje dla nas, i mają go pod ciągłą obserwacją. Prawdopodobnie żywią nadzieję, że doprowadzi ich do innych agentów.

- Więc nikt już nie może się dowiedzieć, o co chodzi, i nie może tego wydobyć?

- Nie, proszę pana, musi tam pojechać ktoś z zewnątrz.

- No i oczywiście prowadzą nasłuch jego radia. A może je znaleźli i zniszczyli - podjął Michael, wpatrując się w płonące dębowe polana. - Skąd tu artysta? - zapytał znowu. - Co artysta mógłby wiedzieć o tajemnicach wojskowych?

- Nie mamy pojęcia - powiedział Humes-Talbot. - Jak więc pan widzi, jesteśmy w trudnej sytuacji.

- Musimy się dowiedzieć, o co, do diabła, chodzi - odezwał się Shackleton. - Pierwsza fala inwazji będzie liczyła około dwustu tysięcy żołnierzy. W ciągu dziewięćdziesięciu dni od lądowania planujemy przerzucić ponad milion chłopaków, żeby nakopać Hitlerowi w dupę. Ryzykujemy trochę, że przy niekorzystnym obrocie spraw cała akcja może się okazać daremna, musimy więc wiedzieć, jaką kartę mają w ręku Niemcy.

- Śmierć - powiedział Michael.

Żaden z dwóch gości nie zareagował. Z płonących polan posypały się skry. Michael Gallatin czekał na dalszy ciąg opowieści.

- Zostałby pan przerzucony do Francji samolotem i wyskoczyłby ze spadochronem w pobliżu wsi o nazwie Bazancourt, około sześćdziesięciu mil na północny zachód od Paryża - powiedział Humes-Talbot. - Nasz człowiek byłby na miejscu zrzutu, żeby pana odebrać. Stamtąd zostałby pan zabrany do Paryża i otrzymał tam wszelką potrzebną pomoc, żeby dotrzeć do Adama. To priorytetowe zadanie, majorze Gallatin. Jeżeli inwazja ma mieć jakąkolwiek szansę powodzenia, musimy poznać zagrożenie.

Michael wpatrywał się w ogień.

- Przykro mi, musicie poszukać kogoś innego.

- Ależ, panie majorze... Proszę się tak nie śpieszyć...

- Powiedziałem, że jestem na emeryturze. I na tym koniec.

- Och, wspaniale! - wybuchnął Shackleton. - Mało nie połamaliśmy sobie kości jadąc tutaj, ponieważ jakiś dureń powiedział, że jest pan najlepszy w swojej branży, a pan nam

mówi, że jest na emeryturze - przeciągnął ostatnie słowo. - Tam, skąd ja pochodzę, używamy innego określenia, gdy ktoś traci odwagę.

Michael uśmiechnął się nieznacznie, co tylko jeszcze bardziej rozwścieczyło Shackletona, ale nie odpowiedział.

- Panie majorze - spróbował znowu Humes-Talbot - proszę, niech pan jeszcze teraz nie udziela nam ostatecznej odpowiedzi. Czy nie zechciałby pan chociaż pomyśleć o tym zadaniu? Może byśmy mogli zostać na noc i przedyskutować to znowu rano.

Michael wsłuchiwał się w łomot mokrego śniegu o okna. Shackleton natomiast myślał o długiej drodze powrotnej, czując ból w kości ogonowej.

- Możecie przenocować, jeśli chcecie, ale ja nie pojedę do Paryża.

Humes-Talbot chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zdecydował dać sobie spokój.

Shackleton tylko mruknął:

- Ogień piekielny i potępienie.

Michael dalej się wpatrywał w ułożone przez siebie palenisko.

- Mamy ze sobą kierowcę. Czy jest możliwe, żeby pan znalazł jakieś miejsce dla niego?

- Postawię łóżko polowe przed kominkiem - odparł Michael. Podniósł się i skierował do magazynka. Humes-Talbot wyszedł z domu, żeby zawołać Mallory'ego.

Osamotniony Shackleton rozejrzył się po pomieszczeniu i zobaczył stary gramofon marki „Victrola” z drewna różanego, z leżącą na nim płytą. Było to „Święto wiosny” jakiegoś kompozytora o nazwisku Strawiński. Cóż, można się było spodziewać, że Rosjanin lubi rosyjską muzykę. „Pewnie jakaś słowiańska abrakadabra” - pomyślał. Chętnie posłuchałby w taką noc wesolej piosenki Binga Crosby'ego. Gallatin czytał książki, to było pewne, regały wypełniały takie dzieła, jak „Od bestii do człowieka”, „Drapieżniki”, „Historia chorałów gregoriańskich”, „Świat Szekspira” i inne, z rosyjskimi, niemieckimi i francuskimi tytułami.

- Podoba się panu mój dom?

Shackleton aż podskoczył. Michael podszedł do niego z tyłu jak duch. Przyniósł ze sobą składane łóżko, rozłożył je i ustawił przed kominkiem.

- Ten dom był kiedyś luterańskim kościołem - powiedział. - Został zbudowany w latach czterdziestych ubiegłego wieku przez rozbitków, którzy uratowali się z tonącego okrętu. Brzeg morza jest tylko o sto jardów stąd. Zbudowali też wieś, ale w osiem lat później wyniszczyła ich dżuma.

- A... - mruknął Shackleton, pocierając dłońmi o spodnie.

- Ruiny były w dobrym stanie i postanowiłem je odrestaurować. Zajęło mi to całe cztery lata i nadal mam jeszcze dużo roboty. Jeśli to pana ciekawi, mam generator elektryczności napędzany silnikiem benzynowym.

- Domyśliłem się, że nie ma tu linii elektrycznej.

- Nie, nie dochodzi aż tutaj. Będziecie spali w pokoju w wieży, tam gdzie umarł pastor. To nie jest zbyt duży pokój, ale łóżko jest wystarczająco szerokie dla dwóch osób.

Otworzyły się drzwi i Michael obejrzał się na Humes-Talbota i szofera. Przez chwilę zatrzymał wzrok na starym kierowcy, gdy ten zdejmował kapelusz i płaszcz.

- Może pan spać tutaj - wskazał łóżko polowe. - Gdyby panowie chcieli kawę lub coś do jedzenia, to kuchnia jest za tymi drzwiami. Mam raczej nietypowy rozkład dnia. Jeśli mnie usłyszycie gdzieś w środku nocy, to nie wychodźcie ze swoich pokoi - powiedział, posyłając im spojrzenie, od którego Shackletonowi zjeżyły się włosy na karku. - Idę na górę odpocząć - dodał, ruszając w kierunku schodów. Zatrzymał się na moment i wybrał książkę z półki. - Aha, łazienka i prysznic są zaraz za domem. Mam nadzieję, że nie mają panowie nic przeciwko zimnej wodzie. Dobranoc panom.

Wszedł po stopniach i po chwili ich uszu dobiegł odgłos delikatnie zamykanych drzwi.

- Cholernie niesamowite - mruknął Shackleton i ruszył do kuchni, żeby znaleźć coś do zjedzenia.

Michael usiadł w łóżku i zapalił lampę naftową. Nie spał do tej pory, jedynie czekał. Wziął zegarek ze stojącego przy łóżku stolika, chociaż poczucie czasu mówiło mu, że jest po trzeciej. Zegarek wskazywał trzecią zero siedem.

Wciągnął powietrze w nozdrza i przymrużył oczy. Zapach dymu tytoniowego. Mocna mieszanka gatunków Burley i Latakia. Ten zapach był mu znany. Przyzywał go.

Michael nadal miał na sobie spodnie i czarny sweter, wsunął więc tylko pantofle na nogi, wziął lampę i ruszył w dół po spiralnie wijących się schodach.

Kominek błyszczał płomieniem nowo dołożonych szczap. Michael zobaczył obłok dymu z fajki, unoszący się nad wysokim oparciem krzesła obróconego w kierunku kominka. Łóżko było puste.

- Porozmawiajmy, Michaelu - powiedział mężczyzna, który został mu przedstawiony jako Mallory.

- Tak jest. - Michael przysunął krzesło i usiadł za stolikiem, stawiając na nim lampę.

Mallory - to znaczy człowiek, który oprócz wielu innych nazwisk używał również nazwiska Mallory - zaśmiał się cicho, trzymając w zębach ustnik fajki. Światło ognia odbijało się w jego oczach i teraz nie wyglądał już na tak starego i słabego jak wtedy, gdy wchodził do domu.

- „Nie wychodźcie ze swoich pokojów” - powtórzył i znowu się roześmiał. Jego prawdziwy głos brzmiał szorstko. - To było dobre, Michaelu. Tak wystraszyłeś tego biednego jankesa, że mało mu jaja nie odpadły.

- A on je w ogóle ma?

- Och, to zdolny oficer, nie daj się zmylić jego bufonadzie. Major Shackleton zna się na swojej robocie. - Przenikliwe spojrzenie Mallory'ego spoczęło na rozmówcy. - I ty też - powiedział.

Michael nie zareagował.

Mallory zamilkł, paląc fajkę, lecz po chwili odezwał się znowu:

- To, co wydarzyło się w Egipcie z Margritą Phillipe, nie było twoją winą. Wiedziała, co ryzykuje, ale odważnie i dobrze wykonywała swoje zadania. Zabiłeś jej mordercę i zdemaskowałeś Harry'ego Sandlera jako agenta pracującego dla nazistów. Też odważnie i dobrze wykonałeś swoje zadanie.

- Niewystarczająco dobrze - odparł Michael, czując ukłucie bólu gdzieś w głębi ciała. - Gdybym był czujny tamtej nocy, mógłbym ją uratować.

- Nadeszła jej pora - powiedział beznamiętnie Mallory, co było zrozumiałe w ustach profesjonalisty pracującego w branży, gdzie balansuje się między życiem i śmiercią. - Twój czas żałoby po Margritcie też już powinien się skończyć.

- Kiedy znajdę Sandlera... - powiedział Michael z ponurą miną, czując, jak gorąco rozpała jego policzki. - Wiedziałem, że jest niemieckim agentem, gdy tylko Margritta pokazała mi wilka, którego ponoć przysłał jej z Kanady. Było dla mnie całkowicie jasne, że to wilk bałkański, a nie kanadyjski. A bałkańskiego wilka Sandler mógł zabić tylko podczas wyprawy łowieckiej ze swoimi hitlerowskimi przyjaciółmi.

Harry Sandler, amerykański myśliwy polujący na grubego zwierza, opisywany w magazynie „Life”, zniknął po śmierci Margritty, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów.

- Powiniennem być zmusić Margritte, żeby od razu opuściła dom tamtej nocy, a tymczasem... - Zacisnął dłonie na poręczach krzesła. - Ufała mi.

- Michaelu, chcę, żebyś pojechał do Paryża.

- Czy to jest tak ważne, żebyś aż ty musiał się w to angażować?

- Tak, tak ważne. - Mallory wypuścił obłok dymu i wyjął fajkę z ust. - Będziemy mieli tylko jedną okazję, jedną jedyną, żeby inwazja zakończyła się powodzeniem. Jeżeli chodzi o termin, to teraz przewiduje się pierwszy tydzień czerwca. Może jeszcze ulec zmianie, w zależności od pogody i przyptywów. Musimy dołożyć starań, żeby wyeliminować wszystkie potencjalne zagrożenia, i mogę ci powiedzieć, że jak się przyglądam tym wszystkim dowódcom planującym działania, to widzę, że jest jeszcze mnóstwo możliwości popełnienia wszelkich katastrofalnych błędów. - Odchrząknął, uśmiechając się blade. - Musimy wypełnić naszą misję, aby przygotować teren, kiedy nasze wojska ruszą do przodu. Jeżeli gestapo obserwuje tak dokładnie Adama, to możemy być pewni, że on ma jakieś informacje, których oni nie chcą ujawnić. Musimy się dowiedzieć, co to jest. Ze swoimi... specjalnymi talentami być może będziesz w stanie dostać się tam i potem wrócić pod nosem gestapo.

Michael wpatrywał się w ogień. Mężczyzna siedzący obok niego na krześle był jednym z trzech ludzi na świecie, którzy wiedzieli, że jest likantropem.

- Jeszcze jeden aspekt powinieneś wziąć pod uwagę. Cztery dni temu otrzymaliśmy zakodowaną informację z Berlina od naszej agentki o pseudonimie „Echo”: widziała Harry'ego Sandlera.

Michael popatrzył uważnie na twarz Mallory'ego.

- Sandler był w towarzystwie niemieckiego pułkownika o nazwisku Jerek Blok. To oficer SS, do niedawna komendant obozu koncentracyjnego Falkenhausen niedaleko Berlina. Więc Sandler obraca się w dość wysokich sferach.

- Czy Sandler jest nadal w Berlinie?

- Nie mieliśmy od Echa żadnych informacji, które wskazywałyby, że opuścił miasto. Echo ma na niego oko.

Michael mruknął cicho. Nie miał pojęcia, kim jest Echo, ale pamiętał ogorzałą twarz Sandlera ze zdjęcia w „Lifie”, które wykonano w Kenii. Stał uśmiechnięty, oparłszy stopę na leżącym w trawie zabitym lwie.

- Możemy ci dostarczyć nasze dossier na temat Sandlera i Bloka - kontynuował Mallory. - Nie wiemy, co ich może ze sobą łączyć. Echo skontaktuje się z tobą w Berlinie, a co postanowisz już na miejscu, będzie zależało tylko od ciebie.

„Będzie zależało ode mnie” - pomyślał Michael. W ten sposób uprzejmie go poinformowano, że jeżeli zdecydowałby się zabić Harry'ego Sandlera, to ma wolną rękę.

- Twoja podstawowa misja jednakże polega na zorientowaniu się, co wie Adam. - Mallory wypuścił powoli dym z ust. - To jest konieczne. Możesz przekazać informacje przez swój kontakt we Francji.

- A co z Adamem? Nie chcesz, żeby go wydostać z Paryża?

- Jeśli to będzie możliwe.

Michael zastanowił się nad tym chwilę. Człowiek, który sam siebie nazywał teraz Mallorym, cieszył się równą sławą z powodu tego, czego nie mówił do końca, jak i tego, co wypowiadał wprost.

- Chcemy wyjaśnić wszystkie wątpliwości - oznajmił Mallory po chwili ciszy. - Intryguje mnie to samo co ciebie. Dlaczego zamieszany jest w to jakiś artysta? Von Frankewitz jest nikim, to jakiś pacykarz, który robi uliczne portrety w Berlinie. W jaki sposób ma coś wspólnego z tajemnicami państwowymi? - Wzrok Mallory'ego odszukał oczy Michaela. - Wykonasz to zadanie?

„Nieeeeet” - pomyślał, ale w żyłach czuł już narastające ciśnienie, jak wewnątrz kotła parowego, w którym rośnie temperatura. W ciągu ostatnich dwóch lat ani jeden dzień nie minął mu bez rozmyślania o tym, jak jego przyjaciółka, hrabina Margritta, zginęła, kiedy on leżał rozespany i rozleniwiony niedawno doznanymi rozkoszami. Odnalezienie Harry'ego Sandlera mogłoby go pozbawić tych rozterek. Możliwe też, że niczego by nie rozwiązało, ale przynajmniej odczuwałby satysfakcję polując na myśliwego. Poza tym wszystko, co miało związek z Adamem i mającą nastąpić inwazją, samo w sobie było istotnym problemem. W

jaki sposób informacje Adama mogłyby wpłynąć na rozwój wydarzeń w dniu inwazji i los tysięcy żołnierzy, którzy pewnego czerwcowego poranka, decydującego o losach wojny, mieli zaatakować wybrzeże?

- Tak - powiedział pełnym napięcia głosem.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć za pięć dwunasta - odrzekł Mallory z lekkim uśmiechem. - To się nazywa godzina wilka, prawda?

- Mam jedną prośbę. Już dawno nie skakałem ze spadochronem. Chciałbym popłynąć okrętem podwodnym.

Mallory zastanowił się chwilę i pokręcił głową.

- Przykro mi, ale to zbyt ryzykowne, jeżeli wziąć pod uwagę niemieckie łodzie patrolowe i miny na Kanale. Mały samolot jest najbezpieczniejszy. Przerzucimy cię do miejsca, gdzie będziesz mógł odświeżyć swoje umiejętności, zrobisz parę skoków treningowych. To pryszcz, jak to mówią jankesi.

Michael zacisnął pięści i poczuł, że ma wilgotne dłonie. Tylko dwie rzeczy wywoływały u niego przerażenie: zaniknięcie w ciasnym wnętrzu i wysokość. Nie mógł znieść ryku i parskania silnika samolotu; poza tym kiedy jego stopy odrywały się od ziemi, czuł się pomniejszony i słaby. Ale nie miał wyboru: będzie musiał to znieść i pokonać trudności, chociaż szkolenie spadochroniarskie zapowiadało się na czystą torturę.

- W porządku.

- Świetnie. - Ton głosu Mallory'ego zdradzał, że od początku wiedział, iż Michael Gallatin podejmie się tego zadania. - Dobrze się czujesz, prawda, Michaelu? Śpisz dostatecznie dużo, jesz odpowiednie posiłki, nie za dużo mięsa, mam nadzieję?

- Nie za wiele - odparł Michael, myśląc o pobliskim lesie pełnym jeleni, saren, dzików i zajęcy.

- Czasami martwię się o ciebie, potrzebna ci żona. Michael roześmiał się, mimo że ton głosu Mallory'ego był poważny.

- No, może nie - poprawił się Mallory.

Porozmawiali jeszcze trochę, oczywiście o wojnie. Nieco przed świtem, kiedy płomień nadal pożerał w ciszy dębowe polana, a na dworze wył wiatr, likantrop w służbie Jego Królewskiej Mości wstał z krzesła i udał się do sypialni. Mallory zasnął na swoim krześle przed kominkiem. Jego twarz znowu była twarzą starego szofera.

Świt był równie szary i wietrzny jak zmierzch poprzedniego dnia. O szóstej rano muzyka orkiestrowa obudziła majora Shackletona i kapitana Humes-Talbota. Podnieśli się z bólem pleców z wąskiego i okropnie niewygodnego łóżka dawno zmarłego pastora. Nie przebierali się przed snem, żeby chronić się przed chłodem wdzierającym się przez witrażowe okna, więc zeszli na dół w ubraniach pogniecionych w całkiem niewojskowym stylu.

Śnieg z deszczem zaciął o szyby i Shackleton poczuł, że jeszcze trochę, a zacznie krzyczeć.

- Dzień dobry - powitał ich Michael. Siedział w czarnym skórzanym fotelu przed rozpalonym na nowo kominkiem, trzymając w ręku kubek z gorącą herbatą „Twinings Earl Grey”. Ubrany był w ciemnoniebieski szlafrok, ale stopy miał bose. - W kuchni jest herbata i kawa - powiedział. - Do tego jajecznicza i miejscowa kiełbasa, gdybyście mieli ochotę na śniadanie.

- Jeżeli ta kiełbasa jest tak mocna jak miejscowa whisky, to myślę, że zrezygnuję - powiedział Shackleton ze zde gustowaną miną.

- Nie, jest bardzo delikatna, poczęstujcie się.

- A gdzie jest Mallory? - zapytał Humes-Talbot, rozglądając się dokoła.

- Och, zjadł śniadanie i poszedł wymienić olej w samochodzie. Pozwoliłem mu wjechać do garażu.

- Co to za łomot? - zapytał Shackleton, dla którego muzyka brzmiała jak odgłosy piekielnej walki armii demonów. Podeszedł do gramofonu i spojrzał na obracającą się płytę. - To Strawiński - stwierdził Humes-Talbot - prawda?

- Tak. „Święto wiosny”. Moja ulubiona kompozycja. To jest ta część, majorze Shackleton, w której starszyzna wiejska stoi w kole, obserwując, jak młoda dziewczyna tańczy aż do śmierci z wyczerpania w pogańskim rytuale poświęcenia. - Michael zamknął oczy na kilka sekund, wpatrując się w purpurowe i szkarłatne dźwięki muzyki. Otworzył oczy i spojrzał na majora. - Poświęcenie wydaje się szczególnie popularnym tematem w dzisiejszych czasach.

- Nie znam się na tym - odparł Shackleton. Wzrok Gallatina, uparty i przeszywający, wprawiał go w zdenerwowanie. W oczach tego mężczyzny drzemała taka moc, że major poczuł się wyprany z sił. - Jestem fanem Benny'ego Goodmana.



- O tak, znam jego dzieła - stwierdził Michael i znowu zaczął wsłuchiwać się w grzmiące dźwięki, przedstawiające obrazy świata pogrążonego w wojnie. Toczył wewnętrzną walkę ze swym własnym barbarzyństwem, które zdawało się zyskiwać przewagę. Po pewnym czasie wstał, podniósł igłę, nie zadrapawszy obracającej się z prędkością siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę płyty, i zatrzymał talerz gramofonu. - Podejmuję się tej misji, panowie - powiedział. - Dowiem się tego, co chcecie wiedzieć.

- Dowie się pan? Chce pan powiedzieć... - Humes-Talbot zająknął się. - Myślałem, że pan już wcześniej podał nam swą decyzję.

- Tak, ale zmieniłem zdanie.

- Ach, rozumiem. - Prawdę mówiąc, to nic z tego nie rozumiał, ale nie miał ochoty wypytywać tego człowieka o jego motywy. - Och, cieszę się, że to słyszę, proszę pana. Bardzo dobrze. Skierujemy oczywiście pana na tygodniowe przeszkolenie. Będzie pan miał parę treningowych skoków ze spadochronem i trochę zajęć językowych, chociaż wątpię, czy będą panu potrzebne. Gdy tylko wrócimy do Londynu, skompletujemy wszystkie informacje, jakich pan będzie potrzebował.

- Tak, zróbcie to - powiedział Michael. Myśl o locie nad Kanałem do Francji wywoływała u niego gęsią skórkę, ale uznał, że zapanuje nad tym we właściwym czasie. Zaczerpnął głęboko powietrza, zadowolony z tego, że już podjął ostateczną decyzję. - Panowie wybaczą, ale teraz nadeszła pora mojej porannej przebieżki.

- Wiedziałem, że pan biega - powiedział Shackleton. - Ja też. Jakie dystanse pan biega?

- Pięć mil mniej więcej.

- Ja biegałem po siedem mil. W pełnym rynsztunku. Niech pan słucha, jeżeli ma pan jakiś zapasowy strój i sweter, to pobiegnę z panem. Nie zaszkodziłoby mi się znowu trochę rozruszać.

„Szczególnie po spaniu w tym łożu tortur” - dodał do siebie w myślach.

- Ja nie potrzebuję stroju - powiedział Michael i zdjął szlafrok. Był całkiem nagi. Powiesił szlafrok na oparciu krzesła. - Już prawie wiosna. I dziękuję panu, majorze, ale zawsze biegam sam. - Przeszedł obok Shackletona i Humes-Talbota, którzy byli zbyt zaszokowani, żeby się ruszyć czy coś powiedzieć, i wyszedł na zimny, pełen mokrego śniegu poranek.

Shackleton przytrzymał drzwi, zanim zdążyły się zamknąć za Michaeliem. Patrzył z wyrazem niedowierzania w oczach, kiedy nagi mężczyzna zaczął biec długimi krokami wzdłuż podjazdu, potem przeciął porośniętą trawą polaną i skierował się w stronę lasu.

- Hej! - krzyknął. - A wilki?!

Michael Gallatin nie obejrzał się i po chwili zniknął między drzewami.

- Dziwny facet, nie? - zapytał Humes-Talbot, patrząc ponad ramieniem majora.

- Dziwny czy nie - odparł Shackleton - ale uważam, że Gallatin jest w stanie wykonać to zadanie.

Mokry śnieg uderzył go w twarz i major wstrząsnął się targany dreszczem, mimo że był ubrany w mundur. Mocując się z wiatrem, zamknął drzwi.

- Martin, chodź, popatrz tutaj.

Wezwany mężczyzna wstał od razu od biurka i wszedł do gabinetu, stukając butami o betonową podłogę. Masywnie zbudowany, miał szerokie barki i ubrany był w drogi brązowy garnitur, nieskazitelnie białą koszulę i czarny krawat. Jego siwiejące włosy były zaczesane do tyłu, a miękkie, pulchne rysy przywodziły na myśl dobrego wujaszka, który lubi opowiadać dzieciom bajki.

Ściany gabinetu pokrywały mapy poznaczone czerwonymi strzałkami i kółkami. Niektóre ze strzałek były wytarte i narysowane na nowo, a wiele kółek zostało wykreślone pośpieszonymi kreskami. Kolejne mapy leżały na okazałym biurku, a obok nich spoczywał stos oczekujących na podpisy papierów. Na biurku stało otwarte metalowe pudełko z precyzyjnie ustawionymi słoiczkami akwareli i pędzlami z końskiego włosia, o różnych rozmiarach. Siedzący za biurkiem mężczyzna przysunął krzesło do sztalug stojących w kącie pozbawionego okien pomieszczenia. Na sztalugach rozpięte było rozpoczęte dzieło - akwarela przedstawiająca biały wiejski dom i wznoszące się za nim fioletowe poszarpane szczyty gór. Na podłodze wokół stóp artysty leżały inne obrazy przedstawiające domy i krajobrazy, wszystkie odłożone przed ukończeniem.

- O tutaj, dokładnie tutaj, widzisz to? - Artysta w okularach postukał pędzlem w rozmazany cień na rogu domu.

- Widzę... jakiś cień - odpowiedział Martin.

- W cieniu, o tu. - Znowu postukał w to samo miejsce, tym razem mocniej. - Przypatrz się lepiej. - Podniósł obraz, brudząc sobie farbą palce, i przysunął go do twarzy Martina.

Martin przełknął ślinę. Widział jakiś cień i nic poza tym. Rozumiał jednak, że musi to być coś ważnego i że musi podejść do tego ostrożnie.

- Tak - odparł - chyba widzę.

- Aaa... - ucieszył się jego rozmówca. - A więc jest. - Jego niemiecki zabarwiony był mocnym, niemal nieładnym austriackim akcentem. - Wilk, tu w cieniu - wskazał drewnianą końcówką pędzla ciemny kontur, który z niczym się Martinowi nie kojarzył. - To skradający się wilk, patrz tutaj. - Podniósł jeszcze jeden nie dokończony obraz, na którym było widać wijący się górski strumień. - Widzisz go za tą skałą?

- Tak, *Mein Führer* - powiedział Martin Bormann, widząc tylko skałę i jakieś nierówne linie.

- I tutaj, na tym obrazie. - Hitler podniósł trzeci obraz, przedstawiający łąkę pełną kwitnących białych szarotek. Wskazał wybrudzonym czerwoną farbą palcem dwie ciemne kropki widniejące pośród rozświetlonych przez słońce kwiatów. - To oczy wilka! Widzisz?! Skrada się! Wiesz, co to znaczy?

Martin zawahał się chwilę i powoli pokręcił głową.

- Wilk to mój szczęśliwy symbol - powiedział Hitler z irytacją w głosie. - Wszyscy to wiedzą! A teraz wilk ukazuje się na moich obrazach z własnej woli! Czy potrzebujesz jaśniejszego znaku niż to?

„No i proszę - pomyślał sekretarz Hitlera. - Teraz zagłębiamy się w labirynt znaków i symboli”.

- To ja jestem wilkiem, nie rozumiesz? - Hitler zdjął okulary, w których poza najbliższymi współpracownikami widywało go niewielu ludzi, złożył je i wsunął do skórzanego futerału. - To zwiastun przyszłości, mojej przyszłości - zamrugał oczami - przyszłości Rzeszy. To tylko potwierdza to, co już i tak wiem.

Martin czekał nic nie mówiąc, wpatrywał się w obraz z wiejskim domem, w którego cieniu widać było jakieś nieczytelne maźnięcie.

- Zmiażdżymy Słowian i zagonimy ich z powrotem do szcurzych dziur - mówił dalej Hitler. - Leningrad, Moskwa, Stalingrad, Kursk... to tylko nazwy. - Chwycił mapę, pozostawiając na niej czerwone odciski palców, i z pogardliwym grymasem zrzucił ją z biurka. - Fryderyk Wielki nigdy nawet nie myślał o klęsce. Nigdy nie brał jej pod uwagę! On miał lojalnych generałów, o tak! Miał sztab, który wykonywał rozkazy. Nigdy w życiu nie widziałem takiego nieposłuszeństwa jak teraz! Jeżeli chcą mnie skrzywdzić, to dlaczego po prostu nie przystawią mi pistoletu do głowy?

Martin nic nie mówił. Policzki Hitlera zaczerwieniły się, a oczy pożółkły i zwilgotniały. Nie wróżyło to nic dobrego.

- Powiedziałem, że potrzebujemy większych czołgów - mówił dalej Hitler - i wiesz, co wtedy usłyszałem? „Większe czołgi zużywają więcej paliwa”. Taką mają wymówkę. Kombinują tylko, jak by mi tu podstawić nogę. Większe czołgi zużywają więcej paliwa! A czymże jest cała Rosja, jeśli nie jednym wielkim polem naftowym? Jednak moi oficerowie uciekają w strachu przed Słowianami i odmawiają walki o istnienie Niemiec! Jak więc możemy chcieć zwyciężyć Słowian, skoro brak nam paliwa? Nie wspomnę już o nalotach na fabryki łożysk! Wiesz, co oni na to mówią? *Mein Führer*... Oni zawsze mówią *Mein Führer* takim głosem, że człowiekowi robi się niedobrze, jakby zjadł za dużo cukru. „Nasze działa przeciwlotnicze potrzebują więcej pocisków. Nasze ciągniki do dział przeciwlotniczych

potrzebują więcej paliwa”. Widzisz, w jaki sposób oni rozumują? - Zamrugnął oczami i jego rozmówca zobaczył, że wraca do nich rozsądek. - Ach, prawda, byłeś z nami na tym popołudniowym spotkaniu?

- Tak, *Mein...* tak - odpowiedział. - Wczoraj po południu. - Spojrzał na kieszonkowy zegarek. - Już jest prawie pierwsza trzydzieści.

Hitler skinął głową, nie słuchając już. Miał na sobie kaszmirowy szlafrok - dar od Mussoliniego - i skórzane domowe pantofle. Oprócz Bormanna nie było z nim nikogo w administracyjnym skrzydle jego berlińskiej kwatery głównej. Popatrzył na swoje dzieła, na domy ciągnące się nierównymi liniami i na krajobrazy z fałszywą perspektywą, zanurzył pędzel w naczyniu z wodą i opłukał go z farby.

- To znak - powiedział. - Maluję wilka, sam o tym nie wiedząc. To wróży zwycięstwo, Martin. Ostateczne i absolutne zniszczenie wrogów Rzeszy. Zewnętrznych i wewnętrznych - dodał, patrząc znacząco na swojego sekretarza.

- Wiesz przecież, *Mein Führer*, że nikt nie jest w stanie przeciwstawić się twojej woli.

Hitler wydawał się nie słyszeć. Układał z powrotem pędzle i farby w metalowym pudełku, które trzymał zamknięte w sejfie.

- Jakie mam na dzisiaj plany, Martin?

- O ósmej spotkanie przy śniadaniu z pułkownikiem Blokiem i doktorem Hildebrandem. Potem narada sztabowa od dziewiątej do dziesiątej trzydzieści. O pierwszej ma być feldmarszałek Rommel z raportem na temat fortyfikacji Wału Atlantyckiego.

- Ach - oczy Hitlera rozjaśniły się znowu - Rommel. Oto człowiek z odpowiednim umysłem. Wybaczyłem mu Afrykę Północną. Już wszystko w porządku.

- Tak jest. O siódmej czterdzieści wieczorem będziemy towarzyszyć feldmarszałkowi w podróży samolotem na wybrzeże Normandii - ciągnął Bormann. - A potem do Rotterdamu.

- Rotterdam. - Hitler skinął głową, wstawiając pudełko z farbami do sejfu. - Mam nadzieję, że prace idą zgodnie z planem? To sprawa o życiowym znaczeniu.

- Tak jest. Po jednym dniu w Rotterdamie polecimy na tydzień do „Berghofu”.

- „Berghof! Tak, już zapomniałem.

Hitler uśmiechnął się, pod oczami pokazały mu się ciemne kręgi. Rezydencja „Berghof w Alpach Bawarskich, górująca nad wsią o nazwie Berchtesgaden, była od lata 1928 roku jego jedynym prawdziwym domem. To miejsce szalejących wiatrów, widoków, które zaparłyby dech w piersiach Odyna, i przyjemnych wspomnień. Oczywiście, z wyjątkiem Geli. To tam właśnie spotkał Geli Raubal, swoją jedyną prawdziwą miłość. Geli, kochana Geli z blond włosami i śmiejącymi się oczami. Dlaczego strzeliła sobie w serce?

„Kochałem cię, Geli” - pomyślał. Czy to było za mało? Teraz czekała tam na niego Ewa. Czasami, kiedy światło już przygasало i miała włosy zaczesane do tyłu, Hitler przymykał oczy i zamiast jej twarzy widział twarz Geli: swej siostrzenicy 4 utraconej miłości, która popełniła samobójstwo, gdy miała dwadzieścia trzy lata. W 1931 roku.

Poczuł ból głowy. Popatrzył na kalendarz stojący pomiędzy rozrzuconymi na biurku rzeczami. Marzec.

„To już wiosna” - stwierdził i wtedy spoza murów, z zaciemnionego miasta dało się słyszeć wycie. „Wilk! - pomyślał Hitler, otwierając usta. - Nie, nie, to syrena alarmowa”. Wycie potęgowało się. Było je raczej czuć niż słycać przez ściany Kancelarii Rzeszy. Po chwili dołączyły do niego odgłosy eksplodujących bomb. Grzmiały głucho, jakby ciężki topór uderzał o pień drzewa. Potem jeszcze jedna bomba, jeszcze dwie, piąta i szósta jedna po drugiej.

- Zadzwoń do kogoś - polecił Hitler. Policzki miał wilgotne od zimnego potu.

Martin podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer komendanta obrony Berlina.

Huk siejących zniszczenie bomb to narastał, to znowu przycichał. Hitler zacisnął palce na krawędzi biurka. Pomyślał, że bomby spadają gdzieś na południe od kancelarii. Gdzieś w rejonie lotniska Tempelhof. Niezbyt blisko kancelarii, ale jednak... Po pewnym czasie odgłosy odległych eksplozji ucichły, tylko w całym mieście nadal rozlegało się wilcze wycie syren.

- To nalot nękający - oznajmił Martin, odkładając słuchawkę. - Zrobili parę dziur w płycie lotniska i trafili kilka domów. Już odlecieli.

- Niech piekło pochłonie te świnię! - rzucił Hitler, drżąc na całym ciele. - Do diabła z nimi! Gdzie są ci nocni myśliwcy Luftwaffe, kiedy ich potrzebujemy? Śpią wszyscy? - Przeszedł do jednej z map pokazujących obronne umocnienia, pola minowe i betonowe bunkry na wybrzeżu Normandii. - Dziękuję opatrności, że jest tam Rommel. Churchill i ten Żyd, Roosevelt, będą przeprawiać się do Francji wcześniej czy później. Ale spotka ich gorące przyjęcie, prawda?

Martin skinął głową.

- A kiedy wyślą mięso armatnie i będą siedzieli w Londynie przy swoich biurkach, pijąc angielską herbatę i jedząc te... jak się nazywają te ich herbatniki?

- Krakery - powiedział Martin.

- Będą pili herbatę i jedli krakersy - ciągnął Hitler - pošlemy im coś specjalnego do jedzenia, prawda, Martin?

- Tak, *Mein Führer* - potwierdził Bormann.

Hitler westchnął i podszedł do kolejnej mapy. Niepokoiła go, ponieważ przedstawiała drogę słowiańskiej nawałnicy, która była już bliska wystąpienia z granic Rosji i zalania swym brudem okupowanej przez Niemców Polski i Rumunii. Czerwone kółeczka oznaczały okrążone niemieckie dywizje, z których każda liczyła początkowo piętnaście tysięcy ludzi, a teraz topniała powoli.

- Chcę tu umieścić jeszcze dwie dywizje pancerne. - Hitler dotknął jednego z punktów, gdzie w tej chwili, setki mil od Berlina, niemieccy żołnierze walczyli o życie przeciwko rosyjskiej nawałce. - Chcę, żeby byli gotowi do bitwy w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Tak jest, *Mein Führer!* - odparł Martin, myśląc jednocześnie: „Prawie trzysta czołgów i trzydzieści tysięcy ludzi! Skąd ich wziąć? Generałowie na zachodzie podniosą wrzask, jeżeli stracą jeszcze jeden oddział, a ci na wschodzie są zbyt zajęci, żeby zajmować się dodatkowymi formalnościami. No cóż, żołnierze i czołgi znajdują się. Taka jest wola Hitlera. Kropka”.

- Jestem zmęczony - oznajmił Hitler - chyba się teraz prześpię. Pozamykaj tu, dobrze?  
- Wyszedł z gabinetu i ruszył długim korytarzem: mały mężczyzna w szlafroku.

Bormann też był zmęczony, miał za sobą ciężki dzień. Wszyscy byli zmęczeni. Zanim wyłączył lampę na biurku, podszedł do obrazu, na którym była ciemna smuga. Wpatrywał się przez dłuższą chwilę w ten cień. Może... może to jest wilk, skradający się za rogiem wiejskiego domu. Martin już go widział. Był akurat w tym miejscu, które wskazywał führer. Znak.

Odłożył obraz z powrotem na sztalugi. Hitler prawdopodobnie już nigdy go nie dotknie i w ogóle nie było wiadomo, gdzie w końcu trafią te wszystkie malowidła.

Wilk tam był. Im dłużej Martin przypatrywał się obrazowi, tym wyraźniej go widział. Führer zawsze pierwszy dostrzegał znaki i to oczywiście było częścią jego charyzmy.

Martin Bormann wyłączył lampę, zamknął drzwi gabinetu i ruszył korytarzem ku swojemu mieszkaniu. W sypialni, pod wiszącym na ścianie obrazem przedstawiającym Hitlera, spała mocnym snem żona, Gerda.

- Majorze Gallatin! - zawołał przez ryk silnika ciemnowłosey drugi pilot. - Sześć minut do strefy zrzutu!

Michael skinął głową i podniósł się, zaciskając usta. Założył klamrę wyzwalacza na linkę, która biegła górą wzdłuż kadłuba samolotu, i podszedł do zamkniętych drzwi. Nad nimi umieszczona była przyciemniona czerwona lampka, oblewająca wnętrze kadłuba czerwoną poświatą.

Był dwudziesty szósty marca, a zegarek Michaela wskazywał dziewiętnaście po drugiej. Starając się nie zwracać uwagi na skoki w dół i w górę oraz kołysanie transportowej dakoty, zaczął sprawdzać rzemienie spadochronu, aby się upewnić, czy są równomiernie napięte po obu stronach ciała. Nie uśmiechała mu się perspektywa rzemienia zaciskającego się na jądrach tysiąc stóp nad ziemią. Obejrzał klamry szelek na piersiach i potem górną część samego pokrowca spadochronu, sprawdzając, czy nic nie przeszkodzi linkom, kiedy czasza spadochronu będzie się rozwijała w powietrzu. Wyposażono go w czarny spadochron, ponieważ tej nocy księżyc był już w pierwszej kwadrze.

- Trzy minuty, majorze - poinformował go uprzejmie drugi pilot, młody oficer rodem z New Jersey.

- Dziękuję! - odkrzyknął Michael, czując, jak samolot skręca nieco w lewo i jak pilot poprawia kurs, żeby uniknąć wykrycia przez reflektory, a może by ominąć rejon rozlokowania broni przeciwlotniczej.

Michael oddychał powoli, patrząc na czerwoną żarówkę nad drzwiami. Serce biło mu mocno, a pot zwilżył od wewnątrz ciemnozielony strój. Na głowie miał czarną wełnianą czapkę, a jego twarz pokryto czarną i zieloną farbą maskującą. Żywił nadzieję, że farba zmyje się łatwo, ponieważ w przeciwnym razie zwracałby na siebie zbyt wiele uwagi, gdyby z taką twarzą znalazł się na avenue des Champs Elysées.

Do pasa miał przytroczone krótką składaną saperkę, nóż z ząbkowanym ostrzem, pistolet kalibru 0,48 cala i pudełko amunicji. W zamykanej na zamek błyskawiczny wewnętrznej kieszeni kurtki umieszczono pakiet zawierający dwie tabliczki czekolady i trochę suszonej wołowiny. Przypuszczał, że czekolada już się rozpuściła, rozgrzana przez jego ciało.

- Minuta. - Czerwone światło zgasło. Drugi pilot odciągnął rygiel i drzwi samolotu odsunęły się, wpuszczając prąd powietrza. Michael od razu zajął odpowiednią pozycję,



stawiając buty na samej krawędzi podłogi i trzymając dłońmi brzegi otworu. Pod nim rozciągała się czarna równina, która mogła być zarówno gęstym lasem, jak i bezdennym oceanem.

- Trzydzieści sekund! - zawołał znowu pilot, przekrzykując huk wiatru i silnika.

W dali coś błysnęło. Michael wstrzymał oddech. Jeszcze jedno błysnięcie - i z ziemi podniósł się promień, który zaczął przeszukiwać niebo.

- O Jezu! - jęknął pilot.

Promień reflektora podniósł się wyżej. „Usłyszeli nasze silniki - pomyślał Michael. - A teraz na nas polują”. Światło zatoczyło krąg i jego ostrze przecięło ciemność niespełna sto stóp pod samolotem. Stał spokojnie, ale ścisnęło go w żołądku. Na prawo od reflektora pokazał się czerwony rozbłysk i zaraz rozległ się huk; około pięciuset, sześciuset stóp powyżej dakoty wykwitł biały rozbłysk. Samolot zatrząsł się uderzony falą powietrza, ale utrzymał kurs. Drugi pocisk rozerwał się jeszcze wyżej i bardziej w prawo, ale światło reflektora znowu zaczęło się przybliżać.

Amerikanin pobladł i chwycił Michaela za ramię.

- Majorze, schrzaniłiśmy sprawę. Chce pan odwołać zrzut? Pilot zwiększył gaz, żeby pośpiesznie oddalić się od strefy zrzutu. Michael wiedział, że nie ma czasu na rozmyślenia.

- Skaczę! - odpowiedział i wyskoczył, z potem spływającym mu po twarzy.

Spadł w ciemność, serce mu łomotało, a żołądek podniósł się do góry. Założył ręce na piersiach, trzymając dłońmi łokcie. Usłyszał wysoki jazgot przelatującego mu nad głową samolotu i poczuł okropne szarpnięcie. To linka wyzwalacza naprężyła się, wyszarpując z miękkim plaśnięciem czaszę spadochronu z pokrowca.

Rozwijająca się czasza spowolniła tempo spadania. Michael Gallatin czuł się tak, jakby jego wewnętrzne organy, mięśnie i kości ścierały się ze sobą. Kolana podskoczyły mu tak wysoko, że niewiele brakowało, by uderzył się w podbródek. Wyprostował nogi i chwycił linki sterownicze spadochronu. Serce nadal biło mu mocno od uderzenia powietrza. Usłyszał kolejny wybuch pocisku z działa przeciwlotniczego, ale był za wysoko i za bardzo na prawo, żeby groziło mu trafienie odłamkami. Światło przesunęło się w jego kierunku, zatrzymało się i ruszyło w przeciwną stronę, polując na intruza. Michael rozejrzał się po ciemnej ziemi pod stopami, szukając znaku, którego kazano mu wypatrywać. Powinien być gdzieś na wschód, przypomniał sobie. Połowa tarczy księżyca była ponad jego lewym ramieniem. Obrócił się powoli w powietrzu i popatrzył na ziemię.

Tam! Zielone światło. Latarka migocząca szybkimi znakami. Potem znowu zapadła ciemność.

Skierował spadochron w kierunku światła i spojrzał do góry, żeby się upewnić, czy nie splątały się linki. Czasza spadochronu była biała.

„Do cholery - pomyślał - jak można wierzyć tym z zaopatrzenia!” Drogo by go kosztowało, gdyby jakiś niemiecki żołnierz wypatrył z ziemi biały spadochron. Obsługa reflektora prawdopodobnie wezwała przez radio samochód patrolowy i motocyklistów. Teraz nie tylko on był zagrożony, ale też ta osoba na ziemi z zieloną latarką. Nawet nie wiedział, kto to był. Znowu odezwało się działo przeciwlotnicze i powietrze wypełnił huk odległej eksplozji. Ale C-47 już dawno się oddalił, kierując się z powrotem przez Kanał do Anglii. Michael życzyl w duchu powodzenia obydwu Amerykanom. Teraz jednak musiał skupić uwagę na własnych problemach. Czekalo go ladowanie, to bylo najwazniejsze. Kiedy juz wyladuje, bedzie gotowy do dzialania, ale teraz wisial w powietrzu na lasce bialego spadochronu.

Podniosl glowe, sluchajac szumu wiatru w jedwabnej czaszy. Cos mu to przypominalo. Tak dawno temu... inny swiat i inne zycie... Tak dawno temu, kiedy wiedzial, czym jest niewinnosc.

I nagle w rozblysku pamieci niebo zrobilo sie jasnoniebieskie, a nad glowe Michaela pojawil sie nie biały spadochron, ale biały jedwabny latawiec unoszony coraz dalej przez rosyjski wiatr.

Nad polem pełnym żółtych kwiatów rozległ się kobiecy głos:

- Misza! Misza!

Michail Gałatinow, ośmioletni i będący jeszcze w pełni ludzką istotą, manewrował linką latawca. Uśmiechnął się, z twarzą opromienioną majowym słońcem.

**CZEŚĆ DRUGA**

**BIAŁY PAŁAC**

- Misza! - wołał kobiecy głos. Docierał do niego w innym czasie i w innym miejscu. - Misza, gdzie jesteś?

Po chwili Jelena Gałatinowa zobaczyła latawiec i wnet jej zielone oczy wypatrzyły też syna. Stał na skraju pola, niemal pod samym lasem. Tego dnia, dwudziestego pierwszego maja 1918 roku, wiatr wiał ze wschodu, niosąc ze sobą słabą woń prochu.

- Wracaj do domu! - zawołała, patrząc, jak chłopiec macha do niej ręką i zaczyna zwijać linkę latawca.

Latawiec zanurkował jak biała ryba. Za plecami Jeleny, delikatnej czarnowłosej kobiety przypominającej figurkę z porcelany, stała rezydencja Gałatinowów: piętrowy dom z brązowego rosyjskiego kamienia, ze stromym czerwonym dachem i kominami tego samego koloru. Wokół rosły słoneczniki, a od wejścia wiodła zwirowana dróżka, która biegła przez ogród i wychodząc przez żelazną bramę, łączyła się z polną ścieżką prowadzącą do wioski o nazwie Moroz, położonej sześć mil na południe. Najbliższym dużym miastem był Mińsk, leżący ponad pięćdziesiąt mil na północ, do którego jeździło się po fatalnych drogach.

Rosja była wielkim krajem, a dom generała Fiodora Gałatinowa był drobiną pyłu na łebku szpilki. Ale na tych czternastu akrach łąk i lasów mieścił się cały świat Gałatinowów, odkąd drugiego marca 1917 roku abdykował car Mikołaj II. Z chwilą gdy w podpisanym przez siebie akcie abdykacyjnym car napisał ostatnie zdanie: „Niech Bóg pomoże Rosji”, jego ojczyzna przeistoczyła się w mordercę własnych dzieci.

Ale młody Michaił nie wiedział nic o polityce, o czerwonych walczących z białymi ani o wyrachowanych ludziach nazwiskami Lenin i Trocki. Nie wiedział nic, na szczęście dla siebie samego, o wioskach równanych z ziemią przez rywalizujące ze sobą ugrupowania nie dalej niż sto mil od miejsca, gdzie stał, zwijając linkę jedwabnego latawca. Nie wiedział nic o głodzie, o kobietach i dzieciach, których ciała drgały powieszzone na gałęziach drzew, ani o lufach pistoletów zbryzganych strzępami mózgu. Wiedział, że jego ojciec jest bohaterem wojennym, jego matka jest piękna, siostra szczypie go w policzki i nazywa andrusem i że dzisiaj nadszedł dzień od dawna oczekiwanego pikniku. Ściągnął latawiec walcząc z wiatrem, delikatnie objął go ramionami i pobiegł przez pole w kierunku stojącej matki w długiej białej lnianej sukience.

Jelena wiedziała o rzeczach, o których nie słyszał jej syn. Miała już trzydzieści siedem lat, a nad jej czołem i na skroniach widać było zaczątki siwizny. Wokół oczu i w kącikach ust

pojawiły się głębokie zmarszczki. Nie były oznaką starzenia się, tylko ciągłego wewnętrznego cierpienia. Fiodor długo walczył na wojnie i w końcu został ciężko ranny w bagnistej dziurze o nazwie Kowel. Minęły czasy oper i świąt w Petersburgu, minęły czasy hałaśliwych jarmarków ulicznych w Moskwie, skończyły się bankiety i przyjęcia w ogrodzie cara Mikołaja i carowej Aleksandry. W cieniach wspomnień czaiły się upiory przyszłości.

- Puszczalem latawiec, mamó! - krzyknął Michaił, kiedy już podbiegł bliżej. - Widziałaś, jak wysoko?

- Ach, to był twój latawiec? - zapytała z udawanym zaskoczeniem. - Myślałam, że to chmura przywiązana do sznurka.

Michaił wiedział, że matka żartuje.

- To był mój latawiec - powtórzył, a ona wzięła go za rękę.

- Lepiej zejdź już na ziemię, moja mała chmurko - powiedziała. - Jedziemy na piknik.

Ściskając jego dłoń gorącą z podniecenia niczym płomień świeczki, poprowadziła go ku domowi. Na podjeździe czekał woźnica Dymitr z powozem i dwoma końmi. Z domu wyszła siostra Michaiła, dwunastoletnia Alicja, niosąc wiklinowy koszyk z wiktuałami. Sophie, pokojówka i przyjaciółka Jeleny, towarzysząca jej podczas wieczorów spędzanych przy szyciu, wyniosła drugi koszyk i pomogła Alicji ustawić bagaże w kufrze z tyłu powozu.

Ostatni wyszedł z domu Fiodor. Pod jedną ręką trzymał zwinięty koc, a w drugiej miał laskę z wyrzeźbioną na rękojeści głową orła. Jego prawa noga, zmasakrowana przez kule karabinu maszynowego, była sztywna i wyraźnie chudsza niż lewa, ale nauczył się już sprawnie chodzić. Kiedy podszedł z kocem do powozu, podniósł swą brodatą twarz, wystawiając ją na promienie słońca.

Mimo upływu lat Jelena nadal czuła przyspieszone bicie serca, kiedy patrzyła na niego. Był wysoki i szczupły, miał sylwetkę fechtmistrza i chociaż skończył czterdzieści sześć lat, a jego ciało znaczyły blizny od ran zadanych białą bronią i kulami, to jednak gorzała w nim jakaś iskra młodości, jakaś ciekawość życia i energia, które sprawiały, że ona sama czasami czuła się przy nim stara. Jego twarz, z długim, delikatnym nosem, kwadratową szczęką i brązowymi, głęboko osadzonymi oczami, była do niedawna surowa i zgorzkniała. Była twarzą człowieka, który zderzył się z przeszkodami nie do pokonania. Z upływem czasu jednak jego rysy złagodniały. Pogodził się z sytuacją. Opuścił służbę ojczyźnie i teraz pozostało mu już tylko dożywać reszty swoich dni tutaj, na tym kawałku ziemi, z dala od zgiełku świata. Jego wymuszone odejście na emeryturę po abdykacji cara było gorzką pigułką do przełknięcia. Teraz czuł się jak amputowana, niepotrzebna część ciała.

- Co za piękny dzień! - zauważył, patrząc na poruszane przez wiatr gałęzie. Był ubrany w swój brązowy, dokładnie odprasowany uniform, obwieszony medalami i wstążkami, a na głowie miał czapkę z czarnym daszkiem, ozdobioną herbem cara Mikołaja II.

- Puszczam latawiec - powiedział ojcu rozgorączkowany Michaił. - Poleciał prawie do nieba.

- Brawo - odpowiedział Gałatinow i wyciągnął dłoń do Alicji. - Mój złoty aniołku, pomóż mi wsiąść, dobrze?

Jelena patrzyła, jak Alicja pomaga ojcu wejść do bryczki, podczas gdy Michaił stał obok, trzymając w rękach latawiec. Dotknęła ramienia syna.

- Chodź, Michaił, sprawdzimy, czy wszystko jest zapakowane. Włożyli latawiec do kufra, a Dymitr zamknął jego pokrywę.

Potem Jelena i Michaił usiedli twarzą do Fiodora i Alicji w wykładanym czerwonym aksamitem wnętrzu, a kiedy Dymitr strzelił lejcami i dwa kasztany ruszyły w drogę, pomachali Sophie na do widzenia.

Michaił wyglądał przez owalne okienko, a Alicja rysowała coś na kartonie. Rodzice rozmawiali o rzeczach, które on ledwie pamiętał: o wiosennym święcie w Sankt Petersburgu, o posiadłości, w której mieszkali, zanim się urodził, o ludziach, których nazwiska były mu znane tylko stąd, że słyszał o nich wcześniej. Patrzył, jak pola pomału ustępują miejsca lasom pełnym potężnych dębów i drzew iglastych. Wsłuchiwał się w skrzypienie kół i pobrząkiwanie metalowych elementów uprzęży. Kiedy przejeżdżali przez kwitnącą łąkę, wewnątrz powozu wypełniło się balsamicznym zapachem dzikich kwiatów. Potem zobaczył stadko saren na skraju lasu. Alicja też podniosła głowę znad rysunku, by im się przyjrzeć. Michaił był zamknięty w domu od połowy października do końca kwietnia. Cierpliwie odrabiał lekcje, które zadawała Magda, guwernantka jego i Alicji. Teraz jednak zmysły chłopca zaczęły buntować się pod wpływem wiosny. Zimowa okrywa zniknęła z ziemi, przynajmniej przejściowo, i świat Michaiła przywdziewał delikatne zielone szaty.

Majowy piknik był corocznym rytuałem, ogniwem łączącym ich obecne życie z życiem w Petersburgu. Tego roku Dymitr znalazł dla nich dobre miejsce na brzegu jeziora, około godziny drogi od domu. Zobaczyli niebieską, marszczącą się od wiatru powierzchnię i kiedy Dymitr zajechał powozem na łąkę, Michaił usłyszał krakanie wron siedzących na wielkim pokrzywionym dębie. Jezioro otaczał las. Jego szmaragdowej dzikości nie zakłócały żadne ludzkie siedziby w obrębie stu mil na północ, południe i zachód.

Dymitr zatrzymał powóz, zablokował koła i pozwolił koniom napić się wody z jeziora. Gałatinowowie tymczasem wydobyli koszyki z kufra i rozłożyli się nad samym brzegiem

jeziora. Rozpoczęli posiłek złożony z pieczonej szynki, smażonych ziemniaków, ciemnego pszennego chleba i piernika z cukrową polewą. Jeden z koni parsknął i zadreptał nerwowo w miejscu, ale Dymitr go uspokoił.

Fiodor siedział z twarzą zwróconą w kierunku lasu.

- Wyczuwa coś dzikiego - powiedział do Jeleny, nalewając dla nich obojga po kieliszku czerwonego wina. - Dzieci, nie odchodźcie od nas za daleko! - przestrzegł.

- Tak, ojciec - powiedziała Alicja, ale już zdejmowała buty i podnosiła skraj różowej sukienki, żeby pobrodzić w wodzie.

Michaił poszedł razem z nią i zaczął szukać ładnych kamyków w płytkiej wodzie. Dymitr usiadł niedaleko powozu na zwałonym pniu, obok położył karabin i zapatrzył się na sunące po niebie chmury.

Czas płynął przyjemnie. Uzbierawszy pełne kieszenie kamyków, Michaił wyciągnął się na rozświetlonej słońcem łące i obserwował, jak rodzice siedzą razem na kocu i rozmawiają. Alicja leżała śpiąc obok ojca, który co chwila dotykał pieszczotliwie jej ramienia lub ręki. Michaił niespodziewanie zdał sobie sprawę, że ojciec nigdy nie dotyka jego w taki sposób. Nie wiedział, dlaczego w oczach ojca pojawia się mroźny wyraz, gdy spogląda na niego. Czasami czuł się jak małe zwierzątko żyjące pod kamieniem, a innymi razy nie przejmował się tym, jednak nie było chwili, żeby w głębi serca nie odczuwał bólu.

Po pewnym czasie matka położyła głowę na ramieniu ojca i oboje zasnęli. Michaił przez chwilę obserwował krążącego wysoko kruka, od którego granatowoczarnych skrzydeł odbijały się promienie słońca, a potem wstał i podszedł do powozu, żeby wziąć latawiec. Zaczął biegać w tę i z powrotem, rozwijając linę, i w końcu podmuch wiatru pochwycił latawiec, napiął pokrywający go jedwab i uniósł gładko w powietrze.

Zaczął wołać do rodziców, ale obydwójce spali. Alicja też spała, przycisnąwszy się plecami do boku ojca. Dymitr siedział na zwałonym pniu pogrążony w myślach, trzymając karabin na kolanach.

Latawiec wzbił się wyżej. Linka ciągle się rozwijała i Michaił przesunął palce, żeby lepiej trzymać kołowrotek. Wiejący nad koronami drzew silny wiatr pochwycił latawiec i rzucił nim na prawo i lewo, napinając linę, która zagrała jak struna mandoliny. Latawiec wznosił się coraz wyżej. „Za wysoko” - pomyślał Michaił i zaczął związać linę. Wtem podmuch wiatru uderzył pod innym kątem, uniósł latawiec do góry i targnął nim w bok. Linka napięła się i pękła jakieś sześć stóp poniżej balsowej poprzeczki latawca.

- Och, nie! - Michaił ledwie się powstrzymał od krzyku. Latawiec był prezentem od matki na jego ósme urodziny, które przypadały siódmego marca, a teraz leciał unoszony przez

wiatr nad wierzchołkami drzew w kierunku gęstego lasu. Och, nie! Obejrzał się na Dymitra i zaczął wołać o pomoc, ale woźnica siedział z dłońmi przyciśniętymi do twarzy, jakby na coś cierpiał. Reszta rodziny spała dalej. Michaił pamiętał, jak bardzo ojciec się złości, gdy ktoś go budzi z drzemki. Za chwilę latawiec już miał zniknąć nad lasem, więc już teraz musiał się zdecydować, czy stać i patrzeć, jak odlatuje, czy pobiec za nim w nadziei, że opadnie na ziemię, gdy wiatr osłabnie.

„Dzieci - przypomniał sobie słowa ojca - nie odchodźcie od nas za daleko!”

Ale to był jego latawiec i gdyby się zgubił, mama bardzo by się martwiła. Obejrzał się znowu na Dymitra, ale ten wcale się nie poruszył. Cenne sekundy uciekały bezpowrotnie.

Michaił zdecydował się. Rzucił się biegiem przez łąkę i zagłębił w las.

Spoglądając w górę poprzez zielone liście i płataninę gałęzi, dostrzegał niesiony wiatrem latawiec. Kiedy tak biegł przez las za miotanym na boki latawcem, wyjął garść gładkich kamyków z kieszeni i zaczął je upuszczać na ziemię, aby zaznaczyć powrotną drogę. Latawiec leciał dalej, a chłopiec biegł za nim.

Niespełna dwie minuty po tym, jak Michaił opuścił łąkę, główną drogą nadjechało nad jezioro trzech jeźdźców. Wszyscy byli ubrani w ciemne, połatane, chłopskie ubrania. Jeden z nich miał karabin przewieszony przez ramię, a dwaj pozostali pistolety zatknięte za pasy z nabojami. Podjechali do miejsca, gdzie spała rodzina Gałatinowów, a wtedy jeden z koni parsknął i zarżał. Dymitr rozejrzał się i podniósł się na nogi. Na twarz wystąpiły mu błyszczące krople potu.



Fiodor Gałatinow obudził się, kiedy trzy cienie padły na koc, na którym spali. Zamrugał oczami, widząc konie i jeźdźców, a kiedy siadał, jego żona również się obudziła. Spojrzała na nich, trąc oczy.

- Dzień dobry, generale Gałatinow - odezwał się pierwszy jeździec, mężczyzna o pociągłej twarzy i krzaczastych rudych brwiach. - Nie widziałem pana od Kowla.

- Od Kowla? Kim... kim jesteście?

- Siergiej Szczedrin. Byłem porucznikiem Gwardyjskiej Armii. Może pan mnie nie pamięta, ale na pewno pamięta pan Kowel!

- Oczywiście, że pamiętam. Każdego dnia myślę o tym. - Gałatinow podniósł się na nogi, podpierając się laską. Twarz poczerwieniała mu z gniewu. - Co to ma znaczyć, poruczniku Szczedrin?

- O nie! - powiedział jeździec, wysuwając rękę i poruszając nią w przeczącym geście.

- Teraz jestem po prostu towarzysz Szczedrin. Towarzysze Anton i Danałow też byli w Kowlu.

Gałatinow przesunął wzrokiem po twarzach dwóch pozostałych mężczyzn. Anton miał szerokie oblicze z tłustymi policzkami, a na twarzy Danałowa widniała blizna od rany zadanej bagnetem, biegnąca od lewej brwi i niknąca wyżej we włosach. Patrzyli na niego zimno i z pewnym zainteresowaniem, jakby badali pod lupą jakiegoś insekta.

- Przyprawiliśmy też ze sobą resztę naszej kompanii - powiedział Szczedrin.

- Resztę kompanii? - Gałatinow rozejrzył się, nie rozumiejąc.

- Niech pan słucha. - Szczedrin przechylił głowę, jakby łowił uchem szum wiatru w lesie. - Oni są tam, szepczą. - Niech pan słucha, co mówią. „Sprawiedliwości, sprawiedliwości!” Słyszycie ich pan, generale?

- Jesteśmy tu na pikniku - powiedział stanowczym tonem Gałatinow. - Chciałbym, żeby panowie odjechali.

- Tak, pewnie, że pan by chciał. Jaką pan ma wspaniałą rodzinę.

- Dymitr! - krzyknął generał. - Dymitr, strzel w powietrze nad... - Obrócił się w kierunku Dymitra, ale to, co zobaczył, sprawiło, że serce w nim zamarło.

Dymitr stał około piętnastu jardów od nich, ale nawet nie odbezpieczył karabinu ani nie podniósł go do pozycji strzeleckiej. Patrzył w ziemię przygarbiony.

- Dymitr! - znowu krzyknął Gałatinow, chociaż zrozumiał już, że nie uzyska odpowiedzi. Poczł suchość w gardle. Chwycił w dłoń zimną rękę Jeleny.

- Dziękujemy wam za przywiezienie ich tutaj, towarzyszu Dymitrze - powiedział Szczedrin. - Wasze zasługi będą odnotowane i nagrodzone.

Biegąc przez las, Michaił miał wrażenie, że słyszy wołanie ojca. Serce zabiło mu mocniej. Ojciec pewnie się obudził i teraz go woła. Zanosilo się na to, że czeka go wkrótce kara, ale w tej chwili ważne było, że latawiec zaczął obniżać lot, a jego linka zaczepiała o wierzchołek dębu. Zaraz jednak wiatr znowu go poderwał. Michaił przedzierał się przez gęste zarośla, deptając po miękkich, gąbczastych dywanach opadłych liści i mchu, i dalej biegł za latawcem. Jeszcze dziesięć stóp, dwadzieścia, trzydzieści... Kolce chwyciły go za włosy, ale wyrwał się im, pochylał głowę, żeby nie zaczepiać o cierniste gałęzie, i upuszczał kolejny kamyk na ziemię, znacząc drogę.

Latawiec znowu opadł, zaczepiając o konary, zaraz jednak, jakby na złość, po raz kolejny poderwał się w powietrze. Po chwili wznosił się ostro w błękitne niebo. Słońce na przemian z cieniem gałęzi grało na twarzy Michaiła, gdy podnosił głowę, by obserwować latawiec.

Nagle coś poruszyło się w zaroślach po lewej, nie dalej niż dwanaście stóp od niego.

Zamarł w miejscu, a latawiec znowu przyspieszył i oddalił się jeszcze bardziej. Szmer ucichł. Jakby jakaś istota przyczaiła się w krzakach, wyczekując.

Z prawej strony poruszyło się coś innego. Michaił usłyszał lekki szelest suchych liści pod czyimiś stopami.

Przełknął ślinę. Zaczł wołać matkę, ale była za daleko, by go usłyszeć, a w dodatku nie chciał krzyczeć głośno.

Cisza, tylko szum wiatru w gałęziach drzew.

Michaił poczuł zapach jakiegoś zwierzęcia, ostrą woń istoty, której oddech roztaczał odór rozłożonego mięsa. Czuł, że jakieś dwa stwory przyglądają mu się z przeciwnych stron. Pomyślał, że jeżeli zacznie biec, to skoczą na niego z tyłu. Instynktownie chciał odwrócić się z krzykiem i uciekać na złamanie karku przez las, ale zdusił w sobie ten odruch. Nie, nie. „Gałatinow nigdy nie ucieka” - powiedział mu raz ojciec. Michaił poczuł spływającą mu po plecach kroplę potu. Nieznane bestie czekały, co zrobi; były bardzo blisko. Obrócił się na drżących nogach i zaczął iść powoli z powrotem, odszukując drogę po leżących na ziemi kamykach z jeziora.

„Gałatinow nigdy nie ucieka” - pomyślał Fiodor. Rozejrzył się po łące. „Misza! Gdzie jest Misza?”

- Nasza kompania została wycięta pod Kowlem - powiedział Szczedrin. Wychylił się z siodła do przodu, opierając dłonie na łęku. - Wycięta. Kazano nam biec przed siebie przez bagno na gniazdo karabinów maszynowych otoczone drutem kolczastym. Oczywiście pamięta pan to.

- Pamiętam wojnę - odpowiedział Gałatinow. - Pamiętam wiele tragedii.

- Dla pana to tragedia, a dla nas rzeź. Oczywiście wypełnialiśmy rozkazy. Byliśmy dobrymi żołnierzami cara, jakżeż więc moglibyśmy nie słuchać rozkazów?

- Wszyscy w tamtych czasach słuchaliśmy tych samych rozkazów.

- Tak, słuchaliśmy - zgodził się Szczedrin. - Ale niektórzy wykonywali je, przelewając krew niewinnych ludzi. Pana ręce są nadal czerwone. Jeszcze widzę, jak z nich kapie krew.

- Niech pan się przypatrzy lepiej. - Gałatinow podszedł do jeźdźca, chociaż Jelena próbowała go zatrzymać. - Widać też moją krew.

- A! - Szczedrin skinął głową. - Zgadza się, ale wydaje mi się, że to nie wystarczy.

Jelena jęknęła. Anton wyciągnął pistolet z kabury i odbezpieczył go.

- Niech oni odejdą - powiedziała Alicja ze łzami w oczach. - Proszę, tato, niech odejdą!

Danałow też wyciągnął pistolet i odciągnął kurek.

Gałatinow stanął, przestaniając sobą żonę i córkę. W oczach miał wściekłość.

- Jak ośmielacie się wyciągać broń przeciwko mnie i mojej rodzinie?! - zawołał unosząc łaskę. - Do diabła z wami! Odłóżcie pistolety!

- Mamy tu dokument do odczytania - powiedział Szczedrin, nie poruszony jego reakcją. Wyjął z sakwy przy siodle rulon papieru i rozwinął go. - Do Fiodora Gałatinowa, generała w służbie cara Mikołaja II, bohatera - uśmiechnął się cierpko - spod Kowla i dowódcy Gwardyjskiej Armii. Od żołnierzy Gwardyjskiej Armii, którzy przeżyli, którzy cierpieli i którzy byli zabijani z powodu nieudolności cara i jego imperialnego dworu. Ponieważ nie możemy dostać cara, to dostaniemy ciebie. I w ten sposób sprawa będzie zamknięta ku naszej satysfakcji.

„To komando egzekucyjne” - uświadomił sobie Gałatinow. Bóg jeden mógł wiedzieć, od jak dawna próbowali go odnaleźć. Obejrzał się szybko. Nie, nie ma żadnej drogi ucieczki. Misza! Gdzie jest Misza? Serce zabiło mu mocniej, a dłonie pokryły się potem. Alicja zaczęła łkać, ale Jelena milczała. Gałatinow spojrział na pistolety i w oczy trzymających je mężczyzn. Nie było żadnego wyjścia z tej sytuacji.

- Pozwólcie odejść mojej rodzinie! - zażądał.

- Żaden Gałatinow nie opuści tego miejsca żywy - odpowiedział Szczedrin. - My wiemy, na czym polega dobrze wykonane zadanie, towarzyszu. Możecie to uważać za swój prywatny Kowel. - Zdjął karabin z ramienia i odciągnął rygiel zamka, żeby przeładować broń.

- Wy przekłete psy! - zawołał generał i ruszył do przodu, chcąc uderzyć Szczedrina laską w twarz.

Anton strzelił Gałatinowowi w pierś, zanim ten zdążył opuścić laskę. Jelena i jej córka podskoczyły, słysząc trzask pistoletu. Odgłos wystrzału potoczył się po łące jak jakiś dziwny grzmot. Stado kruków poderwało się z wierzchołka drzewa i odleciało w popłochu. Gałatinow przechylił się do tyłu, uderzony kulą, i osunął na kolana. Z przodu jego munduru rozkwitła szkarłatna plama; jęknął, nadaremnie usiłując wstać. Jelena krzyknęła i upadła obok męża, obejmując go ramionami, jakby mogła go tym ochronić przed następną kulą. Alicja odwróciła się i zaczęła uciekać w kierunku jeziora. Nie przebiegła jeszcze dziesięciu stóp, gdy Danałow strzelił dwa razy, trafiając ją w plecy. Upadła na ziemię jak worek pełen skrwawionego ciała i pogruchotanych kości.

- Nie! - zawołał Gałatinow, odpychając się od ziemi zdrową nogą. Z ust ciekła mu krew, a w jego oczach zamarło przerażenie. Zaczął się podnosić, z nadal obejmującą go ramionami Jelena.

Szczedrin pociągnął za spust karabinu i kula uderzyła Gałatinowa w twarz. Kawałki kości i mózgu trysnęły na suknię Jeleny. Drgające konwulsyjnie ciało runęło do tyłu, pociągając za sobą kobietę. Upadli między koszyki, butelki z winem i pokryte okruchami talerze. Danałow strzelił w brzuch generała, a Anton posłał jeszcze dwie kule w jego głowę. Jelena krzyczała przeraźliwie.

- O Boże! - jęknął Dymitr. Krztusząc się, podbiegł do brzegu jeziora i zaczął gwałtownie wymiotować.

Michaił usłyszał serię trzasków, a po nich krzyk. Zatrzymał się. Idące jego śladem stwory też się zatrzymały. „To głos matki” - pomyślał. Twarz ścięła mu się ze strachu. Rzucił się przez las, nie zważając na czyhające za plecami niebezpieczeństwo. Gałęzie chwyciły za koszulę, usiłując go przewrócić. Biegł zaznaczoną przez siebie ścieżką, ślizgając się na porośniętych przez mech kamieniach i zapadając po kostki w gnijące liście. Po chwili wypadł z lasu na łąkę i wtedy zobaczył trzech jeźdźców i leżące na ziemi ciała. Wśród zielonej trawy jaskrawo odcinały się czerwone plamy. Czując, jak coś go ściska w żołądku i mięknie mu kolana, zobaczył, że jeden z mężczyzn przeładowuje karabin i celuje w...

- Mamo! - krzyknął. Jego głos poniósł się echem po łące. Anton i Danałow obejrżeli się w kierunku chłopca. Jelena

Gałatinowa, klęcząc na kolanach, w ociekającej od krwi białej sukience, też go zobaczyła.

- Uciekaj, Misza! - krzyknęła. - Ucie...

Kula karabinu uderzyła ją w czoło. Michaił zobaczył, jak głowa jego matki się rozpada.

- Załatwcie chłopaka! - polecił Szczedrin i Anton podniósł dymiący pistolet.

Michaił stał jak sparaliżowany, patrząc w czarne oko lufy pistoletu. „Gałatinow nigdy nie ucieka” - pomyślał i wtedy zobaczył, jak palec mężczyzny zaciska się na spuście, a z lufy pistoletu wyskakuje język ognia. Usłyszał wibrujący jęk i poczuł gorący podmuch koło lewego policzka. Trafiona kulą gałązka pękła za jego plecami.

- Zabij go! Zabij go, do cholery! - wrzasnął Szczedrin, wprowadzając następny pocisk do lufy i obracając konia.

Danałow zaczął celować do Michaiła. Anton też się gotował do oddania drugiego strzału.

I wtedy chłopiec rzucił się do ucieczki. Obrócił się, mając jeszcze w uszach krzyk matki, i skoczył między drzewa. Kula z pistoletu uderzyła w pień, obsypując Michaiła odłupanymi drzazgami. Potknął się o jakiś pęd i zachwiał, ledwie ratując się przed upadkiem. Rozległ się jeszcze głośniejszy huk wystrzału z karabinu i kula przeleciała mu nad głową.

Zaczął przyśpieszać, prac przez zarośla, ślizgając się na leżących na ziemi starych liściach i przedzierając się przez cierniste krzaki. Stoczył się na dno wąwozu, stanął na nogi i zagłębił się jeszcze dalej w dziki las.

- Za nim! - polecił swoim kompanom Szczedrin. - Nie możemy pozwolić, żeby ten sukinsyn nam uciekł! - Spiął ostrogami wierzchowca i wpadł do lasu. Anton i Danałow podążyli za nim. Michaił, słysząc za sobą tętent kopyt, wdrapał się na kamieniste zbocze pagórka i na wpół zbiegł, na wpół zsunął się z drugiej strony.

- Tędy! - usłyszał wołanie jednego z mężczyzn. - Tędy, widziałem go!

Ciernie kaleczyły twarz Michaiła i rozrywały mu koszulę. Mrugał oczami, żeby powstrzymać łzy. Pulsujący ból obezwładniał mu nogi. Znowu rozległ się strzał i kolejna kula uderzyła w pień drzewa o pięć stóp od niego.

- Oszczędzaj naboje, idioto! - krzyknął Szczedrin, patrząc na znikające między drzewami plecy chłopca.

Michaił biegł dalej, wtulając głowę w ramiona w oczekiwaniu na uderzenie ołowianej kuli. Płuca omal mu nie pękły z wysiłku, a serce kołatało w piersiach jak oszalałe. Odważył się obejrzeć. Jeźdźcy podążali za nim, a spod kopyt koni tryskały w powietrze gnijące liście. Spojrzał znowu przed siebie i skręcił w lewo, wpadając w gęste, splątane przez pnącza zarośla.

Nagle koń Antona trafił kopytem w norę susła. Zwierzę zarżało i upadło. Jeździec spadł na ostrą skałę, a jego prawe kolano rozłupało się o nią jak przejrzały owoc. Wrzasnął z bólu. Jego koń zaczął się miotać, próbując wstać. Jednak Szczedrin i Danałow nie przerwali pościgu.

Michaił, przedzierając się przez zarośla, zaczął się zsuwać w zieloną rozpadlinę. Dobrze wiedział, co się stanie, jeżeli mordercy go dopadną, i strach dodawał mu sił. Pośliznął się na pokrywającym ziemię sosnowym igliwiu i zsunął niżej pomiędzy rosnącymi w cieniu czerwonymi muchomorami. Za nim rozległo się parskanie konia i krzyk jednego z mężczyzn:

- Jest tutaj! Ucieka w dół!

Przed Michaiłem stał las iglasty, pełen gęstych zarośli, ciemnych krzewów i jagód. Rzucił się w największy gąszcz, mając nadzieję, że przedrze się przez płataninę pędów do samej ziemi, gdzie nie będą mogli dotrzeć ścigający go jeźdźcy. Wyciągnął ręce do przodu, rozchylił zakrwawionymi dłońmi gęstwinę i tuż przed swoim nosem dojrzał pysk jakiegoś zwierzęcia.

To był wilk. Miał ciemnobrązowe oczy i gładkie rdzawobrzazowe futro. Michaił upadł na plecy, otwarłszy usta do krzyku, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Wilk skoczył.

Otworzył paszczę i chwycił Michaiła zębami za lewe ramię, obalając go na ziemię. Chłopiec z trudnością chwycił oddech, bliski utraty przytomności. Zęby wilka zaciskały się na jego ramieniu, grożąc przegryzieniem ciała i zmiżdżeniem kości. W tym momencie przez zarośla przebił się koń niosący Siergieja Szczedriny. Zarył kopytami w miejscu i uniósł się na tylnych nogach z przerażonymi oczami. Ujrawszy tuż pod sobą wilka, Szczedrin wypuścił z rąk karabin i krzyknął, chwytając oburącz konia za szyję.

Wilk zostawił ramię Michaiła, obrócił się błyskawicznie i wbił zęby głęboko w brzuch konia. Wierzchowiec zakwiczał, wierzgnął dziko nogami i upadł na bok, przyciskając nogę Szczedriny.

- O Jezu! O Jezu! - krzyknął Danałow, ściągając na stoku wzgórze wodze swojego konia.

Dwie sekundy później wielki szary wilk, który biegł za nim, przyskoczył do boku konia, podciągnął się przednimi łapami aż do siodła i wbił kły w kark Danałowa. Potrząsnął nim jak szmacianą lalką, łamiąc mu kręgosłup, i zrzucił go z siodła na ziemię. Koń stoczył się po zboczu, rzucając się konwulsyjnie i wzniesając burzę suchych liści i igieł.

Trzeci wilk, który miał płowe futro i lodowatoniebieskie oczy, wypadł z zarośli i chwycił za ramię Danałowa. Potężnym szarpnięciem łba bestia złamała mu rękę w łokciu, aż końcówki rozłupanych kości przebiły się przez tkanę. Ciało Danałowa zadrgało w agonii. Szary wilk, ten, który zrzucił go z siodła, chwycił mężczyznę za gardło i zmiażdżył mu krtań jednym zaciśnięciem szczęk.

Szczedrin szarpał się, żeby wyciągnąć nogę spod konia, którego brzuch był już niemal całkiem rozpruty przez wilka. Zwoje parujących jelit wysunęły się z ziejącej rany i zwierzę kwiczało z bólu. Kolejna bestia, jasnobrązowa ze smugami szarego futra, wyskoczyła z zarośli i wylądowała na szyi konia, rozrywając ją zębami i pazurami. Szczedrin krzyczał wysokim głosem, wbijając palce w ziemię, żeby się oswobodzić. Michaił siedział tylko kilka stóp od niego, oszołomiony i na wpół przytomny, a krew, zmieszana ze śliną wilka, spływała mu z ran na ramieniu.

Anton, który leżał na ziemi po drugiej stronie wzgórza, usłyszał odgłosy walki i chwytając się za strzaskane kolano, usiłował przeczołgać się przez zarośla. Jego koń próbował się podnieść mimo złamanej pęciny. Anton przeczołgał się może osiem stóp, co wystarczyło, żeby ból wypełnił każdy nerw jego ciała, kiedy z zarośli wynurzyły się dwa mniejsze wilki, jeden ciemnobrązowy i jeden rudy. Chwyciły go jednocześnie zębami za obydwie przeguby, łamiąc mu kości szybkimi szarpnięciami łbów. Anton zaczął wzywać na pomoc Boga, ale w tej głuszy Bogiem były bestie z kłami.

Obydwa wilki, pracując zgodnie, pogruchotały Antenowi ramiona i żebra, a potem rudy wilk chwycił go za gardło, podczas gdy ciemnobrązowy zacisnął szczęki na jego skroni. Anton trząsał się i jęczał, zamieniony w bezrozumny szczątek człowieka. Bestie zmiażdżyły mu gardło i rozłupały czaszkę jak gliniany garnek.

Szczedrin, drapiąc rękami ziemię, częściowo zdołał się wydostać spod drgającej masy konającego konia. Łzy przerażenia płynęły mu z oczu. Chwycił rękami pień młodego drzewka i podciągnął się nieco, lecz drzewko się złamało. Poczawszy odór krwi i oblewające twarz gorąco, obejrzał się i ujrzał pysk jasnobrązowej bestii.

Paszczka wilka ociekała krwią. Zwierz patrzył wprost w jego oczy i przez może trzy okropne sekundy Szczedrin zdołał wykrztusić:

- Proszę...

Wilk skoczył do przodu, chwycił go zębami za twarz i zerwał z niej skórę, jakby to była maska. Odkryte czerwone mięśnie zadrgały, a zęby zadzwoniły o siebie. Wilk postawił łapy na ramionach Szczedriny i z dreszczem podniecenia połknął ściągniętą z jego twarzy skórę. Pozbawione powiek oczy patrzyły ze spływającej krwią twarzy. Szary wilk, szeroki w barach i muskularny, przyskoczył bliżej i złamał Szczedriniemu kark. Rdzawy wilk oderwał mu dolną szczękę i wyrwał wystający język, a potem jasnobrazowy chwycił zębami czaszkę, rozłupał ją i rozpoczął ucztę.

Michaił jęczał cicho, usiłując zachować przytomność. Potworny szok paraliżował wszystkie jego zmysły. Rdzawy wilk, ten, który ugryzł go w ramię, obrócił się i ruszył w jego stronę.

Zatrzymał się pięć stóp od chłopca, węsząc w powietrzu i wciągając w nozdrza jego woń. Ciemne oczy wilka wbiły się w twarz Michaiła. Mijały sekundy. Michaił, niemal omdlały, nie mógł oderwać wzroku od wilka i w swoim delirycznym stanie, wywołanym bólem i psychicznym szokiem, pomyślał, że bestia zadaje mu jakieś pytanie, które mogłoby brzmieć: „Czy chcesz umrzeć?”

Michaił, wytrzymując przenikliwy wzrok zwierzęcia, sięgnął ręką w bok i chwycił ułamaną gałąź. Podniósł ją drżącą ręką, żeby uderzyć wilka w głowę, kiedy ten skoczył do przodu i zatrzymał się nagle. Stał w bezruchu, jego oczy wyglądały jak bezdenne ciemne wiry.

Wtem szary wilk trącił rdzawego nosem w żebra, przerywając jego morderczy trans. Rdzawy wilk zamrugał, parsknął, jakby dając do zrozumienia, że się zgadza, i odwrócił się, żeby kontynuować ucztę nad szczątkami Siergieja Szczedriny. Szary wilk rozłupał tymczasem mostek ofiary i wbił pysk w ciało w poszukiwaniu serca.

Michaił trzymał kij, zaciskając na nim zbielełe palce. Jeden z wilków pożerających ciało Antona po drugiej stronie wzgórza zawył niskim tonem. Wycie, początkowo ciche, wnet wybuchło z całą intensywnością, odbijając się po lesie i wypłaszając ptaki z drzew. Niebieskooki wilk o płowym futrze przerwał szarpanie zmasakrowanego tułowia Danałowa, podniósł pysk do góry i odpowiedział wyciem, które przypawiło Michaiła o dreszcz i spowodowało, że zniknął gdzieś otepiający go ból głowy. Jasnobrazowy wilk zawył ponownie, rdzawy dołączył do niego i zaśpiewały razem w niesamowitej harmonii, podnosząc skrwawione pyski. W końcu szary wilk też uniósł głowę i wydał zawodzące, pozbawione melodii wycie, które uciszyło pozostałe bestie. Wycie falowało narastając, zmieniło wysokość i dosięgło wyżyn. Po chwili szary wilk nagle przerwał swą pieśń i cała wataha powróciła do ucztę złożonej z mięsa koni i ludzkich ciał.



Gdzieś z oddali nadleciało kolejne wycie, rozbrzmiewało może piętnaście sekund, po czym ścichło i całkowicie zamarło.

Przed oczami Michaiła zatańczyły ciemne plamy. Przycisnął dłoń do ramienia. W otworach ran widać było jasnoróżową tkankę. Chciał wołać matkę i ojca, ale nagle przypomniały mu się przerażające sceny, które ujrzał nad jeziorem, i niemal stracił świadomość.

Był jednak na tyle przytomny, aby rozumieć, że prędzej czy później stado wilków rozerwie go na strzępy.

To nie była zabawa. To nie była bajka opowiadana przez matkę w złotawym blasku lampy. To nie były baśnie Andersena czy Ezopa. To było prawdziwe życie i prawdziwa śmierć.

Potrząsnął głową, żeby pozbyć się ciemnych plam sprzed oczu. „Uciekać - pomyślał. - Gałatinow nigdy nie ucieka. Muszę uciekać... muszę...”

Jasnobrązowy wilk z szarymi pasmami i wilk o płowym futrze kłapały na siebie groźnie paszczami nad czerwonymi kawałkami wątroby Danałowa. Potem jasny wilk się wycofał, pozwalając silniejszemu drapieżnikowi pożreć łup. Masywny szary wilk wrywał kawałki mięsa z boków konia.

Michaił zaczął odczołgiwać się od bestii, odpychając się nogami. Nie spuszczał ze stada oczu, spodziewając się ataku. Płowy wilk popatrzył na niego przez moment błyszczącymi niebieskimi oczami i znowu wrócił do pożerania końskich wnętrzności. Michaił wsunął się w zarośla, oddychając chrapliwie, i pośrodku kępy krzaków porośniętych zielonymi pnączami stracił świadomość. Ogarnęła go ciemność.

Popołudnie dobiegało końca. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Głębokie cienie wypełniły las i miejscami zrobiło się chłodniej. Ciała kurczyły się, oskubywane do samego szkieletu. Kości pękały z traskiem wystrzałów pistoletowych, wylewając z siebie czerwony szpik.

Wilki najadły się do syta i z obrzmiałymi ciałami zaczęły się oddalać wśród narastających cieni.

Wszystkie z wyjątkiem jednego. Wielki szary wilk powęszył w powietrzu i stanął przy ciele chłopca. Obwąchał wilgotne rany na ramieniu Michaiła i wyczuł zapach krwi zmieszanej z wilczą śliną. Patrząc w dół na twarz Michaiła, stał przez dłuższy czas bez ruchu, jakby się oddawał poważnej kontemplacji.

Westchnął.

Światło słońca już prawie całkiem zniknęło. Nad lasem na ciemniejącym wschodnim nieboskłonie zaczęły się pojawiać blade punkciki gwiazd. Nad Rosją zawisł sierp księżyca.

Wilk pochylił się i odwrócił chłopca na brzuch swym zakrwawionym pyskiem. Michaił jęknął, poruszył się i znowu osunął w nieświadomość. Szczęki wilka zacisnęły się delikatnie, ale wystarczająco mocno, na karku chłopca i z łatwością podniosły bezwładne ciało z ziemi. Bestia ruszyła przez las, rozglądając się bursztynowymi oczami na prawo i lewo, żeby nie dać się zaskoczyć wrogowi. Buty dziecka wlokły się po ziemi, żłobiąc bruzdy w warstwie dawno opadłych liści.

Gdzieś, kiedyś usłyszał wyjący chór. Głos leciał w ciemnościach ponad lasem i wzniesieniami, ponad jeziorem i łąką, gdzie wśród kwitnących mleczy leżały ciała. Wilcza pieśń wzbijała się, rozpadając na nie skoordynowane dźwięki i powracając znowu do harmonii. Michaił usłyszał własny, przypominający nieporadne wycie jęk i poczuł wypełniający ciało ból. Miał pot na twarzy i okropnie paliło go w ranach. Usiłował otworzyć oczy, ale powieki były zlepione zaschłymi łzami. Nozdrza wypełniał mu zapach krwi i mięsa. Na twarzy czuł gorący oddech. Coś sapało tuż przy nim jak pracujący równomiernie miech.

Znowu otoczyła go litościwa ciemność i z ulgą wśliznął się w jej aksamitne objęcia.

Obudziły go łagodne, wysokie tryle ptaków. Wiedział, że jest przytomny, ale przez chwilę zastanawiał się, czy jest w niebie. Jeżeli tak, to Bóg nie wyleczył jego ramienia ani anioły nie scałowały sklejących mu oczy łez. Musiał niemalże siłą odrywać powieki od siebie.

Słońce i cień. Zimne kamienie i zapach wiekowej gliny. Usiadł, czując w ramieniu przeszywający ból.

„Nie, to nie niebo” - pomyślał. To nadal było piekło, do którego wpadł wczoraj. A raczej wydawało mu się, że minął przynajmniej dzień. Teraz był złoty, słoneczny poranek. Światło słońca przeświecało jasno przez płataninę gałęzi i pnączy, które widać było za wielkim, pozbawionym szyb, owalnym oknem. Pnącza dostały się do środka i rosły przywierając do ściany, na której była wyblakła mozaika przedstawiająca postaci niosące świece.

Podniósł głowę, czując ból w zeszywniałych mięśniach karku. Zobaczył nad sobą wysoki strop podparty drewnianymi belkami. Siedział na kamiennej podłodze wielkiej sali, przez której liczne okna wlewało się światło słońca. W niektórych z okien nadal tkwiły kawałki ciemnoczerwonego szkła. Pnącza, pijane wiosennym słońcem, przyodzabiały ściany i zwisały z sufitu. Przez jedno z okien wchodziła do pomieszczenia gałąź dębu, a we wnękach ścian gruchały gołębie.

Wiedział jedynie tyle, że jest daleko od domu. „Mama - pomyślał. - Ojciec. Alicja”. Serce zakolało mu w piersiach i nowe łzy spłynęły po policzkach. Oczy paliły go jakby oparzone sceną morderstwa, której był świadkiem. Wszyscy zabici. Wszyscy odeszli. Zaczął się kołysać, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Wszyscy zabici. Wszyscy odeszli. Żegnajcie.

Pociągnął nosem mokrym od śluzu. Usiadł prosto, przepełniony nagłym strachem.

Wilki! Gdzie są wilki?

„Mogę siedzieć tutaj, w tym miejscu - postanowił. - Będę siedział tutaj, aż ktoś po mnie przyjdzie. Nie zajmie to wiele czasu. Ktoś na pewno przyjdzie. Czyż może być inaczej?”

Poczuł jakiś metaliczny odór. Spojrzał w prawo i zobaczył na porośniętym mchem kamieniu kawałek zakrwawionego mięsa. Wyglądał jak wątroba. Obok mięsa leżało z tuzin jagód.

Michaił poczuł mróz w płucach. Krzyk zastygł mu w poranionym gardle. Oddalił się na czworakach od okropnego daru, jęcząc jak zwierzę, i wcisnął się w kąt sali. Zadrzał i zaczął wymiotować, pozbywając się resztek pikniku.

„Nikt nie przyjdzie - pomyślał, drżąc i jęcząc. - Nigdy. Wilki były tu jakiś czas temu i mogą wkrótce wrócić. Jeżeli mam uciec, to muszę znaleźć wyjście z tego miejsca”. Siedział, kuląc się w sobie i drżąc, aż w końcu zmusił swoje ciało, żeby stanęło na nogi. Stał niepewnie, bliski upadku. Wyprostował się jednak całkiem, trzymając dłoń na pulsujących bólem ranach na ramieniu, i rzucił się z sali do długiego korytarza. Pod jego przyozdobionymi mozaikami ścianami stały porośnięte mchem posągi bez głów lub ramion.

Zobaczył otwór po lewej stronie i wyszedł przez portal. Znalazł się w czymś, co przed laty czy dziesiątkami lat mogło być ogrodem. Teren był zarośnięty, pełen opadłych liści i chwastów, ale tu i ówdzie wyrastał z ziemi kwiat. Wszędzie stały posągi zastygłe w gestach cichych strażników.

Na skrzyżowaniu dwóch ścieżek znajdowała się fontanna z białego kamienia z basenem pełnym deszczówki. Michaił zatrzymał się przy nim, nabrał wody w dłoń i zaspokoił pragnienie, potem opłukał twarz i rany na ramieniu. Żywe ciało zapłonęło z bólu, który wydusił mu łzy z oczu. Przygryzł wargę, nie poddając się bólowi, potem się rozejrzał, żeby dokładnie zobaczyć, gdzie jest.

Światło słońca i cienie grały na ścianach i wieżyczkach Białego Pałacu. Kamienie, z których był zbudowany, miały barwę zbielejących na słońcu kości, a dachy jego wieżyczek i cebulowatych kopuł pokryte były bladozieloną ze starości miedzianą blachą. Wieżyczki pałacu wznosiły się, niknąc w koronach drzew. Spiralne kamienne schodki prowadziły do platform widokowych. Większość okien była wybita przez napierające gałęzie dębów, ale niektóre, zrobione z wielu różnokolorowych szybek: zielonych, niebieskich, szmaragdowych, pomarańczowobrazowych i fioletowych zostały nietknięte. Pałac - opuszczone królestwo, i ogród otoczone były murem z białego kamienia, który jednak nie zdołał powstrzymać natarcia lasu. Dęby porastały rozplanowane geometrycznie alejki, zakłócając brutalną pięścią natury

wprowadzony przez człowieka porządek. Pnącza przeciskały się przez szczeliny w murze, przesuając stufuntowe kamienie. Gęstwina ciemnych ciernistych krzewów, która wyrosła pod stopami jednego z posągów, przewróciła go łamiąc mu kark, a potem objęła swoją ofiarę. Idąc przez zieloną pustkę, Michaił zobaczył przed sobą powyginaną bramę z brązu. Podeszedł do niej, chwiejąc się na nogach, i wyteżywszy wszystkie siły, napał na ozdobne metalowe wrota. Zaskrzypiały zawiasy. Przed nim ukazał się kolejny mur - ściana gęstego lasu. Nie było w niej żadnej bramy. Żadne ślady nie pokazywały drogi do domu. Nie było nic, tylko las. Michaił wiedział, że las może się ciągnąć przez wiele mil i na każdej z nich może napotkać śmierć.

Nad jego głową bezmyślnie śpiewały szczęśliwe ptaki. Usłyszał kolejny dźwięk, jakiś trzepoczący, dziwnie mu znajomy odgłos. Obejrzał się na pałac, podnosząc wzrok ku wierzchołkom drzew, i wtedy go zobaczył.

Linka latawca zaplątała się wokół cienkiej iglicy na szczycie cebulowatej kopuły. Papierowy ptak trzepotał na wietrze jak biała flaga.

Coś poruszyło się na prawo od chłopca.

Wstrzymując oddech, dał krok do tyłu i uderzył plecami o mur. Po drugiej stronie fontanny, około trzydziestu stóp od niego, stała ubrana w brązową pelerynę dziewczyna.

Była starsza od Alicji, mogła mieć piętnaście albo szesnaście lat. Długie włosy koloru blond spadały jej na ramiona. Przez chwilę wpatrywała się w Michaiła lodowatoniebieskimi oczami, a potem, nie odezwawszy się wcale, podeszła do krawędzi fontanny i przyłożyła twarz do wody. Michaił usłyszał, jak chłepce językiem wprost z fontanny. Dziewczyna podniosła głowę, spojrzała uważnie w jego kierunku i znowu wróciła do picia. Potem otarła usta przedramieniem, odgarnęła złote pasma włosów z twarzy i wyprostowała się. Obróciła się i ruszyła w kierunku portalu, przez który Michaił niedawno wyszedł.

- Czekaj! - zawołał.

Nie zatrzymała się. Zniknęła we wnętrzu Białego Pałacu.

Michaił znowu został sam. „Chyba jeszcze śpię” - pomyślał. Przed chwilą jakiś sen pojawił się przed jego oczami i zaraz się oddalił, a jednak pulsujący ból w ramieniu był całkiem prawdziwy, tak samo jak ból innych poobtłukiwanych części ciała. Pamięć tego, co się wydarzyło, też była okropnie rzeczywista. „Więc i ta dziewczyna musi być prawdziwa” - pomyślał.

Przeszedł przez zarośnięty ogród, stawiając ostrożnie stopy, i wkroczył z powrotem do pałacu.

Dziewczyny nie było nigdzie widać.

- Hej! - zawołał, stając w długim korytarzu. - Gdzie jesteś?! Żadnej odpowiedzi.

Ruszył, oddalając się od komnaty, w której się obudził. Znalazł kolejne wysoko sklepione pokoje, większość z nich była pusta, ale w niektórych stały proste drewniane stoły i ławy. Jedno pomieszczenie wyglądało na olbrzymią jadalnię, jednak tylko jaszczurki biegały po dawno nie używanych cynowych talerzach i kielichach do wina.

- Hej! - krzyczał co chwilę coraz słabszym głosem, gdyż siły opuszczały go szybko. - Nic ci nie zrobię!

Zagłębił się w kolejny korytarz, ciemny i wąski, który biegł w kierunku centrum pałacu. Po mokrych kamiennych ścianach skapywała woda, a zielony mech porastał ściany, podłogę i sufit.

- Hej! - zawołał Michaił chrypiącym głosem. - Gdzie jesteś?

- Tutaj - usłyszał za plecami czyjś głos.

Obrócił się z łomoczącym sercem, przyciskając się do ściany. Przed nim stał szczupły mężczyzna o brązowych, przetykanych siwymi pasemkami włosach i potarganej brodzie. Ubrany był w taką samą pelerynę, jaką miała na sobie dziewczyna przy fontannie. Jak Michaił teraz dostrzegł, strój był zrobiony z pozbawionej sierści zwierzęcej skóry.

- O co cały ten hałas? - zapytał poirytowanym tonem mężczyzna.

- Ja... ja nie wiem... gdzie... jestem.

- Jesteś z nami - odparł nieznamy, jakby to wszystko wyjaśniało.

Za mężczyzną pokazała się jakaś kobieta, podeszła doń i dotknęła dłonią jego ramienia.

- To jest ten nowy dzieciak, Franko - powiedziała. - Bądź delikatny.

- To był twój wybór. Sama bądź delikatna. Jak można spać przy tym miauczeniu? - Franko czknął, gwałtownie się obrócił i odszedł, zostawiając Michaiła z kobietą.

Była niska, miała okrągłe kształty i długie rudobrazowe włosy. Michaił pomyślał, że jest starsza od jego matki. Miała twarz pociętą głębokimi bruzdami zmarszczek, a jej krępe, chłopskie ciało z masywnymi ramionami i nogami bardzo różniło się od delikatnej figury matki. Widać było, że nieobca jej jest praca w polu. Również ona ubrana była w prosty, podobny do peleryny strój ze zwierzęcej skóry.

- Nazywam się Renati - rzekła. - A ty?

Michaił nie był w stanie odpowiedzieć. Przycisnął się do omszałej ściany, bojąc się poruszyć.

- Nie ugryzę ciebie - dodała, a jej brązowe oczy przesunęły się szybko w kierunku rąk na jego ramieniu i z powrotem na jego twarz. - Ile masz lat?

- Sie... - zaczął, ale zreflektował się. - Osiem - przypomniał sobie.

- Osiem - powtórzyła. - A jak miałabym cię nazywać, gdybym miała ci zaśpiewać urodzinową piosenkę?

- Michaił - powiedział, podnosząc nieco głowę. - Michaił Gałatinow.

- Ale z ciebie hardy łobuz, prawda? - Uśmiechnęła się, pokazując nierówne, ale bardzo białe zęby. Jej uśmiech był chłodny, choć nie wrogi. - No, Michaił, ktoś chce się z tobą spotkać.

- Kto?

- Ktoś, kto odpowie na twoje pytania. Chcesz wiedzieć, gdzie jesteś, prawda?

- Czy ja jestem... w niebie? - zdołał wydusić z siebie.

- Niestety nie. - Wyciągnęła do niego dłoń. - Chodź, dziecko, pójdziemy razem.

Michaił zawahał się. Kobieta czekała, trzymając rękę w powietrzu. „Wilki! - pomyślał. - Gdzie są wilki?” Stwardniała dłoń zacisnęła się na jego ręce i Renati poprowadziła go w głąb pałacu.

Podeszli do prowadzących w dół kamiennych stopni, oświetlonych promieniami słońca wpadającymi przez pozbawione szyb okno.

- Patrz pod nogi - powiedziała Renati, kiedy zaczęli schodzić po schodach.

Niżej panował półmrok, a w płataninie korytarzy i licznych pomieszczeń unosiła się woń cementarnej ziemi. Tu i ówdzie paliła się kupka szyszek sosnowych, oświetlając ścieżkę przez podziemia. Po obu stronach widać było zamurowane grobowce. Nazwiska, daty urodzenia i śmierci pochowanych w nich ludzi zatarte były przez upływ czasu. W końcu wyszli z katakumb i znaleźli się w obszernej komnacie, w której płonął ogień z sosnowych szczap. Gorzki dym kłębił się w powietrzu w poszukiwaniu otworów wentylacyjnych.

- Przyprowadziłam go, Wiktorze - oznajmiła Renati.

Wokół ognia leżały na ziemi jakieś postacie. Wszystkie otulone czymś, co wyglądało jak skóra z sarny. Leżący poruszyli się, spoglądając w kierunku wejścia, i Michaił zobaczył ich błyszczące oczy.

- Podprowadź go bliżej - polecił mężczyzna, który siedział na stojącym blisko ogniska krześle.

Renati poczuła, jak dreszcz targa ciałem Michaiła.

- Bądź dzielny - szepnęła do niego i powiodła go do tajemniczych postaci.

Mężczyzna zwany Wiktorem siedział, patrząc obojętnie na zbliżającego się do czerwonego światła chłopca. Ubrany był w pelerynę z sarniej skóry, z przyszytym wysokim kołnierzem z futra zajęcy bielaków. Na nogach miał sandały z sarniej skóry, a na szyi naszyjnik z nawleczonych na rzemień kostek. Renati zatrzymała się, trzymając dłoń na zdrowym ramieniu Michaiła.

- On nazywa się Michaił - powiedziała. - Na nazwisko ma...

- Nie obchodzą nas tu nazwiska - przerwał Wiktor. Ton jego głosu wskazywał, że nawykły był do tego, aby go słuchano. Jego bursztynowe oczy płonęły odbitym od ognia blaskiem, kiedy lustrował Michaiła od jego brudnych butów do potarganych włosów. Jednocześnie Michaił przyglądał się temu, który wyglądał na władcę podziemnego świata. Wiktor był potężnym mężczyzną, o szerokich ramionach i byczym karku. Jego czaszka, podobna kształtem do żołędzia, była łysa. Siwiejąca broda spadała mu na piersi. Michaił spostrzegł, że pod peleryną ze skóry Wiktor nie ma żadnego ubrania. Twarz mężczyzny tworzyły kościste krawędzie i twarde linie, ostro zakończony nos i rozszerzone nozdrza. Wpatrywał się głęboko osadzonymi oczami w Michaiła, nie mrugnawszy powieką.

- On jest za mały, Renati - powiedział ktoś inny. - Wyrzuć go.

Michaił usłyszał nieprzyjemny śmiech i obejrzał się na pozostałe osoby. Mężczyzna, który się przed chwilą odezwał - a w gruncie rzeczy chłopiec, nie więcej niż dziesiętnaste-, dwudziestoletni - miał długie rude włosy sięgające ramion, odgarnięte z młodzieńczej twarzy. Był drobnej budowy i wyglądał krucho, niemal tonął w swojej szacie. Obok niego siedziała szczupła młoda kobieta w mniej więcej tym samym wieku. Miała długie ciemnobrązowe włosy i przenikliwe stalowoszare oczy.

Blondwłosa dziewczyna spod fontanny siedziała z drugiej strony ogniska, patrząc na Michaiła. Niedaleko od niej siedział w kucki następny mężczyzna. Mógł mieć około czterdziestu lat. Miał ciemne włosy i ostre mongolskie rysy. Po drugiej stronie ognia leżała jeszcze jakaś skulona postać, nakryta warstwami skórzanych ubiorów.

Wiktor pochylił się nieco do przodu.

- Powiedz nam, Michaił - powiedział - kim byli ci ludzie i skąd się wzięłeś w naszym lesie?

„W naszym lesie?” - pomyślał Michaił. Zabrzmiało to dziwnie.

- Moi... matka... i ojciec... - szepnął. - Moja siostra. Wszyscy... są...



- Nie żyją - powiedział beznamiętnym tonem Wiktor. - Wygląda na to, że zostali zamordowani. Czy masz krewnych, ludzi, którzy by ciebie szukali?

„Dymitr - pomyślał od razu Michaił. - Nie, Dymitr był nad jeziorem z karabinem w ręku i nie podniósł go przeciwko mordercom, więc on też musi być mordercą, chociaż ukrytym. Sophie nie przyjdzie tutaj sama. Czy ją Dymitr też zabije? A może ona też jest cichym pomocnikiem morderców?”

- Ja nie... - Z trudem zapanował nad łamiącym się głosem. - Nie sędzę, żeby tak miało być, proszę pana - odpowiedział.

- Proszę pana - powtórzył, przedrzeźniając go, rudy chłopak i znowu się roześmiał.

Błyszczące jak miedziane monety oczy Wiktora obróciły się w tamtą stronę i śmiech od razu zamarł.

- Opowiedz nam, Michaił, co się stało - polecił Wiktor.

- My... - Ciężko było to powiedzieć. Wspomnienia cięły jak ostrza brzytwy i raniły go głęboko. - My... przyjechaliśmy na piknik - zaczął. Potem opowiedział o uciekającym latawcu, o strzałach, o ucieczce przez las i szalejących wilkach. Łzy płynęły mu po policzkach, a w pustym żołądku zaczęło burczeć. - Obudziłem się tutaj, a... obok mnie... leżało coś zakrwawionego... Chyba to było z jednego z tych ludzi.

- Do cholery - skrzywił się Wiktor. - Biely, powiedziałem ci, żebyś to podpiekł!

- Zapomniałem jak - odparł rudy młodzieniec, wzruszając bezradnie ramionami.

- Przesuwa się nad ogniem, aż się zaczyna palić! W ten sposób z mięsa przestaje płynąć krew! Muszę robić wszystko sam? - Wiktor znowu spojrzał na Michaiła. - Ale zjadłeś jagody, prawda?

„Jagody - przypomniał sobie Michaił. - To też jest dziwne.

Przecież nie mówiłem im nic o jagodach. Skąd Wiktor może o nich wiedzieć, jeżeli nie...”

- Też ich nie tknąłeś, co? - Wiktor uniósł ciężkie szpakowate brwi. - No, powiedzmy, że nie mam do ciebie o to pretensji. Biely to kompletny dureń. Ale musisz coś jeść, Michaił. Jedzenie jest bardzo ważne, daje siły.

Michaił sam nie wiedział, czy jęknął, czy też nie.

- Zdejmij koszulę - polecił Wiktor.

Zanim chłopiec zdołał ścierpiętymi palcami odszukać małe drewniane guziki, Renati podeszła do niego i rozpięła je. Delikatnie odsunęła tkaninę z ran na ramieniu Michaiła i zdjęła mu koszulę. Potem podniosła zabrudzony materiał i powąchała go.

Wiktor wstał z krzesła. Był wysoki, miał prawie sześć stóp i dwa cale wzrostu i wyglądał przy chłopcu jak olbrzym. Podeszedł do niego. Michaił dał krok do tyłu, ale Renati chwyciła go za rękę i przytrzymała w miejscu. Wiktor chwycił go za ranne ramię i popatrzył na okrwawione, wilgotne pręgi.

- Wygląda brzydko - powiedział do kobiety. - Będzie z tego infekcja. Trochę głębiej, i nie mogłby ruszać ręką. Czy ty myślałaś, co robisz?

- Nie - przyznała - wydawał się dobry do zjedzenia.

- W takim razie trudno cię zrozumieć. - Objął mocno ramię Michaiła, aż ten zacisnął zęby, żeby zdusić jęk. Oczy Wiktora zaświeciły się. - Patrzcie go. Nawet nie piśnie. - Ścisnął znowu ramię chłopca, aż z ran popłynął gęsty płyn, roztaczający dziką, ostrą woń. Michaił zamrugnął oczami, powstrzymując łzy. - Więc potrafisz znieść trochę bólu, co? - zapytał Wiktor. - To dobrze. Jeżeli zaprzyjaźnisz się z bólem, to będziesz miał przyjaciela na całe życie.

- Tak, proszę pana - wykrztusił Michaił. Podniósł wzrok na mężczyznę i zachwiał się na nogach. - Kiedy... kiedy mogę iść do domu?

Wiktor zignorował jego pytanie.

- Przedstawię ci teraz wszystkich, Michaił. To nasz głupek, Biely, znasz go już. Ta obok to jego siostra, Pauli - wskazał ruchem głowy młodą szczupłą dziewczynę. - Tamten to Nikita - wskazał na Mongoła. - Z drugiej strony ogniska siedzi Aleksa. Widać ci zęby, moja droga. - Blondynka uśmiechnęła się jakby wygłodniałym uśmiechem. - Sądzę, że pewnie spotkałeś już Franka, on woli spać na górze. Znasz Renati i znasz mnie. Andriej nie czuje się dzisiaj dobrze - powiedział, wskazując leżącą pod okryciami przy ognisku postać, która akurat zaczęła kaszleć. - Zjadł coś niedobrego.

Andriej wciąż kaszał. Nikita i Pauli podeszli i uklękli przy nim.

- Chciałbym pójść teraz do domu, proszę pana - nie dawał za wygraną Michaił.

- Ach, tak. - Wiktor skinął głową i Michaił zobaczył, jak jego twarz pochmurnieje. - Dom. - Podeszedł z powrotem do ognia i zaczął grzać sobie dłonie. - Michaił - powiedział cicho, gdy Andriej przestał kaszleć. - Już niedługo będziesz... - przerwał, poszukując właściwych słów - będziesz potrzebował pocieszenia, będziesz potrzebował... że tak powiem... rodziny.

- Ja... mam... - zaczął chłopiec, ale przerwał. Jego rodzina leżała zabita tam na łące. Znowu poczuł pulsujący ból w ramieniu.

Wiktor sięgnął ręką do ognia i wyjął kawałek płonącej gałęzi. Przytknął ją w miejscu, którego nie dotknęły jeszcze płomienie.

- Prawda jest jak ogień, Michaił. Leczy albo niszczy. Ale to, czego dotknie, nigdy - nigdy - nie pozostaje nie zmienione. - Pokiwał powoli głową, wpatrując się w chłopca. - Czy potrafisz znieść płomienie prawdy, Michaił?

Michaił milczał. Nie umiał odpowiedzieć na takie pytanie.

- Myślę, że potrafisz... jeżeli byłoby inaczej, to już byś nie żył.

Upuścił gałąź w ogień i wstał. Zdjął sandały i wyjął ramiona z otworów peleryny, która zawisała tylko na jego barkach. Zamknął oczy.

- Odsuń się - powiedziała Renati, odciągając na bok Michaiła. W jej głosie słychać było napięcie. - Zrób mu miejsce.

Aleksa usiadła w kucki, delikatny blond puszek na jej nogach błyszczał jak złote nitki. Nikita i Pauli patrzyli na nich, klęcząc po obu stronach Andrieja. Bięły potarł dłonią usta. Jego zaciekawiona, zwykle blada twarz pokryła się rumieńcem. Wiktor otworzył oczy. Pojawiło się w nich dziwne rozmarzenie, wpatrywały się gdzieś głęboko, w jakieś dzikie strefy umysłu. Pot wystąpił mu na twarz i piersi, jakby w jego wnętrzu toczyła się wyężona, niewidoczna walka.

- Co... - zaczął Michaił, ale Renati go uciszyła.

Wiktor znowu zamknął oczy. Mięśnie jego ramion zadrgały i peleryna z białym kołnierzem zsunęła się na podłogę. Pochylił się do przodu, wyginając grzbiet, i dotknął końcami palców ziemi. Westchnął i wciągnął szybki, głęboki oddech.

Zaledwie rok temu Michaił i jego siostra pojechali z rodzicami pociągiem do Mińska, żeby zobaczyć cyrk. Był tam artysta, którego niesamowite umiejętności urzekły Michaiła. Człowiek-guma stał tak samo jak teraz Wiktor, a jego kręgosłup rozciągał się z trzaskiem, jakby ktoś szedł po łamiących się patykach.

Teraz krzyż Wiktora wydawał podobne dźwięki, ale widać było już po kilku sekundach, że zamiast się przedłużać, jego tors zaczyna się skracać. Sploty mięśni, drżących jak struny fortepianu, nabrzmiały najpierw wokół klatki piersiowej, a potem coraz niżej aż do ud. Błyszczące krople potu wystąpiły mu na plecach i barkach i nagle jego gładka skóra zaczęła się pokrywać mnóstwem ciemnych włosów. Wyglądały jak chmura posuwająca się nad letnim polem. Barki wygięły się do przodu, a mięśnie napięły pod skórą. Kości zatrzeszczały cicho i rozległ się dźwięk piszczących jak zawiasy, przekształcających się ścięgien.

Michaił dał krok do tyłu i zderzył się z Renati. Przytrzymała go za rękę, stał więc patrząc, jak demon z piekieł zмага się z ciałem człowieka.

Krótkie szare włosy zaczęły wyrastać na głowie Wiktora, na jego karku, rękach, pośladkach, udach i łydkach. Policzki i czoło pokryły się sierścią, a broda przywarła do szyi i klatki piersiowej jak jakieś upiorne pnącze. Wiktor jęknął, kiedy jego ociekający potem nos zatrzęszczał i zaczął zmieniać kształt. Przysłonił twarz dłońmi. Poprzez szczeliny między porośniętymi szarym włosem palcami Michaił dostrzegł, że twarz Wiktora wykrzywia się i zmienia.

Usiłował się odwrócić i uciec, ale Renati powiedziała: „Nie” - i przytrzymała go jeszcze mocniej. Nie mógł już znieść tego widoku. Czuł, że zaraz mózg mu pęknie i wyleje się z niego jakiś czarny jak bagienny muł płyn. Podniósł rękę i przyłożył dłoń do oczu, zostawiając jednak między palcami wąską szparę, i przez nią patrzył na cień Wiktora, chybotający się na ścianie w migotliwym odbłasku ogniska.

Był to nadal cień człowieka, który szybko stawał się zarówno czymś więcej, jak i czymś mniej niż człowiek. Michaił nie mógł zamknąć uszu na trzask kości i pisk ścięgien. Te potworne dźwięki niemalże doprowadzały go do szaleństwa. Zadymione wnętrze przepełniło się ostrym zapachem dzikości jak wnętrze klatki nieokiełznanego zwierza. Zobaczył, jak pokręcony cień podnosi ramiona jakby w błagalnym geście.

Teraz słychać było szybki, płytki oddech. Michaił zwarł palce, przesłaniając całkowicie oczy. Oddech zaczął się uspokajać i pogłębiać, zamieniając w chrapliwe sapanie, i w końcu brzmiał jak głęboki odgłos miecha.

- Popatrz na niego - poleciała Renati.

Łzy przerażenia popłynęły z oczu Michaiła.

- Nie... proszę... nie zmuszaj mnie! - wyszeptał.

- Nie będę cię zmuszać - powiedziała Renati, wypuszczając z uścisku jego ramię. - Patrz, jeżeli chcesz, a jeżeli nie... to nie.

Michaił osłaniał oczy dłonią. Sapiący oddech przybliżył się do niego. Poczł gorąco na palcach. Po chwili oddech przycichł, wydająca go istota cofnęła się. Michaił zadrżał, tłumiąc łkanie. „Prawda jest jak ogień” - pomyślał. Już czuł się jak kupka popiołu, spalony do cna, jakby nie zostało nic z jego poprzedniej postaci.

- Mówiłem ci, że jest za mały - parsknął Biely z drugiej strony komnaty.

Pogardliwy ton głosu młodzika spowodował, że w kupce popiołu rozżarzyła się iskierka. Coś mimo wszystko zostało z niego, jeszcze cały nie spłonął. Michaił wciągnął głęboki oddech i zatrzymał go w płucach, drżąc na całym ciele. W końcu wypuścił powietrze i odsunął dłoń z twarzy.

Nie dalej niż dziesięć stóp od niego siedział na zadzie bursztynowooki wilk o gładkim, szarym futrze i wpatrywał się w niego z intensywną uwagą.

- Och - szepnął Michaił. Kolana ugięły się pod nim, zakręciło mu się w głowie i upadł na podłogę.

Renati pochyliła się, żeby pomóc mu wstać, ale wilk warknął głębokim głosem, więc się cofnęła.

Michaił musiał wstać samodzielnie. Wilk wpatrywał się w niego, przechyliwszy głowę nieco na bok. Michaił z wysiłkiem podniósł się na kolana, ale to był już kres jego możliwości. Czuł ramię jako jedną pulsującą bólem masę, a w głowie kręciło mu się tak, jakby była zerwanym z uwięzi latawcem.

- Patrzcie na niego - parsknął Bieły. - Nie wie, czy ma krzyczeć, czy się zesrać.

Wilk obrócił się błyskawicznie w kierunku Biełego i kłapnął zębami dwa cale przed jego nosem. Sardoniczny uśmieszek zniknął z twarzy młodzieńca.

Michaił podniósł się na nogi.

Wiktor odwrócił się ponownie i zbliżył do niego. Michaił cofnął się o krok i zatrzymał. Jeżeli ma umrzeć - pomyślał - to dołączy do swoich rodziców i siostry w niebie daleko stąd. Postanowił czekać na rozwój wydarzeń.

Wiktor zatrzymał się przy nim i powąchał jego dłoń. Michaił nie śmiał się poruszyć. Potem wilk, zadowolony z tego, co wyczuł, podniósł tylną nogę i oblał moczem lewy but chłopca. Ciepły płyn o kwaśnym zapachu wniknął w spodnie Michaiła i przesiąkł do jego skóry.

Wilk skończył swoją czynność, cofnął się, otworzył szeroko paszczę, pokazując błyszczące kły, i uniósł pysk. Walczący z ogarniającym go omdleniem Michaił poczuł na ramieniu silną rękę Renati.

- Chodź - powiedziała. - On chce, żebyś coś zjadł. Najpierw spróbujemy jagód.

Michaił pozwolił, aby wyprowadziła go z komnaty. Szedł na drewnianych nogach.

- Teraz wszystko będzie dobrze - powiedziała z ulgą w głosie. - Oznaczył ciebie. Jesteś więc pod jego ochroną.

Zanim jeszcze zdążyli się zbytnio oddalić, Michaił obejrzał się. Zobaczył na ścianie otoczony czerwoną poświatą cień podrywającej się na nogi sylwetki. Renati wzięła go za rękę i ruszyli w górę po kamiennych schodach.

**CZĘŚĆ TRZECIA**

**POPISOWE WEJŚCIE**

„Kamienne schody - pomyślał Michael. - W sam raz, żeby złamać sobie nogę”. Zamrugał oczami i powrócił do rzeczywistości ze swej wewnętrznej podróży.

Wszędzie dookoła panowała ciemność. Nad jego głową widniała biała czasza spadochronu i słychać było tylko szum napiętych linek tnących powietrze. Spojrzał w dół, rozglądając się na wszystkie strony, ale nigdzie nawet nie mignęła zielona latarka.

Gdyby złamał nogę, nie należałoby to do przyjemności i z pewnością nie byłoby szczęśliwym rozpoczęciem misji. Na co mógł opadać? Na bagniste pole? Na las? Na zwiędłą glebę uprawną, w której nogi utkną mu jak w smole? Czując, że ziemia szybko się przybliża, zebrał linki spadochronu i przechylił nieco ciało, uginając kolana w oczekiwaniu na uderzenie.

„Teraz” - pomyślał, naprężając mięśnie.

Podeszwy butów napotkały coś, co pękło pod jego ciężarem jak spleśniała dykta. Uderzył jeszcze w coś twardszego, co zatrzęśło się i zatrzeszczało, ale uchroniło go przed dalszym upadkiem. Uprząż szarpnęła go pod ramionami, a czasza spadochronu w czymś uwięzła. Kiedy podniósł głowę, zobaczył nierówne krawędzie dziury i świecące w niej gwiazdy.

„To dach” - pomyślał. Klęczał na kolanach pod dachem z przegniłych desek. Gdzieś w ciemnościach czekały dwa psy. Szybkimi ruchami Michael rozpiął rzemienie uprząży i odczepił od siebie spadochron. Przymrużył oczy i wtedy dostrzegł wokół sterty jakiegoś materiału. Wyciągnął rękę. Siano. Wpadł przez dach do stodoły z sianem.

Wstał, szarpnął czaszę spadochronu i wciągnął ją przez dziurę do środka. „Szybciej” - ponaglił sam siebie. Znajdował się w okupowanej przez Niemców Francji, sześćdziesiąt mil na północny zachód od Paryża. Niemieckie patrole na motocyklach i w samochodach pancernych wkrótce pojawią się wszędzie w okolicy i przez radio popłyną komunikaty: „Uwaga! W pobliżu Bazancourt zaobserwowano spadochron! Wysłać patrole. Sprawdzić wszystkie okoliczne pola i wieś!”

Wkrótce mogło być bardzo gorąco. Wciągnął spadochron na poddasze i zaczął zagrzebywać czaszę w siano.

Po czterech sekundach usłyszał chrobotanie odsuwanej rygli. Zastygł w bezruchu. Z dołu dobiegło delikatne skrzypienie zawiasów. Czerwone światło wypełniło stodołę.

Powoli, cicho Michael wydobył nóż z pochwy. W świetle latarni dojrzał, że jest tuż na skraju stropu. Jeszcze kilka cali i spadłby. Latarnia zakołysała się, rozsiewając wokół światło.

- *Monsieur? Où êtes-vous?* - dobiegł go szorstki kobiecy głos. Pytała, gdzie jest. Michael nie poruszył się ani nie odłożył noża.

- *Pourquoi est-ce que vous ne me parlez pas?* - zapytała znowu, domagając się, żeby się do niej odezwał. Podniosła wysoko latarnię i powiedziała z normandzkim akcentem: - Kazano mi na pana czekać, ale nie spodziewałam się, że mi pan spadnie na głowę.

Michael odczekał jeszcze kilka sekund i wychylił się spoza krawędzi stropu. Miała ciemne włosy i była ubrana w szary wełniany sweter i czarne spodnie.

- Tu jestem - powiedział cicho, a ona aż wzdrygnęła się zaskoczona. Podniosła ku niemu latarnię.

- Nie po oczach - zaprotestował.

Opuściła nieco latarnię. Przez chwilę widział jej twarz: zdecydowana szczęka, wysokie kości policzkowe, grube ciemne brwi nad szafirowymi oczami. Miała zwinne ciało i wyglądało na to, że w razie potrzeby potrafi być szybka.

- Jak daleko jesteśmy od Bazancourt? - zapytał. Spojrzała na dziurę w dachu, jakieś trzy stopy nad jego głową.

- Niech pan sam zobaczy.

Michael wystawił głowę przez dziurę i rozejrzał się. Nie dalej niż o sto jardów widać było światła lamp w oknach domów krytych strzechą, ciasno otaczających duży plac. Michael pomyślał, że kiedy już wydostanie się z Francji, będzie musiał pogratulować precyzji zrzutu pilotowi dakoty.

- Szybciej - przynagliła dziewczyna. - Musimy pana przeprowadzić w bezpieczne miejsce!

Michael miał już cofnąć głowę, kiedy usłyszał warkot silników pojazdów zbliżających się z południowego wschodu. Serce podskoczyło mu do gardła. Zobaczył trzy pary szybko sunących reflektorów. W ich świetle widać było unoszący się z polnej drogi kurz. „Samochody patrolowe” - pomyślał. Prawdopodobnie wyładowane żołnierzami. Za trzema samochodami podążał jeszcze jeden pojazd. Poruszał się wolniej i ciężiej. Michael usłyszał klekot gąsienic. Zrozumiał, czując ściskanie w żołądku, że naziści nie mają zamiaru ryzykować - przyprowadzili lekki czołg typu „Panzerkampfwagen”.

- Za późno - powiedział do dziewczyny.

Patrzył, jak pojazdy rozwijają szyk, otaczając Bazancourt z zachodu, północy i południa. Usłyszał komendę dowódcy po niemiecku: „Wysiadać” - i dojrzał ciemne figury



żołnierzy zeskakujących z pojazdów, zanim jeszcze ich koła przestały się obracać. Czołg skierował się ku stodołę, obstawiając wieś od wschodu. Michael zaobserwował wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, że jest w pułapce. Opuścił się niżej.

- Jak się nazywasz? - zapytał Francuzkę.

- Gabrielle. Gaby - powiedziała.

- W porządku, Gaby. Nie wiem, jak jesteś doświadczona, ale teraz potrzebne ci będzie całe doświadczenie, jakie masz. Czy jacyś ludzie tutaj sympatyzują z hitlerowcami?

- Nie. Nienawidzą tych świń.

Michael usłyszał zgrzyt. To podjeżdżający od tyłu do stodoły czołg zaczął obracać wieżyczkę.

- Schowam się tutaj, jak tylko będę mógł najlepiej. Jeżeli zacznie się strzelanina, to trzymaj się jak najdalej stąd. - Wydobył pistolet i założył pełen magazynek. - Powodzenia - powiedział, ale dziewczyna z lampą już zniknęła. Zgrzytnął tylko zasuwany rygiel.

Michael wyjrzał przez szparę między deskami i zobaczył żołnierzy otwierających kopniakami drzwi domów. Jeden z nich rzucił na ziemię flarę, która zalała całą wioskę oślepiającym białym światłem. Naziści zaczęli pod lufami karabinów wypędzać wieśniaków z domów i ustawiać ich na placu wokół płonącej flary. Wysoki, szczupły oficer w czapce zaczął przechadzać się przed nimi w tę i z powrotem, a u jego boku postępowała druga postać: olbrzym o szerokich barkach i nogach jak pnie drzew.

Gąsienice czołgu zatrzymały się. Michael wyjrzał przez dziurę po sęku na tyły stodoły. Czołg zatrzymał się nie dalej niż piętnaście stóp od ściany, a jego trzyosobowa załoga wyszła na zewnątrz, aby zapalić papierosy. Jeden z żołnierzy miał przewieszony przez ramię pistolet maszynowy.

- Uwaga!

Michael usłyszał krzyk oficera. Wrócił cicho do szpary między deskami, żeby zobaczyć, co się dzieje. Oficer stał przed mieszkańcami wioski. Jego olbrzymi towarzyszy ustawili się kilka kroków za nim. Światło flary oświetlało gotowe do strzału pistolety i karabiny maszynowe wymierzone we Francuzów.

- Wiemy, że latawcowiec spadł na tym terenie - powiedział oficer, masakrując język francuski. - My teraz życzymy sobie chwycić tego intruza w nasze rękawice! Pytam was, istoty ludzkie z Bazancourt, gdzie jest ten człowiek, którego chcemy zamknąć w klatce?

„Prędeż was szlag trafi, niż wam się to uda” - pomyślał Michael, odbezpieczając pistolet.

Wrócił do otworu w tylnej ścianie stodoły. Załoga czołgu odpoczywała przy swojej maszynie, rozmawiając i śmiejąc się hałaśliwie jak chłopcy na nocnej wycieczce. „Czy uda się ich załatwić?” - pomyślał Michael. Mógłby najpierw zastrzelić tych z pistoletami maszynowymi, a potem tego stojącego najbliżej wjazdu, żeby sukinsyn nie wskoczył do środka i nie zatrzasnął...

Usłyszał niski pomruk kolejnego silnika i klekotanie nowej pary gaśnic. Czołgiści zaczęli wołać i machać rękami i Michael zobaczył, że drugi czołg zatrzymuje się na pokrytej kurzem drodze. Z wjazdu wynurzyli się dwaj żołnierze i zaczęli rozmawiać z załogą pierwszego czołgu o spadochroniarzu, o którym zostali poinformowani przez radio.

- Zrobimy z niego szybki kotlet - powiedział jeden z czołgistów, wymachując pistoletem jak szablą.

Znowu zachrobotał rygiel na drzwiach stodoły. Michael przykucnął na swoim miejscu, przytulony do ściany w głębi poddasza. Drzwi otworzyły się i do wnętrza wpełzły promienie dwóch albo trzech latarek.

- Wchodzi pierwszy - powiedział jeden z żołnierzy.

- Cicho, ty durniu - uciszył go drugi.

Weszli do stodoły, przyświecając sobie latarkami. Michael zastygł nieruchomo w cieniu. Położył delikatnie palec na spuście pistoletu. Po kilku sekundach uświadomił sobie, że Niemcy nie wiedzą, czy się tutaj ukrywa, czy nie.

Na zewnątrz, na wiejskim placu, oficer krzyczał:

- Będą surowe penetracje dla wszystkich kohabitujących z wrogiem!

Trzej żołnierze rozglądali się wszędzie poza poddaszem, kopiąc blaszane pojemniki i przewracając sprzęt rolniczy, aby udowodnić, że naprawdę dokładnie wykonują swoje zadanie. Potem jeden z nich zatrzymał się i uniósł latarkę w kierunku poddasza.

Michael poczuł świerzbiecie w rękę, kiedy światło musnęło jego ramię i ruszyło w prawą stronę, ku dziurze w dachu. Wyczuł zapach potu, zapach strachu. Nie wiedział, czy to pot Niemców, czy jego własny. Promień światła prześliznął się po dachu, nieuchronnie przesuwając się w kierunku dziury. Bliżej. Coraz bliżej.

- O Boże! - powiedział jeden z żołnierzy. - Patrz na to, Rudi!

Światło latarki zatrzymało się niespełna trzy stopy od krawędzi dziury.

- Co to?

- Patrz. - Michael usłyszał dzwonienie szkła. - Calvados! Ktoś go tu schował!

- Pewnie jakiś cholerny oficer. A to świnię.

Promień latarki znowu ruszył, tym razem oddalając się od dziury, otarł się o kolana Michaela, ale Rudi już szedł w kierunku butelek calvadosu, które odkrył jego kolega.

- Uważajcie, żeby Harzer nie zobaczył, że je bierzecie - ostrzegł trzeci żołnierz przestraszonym chłopcym głosem. „Nie może mieć więcej niż siedemnaście lat” - pomyślał Michael. - Kto wie, co ten cholerny Stiefel mógłby wam zrobić.

- Racja. Wynośmy się stąd - powiedział znowu drugi żołnierz. Zadzwończyły butelki.

- Czekajcie, musimy skończyć, zanim wyjdziemy. - Rozległ się znowu szcęk metalu. Tym razem nie był to odgłos zasuw przy drzwiach, ale przeładowywanego pistoletu maszynowego. Michael przycisnął się do ściany, czując, jak zimny pot występuje mu na twarz.

Żołnierz nacisnął na spust. Grad kul uderzył o ścianę, wybijając dziury w deskach. Jego kolega uniósł broń i posłał serię do góry. Pociski przeszły sufit, nad którym znajdowało się poddasze z sianem. Siano i kawałki drewna zawirowały w powietrzu. Trzeci żołnierz też posłał serię w górę, zamiatając na boki lufą pistoletu maszynowego. O dwie stopy na prawo od Michaela posypały się drzazgi z przebijanych przez kule desek.

- Hej, wy idioci! - krzyknął jeden z czołgistów, kiedy ustał huk wystrzałów. - Przestańcie ćwiczyć strzelanie przez ścianę! Mamy tutaj zbiorniki z benzyną!

- Pieprzę tych SS-mańskich sukinsynów - powiedział Rudi cichym głosem. Pozbierał razem z obydwojma kolegami zdobyczne butelki calvadosu i wszyscy trzej wyszli na dwór, zostawiając za sobą uchylone drzwi stodoły.

- Kto tu jest burmistrzem?! - wrzasnął oficer z wściekłością. „Czyżby to był właśnie Harzer?” - pomyślał Michael. - Kto tu jest szefem? Natychmiast wystąp!

Michael jeszcze raz zbliżył się do dziury w desce, szukając drogi ucieczki. Poczł zapach benzyny. To jeden z czołgistów z drugiego czołgu, zaparkowanego na drodze, wlewał benzynę z kanistra do zbiornika paliwa. Obok stały jeszcze dwa gotowe kanistry.

- Teraz możemy konwersować - powiedział ktoś na dole we wnętrzu stodoły.

Michael obrócił się cicho i przykucnął, czekając. Wnętrze stodoły wypełniło światło lampy.

- Mój tytuł jest kapitan Harzer - powiedział ten sam głos. - To jest mój towarzysz, Stiefel. Po niemiecku - but. Zobaczysz, że ma nazwisko akurat dobre dla niego.

- Tak, proszę pana - odpowiedział przestraszony głos starego człowieka.

Michael odgarnął siano z dziur po kulach w podłodze i spojrzął w dół. Do stodoły weszło pięciu Niemców i jeden starszy, siwowłosy Francuz. Trzech nazistów było zwykłymi żołnierzami, ubranymi w mundury feldgrau i garnkowe hełmy. Stanęli przy drzwiach, z

czarnymi pistoletami maszynowymi typu „Schmeisser” w rękach. Harzer był szczupłym, noszącym się sztywno mężczyzną, jakby od pośladków do łopatek tkwił mu w ciele żelazny pręt. Sama jego postawa kojarzyła się Michaelowi z fanatycznym nazizmem. Obok niego stał Stiefel, olbrzym o potężnych nogach, którego Michael zobaczył wcześniej w świetle flary. Na oko mógł mierzyć sześć stóp i trzy cale i ważyć około dwustu sześćdziesięciu albo dwustu siedemdziesięciu funtów. Ubrany był w mundur z odznakami adiutanta, a na głowie o krótko przystrzyżonych jasnych włosach miał szarą czapkę. Jego świecące czarne skórzane buty miały podeszwy grubości co najmniej dwóch cali. W świetle lamp trzymany przez dwóch żołnierzy Michael dojrzał błogą minę na kwadratowej twarzy Stiefla. Było to oblicze mordercy, który lubi swoją pracę.

- Teraz jesteśmy samotni, monsieur Gervaise. Nie musisz się obawiać żadnego z tych pozostałych. Zajmiemy się nimi. - Maltretując nadal język francuski, Harzer zaszurał butami po sianie. - Wiemy, że latawcowiec spadł blisko tu. Uważamy, że ktoś z waszej wsi musi być jego kontaktem... eee... agentem. Monsieur Gervaise, kto to może być?

- Proszę, proszę pana... ja nie... nie mam nic do powiedzenia.

- O, nie bądź taki absolutny. Jakie jest twoje imię?

- Hen... Henri - odpowiedział, trzęsąc się, stary człowiek. Michael słyszał, jak dzwonią mu zęby.

- Henri - powtórzył Harzer. - Chcę, żebyś pomyślał, zanim odpowiesz, Henri. Czy wiesz, gdzie spadł latawcowiec i kto tu pomaga mu?

- Nie. Proszę, kapitanie. Przysięgam, że nie wiem.

- Ojej - westchnął Harzer i dał palcem znak Stieflowi.

Wielkolud postąpił krok do przodu i kopnął Gervaise'go w lewe kolano. Rozległ się trzask pękających kości i Francuz z krzykiem upadł na siano. Michael zobaczył błysk metalowych ćwieków na podeszwach butów mordercy. Gervaise trzymał się, jęcząc, za złamane kolano.

Harzer pochylił się.

- Nie pomyślałeś, prawda? - Poklepał starca po siwej głowie. - Pomyśl trochę! Gdzie spadł latawcowiec?

- Nie mogę, o Boże.... Nie mogę.

- Do diabła! - Zirytowany Harzer cofnął się.

Stiefel kopnął Francuza w prawe kolano. Znowu trzasnęły łamane kości i Gervaise zawył z bólu.

- Czy już uczymy ciebie, jak myśleć? - zapytał Harzer. Michael poczuł zapach moczu, pęcherz starego nie wytrzymał.

W stodole rozchodził się też zapach bólu, jak gorzka woń unosząca się w powietrzu przed gwałtowną burzą. Mięśnie mu tężały, przesuwając się pod skórą. Strumyk potu zaczął spływać po ciele pod maskującym ubiorem. Przemiana była w zasięgu ręki. Nadeszłaby, gdyby tylko zechciał, zatrzymał się jednak na samej krawędzi. Co dobrego by mu z tego przyszło? Schmeissery pocięłyby wilka na strzępy równie łatwo jak człowieka, a rozstawienie żołnierzy nie dawało szansy na to, by unieszkodliwić wszystkich trzech. Nie, nie. Są pewne umiejętności, w których człowiek jest lepszy od wilka, a jedną z nich jest zdolność rozpoznawania kresu swoich możliwości. Powstrzymał się przed przemianą, czuł, jak się przesuwa i ustępuje z takim mrowieniem skóry, jakby przenikała ją masa drobniutkich igieł. Stary Francuz łkał i prosił o litość.

- Podejrzewamy od pewnego czasu - odezwał się Harzer - że Bazancourt to centrum szpiegowskie. Moim zadaniem jest wyłuskanie ich. Rozumiesz? Taką mam pracę.

- Proszę... już mnie nie krzywdźcie - wyszeptał Gervaise.

- Zabijemy ciebie - powiedział Harzer beznamiętnym tonem. - Wyciągniemy twoje ciało na zewnątrz, żeby pokazać je innym. Potem dalej będziemy zadawali nasze pytania. Widzisz, twoja śmierć, prawdę mówiąc, ocali życie innym, ponieważ ktoś w końcu zacznie mówić. Jeżeli nikt nie będzie mówił, to spalimy twoją wieś do szczytu - oświadczył, wzruszając ramionami. -

Ciebie i tak już nie będzie to obchodziło. - Skinął znowu na Stiefła.

Michael napiął mięśnie, chociaż wiedział, że nic nie może zrobić. Stary Francuz otworzył szeroko usta, krzycząc z przerażenia i próbując się odczołgać na swych zmasakrowanych nogach. Stiefel kopnął go w żebra i rozległ się dźwięk przypominający odgłos rozpadającej się beczki. Gervaise zawył i chwycił się za tors, na którym ukazały się końce przebijających ciało połamanych żeber. Następny kopniak zadany podkutym butem trafił go w obojczyk, łamiąc kość. Gervaise zwijał się z bólu jak nadziana na oścień ryba. Stiefel zaczął go kopać i deptać powoli i z precyzją. Kopniak w brzuch, żeby zniszczyć organy wewnętrzne, kopniak w rękę, żeby zmiażdżyć palce, i kopniak w szczękę, żeby wybić ją ze stawów i połamać zęby.

- To moja praca - powiedział Harzer pod adresem krwawiącej, zmasakrowanej twarzy.

- Za to mi płacą, rozumiesz?

Stiefel kopnął ofiarę w szyję, łamiąc jej krtań. Gervaise zaczął się dusić. Michael zobaczył pot występujący na twarzy Stiefła. Oprawca miał beznamiętną minę, jego rysy były

jak wykute z kamienia, ale w niebieskich oczach malowało się zadowolenie. Michael wpatrywał się w tę twarz. Chciał zapamiętać ją na zawsze.

W ostatnim rozpaczliwym porywie Gervaise usiłował doczołgać się do drzwi. Na sianie ciągnęła się za nim krwawa smuga. Stiefel pozwolił mu czołgać się kilka sekund, a potem opuścił prawą nogę prosto na środek pleców starego człowieka. Kręgosłup Francuza pękł jak kij od szczotki.

- Na dwór go - rzucił Harzer, obrócił się i szybko wyszedł na zewnątrz do mieszkańców wioski i żołnierzy.

- Znalazłem srebrny. - Jeden z nazistów podniósł z ziemi wybity ząb. - Ma jeszcze więcej?

Stiefel kopnął drgające ciało w bok głowy. Z ust konającego wypadło jeszcze kilka zębów. Żołnierze pochylili się, szukając w sianie srebra. Potem Stiefel ruszył za Harzerem, a dwaj żołnierze chwycili Gervaise'go za nogi i wywlekli ciało ze stodoły. Michael został w wypełnionych wonią krwi i strachu ciemnościach. Wstrząsnął nim dreszcz. Włosy na karku zaczęły mu się podnosić.

- Uwaga - rozległ się głos Harzera - wasz mer rozstał się z życiem i zostawił was samych. Zadam wam dwa pytania i chcę, żebyście pomyśleli, zanim na nie odpowiecie...

„Dość tego - pomyślał Michael. - Nadszedł czas, żebym to ja zadawał pytania”.

Podniósł się i podszedł do dziury po sęku. Doleciał go jeszcze mocniejszy zapach benzyny. Czołgista z drugiego czołgu wlewał do zbiornika ostatni kanister paliwa. Michael wiedział, co musi zrobić, i wiedział, że musi zrobić to od razu. Podszedł do dziury w dachu, podciągnął się do góry na rękach i przywarł do powierzchni dachu.

- Gdzie spadł latawcowiec i kto mu pomaga? - nie ustawał Harzer.

Michael wycelował i pociągnął za spust. Kula uderzyła w trzymany przez żołnierza kanister z benzyną. Paliwo chlusnęło na mundur czołgisty, a z blachy kanistra, w miejscu, gdzie przebiły go kule, posypały się iskry. Harzer zamilkł.

Eksplozja kanistra zamieniła czołgistę w żywą pochodnię. Zaczął skakać i tarzać się. Na panczeru wokół wlewu paliwa pojawiły się niebieskawe języki ognia. Michael obrócił wzrok na załogę czołgu stojącego tuż koło ściany stodoły. Jeden z Niemców zauważył błysk wystrzału z pistoletu Michaela i już podnosił w jego kierunku swój pistolet maszynowy. Michael trafił go kulą w gardło i Niemiec posłał w niebo bezładną serię pocisków smugowych. Inny żołnierz próbował wskoczyć głową w dół do luku czołgu. Michael strzelił, ale chybił, kula odbiła się od panczerza. Strzelił jeszcze raz i tym razem żołnierz krzyknął, chwycił się za plecy i stoczył z panczerza na ziemię. Michael wiedział, że w magazynku kolta

zostały mu już tylko trzy kule. Trzeci czołgista rzucił się do ucieczki. Michael zeskoczył z dachu i wylądował na czołgu blisko głównego włazu. Nogi zadrżały mu przy zetknięciu z twardym metalem. Usłyszał, jak Harzer woła żołnierza z karabinem maszynowym i poleca otoczyć stodołę. Obrzeże nadal otwartego włazu czołgu mokre było od krwi Niemca. Michael zauważył jakiś ruch nieco z tyłu po prawej stronie. Obrócił się, akurat gdy żołnierz naciskał na spust. Kula przeleciała mu między nogami i odbiła się od włazu. Michael nie miał czasu celować i w dodatku nie musiał tego robić, gdyż w tej samej chwili grad kul uderzył Niemca w klatkę piersiową. Żołnierz podskoczył do góry i padł na ziemię.

- Wsiadaj! - krzyknęła Gaby, trzymając w dłoniach dymiącego schmeissera, którego zabrała pierwszemu zastrzelonemu przez Michaela żołnierzowi. - Pośpiesz się! - Wysunęła rękę, złapała za żelazny uchwyt i wciągnęła się na czołg. Michael stał oszołomiony. - Nie rozumiesz po francusku?! - krzyknęła Gaby z oczami pełnymi ognia i wściekłości.

Rozległ się trzask karabinu i dwie kule odbiły się od pancerza czołgu. Michael nie potrzebował lepszej zachęty. Skoczył przez właz do ciasnego wnętrza oświetlonego małą czerwoną lampką. Gaby pośpieszyła za nim, sięgnęła ręką do góry, zatrzasnęła właz i zakręciła go mocno.

- Tu, niżej!

Wepchnęła go głębiej we wnętrzości czołgu i Michael wśliznął się na niewygodne, pokryte skórą siedzenie. Zobaczył przed sobą tablicę rozdzielczą, coś, co wyglądało jak hamulec ręczny, i kilka dźwigni. Na podłodze były różne pedały, a na wprost jego twarzy po prawej i lewej stronie widniały szczeliny wizjerów. Spojrzawszy przez lewy wizjer, zobaczył na ziemi obok drugiego czołgu płonące ciało. Inny żołnierz wychylał się z luku, wołając:

- Obrócić wieżę o sześćdziesiąt sześć stopni!

Wieża i masywne działo zaczęły się obracać. Michael wsunął lufę pistoletu w szczelinę wizjera i nacisnął na spust. Kula trafiła żołnierza w ramię, wrywając mu kawałek ciała. Niemiec osunął się do wnętrza czołgu, ale wieża nie przestała się obracać.

- Ruszaj! - wykrzyknęła Gaby z przerażeniem. - Staranuj go! Pociski załomotały o opancerzone boki jak niecierpliwie pięści wzburzonego tłumu. Michael znał ten typ czołgu z Afryki Północnej. Wiedział, że kieruje się nim za pomocą dźwigni regulujących biegi i prędkość przesuwu gaśnic, ale sam nigdy nie prowadził takiego pojazdu. Bezskutecznie szukał sposobu, aby uruchomić silnik, kiedy Gaby przechyliła się do przodu i przekręciła tkwiący w stacyjce kluczyk. Silnik ryknął, zgrzytając i klekocąc, i rozległ się głuchy wybuch resztek nie dopalonego paliwa w rurze wydechowej.

Czołg zadrżał od wibracji pracującego silnika. Michael nacisnął nogą coś, co - jak miał nadzieję - mogło być sprzęgłem, i zaczął się szarpać z dźwignią zmiany biegów. Chociaż mechanizm nie działał tak sprawnie jak w komfortowym jaguarze, to przekładnie zazgrzytały i w końcu zaskoczyły gładko.

Czołg ruszył gwałtownie do przodu, aż Michael uderzył głową w wyłożone miękką osłoną oparcie fotela. Gaby, siedząca nad nim na stanowisku działonowego, zobaczyła sylwetki wskakujących na pancierz żołnierzy. Wetknęła lufę schmeissera w wizjer i przecięła kulami dwie pary niemieckich nóg.

Michael wcisnął gaz do końca i szarpnął jedną z dźwigni. Gąsienica po prawej stronie stanęła w miejscu, ale lewa poruszała się dalej, obracając czołg w prawo, chociaż wcale nie to było zamiarem Michaela. Pociągnął za inną dźwignię. Tym razem lewa gąsienica stanęła w miejscu, a prawa skoczyła do przodu, obracając czołg gwałtownie w lewo w kierunku wroga. Pojazd drżał cały, równie posłuszny rękóm żołnierza alianckiego jak niemieckiego. Michael zobaczył, że wieża drugiego czołgu już prawie całkiem obróciła się w ich stronę.

Nacisnął gwałtownie hamulec. Drugi czołg plunął ogniem z lufy.

Rozległ się niesamowity pisk i fala piekielnie gorącego powietrza wpadła przez wizjer, uderzając Michaela w twarz. Na moment stracił orientację, nie wiedząc, czy został rozerwany na milion strzępów, czy też nie. Wystrzelony z czołgu pocisk rozerwał się z hukiem gdzieś na polach, może trzysta jardów za zabudowaniami wioski.

Michael nie miał czasu, aby odczuć szok czy też wpaść w panikę. Nacisnął pedał gazu i czołg ponownie szarpnął się ostrym obrotem w lewo. Spod gąsienic trysnęły w powietrze gejzery ziemi. Przez szczelinę przedniego wizjera widać było drugi czołg, którego wieża nadal bluzgała ogniem karabinów maszynowych.

- Ta skrzynia za tobą! - krzyknęła Gaby. - Sięgnij do niej! Kule karabinów maszynowych z jękiem odbijały się od pancerza, aż Gaby instynktownie wtulała głowę w ramiona.

Michael sięgnął do pudła i wy dobył z niego pokryty stalowym płaszczem pocisk. Gaby pociągnęła za jakąś dźwignię i szarpnęła jeszcze jedną. Rozległ się zgrzyt odsuwanej metalowej pokrywy.

- Włóż go tutaj - powiedziała. Pomogła mu umieścić pocisk w komorze nabojujowej działa, a następnie sama zaryglowała zamek. Michael zobaczył krople potu na jej twarzy.

- Jedź cały czas prosto! - zawołała i pociągnęła kolejną dźwignię. Rozległ się pisk jakiegoś mechanizmu.



Drugi czołg zaczął się cofać, obracając wieżę, żeby przygotować się do oddania kolejnego strzału. Michael manipulował dźwigniami, utrzymując kierunek wprost na stalowego potwora. Z luku wyłoniła się głowa krzyczącego coś żołnierza. Michael nie słyszał jego słów przez huk silników, mógł się jednak domyślić, że to rozkaz brzmiący: „Obrócić wieżę o dziewięćdziesiąt osiem stopni”. W ten sposób niemiecka załoga nakierowała by działa wprost na nich.

Lufa sunęła w poszukiwaniu celu.

Michael zaczął naciskać hamulec, ale powstrzymał się. Tym razem Niemcy mogli przewidzieć, że zechce się zatrzymać. Wcisnął więc znowu gaz i wtedy pojedyncza kula uderzyła w krawędź prawego wizjera, obsypując wnętrze czołgu snopem iskieł.

- Trzymaj się! - ostrzegła go Gaby i pociągnęła za spust oznakowany napisem: FEUERN.

Rozległ się taki huk, że Michael poczuł się, jakby bębunki wypadły mu z uszu i kości wrywały się ze stawów. Wiedział jednak, że to jest niczym w porównaniu z tym, co przydarzyło się załodze drugiego czołgu.

We wściekle czerwonym blasku eksplozji Michael zobaczył, że cała wieża tamtego czołgu została odcięta, tak jak odcina się skalpelem narośl na ciele. Armata wypaliła w powietrze, obróciła się z całą wieżą dwukrotnie i spadła na ziemię. Dwie ludzkie pochodnie wyskoczyły z resztek czołgu i z wrzaskiem pobiegły na spotkanie śmierci.

Michael poczuł odór kordytu i palących się ciał. Kolejna eksplozja wstrząsnęła drugim czołgiem, rozsiewając wokół kawałki metalu. Nacisnął hamulec i skręcił gwałtownie w prawo, aby wyminąć wypatroszony wrak.

Niemieccy żołnierze z krzykiem uciekali im z drogi. Michael zobaczył przez wizjer sylwetki Harzera i jego adiutanta.

- Ognia! Ognia! - wrzeszczał Harzer z lugerem w ręce, ale w oddziale zapanował całkowity chaos.

Stojący kilka kroków za Harzerem Stiefel przyglądał się wydarzeniom bez cienia emocji.

- Tam jest ten sukinsyn! - krzyknęła Gaby. Podniosła rękę i odrzuciła klapę włazu, zanim Michael zdążył ją powstrzymać. Wychyliła głowę i ramiona z luku, wycelowała ze swojego schmeissera i wypuściła serię pocisków, odstrzelując Harzerowi większą część głowy. Ciało Niemca dało trzy kroki do przodu i przewróciło się. Stiefel padł plackiem na ziemię.

Czołg z rykiem przejechał obok nich. Michael chwycił Gaby za nogę i wciągnął ją z powrotem. Zatrzasnęła za sobą pokrywę włazu. Z lufy jej schmeissera unosił się niebieski dym.

- Przez pole! - rzuciła do niego i Michael posłusznie skierował czołg na wprost.

Uśmiechnął się ironicznie. Był pewien, że kapitan Harzer zrozumiałby, iż Gaby ma po prostu taką pracę.

Mieląc gaśnicami żółty pył, czołg przetoczył się przez pole i oddalił od wioski i chaotycznych strzałów karabinów.

- Pojadą za nami samochodami - powiedziała Gaby. - Pewnie teraz wzywają pomoc. Lepiej wyskoczyć z czołgu, póki jeszcze możemy.

Michael nie sprzeciwił się. Wyciągnął kolejny pocisk z drewnianej skrzyni za swoim siedzeniem i zaklinował go o ścianę, opierając jednym końcem o pedał gazu. Gaby wspięła się przez właz na zewnątrz. Poczekała na Michaela, a potem cisnęła schmeissera na ziemię i skoczyła w ślad za nim. Gallatin skoczył kilka sekund po niej i wylądował na polu.

Przez chwilę nie był w stanie jej dostrzec w chmurze kurzu.

Coś się ruszyło po jego lewej stronie. Podszedł do niej cicho od tyłu i chwycił ją za ramię. Wzdrygnęła się zaskoczona. Wskazała przed siebie lufą pistoletu maszynowego.

- Las jest w tamtym kierunku. Możesz biec?

- Zawsze mogę - odpowiedział.

Rzucili się biegiem ku odległej o jakieś trzydzieści jardów linii drzew. Michael celowo zwalniał, żeby nie wyprzedzić Gaby.

Bez przeszkód skryli się pomiędzy drzewami. Stojąc pod ich osłoną, zobaczyli dwa samochody patrolowe. Jechały w ślad za czołgiem, trzymając się w bezpiecznej odległości od niego. Oboje przypuszczali, że czołg będzie prowadził za sobą pościg jeszcze przynajmniej kilka mil.

- Witamy we Francji - powiedziała Gaby. - Wierzysz w popisowe wejścia, prawda?

- Każde wejście, które udaje mi się przeżyć, jest popisowe.

- Jeszcze sobie nie gratuluj. Przed nami daleka droga. - Przerzuciła przez ramię pas od schmeissera. - Mam nadzieję, że masz zdrowe serce, bo ja chodzę szybko.

- Postaram się dotrzymać ci kroku - odparł Michael. Obróciła się do niego plecami, skoncentrowana na czekającym ich zadaniu, i ruszyła szybko przez zarośla. Michael podążał około dwunastu stóp za nią, nasłuchując ewentualnych odgłosów zbliżających się ludzi. Nikt za nimi nie szedł. Harzer nie żył i niemiecki oddział poszedł w rozsypkę. Nikt nie ruszył, żeby przeczesać las. Michael przypomniał sobie człowieka w wypolerowanych podkutych butach.

Zabicie starego Francuza było łatwe, ale Michaela ciekawiło, jak Stiefel dałby sobie radę z bardziej wymagającym przeciwnikiem.

No cóż, życie mogło przynieść różne możliwości.

Teraz Michael siedł za Francuzką przez osłaniający ich ze wszystkich stron las.

Po ponad dwóch godzinach szybkiego marszu w kierunku południowo-wschodnim i po przecięciu paru pól i dróg, kiedy Gaby trzymała gotowego do strzału schmeissera, a Michael nastawiał uszu, nasłuchując wszelkich dźwięków, dziewczyna powiedziała:

- Zaczekamy tutaj.

Zatrzymali się w kępie drzew na skraju polany, na której stał samotny wiejski dom z kamienia. Budynek był w stanie ruiny, jego dach się zapadł, trafiony być może przypadkową bombą zrzuconą przez aliancki samolot czy zbłąkanym pociskiem z działa albo może zniszczony przez SS-manów ścigających partyzantów. Nawet ziemia wokół domu została wypalona przez ogień, a z sadu pozostało tylko kilka poczerniałych pniaków.

- Jesteś pewna, że to właściwe miejsce? - zapytał Michael, chociaż zdawał sobie sprawę, że jego pytanie nie ma sensu.

Lodowate spojrzenie Gaby potwierdziło tę opinię.

- Jesteśmy przed czasem - wyjaśniła, klękając ze schmeisserem w rękach. - Nie będziemy mogli wejść przez... - przerwała, spoglądając na fosforyzujący zegarek na ręce - dwanaście minut.

Michael ukląkł przy niej. Zaimponowała mu jej umiejętność orientacji w terenie. W jaki sposób określała kierunek? Oczywiście według gwiazd albo znała drogę na pamięć. Mimo że znaleźli się w miejscu, gdzie ich w tej chwili oczekiwano, to wokół nie było widać nic oprócz samotnego, zrujnowanego domu.

- Musiałaś mieć jakąś praktykę z czołgami - rzucił pytająco.

- No, nie za bardzo. Miałam po prostu kochanka, który był dowódcą niemieckiego czołgu. Nauczyłam się wszystkiego od niego.

- Wszystkiego? - zapytał Michael, podnosząc brwi. Spojrzała szybko na niego. Jego oczy wpatrywały się w nią, błyszcząc jak nafosforyzowane wskazówki zegarka. Więziły ją. Odwróciła wzrok.

- Było to konieczne, żebym... wykonywała służbę dla ojczyzny - powiedziała nieco drżącym głosem. - Ten człowiek miał informacje na temat pewnego konwoju. - Czuła, że się jej przygląda. - Zrobiłam to, czego ode mnie oczekiwano. To wszystko.

Michael skinął głową. Powiedziała „ten człowiek”. Żadnego imienia, żadnych emocji. Ta wojna pozbawiała człowieka wszelkich uczuć.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało we wsi. Ja...

- Nie przejmuj się tym - przerwała mu w pół słowa - to nie twoja wina.

- Patrzyłem na śmierć tego starego człowieka - podjął Michael. Oczywiście widział śmierć wcześniej wiele razy, ale zimna precyzja, z jaką Stiefel wymierzał swej ofierze kopniaki, nadal powodowała, że czuł ściskanie w żołądku. - Kim był ten morderca? Harzer nazywał go Stiefel.

- Stiefel jest... był osobistym ochroniarzem Harzera. To wyszkolony przez SS morderca. Teraz, skoro Harzer nie żyje, pewnie przydzielą Stiefela do jakiegoś innego oficera, może na froncie wschodnim. - Gaby przerwała na chwilę, patrząc na lekki odbłask światła księżycy na lufie schmeissera. - Ten stary człowiek, Gervaise, był moim wujem. Moim ostatnim krewnym. Matka, ojciec i dwaj bracia zostali zabici przez nazistów w 1940 roku - powiedziała bez żadnej emocji w głosie, jakby komunikowała jakiś neutralny fakt. Michael pomyślał, że uczucia zostały w niej wypalone tak samo jak drzewa w sadzie, który teraz widział.

- Gdybym wiedział o tym - powiedział Michael - tobym...

- Nie, nie zrobiłbyś tego - przerwała mu ostro. - Zrobiłbyś to samo, co zrobiłeś, bo w innym wypadku już byłoby po twojej misji, a ty byś też nie żył. Wieś i tak zostałaby spalona, a wszyscy ludzie rozstrzelani. Mój wuj wiedział, co ryzykujemy. To on był tym człowiekiem, który wprowadził mnie do podziemia. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Twoja misja jest teraz najważniejsza. Jedno życie, dziesięć, cała stracona wieś - to nieważne. Mamy większy cel. - Odwróciła wzrok, żeby uniknąć spojrzenia jego błyszczących, przesywających oczu.

„Gdybym mogła powtarzać sobie ciągle ten argument, to może śmierć byłaby mniej bezsensowna” - pomyślała. Wątpiła w to jednak w głębi swej poranionej duszy.

- Czas wchodzić - powiedziała, spojrzawszy znowu na zegarek.

Przeszli przez polanę. Gaby trzymała gotowego do strzału schmeissera, a Michael pociągał nosem, chwytając w nozdrza zapachy. Wyczuł woń siana, spalonej trawy i przesycony aromatem jabłkowego wina zapach włosów Gaby, ale żadnej woni pocącej się skóry, która mogłaby oznaczać kryjących się w zasadzce żołnierzy. Wchodząc za Gaby do zrujnowanego domu, poczuł dziwny zapach oleju i jakiś metaliczny odór. „Olej na metalu” - pomyślał. Podprowadziła go przez płataninę połamanych krokwi i rozrzuconych kamieni do sterty zwęglonych resztek. Gdzieś stamtąd wydobywał się ten oleisty, metalowy zapach.

Gaby uklękła, włożyła rękę w stos popiołów i Michael usłyszał dźwięk otwieranych drzwiczek. Jak się okazało, wśród nadpalonych resztek znajdowały się także przemyślnie pomalowane i równie sprytnie ułożone kawałki maskującej gumy. Gaby odszukała palcami dobrze naoliwione koło zamachowe i obróciła je kilka razy w prawo. Cofnęła rękę i wtedy

Michael usłyszał zgrzyt odsuwanych rygli. Gaby wstała. Sterta zgliszczy uniosła się, podtrzymywana przez pokrywę włazu. Zawiasy i koła zębate mechanizmu błyszcząły od oleju. W odsłoniętym otworze ukazały się prowadzące w dół drewniane stopnie.

- *Entrez* - powiedział stojący u ich podnóża szczupły młody Francuz o ciemnych włosach, dając Michaelowi znak ręką, żeby zszedł - dosłownie - do podziemia.

Michael zstąpił do otworu, a Gaby podążyła tuż za nim. Jeszcze jeden mężczyzna, tym razem starszy, ze splątaną, szpakowatą brodą, stał dalej w korytarzu, oświetlając drogę latarnią. Młody człowiek zamknął właz, obrócił koło zamachowe, a potem dosunął trzy zasuwę. Korytarz był wąski i tak niski, że Michael musiał się pochylić, podążając za przewodnikiem z latarnią.

Dotarli do kolejnych prowadzących w dół schodów, tym razem wykonanych z kamienia. Ściany po obu ich stronach zrobione były z nie ociosanych kamiennych bloków. U dołu schodów znajdowało się duże pomieszczenie, z którego rozchodziło się wiele korytarzy w różnych kierunkach. Michael pomyślał, że trafił do jakiejś średniowiecznej twierdzy. Wnętrze oświetlone było mdłym blaskiem żarówek zwisających u sklepienia na kablach. Z jakiegoś innego miejsca dochodziło brzęczenie przypominające hałas pracujących maszyn do szycia. Na dużym, oświetlonym przez żarówki stole leżała mapa. Michael podszedł do niej i zobaczył, że to plan Paryża. Z innego pomieszczenia dobiegał gwar rozmów. Gdzieś klekotała maszyna do pisania czy może maszyna kodująca. Do sali weszła atrakcyjna starsza kobieta, niosąc w rękach teczkę na dokumenty. Włożyła ją do jednej z szafek, rzuciła przelotnie okiem na Michaela, skinęła głową w stronę Gaby i wróciła do swoich obowiązków.

- No, kolego - powiedział ktoś po angielsku głosem przypominającym dźwięk piły tnącej drewno. - Nie jesteś Szkotem, ale będziemy musieli się tobą zadowolić.

Michael nie był zaskoczony, ponieważ już kilka sekund wcześniej usłyszał ciężki odgłos kroków. Obrócił się i stanął twarzą w twarz z rudobrodym olbrzymem w szkockiej spódniczce.

- Pearly McCarren, do usług powiedział mężczyzna z wyraźnym szkockim „r”. Wymawiając je, posyłał w zimne powietrze krople śliny i obłoki pary. - Król szkockiej Francji, która rozciąga się od tej ściany do tamtej - dodał i ryknął śmiechem. - Hej, Andre - powiedział do mężczyzny, który niósł latarnię - może byśmy wychylili na cześć naszego gościa kieliszek dobrego wina, co? - Francuz opuścił salę, zagłębiając się w jeden z korytarzy. - To nie jest jego prawdziwe imię - powiedział McCarren do Michaela, przykładając dłoń do ust, jakby

mu powierzał jakiś sekret - ale nie umiem wymawiać większości tych ich imion, więc wszystkich nazywam Andre.

- Rozumiem - odpowiedział Michael, uśmiechając się.

- Miałaś małe trudności, prawda? - McCarren zwrócił się do Gaby. - Sukinsyny drą się przez radio od godziny. Prawie was złapali za ogon, co?

- Prawie - odpowiedziała po angielsku. - Wuj Gervaise nie żyje - oznajmiła i nie czekając na wyrazy współczucia, dodała: - Harzer też i jeszcze paru Niemców. Nasz przyjaciel jest dobrym strzelcem. Załatwiliśmy teżczołg typu „Panzerkampfwagen II” ze znakami Dwunastej Dywizji Pancерnej SS.

- Dobra robota. - McCarren zapisał coś w notesie, wyrwał kartkę i nacisnął mały dzwonek obok krzesła. - Trzeba będzie zawiadomić naszych, że w okolicy są chłopaki z SS Panzer. Te dwójki to stare maszyny, widać, że wyciągają już wszelki złom. - Przekazał notatkę kobiecie, która wcześniej wchodziła z teczką na dokumenty. Znowu wyszła pośpiesznym krokiem. - Przykro mi z powodu twojego wuja - powiedział McCarren - zrobił dużo dobrego. Załatwiliście Stiefla?

Gaby pokręciła głową.

- Harzer był ważniejszy.

- Masz rację, ale dalej nie czuję spokoju duszy, kiedy wiem, że ten wielki sukinsyn, jak to się mówi, dalej żyje i dobrze mu leci. - Wpatrzył się w Michaela jasnoniebieskimi oczami, osadzonymi głęboko w okrągłej jak księżyc, kredowobiałej twarzy. - Podejdz no tutaj i popatrz na pętlę, w którą będziesz wsadzał głowę.

Michael obszedł stół i stanął za McCarrenem, który był wyższy od niego co najmniej trzy cale i szeroki jak drzwi do stodoły. Szkot miał na sobie połatany sweter i granatowobrazową spódnickę, barwy pułku Black Watch. Jego włosy były trochę ciemniejsze niż potargana broda, która gorzała płomiennym pomarańczowym odcieniem.

- Nasz przyjaciel Adam mieszka tutaj. - McCarren stuknął palcem w płataninę bulwarów, alei i krętych bocznych uliczek. - Szary kamienny budynek na rue Tobas. Cholera, te wszystkie budynki są szare, no nie? W każdym razie Adam mieszka w mieszkaniu numer osiem na rogu. Jest pracownikiem rachuby w urzędzie kierowanym przez pewnego podrzędnego niemieckiego oficera, który zajmuje się dostawami dla Niemców we Francji: żywność, ubrania, materiały piśmienne, paliwo, amunicja. Można wiele się dowiedzieć na temat armii, śledząc, w co dowództwo zaopatruje oddziały. - Postukał znowu w labirynt

ulic. - Adam chodzi do pracy pieszo każdego dnia tą drogą. - Michael patrzył, jak McCarren ciągnie palcem wzdłuż rue Tobas, skręca w rue St. Fargeau i zatrzymuje się na

avenue Gambetta. - Ten budynek jest tutaj. Otoczony wysokim płotem z drutem kolczastym u góry.

- Adam nadal pracuje? - zapytał Michael. - Mimo że gestapo wie, iż jest szpiegiem?

- Zgadza się. Wątpię, czy dają mu cokolwiek ważnego do roboty. Raczej tylko zapełniają mu czas. Popatrz tutaj. - McCarren podniósł leżący obok mapy album i otworzył go. W środku umieszczone były duże, gruboziarniste powiększenia czarno-białych zdjęć. Podał je Michaelowi. Były to fotografie dwóch mężczyzn, z których jeden ubrany był w garnitur i krawat, a drugi miał na sobie lekką kurtkę i берет. - Ci gestapowcy chodzą za Adamem wszędzie. Jeżeli nie akurat ci, to inni. Mają lokum w budynku naprzeciwko domu Adama i obserwują jego mieszkanie całą dobę. Przypuszczamy też, że prowadzą podsłuch telefoniczny wszystkich jego rozmów. - Oczy McCarrena napotkały wzrok Michaela. - Czekają, rozumiesz?

Michael skinął głową.

- Czekają, żeby upiec dwa gołąbki przy jednym ogniu.

- Zgadza się, i może po tych dwóch gołąbkach chcą odkryć całe gniazdo, a to wykluczyłoby nas z interesu w najważniejszym momencie. W każdym razie zwąchali, że Adam coś wie, i nie chcą, żeby ta informacja wydostała się na zewnątrz.

- Czy domyślasz się, jaka to może być informacja?

- Nie. Tak samo jak nikt z podziemia. Kiedy tylko gestapo się dowiedziało, że on coś wie, uczepliło się go jak kleszcz psa.

Szpakowaty Francuz, którego McCarren nazywał Andre, przyniósł zakurzoną butelkę burgunda i trzy kieliszki. Postawił je na stole obok planu Paryża i odszedł. McCarren nalał wina Michaelowi, potem Gaby i na końcu sobie.

- Na śmierć nazistom - powiedział podnosząc kieliszek - i na cześć Henriego Gervaise.

Michael wznosił kieliszek w toast. McCarren szybko połknął swoje wino.

- Widzisz więc, na czym polega nasz problem, człowieku? - zapytał. - Gestapo trzyma Adama w niewidzialnej klatce.

Michael sącył ostre, mocne wino, przyglądając się mapie.

- Adam chodzi do pracy i wraca z niej codziennie tą samą drogą? - zapytał.

- Tak, mogę dać ci trasę z oznaczonymi godzinami, gdybyś chciał.

- Przyda mi się. - Michael prześledził wzrokiem trasę Adama. - Musimy dotrzeć do niego, kiedy albo idzie do pracy, albo wraca do mieszkania - postanowił.



- Wybij to sobie z głowy. - McCarren dolał sobie wina. - Już o tym myśleliśmy. Planowaliśmy podjechać samochodem, zastrzelić tych gestapowców i wiać stamtąd jak cholera, ale...

- Ale - przerwał mu Michael - zrozumieliście, że Adam będzie pierwszą ofiarą, jeżeli oprócz tych dwóch śledzi go jeszcze jakiś inny gestapowiec, i że nigdy nie wydostaniecie go żywego z Paryża, nawet gdyby przeżył samą akcję. W dodatku ktokolwiek prowadziłby ten samochód, to pewnie zostałby podziurawiony kulami albo złapany przez gestapo, co nie przysłużyłoby się podziemi, prawda?

- Mniej więcej - zgodził się McCarren, wzruszając masywnymi ramionami.

- Więc jak można się skontaktować z Adamem na ulicy? - zapytała Gaby. - Jeżeli ktokolwiek zatrzyma go nawet na kilka sekund, to od razu zostanie złapany.

- Nie wiem - przyznał Michael. - Ale wygląda na to, że musimy zrobić to w dwóch etapach. Najpierw musimy ostrzec Adama, że ktoś przybędzie mu na pomoc. Następnym krokiem będzie wydobyć go stamtąd, co może być... trudne - mruknął.

- No pewnie - powiedział McCarren. Odstawił kieliszek i pociągnął łyk burgunda prosto z butelki. - O tym samym rozmawiałem z moimi kumplami z pułku Black Watch pod Dunkierką cztery lata temu, kiedy Niemcy zepchnęli nas na brzeg morza. Mówiliśmy, że trudno będzie się wydostać, ale że to zrobimy, na Boga. No i - dodał z gorzkim uśmiechem - większość z nich leży sześć stóp pod ziemią, a ja jestem nadal we Francji. - Pociągnął znowu łyk wina i z hukiem odstawił butelkę na stół. - Rozmyślaliśmy nad tym na różne sposoby, przyjacielu. Każdy, kto zbliży się do Adama, będzie przyskrzyniony przez gestapo. Kropka.

- Oczywiście macie jego zdjęcie? - zapytał Michael. Gaby otworzyła kolejny album i pokazała mu czarno-białe zdjęcia en face i z profilu, takie jakie robi się do dowodów tożsamości. Widać było na nich poważną, szczupłą twarz blondyna po czterdziestce. Chorobliwie blady, nosił okulary w okrągłych drucianych oprawkach. Był typem człowieka, który gubi się w tłumie. Nie miał żadnych znaków szczególnych ani żadnego osobistego rysu w wyglądzie. Jego twarz można było zapomnieć zaraz po zobaczeniu. „Typ księgowego - pomyślał Michael - albo kasjera bankowego”. Przejrzał maszynopis napisanego po francusku dossier agenta o pseudonimie „Adam”. Pięć stóp i dziesięć cali wzrostu. Sto sześćdziesiąt trzy funty wagi. Zainteresowania: zbieranie znaczków, praca w ogrodzie i opera. Krewni w Berlinie. Jedna siostra w...

Michael wrócił wzrokiem do poprzedniego zdania. Opera.

- Adam chodzi do Opery Paryskiej? - zapytał.

- Nieustannie - odpowiedział McCarren. - Nie ma za wiele pieniędzy, ale większość z nich wydaje na te bzdury.

- Ma wspólną lożę w operze z dwoma innymi mężczyznami - dodała Gaby, zaczynając rozumieć, do czego zmierza Michael. - Możemy zlokalizować tę lożę, jeżeli zechcesz.

- Czy możemy przekazać wiadomość przez któregoś z przyjaciół Adama?

Zastanowiła się przez chwilę i pokręciła głową.

- Nie, to zbyt ryzykowne. O ile wiemy, to nie są jego przyjaciele, tylko jacyś urzędnicy, którzy po prostu wynajmują tę lożę razem z nim. Każdy z nich może pracować dla gestapo.

Michael powrócił znowu do zdjęć Adama, starając się zapamiętać każdy cal jego pozbawionej wyrazu twarzy. Czuł, że za tą twarzą kryje się coś bardzo ważnego. Czuł zapach tego czegoś tak samo, jak czuł burgunda w oddechu McCarrena i woń spalonego prochu na skórze Gaby.

- Znajdę sposób, żeby do niego dotrzeć.

- W biały dzień? - McCarren podniósł swoje krzaczaste, płomieniście rude brwi. - Mimo wszystkich obserwujących go Niemców?

- Tak - odparł zdecydowanie Michael, wytrzymując spojrzenie McCarrena, aż Szkot mruknął coś i odwrócił wzrok. Michael nie wiedział jeszcze, w jaki sposób wykona swą misję, ale był pewien, że znajdzie jakieś rozwiązanie. Pomyślał, że nie wyskoczył z tego cholernego samolotu po to, żeby się wycofać tylko dlatego, że operacja wygląda na niemożliwą do przeprowadzenia. - Będę potrzebował dowodu tożsamości i odpowiednich przepustek na drogę - powiedział. - Nie chcę, żeby mnie złapali, zanim dotrę do Paryża.

- Chodź za mną. - McCarren wskazał mu ruchem ręki korytarz prowadzący do następnego pomieszczenia.

Kiedy tam weszli, Michael zobaczył ustawiony na statywie aparat fotograficzny i kilku mężczyzn, którzy siedząc przy stole, dokonywali ostatecznego retuszu fałszywych niemieckich przepustek i dowodów tożsamości.

- Zrobiam ci zdjęcie i postaramy się, żeby twój dowód wyglądał na zużyty - wyjaśnił McCarren. - Ci chłopcy tutaj to starzy fachowcy w takich sprawach. Chodźmy dalej.

Przeszli do następnej sali, gdzie Michael zobaczył wieszaki z różnymi niemieckimi mundurami, bele sukna w kolorze feldgrau i zieleni, czapki, hełmy i buty. Przy maszynach do szycia pracowały trzy kobiety, przyszywając guziki i insygnia.

- Będziesz oficerem łącznościowcem nadzorującym konserwację linii telefonicznych. Zanim stąd wyjedziesz, będziesz wiedział wszystko o niemieckim systemie telefonicznym i

potrafił wyrecytować nazwy swoich jednostek i ich rozlokowanie nawet przez sen. Zajmie ci to dwa dni intensywnej nauki. Przez ten czas te szkopy tam na górze trochę się uspokoją. Pojedziesz do Paryża z kierowcą, dam ci jednego z moich Andre. Mamy tu niedaleko schowany ładny, błyszczący samochód sztabowy. Wódz mówi, że znasz niemiecki, więc poczynając od ósmej zero zero będziesz mówił tylko po niemiecku. - Wyciągnął z kieszeni zegarek i otworzył jego kopertę. - Zostaje ci więc około czterech godzin na umycie się i przespanie. Sądzę, że to ci się przyda.

Michael skinął głową. Cztery godziny snu to było więcej nawet, niż potrzebował, miał więc czas na zmycie barw wojennych i kurzu z twarzy.

- Macie tu na dole prysznic?

- Niezupełnie. - McCarren lekko się uśmiechnął, rzucając okiem na Gaby, która szła za nimi. - Ten obiekt został zbudowany przez Rzymian, jeszcze za Juliusza Cezara, a oni lubili łaźnie. Gaby, zajmiesz się naszym przyjacielem?

- Tędy - powiedziała dziewczyna i ruszyła przed siebie. Michael podążył kilka kroków za nią.

- Gaby! - zawołał McCarren. - Wykonałaś cholernie dobrą robotę - pochwalił ją, gdy zatrzymała się i obróciła ku niemu.

- *Merci* - odpowiedziała bez śladu emocji w głosie, jakby nie dbała o to, czy jest chwalona.

Jej oszołamiające szafirowoniebieskie oczy, kontrastujące z bladością posągowej twarzy, zatrzymały się na Michaelu Gallatinie. We wzroku Gaby Michael dostrzegł zimny, profesjonalny respekt. „Jeden zabójca patrzy na drugiego” - pomyślał zadowolony z tego, że walczą po tej samej stronie.

- Chodź za mną - powiedziała.

Ruszył za nią przez chłodne podziemne korytarze.

- Tu jest twoja wanna - oznajmiła Gaby.

Stali nad kamiennym basenem o szerokości piętnastu stóp. Wypełniony był głęboką na cztery stopy wodą, w której pływało trochę suchych liści i żdźbła trawy.

- A tu jest mydło - dodała, rzucając mu twardą białą kostkę z drewnianej półki, na której zawieszono były też czyste, chociaż dość już zużyte ręczniki. - Napuściliśmy wody dopiero parę dni temu. - Wskazała na wylot sporego kamiennego koryta wystającego ze ściany nad basenem. - Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci to, że ktoś się już kąpał w tej wodzie.

- O ile nie była używana do niczego innego - odparł z najweselszym uśmiechem, na jaki potrafił się zdobyć.

- Nie. Mamy na to inne miejsce.

- Ot, co znaczą wygody domu - zauważył Michael. Niespodziewanie dla niego Gaby ściągnęła przez głowę swój zakurzony sweter i zaczęła rozpinąć bluzkę. Patrzył, jak się rozbiera, nie wiedząc, jak powinien zareagować. Gaby, również patrząc na niego, zdjęła bluzkę i została w samym biustonoszu.

- Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza - powiedziała sięgając dłońmi do tyłu, aby rozpiąć biustonosz. - Też się muszę umyć. - Biustonosz spadł, uwalniając jej piersi.

- O nie - odrzekł - wcale mi to nie przeszkadza.

- Cieszę się. Nawet gdyby ci przeszkadzało, to i tak nie miałyby znaczenia. Niektórzy mężczyźni są... no wiesz... nieśmiali, jeżeli mają się kąpać z kobietami. - Zdjęła buty i skarpety i zaczęła rozpinąć spodnie.

- Niewiarygodne - powiedział Michael bardziej do samego siebie niż do niej. Ściągnął czapkę i rozpiął swój spadochroniarski kombinezon.

Gaby zdjęła bez wahania resztę bielizny, całkowicie naga podeszła do kamiennych stopni prowadzących w głąb wody i zaczęła po nich schodzić. Michael usłyszał, jak wstrzymuje oddech. kiedy woda zaczęła podnosić się na jej udach i dosięgła brzucha.

„Źródłana woda - pomyślał. - Sprowadzana przez starożytny rzymski rurociąg do wspólnej łaźni prawdopodobnie w jakiejś świątyni”.

Gaby zeszła z ostatniego stopnia, woda sięgała jej tuż ponad piersi, i wypuściła wreszcie wstrzymywane dotąd w płucach powietrze. W pomieszczeniu było już wystarczająco chłodno, nawet bez kontaktu z wodą, ale Michael nie miał ochoty ruszać do

Paryża bez kąpielni. Zdjął bieliznę i zszedł po stopniach. Na początku odczuł szok, kiedy zimna woda dotknęła jego kostek, potem kolan, a potem.... hm, nie było to doświadczenie, które mógłby łatwo zapomnieć.

- Nie daję się - powiedział, zaciskając zęby.

- Jestem pełna podziwu. Musisz być przyzwyczajony do zimnych kąpielni, co?

Nie zdążył jeszcze odpowiedzieć, gdy Gaby wyszła na środek basenu i zanurzyła głowę pod wodę. Odgarnęła szybko z twarzy gęste czarne włosy.

- Podaj mi mydło, proszę. - Złapała je w powietrzu i zaczęła namydlać włosy. Mydło roztaczało zapach łożu i otrąb, na pewno nie była to marka pochodząca z paryskiego butik. - Szybko myślałeś tam w Bazancourt.

- Niezupełnie. Po prostu wykorzystałem nadarżającą się sposobność. - Zanurzył się po szyję w wodzie, usiłując przyzwyczaić się do zimna.

- Często to robisz? Często wykorzystujesz nadarżającą się sposobność? - Piana z mydła skapywała jej z włosów.

- Potrafię reagować tylko w ten sposób. - „W wilczy sposób” - dopowiedział w myślach. - Trzeba brać to, co się nadarza.

Gaby namydliła sobie ramiona, barki i piersi szybkimi, zdecydowanymi ruchami, w których nie było nic uwodzicielskiego. Nie oferowała mu niczego, po prostu wykonywała swoje zadanie. Wydawała się całkowicie nie przejmować faktem, że jej jędrne, zwinne ciało znajduje się niespełna siedem stóp od niego. Zaintrygowała go jej beztroska i przekonanie, że potrafi poradzić sobie z każdym problemem. Lodowata woda nie pozwalała mu jednak na odczucie prawdziwego podniecenia, czuł tylko słabe drgnięcia. Patrzył na nią, jak mydli sobie plecy, sięgając jak najdalej rękami. Nie poprosiła go o pomoc. Namydliła twarz, znowu zanurzyła się pod wodę i wychynęła na powierzchnię z zaróżowionymi policzkami.

- Twoja kolej! - zawołała, rzucając mu mydło.

Michael zmył farbę maskującą z twarzy. Ostre mydło szczypało go w skórę.

- Skąd tu macie elektryczność? - zapytał, wskazując ruchem głowy dwie żarówki zwisające z biegnącego po ścianie przewodu.

- Podłączyliśmy się do linii, która prowadzi do pewnej posiadłości dwie mile stąd - wyjaśniła, uśmiechając się przelotnie. Włosy nadal miała pełne mydlin. - Naziści mają tam teraz stanowisko dowodzenia. - Wyplukała jeszcze raz włosy. Strużki mydlin spływały po jej ciele jak koronkowe wstążki. - Używamy elektryczności tylko między północą a piątą rano i nie pobieramy za wiele, żeby nie zwrócić ich uwagi.

- Szkoda, że nie macie podgrzewacza do wody.

Michael zanurzył głowę, zamoczył włosy, a potem namydlił je i wypłukał z nich brud. Następnie namydlił sobie klatkę piersiową, ramiona i jeszcze raz twarz, po czym się opłukał. Zauważył, że Gaby przygląda się jego pozbawionej kamuflażu twarzy.

- Nie jesteś Anglikiem - powiedziała po kilku sekundach.

- Jestem obywatelem brytyjskim.

- Może to prawda... ale nie jesteś Anglikiem. - Przysunęła się bliżej do niego. Poczł naturalny aromat jej czystego ciała, przypominał mu zapach jabłoniowego sadu kwitnącego na białło w wiosennym słońcu. - Widziałam wielu Anglików wziętych do niewoli przez Niemców w 1940 roku. Nie wyglądasz tak jak oni.

- A jak oni wyglądali?

Wzruszyła ramionami i podeszła nieco bliżej. Zatrzymała wzrok na ustach Michaela, bo obawiała się, że jego zielone oczy mogłyby ją zahipnotyzować, gdyby w nie patrzyła.

- Nie wiem. Może tak, jakby byli dziećmi bawiącymi się w wojnę. Nie zdawali sobie sprawy, na co się porywają, kiedy próbowali walczyć z Niemcami. Ty wyglądasz... - przerwała, stojąc po piersi w zimnej wodzie. Nie wiedziała, jak to wyrazić. - Wyglądasz tak, jakbyś walczył już od dawna.

- Byłem w Afryce Północnej.

- Nie. Nie o to mi chodzi. Wyglądasz tak... jakby twoja wojna toczyła się tutaj - wskazała palcem serce. - Twoja wojna toczy się wewnątrz, prawda?

Tym razem Michael poczuł, że musi odwrócić od niej wzrok. Gaby za wiele potrafiła dostrzec.

- Czy nie jest tak u wszystkich ludzi? - zapytał i skierował się ku stopniom. „Czas kończyć kąpiel i pomyśleć o misji” napominał się w duchu.

Żarówki zamruwały raz i potem jeszcze raz. Ich włókna przez chwilę żarzyły się tylko na brązowo i w końcu zgasty. Michael stał w ciemnościach, a zimna woda łaskotała go na wysokości pasa.

- Nalot bombowy - powiedziała Gaby z drżeniem w głosie. Michael się domyślił, że nie lubi ciemności. - Niemcy wyłączyli zasilanie - dodała.

Z dala dobiegł przytłumiony odgłos, jakby młot uderzał w poduszkę.

„To bomba albo działo wielkiego kalibru” - pomyślał Michael.

Po chwili nastąpiły kolejne wybuchy, bardziej odczuwalne niż słyszalne. Kamienie zadrżały pod stopami Michaela.

- Może być gorąco - powiedziała Gaby. Tym razem już nie zdołała ukryć strachu w głosie.

- Trzymajcie się wszyscy! - zawołał ktoś po francusku z sąsiedniego pomieszczenia.

Rozległ się kolejny huk i wszystko wokół nich zadrżało. Sklepienie pękło z suchym trzaskiem i do wody posypały się okruchy kamienia. Gdzieś blisko spadały bomby albo niedaleko znajdowało się stanowisko baterii dział przeciwlotniczych, wypełniających niebo eksplozjami pocisków. Pył z rzymskiej budowli wypełnił nozdrza Michaela. Przy kolejnym wybuchu odniósł wrażenie, że pocisk, czy też bomba, wylądował nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od jego głowy.

Poczuł przytulające się do niego ciepłe, drżące ciało. Gaby przywarła do jego torsu. Objął ją rękami.

Kawałki kamienia spadały z pluskiem w wodę wokół nich. Kilka niewielkich okruchów obsypało się Michaelowi na plecy. Przy następnej eksplozji Gaby przycisnęła się jeszcze mocniej, wpijając się palcami w jego ciało. W chwili ciszy pomiędzy wybuchami usłyszał, jak dziewczyna jęczy, oczekując upadku następnej bomby. Stał z napiętymi mięśniami i gładził mokre włosy Gaby, a wokół nich rozlegał się huk bomb i dział przeciwlotniczych.

Minutę później wszystko ustało, słychać było tylko odgłos ich oddechów i łomot serc. Gaby drżała.

Ktoś zakaszłał w sąsiednim pomieszczeniu.

- Czy są jacyś ranni?! - zawołał męski głos, należący chyba do McCarrena.

Rozległy się uspokajające odpowiedzi innych partyzantów.

- Gaby! - krzyknął McCarren. - Jak tam u was? Chciała odpowiedzieć, ale miała nos i gardło pełne pyłu i była bliska omdlenia. Nie znosiła ciemności, zamknięcia i ogłuszających odgłosów eksplozji. Przypominały jej przerażającą chwilę cztery lata temu, kiedy chowała się w piwnicy z rodziną, podczas gdy samoloty Luftwaffe bombardowały jej wieś.

- Gaby! - krzyknął znowu McCarren z niepokojem w głosie.

- Nic nam nie jest - odpowiedział spokojnie Michael. - Trochę nas tylko potrząśło.

Szkot odetchnął głośno z ulgą i ruszył dalej, żeby sprawdzić następne pomieszczenia.

Gaby nie mogła powstrzymać drżenia spowodowanego przez zimną wodę i jej własną, wychłodzoną ze strachu krew. Trzymając głowę na ramieniu swego towarzysza, uświadomiła sobie nagle, że nawet nie zna i nie powinna znać jego prawdziwego imienia. To należało do reguł gry. Jednak czuła zapach jego ciała poprzez odór unoszącego się w powietrzu pyłu i przez chwilę wydało jej się... nie, to niemożliwe... że jego skóra wydziela słabą dziką woń, jak zapach jakiegoś zwierzęcia. Nie był nieprzyjemny, ale... inny, w jakiś trudny do określenia sposób. Żarówki znowu zamigotały. Zapalały się i gasły, zapalały i gasły, kiedy

jakiś Niemiec zaczął przerzucać przełączniki regulujące przepływ prądu. W końcu żarówki rozjarzyły się równym pomarańczowym blaskiem.

- Już wszystko w porządku - powiedział Michael i Gaby podniosła wzrok.

Jego oczy lekko świeciły, jakby absorbowały całe dostępne światło. Przeraziło ją to, chociaż sarna nie wiedziała, czego się boi. Ten człowiek był inny, coś w nim było, coś nieokreślonego. Ich oczy spotkały się. Czas płynął powoli, odmierzany biciem ich serc. Odniosła wrażenie, że dostrzega w tych zielonych oczach przebłysk czegoś pierwotnego, jak blask płomienia za oszronioną szybą. Czuła ciepło jego ciała, widziała parę podnoszącą się z jego skóry. Chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała co; wiedziała tylko, że jeżeli zdoła coś z siebie wydobyć, to jej głos będzie drżał.

Michael przemówił pierwszy całym ciałem. Odwrócił się od niej, podszedł po stopniach do wieszaka z ręcznikami i zdjął jeden dla siebie i jeden dla niej.

- Przeziębisz się na śmierć - powiedział, wyciągając w jej stronę ręcznik, aby ją zachęcić do wyjścia z lodowatej wody.

Gaby wyszła z basenu. Woda ściekała jej po piersiach, po płaskim brzuchu i niżej na błyszczące uda. Patrzył na nią, czując budzące się pożądanie. Stanęła przed nim ociekająca wodą, z gładkimi, mokrymi czarnymi włosami. Michael delikatnie otulił ją ręcznikiem. Ścisnęło go w gardle, ale zdołał się odezwać.

- Lepiej pójde odpocząć - powiedział, patrząc jej w oczy. - Miałem ekscytującą noc.

- Tak - zgodziła się Gaby - ja też. - Przytrzymała dłońmi ręcznik i podeszła do swoich rzeczy, zostawiając na kamieniach mokre ślady. Pozbierała ubrania. - Twój pokój jest tam - wskazała w głąb korytarza. - Drugie wejście po prawej stronie. Mam nadzieję, że wystarczy ci łóżko polowe, koc za to jest dobry i gruby.

- No to świetnie - powiedział. Kiedy był zmęczony, mógł spać leżąc w błocie, a teraz wiedział, że zaśnie nie później niż dwie minuty po wejściu do łóżka.

- Przyjde po ciebie, kiedy będzie pora wstawać.

- Mam nadzieję - odpowiedział, wycierając ręcznikiem włosy. Słuchał jej oddalających się kroków i kiedy opuścił ręcznik, Gaby już nie było. Wytarł się cały, pozbierał ubranie i ruszył wskazanym przez nią korytarzem.

Przy drugich z kolei drzwiach stała na podłodze świeczka w mosiężnym lichtarzu, a obok niej leżało pudełko zapalek. Michael zatrzymał się, żeby zapalić świeczkę. Niosąc przed sobą lichtarz, wszedł do swojej kwatery.

Była to wilgotna, cuchnąca pleśnią komora z wąskim, niezachęcająco wyglądającym łóżkiem polowym i metalowym prętem w ścianie, z którego zwisało kilka wieszaków.



Michael rozwiesił swoje ubrania roztaczające odór potu, kurzu, spalin niemieckiego czołgu i zwęglonego ciała. Pomyślał, że kiedy wojna się skończy, będzie mógł pracować używając swojego zmysłu powonienia, na przykład w wytwórni perfum. Pewnego razu na ulicy w Londynie znalazł białą kobiecą rękawiczkę. Rozpoznał w niej zapach mosiężnych kluczy, herbaty, cytryn, perfum „Chanel”, słodki aromat drogiego białego wina, zapach potu więcej niż jednego mężczyzny, nikły dawny aromat róży i oczywiście zapach opony marki „Dunlop”, która przejechała po leżącej na ulicy rękawiczkę. Wiedział już po latach praktyki, że zapachy działają na niego niemal tak samo jak obraz. Oczywiście jego zmysł powonienia wyostrzał się po przejściu przemiany, ale Michael zachowywał wiele z jego walorów również wtedy, gdy miał ludzką postać.

Michael uniósł koc i położył się do łóżka. Sprężyny kłuły go w plecy, ale miewał już do czynienia z ostrzejszymi narzędziami. Okrył się kocem, zdmuchnął świecę i odstawił lichtarz na kamienną podłogę obok łóżka. Ułożył głowę na wypchanej gęsim puchem poduszce. Jego ciało było zmęczone, ale umysł chciał wędrować jak dzikie zwierzę zamknięte za kratami. Patrzył w ciemność i wsłuchiwał się w odgłos skapującej powoli ze ściany wody.

„Twoja wojna toczy się wewnątrz, prawda?” - przypomniał sobie słowa Gaby.

„Prawda” - pomyślał i znowu powróciło do niego to pytanie, nad którym rozmyślał każdego dnia i każdej nocy od czasów, kiedy jako dziecko mieszkał w rosyjskim lesie. „Nie jestem człowiekiem i nie jestem zwierzęciem. Czym więc jestem?”

Likantrop. Słowo wymyślone przez człowieka, który w szpitalach psychiatrycznych badał pacjentów o oczach błyszczących w nocie pełni księżyca. Chłopi z Rosji, Rumunii, Niemiec, Austro-Węgier, Jugosławii, Grecji i Hiszpanii nazywali tę istotę różnymi słowami, ale wszystkie one miały jedno znaczenie: wilkołak.

„Nie jestem człowiekiem ani zwierzęciem. Kim więc jestem w oczach Boga?”

W gęstwinie myśli ukryta była jeszcze jedna ścieżka. Michael często wyobrażał sobie Boga jako wielkiego białego wilka, biegnącego po zaśnieżonym polu pod rozświetlonym gwiazdami niebem. Oczy Boga były złote i przejrzyste, a jego kły bardzo ostre. Bóg potrafił wyczuć powonieniem kłamstwo i zdradę pod całym firmamentem, wrywał serca zdrajców i pożerał je ociekające krwią. Nie było ucieczki przed wyrokami Boga - Króla Wilków.

W takim razie jak ludzki Bóg postrzegał likantropa? Jako przekleństwo czy jako cud? Michael oczywiście mógł na ten temat tylko spekulować, ale wiedział z pewnością jedno: rzadko się zdarzało, żeby nie pragnął być dzikim zwierzęciem przez resztę życia i biegać po zielonych korytarzach bożego świata. Dwie nogi pętały go, lecz cztery nogi pozwalały mu się unosić w powietrzu. Pora była spać, żeby zebrać siły przed następnym rankiem i czekającym

zadaniem. Musiał wiele się nauczyć i wielu rzeczy się wystrzegać. Paryż był piękną pułapką z wyszczerzonymi kolcami szczęk, które mogły się zacisnąć i złamać z równą łatwością kark człowieka, jak i wilka. Michael zamknął oczy, przedkładając zewnętrzną ciemność ponad ciemność wewnętrzną. Leżąc, wsłuchiwał się w kapanie wody. Kap... kap... kap... Wciągnął głęboki oddech i wypuścił powoli powietrze, pogrążając się w sen.

# **CZĘŚĆ CZWARTA**

## **PRZEMIANA**

Podniósł się, siadając na posłaniu i wsłuchując w odgłos kropli wody skapujących ze starych murów. Nie widział jeszcze wyraźnie, obudziwszy się ledwie ze snu z trawionym gorączką umysłem, dostrzegł jednak niewielkie ognisko z patyków płonące pośrodku komnaty, a w jego poświacie sylwetkę stojącego nad nim mężczyzny.

- Ojciec - powiedział pierwsze słowo, jakie przyszło mu na myśl.

- Nie jestem twoim ojcem, chłopcze - usłyszał szorstki, zirytowany głos Wiktora. - Zakazuję ci zwracać się do mnie w ten sposób.

- Mój... ojciec... - Michaił zamrugał oczami, żeby pozbyć się mgły sprzed oczu. Wiktor stał nad nim, ubrany w swoją pelerynę z sarniej skóry z białym kołnierzem z futra zająca. Szpakowata broda opadała mu na pierś. - Gdzie... gdzie moja matka?

- Nie żyje. Wszyscy nie żyją. Wiesz już o tym, więc dlaczego próbujesz przywoływać duchy?

Michaił zakrył twarz dłońmi. Był mokry od potu, ale w środku czuł zimno, tak jakby na zewnątrz jego ciała panował lipiec, a we krwi jeszcze drzemał styczeń. Pulsujący ból wstrząsał jego kośćmi jak tępy topór uderzający w twarde pień. „Gdzie ja jestem? - pomyślał. - Matka, ojciec siostra... gdzie oni są?” Wszystko zaczęło do niego wracać przez mgłę pamięci: piknik, strzały na łące, ciała leżące na pokrytej czerwonymi plamami trawie. Ścigający go mężczyźni, tętent podków przedzierającego się przez zarośla konia. Wilki. Wilki. Wyczerzył siły, żeby wyprzeć ten obraz z pamięci, i wspomnienia pierzchły jak dzieci przebiegające koło cmentarza. Wiedział w głębi duszy, gdzie jest - był w podziemiach Białego Pałacu, i wiedział, że człowiek stojący przed nim jak jakiś barbarzyński władca jest zarówno kimś więcej, jak i kimś mniej niż człowiekiem.

- Jesteś z nami od sześciu dni - powiedział Wiktor. - Nic nie jesz, nawet jagód. Chcesz umrzeć?

- Chcę iść do domu, chcę być z matką i ojcem.

- Jesteś w domu - odparł Wiktor.

Ktoś obok zakaszlał gwałtownie i Wiktor zerknął tam swoimi bystrymi bursztynowymi oczami. Andriej leżał pod warstwami ubiorów. Kaszel zamienił się w rżenie i mężczyzna zatrząsał się, targany konwulsjami. Kiedy odgłosy śmiertelnej choroby ucichły, Wiktor znowu zwrócił się do chłopca.

- Posłuchaj mnie - polecił i przykucnął przed Michaiłem. - Niedługo będziesz chory, już niedługo. Będziesz potrzebował dużo siły, żeby to przeżyć.

Michaił trzymał się za gorący i obrzmiały brzuch.

- Już jestem chory.

- Daleko ci jeszcze do choroby, która przyjdzie. - Oczy Wiktora błyszczały w blasku ogniska jak miedziane monety. - Chudy jesteś - zauważył. - Twój rodzice nie dawali ci w ogóle mięsa? - Nie czekając na odpowiedź, chwycił zakrzywionymi palcami podbródek Michaiła i uniósł jego twarz, żeby lepiej ją oświetlił blask ognia. - Błady jak mąka - powiedział. - Nie będziesz w stanie tego znieść. Widzę to.

- Znieść czego, proszę pana?

- Przemiany. Choroby, która cię opanuje. - Wiktor odsunął rękę od jego podbródka. - Więc nie jedz, bo to by była strata dobrego pożywienia. Jesteś skończony, co?

- Nie wiem, proszę pana - odpowiedział Michaił i zadrżał wstrząsany przesywającym go dreszczem.

- Ale ja wiem. Nauczyłem się odróżniać mocne trzciny od słabych. W naszym ogrodzie leży dużo słabych trzcin. - Wiktor wskazał ręką gdzieś na zewnątrz. Znowu rozległ się spazmatyczny kaszel Andrieja. - Wszyscy rodzimy się słabi - powiedział Wiktor - i musimy się nauczyć, jak być silnymi, albo ginieemy. Tak już jest w życiu.

Michaił poczuł zmęczenie. Przypomniawszy sobie szmatę, którą kiedyś Dymitr wycierał przy nim powóz. Czuł się teraz tak, jakby był tą starą moką szmatą. Położył się znowu na legowisku z trawy i igliwia.

- Chłopcze, czy wiesz cokolwiek o tym, co dzieje się z tobą?

- Nie, proszę pana. - Michaił zamknął oczy, zaciskając mocno powieki. Czuł się tak, jakby miał twarz zrobioną z wosku, którym kiedyś się bawił, wtykając w niego palec i potem czekając, aż zastygnie.

- Nigdy tego nie wiedz - powiedział Wiktor chyba do samego siebie. - Wiesz coś o zarazkach? - zwrócił się znowu do chłopca.

- O zarazkach, proszę pana?

- O zarazkach, bakteriach, wirusach. Wiesz, czym one są? - Znowu nie czekał na odpowiedź. - Popatrz na to. - Wiktor splunął na dłoń i podsunął ją przed oczy Michaiła. Chłopiec popatrzył posłusznie na jego rękę, ale nie zobaczył nic oprócz śliny. - Tu jest - powiedział Wiktor - zaraza i cud. Jest tutaj, na mojej ręce. - Odsunął dłoń i zliznął ślinę językiem. - Jest tego pełno we mnie. We krwi i we wnętrznościach. W sercu, w płucach,

żołądka i mózgu. - Poklepał się po łysej czaszce. - Jestem pełen tego - powiedział i popatrzył jeszcze uważniej na Michaiła. - Całkiem jak ty.

Michaił nie był zbyt pewien, czy rozumie, o czym mówi ten człowiek. Znowu usiadł z łomoczącym sercem. Dreszcze i gorączka targały jego ciałem, torturując je na przemian.

- To było w ślinie Renati. - Wiktor dotknął ramienia Michaiła w miejscu, gdzie miał opatrunek z jakichś liści i brązowego ziołowego mazidła, przygotowany przez Renati i założony na jego zainfekowaną, wypełnioną ropą ranę. Wiktor zaledwie go musnął ręką, ale napęliło to Michaiła takim bólem, że skrzywił się, wstrzymując oddech. - Teraz jest w tobie i albo cię zabije, albo... - przerwał, wzruszając ramionami - nauczy cię prawdy.

- Prawdy? - Michaił pokręcił głową oszołomiony. W mózgu miał chaos. - Prawdy o czym?

- O życiu - odparł Wiktor. Michaił poczuł oddech Wiktora niosący woń krwi i surowego mięsa. We włosach jego brody natomiast dostrzegł strzępy czegoś czerwonego, drobiny liści i trawy. - O życiu pośród snów czy koszmarów, to już zależy od punktu widzenia. Niektórzy mogą nazywać to dolegliwością, chorobą, przekleństwem. - Ostatnie słowo wypowiedział z sarkazmem. - Ja nazywam to szlachetnością i gdybym się mógł urodzić na nowo, wybrałbym tylko jeden rodzaj życia. Od samego urodzenia znałbym drogę wilka i nie miałbym nic wspólnego z tą bestią nazywaną człowiekiem. Rozumiesz, co mówię, chłopcze?

Michaił był w stanie myśleć tylko o jednym.

- Chcę iść do domu, już - powiedział.

- O Boże! Sprowadziliśmy do watahy jakiegoś prostaka - podniósł głos Wiktor. Wyprostował się. - Nie ma teraz dla ciebie domu poza tym tutaj, który dzielisz z nami! - Podsunął sandałem kawałek mięsa, który leżał na podłodze obok legowiska chłopca.

Chociaż Renati przesunęła królicze mięso kilkakrotnie nad ogniem, to i tak jeszcze nieco krwawiło. - Nie jedz! - zagrzmiał Wiktor. - Rozkazuję ci nie jeść! Im szybciej umrzesz, tym szybciej będziemy mogli rozerwać cię na kawałki i pożyć! - Michaił poczuł dreszcz przerażenia, ale jego twarz błyszcząca od potu nie zdradzała żadnych emocji. - Więc nie ruszaj tego, słyszysz mnie? Chcemy, żebyś osłabł i umarł.

Kaszel Andrieja przerwał tyradę Wiktora, który odwrócił się od chłopca, przeszedł przez komnatę, ukląkł u boku chorego i odsunął koc. Michaił usłyszał, jak Wiktor wypuszcza z sykiem oddech. Mruknął coś jeszcze i powiedział cichym, łagodnym głosem:

- Mój biedny Andriej.

Podniósł się gwałtownie, posyłając Michaiłowi surowe spojrzenie, i wyszedł z komnaty.

Chłopiec leżał bez ruchu, słuchając szurania sandałów Wiktora wchodzącego po schodach. Gałązki w ognisku trzaskały, posyłając w powietrze iskierki, a Andriej sapał, jakby po odległym torze przejeżdżał pociąg. Michaił zadrżał wstrząsany zimnym dreszczem i popatrzył na zakrwawiony kawałek króliczego mięsa.

„Rozkazuję ci nie jeść”. Michaił popatrzył na mięso, nad którym krążyła z brzękiem mucha. Usiadła na ochłapie i z zadowoleniem zaczęła przebierać po nim nóżkami, jakby szukając delikatnego miejsca, z którego mogłaby pociągnąć pierwszy łyk soków. „Rozkazuję ci nie jeść”.

Michaił odwrócił wzrok. Andriej zakaszłał chrapliwie, zatrząsł się i znowu legł bez ruchu. „Co mu jest? - pomyślał Michaił - Dlaczego jest taki chory?” Przesunął wzrok z powrotem na królicze mięso. Przypomniawszy sobie wystające z paszcz i ociekające śliną wilcze kły, wyobrażając sobie kupkę wylizanych do czysta, białych jak świeży śnieg kości. W brzuchu mu zajęczało, jakby zamiauczał kot. Znowu odwrócił wzrok od mięsa. Było takie zakrwawione, takie... okropne. Taki surowy płat nigdy by się nie znalazł na złożonych talerzach w jadalni Gałatinowów. Kiedy pojedzie do domu i gdzie są jego matka i ojciec? Ach tak, nie żyją. Wszyscy nie żyją. Coś zamknęło się w jego pamięci, jak pięść kryjąca tajemnice w swym wnętrzu, i już nie mógł myśleć o rodzicach ani siostrze. Wbił wzrok w królicze mięso, czując, jak ślina napływa mu do ust.

„Jeden kęs - pomyślał. - Tylko jeden. Chyba nie będzie tak źle smakowało”.

Wyciągnął rękę i dotknął mięsa. Przestraszona mucha zatoczyła krąg nad jego głową, przepędził ją machnięciem ręki. Popatrzył na swoje palce i zobaczył, że zabarwiły się nieco na końcach na czerwono. Powąchał je. Poczował woń metalu. Przypomniało mu to ojca oliwiającego srebrzystą szablę. Oblizał palce i poczuł smak krwi. Ani zły, ani też szczególnie dobry. Kojarzył mu się z zapachem dymu i był nieco gorzki. Ale i tak w brzuchu zaburczało mu jeszcze głośniejsze, a do ust napłynęło więcej śliny. Gdyby umarł, wilki, a Wiktor był jednym z nich, rozerwałyby go na strzępy. Musiał więc żyć, taka była prosta prawda, a jeżeli chciał żyć, to musiał się przemóc i zjeść zakrwawiony ochłap. Machnął ręką na natrętą muchę i podniósł królicze mięso. Było nieco śliskie i jakby pokryte olejem. Może też przywarło do niego trochę włosów z futra, ale nie przyglądał mu się zbyt uważnie. Zamknął mocno oczy i otworzył usta. Żołądek skurczył mu się w odruchu wymiotnym, ale był całkiem pusty. Włożył mięso do ust i ugryzł je.

Soki z mięsa rozlały się po języku Michaiła, smakowały słodko i dziko. W głowie mu łomotało, kręgosłup bolał, ale zęby zachowywały się tak, jakby to one kierowały wszystkimi innymi częściami ciała. Zaczął odrywać kęsy mięsa i gryźć je. Pochodziło ze starego, twardego królika, który był mocno umięśniony i nie chciał łatwo poddać się jego zębom. Krew i osocze spływały mu po podbródku, a on, Michaił Gałatinow, o sześć dni i cały świat odległy od chłopca, którym był poprzednio, rozrywał żarłocznie mięso zębami i połykał je z przyjemnością. Kiedy dotarł do kości, obgryzł je do czysta i zaczął mocować się z nimi, żeby je złamać i dostać się do szpiku. Jedna z mniejszych kości pękła, odsłaniając czerwoną zawartość. Zagłębił język w złamaną kość i wyssał galaretowatą, krwawą masę. Zjadł ją tak, jakby to był najwspanialszy posiłek w jego życiu, podany mu na złotym talerzu.

Po chwili wypuścił puste kości z zakrwawionych palców i kucnął nad ich resztkami, oblizując usta.

Wstrząsnęło to nim jak jakieś przerażające objawienie - smakowało mu krwiste mięso. Smakowało mu bardzo. I na tym nie koniec - chciał jeszcze.

Kolejny atak kaszlu targnął Andriejem i zakończył się rzęzącym odgłosem. Trzęsąc się cały, mężczyzna wykrztusił słabym głosem:

- Wiktor? Wiktor?

- Nie ma go tu - powiedział Michaił, ale Andriej dalej wołał Wiktora raz głośniejsze, raz ciszej. W jego głosie słychać było strach i okropne znużenie. Michaił przysunął się do Andrieja. Poczł nieprzyjemny zapach, kwaśny zapach zgnilizny.

- Wiktor? - szepnął Andriej. Jego twarz była niewidoczna; spod przykrywających go skór widać było tylko mokre od potu ciemnoblonde włosy. - Wiktor... proszę cię... pomóż mi.

Michaił wyciągnął rękę i zerwał okrycie z twarzy Andrieja.

Mógł on mieć może osiemnaście, dziewiętnaście lat. Jego błyszcząca od potu twarz była szara jak zużyta ścierka. Popatrzył na Michaiła zapadniętymi brązowymi oczyma i chwycił go za rękę wychudzonymi palcami.

- Wiktor - wyszeptał. Usiłował podnieść głowę, ale nie miał na to dość siły. - Wiktor... nie pozwól mi umrzeć.

- Wiktora tu nie ma - powtórzył Michaił, próbując się wyrwać, ale palce Andrieja zacisnęły się jeszcze mocniej na jego rękę.

- Nie pozwól mi umrzeć. Nie pozwól mi umrzeć - błagał, patrząc na Michaiła szklistymi oczyma. Zakaszlał lekko i nagle potężny spazm targnął jego wychudzoną, pożąłką klatką piersiową. Kolejny napad kaszlu był już gwałtowniejszy, Andriej drżał na całym ciele. Chwycił go atak duszności. Michaił jeszcze raz spróbował się wyrwać, ale chory nadal go nie



puszczał. W głębi jego piersi rozległo się jakieś okropne rżenie, jakby przesuwano się w nich coś mokrego. Otworzył szeroko usta i zakaszłał gwałtownie, lzy polały mu się z oczu.

Coś zaczęło wysuwać się z ust Andrieja. Coś długiego, białego i drgającego.

Michaił zamrugał oczami, czując, jak krew odpływa mu z twarzy. Na kamiennej posadzce obok głowy Andrieja zobaczył wijącego się robaka. Chory znowu zakaszłał i wtedy rozległ się odgłos czegoś ciężkiego obrywającego się w jego płucach. Z ust popłynęły mu białe robaki, wiły się i splątywały ze sobą. Pierwsze były czyste i całkowicie białe, następne już pokrywała jaskrawoczerwona krew z płuc. Andriej zadrżał targany torsjami, patrząc na przerażonego chłopca. Otworzył szeroko usta, żeby robaki, które zaczęły się już wysuwać z jego nozdrzy, mogły wydostać się na zewnątrz. Dusił się, kiedy jego ciało wyrzucało na zewnątrz tkwiące w nim pasożyty. Czerwone i oślizłe robaki ciągle wypływały i spadały na posadzkę.

Michaił krzyknął i wyrwał rękę, zostawiając pod paznokciami Andrieja strzępy skóry. Chciał się podnieść, ale potknął się o własne stopy i upadł do tyłu, uderzając się dotkliwie plecami o kamienie posadzki. Andriej uniósł się na posłaniu z czarnymi od krwi robakami wypływającymi mu z ust i wyciągnął dłoń, usiłując odnaleźć rękę Michaiła. Chłopiec, bliski wymiotów, poczuł, że królicze mięso podchodzi mu do gardła. Zdusił ten odruch, myśląc o wilczych zębach, które mogą rozdrzeć go na strzępy.

Andriej podniósł się na kolana i z okropnym, rozrywającym płuca kaszlem wyrzucił z ust czarną płataninę wielkości męskiej pięści. Robaki spłynęły mu z ust po piersiach, a za nimi chlusnęła czysta, ciemna krew. Upadł na twarz. Był nagi. Jego ciało powlekło się żółtoszarym odcieniem śmierci. Twarde mięśnie zadrgały pod skórą i przez całe pokryte potem ciało zaczęły przebiegać fale dreszczy. Michaił zobaczył ciemny cień rozpełzający się po plecach. Z porów w skórze Andrieja zaczęły wystrzelać brązowe włosy. Po paru sekundach pokryły jego ramiona i zaczęły się rozprzestrzeniać po plecach, pośladkach, udach, dłoniach i palcach.

Andriej podniósł twarz i Michaił zobaczył, że jest w trakcie przemiany. Krew nadal płynęła mu z wydłużającej się dolnej szczęki. Oczy cofnęły się, a czaszka pokryła gładkim, błyszczącym włosem, który porósł też gardło. Kiedy jego kręgosłup zaczął trzaskać i odkształcać się, Andriej otworzył wypełnione łzami usta i wydał z siebie okropny wrzask, wyrażający mieszaninę ludzkiego i zwierzęcego cierpienia.

Czyjaś ręka chwyciła Michaiła za kark i podniosła go z podłogi. Inna dłoń, o twardych, silnych palcach, odwróciła jego twarz od okropnego widowiska, wtuliła we własne ramię i chłopiec poczuł odór sarniej skóry.

- Nie patrz - usłyszał głos Renati. - Nie patrz, mały - powiedziała, przyciskając mocno do siebie jego głowę.

Nadal jednak słyszał wszystko i samo to było wystarczająco okropne. Na pół ludzkie, na pół wilcze wycie mieszało się z odgłosami trzaskających kości.

- Wyjdz! - krzyknęła do kogoś Renati. Ten ktoś, Michaił nie wiedział kto, wycofał się pośpiesznie.

Wrzask Andrieja przeistoczył się w piskliwe wycie, od którego Michaiłowi ścierpła skóra. Czuł, że zaraz chyba oszaleje. Zaciśnął mocno oczy, a Renati nadal trzymała go za głowę. Dopiero wtedy zauważył, że obejmuje ramionami szyję kobiety. Przepłnione bólem wycie odbijało się od ścian komnaty. Po chwili rozległ się urywany skowyt, jakby jakaś maszyna traciła energię i zatrzymywała się, a potem ostatnie gwałtowne, chrapliwe sapnięcia - i zapadła cisza.

Renati postawiła Michaiła na podłodze. Stał nadal tyłem, kiedy podeszła do ciała i uklękła przy nim. Nikita, czarnowłosy Mongoł o oczach koloru migdałów, wszedł do komnaty i popatrzył przelotnie na Michaiła, a potem na Renati.

- Andriej nie żyje - powiedział beznamiętnym tonem. Renati skinęła głową.

- Gdzie jest Wiktor? - zapytała.

- Poszedł polować. Dla niego - wskazał kciukiem na Michaiła.

- No i dobrze - Renati pochyliła się, wzięła całą garść zakrwawionych robaków i wrzuciła je do ogniska. Zaskwierczały, wijąc się w ogniu. - Nie chciał patrzeć, jak Andriej będzie umierał.

Nikita podszedł do Renati i zaczął rozmawiać z nią o jakimś ogrodzie. Michaił zbliżył się do nich, popychany ciekawością. Stał pomiędzy Nikita a Renati i popatrzył na zwłoki Andrieja. Zobaczył ciało wilka o brązowym futrze i ciemnych, pustych oczach. Wywieszony język dotykał kałuży krwi. W miejscu prawej tylnej łapy zwierzęcia wyrastała ludzka noga, przednie łapy zaś zakończone były ludzkimi dłońmi, których palce zaciskały się na kamieniach, jakby chciały je wyrwać z posadzki. Michaił nie poczuł przerażenia, tylko ukłucie bólu w sercu. Palce Andrieja, te same, które jeszcze przed paroma chwilami trzymały go za rękę, były blade i chude. Chłopcem tak wstrząsnęła absolutna potęga śmierci, jakby otrzymał cios w środek głowy. Było to zarazem otrzewiające uderzenie: zrozumiał w tej chwili w pełni, że jego matka, ojciec i siostra odeszli na zawsze, tak jak na zawsze minęły dni, kiedy oddawał się marzeniom, trzymając na lince latawiec.

Renati obejrzała się na niego i rzuciła ostro:

- Odejdź!

Michaił usłuchał i dopiero wtedy zauważył, że stał na robakach.

Nikita i Renati zawinęli zwłoki w okrycie z sarniej skóry i wynieśli je do mrocznej części Białego Pałacu. Michaił siedział w kucki przy ogniu, czując, jak krew płynie mu w żyłach niczym woda w skutej lodem rzece. Patrzył na plamy ciemnej krwi na kamieniach. Przeszedł go dreszcz, więc wyciągnął dłonie w kierunku ognia. „Niedługo będziesz chory - przypomniały mu się słowa Wiktora. - Już niedługo”.

Michaił nie mógł się rozgrzać. Przysunął się bliżej do ognia, ale mimo żaru na twarzy - w jego kościach panował chłód. Coś załaskotało go w piersiach. Zakaszłał. Echo odbiło się od wilgotnych kamiennych ścian jak odgłos karabinowego wystrzału.

Dni zlewały się ze sobą, a do komnaty nie docierało światło ani słońca, ani księżyc. Wnętrze oświetlał tylko blask ogniska i sypiące się iskry, kiedy ktoś - Renati, Franko, Nikita, Pauli, Bieły czy Aleksa - dorzucał sosnowych gałęzi. Wiktor nigdy nie zajmował się ogniem, jakby było oczywiste, że taka prosta praca jest poniżej jego godności.

Michaił czuł się ociężały i spał większość czasu, ale kiedy się budził, znajdował zazwyczaj przy swoim posłaniu kawałek ledwie podpieczonego mięsa, jagody i wodę w wydrążonym kamieniu. Jadł bez wahania i o nic nie pytając, ale kamień był za ciężki, by go podnieść, musiał więc nachylać się nad nim i chleptać wodę językiem. Zauważył jeszcze jedno: ktoś, kto podpiekał mięso, stopniowo zostawiał je coraz bardziej surowe. Czasami Michaił znajdował coś czerwonego i siniejącego, jakby było wyrwane z wnętrza żywej istoty. Początkowo nawet nie dotykał takich odstręczających ochłapów, jednak nie podawano mu nic nowego, dopóki nie zjadł tego, co dostał wcześniej. Wkrótce więc nauczył się nie zostawiać niczego zbyt długo, bez względu na to, jak było surowe i okropne, bo w innym wypadku obsiadywały mięso muchy. Wiedział już też, że wymiotowanie nic nie daje, bo nikt po nim nie sprzątał.

Pewnego razu obudził się, czując zimno na skórze, ale płonąc wewnętrznym ogniem, i usłyszał dochodzące z dala chóralne wycie wilków. Początkowo przestraszył się. W okropnej panice chciał wstać, wydostać się z komnaty i pobiec przez las do miejsca, gdzie leżeli jego zabici rodzice, żeby znaleźć broń i strzelić sobie w głowę, ale po chwili uspokoił się. Siedział słuchając wycia, które teraz już brzmiało dla niego jak muzyka. Dźwięki wznosiły się do nieba i mieszały, oplątując się nawzajem jak pijane latem pnącza. Przez chwilę nawet pomyślał, że jest w stanie zrozumieć język tego wycia. Był to język radości i tęsknoty, jak westchnienie kogoś, kto stoi na polu pokrytym żółtymi kwiatami pod bezkresnym błękitnym niebem i trzyma w ręku urwaną linę latawca. To był język pragnienia wiecznego życia, język świadomy tego, że życie jest okrutną piękną. Wycie wycisnęło łzy z oczu Michaiła, a on sam poczuł się mały jak pyłek, jak ziarnko niesione wiatrem przez pełną urwisk i wąwozów krainę.

Pewnego razu obudził się i zobaczył nad sobą pysk wilka o jasnym futrze, który wpatrywał się w niego upartym, przeszywającym spojrzeniem lodowatoniebieskich oczu. Michaił leżał bez ruchu z łomoczącym sercem, a wilk zaczął obwąchiwać jego ciało. Chłopiec poczuł zapach zwierzęcia: piżmowy, słodkawy zapach mokrego od deszczu futra, i oddech, w

którym czuć było świeżą krew. Zadrżał, leżąc jak sparaliżowany, kiedy wilk, obwąchując go, przesunął pyskiem nad jego klatką piersiową i gardłem. Po chwili zwierzę potrząsnęło łbem, otworzył paszczę i upuścił z niej na kamień obok głowy Michaiła jednaście nie naruszonych czarnych jagód. Cofnął się do ogniska, usiadł na zadzie i patrzył, jak Michaił je jagody i pije wodę z zagłębienia w kamieniu.

Kości chłopca zaczęły opanowywać coraz silniejszy tępy, pulsujący ból. Poruszanie się, nawet oddychanie, stało się dla niego torturą, a ból narastał coraz bardziej, godzina po godzinie, dzień po dniu. Ktoś obmywał go, kiedy się wypróżniał, a ktoś inny otulał go sarnimi skórąmi jak niemowlę. Drżał z zimna, co wzmagało jeszcze bardziej ból przenikający jego nerwy, aż jęczał i płakał. Jak przez mgłę słyszał głosy.

Najpierw Franko:

- Mówię ci, że jest za mały. Mali nie przeżywają. Renati, tak bardzo chciałaś mieć dziecko?

I potem rozgniewany głos Renati:

- Nie pytam durniów o opinię. Zajmij się swoimi sprawami i zostaw nas w spokoju!

Później jeszcze powolne i precyzyjne słowa Wiktora:

- Ten kolor nie wróży nic dobrego. Myślisz, że ma robaki? Daj mu coś do jedzenia i zobacz, czy to przyjmie.

Michaił poczuł na ustach dotyk zakrwawionego mięsa. W jego przenikniętym bólem mózgu zabrzmiały słowa: - „Nie jedz. Rozkazuję ci nie jeść”. Zbuntował się przeciw temu i rozwarł szczęki. Przeszył go jeszcze większy ból i łzy spłynęły mu po policzkach, ale przyjął jedzenie i zacisnął na nim zęby, żeby ktoś mu go nie wyrwał.

- Jest silniejszy, niż na to wygląda - doszedł do niego głos Nikity. Pobrzmiwała w nim nutka podziwu. - Uważaj, żeby ci nie odgryzł palców!

Michaił jadł wszystko, co mu dawano. Jego język pożył krwi i osocza. Zaczął odróżniać, co je - królika, sarnę, dziką czy wiewiórkę. Czasem czuł też woń szczura. Potrafił już ocenić, czy mięso jest świeże, czy też pochodzi ze zwierzęcia zabitego przed wieloma godzinami. Jego umysł przestał się buntować na myśl o jedzeniu przesiąkniętego krwią mięsa. Jadł je dlatego, że był głodny, i dlatego, że nie dostawał nic innego. Czasami dawano mu tylko jagody lub jakąś szorstką trawę, ale przyjmował wszystko bez sprzeciwu.

Nie widział wyraźnie, kontury przedmiotów rozmywały się w szarej poświacie. Okropnie bolały go oczy, nawet blade światło ogniska było dla nich torturą. Potem - nie wiedział nawet dokładnie kiedy, gdyż zgubił rachubę czasu - otoczyła go ciemność i stracił wzrok.

Cały czas odczuwał wzmagający się ból, a jego mięśnie sztywniały i trzaskały jak ściany drewnianego domu bliskiego rozpadnięcia od narastającego wewnątrz ciśnienia. Nie był w stanie otworzyć wystarczająco szeroko ust, żeby jeść, i wkrótce poczuł, że ktoś palcami wpycha mu do ust przeżute już mięso. Czyjaś zimna jak lód ręka dotknęła jego czoła. Jęknął z bólu, mimo że dotyk był delikatny.

- Chcę, żebyś żył - usłyszał szept Renati. - Chcę, żebyś pokonał śmierć. Słyszysz mnie? Chcę, żebyś walczył. Jeżeli to przeżyjesz, mój mały, to poznasz cuda.

- Co z nim? - usłyszał pytającego z prawdziwą troską Franka. - Schudł.

- Jeszcze nie jest szkieletem - odparła ostrym tonem, a po chwili dodała już łagodniej: - Będzie żył. Wiem, że będzie. On ma we krwi walkę, Franko. Patrz, jak zaciska zęby! Tak. On będzie żył.

- Jeszcze długa droga przed nim - powiedział Franko. - Najgorsze dopiero go czeka.

- Wiem. - Zamilkła na dłuższą chwilę. Michaił poczuł delikatny dotyk palców Renati na swych mokrych od potu włosach. - Ilu już takich było, którzy nie przeżyli tak długo jak on. Potrzebowałabym palców na dziesięciu rękach, żeby ich wszystkich policzyć. Ale popatrz na niego, Franko! Popatrz, jak się natęża i walczy!

- On nie walczy - stwierdził Franko. - Zdaje mi się, że się zaraz zesra.

- No to znaczy, że pracują jego wnętrzności! To dobry znak! Właśnie wtedy, gdy wnętrzności przestają pracować i zaczynają pęcznieć, to widać, że umrą! Nie, ten ma żelazną duszę, Franko! Ja potrafię to zauważyć.

- Mam nadzieję, że potrafisz - powiedział. - I mam nadzieję, że się nie mylisz co do niego. - Odszedł kilka kroków i znowu zwrócił się do niej: - Jeżeli on umrze, nie będzie to twoja wina. Takie po prostu jest... prawo natury, rozumiesz?

Renati mruknęła cicho, zgadzając się z tymi słowami. Nieco później, kiedy głaskała go po włosach i dotykała jego czoła, Michaił usłyszał, jak cichutko śpiewa piosenkę. Rosyjską kołysankę o sójce, która szuka domu i znajduje spoczynek, kiedy wiosenne słońce rozpuszcza zimowe lody. Śpiewała miłym, melodyjnym głosem, a raczej szeptem, który przeznaczony był tylko dla niego. Pamiętał, że ktoś kiedyś śpiewał mu tę piosenkę, ale wydawało się to tak dawno temu. Jego matka. Tak. Jego matka, która teraz spała na łące. Renati śpiewała dalej, a on słuchał, nie czując przez chwilę bólu.

Mijały wypełnione ciemnością dni. Cierpienie. Cierpienie. Michaił nigdy wcześniej nie zaznał równie wielkiego cierpienia i jeżeli kiedykolwiek pomyślałby, że mógłby doświadczyć czegoś takiego, to zaszyłby się w jakimś kącie i wzywałby Boga, żeby go uwolnił od bólu. Miał wrażenie, że zęby przesuwają mu się w szczękach, zgrzytając o siebie

w krwawiących dziąsłach. Czuł się tak, jakby miał połamane stawy, jakby był żywą szmacianą lalką ponakłuwaną igłami. Jego puls bił potępieńczym rytmem. Chciał otworzyć usta, żeby krzyczeć, ale mięśnie szczęk naprężyły się zaczepiając o siebie, jakby były z drutu kolczastego. Cierpienie narastało, opadało i znowu narastało do nowych wyżyn. Przez chwilę czuł się jak rozpalony piec, a w chwilę później jak lodownia. Czuł, że ciało mu drży i wykrzywia się, zmieniając kształt. Jego kości się wyginały i skręcały tak, jakby miały konsystencję cukrowej galaretki. Nie mógł zapanować nad tymi konwulsjami. Ciało zmieniało się w jakąś dziwną maszynę zmierzającą do samozniszczenia. Ślepy, niezdolny do mówienia czy krzyku, ledwie zdolny do wciągnięcia oddechu z powodu bólu w płucach i łomotu serca, Michaił poczuł, że zaczyna mu się wyginać kręgosłup. Oszalałe mięśnie podrzuciły do góry jego tułów, wykręciły ręce do tyłu, wykrzywiły szyję i ścisnęły twarz tak, jakby trafiła w żelazne kleszcze. Nagle jego mięśnie rozluźniły się i upadł na plecy, zaraz jednak naprężyły się na nowo, twardniejąc jak wysuszona na słońcu skóra, i podrzuciły go do góry. W burzy bólu wypełniającej Michaiła Gałatinowa coś jeszcze walczyło, nie godząc się z utratą woli życia. Konwulsje miały jego ciałem, a mięśnie rozciągały się. Przypomniał sobie człowieka-gumę, myśląc, że gdy to wszystko już się skończy, będzie mógł wstąpić do cyrku i zostać najwybitniejszym człowiekiem-gumą w historii. W tym samym momencie ból znowu się wżarł w jego wnętrzności i potrząsnął nim całym. Michaił poczuł, jak kręgosłup mu pęcznieje i wydłuża się z przeraźliwym bólem nerwów.

Z oddali dochodziły do niego czyjeś okrzyki: - Trzymaj go! Trzymaj! Złamię sobie kark!

- Pali się od gorączki....

- Nie przeżyje... Za słaby...

- Otwórz mu usta! Przegryzie sobie język!

Głosy odplynęły w ogólnym hałasie. Michaił nie miał siły, by powstrzymać konwulsje swego ciała. Leżał na boku, czując, jak kolana podnoszą mu się ku klatce piersiowej. Jądro cierpienia tkwiło w kręgosłupie, czaszka była jak gotujący się czajnik. Kolana dosięgły podbródka i przywarły do niego mocno. Zaciskając zęby, usłyszał gdzieś w mózgu zawodzenie, jakby lament narastającego wichru, który rozrywa dotychczasowy porządek rzeczy. Szum wzmógł się do zagłuszającego wszystko ryku, a jego siła podwoiła się wnet i potroiła.

Michaił ujrzał oczyma wyobraźni siebie samego, jak biegnie przez pole pełne żółtych kwiatów, a nad jego głową płyną płachty czarnych chmur, kierujące się ku domowi Gałatinowów. Staął, obrócił się i krzyknął: „Mamo! Ojczy! Alicjo!” - ale z domu nie

dochodziła żadna odpowiedź, tylko żarłoczne chmury pędziły nad nim. Michaił odwrócił się i znowu rzucił do biegu z łomoczącym sercem. Nagle usłyszał trzask, obejrzał się i zobaczył, jak dom rozpada się na kawałki pod naporem wiatru. Chmury zaczęły go ścigać. Już-już go miały pochwycić. Biegł, ale nie był w stanie biec wystarczająco szybko. Szybciej. Szybciej. Huragan ryczał tuż za nim. Szybciej. Serce mu łomotało, a w uszach dźwięczał upiorny wrzask. Szybciej...

I w tej chwili przemiana eksplodowała z jego wnętrza. Ciemne włosy wystrzeliły mu na dłoniach i ramionach. Poczuł, jak kręgosłup się wygina, przyciskając w dół ramiona. Jego ręce, które już nie były rękami, dotknęły ziemi. Biegł coraz szybciej, wyginając ciało i rozrywając swe ubranie. Chmury porwały je i uniosły ku niebu. Michaił zrzucił buty i biegł nadal, wyrzucając spod stóp geizery ziemi i kwiatów. Burza ścigała go, ale on biegł teraz na wszystkich czterech kończynach, uciekając z przeszłości w przyszłość. Uderzył w niego zimny, oczyszczający deszcz. Michaił podniósł twarz ku niebu i obudził się.

Ciemność, absolutna ciemność. Otworzył z trudem sklezione łzami powieki i zobaczył słaby czerwony poblask. Na posadzce nadal paliło się niewielkie ognisko, a komnata wypełniona była zapachem popiołu z sosnowego drewna. Michaił podniósł się, siadając w kucki. Każdy ruch wywoływał w nim ból. W mięśniach nadal rwało go tak, jakby były rozciągane do granic wytrzymałości i przebudowywane. Bolał go mózg, kręgosłup i kość ogonowa. Usiłował stanąć, ale okropny ból w kręgosłupie mu na to nie pozwalał. Pragnął świeżego powietrza, wiatru pędzącego przez las. Pragnienie to było tak wyraziste jak głód, stymulowało go. Zaczął pełznąć nagi po szorstkich kamieniach, oddalając się od ogniska.

Kilka razy usiłował stanąć, ale jego kości nie były na to gotowe. Doczołgał się na rękach i kolanach do schodów i wszedł po nich jak zwierzę. U góry ruszył porośniętym przez mech korytarzem, rzucając tylko przelotnie okiem na stertę sarnich kości. Po chwili zobaczył przed sobą światło, czerwone światło brzasku, a może zmierzchu. Wnikało przez pozbawione szyb okno i malowało ściany i sufit, a w tych miejscach, gdzie dotykało kamieni, porastający je mech przestawał ociekać wodą. Michaił poczuł zapach świeżego powietrza. Ta woń spowodowała, że coś zaskoczyło w jego mózgu i zaczęło pracować jak trybiki kieszonkowego zegarka. Nie był to już ostry kwiatowy aromat późnej wiosny. Powietrze niosło ze sobą inny zapach: suchy, z chłodnym jądrem, zapach ognia walczącego z mrozem. To była woń umierającego lata.

Musiało więc minąć wiele czasu. To oczywiste.

Siedział oszołomiony tym, jak wyczulone ma zmysły. Uniósł rękę do lewego ramienia i dotknął palcami brzegu różowego ciała. Resztki strupów oderwały się od skóry i spadły na



podłogę. Bolały go kolana. Pomyślał, że musi wstać, zanim ruszy dalej. Spróbował się podnieść. Przeszył go taki ból, jakby nerwy stanęły mu w płomieniach. Słyszał niemal, że jego mięśnie rozprostowują się jak skrzypiące zawiasy nie otwieranych od dawna drzwi. Pot pokrył mu twarz, piersi i ramiona, ale on się nie poddawał ani też nie zaczął krzyczeć. Czuł jakąś obcość. Czyje to kości były umieszczone w jego ciele jak połamane patyki?

- Wstań - powiedział sam do siebie. - Wstań i idź... jak człowiek.

Stanął.

Pierwszy krok był jak krok dziecka - nierówny i niepewny. Drugi był niewiele lepszy. Ale trzeci i czwarty przekonały go, że nadal potrafi chodzić. Przedostał się korytarzem do wysoko sklepionej komnaty, w której słońce zabarwiało na różowo belki stropowe i słychać było delikatne gruchanie gołębi.

Coś się poruszyło w cieniu na podłodze na prawo od niego. Usłyszał szelest liści i zobaczył dwa leżące, splecione ze sobą i poruszające się powolnymi ruchami ciała. Trudno było odróżnić, w którym miejscu zaczyna się jedno, a kończy drugie. Michaił zamrugnął powiekami, by odpędzić resztki snu. Jedna z postaci na podłodze jęknęła kobiecym głosem i Michaił zobaczył występujące na jej ludzkiej skórze pasma zwierzęcych włosów, które podniosły się i zaraz znowu zniknęły w wilgotnym ciele. Z cienia wpatrywała się w niego para lodowatoniebieskich oczu. Aleksa chwyciła dłonią czyjeś ramię, na którym pulsowały, pojawiając się i cofając jak przypływy i odpływy, połacie jasnobrazowych włosów. Franko odwrócił głowę i zobaczył stojącego na granicy słońca i cienia chłopca.

- O Boże! - szepnął wstrząśnięty. - Przeszedł przez to! - Oderwał się od Aleksy z mokrym kłaśnięciem i skoczył na równe nogi. - Wiktor! - krzyknął. - Renati! - Jego wołanie potoczyło się echem po korytarzach i komnatach Białego Pałacu. - Jest tam kto? Chodźcie szybko!

Michaił patrzył na nagą Aleksę. Nie próbowała się okrywać. Jej ciało błyszczało od potu.

- Wiktor! Renati! - krzyczał dalej Franko. - On żyje! On żyje!

- Chodź ze mną - powiedział Wiktor pewnego ranka pod koniec września i Michaił ruszył za nim.

Opuścili słoneczne komnaty i zeszli na niższą kondygnację Białego Pałacu, gdzie w powietrzu panował chłód. Michaił ubrany był w pelerynę z sarniej skóry, zrobioną dla niego przez Renati. Otulił się ściślej, schodząc za Wiktorem w głąb budowli. Zauważył w ciągu ostatnich kilku tygodni, że jego oczy szybko zaczynają przystosowywać się do ciemności, a w świetle dnia widzą z absolutną dokładnością; mógł nawet policzyć czerwone liście na dębie z odległości stu jardów. Jednak Wiktor chciał mu pokazać coś tutaj, w ciemności. Zatrzymał się, aby w żarze małego ogniska, które poprzednio rozniecił, zapalić pochodnię z tłuszczu dzika i szmat. Kiedy zamigotała, ślina zaczęła gromadzić się Michaiłowi w ustach, gdyż poczuł zapach rozgrzanego tłuszczu.

Weszli do komnaty o ścianach przyozdobionych wizerunkami zakapturzonych mnichów w habitach. Malowidła nadal wydzielały woń przedstawionych na nich ludzi. Pokonali wąskie przejście pod łukiem za otwartą żelazną bramą i znaleźli się w wielkiej komnacie. Michaił podniósł głowę, ale nie dojrzał sklepienia.

- To tu - powiedział Wiktor. - Stój w miejscu.

Michaił usłuchał, a Wiktor ruszył wzdłuż ścian pomieszczenia. Światło pochodni wydobywało z mroku kamienne półki wypchane grubymi, oprawnymi w skórę księgami, setkami ksiąg. „Więcej niż setkami” - pomyślał Michaił. Książki zapełniały każde wolne miejsce na półkach i leżały w stosach na podłodze.

- To jest to, nad czym pracowali mnisi, którzy mieszkali tutaj sto lat temu - objaśnił Wiktor. - Przepisywali i gromadzili manuskrypty. Jest tu trzy tysiące czterysta trzydzieści dziewięć tomów - powiedział z taką dumą, jakby mówił o swoich ukochanych dzieciach. - Teologia, historia, architektura, inżynieria, matematyka, języki, fizyka, filozofia... to wszystko jest tutaj. - Zatoczył koło trzymającą pochodnię ręką i uśmiechnął się lekko. - Ci mnisi, jak widzisz, nie prowadzili zbyt bujnego życia towarzyskiego. Pokaż mi dłonie.

- Moje... dłonie?

- Tak. No wiesz, o co mi chodzi. Te dwie rzeczy, które masz na końcach przednich kończyn. Pokaż mi je.

Michaił podniósł ręce ku światłu pochodni.

Wiktor przyjrzał się im. Mruknął coś i skinął głową.

- Masz ręce uczonego - powiedział. - Prowadziłeś uprzywilejowany tryb życia. Prawda?

Michaił wzruszył ramionami, nie rozumiejąc.

- Dobrze o ciebie dbano - ciągnął Wiktor. - Urodziłeś się w arystokratycznej rodzinie. - Widział wcześniej ubrania matki Michaiła, jego ojca i siostry; wszystkie były wysokiej jakości. Teraz dobrze się sprawowały jako materiał na pochodnie. Podniósł swoją dłoń o smukłych palcach i obrócił ją do światła. - Byłem profesorem na Uniwersytecie Kijowskim. Dawno temu - powiedział. W jego głosie nie było słycać żalu. - Uczyłem języków: niemieckiego, angielskiego, francuskiego. - Oczy Wiktora przybrały surowy wyraz. - Nauczyłem się żebrac w trzech różnych językach, żeby wyżywić swoją żonę i syna. Rosja nie nagradza ludzkiego umysłu.

Szedł dalej, oświetlając pochodnią książki.

- Oczywiście, jeśli ktoś nie potrafi wynaleźć bardziej ekonomicznej metody zabijania - dodał. - Sądzę jednak, że wszystkie rządy są mniej więcej takie same, wszystkie są chciwe i krótkowzroczne. Jest przekleństwem człowieka, że ma umysł, a nie wie, jak go używać. - Zatrzymał się i delikatnym ruchem zdjął jeden tom z półki. Brakowało tylnej części okładki, a pergaminowe karty zwisały luźno z grzbietu. - „Republika” Platona - powiedział. - Dzięki Bogu, po rosyjsku. Nie znam greki. - Powąchał tom, jakby wdychał luksusowe perfumy, i odstawił księgę na miejsce. - Kroniki Juliusza Cezara, teorie Kopernika, „Pieńko” Dantego, podróże Marco Polo... to wszystko jest wokół

nas: drzwi do trzech tysięcy światów. - Zatoczył pochodnią koło i przyłożył palec do ust. - Ciii... - szepnął. - Bądź cicho, a usłyszysz w tych ciemnościach dźwięk obracających się w zamku kluczy.

Michaił wyteżył słuch i rzeczywiście usłyszał ostrożne chrobotanie. Jednak nie był to odgłos klucza w zamku, tylko drapanie szczura buszującego gdzieś w wielkiej komnacie.

- Ach, cóż. - Wiktor wzruszył ramionami i wrócił do książek. - Teraz należą do mnie. - W jego głosie zabrzmiała nieco weselsza nuta. - Mogę powiedzieć uczciwie, że posiadam największą bibliotekę wśród wszystkich likantropów na świecie.

- A pana żona i syn? - zapytał Michaił. - Gdzie oni są?

- Nie żyją. Nie żyją. - Wiktor zatrzymał się, żeby odgarnąć pajęczyny z kilku tomów. - Oboje umarli z głodu po tym, jak straciłem posiadłość. To była sprawa polityczna. Moje idee kogoś rozzłościły. Przez pewien czas byliśmy włóczęgami, żebrakami. - Patrzył w płomień pochodni i Michaił zobaczył blask odbijający się w jego bursztynowych oczach. - Nie byłem zbyt dobrym żebrakiem. Kiedy umarli i zostałem sam, postanowiłem wydostać się z Rosji,

pojechać może do Anglii. W Anglii mają wykształconych ludzi. Szedłem drogą, która prowadziła przez ten las... i wtedy ugryzł mnie wilk. Nazywał się Gustaw, to on był moim nauczycielem. - Wiktor przesunął pochodnię tak, aby jej światło padało na Michaiła. - Mój syn miał ciemne włosy, tak jak ty. Ale był starszy. Miał jedenaście lat. Był wspaniałym chłopcem. - Znowu podjął swą wędrówkę, niosąc przed sobą pochodnię. - Przeszedłeś daleką drogę, Michaił. Ale to jeszcze nie koniec. Słyszałeś o ludziach-wilkach, prawda? Każde dziecko przynajmniej raz w życiu jest straszone takimi opowieściami, żeby poszło do łóżka.

- Tak, proszę pana - odpowiedział Michaił. Jego ojciec opowiadał jemu i Alicji historie o przeklętych ludziach, którzy stają się wilkami i rozrywają owce na strzępy.

- To kłamstwa - powiedział Wiktor. - Pełnia księżyca nie ma z tym nic wspólnego. Ani noc. Możemy przejść przemianę, kiedykolwiek zechcemy, ale aby się nauczyć ją kontrolować, trzeba poświęcić dużo czasu i cierpliwości. Masz to pierwsze, nauczysz się też tego drugiego. Niektórzy z nas przemieniają się selektywnie. Wiesz, co to znaczy?

- Nie, proszę pana.

- Możemy decydować, która część ciała przemienia się pierwsza. Na przykład palce - w szpony. Albo najpierw przeobrażają się kości twarzy i zęby. Celem takich ćwiczeń jest osiągnięcie mistrzowskiego opanowania ciała i umysłu, Michaił. Straszna jest, dla wilka czy człowieka, utrata panowania nad sobą. Jak mówię, będziesz się go musiał nauczyć. I nie jest to łatwe zadanie, w żadnym wypadku. Upłyną lata, zanim osiągniesz mistrzostwo, jeżeli ci się to w ogóle uda.

Michaił czuł się rozdwojony: połową umysłu słuchał tego, co mówił mu Wiktor, ale drugą połową słuchał chrobotu szczura gdzieś w ciemnościach.

- Czy czytałeś kiedykolwiek coś na temat anatomii? - zapytał Wiktor, zdejmując z półki grubą książkę. Michaił popatrzył na niego, nie rozumiejąc. - Anatomia to nauka o ludzkim ciele - wyjaśnił Wiktor. - Ta książka została napisana po niemiecku i są w niej ilustracje przedstawiające mózg. Wiele myślałem o tym wirusie w naszych ciałach i o tym, dlaczego my potrafimy przetrwać przemianę, podczas gdy zwykli ludzie nie potrafią. Myślę, że wirus oddziałuje na coś głęboko w mózgu. Na coś, co jest od dawna ukryte i skazane przez naturę na zapomnienie. - Mówiąc, Wiktor zapalał się coraz bardziej, tak jakby znalazł się znowu na uniwersyteckiej katedrze. - A ta książka - odstawił tom o anatomii i zdjął sąsiedni - rozprawa o filozofii ducha. Powstała ze średniowiecznego rękopisu. Jej autor twierdzi, że mózg człowieka składa się z wielu poziomów. W środku mózgu jest instynkt zwierzęcy czy, jak kto woli, natura dzikiego zwierzęcia...

Michaił nie mógł się skoncentrować. Szczur... drap, drap. W żołądku zagrzmiało mu z głodu jak z wnętrza dzwonu.

- ...i ta część mózgu jest tym miejscem, które jest uwalniane przez wirus. Jakżeż mało wiemy o tej wspaniałej maszynie w naszych głowach, Michaił! Rozumiesz, co mam na myśli?

Michaił nie rozumiał. Cały ten wykład o dzikich zwierzętach i mózгах nie sprawiał na nim żadnego wrażenia. Rozejrzał się, koncentrując zmysły na chrobocie. Drap, drap.

- Możesz mieć trzy tysiące światów - powiedział Wiktor. - Będę twoim kluczem, jeżeli zechcesz się uczyć.

- Uczyć się? - Chłopiec na chwilę odwrócił uwagę od świdrującego go głodu. - Uczyć się czego?

Wiktor stracił cierpliwość.

- Nie jesteś półgłówkiem! Przestań więc zachowywać się tak, jakbyś nim był! Słuchaj tego, co ci mówię: chcę nauczyć ciebie tego, co jest w tych księgach! I tego także, co sam wiem o świecie! Języków: francuskiego, angielskiego, niemieckiego. Historii, matematyki i....

- Dlaczego? - przerwał mu Michaił, myśląc o tym, że Renati powiedziała mu już, iż Biały Pałac i ten las będą dla niego domem przez resztę życia, tak jak dla pozostałych członków watahy. - Na co by mi się zdały te rzeczy, skoro mam tutaj zostać na zawsze?

- Na co? - powtórzył sarkastycznie Wiktor. - On pyta na co! - Parsknął ze złością. Dał kilka szybkich kroków do przodu, podnosząc pochodnię, i zatrzymał się tuż przed Michaiłem.

- Bycie wilkiem jest wspaniałą rzeczą. Cudem. Ale urodziliśmy się jako ludzie i nie możemy porzucić naszego człowieczeństwa, nawet jeżeli słowo „człowiek” czasami wprawia nas w zawstydzenie do głębi duszy. Czy wiesz, dlaczego nie jestem wilkiem cały czas? Dlaczego nie biegam po prostu po lesie dniami i nocami? - Michaił pokręcił głową. - Ponieważ wtedy, gdy przyjmujemy postać wilków, starzejemy się równie szybko jak wilki. Gdybyśmy mieli przeżyć rok jako wilki, to po powrocie do ludzkiej postaci byłibyśmy starsi o siedem lat. I chociaż tak bardzo kocham wolność, zapachy... i sam ten cud, to bardziej kocham życie. Chcę żyć tak długo, jak tylko będzie można, i chcę w i e d z i e ć. Mój mózg do bólu domaga się wiedzy. Trzeba nauczyć się biegać jak wilk, ale trzeba nauczyć się myśleć jak człowiek. - Poklepał się po łysej czaszce. - Jeżeli tego nie zrobisz, to zmarnotrawisz cały cud!

Michaił spoglądał na oświetlane pochodnią książki. Wyglądały na bardzo grube i bardzo zakurzone. Jak ktokolwiek mógłby przeczytać jedną tak grubą książkę, już nie mówiąc o nich wszystkich?

- Jestem twoim nauczycielem - powiedział Wiktor. - Pozwól mi cię uczyć.

Michaił zamyślił się. Te książki przerażały go w jakiś sposób, bo były tak ogromne i groźnie wyglądały. Jego ojciec też miał bibliotekę, ale jego książki były cieńsze i miały na grzbietach złożone tytuły. Przypomniał sobie Magdę, guwernantkę jego i Alicji - potężną szpakowatą kobietę, która przyjeżdżała do nich bryczką. Magda zawsze mówiła, że ważne jest poznać świat po to, aby znaleźć w nim swoje miejsce, gdyby się człowiek gdzieś zgubił. Michaił nigdy wcześniej w życiu nie czuł się bardziej zagubiony niż teraz. Wzruszył ramionami, nadał niechętny. Nigdy nie lubił lekcji.

- Dobrze - zgodził się po kolejnej chwili milczenia.

- Dobrze, och, gdyby ci ubrani w białe koszule książęta mogli zobaczyć teraz swojego profesora! Wyrwałbym z nich serca, żeby im pokazać, jak biją. - Przez chwilę posłuchał drapania szczura. - Pierwszej lekcji nie ma w książce. Burczy ci w brzuchu i ja też jestem głodny. Odszukaj tego szczura i zrobimy sobie posiłek. - Uderzył kilka razy pochodnią o podłogę i po chwili płomienie zgasły.

W komnacie zapadła ciemność. Michaił próbował wyteńczyć słuch, ale bardzo przeszkadzało mu bicie własnego serca. Szczur mógłby być dobrym, soczystym daniem, gdyby okazał się wystarczająco duży. Po odgłosach drapania można było się domyślać, że ten akurat jest wystarczająco okazały na posiłek dla dwóch ludzi. Michaił jadł wcześniej szczury, które przynosiła mu Renati. Smakowały jak łykowate kurczaki, a ich mózgi były słodkie. Popatrzył w prawo i w lewo, przechylając głowę, żeby lepiej słyszeć. Szczur drapał dalej, ale trudno było wykryć miejsce, w którym się znajduje.

- Zniż się do poziomu szczura - poradził mu Wiktor. - Myśl jak szczur.

Michaił przykucnął, a potem położył się na brzuchu. „Ach, tak, chrobot dochodzi z prawej strony, spod przeciwległej ściany - pomyślał. - A może z kąta”. Zaczął pełznąć w tym kierunku. Szczur raptownie przestał drapać.

- Słyszysz ciębie. Czyta w twoich myślach - powiedział Wiktor. Michaił pełzł naprzód, potarcił coś ramieniem - stertę książek.

Zsunęły się na podłogę i wtedy usłyszał stukot pazurów szczura uciekającego wzdłuż ściany. „Biegnie z prawej strony w lewą” - pomyślał Michaił. Miał nadzieję, że się nie myli. Jego żołądek zaburczał przeraźliwie głośno, aż Wiktor się roześmiał. Szczur zatrzymał się, nie wydając żadnego odgłosu. Michaił leżał na brzuchu, przechylając głowę. Poczł ostry, kwaskowaty odór. Szczur był przerażony i właśnie oddał mocz. Zapach był tak wyraźną wskazówką jak promień światła z latarni, ale dlaczego tak się działo, tego Michaił do końca nie rozumiał. Wypatrzył wokół siebie kolejne stosy książek, widział w ciemnościach ich

kontury zaznaczone szarawą poświatą. Chociaż był już w stanie odróżnić półki i tomy książek na przeciwległej ścianie, to w dalszym ciągu nie mógł dostrzec szczura.

„Gdybym ja był szczurem - pomyślał - to zaszyłbym się w rogu. W jakimś miejscu, gdzie miałbym osłonięte plecy”. - Pełzł do przodu powoli... powoli...

Dosłyszał przytłumione rytmiczne stukanie około trzydziestu stóp za sobą. „To serce Wiktora” - domyślił się. Jego własny puls bił ogłuszająco, więc zatrzymał się w miejscu, aż jego walące serce uspokoiło się. Przechylał głowę z boku na bok, nasłuchując.

Tam! Szybkie tik... tik... tik, jakby odgłos małego zegarka.

Po prawej, może jeszcze dwadzieścia stóp do przodu. Oczywiście w rogu. Za rysującą się w ciemności bezładną stertą książek. Michaił podpełzł w tym kierunku, poruszając się cicho z jakąś niewypowiedzianą groźbą. Posłyszał, jak serce szczura przyśpiesza. Gryzoń miał szósty zmysł, czuł jego zapach, ale po chwili Michaił również wyczuł przepełnioną odorem kurzu woń szczura. Wiedział dokładnie, gdzie on jest. Szczur tkwił bez ruchu, ale bicie jego serca wskazywało na to, że gotów jest wyskoczyć ze swojej kryjówki i rzucić się do biegu wzdłuż ściany. Michaił przesuwiał się dalej cal po calu. Usłyszał stuknięcie pazurów szczura i nagle gryzoń skoczył do przodu, rysując się niewyraźną sylwetką na tle ściany w ucieczce do przeciwległego rogu komnaty.

Michaił wiedział jedynie tyle, że jest głodny i chce złapać szczura, ale jego umysł pracował instynktownie, wyliczając kierunek ucieczki szczura i jego prędkość z zimną wilczą precyzją. Chłopiec rzucił się w lewo. Szczur pisnął i odskoczył od jego ręki i kiedy już mknął obok niego jak smuga szarego ognia, Michaił błyskawicznie obrócił się w prawo i jednym wyrzutem ręki chwycił go za kark.

Szczur zaczął się miotać, próbując wbić zęby w rękę. Był duży i silny. Za kilka sekund mógł się uwolnić. Michaił rozwiązał jednak ten problem.

Otworzył usta, wsunął głowę szczura między zęby i ugryzł mocno twardą szyję zwierzęcia.

Zęby zagłębiały się w tkanę, Michaił nie robił tego z gniewu czy z wściekłości, ale po prostu z głodu. Usłyszał trzask kości i wnet ciepła krew wypełniła mu usta. Przegryzł ostatni strzęp przytrzymujący głowę szczura. Odpadła, spoczywając mu na języku. Gryzoń wierzgnął kilka razy nogami, ale z coraz mniejszą siłą. I to był koniec tej bardzo nierównej walki.

- Brawo! - powiedział Wiktor, nie łagodząc jednak tonu głosu. - Jeszcze dwa cale, i by ci uciekł. Ten szczur był tak powolny jak gruba stara baba.

Michał wypłuł na dłoń odgryzioną głowę szczura. Spojrzał na zbliżającego się Wiktora, którego sylwetka słabo rysowała się w ciemności. Do dobrych manier należało zaferowanie najlepszej porcji każdego posiłku Wiktorowi, więc Michał uniósł do góry dłoń, na której spoczywała szczurza głowa.

- Jest twoja - powiedział Wiktor, biorąc od niego ciepłe ciało gryzonia.

Michał włożył głowę szczura pomiędzy zęby i rozłupał ją.

Smak jej wnętrza przypominał mu pieróg nadziewany patatami, który jadł kiedyś w innym świecie.

Wiktor rozdarł zewłok gryzonia od karku do ogona. Wciągnął przez nozdrza aromat krwi i świeżego mięsa, a potem usunął palcami wnętrzności oraz oderwał kawałki tłuszczu i mięsa od kości. Podał jedną porcję Michałowi, który przyjął ją z zadowoleniem.

Obydwaj zjedli szczura w ciemnej komnacie, otoczeni echemi cywilizowanych umysłów, których dzieła wypełniały półki wokół nich.



Złoty blask dni zaczął przybierać srebrny odcień. W lesie błyszczał szron, a nagie drzewa stały smagane wiatrem. Przyglądając się ich korze, Renati zauważyła, że zanoszą się na ciężką zimę. Pierwszy śnieg spadł na początku października i pokrył świeżą bielą pałac.

Kiedy listopadowe wiatry wyły na zewnątrz, miotąc śniegiem, wataha tłoczyła się w głębi pałacu wokół ogniska, które nigdy nie rozpałało się zanadto ani też nigdy nie gasło. Michaił czuł się ociężały, ciągle chciał spać, chociaż Wiktor wypełniał jego umysł problemami z książek. Chłopiec nie miał dotąd pojęcia, że świat kryje tyle zagadek, i teraz nawet we śnie widział znaki zapytania. Wkrótce zaczął śnić w obcych językach - po niemiecku i angielsku - które Wiktor wbijał mu do głowy bezlitosnymi ćwiczeniami. Umysł Michaiła, tak jak i instynkt, wyostrzył się i jego wiedza rosła.

Brzuch Aleksy nabrzmiał. Przeważnie leżała zwinięta w kłębek, a inni dawali jej dodatkowe porcje z upolowanej zwierzyny. Nigdy nie przemieniali się na oczach Michaiła, ale zawsze wychodzili po schodach na korytarz na dwóch nogach i wkrótce opuszczali pałac już na czterech łapach, udając się na polowanie. Czasami przynosili ze sobą świeże, ociekające krwią mięso, a czasami wracali ponurzy z pustymi rękami. Jednak w pałacu przebywało mnóstwo szczurów przyciąganych przez ciepło ogniska i łatwo było je złapać. Michaił wiedział, że należy teraz do watahy i jest akceptowany jako jej członek, jednak nadal czuł się tym, kim był do tej pory: zmarzniętym, często okropnie cierpiącym chłopcem. Kości i mózg bolały go nieraz tak gwałtownie, że był bliski płaczu. Czasami pociągał nosem z bólu, ale wtedy Wiktor i Renati posyłali mu spojrzenia, oznaczające, że nie toleruje się płaczu u kogoś, kto nie cierpi na robaki.

Jednak przemiana pozostawała dla niego tajemnicą. Jedną sprawą było życie z watahą, a czymś całkiem innym - całkowite dołączenie do niej. „Jak oni się przemieniają? - myślał Michaił, dodając jeszcze jedno pytanie do swych licznych problemów. - Czy wciągają głęboki oddech, tak jakby mieli wskoczyć do ciemnej, lodowatej wody? Czy napinają ciała, aż pęka ludzka skóra i wyskakuje z niej wilk? Jak to robią?” Nikt nie śpieszył, żeby mu to wytłumaczyć, a sam Michaił - najmniejszy członek watahy - był zbyt przestraszony, żeby o to pytać. Wiedział tylko, że kiedy po udanym polowaniu słyszy ich wycie, którego odgłosy niosą się po pokrytym śniegiem lesie, wtedy czuje się tak, jakby krew gotowała mu się w żyłach.

Z północy nadeszła śnieżycyca. Kiedy szalała za murami pałacu, Pauli śpiewała wysokim, cichym głosem ludową piosenkę o ptaku, który lata pomiędzy gwiazdami, a jej brat, rudowłosy Biety, stukał do rytmu kijami. Śnieżycyca nie ustępowała i dzień po dniu ryczała na zewnątrz. Ogień z wolna tracił swe ciepło, a oni zaczęli odczuwać coraz większy niedostatek jedzenia. Żołądki burczały im bez przerwy. Wiktor, Nikita i Biety musieli wyjść na śnieżycę, żeby zapolować. Nie było ich przez trzy dni i noce; w końcu Wiktor i Nikita wrócili, przynosząc ze sobą na wpół zamarzną sarnę. Biety nie wracał. Biegł w śnieżycy za sarną razem z Wiktorem i Nikita i wtedy widzieli go po raz ostatni.

Pauli popłakiwała nieco, a pozostali zostawiali ją w spokoju. Nie płakała jednak aż tak bardzo, żeby nie jeść. Jadła krwiste mięso tak samo żarłocznie jak inni. Michaił opanował przy tym nową lekcję: życie toczy się dalej niezależnie od tego, jaka zdarzy się tragedia czy jakie cierpienie zostanie zesłane.

Obudził się pewnego ranka, nie słysząc nic oprócz ciszy. Śnieżycyca ustała. Podążył za innymi po schodach, a potem przeszedł przez komnaty, których posadzki pokryte były śnieżnymi zaspami, a u góry zwiisały oblodzone gałęzie drzew. Na zewnątrz świeciło słońce, a ponad oślepiająco białym światłem rozciągało się lazurowe niebo. Wiktor, Nikita i Franko wygrzebali w śniegu ścieżkę na dziedziniec pałacu i wszyscy wyszli na zewnątrz, żeby się nacieszyć świeżym, mroźnym powietrzem.

Michaił wciągnął głęboko powietrze, aż do bólu w płucach. Słońce świeciło ostro, ale nie roztopiało nawet odrobiny gładkiego śniegu. Chłopiec wpatrywał się w piękno zimowego lasu, kiedy śnieżna kula uderzyła go w bok głowy.

- Dobry strzał! - krzyknął Wiktor. - Dołóż mu jeszcze raz.

Nikita, uśmiechając się, nabierał kolejną porcję śniegu w dłoń. Podniósł rękę, aby rzucić w Michaiła następną śnieżką, ale w ostatniej chwili obrócił się i cisnął nią w twarz stojącego nieopodal Franka.

- Ty durniu! - wrzasnął Franko i schylił się po śnieg. Renati rzuciła śnieżkę, która otarła się o głowę Nikity, a Pauli trafiła prosto w twarz Aleksy. Ta, śmiejąc się i plując śniegiem, padła na tyłek, przyciskając ręce do wypukłego brzucha.

- Chcecie wojny - wrzasnął Nikita, szczerząc zęby do Renati - to urządzimy wam wojnę!

Rzucił śnieżkę, która uderzyła Renati w ramię, a wtedy Michaił, stojący u jej boku, trafił Franka między oczy, aż ten, oszołomiony cofnął się do tyłu.

- Ty... mały... zwierzaku! - krzyknął.

Wiktor uśmiechnął się i spokojnie wykonał unik, uchylając się przed lecącą w kierunku jego głowy śnieżną kulą. Renati została jednocześnie trafiona dwiema śnieżkami przez Franka i Paulę. Michaił zanurzył zdrtwiałe dłonie w śnieg, żeby ulepić kolejną kulę, Nikita zrobił unik przed ciśniętą przez Renati śnieżką i wskoczył na miejsce, gdzie śnieg był jeszcze świeży i nie poznaczony śladami dłoni. Włożył ręce głęboko w śnieg, żeby ulepić wielką śnieżkę.

Jednak wydobył stamtąd coś całkiem innego. Coś zamrożonego, czerwonego i zmasakrowanego.

Śmiech zamarł Renati na ustach. Ostatnia rzucona przez Franka śnieżka uderzyła ją w ramię, ale ona patrzyła bez ruchu na trzymany przez Nikitę przedmiot. Michaił wypuścił śnieżkę z rąk. Pauli jęknęła; woda kapła jej z twarzy i włosów. Nikita trzymał odciętą, poranioną dłoń. Była niebieska jak polerowany marmur i brakowało przy niej dwóch palców. Kciuk i palec wskazujący, ostatnie resztki wilczej łapy, były skurczone i zagięte do środka. Delikatne rude włosy pokrywały zewnętrzną część dłoni.

Pauli dała krok do przodu, potem jeszcze jeden, aż weszła po kolana w śnieg. Zamrugła oszołomiona oczami.

- Bięły... - jęknęła.

- Weź ją do środka - polecił Renati Wiktor.

Od razu wzięła dziewczynę pod rękę, chcąc zaprowadzić ją do pałacu, ale ta wyrwała się.

- Idź do środka - rozkazał Wiktor, stając przed nią, żeby nie widziała, co Nikita i Franko wydobywają z zasy. - Natychmiast!

Pauli zachwiała się na nogach. Aleksa chwyciła ją za drugą rękę i razem z Renati odprowadziła do pałacu. Pauli szła jak lunatyczka.

Michaił ruszył za nimi, ale zatrzymał go ostry głos Wiktora.

- Co ty sobie wyobrażasz? Dokąd idziesz? Chodź tutaj i pomóż nam!

Wiktor ukląkł, aby razem z Frankiem i Nikitą odgarnąć śnieg, a Michaił podszedł do nich, żeby im pomóc. Odsłonili masę czerwonych, skrwawionych kości. Większa część ciała została oderwana, zostało tylko parę strzępów mięśni. Niektóre kości były ludzkie, a niektóre wilcze. Ciało Biełego w momencie śmierci walczyło pomiędzy dwiema przeciwnościami.

- Popatrzcie na to - powiedział Franko, podnosząc kawałek łopatki. Na kości widać było głębokie bruzdy.

- To kły - stwierdził Wiktor.

Znaleźli jeszcze więcej dowodów na to, że zabójstwa dokonały jakieś potężne szczęki: głębokie bruzdy na kości przedramienia i ostre brzegi zgruchotanego kręgosłupa.

Nikitą odsunął śnieżną skorupę i odnalazł głowę. Czaszka była pozbawiona skóry i rozłupana, a w środku brakowało mózgu, ale twarz Biełego, oprócz wyrwanej dolnej szczęki, zachowała się nienaruszona. Język też został wyrwany. Oczy Biełego były otwarte, a rude włosy pokrywały jego policzki i czoło. Przez chwilę, zanim Nikitą poruszył głowę Biełego, jego nieruchome oczy patrzyły wprost na Michaiła, który dojrzał w nich zastygły wyraz śmiertelnego przerażenia. Odwrócił wzrok, drżąc tym razem nie z zimna, i cofnął się kilka kroków. Franko podniósł kość nogi, na której nadal widoczne były strzępy czerwonych mięśni, i przyjrzał się jej pokaleczonym brzegom.

- To było potężne ugryzienie - powiedział cicho. - Kość pękła za pierwszym razem.

- Tak samo kości rąk - powiedział Nikitą. Siedział w kucki, patrząc na leżące na śniegu szczątki.

Na twarzy Biełego cienie przeplatały się ze światłem słońca, które zaczęło roztapiać lód na jedynej pozostałej powiece. Michaił patrzył z podszytą przerażeniem fascynacją, jak kropla wody ścieka niczym łza po sinym policzku Biełego.

Wiktor wstał z płonącymi oczami i powoli się rozejrzał. Zacisnął obydwie pięści. Michaił wiedział, o czym on musi myśleć: już nie byli w tym lesie jedynymi myśliwymi. Coś ich obserwowało i wiedziało, gdzie jest ich leże. To coś zmiażdżyło kości Biełego, wyrwało mu język i wygarnęło mózg z jego czaszki, a potem przyniosło tutaj pogruchotany szkielet, jakby się z nimi drażniąc. Albo rzucając wyzwanie.

- Zawieście go w to. - Wiktor zdjął z siebie skórzane okrycie i podał je Frankowi. - Nie dopuście do tego, żeby Pauli go zobaczyła. - Ruszył nago zdecydowanym krokiem, oddalając się od Białego Pałacu.

- Dokąd idziesz? - zapytał Nikita.

- Szukam tropu - odpowiedział Wiktor, zostawiając na śniegu ślady stóp. Po chwili zaczął biec, rzucając długi cień. Michaił widział, jak zanurza się pomiędzy drzewa i kolczaste zarośla, i zobaczył, jak szare włosy wystrzelają na szerokich białych plecach Wiktora, a jego kręgosłup zaczyna się wyginać. Wnet przywódca watahy zniknął w lesie.

Nikita i Franko złożyli kości Biełego w skórzaną pelerynę. Na końcu umieścili w niej głowę, z twarzą zastygłą w wyrazie przeraźliwego krzyku. Franko podniósł się, trzymając zawinięte kości. Jego wychudzona twarz była szara. Na widok Michaiła oblekła się w grymas.

- Ty to nieś, zającu - powiedział pogardliwym głosem i złożył zawiniątko ze szczątkami Biełego w ręce Michaiła.

Chłopiec osunął się na kolana pod ich ciężarem. Nikita ruszył, żeby mu pomóc, ale Franko przytrzymał go za rękę.

- Niech zajac zrobi to sam, skoro tak bardzo chce być jednym z nas!

Michaił spojrział prosto w oczy Franka. Śmiały się z niego i pragnęły, żeby mu się nie udało. W jego wnętrzu zapaliła się jakaś iskra, która wybuchnęła ogniem gniewu, i Michaił zaczął podnosić się z wysiłkiem, trzymając w rękach zawinięte w pelerynę kości. Podniósł się już prawie całkiem, gdy pośliznął się i upadł.

Franko przeszedł już kilka kroków.

- No, chodź - powiedział zniecierpliwiony do Nikity, który niechętnie ruszył za nim.

Michaił podnosił się znowu, zaciskając zęby i czując ból w ramionach. Doświadczył już wcześniej bólu, wobec którego ten był niczym. Nie mógł pozwolić, żeby Franko był świadkiem jego niepowodzenia. Nie mógł dopuścić do tego, by ktokolwiek widział go, jak przegrywa. Nigdy. Podniósł się całkiem i ruszył chwiejnym krokiem, trzymając w rękach to, co było kiedyś Białym.

- Dobry zajac zawsze robi to, co mu się każe - powiedział Franko.

Nikita wyciągnął ręce, żeby dźwigać dalej szczątki, ale Michaił rzekł: „Nie!” - i poniósł swoje brzemie w kierunku Białego Pałacu. Czuł podnoszący się z resztek Białego zapach zmrożonej

krwi. Skóra, w którą zawinięte były kości, wydawała własną woń, wyższą i słodsza, z kolei pot Wiktora wydzielał zapach soli i piżma. Jednak w mroźnym powietrzu unosila się jeszcze jedna woń. Przesunęła się koło nosa Michaiła, kiedy już dotarł do wejścia. Był to ostry, dziki zapach brutalności i sprytu. Zapach zwierzęcia, tak różny od zapachów watahy, jak czerń różna jest od czerwieni. Michaił domyślił się, że to dobywająca się z kości Białego woń bestii, która go zmasakrowała. Wiktor podążał teraz przez śnieżne zasy za tym samym zapachem.

W powietrzu czuć było zapowiedź agresji. Michaił poczuł jej muśnięcie na kręgosłupie. Franko i Nikita też ją czuli; rozglądali się po lesie, wyęzając zmysły, odbierając bodźce i oceniając je z prędkością właściwą ich drugiej naturze. Białe nie był najsilniejszym z watahy, ale był szybki i bystry. To coś, co rozerwało go na strzępy, było szybsze i jeszcze bystrzejsze. Czaiło się teraz gdzieś w lesie, obserwowało ich i czekało na reakcję watahy na śmiertelny dar.

Michaił zdołał przebrnąć przez próg pałacu i wtedy zobaczył Pauli stojącą razem z Renati i Aleksą. Patrzyła z otwartymi ustami na węzełek, który trzymał w rękach. Renati szybko podeszła do niego, odebrała mu zawiniątko i odniosła je w inne miejsce.

Słońce zaszło i nad lasem pojawiły się gwiazdy migoczące na czarnym tle nieba. Mały płomień błyskał w głębi Białego Pałacu, a Michaił i reszta watahy tłoczyli się wokół jego ciepła. Czekali, aż wiatr znowu zaczął narastać na dworze i wyć w korytarzach pałacu. Czekali. Wiktor jednak nie wracał.

**CZEŚĆ PIĄTA**

**PUŁAPKA NA MYSZY**

O szóstej rano dwudziestego dziewiątego marca Michael Gallatin włożył niemiecki mundur koloru feldgrau, buty z wysokimi cholewami i czapkę z odznakami jednostki łączności. Na jego piersi widniały wszelkie odpowiednie medale za służbę: Norwegia, front leningradzki, Stalingrad. Następnie nałożył płaszcz tego samego koloru co mundur. Miał ze sobą dokumenty, które były przykładem znakomitej roboty w zakresie postarzania nowych zdjęć i dokumentów. Przedstawiły go jako obersta, czyli pułkownika, zajmującego się nadzorem linii telefonicznych i przekaźników pomiędzy Paryżem a jednostkami rozrzuconymi na wybrzeżu Normandii. Jako miejsce jego urodzenia dokumenty wymieniały wieś o nazwie Braugdonau w południowej Austrii. Miał żonę o imieniu Lana i dwóch synów. Jego przekonania polityczne były wyraźnie prohitlerowskie i choć może nie zaliczał się do fanatycznych nazistów, to lojalnie służył Rzeszy. Został zraniony w 1942 roku odłamkiem granatu rzuconego przez rosyjskiego partyzanta, czego dowodziła blizna pod okiem. Pod płaszczem miał skórzaną kaburę z wysłużonym, ale doskonale utrzymanym lugerem, a w kieszeni dwa dodatkowe magazynki. Nosił srebrny szwajcarski zegarek kieszonkowy z wygrawerowanymi postaciami myśliwych strzelających do jeleni i w żadnym z elementów jego ubrania, nawet w skarpetkach, nie było śladu brytyjskiej wełny. Wszystkie potrzebne informacje mieściły się w jego głowie: mieszkanie Adama, miejsce pracy, jego nie rzucająca się w oczy twarz księgowego.

Zjadł z Pearlym McCarrenem solidne śniadanie złożone z jajecznicy na boczku, którą popili mocną francuską czarną kawą. Po śniadaniu nadszedł czas, aby ruszyć w drogę.

McCarren, surowy olbrzym w spódniczce pułku Black Watch, i młody ciemnowłosy Francuz, którego Pearly nazywał Andre, poprowadzili Michaela przez długi wilgotny korytarz. Jego buty, które kiedyś należały do zabitego niemieckiego oficera, stuknęły po kamieniach posadzki. Po drodze McCarren przypominał mu cichym głosem najważniejsze szczegóły. Michael słuchał uważnie nerwowego głosu Szkota, nie odzywając się ani słowem. Miał już te informacje w głowie i był zadowolony z tego, że wszystko zostało zaplanowane. Od tej chwili czekała go droga po ostrzu brzytwy.

Jego srebrny zegarek kieszonkowy był interesującym wynalazkiem. Dwa pociągnięcia za koronkę otwierały ukrytą ściankę, za którą znajdował się mały schowek na pojedynczą kapsułkę. Wyglądała ona na zbyt małą, aby mogła mieć śmiertelny skutek, ale był w niej cyjanek: silna i szybko działająca trucizna. Michael zgodził się nosić ze sobą kapsułkę tylko



dlatego, że była to jedna z niepisanych reguł tajnej służby. Nigdy jednak nie przewidywał takiej możliwości, żeby gestapo mogło wziąć go żywcem. Wyglądało również na to, że McCarren czuje się spokojniejszy, wiedząc, że Michael ma ze sobą truciznę. W gruncie rzeczy w ciągu ostatnich dwóch dni Michael i McCarren zaprzyjaźnili się ze sobą. Szkot był zapalonym pokerzystą i w momentach, kiedy nie przerabiał z Michaelem szczegółów jego nowej tożsamości, to ogrywał go w karty.

Michael był zawiedziony tylko jednym: nie widział tego dnia Gaby, a ponieważ McCarren nie wspominał o niej, to zakładał, że wróciła do innych zadań.

„*Au revoir* - pomyślał. - Życzę ci powodzenia”.

Szkot i młody francuski partyzant poprowadzili Michaela schodami w górę i weszli do małej jaskini oświetlonej zielonkawymi lampami. Światło odbijało się od długiego czarnego samochodu marki „Mercedes Benz”. To była piękna maszyna i Michael nie potrafił dostrzec śladów po pociskach. Wszystkie dziury bowiem załatano i pomalowano na nowo.

- Świetna maszyna, co? - zapytał McCarren, czytając w myślach Michaela, kiedy ten przeciągnął dłonią w rękawiczkach po zderzaku. - Niemcy wiedzą, jak się robi takie rzeczy, nie ma co do tego wątpliwości. No, ale te sukinsyny mają w głowach tryby i ośki zamiast mózgów, więc nic dziwnego. - Wskazał ręką w kierunku przedniego siedzenia, gdzie już czekał umundurowany kierowca. - Ten Andre jest dobrym szoferem. Zna Paryż jak własną kieszeń, bo się tam urodził.

Zapukał w szybę. Kierowca skinął głową i zapalił silnik. Rozległ się niski, gardłowy warkot. McCarren otworzył przed Michaelem tylne drzwi, a młody partyzant zdjął zasuwę z wrót prowadzących na zewnątrz jaskini. Ich skrzydła rozchyliły się, wpuszczając do środka poranne jaskrawe światło słońca, a młody

Francuz zaczął pośpiesznie usuwać gałęzie krzewów sprzed maski mercedesa.

McCarren wyciągnął rękę i Michael ujął jego dłoń.

- Uważaj na siebie, stary - powiedział Szkot. - Daj im popalić za nasz pułk, dobra?

- *Jawohl* - odparł Michael, lokując się na pokrytym luksusową czarną skórą tylnym siedzeniu.

Kierowca zwołał hamulec ręczny i wyjechał z jaskini. Gdy tylko samochód znalazł się na zewnątrz, Francuz przesunął gałęzie z powrotem na swoje miejsce i zamknął drzwi pomalowane na maskujący zielonobrazowy kolor. Znowu widać było tylko nierówne, zarośnięte zbocze wzgórza. Mercedes przebył, lawirując, skrawek gęstego lasu, wjechał na pełną kolein wiejską drogę i skręcił w lewo.

Michael wciągnął powietrze przez nos. Poczł zapach skóry, świeżej farby, nikłą woń prochu, oleju silnikowego i aromatycznego jabłkowego wina. „Ach, tak” - pomyślał, uśmiechając się lekko. Popatrzył przez okno na niebieskie niebo pełne bałwaniastych chmur i zapytał:

- McCarren wie o tym?

Spojrzała na jego odbicie w lusterku wstecznym. Włosy miała ułożone w taki sposób, że kryły się pod czapką niemieckiego kierowcy, a na mundur zarzuciła płaszcz o nieokreślonym fasonie. Spojrzał jej w oczy przeszywającym wzrokiem.

- Nie - powiedziała. - Myśli, że ostatniej nocy wróciłam do oddziału.

- A dlaczego nie wróciłaś?

Zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią, pokonując trudny odcinek drogi.

- Moim zadaniem było doprowadzić cię do miejsca, do którego chcesz dotrzeć - odparła.

- Twoje zadanie skończyło się w momencie, kiedy doprowadziłaś mnie do McCarrena.

- To twoja interpretacja, nie moja.

- McCarren miał dla mnie kierowcę. Co się z nim stało? Gaby wzruszyła ramionami.

- Uznał... że to zadanie jest zbyt niebezpieczne.

- Znasz Paryż?

- Wystarczająco dobrze. A tego, czego nie wiem z doświadczenia, nauczyłam się z mapy. - Rzuciła znów na niego okiem w lusterko wsteczne i zobaczyła, że nadal się w nią wpatruje. - Nie spędziłam całego życia na wsi.

- A co pomyślą Niemcy, kiedy natrafimy na blokadę? - zapytał. - Podejrzewam, że widok pięknej dziewczyny prowadzącej samochód sztabowy nie jest czymś powszechnym.

- Wielu oficerów ma kierowców kobiety - odpowiedziała, znowu skupiając uwagę na drodze. - Sekretarki albo kochanki. Bywają nimi Francuzki. Będziesz traktowany z większym szacunkiem, kiedy zobaczą, że wozi cię kobieta.

Michael zastanawiał się nad tym, dlaczego zdecydowała się to zrobić. Z pewnością nie musiała, jej część misji była zakończona. Czy sprawiła to ta noc ich wspólnej kąpieli w lodowatej wodzie, a może moment, kiedy jedli razem bochenek czerstwego chleba, popijając go aromatycznym czerwonym winem? No cóż, była zawodowcem, wiedziała, jakie niebezpieczeństwa stoją przed nimi i co się z nią stanie w razie wpadki. Spojrzał przez okno na pokrywające się zielenią pola. „Czy ona też ma swoją kapsułkę z cyjankiem?” - pomyślał.

Gaby dotarła do skrzyżowania, gdzie polna droga łączyła się ze żwirówką prowadzącą do Paryża. Skręcili w prawo i przejechali obok pracujących w polu chłopów. Francuzi

przerwali pracę i opierając się na widłach, patrzyli na przejeżdżający koło nich czarny niemiecki samochód. Gaby była dobrym kierowcą, jechała ze stałą prędkością, rzucając okiem w lusterko wsteczne i obserwując drogę przed sobą. Prowadziła tak, jakby niemiecki pułkownik siedzący na tylnym siedzeniu nie śpieszył się z dotarciem do celu.

- Nie jestem piękna - powiedziała cicho kilka minut później. Michael uśmiechnął się, zakrywając twarz dłonią, i usiadł wygodniej, żeby rozkoszować się podróżą.

Jechali w milczeniu. Silnik mercedesa pracował równym, delikatnym rytmem. Od czasu do czasu Gaby rzucała na Michaela okiem, myśląc nad tym, co jest w nim takiego, że ona chce... nie, nie, że pragnie być z nim. Tak, musiała się do tego przyznać. Oczywiście nie przed nim, ale przed samą sobą. Pomyślała, że najprawdopodobniej wspólna akcja przeciwko Niemcom rozgrzała jej krew i rozpałała uczucia w taki sposób, jaki był jej od dawna nie znany. W przeszłości czasami tlił się w niej płomyk uczucia, ale teraz to był prawdziwy pożar. Wytłumaczyła sobie, że wynika to po prostu z bliskości mężczyzny, który rwie się do działania, mężczyzny, który jest dobry w tym, co robi, mężczyzny... który jest dobry. Nie po to tyle przeżyła, by być słabym sędzią charakterów. Człowiek siedzący na tylnym siedzeniu był kimś specjalnym. Tkwiło w nim coś okrutnego, coś może... zwierzęcego. Wynikało to z natury jego profesji. Jednak wtedy, gdy kąpali się w zimnej wodzie, widziała w jego oczach dobroć.

Jakąś szlachetność i dążenie do celu. Pomyślała, że jeżeli na ziemi w ogóle istnieją jeszcze dżentelmeni, to on właśnie jest jednym z nich. Jednak niezależnie od wszystkiego potrzebował jej pomocy. Była w stanie zawieźć go do Paryża i wydostać stamtąd - i tylko to się naprawdę liczyło. Czyżby mogło być inaczej?

Rzuciła okiem w boczne lusterko i poczuła, jak serce skacze jej do gardła.

Z tyłu zbliżał się bardzo szybko niemiecki motocykl BMW z przyczepą.

Zacisnęła nerwowo ręce na kierownicy, aż nieco zarzuciło mercedesem.

Michael wyprostował się, czując szarpnięcie, i dosłyszał wysoki warkot silnika motocykla - odgłos znany mu z pustyni w Afryce Północnej.

- Z tyłu - powiedziała napiętym głosem Gaby, ale Michael już wcześniej się obejrzał i zobaczył, że motocykl zaczyna ich dopędzać. Opuścił dłoń na lugera. „Nie, jeszcze nie - pomyślał. - Muszę zachować spokój”.

Gaby nie zwolniła ani też nie przyśpieszyła. Jechała ze stałą prędkością, co było godne podziwu, biorąc pod uwagę to, jak szybko biło jej serce. Zobaczyła motocyklowe okulary i hełmy kierowcy i siedzącego w przyczepie żołnierza. Zdało się jej, że wpatrują się w nią z

morderczym zamiarem. U jej stóp na podłodze leżał załadowany luger. Mogła go podnieść i błyskawicznie wystrzelić przez okno, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Jedź dalej - polecił jej Michael. Siedział swobodnie, czekając na rozwój wypadków.

Motocykl podjechał tuż do nich i znalazł się może pięć-sześć stóp za ich zderzakiem. Gaby spojrzała we wsteczne lusterko i zobaczyła, że siedzący w przyczepie żołnierz daje im znaki, by zjechali na pobocze.

- Każą nam się zatrzymać - powiedziała. - Mam stanąć?

- Tak - odparł po króciutkim wahaniu Michael, wiedząc, że jeżeli podjął niewłaściwą decyzję, to już szybko się o tym przekona.

Gaby zwolniła. Motocykl również, a wtedy Gaby zjechała na pobocze. Niemcy wyprzedzili ich i stanęli tuż przed nimi. Kierowca wyłączył silnik.

- Nic nie mów - powiedział Michael i z udawaną złością opuścił szybę.

Żołnierz siedzący w przyczepie - porucznik, jak wynikało z odznak na jego zakurzonym mundurze - już wysiadał z pojazdu, stając na drodze.

Michael wysunął głowę przez okno.

- Chcesz nas, do cholery, zepchnąć z drogi, idioto?! - wrzasnął po niemiecku.

Porucznik zastygł bez ruchu.

- Nie, panie pułkowniku. Przepraszam, panie pułkowniku - bełkotał, rozpoznając dystynkcje na mundurze Michaela.

- Więc nie stój tak! Czego chcesz? - Michael położył rękę na rękojści lugera.

- Przepraszam, panie pułkowniku. Heil Hitler! - Podniósł nieśmiało rękę w faszystowskim geście, na który Michael nawet nie pofatygował się odpowiedzieć. - Dokąd pan jedzie, panie pułkowniku?

- A co to kogo obchodzi? Ma pan ochotę na wycieczkę z batalionem roboczym do kopania okopów, poruczniku?

- Nie, panie pułkowniku! - Twarz młodego człowieka była chuda i blada pod maską kurzu. Ciemne okulary przydawały mu wyglądu owada. - Przepraszam, że zakłócam panu podróż, ale uznałem, że jest moim obowiązkiem...

- Co jest pana obowiązkiem? Zachowywać się jak dureń?! - grzmiał Michael, wypatrując uzbrojenia Niemców. Młody porucznik nie miał przy sobie kabury, prawdopodobnie jego broń była w przyczepie. Kierowca motocykla też nie miał widocznej broni. „To dobrze” - pomyślał Michael.

- Nie, panie pułkowniku - odpowiedział porucznik, drżąc cały. Michael poczuł dla niego przelotne współczucie. - Chciałem ostrzec pana, że przed wschodem słońca były ataki lotnicze na drogę. Nie wiedziałem, czy pan o tym słyszał.

Michael zdecydował się zaryzykować.

- Słyszałem.

- Trafili parę samochodów z zaopatrzeniem. Nic szczególnego - ciągnął młody porucznik - ale jest jasne, że przy tak czystej pogodzie będzie więcej nalotów. Pana samochód... jest bardzo widoczny, panie pułkowniku. Bardzo dobry cel.

- A co? Mam go obrzucić błotem? Albo świńskim gównem? - odparł lodowatym tonem Michael.

- Nie, panie pułkowniku. Nie chciałem zachować się niewłaściwie, ale... te amerykańskie myśliwce... atakują bardzo niespodziewanie.

Michael patrzył na porucznika. Stał wyprężony jak prostaczek przed obliczem monarchy. Mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia lat.

„Cholerne sukinsyny, wyciągają dzieciaki z kołyski, żeby je przerobić na mięso armatnie” - pomyślał Michael, zdejmując dłoń z rękojeści lugera.

- Tak, oczywiście, ma pan rację. Doceniam pańską troskę, poruczniku... - zawiesił głos.

- Krabbel, panie pułkowniku - przedstawił się z dumą młody oficer, nie zdając sobie sprawy, jak mało dzieli go od śmierci.

- Dziękuję, poruczniku Krabbel. Zapamiętam pana nazwisko. - „Jego nazwisko pewnie znajdzie się na drewnianym krzyżu wetkniętym we francuską ziemię, kiedy ruszą przez nią wojska alianckie” - pomyślał.

- Tak jest, do widzenia, panie pułkowniku. - Porucznik zsalutował znowu jak marionetka i wrócił do swojej przyczepy. Kierowca motocykla zapalił silnik i pojazd ruszył.

- Poczekaj - powiedział Michael do Gaby. Dopiero kiedy motocykl zniknął im z oczu, dotknął jej ramienia. - Już w porządku, jedźmy - polecił.

Ruszyła znowu, jadąc z tą samą stałą prędkością i często spoglądając nie tylko w lusterka, ale także na niebo, na którym wypatrywała srebrnego błysku nurkującego w ich kierunku i plującego ogniem karabinów maszynowych. Alianckie myśliwce często atakowały drogi, magazyny zaopatrzenia i wszelkie oddziały, jakie tylko udawało im się wypatrzeć. W taki pogodny dzień można się było spodziewać, że krążą w górze i wypatrują celów, włączając w to błyszczące czarne niemieckie samochody sztabowe. Z napięcia zaczęło ścisnąć ją w żołądku, aż poczuła mdłości. Przemknęli koło wozów konnych i pracujących

chłopów i niebawem zobaczyli pierwszy drogowskaz z nazwą stolicy. Kiedy wyjechali zza zakrętu około czterech mil dalej na wschód, dojrżeli przed sobą blokadę.

- Spokojnie - powiedział cicho Michael - nie zwalniam zbyt gwałtownie.

Naprzeciw nich stało ośmiu czy dziewięciu żołnierzy z karabinami i kilku żandarmów z pistoletami maszynowymi. Michael położył dłoń na kolbie lugera. Opuścił okno, znowu gotowy do odgrywania zniecierpliwienia.

Tym razem nie potrzebował nic odgrywać. Dwaj żandarmi popatrzyli na jego dystynkcje, na elegancki czarny samochód i wywarło to na nich wystarczające wrażenie, tym bardziej że za kierownicą zobaczyli Gaby.

- To tylko formalność - oświadczył dowodzący blokadą oficer, wzruszając przepaszając ramionami. - Chyba pan pułkownik wie o działalności partyzantów w tym rejonie. Nie ma innego wyjścia, tylko trzeba zlikwidować te szczury. Jeśli mógłbym zobaczyć pańskie dokumenty, panie pułkowniku, to zaraz pana przepuścimy.

Michael wręczył mu swoje papiery, narzekając, że spóźni się na spotkanie w Paryżu. Obydwaj żandarmi zaczęli przeglądać je raczej nieuważnie, tylko na pokaz. „Gdyby pracowali dla aliantów - pomyślał Michael - to załatwiłbym im pobyt w więzieniu”. Minęło może trzydzieści sekund, kiedy dokumenty zostały mu zwrócone ze sztywnymi salutami i życzeniami przyjemnej podróży dla niego samego i pięknej *Fräulein*. Gaby ruszyła do przodu, kiedy żołnierze rozsunęli drewnianą zaporę, i Michael usłyszał, jak wypuszcza z ulgą oddech.

- Szukają kogoś - powiedział, kiedy oddalili się od blokady - ale nie wiedzą kogo. Domyślają się, że ten ktoś, kto skoczył ze spadochronem, może chcieć dostać się do Paryża, więc rozstawili swoje psy. Jeżeli wszyscy są tacy jak ci dwaj, to mogą nas doprowadzić prosto do drzwi Adama.

- Nie liczyłabym na to. - Gaby znowu zerknęła na niebo, ale nie zobaczyła śladu samolotu. Nadal nic. Droga też była pusta. Krajobraz przesunął się powoli za oknem, znaczony tu i ówdzie przez jabłoniowe sady i zagajniki drzew liściastych. „To kraj Napoleona” - pomyślała bez żadnego związku z sytuacją. Serce już się jej uspokoiło. Pokonanie blokady było o wiele łatwiejsze, niż się spodziewała.

- A ten Adam? Jak myślisz, co on chce przekazać? - zapytała.

- Nie zastanawiałem się nad tym.

- Och, na pewno się zastanawiałaś. - Ich oczy spotkały się w lusterku. - Jestem pewna, że myślałaś o tym chociaż trochę, tak jak ja, prawda?

Ich rozmowa nie zmierzała w rozsądnym kierunku. Oboje zdawali sobie z tego sprawę. Jeżeli trafiliby w ręce gestapo, to wspólna wiedza zapowiadała wspólne cierpienia. Jednak Gaby czekała na jakąś odpowiedź, więc Michael rzekł:

- Tak.

To jednak nie wystarczyło, dziewczyna czekała w milczeniu na więcej.

- Myślę - powiedział Michael, splatając dłonie - że Adam odkrył coś wyjątkowo ważnego, skoro uważa, że warto zaryzykować życie wielu ludzi, by to wydobyć na zewnątrz. Mój zwierzchnik też tak myśli, w przeciwnym razie by mnie tu nie było. No i nie trzeba dodawać, że twój wuj teraz by żył. - Zobaczył, jak skrzywiła twarz na ułamek sekundy. Była twarda, ale nie z żelaza. - Adam jest zawodowcem. Zna swoją profesję.

Wie także, że niektóre informacje są tego, by oddać za nie życie, jeżeli to oznacza wygranie wojny. Albo przegranie. Wiadomości o ruchach wojsk i konwojów z zaopatrzeniem możemy dostać w każdej chwili przez radio od dziesiątków agentów z całego terytorium Francji. Jest to coś, o czym wie tylko Adam i na czym gestapo położyło rękę. A to znaczy, że jest to coś o wiele bardziej ważnego niż informacje, które zazwyczaj dostajemy. Przynajmniej tak myśli Adam, bo w przeciwnym razie nie wzywałby pomocy.

- A ty? - zapytała Gaby. Uniósł brwi, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. - Za co ty byś oddał życie? - Znowu spojrzała na niego w lusterko, ale szybko odwróciła wzrok.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał się o tym przekonać. - Uśmiechnął się do niej lekko, ale jej pytanie utkwiło w nim jak cierń. Był gotów zginąć dla wykonania tej misji. Tak, to oczywiste. Ale była to reakcja wyszkolonej maszyny, a nie człowieka. Za co jako człowiek - czy pół człowiek, pół zwierzę - gotów był oddać życie? Za utkaną przez człowieka sieć politycznej intrygi? Za jakieś wąsko pojęte wyobrażenie wolności? Za miłość? Za triumf zwycięstwa? Rozmyślał nad tym pytaniem i nie potrafił znaleźć na nie jednoznacznej odpowiedzi.

- Och - westchnęła nagle Gaby.

Przed nimi, na prostej drodze prowadzącej do Paryża, pojawiła się kolejna blokada z tuzinem żołnierzy, wyposażonym w działko samochodem pancernym i czarnym citroenem, który mógł należeć wyłącznie do gestapo.

Żołnierz trzymający w rękach pistolet maszynowy dawał im znaki, by zjechali na bok. Wszystkie twarze obróciły się w ich kierunku. Jakiś mężczyzna w ciemnym kapeluszu i długim beżowym płaszczu wyszedł na jezdnię, czekając na ich mercedesa. Gaby nieco za gwałtownie nacisnęła hamulce.

- Spokojnie - powiedział Michael, zdejmując rękawiczki.

Mężczyzna, który patrzył przez opuszczone okno na Michaela Gallatina, miał bladoniebieskie, niemal bezbarwne oczy i rasową twarz nordyckiego sportowca. „Narciarz - pomyślał Michael - albo może oszczepnik lub biegacz”. Delikatne zmarszczki otaczały oczy Niemca, a na jego skroniach widać było pierwsze siwe włosy. Na głowie miał ciemny skórzany kapelusz z czerwonym piórkiem.

- Dzień dobry, pułkowniku - powiedział. - Niestety, musimy pana narazić na drobną niedogodność. Czy mogę zobaczyć pana dokumenty?

- Mam nadzieję, że będzie to rzeczywiście drobna niedogodność - odparł Michael zimnym tonem, patrząc na Niemca, na którego twarzy igrał uprzejmy uśmiezek.

Sięgając do kieszeni płaszcza po dokumenty, Michael dostrzegł, że jeden z żołnierzy zajmuje pozycję po drugiej stronie samochodu. Poczul ściskanie w gardle, widząc podnoszącą się w kierunku okna lufę pistoletu maszynowego. Żołnierz miał go pod obserwacją; nie było sposobu, żeby wyciągnąć lugera z kabury, nie ryzykując posiekania kulami.

Gaby siedziała, trzymając ręce na kierownicy. Gestapowiec wziął dokumenty Michaela i spojrzał na nią.

- Pani dokumenty, proszę.

- Ona jest moją sekretarką - wyjaśnił Michael.

- Oczywiście. Ale muszę zobaczyć jej papiery. - Wzruszył ramionami. - Rozumie pan, regulamin.

Gaby sięgnęła do kieszeni płaszcza. Wyjęła dokumenty, które przygotowano dla niej dzień wcześniej, kiedy postanowiła wyruszyć z nim do Paryża. Podała je ze sztywnym skinieniem głowy.

- Dziękuję. - Gestapowiec zaczął studiować fotografie i dokumenty. Michael obserwował jego twarz. Była zimna i inteligentna. Ten człowiek nie był głupcem i widział już różne sztuczki.

Michael rzucił okiem na pobocze i ujrzał tam porucznika Krabbla i jego kierowcę. Kierowca sprawdzał silnik, a drugi agent gestapo badał dokumenty ich obu.

- Co się stało? - zapytał Michael.

- Nie słyszał pan? - Blondyn podniósł oczy znad dokumentów, rzucając mu zdziwione spojrzenie.

- Gdybym słyszał, tobym teraz o to nie pytał, prawda?



- Jak na oficera łącznościowca jest pan niezbyt zorientowany. - Przelotny uśmiech odsłonił białe zęby drapieznika. - Ale oczywiście wie pan, że w tym sektorze trzy noce temu dokonano zrzutu. Partyzanci z wioski Bazancourt pomogli spadochroniarzowi uciec. Była w to też wmieszana pewna kobieta. - Przesunął wzrok w kierunku Gaby. - Czy mówisz po niemiecku, moja droga? - zwrócił się do niej po francusku.

- Trochę - odparła tak opanowanym tonem, że Michael poczuł podziw dla jej odwagi. Popatrzyła gestapowcowi prosto w oczy bez mrugnięcia powieką. - Co by pan chciał, żebym powiedziała?

- Twoje papiery mówią za ciebie - odparł, nadal niespiesznie przyglądając się dokumentom.

- Jak się pan nazywa? - Michael postanowił przejąć inicjatywę. - Chciałbym wiedzieć, przeciw komu złożyć skargę, kiedy dojadę do Paryża.

- Johlmann. Heinz. Pośrodku inicjał „R”, to znaczy Richter - powiedział obojętnym tonem gestapowiec, nie przerywając studiowania dokumentów. - Kto jest pana najwyższym przełożonym, panie pułkowniku?

- Adolf Hitler.

- Ach, oczywiście. - Znowu krótki uśmiech odsłaniający zęby. Wyglądały, jakby dobrze potrafiły rozrywać mięso. - Mam na myśli pańskiego bezpośredniego przełożonego w polu.

Dłonie Michaela były wilgotne, ale serce przestało mu łomotać. Panował nad sobą i nie miał zamiaru się poddać. Rzucił przelotnie okiem na żołnierza po drugiej stronie samochodu - nadal trzymał w gotowości pistolet maszynowy, a jego palec spoczywał na osłonie spustu.

- Generał brygady Friedrich Bohm, z dowództwa czternastego sektora komunikacji z siedzibą w Abbeville. Nasz kod radiowy brzmi „Cylinder”.

- Dziękuję. Mogę się skontaktować z generałem Bohmem w ciągu kilku minut przez nasze radio. - Wskazał ręką w kierunku samochodu pancernego.

- Proszę bardzo. Jestem pewien, że będzie chciał usłyszeć, dlaczego jestem przesłuchiwany - odparł Michael, patrząc na Johlmanną. Ich oczy spotkały się, lecz żaden z nich nie odwrócił wzroku.

Czas płynął jak wieczność. Gaby siedziała, zaciskając zęby i czując, że zaraz zacznie krzyczeć.

Johlmann uśmiechnął się i odwrócił wzrok. Znowu przyjrzał się fotografiom pułkownika i jego sekretarki.

- Ach - powiedział, odwracając się do Michaela. Zimne do tej pory oczy Niemca nagle się rozjaśniły. - Jest pan Austriakiem! Z Braugdonau, prawda?

- Zgadza się.

- No, to zadziwiające! Znam Braugdonau.

Gaby poczuła się tak, jakby ktoś ją uderzył w żołądek. Luger. Tak blisko. Czy zdąży go osiągnąć, zanim żołnierz naszpikuje ją kulami? Nie zdąży - zdecydowała, więc siedziała nadal bez

ruchu.

- Mam krewnych w Essen - powiedział Johlmann, nadal się uśmiechając. - To jest zaraz na zachód od pańskiej rodzinnej miejscowości. Przejeżdżałem przez Braugdonau kilka razy. Świetnie tam jest w karnawale.

- Owszem - potwierdził Michael, myśląc: „To musi być narciarz”.

- Wspaniały śnieg leży na tych górach. Taki zwarty. Można się za bardzo nie bać lawin. Dziękuję, moja droga. - Zwrócił Gaby jej dokumenty.

Odebrała je i schowała do kieszeni, spostrzegając przy tym, że jeszcze kilku żołnierzy podeszło do samochodu, by się jej przyjrzeć.

Johlmann uważnie złożył papiery Michaela.

- Pamiętam tę fontannę w Braugdonau. Wie pan, tę z posągami lodowego króla i królowej. - Uśmiechnął się, błyskając zębami. - Tak.

- Obawiam się, że jest pan w błędzie - oznajmił Michael, wyciągając rękę po dokumenty. - W Braugdonau nie ma fontanny, Herr Johlmann. Chyba już czas, żebyśmy ruszali w drogę.

- Hm - mruknął Johlmann, wzruszając ramionami - może rzeczywiście się myłę. - Wsunął dokumenty w dłoń Michaela. Michael był teraz zadowolony, że tak pilnie słuchał wszystkich szczegółów, które McCarren podawał mu na temat topografii i historii Braugdonau. Zacisnął palce na dokumentach, ale Johlmann nie wypuszczał ich z dłoni.

- Nie mam krewnych w Essen, pułkownika - oznajmił. - To takie niewinne kłamstwo. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan moją śmiałość. Ale wie pan, trochę znam to piękne miejsce. Zjeżdżałem tam na nartach. Tą słynną trasą około dwudziestu kilometrów na północ od Essen. - Na jego twarzy znowu pojawił się zadowolony uśmiech. - Na pewno pan ją zna. Nazywa się „Dziadek”, prawda?

„On wie - pomyślał Michael - wyczuwa we mnie Brytyjczyka”. Czuł się tak, jakby stał na krawędzi przepaści, a pod nim otwierały się pełne ostrych zębów paszcze. Do cholery, dlaczego nie położył lugera obok siebie na siedzeniu?

Johlmann czekał na odpowiedź, przechylając nieco głowę. Wiatr poruszał czerwonym piórkiem na jego kapeluszu.

- Herr Johlmann! - odezwał się żołnierz z pistoletem maszynowym. W jego głosie słyhać było zdenerwowanie. - Herr Johlmann, niech pan lepiej...

- Tak - powiedział Michael, czując ściskanie w żołądku. - "Dziadek".

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Johlmanna.

- O nie, niestety, miałem na myśli „Babkę”.

- Herr Johlmann! - zawołał żołnierz.

Dwaj inni żołnierze krzyknęli coś i rzucili się w kierunku drzew. Silnik samochodu pancernego zaskoczył z rykiem. Johlmann uniósł głowę.

- Co się, do cholery... - W tej samej chwili usłyszał wysoki pisk, obrócił się i zobaczył odbłask słońca na srebrnych skrzydłach nurkującego w kierunku blokady samolotu.

„Myśliwiec - pomyślał Michael. - Nurkuje”. Żołnierz z pistoletem maszynowym krzyknął: „Kryć się!” i rzucił się na bok drogi.

- Czekaj, czekaj, ty! - wrzasnął z wściekłością Johlmann. Jednak żołnierze biegli pod osłonę drzew, a samochód pancerny zaczął pełznąć niezdarnie jak żelazny karaluch w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Johlmann zaklął i włożył rękę pod płaszcz, aby wyciągnąć pistolet, obracając się jednocześnie do fałszywego pułkownika.

Jednak w dłoni Michaela pojawił się już luger. Kiedy Johlmann zaczął podnosić swój pistolet, Michael skierował lufę lugera ku jego twarzy i nacisnął spust.

Rozległ się huk, jakby osuwającej się lawiny, i klekot karabinów maszynowych zamontowanych na skrzydłach samolotu. Odgłos wystrzału z lugera utonął w huku potężniejszej broni. Dwa pasma pocisków przeszły drogę, trafiając mercedesa i krzesząc iskry z metalu. Gestapowiec Heinz Richter Johlmann zachwiał się i cofnął o krok, z dymiącą dziurą pośrodku czoła, tuż pod założonym zawadiacko kapeluszem. Michael trzymał już pewnie swoje dokumenty w drugiej ręce. Cień samolotu przesunął się nad nimi i Johlmann upadł na kolana. Krew spływała mu po zastygłej w przerożeniu twarzy, a głowa przechyliła się do przodu. Pełen szarej tkanki mózgowej kapelusz spadł mu z głowy, a podmuch powietrza od przelatującego myśliwca oderwał czerwone piórko, które wzleciało w górę jak krwawy znak zapytania.

- Krabbel! - krzyknął Michael.

Młody porucznik już miał biec pod drzewa, gdyż jego kierowca nie mógł zapalić silnika motocykla. Obrócił się w kierunku mercedesa.

- Ten człowiek dostał! - zawołał Michael. - Sprowadź lekarza, ale najpierw rozsuń tę cholerną barykadę!

Krabbel i kierowca zawahali się chwilę, pragnąc biec pod osłonę drzew, zanim myśliwiec zdąży wykonać nawrót.

- Rób, co ci każe! - rozkazał Michael i obydwaj Niemcy rzucili się do drewnianej barykady. Rozsuwając ją, Krabbel spoglądał w niebo poprzez szkła okularów. Nagle Michael usłyszał śmiercionośny pisk samolotu nurkującego do drugiego ataku. - Jedź! - zawołał do Gaby.

Nacisnęła pedał gazu do oporu i samochód skoczył do przodu z rykiem silnika, mijając Krabbla i kierowcę i przejeżdżając przez rozsuniętą zaporę. Obydwaj Niemcy rzucili się w kierunku drzew, pod którymi leżeli już na ziemi inni żołnierze. Michael obejrzał się, gdy samochód jechał pełnym gazem, i zobaczył jasny odbłask światła odbijającego się od skrzydeł amerykańskiego myśliwca P-47 „Thunderbolt”. Wyglądało na to, że samolot zmierza wprost na ich samochód. Zobaczył błysk karabinów maszynowych i gejzery żwiru w miejscach, gdzie kule trafiały w drogę. Gaby skrzyła gwałtownie w lewo, zjeżdżając z drogi na trawę. Samochodem targnęło tak, że Michael poczuł ból w krzyżu, ale Gaby panowała nad kierownicą. „Dostaliśmy” - pomyślała, ale silnik nadal ryczał, więc przyspieszyła jeszcze bardziej. Wnętrze samochodu wypełniły kłęby kurzu, które na kilka sekund oślepiły Michaela. Kiedy kurz nieco opadł, zobaczył dwa promienie słońca wpadające przez wyszarpane dziury w dachu. W tylnej szybie pojawiła się wybita przez pocisk dziura wielkości pięści. Okruchy szkła pokrywały tylne siedzenie i błyszczały w fałdach płaszcza.

Gaby zobaczyła błysk słońca na skrzydłach kładącego się w ciasny zakręt thunderbolta.

- Znowu się zbliża! - zawołała.

Michael pomyślał, że nie po to przebył tak daleką drogę, aby teraz zginąć od kul alianckiego myśliwca.

- Tam! - zawołał, chwytając Gaby za ramię i wskazując w prawo, w kierunku jabłoniowego sadu.

Gaby szarpnęła kierownicę, przecięła drogę i uderzyła w rachityczny drewniany płot, który rozpadł się, przepuszczając ich dalej. Przejechała koło porzuconego wozu konnego i skryła się w cieniu drzew. Trzy sekundy później samolot przemknął nad ich głowami, ścinając kulami gałązki i białe pączki, nie trafiając jednak w mercedesa. Gaby zatrzymała samochód i zaciągnęła hamulec ręczny. Serce biło jej jak oszalałe, a gardło miała suche od kurzu. Popatrzyła na dziury wybite w dachu przez kule, które poszarpały również siedzenie

pasażera i podłogę. Czowała się tak, jakby zapadała w sen. „To szok” - pomyślała. Zamknęła oczy i oparła głowę o kierownicę.

Samolot znowu przeleciał nad nimi z wyciem, ale tym razem nie ostrzeliwał już ziemi. Michael rozluźnił napięte mięśnie. Patrzył, jak thunderbolt skręca na zachód i rzuca się w kierunku kolejnego celu, być może oddziału wojska czy samochodu pancernego. Po chwili samolot znurkował, grzmiąc wystrzałami z karabinów maszynowych, a potem gwałtownie wzbił się w górę i odleciał na zachód ku wybrzeżu.

- Odleciał - powiedział Michael, kiedy już się całkiem co do tego upewnił.

Wciągnął kilka głębokich oddechów, aby się uspokoić, i poczuł zapach kurzu, własnego potu oraz słodki aromat pączków jabłoni. Białe płatki zasłały cały samochód i nadal osypywały się z drzew. Gaby zakaszłała, a wtedy Michael pochylił się do przodu, ujął ją za ramię i odciągnął od kierownicy.

- Dobrze się czujesz? - zapytał pełnym napięcia głosem. Gaby spojrzała na niego wilgotnymi oczami i skinęła głową.

Michael westchnął z ulgą. Bał się, że została ranna. Gdyby tak się stało, jego misja byłaby w wielkim niebezpieczeństwie.

- Tak - powiedziała, dochodząc nieco do siebie. - Nic mi nie jest. Mam tylko pełno kurzu w gardle. - Zakaszłała jeszcze parę razy, by oczyścić krtań. W czasie ataku samolotu najbardziej przerażona była tym, że jest zdana na łaskę opatrności i nie może się bronić, strzelając do napastnika.

- Lepiej już ruszajmy. Niedługo się zorientują, że Johlmann zginął od kuli lugera, a nie karabinu maszynowego.

Gaby zebrała się w sobie, opanowując siłą woli roztrzęsione nerwy. Zwolniła hamulec i wycofała samochód po trawie z powrotem na drogę, wjechała na wysypaną żwirem jezdnię i ruszyła na wschód. Chłodnica klekotała nieco, lecz wszystkie wskaźniki pokazywały, że paliwo, olej i woda są na odpowiednim poziomie. Michael obserwował niebo z wilczą uwagą, ale już żaden samolot nie pojawił się nad ich głowami. Nikt ich również nie ścigał, zakładał więc, a raczej miał nadzieję, że żołnierze i drugi gestapowiec jeszcze nie otrząsnęli się z szoku. Droga słała się pod kołami mercedesa i w pewnym momencie żwir zamienił się w bruk, na poboczu natomiast pokazał się znak informujący, że do Paryża pozostało im sześć mil. Chociaż mijali wiele samochodów ciężarowych wiozących żołnierzy z miasta i do miasta, to szczęśliwie nie napotkali już żadnej blokady.

Droga przekształciła się w zadrzewioną aleję. Minęli ostatnie drewniane zabudowania, w których miejsce pojawiły się pierwsze murowane domy, a wreszcie szare budynki ozdobione białymi sztukateriami, wyglądającymi jak lukier na torcie. Paryż błyszczał w słońcu, wieże jego katedr i pomniki świeciły się jak złote igły. Bogato przyozdobione budynki miasta były stłoczone podobnie jak w innych metropoliach, ale tchnęły dostojnością wieków. Na tle płynących chmur rysowała się delikatna jak francuska koronka wieża Eiffla,

natomiast kopułowate czerwono-brązowe dachy Montmartre'u prezentowały się jak paleta artysty. Kiedy mercedes przejeżdżał nad jasnozielonymi wodami Sekwany po moście udekorowanym postaciami kamiennych cherubinów, Michael poczuł zapach wodorostów i ryb. Ruch natężył się, gdy przejeżdżali przez boulevard Berthier - jedną ze wspaniałych alei okrążających miasto, której nazwa upamiętniała jednego z marszałków Napoleona. Gaby pewnie prowadziła samochód. Wmieszała się pomiędzy Citroeny, wozy konne, rowerzystów i pieszych. Większość z nich ustępowała z drogi przed imponującym czarnym samochodem sztabowym.

Kiedy Gaby jechała przez ulice Paryża, trzymając jedną rękę na kierownicy, a drugą pokazując innym pojazdom i pieszym, żeby usunęli się z drogi, Michael wdychał wonie miasta - mocny koktajl z tysiąca zapachów, od aromatu perfum po bułki, od kawy podawanej w ulicznej kawiarni do sprzątanego z ulicy końskiego nawozu. Czuł się oszołomiony zapachami, tak było zawsze, kiedy odwiedzał jakiegokolwiek miasto. Zapachy miasta, ludzkiej aktywności były w Paryżu intensywne i zaskakujące, nie przypominały w niczym tych wilgotnych, mglistych woni, które kojarzyły mu się z Londynem. Widział dużo rozmawiających ze sobą ludzi, ale niewielu z nich się uśmiechało, a jeszcze mniej się śmiało, gdyż po ulicach chodzili niemieccy żołnierze z karabinami, a w kawiarniach w pozach zdobywców rozsiadali się oficerowie. Na wielu budynkach nazistowskie sztandary powiewały nad wzniesionymi ramionami i pytającymi twarzami marmurowych posągów wyrzeźbionych przez francuskich artystów. Niemieccy żołnierze kierowali też ruchem, a niektóre ulice były przegrodzone zaporami z napisami: ACHTUNG! EINTRITT VERBOTEN! Michael pomyślał, że nieużywanie języka rdzennej ludności zostało zaplanowane jako dodatkowa zniewaga. Nie dziwiły go więc wrogie spojrzenia rzucane w ich kierunku przez wiele osób.

Problemy w ruchu potęgowały liczne oznakowane swastyką, parszające spalinami ciężarówki, które wlokły się ulicami pośród rowerzystów. Michael zauważył wiele samochodów przewożących żołnierzy i kilka czołgów stojących na poboczach ulic. Czołgiści wygrzewali się na słońcu, paląc papierosy. Wszystko wskazywało na to, że Niemcy uważali, iż zostaną tutaj na zawsze. Pozwalali Francuzom na zajmowanie się codziennymi sprawami, ale jasno dawali do zrozumienia, że jako zdobywcy trzymają wszystko mocno w rękę. Minęli grupkę młodych żołnierzy flirtujących z dziewczynami, wyprostowanego sztywno oficera, któremu mały chłopiec czyścił buty, i jeszcze innego oficera, krzyżącego po niemiecku na przerażonego kelnera, który wycierał ze stolika rozlane przez siebie białe wino. Michael siedział rozluźniony w samochodzie, chłonąc wszystkie widoki, dźwięki i zapachy miasta i czując przyniatający je cień. Gaby zwolniła, naciskając klakson, aby spędzić z drogi kilku

rowerzystów. Nagle Michael wyczuł zapach konia, spojrzął w lewo i ujrzał żandarma siedzącego na wierzchowcu z ozdobionymi swastykami osłonami na oczach. Żandarm zasalutował mu, a Michael skinął lekko głową, myśląc, że chciałby spotkać tego sukinsyna samego w lesie.

Gaby jechała na wschód przez boulevard des Batignolles wśród stojących ciasno obok siebie budynków mieszkalnych i rokokowych kamienic. Bulwar przeciął avenue de Clichy i skierował się na północ. Po pewnym czasie Gaby skręciła w prawo w rue Quenton i znaleźli się w dzielnicy, w której ulice wybrukowane były kocimi łbami, a między oknami domów widniały rozpięte sznury z suszącą się bielizną. Na niektórych fasadach, pomalowanych na wyblakłe pastelowe kolory, pęknięcia odsłaniały stare cegły, wyglądające jak poźółkłe żebra. Spotykało się tu niewiele rowerzystów, nie było malarzy ani też ulicznych kawiarni. Budynki zdawały się opierać o siebie jak podtrzymujący się nawzajem pijacy i nawet w powietrzu unosił się zapach kwaśnego wina. W cieniach kamienic pojawiały się sylwetki ludzi, którzy patrzyli na sunącego ulicami mercedesa. Ich oczy wyglądały martwo jak podrobione monety. Pęd powietrza, wzniesany przez jadący samochód, podrywał z rynsztoków stare gazety, których poźółkłe płachty przelatywały nad zaśmieconym chodnikiem.

Gaby szybko jechała ulicami tej dzielnicy, prawie wcale nie przystając na skrzyżowaniach. Skręciła w lewo, potem w prawo i jeszcze raz w lewo kilka przecznic dalej.

- Dojechaliśmy - oświadczyła i zwolniła mrugając reflektorami.

Michael dostrzegł przekrzywioną tablicę z napisem „rue Lafarge”.

Dwaj mężczyźni w średnim wieku otworzyli przed nimi bramę, za którą dostrzegli brukowaną dróżkę, ledwie parę cali szerszą od ich mercedesa. Michael spodziewał się, że samochód lada chwila otrze się o coś bokiem, ale Gaby pokonała dróżkę z zapasem po obu stronach. Dwaj mężczyźni zamknęli za nimi bramę, a Gaby wjechała do zielonego garażu z zapadniętym dachem.

- Wsiadaj - powiedziała i wyłączyła silnik.

Michael usłuchał. Do garażu wszedł jakiś mężczyzna o brązowej, pokrytej zmarszczkami twarzy i siwych włosach.

- Chodźcie za mną, proszę - powiedział po francusku i ruszył szybkim krokiem przed siebie.

Michael podążył za nim, oglądając się na Gaby, która właśnie otwierała bagażnik mercedesa i wyjmowała z niego brązową walizkę. Gdy już była gotowa i wyszła na zewnątrz, jeden z mężczyzn założył łańcuch na drzwi garażu, zamknął go na kłódkę i schował klucz do kieszeni.



- Szybciej, proszę - ponaglił Michaela siwowłosa Francuz. Jego głos brzmiał przyjemnie, ale stanowczo.

Buty Michaela zastukały głośno po bruku, odbijając się echem w ciszy nocy, ale nikt nie wyjrzał z okien pobliskich pokrzywionych budynków. Siwowłosa przewodnik, który miał szerokie bary i potężne ręce ciężko pracującego robotnika, otworzył żelazną bramę najeżoną u góry ostrymi jak włócznie prętami. Michael przeszedł za nim przez obsadzony różami ogródek i znalazł się przed pomalowanymi na kolor żywego błękitu tylnymi drzwiami domu. W jego wnętrzu dojrzał wąski korytarz i rachityczne schody. Weszli po nich na pierwsze piętro. Przewodnik otworzył kolejne drzwi i dał Michaelowi znak ręką, żeby wszedł do środka. Michael znalazł się w pokoju o podłodze okrytej dywanem plecionym z różnokolorowych skrawków. W pomieszczeniu unosił się intensywny zapach świeżego chleba i gotowanej cebuli.

- Witamy w naszym domu - usłyszeli.

Michael zobaczył małą, krucho wyglądającą starą kobietę z siwymi włosami splecionymi z tyłu w długi warkocz. Miała na sobie wyblakłą niebieską sukienkę i fartuch w czerwonej kratę. Spoza okrągłych okularów spoglądały ciemnobrązowe oczy, które widząc wszystko, nie zdradzały same niczego. Uśmiechnęła się marszcząc twarz i pokazując zęby koloru słabej herbaty.

- Zdejmij ubranie, proszę - powiedziała.

- Moje... ubranie?

- Tak, ten obrzydliwy mundur. Proszę, zdejmij go.

Do pokoju weszła Gaby w towarzystwie mężczyzny, który zamykał garaż. Stara kobieta spojrzała na nią i Michael zobaczył, jak jej twarz tężeje.

- Powiedziano nam, że mamy oczekiwać dwóch mężczyzn - oznajmiła.

- Ona jest w porządku - powiedział Michael. - McCarren...

- Żadnych nazwisk - przerwała mu sucho stara Francuzka. - Powiedziano nam, że mamy oczekiwać dwóch mężczyzn: kierowcy i pasażera. Dlaczego jest inaczej? - Przesunęła na Gaby oczy, ciemne jak otwory w lufie pistoletu.

- Zmiana planów - odpowiedziała Gaby. - Postanowiłam...

- Zmienione plany to nieudane plany. Kim jesteś, żeby podejmować takie decyzje?

- Powiedziałem, że jest w porządku - powtórzył Michael i tym razem on musiał wytrzymać siłę spojrzenia staruszki. Obydwaj mężczyźni stanęli za jego plecami. Jeden po lewej, a drugi po prawej stronie. Michael był pewien, że mają pistolety. Pomyślał, że jeżeli

sięgną po broń, będzie musiał trafić jednocześnie ich obu łokciami w twarz. - Gwarantuję za nią - powiedział głośno.

- Więc kto zagwarantuje za ciebie, Zielone Oczy? - zapytała Francuzka. - To nie jest profesjonalne podejście. - Przesunęła wzrok z Gaby na Michaela i z powrotem, zatrzymując dłużej spojrzenie na dziewczynie. - Aha - powiedziała, kiwając głową - kochasz go? Tak?

- Wcale nie! - zaprzeczyła Gaby, oblewając się rumieńcem.

- No, może w tych czasach to się nazywa jakoś inaczej - rzekła stara kobieta, znowu uśmiechając się lekko. - Słowo „miłość” zawsze uważano za brzydkie. Zielone Oczy, mówiłam ci, żebyś zdjął ten mundur.

- Jeżeli mam być zastrzelony, to wolałbym, żeby to się stało, kiedy mam na sobie spodnie.

Francuzka roześmiała się ochryplym głosem.

- Wydaje mi się, że jesteś tym typem mężczyzny, który strzela głównie bez spodni. - Machnęła ręką w jego kierunku. - Rozbierz się. Nikt tu nikogo nie będzie zabijał. Przynajmniej nie dzisiaj.

Gdy Michael zdjął płaszcz, jeden z mężczyzn wziął go w ręce i zaczął odrywać podszewkę. Drugi położył na stole walizkę Gaby i otworzył ją. Zaczął przewracać cywilne ubrania, które przywiozła ze sobą. Stara Francuzka zerwała z piersi Michaela medal za Stalingrad i obejrzała go pod lampą.

- Ten złom nie nabrałby nawet ślepego ślusarza - stwierdziła i zaśmiała się nieprzyjemnie.

- To prawdziwy medal - stwierdziła zimno Gaby.

- Oo, a skąd to możesz wiedzieć, moja kochaneczko?

- Wiem, bo sama zdjęłam go z trupa, jak podciąłam mu gardło.

- Bravo! - Stara kobieta odłożyła medal. - A ten Niemiec miał pecha. Ty też zdejmij swój mundur, kochaneczko. Pośpiesz się. Wcale mi już nie ubywa lat.

Michael zaczął ściągać ubranie. Zdjął wszystko oprócz bielizny. Gaby też się rozebrała.

- Ale z ciebie włochaty typ - powiedziała Francuzka. - Co za zwierz był twoim ojcem? Przynies mu nowe ubranie i buty - zwróciła się do jednego ze swoich ludzi. Kiedy mężczyzna wyszedł z pokoju, wzięła do ręki lugera Michaela i powąchała lufę. Zmarszczyła nos, czując woń świeżego prochu. - Mieliście kłopoty po drodze?

- Tylko pewną drobną niedogodność - odparł Michael.

- Nie chcę o tym nic więcej słyszeć - powiedziała, biorąc do ręki srebrny zegarek kieszonkowy. Nadusiła dwukrotnie na koronkę i kiedy tylna ścianka koperty odsłoniła, zobaczyła ukrytą w środku kapsułkę z cyjankiem. Mruknęła coś cicho, zamknęła zegarek i oddała go Michaelowi. - Chyba chciałbyś go zatrzymać. Znajomość godziny jest w tych czasach bardzo ważna. - Zatrzymała w powietrzu rękę z zegarkiem, aż Michael skinął głową na znak, że rozumie, co ona ma na myśli.

Do pokoju wrócił jeden z Francuzów, niosąc węzełek ubrań i parę wykrzywionych czarnych pantofli.

- Dostaliśmy twoje rozmiary przez radio - powiedziała kobieta - ale oczekiwaliśmy dwóch mężczyzn. Wykonała ruch ręką, wskazując na zawartość walizki Gaby. - Więc przywiozłaś własne ubrania? To dobrze. Nie mamy dla was cywilnych papierów. Tu w mieście Niemcom łatwo jest sprawdzić autentyczność dokumentów. Jeżeli któreś z was zostanie zatrzymane... - popatrzyła na Michaela twardym wzrokiem - spodziewam się, że będziesz wiedział, która jest godzina. - Zawiesiła głos, czekając, aż Michael potakująco kiwnie głową. - Nie zobaczycie już swoich mundurów ani samochodu. Damy wam rowery. Jeżeli będziecie uważali, że musicie mieć samochód, to porozmawiamy o tym. Nie mamy dużo pieniędzy, ale mamy mnóstwo przyjaciół.

Będziecie nazywali mnie Camille i będziecie rozmawiali tylko ze mną. Nie wolno wam rozmawiać z żadnym z tych dwóch dżentelmenów - wskazała ręką na mężczyzn zbierających niemieckie mundury i upychających je do kosza z pokrywą. - Zatrzymaj swój pistolet - powiedziała do Michaela. - Trudno tu o broń. - Przez kilka sekund wpatrywała się w Gaby, jakby próbując ją ocenić, a potem w Michaela. - Jestem pewna, że oboje macie doświadczenie w tych sprawach. Nie obchodzi mnie wcale, kim jesteście ani czego do tej pory dokonaliście, ważne jest tylko to, że wiele istnień zależy od tego, czy będziecie wystarczająco inteligentni i ostrożni podczas pobytu w Paryżu. Będziemy wam pomagać o tyle, o ile będziemy mogli, ale jeżeli was złapią, to was nie znamy. Czy to jasne?

- Absolutnie - odpowiedział Michael.

- Dobrze. Gdybyście chcieli chwilę odpocząć, to wasz pokój jest tam - Camille wskazała ruchem głowy jedne z drzwi na korytarzu. - Właśnie robiłam zupę cebulową, może byście chcieli jej spróbować?

Michael zabrał buty i węzełek z ubraniami ze stołu, gdzie położył go Francuz, a Gaby zamknęła swą walizkę i wzięła ją do ręki.

- Zachowujcie się grzecznie, dzieci - dodała jeszcze Camille i odwróciła się, wycofując do małej kuchni, gdzie coś się gotowało w garnku na żeliwnym piecyku.

- Proszę bardzo. - Michael ruszył do ich nowej kwatery, przepuszczając przodem Gaby.

Zawiasy zaskrzypiały, kiedy Gaby pchnęła drzwi. W środku stało łóżko nakryte białą kołdrą i prosta leżanka z zielonym kocem. Pokój był ciasny, ale czysty. Oprócz świetlika w dachu miał też okno, z którego rozciągał się widok na pijane pastelowe budynki.

Gaby zdecydowanym ruchem położyła walizkę na łóżku. Michael spojrział na leżankę, czując już niemal, jak uwiera go w plecy. Podszedł do okna, otworzył je i wciągnął pełne płuca paryskiego powietrza. Oboje nadal byli tylko w bieliźnie, ale żadnemu z nich nie spieszyło się ani z ubieraniem, ani z rozbieraniem. Gaby położyła się na łóżku i nakryła wykrochmalonym lnianym prześcieradłem. Spojrzała na stojącego w oknie Michaela, przesuując wzrokiem po jego mięśniach, kształtnych plecach i długich, porośniętych czarnymi włosami nogach.

- Odpocznę chwilę - oznajmiła, okryta po szyję prześcieradłem.

- Proszę bardzo.

- W tym łóżku nie ma miejsca dla dwojga - dodała.

- Oczywiście, że nie ma - zgodził się. Rzucił na nią okiem: czarne włosy Gaby, nareszcie uwolnione spod czapki i rozpuszczone, rozlewały się jak misterny wachlarz po poduszce wypchanej gęsim puchem.

- Nawet gdybym się posunęła - ciągnęła Gaby. - Więc będziesz musiał spać na leżance.

- Tak, będę musiał.

Poprawiła się na materacu, który też był wypełniony gęsim puchem. Chłodne prześcieradła pachniały delikatnie goździkami. Michael poczuł ten zapach, gdy tylko weszli do pokoju. Gaby nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo jest zmęczona. Była na nogach od piątej rano, a poprzedniej nocy, oględnie mówiąc, nie spała najlepiej. Dlaczego przyjechała tu z tym człowiekiem? - zapytała się w myślach. Prawie go nie знаła. Zupełnie go nie znała. Kim był dla niej? Zamknęła oczy, a gdy je po chwili otworzyła, zobaczyła, że stoi przy jej łóżku i patrzy na nią. Był tak blisko, że poczuła mrowienie na skórze.

Obnażona noga Gaby wysunęła się spod prześcieradła. Michael przesunął palcami po jej łydce, która od razu pokryła się gęsią skórą. Potem delikatnie ujął jej nogę i wsunął ją pod pachnące prześcieradło. Przez chwilę miała wrażenie, jakby jego palce zostawiły na ciele palące znaki.

- Miłych snów - powiedział, zakładając brązowe spodnie z łatami na obydwu kolanach. Podszedł do drzwi.

Gaby usiadła, przytrzymując prześcieradło pod szyją.

- Dokąd idziesz?

- Po talerz zupy - odparł. - Jestem głodny.

Obrócił się i wyszedł, zamykając delikatnie drzwi za sobą.

Gaby położyła się z powrotem, ale już nie mogła zasnąć. Jej wnętrze pulsowało żarem, nie potrafiła się odprężyć. Pomyślała, że to reakcja po spotkaniu z myśliwcem. Któż byłby w stanie odpoczywać po czymś takim? Mieli szczęście, że przeżyli, a jutro...

No cóż, jutro miało przynieść własne rozstrzygnięcia. Jak wszystkie jutra.

Wysunęła rękę i przyciągnęła leżankę do swojego łóżka. „On nic nie zauważy” - pomyślała. Potem, zadowolona z siebie i ociężała, zamknęła oczy zasypiając, otulona gęsim puchem. Przez kilka minut jej umysł pełen był cieni samolotów i odgłosów wystrzałów. Wszystko to zaczęło się rozmywać, tak jak w świetle dnia znika nocny koszmar. Pograżyła się we śnie.

Michael zsiadł z siodełka zardzewiałego roweru marki „Peugeot” przy miękkim akompaniamencie sprężyn. Oparł rower o uliczną latarnię na skrzyżowaniu rue de Belleville i rue des Pyrenees i spojrzął na zegarek w gęstniejącym zmierzchu. Dziewiąta czterdzieści trzy. Camille powiedziała, że godzina policyjna zaczyna się dokładnie o jedenastej. Od tej chwili włóczy się po ulicach niemiecka żandarmeria - brutalni i bezlitośni dranie. Michael stał z opuszczoną głową i wpatrywał się w zegarek, kiedy Gaby przejechała powoli obok niego, kierując się na południowy wschód rue des Pyrenees. Po chwili znikła w ciemnościach.

W oknach otaczających go budynków, z których większość była niegdyś eleganckimi, ozdobionymi sztukaterią rezydencjami, zaczęły się pojawiać wesołe promyki światła. Nie licząc kilku riksów i dorożek, aleja była pusta. Jadąc krętymi ulicami z Montmartre'u, Michael i Gaby widzieli wielu niemieckich żołnierzy idących bulwarami w hałaśliwych grupach lub siedzących w ulicznych kawiarniach w pozach pijanych lordów. Mijali też ciężarówki przewożące żołnierzy i samochody pancerne przejeżdżające szybko po brukowanych ulicach. Jednak oni sami w swych nowych przebraniach nie przyciągali niczyjej uwagi. Michael miał na sobie połatane spodnie, niebieską koszulę i ciemnobrązowy sztruksowy płaszcz, mocno już sfatygowany, a na nogach powykrzywiane czarne buty. Brązowa czapka dopełniała jego stroju. Gaby była ubrana w czarne spodnie, żółtą bluzkę i rozepchany szary sweter, który maskował schowanego pod nim lugera. To były normalne stroje borykających się z codziennymi trudami obywateli Paryża, których główną troską było raczej zdobycie jedzenia niż rozmyślanie o tendencjach europejskiej mody.

Michael odczekał jeszcze chwilę, potem wsiadł na rower i pojechał za Gaby pomiędzy podstarzałymi, smutnymi kamiennymi pięknościami. Zauważył już po drodze, że większość sztukaterii była uszkodzona. Niektóre elementy zostały wymontowane ze swoich podstaw i zabrane, prawdopodobnie po to, żeby przyozdobić rezydencje nazistów. Michael jechał powoli równym tempem. Minął jadącą w przeciwnym kierunku bryczkę. Kopyta konia klaskały po bruku. Dotarł do tablicy z napisem „rue Tobas” i skręcił w prawo.

Budynki przy tej ulicy stały jeden przy drugim, a w ich oknach widać było niewiele światła. Bogata niegdyś dzielnica rozpaczała teraz woń rozkładu i upadku. Niektóre okna były rozbite i poklejone pasmami papieru, a wiele kutych ozdób kamieniarskich albo się rozpadło, albo zostało zabrane. Widok ten skojarzył się Michaelowi z obrazem baletnicy, której zgrabne kiedyś nogi opuchły i pokryły się nabrzmałymi żyłakami. Przy fontannie stały pozbawione

głów posągi, a w jej basenie nie było wody, tylko śmieci i stare gazety. Na kamiennym murze widniała czarna swastyka i hasło: DEUTSCHLAND SIEGT AN ALLEN FRONTEN - Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach.

„Przekonamy się niedługo” - pomyślał Michael, przejeżdżając obok.

Znał tę ulicę, przestudiował ją dokładnie na planie. Z prawej strony pojawił się szary budynek. Kiedyś była to okazała rezydencja, teraz jednak z chodnika prowadziły do wnętrza popękane kamienne schody. Nie przestając pedałowac, szybko zerknął w górę. W narożnym oknie na drugim piętrze spoza zasłony przeświecało światło. Mieszkanie numer osiem. Tam właśnie był Adam. Michael nie popatrzył na budynek po drugiej stronie ulicy, z którego gestapowcy prowadzili obserwacje, czuł jedynie ich obecność. Na ulicy nie było pieszych, a Gaby już przejechała dalej, żeby zaczekać na niego w pewnej odległości. Michael minął dom Adama, czując, że jest obserwowany. Być może ktoś śledził go z dachu budynku po drugiej stronie. A może z ciemnego okna. Pomyślał, że znalazł się w pułapce na myszy. Adam stanowił przynętę, a koty już oblizywały wąsy.

Przestał pedałowac i swobodnie, tylko z rozpędu, jechał po nierównym bruku. Kątem oka zauważył błysk światła po lewej stronie. Ktoś stojący w bramie przytykał zapałkę do papierosa. Zapałka zgasła i w powietrzu ukazał się obłoczek dymu. „Miau” - pomyślał Michael. Jechał dalej z opuszczoną głową, aż zobaczył z prawej strony wlot wąskiej uliczki. Skręcił w nią, pokonał jeszcze jakieś dwadzieścia stóp i zatrzymał się. Oparł rower o ceglana ścianę i wrócił na piechotę do wychodzącego na rue Tobas wylotu uliczki, przykucnął za pojemnikami na śmieci i zaczął obserwować bramę po drugiej stronie, w której gestapowiec palił papierosa. Małeńkie czerwone kółko rozżarzało się i przygasało w ciemnościach. Michael dojrzał w bramie ubranego w ciemny płaszcz i kapelusz człowieka. Jego sylwetka rysowała się lekko w niebieskawej poświacie.

Minęło jakieś siedem, osiem minut, kiedy uwagę Michaela zwrócił padający z góry promyk światła. Spojrzał w okno na trzecim piętrze. Ktoś właśnie nieco odsunął czarną zasłonę i po paru sekundach znowu ją zaciągnął. Promyk światła zniknął.

Michael przypuszczał, że kilka zespołów gestapo utrzymuje mieszkanie Adama pod całodobową obserwacją. Ze stanowiska na trzecim piętrze widzieli wyraźnie rue Tobas i byli w stanie dostrzec każdą osobę wchodzącą do domu Adama czy też wychodzącą. Prawdopodobnie zainstalowali w jego mieszkaniu urządzenia podsłuchowe i na pewno kontrolowali rozmowy telefoniczne. A więc osoba nawiązująca kontakt z Adamem musiałaby przekazać mu wiadomość, kiedy będzie szedł do pracy, ale jak można było to zrobić z idącymi za nim ślad w ślad gestapowcami?

Michael podniósł się i zaczął cofać w głąb uliczki, nadal patrząc na palącego papierosa mężczyznę. Gestapowiec nie widział go, spokojnie, a nawet ze znużeniem, omiatał wzrokiem ulicę. Michael dał jeszcze dwa kroki do tyłu i poczuł ten zapach.

Woń potu wystraszonego człowieka.

Ktoś był za nim. Ktoś bardzo cichy, ale Michael już słyszał jego cicho świszczący oddech.

Nagle poczuł na kręgosłupie ostrze noża.

- Dawaj pieniądze - usłyszał głos mężczyzny mówiącego po francusku z wyraźnym niemieckim akcentem.

„Złodziej - pomyślał Michael. - Uliczny złodziej”. Nie miał portfela, który mógłby mu oddać, a walcząc z nim mógł potrącić pojemniki ze śmieciami, co przyciągnęłoby uwagę gestapowca. Zdecydował się załatwić to natychmiast. Wyprostował się i zapytał łagodnie po niemiecku:

- Chcesz umrzeć?

Za jego plecami zapadła cisza.

- Powiedziałem... daj mi... - głos załamał się. Złodziej był śmiertelnie wystraszony.

- Zabierz ten nóż z moich pleców - powiedział spokojnie Michael - bo jak nie, to cię zabiję w trzy sekundy.

Minęła sekunda. Dwie. Michael naprężył się, gotów do gwałtownego obrotu. Ostrze noża odsunęło się od jego pleców.

Usłyszał tupot nóg złodzieja uciekającego uliczką w kierunku jej wylotu na rue de la Chine. Przez chwilę miał zamiar dać mu uciec, ale nagle wpadł na pewien pomysł. Obrócił się i pobiegł za złodziejem. Uciekający był szybki, ale niewystarczająco. Zanim zdołał dobiec do rue de la Chine, Michael wyciągnął rękę, chwycił go za brudny płaszcz i szarpnął, niemal wrywając mężczyznę z jego własnych butów. Złodziej, mierzący nie więcej niż pięć stóp i dwa cale wzrostu, obrócił się ze zduszonym przekleństwem i zadał na oślep cios nożem. Michael uderzył go krawędzią dłoni w przegub, wytrącając mu nóż z ręki, po czym chwycił małego człowieczka za ubranie i rąbnął nim o szarą ścianę z cegieł.

Jasnoniebieskie oczy złodzieja, patrzące spod rozczochranej, brudnej czupryny, wyszły z orbit. Michael przytrzymał go za kołnierz jedną ręką, a drugą zakrył mu usta.

- Cisza - szepnął. Gdzieś obok usłyszał rzucającego się do ucieczki kota. - Nie stawiaj oporu - rozkazał po niemiecku. - Nigdzie nie pójdziesz. Chcę ci zadać kilka pytań i usłyszeć od ciebie prawdziwe odpowiedzi. Rozumiesz?

Złodziej skinął głową, drżąc ze strachu.



- W porządku, zdejmę ci teraz rękę z ust, ale jak tylko piśniesz, to złamię ci kark. - Potrzęsnał nim mocno, żeby dodać swym słowom wiarygodności, i odsunął dłoń z jego twarzy.

Złodziej jęknął cicho.

- Jesteś Niemcem? - zapytał Michael. Złodziej skinął głową.

- Dezerterem?

Cisza i znowu skinienie głowy.

- Od jak dawna jesteś w Paryżu?

- Od sześciu miesięcy. Proszę... proszę mnie wypuścić. Nic złego panu nie zrobiłem.

„Potrafił ukrywać się w Paryżu pełnym Niemców przez sześć miesięcy. To dobry znak” - pomyślał Michael.

- Nie jęcz. Co jeszcze robisz poza tym, że próbujesz ludziom wbijać nóż w plecy? Kradniesz chleb z rynku? A może tu i ówdzie jakieś owoce albo pieczywo z półki?

- Tak, tak. Robię to wszystko. Proszę... Nie jestem dobrym żołnierzem. Mam słabe nerwy. Proszę mnie puścić. Dobrze?

- Nie. Okradasz kieszenie?

- Czasami, kiedy muszę. - Oczy złodzieja się zwężyły. - Chwileczkę, a pan kim jest? Chyba nie żandarmem? O co panu chodzi?

Michael zignorował jego pytania.

- Umiesz dobrze kraść z kieszeni?

Złodziej uśmiechnął się, próbując pokazać, jaki jest twardy. Pod maską brudu prawdopodobnie kryła się twarz mężczyzny w wieku od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu lat. Widać było, że Niemcy naprawdę wygarniają ostatnie resztki, żeby zrobić z nich żołnierzy.

- Żyję nadal, nie? Kim pan jest, do cholery? - W jego oczach błysnęła iskra zrozumienia. - Aaa, oczywiście. Podziemie.

- To ja tu zadaję pytania. Jesteś faszystą?

Mężczyzna roześmiał się gorzko i splunął flegmą na bruk.

- A ty lubisz pieprzyć trupy?

Michael uśmiechnął się lekko. Może ten złodziej nie był z nim po tej samej stronie barykady, ale mieli częściowo zbieżne poglądy. Postawił go na ziemi, ale nadal trzymał twardo w ręku jego brudny kołnierz.

Od strony rue de la Chine wjechała rowerem w uliczkę Gaby.

- Hej - szepnęła zaniepokojona - coś nie tak?

- Spotkałem kogoś - powiedział Michael - kto może być dla nas przydatny.

- Ja? Przydatny dla podziemia? - Złodziej zaczął się szarpać i Michael wypuścił z ręki jego kołnierz. - Możecie oboje gnić w piekle i nic to mnie nie będzie obchodzić.

- Na twoim miejscu byłbym ciszej - powiedział Michael, wskazując ręką w kierunku rue Tobas. - Po drugiej stronie ulicy stoi gestapowiec, a w tym budynku może ich być cały rój. Nie wydaje mi się, że chciałbyś zwrócić na siebie ich uwagę, co?

- Pan też nie - odparł złodziej - więc na czym stoimy?

- Mam robotę dla kieszonkowca - powiedział Michael.

- Co? - zdziwiła się Gaby, zsiadając z roweru. - O czym ty mówisz?

- Potrzebuję zręcznych palców - odparł Michael, patrząc uporczywie na złodzieja. - Nie po to, żeby coś ukraść, ale żeby coś włożyć komuś do kieszeni.

- Pan zwariował - powiedział złodziej, robiąc grymas, przez który jego brzydka twarz zrobiła się jeszcze brzydsza. - Może sam zawołam gestapo i zrobię z wami porządek!

- Proszę bardzo - zgodził się Michael.

Złodziej nachmurzył się, popatrzył na Michaela, potem na Gaby i znowu na Michaela. Opuścił ramiona.

- Och, do cholery z tym - mruknął.

- Kiedy jadłeś ostatnio?

- Nie pamiętam, może wczoraj. A co? Serwuje pan piwo i parówki?

- Nie, zupę cebulową. - Gaby aż jęknęła, kiedy usłyszała, co proponuje. - Jesteś na piechotę?

- Mam za rogiem rower - odparł złodziej, wskazując w kierunku rue de la Chine. - Pracuję w tej okolicy na bocznych uliczkach.

- Pojedziesz z nami na wycieczkę. Będziemy jechali po obu twoich stronach i jeżeli zawołasz do jakiegoś żołnierza czy będziesz sprawiał jakiegokolwiek inne kłopoty, to cię zabijemy.

- Dlaczego miałbym dokądkolwiek z wami jechać? I tak mnie pewnie zabijecie.

- Może tak, a może nie - powiedział Michael - ale przynajmniej umrzesz z pełnym żołądkiem. Poza tym... możemy wypracować jakąś umowę finansową. - Zobaczył błysk zainteresowania w oczach złodzieja i od razu się zorientował, że trafił w dziesiątkę. - Jak się nazywasz?

Złodziej milczał, nadal nieufny. Rozejrzał się na boki, jakby się bał, że ktoś go podsłucha.

- Mausenfeld - powiedział. - Arno Mausenfeld. Były kucharz polowy.

„*Maus* to po niemiecku znaczy...” - pomyślał Michael.

- Będę mówił na ciebie „Mysz” - oznajmił. - Ruszajmy, żeby zdążyć przed godziną policyjną.

Rozwścieczona Camille w niczym już nie przypominała miłej starszej pani. Jej oczy pałały gniewem, a twarz pokryła się rumieńcem od podbródka po czoło.

- Żeby przyprowadzić Niemca do mojego domu! - wrzasnęła z furią. - Rozstrzelamy was za zdradę! - Popatrzyła dziko na Michaela, a potem zmierzyła Arna Mausenfelda takim wzrokiem, jakby był czymś, co się jej przyczepiło do podeszwy buta. - Ty! Wynos się! Nie prowadzę schroniska dla faszystowskich włóczęgów.

- Nie jestem faszystą, proszę pani - odparł sztywno, z godnością Mysz. Wyprostował się, jak tylko potrafił, ale nadal był trzy cale niższy od Camille. - Nie jestem też włóczęgą.

- Wynos się! Wynos się, zanim ja... - Camille odwróciła się gwałtownie, podbiegła do szafy i otworzyła ją. W jej ręku ukazał się stary ciężki rewolwer marki „Lebel”. - Rozłupię ci twój brudny łeb! - wrzasnęła, tracąc resztki swego galijskiego wdzięku, i wymierzyła broń w głowę Niemca.

Michael chwycił ją za nadgarstek, podbił rewolwer i wyrwał jej go z dłoni.

- Dość tego, bo sobie sama oberwiesz rękę tym zabytkiem.

- Z rozmysłem przyprowadziłeś faszystę do mojego domu! - szalała Camille, pokazując zęby. - Zniszczyłeś nasz system bezpieczeństwa! Dlaczego?

- Ponieważ może mi pomóc wykonać zadanie - odpowiedział Michael.

Mysz trafił już do kuchni. W świetle żarówki jego ubranie wyglądało na jeszcze bardziej obdarte i brudne.

- Potrzebuję kogoś, kto przekaże wiadomość człowiekowi, z którym chcę się spotkać. To musi być zrobione szybko, bez zwracania niepożądanego uwagi. Potrzebuję kieszonkowca, no i właśnie tu go mam - wskazał w kierunku Niemca.

- Zwariowałeś - powiedziała Camille - jesteś całkowicie niepoczytalny! O mój Boże, mam pod swoim dachem wariata!

- Nie jestem wariatem - wtrącił się Mysz. Patrzył na Camille, podnosząc pokrytą warstwą brudu twarz. - Lekarze orzekli, że z pewnością nie jestem wariatem. - Zdjął pokrywkę z garnka i wciągnął przez nos zapach zupy. - Niezła - powiedział - ale za łagodna. Jeżeli macie paprykę, to mógłbym doprawić.

- Lekarze? Jacy lekarze? - zapytała Gaby.

- Lekarze w wariatkowie - wyjaśnił Mysz. Odsunął brudnymi palcami włosy z oczu, po czym te same palce włożył do garnka. Spróbował zupy. - O tak - powiedział - przydałoby się trochę papryki. Może odrobinę czosnku.

- W jakim wariatkowie? - zapytała Camille piskliwym jak rozstrojony flet głosem.

- W tym, z którego uciekłem - odparł Mysz. Wziął do ręki łyżkę wazową, nabrał trochę zupy i siorbnął z niej głośno. Wszyscy pozostali patrzyli na niego w milczeniu. Camille stała z otwartymi ustami, jakby miała wydać z siebie przeraźliwy krzyk. - To było w takim miejscu po zachodniej stronie miasta - dodał Mysz - dla stukniętych i takich różnych, co postrzelili się sami w nogę. Powiedziałem im, kiedy mnie przyjmowali, że mam słabe nerwy. I co, słuchali mnie? - Rozległo się kolejne hałaśliwe siorbnięcie i zupa pociekła mu po podbródku aż na koszulę. - Nie, nie słuchali. Powiedzieli, że będę w kuchni polowej i że nawet nie zobaczą żadnych akcji bojowych. Ale czy te sukinsyny powiedziały mi cokolwiek o nalotach? Nie! Ani słowa! - Nabrał w usta zupy i przepłukał sobie nią zęby. - Wiecie, że Hitler domalowuje sobie ten wąs? Naprawdę. Ten sukinsyn bez jaj nie potrafi wyhodować sobie nawet wąsa. A w nocy chodzi w damskich ubraniach. Zapytajcie, kogo chcecie.

- O Boże, miej litość nad nami! Faszystowski wariat - jęknęła Camille, której twarz przybrała tę samą barwę co jej siwe włosy. Cofnęła się chwiejnie na nogach, aż Gaby musiała ją podtrzymać, żeby nie upadła.

- Przydałby się cały ząbek czosnku -- powiedział Mysz i cmoknął ustami. - Wtedy to byłby majstersztyk!

- I co teraz zamierzasz zrobić? - Gaby zwróciła się do Michaela. - Będziesz musiał się go pozbyć - stwierdziła, rzucając okiem na trzymany przez niego rewolwer.

Przez chwilę Michael Gallatin czuł się takim głupcem jak rzadko w życiu. Chwycił się słomki i teraz zauważył, że zostało mu w ręce tylko zmięte źdźbło. Mysz z zadowoleniem popijał zupę z warząchwą i rozglądał się po kuchni. Widać było, że czuje się tu jak u siebie w domu. Niemiecki uciekinier ze szpitala psychiatrycznego po szoku doznany w czasie bombardowania nie był zbyt dobrym pomocnikiem w konspiracyjnej akcji, ale na czym jeszcze mógł się wesprzeć? „Niech to cholera weźmie - pomyślał. - Dlaczego nie wypuściłem tego wariata? Trudno było przewidzieć, co mogłoby się stać, gdyby...”

- Mówił pan coś o jakimś finansowym rozwiązaniu, o ile się nie mylę - powiedział Mysz, odkładając warząchew do garnka. - Co pan miał na myśli?

- Monety na oczy, kiedy wrzucimy twojego trupa do Sekwany! - krzyknęła Camille, ale Gaby ją uciszyła.

Michael zawahał się: czy ten człowiek był bezużyteczny, czy nie? Być może nikt inny, tylko wariat ośmieliłby się zrobić to, co Michael chciał mu zaproponować. Wiedział, że będą mieli tylko jedną szansę i jeżeli Mysz popełni błąd, to wszyscy mogą przypłacić to życiem.

- Pracuję dla brytyjskiej Secret Service - powiedział cicho. Mysz nadal rozglądał się beztrosko po kuchni, a Camille jęknęła, znowu bliska omdlenia. - Gestapo obserwuje naszego agenta. Muszę przekazać mu pewną informację.

- Gestapo - powtórzył Mysz. - To wredne sukinsyny. Wie pan, oni są wszędzie.

- Tak, wiem. Dlatego potrzebuję twojej pomocy. Mysz popatrzył na niego, mrugając oczami.

- Ja jestem Niemcem.

- To też wiem, ale nie jesteś nazistą i nie chcesz wracać do szpitala, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. - Popatrzył na garnek i popukał w jego dno. - Jedzenie w szpitalu jest okropne.

- Nie sądzę też, że chcesz dalej prowadzić życie złodzieja - ciągnął Michael. - To, o co cię poproszę, zajmie ci może dwie sekundy, jeżeli jesteś chociaż jakim takim kieszonkowcem. Jeżeli nie, to gestapo zwinie cię wprost z ulicy. W takim przypadku będę musiał cię zabić.

Mysz patrzył na Michaela swoimi zaskakująco błękitnymi na tle brudnej twarzy oczami. Odstawił garnek.

- Dam ci złożoną karteczkę - powiedział Michael. - Będziesz musiał ją umieścić w kieszeni płaszcza człowieka, którego ci opiszę i wskażę na ulicy. To musi być zrobione szybko i ma tak wyglądać, jakbyś po prostu przypadkiem na niego wpadł. Dwie sekundy, nie dłużej. Naszego człowieka śledzą agenci gestapo, prawdopodobnie obserwują go na całej trasie. Wszystko, co by wyglądało chociaż troszkę podejrzanie, ściągnie ci ich na kark. Moja przyjaciółka - wskazał ruchem głowy Gaby - i ja będziemy w pobliżu. Jeżeli coś się popsuje, to spróbujemy ci pomóc. Ale najważniejszy jest dla mnie nasz agent. Oznacza to, że w razie gdybym musiał cię zastrzelić razem z gestapowcami, nie zawaham się tego zrobić.

- Nie wątpię - mruknął Mysz. Wziął jabłko z ceramicznej miski, obejrzał, czy nie ma robaków, i wbił w nie zęby. - Hm, jesteś z Wielkiej Brytanii? - zapytał pomiędzy kęsami. - Gratulacje. Twój niemiecki jest bardzo dobry. - Rozejrzał się po schludnej kuchni. - Nie spodziewałem się, że tak wygląda podziemie. Myślałem, że to banda Francuzów ukrywających się w kanałach ściekowych.

- Zostawiamy kanały dla takich jak ty - warknęła nadal wzburzona Camille.

- Dla takich jak ja? - powtórzył Mysz, kręcąc głową. - Och, proszę pani, my mieszkamy w kanałach od trzydziestego ósmego roku. Karmią nas gównem od tak dawna, że

już nam zaczyna smakować. Byłem w armii dwa lata, cztery miesiące i jedenaście dni. Wielki patriotyczny obowiązek, tak mówili, szansa rozszerzenia Rzeszy i zbudowania nowego świata dla wszystkich właściwie myślących Niemców! Tylko czyści sercem i silni krwią... No, znacie to. - Skrzywił się, natrafiwszy na kwaśny kawałek jabłka. - Nie wszyscy Niemcy są nazistami - powiedział cicho. - Ale naziści mają najmocniejsze gardła i największe pały i udało im się wybić ludziom w moim kraju rozsądek z głów. Więc tak, my znamy kanały, proszę pani. Znamy je naprawdę dobrze. - Jego oczy płonęły wewnętrznym ogniem. Odrzucił ogryzek do koszyka i przesunął wzrok na Michaela. - Ale nadal jestem Niemcem, proszę pana. Może jestem niepoczytalny, ale kocham swoją ojczyznę, a może kocham wspomnienie swojej ojczyzny zamiast rzeczywistości. Więc dlaczego miałbym pomagać wam robić cokolwiek, co może prowadzić do śmierci moich rodaków?

- Proszę cię tylko, byś pomógł mi zapobiec zabijaniu moich rodaków. Być może całych tysięcy, jeżeli nie zdołam dotrzeć do tego człowieka.

- O tak - skinął głową Mysz. - Oczywiście to ma związek z inwazją.

Niech nas Bóg wszystkich pokarze - jęknęła Camille. -

Jesteśmy zgubieni!

- Każdy żołnierz wie, że inwazja jest coraz bliżej - powiedział Mysz. - To żadna tajemnica. Tylko nikt nie wie, jeszcze nie wie, kiedy nastąpi ani gdzie. Ale jest nieunikniona i nawet my, tępi kucharze polowi, to wiemy. Jedno jest pewne: kiedy Brytyjczycy i Amerykanie już raz zaczną marsz od wybrzeża, to żaden cholerny Wał Atlantycki ich nie powstrzyma. Będą maszerowali aż do Berlina. Modłę się tylko do Boga, żeby dotarli tam wcześniej niż ci przekłęci Rosjanie.

Michael nie skomentował tego. Rzeczywiście, od 1943 roku Rosjanie, walcząc zażarcie, parli na zachód.

- W Berlinie mam żonę i dwoje dzieci - westchnął Mysz, przeciągając dłonią po twarzy. - Mój najstarszy syn... miał dziewiętnaście lat, kiedy poszedł na wojnę. I to nie gdzie indziej, tylko na front wschodni. Nie ubierali nawet tyle jego resztek, żeby je nam odesłać w pudełku. Przysłali mi jego medal. Powiesiłem go na ścianie, bardzo ładnie na niej błyszczą. - Jego zwilgotniałe przez chwilę oczy znowu stwardniały. - Jeżeli Rosjanie zdobędą Berlin, moja żona i dzieci... nie, nie dojdzie do tego. Zostaną powstrzymani na długo przedtem, zanim dotrą do granic Niemiec.

Ostatnie zdanie wypowiedział w taki sposób, że było wyraźnie widać, iż nie wierzy we własne słowa.

- Możesz pomóc zakończyć szybciej tę wojnę, robiąc to, o co cię proszę - powiedział Michael. - Od wybrzeży Francji do Berlina jest daleka droga.

Mysz nie zareagował, patrzył tylko w przestrzeń ze zwieszonymi bezwładnie rękami.

- Ile chcesz pieniędzy? - spróbował Michael. Mysz milczał.

- Chcę jechać do domu - odpowiedział cicho po chwili.

- W porządku, ile pieniędzy na to potrzebujesz?

- Nie. Nie pieniędzy - popatrzył na Michaela. - Chcę, żebyście zawieźli mnie do Berlina. Do mojej żony i dzieci. Odkąd wyszedłem ze szpitala, szukam sposobu na to, żeby wydostać się z Paryża. Nie mogłem się oddalić nawet o dwie mile od miasta, żeby nie napotkać patrolu. Wy potrzebujecie kieszonkowca, a ja potrzebuję eskorty. Na taki układ mogę się zgodzić.

- Wykluczone - sprzeciwiła się Gaby. - To nie wchodzi w grę!

- Poczekaj - rzucił stanowczym tonem Michael. Niezależnie od żądań Niemca i tak zamierzał podjąć próbę dotarcia do Berlina, żeby skontaktować się z agentką o pseudonimie „Echo” i odszukać myśliwego, który doprowadził do zamordowania hrabiny Margritty. Ciągle miał w pamięci fotografię Harry'ego Sandlera stojącego z uśmiechem nad zabitym lwem. - Jak mógłbym cię tam przewieźć?

- To twoje zmartwienie - powiedział Mysz. - Ja się mam zająć włożeniem kawałka papieru do kieszeni jakiegoś człowieka. Zrobię to i w dodatku zrobię to bezbłędnie, ale chcę dostać się do Berlina.

Teraz Michael z kolei musiał zastanowić się w milczeniu. Przedostanie się samemu do Berlina - to jedno, ale przewiezienie tam uciekiniera ze szpitala psychiatrycznego - to już coś zupełnie innego. Instykt, który rzadko się mylił, podpowiadał mu, żeby się na to nie zgodził. Jednak nie miał wielkiego wyboru, musiał zdać się na to, co przyniesie los.

- Zgoda - oświadczył.

- Ty też zwariowałeś! - wrzasnęła Camille. - Jesteś taki sam wariat jak i on! - Jej głos nie brzmiał już tak ostro jak poprzednio, gdyż zorientowała się, że w tym szaleństwie jest jakaś metoda.

- Wyruszamy jutro rano - powiedział Michael. - Nasz agent opuszcza swoje mieszkanie trzydzieści dwie minuty po ósmej. Dojście do pracy zajmuje mu około dziesięciu minut. Wybiorę na mapie miejsce, gdzie ta robota ma być wykonana. Dzisiaj przenocujesz tutaj.

Camille znowu chciała energicznie protestować, ale zauważyła, że nie ma to żadnego sensu.



- Będzie spał na podłodze - rzuciła. - Nie pozwolę, żeby brudził mi pościel!
- Będę spał tutaj. - Mysz wskazał na podłogę w kuchni. - Mogę zgłodnieć w nocy.

Camille odebrała od Michaela swój rewolwer.

- Jeżeli usłyszę tutaj jakiś hałas, to zabiję.
- W takim razie, proszę pani - odezwał się Mysz - uprzedzam panią, że chrapię.

Nadeszła pora spoczynku. Nazajutrz czekał ich wszystkich ciężki dzień. Michael ruszył w kierunku łazienki, ale Mysz go zatrzymał.

- Hej, poczekaj, w którą kieszeń mam włożyć ten papier, w wewnętrzną czy zewnętrzną?

- Wystarczy w zewnętrzną. Ale w wewnętrzną byłoby lepiej.

- Więc będzie w wewnętrzną - powiedział Mysz, biorąc z miski kolejne jabłko i wbijając w nie zęby. Rzucił okiem na Camille. - Ktoś mi zaproponuje trochę zupy czy mam do rana umrzeć z głodu?

Mruknęła coś wrogo, otworzyła szafkę i wyjęła dla niego talerz.

W sypialni Michael zdjął czapkę i koszulę, usiadł na brzegu łóżka i zaczął studiować mapę Paryża przy świetle białej świecy. Druga świeca płonęła po przeciwnej stronie łóżka. Michael spojrzał na cień rozbierającej się Gaby na ścianie. Kiedy odgarnęła do tyłu włosy, poczuł ich przypominający jabłkowe wino zapach. „Trzeba to przeprowadzić gdzieś w pół drogi pomiędzy domem Adama a biurem” - postanowił, wracając do mapy. Znalazł odpowiednie miejsce i zaznaczył je na planie paznokciem. Znowu podniósł głowę, by spojrzeć na cień Gaby.

Poczuł włosy pojawiające mu się na plecach wzdłuż kręgosłupa. Następnego dnia mieli znaleźć się w niebezpieczeństwie, być może nawet na krawędzi śmierci. Serce zabiło mu mocniej. Patrzył na cień Gaby, kiedy zaczęła zdejmować spodnie. Jutro mogło przynieść śmierć i zniszczenie, ale dzisiaj żyli...

Znowu poczuł delikatny zapach goździków, kiedy Gaby odgarnęła prześcieradło i wsunęła się do łóżka. Złożył mapę Paryża i odłożył ją na bok, obrócił się i popatrzył na Gaby. Światło świecy migotało w jej szafirowych oczach. Czarne włosy spoczywały na poduszce, a prześcieradło ledwie zakrywało piersi. Odwzajemniła mu się spojrzeniem, czując przyspieszające bicie serca, i opuściła prześcieradło o ułamek cala. Michael zrozumiał, że to gest zaproszenia.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie w kąciki ust. Gaby rozchyliła wargi, więc odpowiedział jej głębokim, ognistym pocałunkiem. Trwali nim złączeni, aż Michaelowi

wydało się, że niemal słyszy syk unoszącej się z ich ciał pary. Usiłowała go przytrzymać ustami, ale on cofnął się i popatrzył na nią.

- Nic nie wiesz o mnie - powiedział cicho. - Po jutrzejszej akcji może nigdy już się nie zobaczymy.

- Wiem... chcę być dzisiaj twoja - odparła Gaby. - I chcę, żebyś ty dzisiaj był mój.

Przyciągnęła go mocniej do siebie, a on odgarnął na bok prześcieradło. Była naga, a jej ciało prężyło się w oczekiwaniu. Objęła go ramionami za szyję i znowu zaczęli się całować. Michael opuścił ręce, rozpiął pas i rozebrał się. Cień przywierających do siebie ciał poruszał się w świetle świeczki na ścianie.

Poczuła język przesuwający się po jej szyi; był to tak delikatny i tak jednocześnie intensywny dotyk, że aż jęknęła. Po chwili przesunął głowę niżej i jego język znalazł się pomiędzy jej piersiami. Chwyciła go za włosy, kiedy zaczął zataczać językiem powolne, precyzyjne okrążenia. Czowała w swoim wnętrzu coraz gorętszy i mocniejszy puls. Michael zauważył, że Gaby drży. Mając w ustach smak jej ciała, powędrował w dół brzucha, tam gdzie między udami widniały ciemne włosy.

Zaczął drażnić ją w tym miejscu językiem, aż Gaby wygięła całe ciało, zaciskając zęby, żeby stłumić jęk. Delikatnie operując palcami, otworzył ją jak różowy kwiat. Poruszał językiem w górę i w dół w miejscu, do którego zawiodło go jej ciało. Gaby jęknęła, poddając się pieszczotom, i już chciała wyszeptać jego imię, kiedy uświadomiła sobie, że go nie zna, że nigdy go nie pozna. Jednak teraz wystarczył jej ten moment, to odczucie i ta radość. Miała wilgotne oczy i równie wilgotne centrum swego pożądania. Michael obsypał gorącymi pocałunkami nasadę jej szyi, potem zmienił pozycję i łagodnie wsunął się w nią.

Był duży, ale jej ciało było przygotowane na jego przyjęcie. Wypełnił ją aksamitnym gorącem, a ona położyła mu dłonie na barkach, czując grające mu pod skórą mięśnie.

Michael, oparty na dłoniach i palcach nóg, zanurzał się głęboko i poruszał powoli biodrami, aż Gaby zaczęła jęczeć, chwytając pośpiesznie oddech. Ich splecione ciała poruszały się jednym rytmem, oddalały się i znowu przyciskały do siebie. Potężne ruchy Michaela formowały ciało Gaby jak plastelinę, poddawała się cała sile jego mięśni. Jego nerwy, ciało i krew wznosiły pieśń zlewającą się w symfonię wrażeń, zapachu i dotyku. Z pogniecionych prześcieradeł unosiła się woń goździków, a Gaby, oddychając ciężko, roztaczała intensywny zapach pożądania. Włosy miała wilgotne, a pomiędzy jej piersiami zalśniły krople potu. W jej oczach pojawił się wyraz rozmarzenia, patrzyła gdzieś w głąb siebie, a nogami przytrzymywała jego biodra, aby utrzymać go w sobie, gdy ją kołysał delikatnymi ruchami. Po pewnym czasie Michael znalazł się na plecach, a ona usiadła na nim. Umieściła swe ciało

na jego twardej męskości. Zamknęła oczy, czarne włosy spadały z jej ramion jak wodospad. Uniósł biodra razem z nią, a ona pochyliła się do przodu i wyszeptała te dwa czułe słowa, które nie znaczyły nic poza tym, że wyrażały przelotną ekstazę.

Michael znalazł się znowu nad nią. Odrzuciła ręce do tyłu, chwytając dłońmi żelazną ramę łóżka. Starli się najpierw gwałtownie ze sobą, a potem zaczęli się poruszać łagodnym rytmem.

Ich ruchy przemieniły się w taniec pożądania, balet jedwabiu i żelaza, u którego kulminacji Gaby krzyknęła, nie dbając o to, czy ktoś może ją usłyszeć. Michael też przestał się kontrolować. Jego plecy wygięły się pod pulsującymi dłońmi dziewczyny i napięcie uszło z niego w kilku oszołamiających wybuchach.

Gaby odpływała jak biały statek z wydętymi przez wiatr żaglami, kierowany mocnymi dłońmi spoczywającymi na kole sterowym. Rozluźniła się w jego objęciach. Leżeli potem razem, oddychając jednocześnie, gdy w odległej katedrze zegar zaczął wybijać północ.

Nieco przed świtem Michael odgarnął włosy z twarzy Gaby, pocałował ją w czoło, wstał ostrożnie, żeby jej nie obudzić, i podszedł do okna. Popatrzył na Paryż w świetle wschodzącego słońca, które dopiero zaznaczało się różowym marginesem na ciemnoniebieskim niebie. W kraju Stalina było już jasno, a teraz palące oko słońca podnosiło się również nad terytorium Hitlera. Zaczynał się dzień, dla którego przyjechał tu z Walii. W ciągu dwudziestu czterech godzin dostanie pożądane informacje albo nie będzie żył. Wciągnął w płuca poranne powietrze, czując na swoim ciele zapach Gaby.

„Żyj wolny - pomyślał. - Ostatni rozkaz nieżyjącego króla”.

Chłodne, rzeńskie powietrze przypomniało mu las i Biały Pałac sprzed wielu lat. Były to wspomnienia wywołujące w nim gorączkę, której nic nie mogło ugasić: ani kobieta, ani miłość, ani żadne miasto zbudowane przez człowieka. Skóra zaswędziała go, jakby ukłuta setkami igieł. Obudziła się w nim dzika przemiana: szybka i potężna. Czarne włosy wytrysnęły mu pasmami na plecach, zbiegły w dół na uda i rozprzestrzeniły się po łydkach. Poczul wilczą woń dobywającą się z jego ciała. Czarne włosy, miejscami przeplatane siwymi, wychyły mu na ramionach i wystrzeliły po zewnętrznych stronach dłoni. Drżały, gładkie i żywe. Uniósł prawą dłoń, patrząc na jej przemianę. Palec po palcu pokrywał się czarnymi włosami, które otoczyły mu nadgarstek i zaczęły pięć się dalej po przedramieniu. Dłoń także zmieniała kształt. Palce zginały się do wewnątrz z trzaskaniem kości i chrząstek, paraliżując nerwy i wyciskając mu krople potu na twarzy. Dwa palce już prawie zniknęły, a w ich miejsce pojawiały się coraz wyraźniej czarne szpony. Kręgosłup Michaela wyginał się z cichymi trzaśnięciami ściskanych kręgow.

- Co to?

Michael opuścił rękę i ukrył ją za sobą, czując ukłucie w sercu. Obrócił się. Gaby siedziała na łóżku z podpuchniętymi od snu oczami.

- Co się stało? - zapytała sennym, ale nie pozbawionym niepokoju głosem.

- Nic - odparł. Jego głos zabrzmiał jak chrapliwy szept. - Wszystko w porządku, śpij dalej.

Zamrugała powiekami i położyła się z powrotem, okrywając nogi prześcieradłem. Pasma czarnych włosów na plecach i udach Michaela zaczęły niknąć, chowając się w ulegającym jego woli wilgotnym ciele.

- Przytul mnie, dobrze? - poprosiła Gaby.

Odczekał jeszcze kilka sekund i uniósł prawą rękę; palce znowu miały ludzki kształt, a resztki wilczych włosów zniknęły z nadgarstka i przedramienia, cofając się pod skórę z lekkimi ukłuciami. Wciągnął jeszcze jeden głęboki oddech i poczuł, że rozkurcza mu się kręgosłup. Znowu stał całkowicie wyprostowany, pragnienie przemiany opuściło go.

- Och, oczywiście - powiedział do Gaby i wsunął się do łóżka, obejmując ją prawą, znowu całkowicie ludzką ręką.

Wtuliła głowę w jego ramię i powiedziała sennym głosem:

- Czuję zapach mokrego psa.

Uśmiechnął się lekko, a Gaby zaczęła głębiej oddychać i znowu zasnęła. Za oknem rozległo się pianie koguta. Noc się kończyła i nadchodził sądny dzień.

- Jesteś pewien, że możesz mu zaufać? - zapytała Gaby Michaela, kiedy jechali powoli na rowerach rue des Pyrenees.

Obserwowali Mysz - małego człowieczka w brudnym płaszczu, mijającego ich na obdrapanym rowerze i zdążającego na północ, w kierunku skrzyżowania z rue de Menilmontant, gdzie miał skręcić w lewo i udać się ku avenue Gambetta.

- Nie - odpowiedział - ale już niedługo przekonamy się co do tego. - Dotknął ukrytego pod płaszczem lugera i skręcił w boczną uliczkę, a Gaby podążyła tuż za nim.

Pogodny świt okazał się fałszywym zwiastunem dnia, gdyż teraz ołowiane chmury sunęły po niebie, a chłodny wiatr zamiatał ulice. Michael spojrzął na swój kieszonkowy zegarek: dwadzieścia dziewięć po ósmej. Za trzy minuty Adam jak zwykle opuści swój dom. Przejdzie rue Tobas do avenue Gambetta, gdzie skręci na północny wschód, kierując się do szarego kamiennego budynku przy rue de Belleville, z nazistowskimi flagami powiewającymi na frontonie. Kiedy Adam przybliży się do skrzyżowania avenue Gambetta i rue St. Fargeau, Mysz musi być na swoim stanowisku.

Michael obudził go o piątej trzydzięci. Camille niechętnie podała im wszystkim śniadanie, a Michael opisał Adama, powtarzając to samo tyle razy, aż był pewien, że Mysz będzie w stanie go rozpoznać. O tej porze dnia ulice były nadal senne. Mijali niewielu rowerzystów i pieszych zdążających do pracy. W kieszeni Myszy spoczywała złożona karteczka z zapisanymi na niej słowami: „Twoja łoża. Opera. Trzeci akt dziś wieczorem”.

Wyjeżdżając z bocznej uliczki na rue de la Chine, Michael omal nie zderzył się z dwoma idącymi razem niemieckimi żołnierzami. Gaby skręciła gwałtownie, by ich minąć. Jeden z żołnierzy zawołał coś za nią i zagwizdał. Gaby czuła jeszcze między udami wilgotne wspomnienie ostatniej nocy. Stanęła nonszalancko na pedałach i poklepała się po tyłku, mówiąc w ten sposób Niemcowi, żeby ją tam pocałował. Obydwaj żołnierze zaśmiali się, cmokając ustami.

Koła rowerów trzęsły się dalej na kamieniach bruku. Michael skręcił w uliczkę, na której poprzedniej nocy spotkał Mysz. Zgodnie z planem Gaby pojechała dalej na południe rue de la Chine.

Michael zatrzymał rower jakieś trzydzięci pięć stóp przed miejscem, w którym uliczka wychodziła na rue Tobas, i zaczął wpatrywać się przed siebie. W perspektywie uliczki pojawił się ciemnowłosy mężczyzna. Szedł przygarbiony w kierunku przeciwnym do

oczekiwanego. To z pewnością nie Adam. Michael spojrzął na zegarek: ósma trzydzieści jeden. Chwilę potem przeszła ulicą para zatopiona w ożywionej rozmowie. „Zakochani” uznał. Mężczyzna miał ciemną brodę. To nie Adam. Następnie przejechała dorożka i ulica wypełniła się stukotem końskich kopyt. Pojawiło się kilku rowerzystów. Kręcili niespiesznie pedałami. Później Michael zobaczył wóz z mlekiem; woźnica ochryłym głosem nawoływał klientów. W końcu w wylocie uliczki przesunął się mężczyzna w długim brunatnym płaszczu. Trzymał ręce w kieszeniach i szedł w stronę avenue Gambetta. Miał wysportowaną sylwetkę, a jego nos przypominał dziób orła. Nie był Adamem. Na głowie miał czarny skórzany kapelusz z piórkiem za opaską. „Tak samo jak gestapowiec na drodze” - przypomniał sobie Michael.

Mężczyzna w kapeluszu zatrzymał się nagle na wprost wylotu uliczki. Michael przywarł plecami do ściany, chowając się za stosem połamanych skrzynek. Gestapowiec rozejrzał się, stojąc tyłem do Michaela, po czym rzucił przelotnie okiem w uliczkę w sposób świadczący o tym, że robi to już nie pierwszy raz. Następnie zdjął kapelusz, stał z niego nie istniejącą plamkę, włożył go z powrotem na głowę i ruszył w kierunku avenue Gambetta. „To sygnał - domyślił się Michael - prawdopodobnie adresowany do kogoś znajdującego się dalej na ulicy”.

Nie miał już jednak czasu na domysły. Po kilku sekundach wylot uliczki minął szczypty blondyn w szarym płaszczu, z czarnym neseserem w ręku i w okularach w drucianej oprawce. Serce Michaela zabiło żywiej. Adam był punktualny.

Michael odczekał jeszcze około pół minuty i wtedy zobaczył kolejnych dwóch mężczyzn, podążających w tę samą co Adam stronę. Szli w odstępach kilku kroków jeden od drugiego. Pierwszy z nich miał na sobie brązowy garnitur i fedorę na głowie, a drugi ubrany był w beżową marynarkę, sztruksowe spodnie i brązowy beret. W ręku trzymał gazetę, w której - jak domyślał się Michael - z pewnością był ukryty pistolet.

Michael dał im jeszcze kilka sekund, potem nabrał głęboko powietrza w płuca i wyjechał rowerem na rue Tobas. Skręcił w prawo ku avenue Gambetta i ujrzał wszystko jak na dłoni: mężczyzna w skórzanym kapeluszu posuwał się szybkim krokiem daleko z przodu po lewej stronie ulicy, Adam z kolei szedł prawą stroną, za nim podążał mężczyzna w garniturze, a dalej jeszcze człowiek z gazetą.

„Niezła i dobrze pomyślana parada” - uznał Michael. Prawdopodobnie na avenue Gambetta czekali kolejni gestapowcy. Odbywali ten rytuał przynajmniej dwa razy dziennie, odkąd namierzili Adama, i być może monotonia tej czynności przytępiła ich spostrzegawczość. Być może. Michael jednak zbyt na to nie liczył. Wyprzedził człowieka z

gazetą, pedałuąc w równym tempie. Jakiś inny rowerzysta wyminął go, naciskając ze złością na trąbkę. Michael wysunął się przed mężczyznę w garniturze. Według planu - Gaby miała być teraz około stu jardów z tyłu z zadaniem wsparcia Michaela, gdyby sprawy przybrały niepomysłny obrót.

Adam zbliżył się do skrzyżowania rue Tobas i avenue Gambetta, rozejrzał na obie strony, zatrzymał się, by przepuścić ciężarówkę, i przeszedł na drugą stronę ulicy, kierując się na północny wschód. Michael pojechał za nim i po chwili zobaczył, że mężczyzna w skórzanym kapeluszu wchodzi w bramę i natychmiast z tej samej bramy wychodzi inny agent gestapo, w ciemnopopielatym garniturze i dwukolorowych butach. Nowy agent ruszył do przodu, rozglądając się powoli na wszystkie strony. Nieco dalej, przy skrzyżowaniu rue de Belleville i avenue Gambetta, stał szary budynek, na którym powiewały nazistowskie flagi.

Michael przyspieszył nieco i wyprzedził Adama. Z przeciwka zbliżał się ktoś na zdezelowanym rowerze, przednie koło pojazdu biło na boki. Michael zczekał, aż znajdzie się niemal oko w oko z Myszą, i wtedy skinął szybko głową. Zobaczył błyszczące i wilgotne od strachu oczy złodzieja, ale już nie można było przerwać akcji, zadanie musiało być wykonane teraz albo nigdy. Michael minął Mysza, zostawiając go samemu sobie.

Widząc skinienie Michaela, dezterter poczuł przeszywające mu wnętrzości ostrze skrajnego przerażenia. Dlaczego zgodził się zrobić coś takiego? Nie mógł tego zrozumieć. Nie, nieprawda, dobrze wiedział, dlaczego na to przystał. Chce jechać do domu, do żony i dzieci, a to jedyny sposób, żeby tego dokonać...

Zobaczył, jak mężczyzna w dwukolorowych butach rzuca mu ostre spojrzenie, a potem odwraca wzrok. Jakieś dwadzieścia stóp za nim szedł blondyn w okrągłych okularach, to jego rysopis miał wbity do głowy. Jeszcze dalej zobaczył zbliżającą się ciemnowłosą kobietę, powoli kręciła pedałami roweru. Poprzedniej nocy robiła tyle hałasu, że nawet nieboszczykowi by stanął.

O Boże, jak tęsknił za swoją żoną!

Ubrany w szary płaszcz blondyn z czarnym neseserem zbliżał się już do skrzyżowania z rue St. Fargeau. Mysza nadusił nieco mocniej na pedały, by zająć odpowiednią pozycję. Serce biło mu jak oszalałe. Nagły podmuch wiatru omal nie przewrócił go razem z rowerem. W prawej dłoni Mysza ścisnął złożoną karteczkę. Blondyn zszedł z krawężnika i zaczął przechodzić przez rue St. Fargeau. „Boże, dopomóż mi” - pomyślał Mysza ze ściągniętą przerażeniem twarzą. Tuż obok niego przejechała riksza, krzyżując mu szyki. Przednie koło roweru zatrzęsło się tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a popękałyby szprychy. Blondyn był już prawie na przeciwległym krawężniku, więc Mysza zacisnął zęby i zarzucił rowerem w

prawo. Runął na bok, ocierając się barkiem o rękę blondyna, a koła roweru pośliznęły się po bruku i uderzyły o brzeg krawężnika. Upadając, wyciągnął przed siebie obydwie ręce, jakby chciał przytrzymać się powietrza. Jego prawa dłoń śmignęła pomiędzy fałdy płaszcza blondyna; wyczuł dotykiem połataną wełnianą podszewkę oraz krawędź kieszeni i rozchylił palce. Niemal w tym samym momencie uderzył ciałem w krawężnik, aż zabrakło mu tchu w płucach. Jego prawa dłoń mokra od potu była pusta.

Blondyn przeszedł trzy kroki, obrócił się, spojrzał na leżącą na ziemi postać w łachmanach i zatrzymał się.

- Nic panu nie jest? - zapytał po francusku.

Mysz uśmiechnął się tylko głupkowato i zamachał rękami.

Blondyn odwrócił się i zaczął odchodzić, kiedy Mysz zobaczył, że wiatr rozchyła połę jego płaszcza i porywa spomiędzy nich mały skrawek papieru. Jęknął przerażony. Papier podfrunął jak motyl i Mysz wyciągnął rękę, aby go chwycić, ale biały skrawek przeleciał obok niego, wylądował na chodniku i przesunął się po nim parę cali. Mysz znowu wyciągnął rękę, czując, jak pot oblewa mu kark. Nagle ciemnobrązowy wypolerowany but przydeptał mu palce, przygniatając je do ziemi.

Mysz podniósł oczy, nadal głupkowato się uśmiechając. Stojący nad nim mężczyzna był ubrany w ciemnobrązowy garnitur i miał na głowie fedorę. On też się uśmiechał. Jednak jego twarz była surowa, a oczy i wąskie usta - nienawykłe do uśmiechu. Gestapowiec podniósł z chodnika karteczkę i rozłożył ją.

Jadąca nie dalej niż trzydzieści stóp od nich Gaby zwolniła, kładąc rękę na kolbie ukrytego pod swetrem lugera.

Mężczyzna w brązowym garniturze spojrzał na kartkę. Gaby zaczęła wyciągać lugera spod paska, zauważywszy, że gestapowiec w berecie przyspiesza w kierunku swojego kolegi, trzymając gazetę w obydwu rękach.

- Niech pan mi da trochę pieniędzy, proszę pana - powiedział Mysz najlepszą francuszczyzną, na jaką potrafił się zdobyć. Głos mu drżał.

- Ty brudny sukinsynu. - Mężczyzna w brązowym garniturze zgniótł papier w rękę. Mogę ci dać, ale kopniaka w jaja. Patrz, gdzie jeździsz tym gratem. - Rzucił paperek do rynsztoka, pokręcił głową do swojego kolegi i obydwaj ruszyli za blondynem.

Mysz poczuł, że robi mu się niedobrze. Oszołomiona Gaby zdjęła dłoń z kolby lugera i skręciła rowerem w rue St. Fargeau.

Mysz podniósł lewą ręką z rynsztoka zgnieciony kawałek papieru i rozwinął go bolącymi palcami. Mrugając ze zdziwienia, przeczytał napisany po francusku tekst:



„Niebieski garnitur, brak środkowego guzika. Białe koszule: lekkie krochmalenie. Kolorowe koszule bez krochmalenia. Zostawić dodatkowy kołnierzyk”.

To była lista z pralni. Mysz domyślił się, że musiała być w wewnętrznej kieszeni blondyna i wysunęła się stamtąd, gdy on umieszczał w niej kartkę z informacją.

Roześmiał się przytłumionym głosem i poruszył prawą dłonią. Nie miał złamanych palców, chociaż dwa paznokcie już zabarwiły się na fioletowo.

„Zrobiłem to - pomyślał, a łzy napłynęły mu do oczu - na Boga, zrobiłem to!”

– Wstawaj, szybko - ponaglił go Michael, który zawrócił i teraz stał okrakiem nad ramą roweru kilka stóp od niego. - No, wstawaj! - Spojrzał w kierunku avenue Gambetta i zobaczył, że Adam i jego gestapowscy opiekunowie dochodzą już do budynku niemieckiego urzędu przy rue de Belleville.

- Zrobiłem to - wyrzucił z siebie z podnieceniem Mysz. - Naprawdę to zrobiłem.

- Weź swój rower i jedź za mną. Już - polecił Michael i odjechał w kierunku umówionego wcześniej miejsca spotkania przed budynkiem, na którego ścianie widniał napis głoszący: „Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach”.

Mysz podniósł się z rynsztoka, drząc na całym ciele, wsiadł na klekoczący rower i ruszył w ślad za nim. Być może był zdrajcą i zasługiwał na powieszenie, ale jego myśli wypełnił rozkwitający jak wiosenny kwiat obraz rodzinnego domu.

W operze wystawiano „Toscę” - opowieść o skazanych na klęskę kochankach. Michael i Gaby jechali avenue de l'Opéra poobijanym niebieskim citroenem ku wielkiej budowli, wznoszącej się przed nimi jak wykuty w skale monolit. Siedzący za kierownicą Mysz był już wyraźnie czystszy, gdyż wcześniej tego wieczoru wziął kąpiel i ogolił się. Mimo to jego oczy były nadal zapadnięte, a głębokie zmarszczki znaczyły mu twarz. Chociaż miał zaczesane do tyłu i nasyczone pomadą włosy i dzięki uprzejmości Camille był porządnie ubrany, to w żaden sposób nie można go było wziąć za czystej krwi dżentelmena. Michael w szarym garniturze siedział na tylnym siedzeniu obok Gaby, która miała na sobie granatową sukienkę kupioną po południu na boulevard de la Chapelle. Kolor sukienki harmonizował z barwą oczu Gaby i Michael pomyślał, że jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie spotkał w życiu.

Przejaśniło się i na niebie zabłyśły gwiazdy. W miękkim świetle lamp ulicznych budynek opery, z majestatycznymi kolumnami, płaskorzeźbami, kwiatonami i frontonem w odcieniach od jasnoszarego do morskozielonego, dumnie się opierał upływowi czasu i nie sprzyjającym okolicznościom. Pod kopułą sklepienia, na którego szczycie stał wielki posąg Apolla z lirą, a na skrajach dwie rzeźby Pegaza, rządził nie Hitler, ale muzyka. Samochody i powozy zatrzymywały się przed przepaścistym głównym wejściem, wyrzucając ze swoich wnętrza pasażerów.

- Zatrzymaj się tutaj - polecił Michael i Mysz podjechał do krawężnika, nieznacznie tylko zgrzytając biegami. - Wiesz, o której godzinie nas odebrać. - Spojrzał na zegarek, nie mogąc pozbyć się myśli o tkwiącej w nim kapsułce.

- Tak - odparł Mysz.

Camille sprawdziła wcześniej w kasie, kiedy dokładnie zaczyna się trzeci akt. O tej właśnie godzinie Mysz miał czekać w samochodzie przed wejściem do opery.

Zarówno Michael, jak i Gaby myśleli wcześniej o tym, że Mysz mógłby wziąć samochód i pojechać, gdzie by mu się podobało. Niepokoiło to Gaby, ale Michael ją uspokoił.

- Będzie punktualnie na miejscu, bo chce się dostać do Berlina, a do tej pory zrobił wystarczająco dużo, żeby gestapo urządziło mu sesję z torturami. A więc Niemiec czy nie Niemiec, Mysz jest od tej chwili po naszej stronie.

Wiedział jednak, że jeżeli zdrowie psychiczne Myszy rzeczywiście szwankuje, to trudno jest przewidzieć, jak i kiedy może się to ujawnić.

Michael wysiadł, przeszedł na drugą stronę samochodu i otworzył Gaby drzwi.

- Przyjedź tutaj - powiedział. Mysz skinął głową i odjechał.

Michael podał Gaby ramię i przeszli obok siedzącego na koniu niemieckiego żołnierza jak normalna francuska para, która wybrała się na wieczór do opery. Różnili się jednak od normalnej pary tym, że Michael miał w umieszczonej pod lewą pachą kaburze lugera, którego dostarczyła mu Camille, a Gaby niosła w swojej błyszczącej czarnej torebce ostry sztylet. Idąc pod rękę, przeszli przez avenue de l'Opéra i wkroczyli do budynku. W wielkim holu, w którym połączane lampy oświetlały posągi Haendla, Lully'ego, Glucka i Rameau, zobaczyli tłum niemieckich oficerów w towarzystwie kobiet. Michael przeprowadził Gaby między nimi i po dziesięciu stopniach z zielonego szwedzkiego marmuru przedostali się do drugiego holu, gdzie sprzedawano bilety.

Wykupili miejsca w tylnych rzędach i odeszli od kasy. Michael nigdy w życiu nie widział takiego nagromadzenia posągów, wielobarwnych marmurowych kolumn, luster w połączonych ramach i żyrandoli. Wspaniałe masywne schody z marmurowymi balustradami zawiodły ich na widownię. Wszędzie, gdzie spojrzał, widać było kolejne schody, korytarze, posągi i żyrandole. Miał nadzieję, że Gaby wie, jak się poruszać we wnętrzu opery, gdyż w tym królestwie rozpasanej sztuki nawet jego wilczy zmysł orientacji okazywał się przytępiony. W końcu weszli na szybko wypełniającą się widownię - kolejne arcydzieło przestrzeni i proporcji - gdzie starsza bileterka zaprowadziła ich na miejsca.

Mieszanka zwalczających się nawzajem zapachów perfum uderzyła w nozdrza Michaela. W wielkiej sali panował chłód, ponieważ z powodu niedostatku racjonowanego paliwa zostały wygaszone piece ogrzewające budynek. Gaby rozejrzała się wokół z obojętną miną, by zanotować w pamięci, gdzie siedzą niemieccy oficerowie, po czym podniosła oczy ku trzeciemu poziomowi łóż, które były umieszczone jedna nad drugą i połączone wyłączanymi balkonami i żebrowanymi kolumnami, co nadawało całej konstrukcji wygląd potężnego, przesadnie zdobionego tortu. Odszukała wzrokiem łóż Adama. Była pusta.

Michael też już to zauważył.

- Cierpliwości - powiedział cicho. - Jeżeli Adam znalazł kartkę z informacją, to przyjdzie tutaj, a jeżeli nie... to nie. - Ujął dłoń Gaby i ścisnął. - Wyglądasz pięknie - pochwalił ją.

Wzruszyła ramionami, zakłopotana komplementem.

- Nie ubieram się w ten sposób zbyt często.

- Ja też nie - oznajmił Michael. Miał na sobie oprócz szarego garnituru sztywno wykrochmaloną białą koszulę oraz krawat w szare i czerwone paski, ozdobiony perłową szpilką, którą Camille dała mu na szczęście.

Orkiestra zaczynała stroić instrumenty. Michael rzucił okiem na trzeci poziom, ale Adama nadal nie było. Zdawał sobie sprawę, że mogło zajść wiele niekorzystnych okoliczności. Gestapo mogło przeszukać płaszcz Adama, kiedy doszedł do pracy. Karteczka mogła wypaść. Adam mógł po prostu powiesić płaszcz i nawet nie zajrzeć do kieszeni. „Nie, nie - powiedział sobie w myślach. - Muszę tylko czekać i obserwować”.

Światła przygasły. Ciężka czerwona kurtyna rozsunała się i na scenie zaczęła się opowieść Pucciniego o Florii Tosce.

Kiedy pod koniec drugiego aktu zrozpaczona Tosca zamordowała nożem swojego brutalnego prześladowcę, Michael poczuł, jak Gaby zaciska dłoń na jego rękę. Spojrzał znów w kierunku trzeciego poziomu. Adama nadal nie było. „Cholera” zaklął w duchu. No cóż, Adam wiedział, że jest obserwowany. Może z jakiegoś powodu postanowił nie przychodzić tego dnia do opery.

Akt trzeci zaczął się od sceny w więzieniu. Mijała minuta za minutą. Gaby rzuciła okiem na łóżko Adama i zacisnęła mocno palce na dłoni Michaela.

Wiedział już. Adam był w swojej łóżki.

- Ktoś stoi w łóżki - szepnęła, przysuwając usta do jego twarzy. Poczł wspaniałych zapach jabłkowego wina. - Nie widzę go wyraźnie.

Michael odczekał jeszcze chwilę i kiedy spojrzł do góry, zobaczył w łóżki siedzącą postać. Na scenie Tosca odwiedzała w więzieniu swego kochanka, Cavaradossiego. Błady promyk oświetlający scenę odbijał się w szklach okularów zasiadającego w łóżki mężczyzny.

- Idę na górę - szepnął Michael. - Czekaj tutaj.

- Nie. Idę z tobą.

- Ciiii - syknął siedzący za nimi mężczyzna.

- Czekaj tutaj - powtórzył Michael. - Wróć tak szybko, jak tylko się da. Jeżeli coś się stanie, idź stąd.

Zanim Gaby zdążyła zaprotestować, pochylił się ku niej i pocałował ją w usta. Coś na kształt iskry elektrycznej przepłynęło między nimi, łącząc na chwilę ich nerwy w jeden system. Michael wstał i ruszył zdecydowanym krokiem przejściem między siedzeniami. Po chwili opuścił widownię. Gaby patrzyła na scenę, nic nie widząc i nic nie słysząc. Wszystkie jej myśli kierowały się ku mającemu rozegrać się za chwilę dramatowi.

Michael wszedł na górę po szerokich schodach. Na korytarzu trzeciego poziomu stał bileter - młody mężczyzna w białej marynarce, czarnych spodniach i białych rękawiczkach.

- Czy mogę czymś panu służyć? - zapytał, kiedy Michael zbliżył się do niego.

- Nie, dziękuję. Idę się spotkać z przyjacielem - odparł Michael, mijając go.

Odszukał palisandrowe drzwi prowadzące do łoży numer siedem i zapukał w nie cicho. Czekał. Usłyszał szcęk zasuwy i drzwi uchyliły się na mosiężnych zawiasach.

Stał w nich mężczyzna nazywany Adamem. Jego osłonięte okularami oczy były szeroko otwarte z przerażenia.

- Śledzili mnie - powiedział drżącym głosem. - Są tu wszędzie. Michael wszedł do łoży, zamknął za sobą drzwi i przesunął zasuwę.

- Nie mamy za wiele czasu. Co ma pan do przekazania?

- Chwilę. Nie tak szybko. - Adam podniósł bladą dłoń o długich palcach. - Skąd mam wiedzieć... że nie jest pan jednym z nich? Skąd mam wiedzieć, że nie próbuje mnie pan oszukać?

- Mógłbym wyrecytować nazwiska ludzi, których pan zna w Londynie, o ile to mogłoby coś pomóc. Ale sądzę, że to nic nie da. Musi mi pan zaufać. Jeżeli nie, to zapomnijmy o wszystkim, a ja popłynę przez Kanał z powrotem do domu.

- Przepraszam. Po prostu chodzi o to... Nikomu nie ufam.

Nikommu.

- Tym razem będzie pan musiał - powiedział Michael. Adam usiadł na miękkim, obitym czerwoną tkaniną krześle,

pochylił się do przodu i przetaił twarz drżącą dłonią. Był wychudzony i wyglądał tak, jakby miał zemdleć. Na scenie wyprowadzano Cavaradossiego z celi, aby go postawić przed plutonem egzekucyjnym.

- Och, Boże! - szepnął Adam i zamrugał oczami. Przytłumione światło ze sceny znowu odbijało się w szklach jego okularów. Spojrzał na Michaela, wciągając głęboki oddech. - Theo von Frankewitz - zaczął - wie pan, kto to jest?

- Uliczny artysta z Berlina.

- Tak. On jest... moim przyjacielem. W lutym... został wezwany, żeby wykonać specjalne zadanie. Wezwał go pułkownik SS o nazwisku Jerek Blok, który kiedyś był komendantem...

- Obozu koncentracyjnego Falkenhausen od maja do grudnia 1943 roku - przerwał mu Michael. - Czytałem dossier Bloka - dodał.

Mallory dostarczył mu skąpe akta, z których dowiedział się jedynie, że Jerek Blok ma czterdzieści siedem lat, pochodzi z niemieckiej arystokratycznej rodziny o tradycjach wojskowych i jest fanatycznym członkiem partii nazistowskiej. W materiałach nie było zdjęcia. Słowa Adama zaintrygowały Michaela: to właśnie Bloka widziano w Berlinie w towarzystwie Harry'ego Sandlera. Co ich łączyło? Jaka była w tym wszystkim rola myśliwego?

- Proszę mówić dalej.

- Theo został zabrany na lotnisko. Założyli mu opaskę na oczy i zawieźli samolotem gdzieś na zachód. On sądzi, że lecieli w tym właśnie kierunku, bo czuł słońce na twarzy. Być może artysta pamięta takie rzeczy. W każdym razie był z nim Blok i inni SS-mani. Kiedy wylądowali, Theo poczuł zapach morza. Zabrali go do jakiegoś magazynu i trzymali tam przez jakieś trzy tygodnie. Malował cały czas.

- Malował? - zapytał Michael, stając pod ścianą łoży tak, żeby nie być widocznym z sali. - Co malował?

- Dziury po pociskach - odpowiedział Adam, zaciskając palce na poręczach krzesła, aż mu zbieleły knykcie. - Ponad dwa tygodnie malował dziury po pociskach na kawałkach blachy. Te kawałki były z pewnością częścią większej konstrukcji, bo we wszystkich były nity. Wcześniej ktoś już je pomalował na oliwkowozielono. - Rzucił szybko okiem na Michaela, a potem z powrotem na scenę. Orkiestra grała marsza żałobnego, Cavaradossi odmawiał przyjęcia opaski na oczy. - Kazali mu też malować kawałki szkła. Musiał malować dziury po pociskach w odpowiednich miejscach i jeszcze takie coś na szkle, co by wyglądało jak pęknięcia. Blok nie był zadowolony, kiedy Theo skończył, i kazał mu malować szkło jeszcze raz. Potem go odwieźli z powrotem samolotem do Berlina, zapłacili za pracę - i to wszystko.

- No dobrze, więc pana przyjaciel malował jakieś szyby i blachy. Co to ma znaczyć?

- Nie wiem, ale to mnie niepokoi. - Przesunął grzbietem dłoni po ustach. - Niemcy wiedzą, że wkrótce będzie inwazja, więc dlaczego tracą tyle czasu na malowanie dziur po pociskach na zielonych blachach? No i jeszcze jedno. Kiedy Theo tam był, w magazynie pojawił się jeszcze jeden człowiek. Blok pokazywał mu postępy prac. Zwracał się do niego per „doktorze Hildebrand”. Zna pan to nazwisko?

Michael pokręcił głową. Na scenie żołnierze plutonu egzekucyjnego nabijali muszkiety.

- Ojciec Hildebranda był twórcą gazów używanych przez Niemców podczas pierwszej wojny światowej - powiedział Adam. - Syn wdał się w ojca. Młody Hildebrand jest właści-

ciemlem firmy chemicznej i zagorzałym zwolennikiem prowadzenia przez Rzeszę wojny chemicznej i bakteriologicznej. Jeżeli Hildebrand pracuje nad czymś... to może to być użyte przeciwko wojskom inwazyjnym.

- Ach, tak - powiedział Michael, czując ściskanie w żołądku. Jeżeli pojemniki z gazem zostałyby zrzucone na wojska alianckie podczas lądowania, to zginęłyby tysiące żołnierzy. Doszłoby do tragedii, a poza tym było oczywiste, że jeżeli inwazja zostanie odparta, to mogą upłynąć całe lata, zanim zostanie podjęta kolejna próba, a to dawałoby Hitlerowi czas na umocnienie Wału Atlantyckiego i stworzenie broni nowej generacji. - Nie rozumiem tylko, co ma z tym wspólnego Frankewitz.

- Ja też nie. Gestapo znalazło moją radiostację i zniszczyło ją, zostałem więc odcięty od wszelkich informacji. Ale to jest sprawa, która musi być wyjaśniona. Jeżeli nie... - zawiesił głos, bo Michael już całkowicie go zrozumiał. - Theo słyszał rozmowę

miedzy Blokiem i Hildebrandem. Dwa razy wymienili nazwę „Eisen Faust”.

- „Żelazna Pięść” - przetłumaczył Michael. W tym momencie czyjaś całkiem realna pięść załomotała w drzwi łoży. Adam podskoczył na krześle. Na scenie żołnierze plutonu egzekucyjnego unosili muszkiety, a orkiestra grała żałobną melodię, podczas gdy Cavaradossi przygotowywał się na śmierć.

- Monsieur - usłyszeli głos ubranego w białą marynarkę biletera, którego Michael spotkał na korytarzu. - Wiadomość dla pana.

Michael wyczuł napięcie w głosie młodego człowieka. Bileter nie był sam. Nietrudno było odgadnąć, jaką przynosi wiadomość - zaproszenie z gestapo na lekcję tortur.

- Niech pan wstanie - powiedział Michael do Adama.

Adam podniósł się i w tej chwili palisandrowe drzwi wyskoczyły z zawiasów, uderzone ramieniem potężnego mężczyzny. Jednocześnie na scenie rozległ się huk wystrzałów z muszkietów, tłumiąc trzask wyłamywanych drzwi. Gdy Cavaradossi osunął się martwy, w wejściu do łoży ukazali się dwaj mężczyźni w skórzanych gestapowskich płaszczach. Pierwszy z nich miał w ręce pistolet marki „Mauzer” i to jego Michael wybrał na główny cel.

Chwycił krzesło i uderzył nim Niemca w głowę. Mebel rozpadł się na kawałki, a twarz gestapowca nagle zbieleła i ze złamanego nosa popłynęła krew. Mężczyzna zachwiał się, ale uniósł pistolet i pociągnął za spust. Kula przeleciała nad ramieniem Michaela. Odgłos wystrzału zgubił się w sopranowym zawodzeniu Ninon Vallin, która w tej samej chwili jako Tosca przypadła do ciała Cavaradossiego. Michael chwycił Niemca za nadgarstek i za kłapę

płaszcz, obrócił się gwałtownie i zarzucił go sobie na ramię. Dał krok w kierunku barierki łoży i strącił gestapowca w dół.

Niemiec spadł z wysokości pięćdziesięciu dwóch stóp na podłogę sali, krzyząc głośniejsz niż Tosca. Na moment głosy spadającego mężczyzny i śpiewaczki zlały się w niesamowitej harmonii, a po chwili na całej widowni zaczęły rozlegać się krzyki. Orkiestra przerwała muzykę burzą dysonansów. Na scenie tak bliska dramatycznego finału Ninon Vallin z rozpaczliwą determinacją usiłowała kontynuować grę.

Michael jednak nie chciał zaśpiewać swej łabędziej pieśni. Drugi gestapowiec sięgnął ręką pod płaszcz, lecz zanim zdążył wyciągnąć pistolet, otrzymał cios w twarz, poprawiony drugim uderzeniem w krtani. Dusząc się ze złamaną krtanią, uderzył plecami o ścianę i osunął się na podłogę. Jednak w drzwiach łoży ukazały się nowe postacie: uzbrojony w lugera mężczyzna w garniturze w prążki, a za nim żołnierz z karabinem.

- Wskakuj mi na plecy! - krzyknął Michael do Adama. Ten usłuchał, obejmując go od tyłu i splatając dłonie na jego klatce piersiowej. Był lekki, ważył może sto trzydzieści funtów. Michael zobaczył, jak gestapowiec w garniturze wybałusza oczy, kiedy się zorientował, co on ma zamiar zrobić. W chwili gdy Niemiec podniósł gotowego do strzału lugera, Michael skoczył w prawo i przeleciał przez barierkę łoży z uciepionym jego pleców Adamem.



Nie miał zamiaru pójść w ślady pierwszego gestapowca i spaść na podłogę widowni. Chwycił się dłońmi kwiatonu na złoconej kolumnie wyrastającej obok łoży i z Adamem na plecach zaczął się wspinać z wysiłkiem ku najwyższemu poziomowi łoż. Ludzie na widowni wrzeszczeli i piszczeleli. Nawet Ninon Vallin krzyknęła; nie wiadomo, czy ze strachu o ludzkie życie, czy z wściekłości, że zakłócono jej występ. Michael piał się w górę, wykorzystując wszelkie możliwe podpory. Serce mu łomotało i krew pulsowała szaleńczo w żyłach, ale mózg pracował logicznie. Wiedział, że cokolwiek jest jego przeznaczeniem, będzie mu to objawione bardzo szybko.

Tak też się stało. Usłyszał głośny trzask wystrzału z wycelowanego przez gestapowca do góry lugera i poczuł, że ciało Adama wstrząsa się i sztywnieje. Jego ramiona, i tak już mocno zaciśnięte, nagle zeszywniały jak żelazne pręty. Michael poczuł coś ciepłego ściekającego mu po tyle głowy i karku i wsączającego się w marynarkę. Domyślił się, że kula pistoletu trafiła Adama w głowę i że ciało zastygło w gwałtownym paraliżu przerwanych nerwów. Z narastającą trudnością wspinał się po kolumnie, dźwigając martwe ciało, z którego krew spływała po kwiatonach. Przechodził już przez barierkę najwyższej łoży, kiedy kolejna kula uderzyła w kolumnę cztery cale od jego prawego ramienia, wznecając deszcz złotej farby.

- Po schodach! - rozległ się krzyk gestapowca. - Szybciej!

Łoża, do której trafił Michael, była pusta. Przez kilka sekund usiłował rozcepić zaciśnięte na jego piersi palce Adama. Złamał dwa z nich jak suche patyki, ale nie mógł sobie poradzić z pozostałymi. Nie miał już czasu, aby wyzwolić się z objęć nieboszczyka. Przebrnął przez drzwi i znalazł się w wyłożonym czerwonym chodnikiem holu, z którego rozchodziły się oświetlone lampami korytarze i schody.

- Tędy! - krzyknął ktoś na lewo od niego.

Michael skrzywił w prawo i zaczął brnąć korytarzem o ścianach przyozdobionych malowidłami średniowiecznych scen myśliwskich. Buty trupa ciągnęły się po chodniku. Michael wiedział, że pozostawiają za sobą krwawą ścieżkę, zatrzymał się więc, żeby zrzucić zwłoki, ale tylko stracił jeszcze więcej bezcennej energii. Ciało dalej trzymało się go jak martwy bliźniak syjamski.

Huknął strzał i tuż nad ramieniem Michaela eksplodowała podtrzymywana przez posąg Diany lampa. Zobaczył zmierzających w jego stronę dwóch żołnierzy. Obydwaj

trzymali w rękach karabiny. Próbował sięgnąć po swojego lugera, ale nie mógł go wydobyć spod ramion Adama. Obrócił się i ruszył biegiem w kolejny korytarz, który skręcał w lewo. Jego prześladowcy wołali do siebie po niemiecku, wskazując sobie nawzajem drogę. Ich okrzyki brzmiały jak ujadanie psów gończych.

Teraz ważące sto trzydzieści funtów ciało Adama ciążyło mu już jak potężny kamień. Przymusił się do dalszego biegu, znacząc krwawe smugi w korytarzach świątyni sztuki.

Zobaczył przed sobą prowadzące w górę schody o balustradach przyozdobionych figurkami trzymających liry cherubinów. Skierował się ku tym schodom i nagle wyczuł gorzki zapach potu kogoś obcego. Z zacienionego, łukowato sklepionego korytarza po lewej stronie wyszedł niemiecki żołnierz z pistoletem w dłoni.

- Ręce! - zawołał. - Ręce do góry! - Uniósł lufę pistoletu, wspierając polecenie gestem.

W tej samej sekundzie Michael kopnął go w prawe kolano. Rozległ się trzask pękających kości. Pistolet wypalił i kula uderzyła w sufit. Niemiec z twarzą wykrzywioną z bólu zatoczył się na ścianę, ale nie wypuścił broni z ręki. Usiłował skierować lufę w stronę Michaela, ale ten skoczył na niego mimo ciężącego mu ciała Adama i chwycił za nadgarstek. Kula przeleciała obok twarzy Gallatina i roztrzaskała coś po drugiej stronie korytarza. Niemiec, usiłując wdusić mu palcami gałki oczne, krzyknął:

- Mam go! Pomóżcie mi! Mam go!

Mimo złamanego kolana żołnierz miał wiele siły. Zaczęli walczyć ze sobą o pistolet. Niemiec zadał Michaelowi cios w szczękę. Na chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami, ale nie zwolnił uchwytu na trzymającej pistolet ręce napastnika.

Uderzył go pięścią w usta, wbijając mu dwa zęby do gardła i przygłuszając jego wrzaski o pomoc. Niemiec uniósł kolano i trafił Michaela w żołądek. Tracąc dech, Michael upadł do tyłu, pociągnięty ciężarem trzymającego się jego pleców ciała. Uderzył o marmurową ścianę z taką siłą, że zmasakrowana czaszka Adama rozpadła się jeszcze bardziej. Żołnierz, rozpaczliwie utrzymując równowagę na jednej nodze, uniósł lugera, by oddać strzał.

Coś granatowego, jak nagłe tornado, śmignęło za Niemcem. W blasku żyrandoli błysnął nóż, którego ostrze zagłębiło się w kark żołnierza. Niemiec zakrztusił się i zachwiał. Wypuścił z rąk pistolet i chwycił się rękami za szyję. Gaby szarpnęła rękojeść noża, ale tkwił za głęboko. Jęcząc okropnie, żołnierz upadł na twarz z wbitym w kark nożem.

Gaby stała oszołomiona malującym się przed jej oczyma widokiem. Zobaczyła Michaela ze zbryzganymi krwią włosami i równie skrwawioną twarzą, a na jego plecach ciało mężczyzny z otwartymi ustami i mokrą masą w miejscu skroni. Poczwała, że robi się jej

niedobrze. Podniosła pistolet z podłogi czerwonymi od krwi dłońmi, a Michael znów stanął na nogi.

- Geissen! - zawołał ktoś na końcu korytarza. - Gdzie jesteś, do cholery?!

Gaby rzuciła się ku Michaelowi, by pomóc mu wydostać się z uścisku martwego ciała, ale już usłyszeli tupot nóg zbliżających się kolejnych żołnierzy. Jedyna droga ucieczki wiodła schodami w górę. Wspinając się, Michael poczuł, że nogi zaczynają odmawiać mu posłuszeństwa. Schody skrzyły, doprowadzając ich do zamkniętych na zasuwę drzwi. Gaby otworzyła je. Poczuli powiew nocnego powietrza Paryża. Byli na dachu opery.

Michael ruszył po olbrzymim dachu za Gaby, pantofle Adama wlokły się po kamiennej smołowanej powierzchni. Gaby obejrzała się i zobaczyła, że z drzwi, z których przed chwilą wyszli, wylaniają się sylwetki ścigających ich ludzi. Była pewna, że gdzieś muszą być jeszcze jakieś inne drzwi prowadzące w dół, ale wiedziała też, że obstawienie wszystkich wyjść nie zajmie Niemcom wiele czasu. Przyspieszyła, ale jednak musiała zjechać na tracącego siły Michaela, który szedł, coraz bardziej pochylając plecy.

- Idź - rzucił - nie czekaj na mnie!

Z łomoczącym sercem patrzyła, jak zbliża się do nich pościg. Kiedy Michael zrównał się z nią, skrzyła i znowu ruszyła przed siebie. Dotarli nad front budynku, skąd widać było rozciągające się we wszystkich kierunkach rozświetlone miasto. Na szczycie

dachu rysował się potężny posąg Apolla. Spłoszone gołębie podrywały się spod ich stóp.

Michael przystanął, opierając się o cokół posągu.

- Idź dalej - powiedział do Gaby, kiedy też się zatrzymała. - Znajdź jakąś drogę w dół.

- Nie zostawię cię - odrzekła, patrząc na niego swymi szafirowymi oczami.

- Nie bądź głupia! To nie czas ani miejsce na dyskusje. Usłyszał za plecami głosy nawołujących się Niemców. Zbliżyli się. Włożył rękę pod płaszcz i zacisnął palce nie na lugerze, który uwiązał w kaburze, ale na kieszonkowym zegarku z trucizną. Ujął go w rękę, ale nie mógł się zdecydować, aby go wyjąć.

- Idź - powtórzył.

- Nie pójdę - powiedziała Gaby. - Kocham cię.

- Nie, nie kochasz mnie, ale wspomnienie chwili. Nic nie wiesz o mnie i nie chciałabyś tego wiedzieć. - Rzucił okiem na ostrożnie przybliżające się sylwetki. Ścigający byli trzydzieści jardów od nich, ale jeszcze nie zauważyli dwojga uciekinierów u podnóża posągu. Zegarek cykał, odmierzając uciekający czas. - Nie niszczyć swego życia - powiedział Michael - ani dla mnie, ani dla nikogo innego.

Zawahała się. Zobaczył napięcie malujące się na jej twarzy. Popatrzyła na zbliżających się Niemców i znowu na Michaela. Pomyślała, że być może rzeczywiście kocha tylko wspomnienie chwili, ale czymże jest życie, jeśli nie po prostu wspomnieniem wielu chwil?

Michael wyjął zegarek i otworzył kopertę. Kapsułka z cyjankiem czekała na jego decyzję.

- Zrobiłaś, co mogłaś - powiedział. - Teraz idź. - Wrzucił kapsułkę do ust.

Zobaczyła, jak ją połyka, wykrzywając konwulsyjnie twarz.

- Tutaj, są tutaj! - krzyknął jeden z Niemców.

Padł wystrzał z pistoletu i kula odbiła się od uda Apolla, krzesząc iskry. Michael zatrząsł się i osunął na kolana, przytłoczony ciężarem Adama. Podniósł oczy na Gaby. Twarz miał mokrą od potu.

Nie mogła znieść widoku jego śmierci. Rozległ się kolejny strzał. Pocisk przeleciał wystarczająco blisko, aby skłonić ją do ucieczki. Odwróciła się od Michaela ze łzami spływającymi po twarzy i rzuciła się do ucieczki. Około pięćdziesięciu stóp od miejsca, w którym umierał Michael, zaczęła butem o uchwyt włazu. Otworzyła go i zobaczyła prowadzącą w dół drabinę. Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie w kierunku Michaela, którego już otaczały sylwetki uczestników zwycięskiego polowania. Mogłaby strzelać w ich kierunku, ale wtedy z pewnością posiekaliby ją kulami na strzępy. Zeszła po drabinie, zamykając za sobą pokrywę włazu.

Sześciu niemieckich żołnierzy i trzech gestapowców otoczyło Michaela. Ten, który zabił Adama, warknął:

- Mamy cię, ty sukinsynu!

Michael wypluł trzymaną w ustach kapsułkę. Jego przytłoczone ciężarem zwłok Adama ciało zadrżało, a nerwy przeszył mu ból. Kiedy gestapowiec nachylał się nad nim, Michael poddał się przemianie.

Było to jak wyjście z bezpiecznego schronienia w szalejące dzikie wichry - świadomy wybór, który raz już dokonany, stał się nieodwracalny. Zatrzeszczały kręgi wyginającego się kręgosłupa, a twarz i czaszka zaczęły się odkształcać, aż zahuczało mu w głowie. Zatrząsł się, jęcząc.

Ręka gestapowca zastygła w powietrzu.

- Żebście o litość - rzucił ze śmiechem jeden z Niemców.

- Wstawaj - rzucił gestapowiec, dając krok do tyłu. - Wstawaj, ty świni!

Jęk zmienił brzmienie. Z ludzkiego przemienił się w zwierzęcy.

- Przynieście jakieś światło! - krzyknął Niemiec. Nie wiedział, co się dzieje z leżącym przed nim człowiekiem, ale nie miał ochoty podchodzić bliżej. - Niech ktoś przyniesie światło...

Rozległ się trzask pękającego materiału i łamanych kości. Żołnierze cofnęli się o krok. Na twarzy tego, który śmiał się przed chwilą, zastygł głupawy uśmiech. Inny żołnierz wyjął latarkę i podał ją gestapowcowi, który zaczął mocować się z włącznikiem. Coś przed nim sapnęło, poruszając się pod martwym ciałem. Ręce zaczęły mu drżeć.

- Do cholery! - krzyknął i wreszcie udało mu się przesunąć włącznik.

Zobaczył to coś w świetle latarki i dech zamarł mu w piersi. Przed nim był jakiś piekielny stwór ze świecącymi zielonymi oczami i gładkim muskularnym ciałem, pokrytym czarnymi włosami z siwymi pasmami. Miał kły i podnosił się na czterech łapach.

Bestia wstrząsnęła się potężnie, łamiąc ramiona martwego ciała jak patyki i zrzucając je z siebie. Potem zrzuciła też resztki swego ludzkiego przebrania: szary skrwawiony garnitur, białą koszulę z krawatem, bieliznę, skarpety i buty. Wśród ubrań była kabura z lugerem, ale bestia miała groźniejszą broń.

- O... mój...

Gestapowiec nie zdążył wezwać na pomoc swego bóstwa. Nie było przy nim Hitlera, a Bóg wiedział, co znaczy sprawiedliwość. Stwór skoczył Niemcowi do gardła z otwartą paszczą i zanurzył zęby w jego szyi, rozrywając ciało i tętnice w fontannie krwi.

Wszyscy, z wyjątkiem dwóch żołnierzy i jednego gestapowca, wrzasnęli rzucając się do ucieczki. Jeden żołnierz pobiegł w złym kierunku - i uderzył z łomotem o jezdnię. Gestapowiec, który został na miejscu, pozujący na bohatera głupiec, uniósł pistolet, aby strzelić do skaczącego nań zwierza, ale dzikie oczy bestii zahipnotyzowały go może na pół sekundy - i to już wystarczyło. Zwierz rzucił się na niego, znacząc pazurami krwawe ślady na jego twarzy i obrywając mu usta. Wrzask gestapowca wyrwał z transu obydwu żołnierzy. Rzucili się do ucieczki, ale jeden z nich przewrócił się, a drugi potknął o niego i też upadł.

Michael Gallatin wpadł w szal. Kłapał z trzaskiem szczękami, a z pyska ciekła mu krew, której gorący aromat jeszcze bardziej potęgował jego wściekłość. Mózg wilka kalkulował w ludzki sposób, przed jego oczami nie było ciemności nocy, ale półmrok, w którym malujące się na niebiesko sylwetki biegły w kierunku wejścia, piszcząc jak szczury. Michael słyszał ich serca bijące panicznie w rytm bębna szalonego dobosza, w zapachu potu wyczuł kiełbasę i sznapsa. Jego muskuły i ścięgna pracowały jak doskonałe tryby maszyny do zabijania. Skoczył do przodu na usiłującego podnieść się na nogi żołnierza. Spojrzał przez ułamek sekundy na jego twarz i zauważył, że to bardzo młody, nie więcej niż

siedemnastoletni chłopiec. Niewinny chłopiec, zepsuty przez karabin i książkę o tytule „Mein Kampf”. Michael chwycił dłoń chłopca i żeby uchronić go przed dalszą degeneracją, zmiądzzył mu kości palców, nie naruszając wcale skóry. Chłopak krzyknął, usiłując uderzyć go drugą ręką, a Michael obrócił się i rzucił za pozostałymi Niemcami.

Jeden z żołnierzy zatrzymał się i wystrzelił z pistoletu. Kula odbiła się od kamieni na lewo od Michaela, ale on nie zwolnił biegu. Żołnierz odwrócił się do ucieczki, ale wilk skoczył mu na plecy, przewracając go jak stracha na wróble, i nie zatrzymawszy się, pobiegł dalej. Zobaczył, jak pozostali, tłocząc się, wbiegają w drzwi prowadzące na schody. Wiedział, że za chwilę przesuną rygiel. Drzwi prawie już się zamykały i uciekający Niemcy z krzykiem wciągali na schody ostatniego ze swoich. Michael opuścił głowę i przyśpieszył jeszcze bardziej biegu.

Skoczył, skręcając w powietrzu, i uderzył w drzwi. Rozwarły się z hukiem, strącając Niemców ze schodów. Wylądował między nimi, drapiąc z wściekłością na ośle pazurami, i rzucił się w dół po nadal poznaczonych krwią Adama stopniach, zostawiając za sobą pokrwawionych i rannych wrogów.

Zbiegł po szerokich schodach na widownię i wpadł w tłum kłębiący się w zamieszaniu i żądający zwrotu pieniędzy. Kiedy wilk pojawił się u stóp schodów, krzyki zamarły, ale nie na długo. Nowa fala wrzasków uderzyła o marmurowe ściany opery, a mężczyźni i kobiety w eleganckich strojach rzucali się w dół przez balustrady jak marynarze skaczący za burtę ze storpedowanego okrętu. Wilk zeskoczył z ostatnich sześciu stopni i pośliznął się przy lądowaniu na zielonym marmurze posadzki. Brodaty arystokrata, stojący przy schodach z laską z kości słoniowej, cofnął się na widok bestii, a z przodu jego spodni pojawiła się mokra plama.

Poczucie siły i radości rozpierało biegnącego Michaela. Serce biło mu równym rytmem, płuca pracowały jak miechy, a ścięgna jak żelazne sprężyny. Kłapał paszczą to w lewo, to w prawo, odstraszać z drogi tych, którzy byli za bardzo oszołomieni, żeby się ruszyć. Odprowadzany krzykami, przemknął przez hall i wypadł na ulicę. Przebiegł pod brzuchem zaprzęzonego do powozu konia, który poderwał się w szaleńczym tańcu na tylne nogi. Obejrawszy się przez ramię, Michael zobaczył wybiegających za nim kilku ludzi. Trafili wprost na przerażonego konia, rozpierzchli się więc, uciekając przed jego wierzgającymi nogami.

Usłyszał kolejny pisk, tym razem zużytych hamulców i sunących po bruku opon. Spojrzał przed siebie i zobaczył mknące w jego kierunku dwa światła. Bez wahania odbił się od ziemi i przeleciał nad maską samochodu. W ułamku sekundy dojrzał za szybą dwie

przerażone twarze. Odbił się od dachu samochodu, spadł po jego drugiej stronie i pobiegł ulicą, oddalając się od opery.

- Boże - jęknął Mysz, kiedy citroen zatrzymał się z dygotem. Popatrzył na Gaby. - Co to było?

- Nie wiem. - Była oszołomiona, a jej umysł pracował jak źle naoliwiona maszyna. Zobaczyła wychodzących z budynku opery ludzi, a wśród nich niemieckich oficerów. - Jedź - powiedziała.

Mysz nacisnął na gaz i zawrócił samochód. Zostawiając za sobą na pożegnanie huk wybuchających w rurze wydechowej spalin i chmurę niebieskiego dymu, oddalił się od opery.

Minęła druga w nocy, kiedy Camille usłyszała pukanie do drzwi. Usiadła w łóżku od razu gotowa do działania, sięgnęła pod poduszkę i wyciągnęła spod niej walera. Wyteżyła słuch. Znowu rozległo się pukanie, tym razem bardziej natarczywe. „To nie gestapo - pomyślała - oni pukają kolbami, a nie ręką”. Wzięła jednak ze sobą pistolet, zapaliła lampę naftową i podeszła do drzwi w długiej białej koszuli nocnej. Omal nie zderzyła się z Myszą, który stał w korytarzu z rozszerzonymi ze strachu oczami. Przyłożyła palec do ust, gdyż chciał coś powiedzieć, i minąwszy go, podeszła do drzwi.

„Co za cholerna sytuacja” - pomyślała ze złością. Zaledwie dwadzieścia minut temu udało jej się ułożyć do snu zrozpaczoną dziewczynę. Ten głupi Anglik doprowadził do śmierci Adama i swojej własnej, zostawiając jej na karku nazistowskiego wariata! Tylko cudem można było wybrnąć z tej sytuacji, ale skąd tu się spodziewać cudu?

- Kto tam? - zapytała Camille, pozorując senne brzmienie głosu. Serce biło jej przyspieszonym rytmem. Położyła palec na spuście.

- Zielone Oczy - dobiegł ją zza drzwi męski głos.

Nigdy jeszcze w Paryżu nikt nie otworzył tak szybko drzwi.

Za drzwiami stał Michael. Miał zapadnięte oczy i pokrytą świeżym zarostem twarz. Ubrany był w brązowe sztruksowe spodnie, o dwa numery na niego za małe, i białą koszulę przeznaczoną dla otyłego mężczyzny. Na nogach miał granatowe skarpety, ale nie miał butów. Wszedł do mieszkania, omijając stojącą z otwartymi ustami Camille. Mysz chrząknął, jakby się zachłysnął. Michael zaniknął delikatnie drzwi za sobą i przesunął zasuwę.

- Zadanie wypełnione - oznajmił.

- Och - rozległo się czyjeś westchnienie. To Gaby stanęła w drzwiach sypialni. Miała bladą twarz i podkrążone oczy i nadal była ubrana w swoją nową niebieską sukienkę, teraz rozepchaną i pogniecioną. - Ty... umarłeś. Patrzyłam na ciebie... jak brałeś kapsułkę.

- Nie zadziałała - powiedział Michael.

Przeszedł obok nich, czując ból w mięśniach i tępe łomotanie w głowie: konsekwencje przemiany. Zbliżył się do miski z wodą w kuchni i przemył sobie twarz, potem wziął jabłko i zaczął jeść. Camille, Gaby i Mysz podążali za nim jak cienie.

- Mam tę informację - powiedział, kiedy zjadł jabłko, przy okazji oczyszczając sobie zęby z resztek skrzepniętej krwi. - Ale to za mało. - Popatrzył na Camille świecącymi w



blasku lampy zielonymi oczami. - Obiecałem Myszy, że zawiozę go do Berlina, i mam też własne powody, żeby tam pojechać. Pomożesz nam?

- Ona powiedziała, że widziała ciebie otoczonego przez Niemców - odparła Camille. - Jeżeli cyjanek nie zadziałał, to jak im uciekłeś? - Przymknęła oczy. Niemożliwe było, żeby ten człowiek stał przed nią. Niemożliwe!

Popatrzył na nią nieruchomym wzrokiem.

- Byłem szybszy od nich.

Chciała znowu coś powiedzieć, ale sama nie wiedziała co. „Gdzie są ubrania, w których wyszedł”? - pomyślała, patrząc na ukradzione przez niego spodnie i koszulę.

- Musiałem się przebrać - powiedział spokojnym, łagodnym głosem. - Niemcy mnie ścigali. Wziąłem ubrania wiszące na sznurze.

- Ja nie... - Spojrzała na jego białe stopy. Michael skończył drugie jabłko, wrzucił ogryzek do kosza na śmieci i sięgnął po następną. - Ja nie rozumiem - dokończyła.

Gaby patrzyła ciągle na niego, nadal nie mogąc otrząsnąć się z szoku.

- Hej! - odezwał się Mysz. - Słyszeliśmy o tym w radiu! Powiedzieli, że w operze pojawił się jakiś pies i narobił piekielnego zamieszania! My też go widzieliśmy! Wprost na naszym samochodzie! Prawda? - zwrócił się do Gaby.

- Tak - potwierdziła. - Widzieliśmy go.

- Informacje, które dzisiaj uzyskałem - powiedział Michael do Camille - wymagają dalszego wyjaśnienia. Jest bardzo ważne, żebyśmy jak najszybciej dotarli do Berlina. Możesz nam pomóc tam dotrzeć, przygotowując trasę.

- To... Tak mało czasu. Nie jestem pewna, czy mogę...

- Możesz - przerwał jej. - Będziemy potrzebowali nowych ubrań. Poza tym dowody tożsamości, o ile możesz je załatwić. Muszę też mieć zorganizowane spotkanie w Berlinie z Echem.

- Nie mam uprawnień do...

- Daję ci te uprawnienia. Mysz i ja jedziemy do Berlina, gdy tylko się da. Skontaktuj się, z kimkolwiek chcesz. Zrób wszystko, co potrzebne. Ale załatw nam dotarcie do Berlina. Jasne? - Uśmiechnął się lekko, pokazując zęby.

Jego uśmiech zmroził ją.

- Tak - powiedziała. - Jasne.

- Chwila, a ja? - Gaby w końcu otrząsnęła się z szoku. Podeszła do Michaela i dotknęła jego ramienia, aby się upewnić, że jest prawdziwy. Był prawdziwy - zacisnęła dłoń na jego ręce. - Jadę z tobą do Berlina.

Spojrzał w piękne oczy dziewczyny i jego uśmiech złagodniał.

- Nie - powiedział spokojnie - jedziesz na zachód. Tam czeka na ciebie robota, na której świetnie się znasz. - Chciała zaprotestować, ale Michael przytknął palec do jej ust. - Zrobiłaś dla mnie wszystko, co tylko mogłaś, ale nie przetrwałabyś długo na wschód od Paryża, a ja nie mogę być twoim opiekunem. - Zauważył zaschniętą krew pod paznokciem palca, który przyłożył do ust Gaby. Cofnął szybko dłoń. - Jedynym powodem, dla którego biorę go ze sobą, jest to, że tak się z nim umówiłem.

- No pewnie, że tak się umówiliśmy - pisnął Mysz.

- Dotrzymam słowa. Ale najlepiej pracuję sam, rozumiesz? - zwrócił się do Gaby.

Oczywiście nie rozumiała. Jeszcze nie, ale miała to zrozumieć we właściwym czasie po zakończeniu wojny, kiedy sama była starszą o ileś lat kobietą, z dziećmi i własną winnicą w tym samym miejscu, w którym niegdyś niemieckie czołgi miażdżyły gąsienicami ziemię. Wtedy miała być zadowolona z tego, że Michael Gallatin pozostawił jej wolną przyszłość.

- Kiedy możemy wyjechać? - Michael odwrócił się do Camille.

Jej umysł już energicznie pracował, rozważając wszelkie możliwe drogi z Paryża do chorego serca Rzeszy.

- Tydzień. To najbardziej optymistyczny termin, w jakim możemy was tam dowieźć.

- Cztery dni - powiedział.

Po chwili ciszy Camille westchnęła i skinęła głową.

„Dom! - pomyślał Mysz i w głowie zakręciło mu się z podniecenia. - Jadę do domu!”

Camille pomyślała natomiast ze złością, że jeszcze nigdy w życiu nie była w tak trudnej i zawilej sytuacji.

Gaby była rozdarta wewnątrz - pragnęła mężczyzny, który stał przed nią cudownie przywrócony do życia, ale jeszcze bardziej kochała swój kraj. Michael myślał o dwóch sprawach. Jedną był Berlin, a drugą nazwa - klucz do tajemnicy: „Żelazna Pięść”.

Kiedy później przy dopalających się świecach Gaby leżała już w łóżku, Michael pochylił się nad nią i pocałował w usta. Przywarli do siebie na chwilę wilgotnym żarem, a potem Michael odszedł na swoją leżankę i spoczął, żeby rozmyślać o przyszłości.

Gaby wyciągnęła ku niemu rękę. Ujął jej dłoń w swoją.

Noc mijała i wnet świt rozpałił czerwonym płomieniem niebo na wschodzie.

**CZĘŚĆ SZÓSTA**

**BERSERKER**

„Moja ręka - pomyślał w panice Michaił, siadając na legowisku ze słomy. - Co się dzieje z moją ręką?”

W podziemiach Białego Pałacu panował półmrok. Michaił czuł, jak jego prawa dłoń zaczyna pulsować i palić, jakby w żyłach zamiast krwi krążył płynny ogień. Ból, który go obudził, narastał, sięgając przez ramię aż do barku. Palce skręcały mu się i odkształcały. Michaił zacisnął zęby, żeby powstrzymać krzyk. Chwycił się drugą ręką za przegub, lecz palce rozwarły mu się spazmatycznie i znowu zacisnęły. Usłyszał lekkie trzaski. Z każdym z nich nowy sztylet bólu przeszywał ciało. Pot wystąpił na twarz. Nie chciał krzyczeć, żeby inni nie zaczęli się z niego wyśmiewać. Przez kilka następnych wypełnionych cierpieniem sekund ręka zakrzywiła się i zdeformowała i w końcu za jego białym, pulsującym bólem przegubem pokazała się jakaś dziwna, ciemna rzecz. Pragnął krzyczeć, ale z jego gardła wydobywał się tylko cichy jęk. Pasma czarnych włosów pojawiły się na jego skórze i otoczyły mu przeguby i przedramiona jak delikatne wstążki. Palce cofały się z trzaskiem w stawach, zmieniając kształt. Michaił jęknął bliski omdlenia. Jego ręka pokryta była czarnym włosem, a w miejscu, gdzie miał palce, pojawiły się zakrzywione szpony i miękkie różowe poduszeczki. Czarne włosy rozlały się na jego przedramiona i przeskoczyły na łokcie. Michaił pomyślał, że musi zaraz wstać i pobiec, wołając Renati.

Ale minęła chwila, a on wcale się nie ruszył. Czarne włosy zadrżały i zaczęły z powrotem cofać się w głąb ciała, kłując go jak igły, a palce zatrzeszczały znowu i wyprostowały się. Zakrzywione szpony zniknęły pod skórą, pozostawiając po sobie ludzkie paznokcie. Ukazała się cała dłoń, blada jak księżyc, z której palce zwisały jak obce kawałki mięsa. Ból przepłynął falą i odszedł. Wszystko to trwało może piętnaście sekund.

Michaił wciągnął oddech i niemal załkał.

- Przemiana - powiedział Wiktor siedzący w kucki siedem stóp na lewo od chłopca. - Zbliża się do ciebie. - Obok Wiktora leżały dwa wielkie zające ociekające krwią.

Michaił wzdrygnął się zaskoczony. Głos Wiktora od razu obudził Nikitę, Franka i Aleksę, którzy leżeli obok. Pauli, otepiała od czasu śmierci Biełego, poruszyła się na swoim legowisku i otworzyła oczy. Za Wiktorem stała Renati, która wiernie czekała na niego, odkąd trzy dni wcześniej ruszył tropem tego czegoś, co zabiło brata Pauli. Wiktor podniósł się. Wyglądał królewsko w swoim obszytym białym futrem stroju. Zmarszczki na jego brodatej

twarzy połyskiwały wodą z roztopionego śniegu. Ogień już się dopalał, pożerając resztki sosnowych szyszek.

- Kiedy wy śpicie - powiedział Wiktor - śmierć czai się w lesie. - Obszedł ich dookoła, wydychając obłoki pary z ust. Krew królików już się ścinała. - To berserker - dodał.

- Co? - zapytał Franko, niechętnie odrywając się od ciepłego, ciężarnego ciała Aleksy.

- Berserker - powtórzył Wiktor. - Wilk, który zabija tylko dlatego, że to lubi. Właśnie on zmasakrował Biełego. - Spojrzał w kierunku Pauli swoimi bursztynowymi oczami. Nadal była otepiała z rozpaczy i całkowicie pozbawiona sił. - Wilk, który zabija, bo mu to sprawia przyjemność - powtórzył. - Znalazłem jego ślady około dwóch mil na północ stąd. To wielki drań, waży może sto osiemdziesiąt funtów. Zmierzał na północ w równym tempie, więc poszedłem za nim. - Wiktor przykląkł przy słabym ogniu, żeby ogrzać ręce. Migoczący czerwony blask oświetlił jego twarz. - Jest bardzo sprytny. W jakiś sposób wyczuł mój zapach, chociaż uważałem, żeby iść pod wiatr. Nie miał zamiaru mi pozwolić, żebym odkrył jego leże. Poprowadził mnie przez mokradła i mało brakowało, a wpadłbym do wody w miejscu, gdzie nadkruszył lód, żeby się pode mną załamał. - Uśmiechnął się lekko, patrząc w ogień. - Gdybym nie wyczuł na lodzie jego moczu, to już bym teraz nie żył. Wiem, że jest rudy, znalazłem trochę jego włosów zaczepionych na kolczastych krzewach. Tyle udało mi się wykryć. - Potarł dłonią o dłoń, masując posiniaczone palce, i podniósł się. - Jego terytorium łowieckie traci na wartości. Chce zdobyć nasze. Wie, że będzie musiał nas zabić, aby je zdobyć. - Potoczył wzrokiem po wszystkich. - Od tej chwili nikt nie wyjdzie sam. Nawet po garść śniegu. Będziemy polowali parami i uważali, żeby cały czas widzieć się nawzajem. Jasne? - Zaczekał, aż Nikita, Franko, Renati i Aleksa skinęli głowami. Tylko Pauli nie zareagowała, w jej długich brązowych włosach pełno było źdźbeł siana. Wiktor spojrzał na Michaiła. - Jasne? - powtórzył.

- Tak, proszę pana - pośpiesznie odpowiedział Michaił. Czas mijał. Brzuch Aleksy nabrzmiwał, a Wiktor uczył Michaiła z zakurzonych ksiąg w dolnej komnacie. Michaił nie miał problemów z łaciną czy niemieckim, ale angielski wiązał mu w gardle. To był naprawdę obcy język.

- Wymów to! - grzmiał Wiktor. - To jest końcówka „-ing”! Wymów to!

Angielski był jak kolczasta dżungla, ale wkrótce Michaił zaczął się powoli przez nią przebijać.

- Przeczytamy fragment z tego - oznajmił pewnego dnia Wiktor, otwierając olbrzymi ilustrowany rękopis napisany po angielsku, który wyglądał jak płaskorzeźba w drewnie. - Słuchaj - powiedział Wiktor i zaczął czytać:

*Zda mi się nagle, żem natchniony prorok,  
i tak konając przepowiadam o nim:  
Nie potrwa długo pożar tej swawoli,  
Gwałtowny ogień sam się wnet wypala;  
Drobny deszcz - długi, nagłe burze - krótkie,  
Wcześniej się zmęczy, kto się nadto kwapi.  
Żartok, żrąc chciwie, dławi się pokarmem...*

Podniósł wzrok na Michaiła.

- Wiesz, kto to napisał?

Michaił pokręcił głową, więc Wiktor podał mu nazwisko autora.

- Teraz powtórz je - zażądał.

- Szak... Szaka... Szakspir.

- Szekspir - powiedział z naciskiem Wiktor. Przeczytał jeszcze kilka linijek pełnym namaszczenia głosem.

*Ten szczęsny naród, ten w treści świat cały,  
Ten klejnot w srebrnym osadzony morzu,  
Które go kręgiem otacza, jak szaniec  
Lub jak obronny przekop wkoło zamku,  
Przeciw zawiści mniej szczęśliwych krajów;  
Ten błogi ogród, to berło, ta Anglia...<sup>1</sup>*

Popatrzył Michaiłowi w oczy.

- To jest kraj, w którym nie mordują swoich nauczycieli, przynajmniej nie robili tego do tej pory. Zawsze chciałem zobaczyć Anglię, tam człowiek może żyć wolny - ciągnął, a jego oczy zabłyśły blaskiem odległych światła. - W Anglii nie palą książek i nie zabijają dlatego, że im to sprawia przyjemność. Och, nigdy nie zobaczę tego kraju - przerwał nagle swe wywody. - Ale ty mógłbyś. Jeżeli kiedykolwiek wydostaniesz się stąd, to jedź do Anglii. Sprawdzisz, czy jest to takie rajskie miejsce. Dobrze?

---

<sup>1</sup> William Szekspir: „Tragedia Ryszarda II”, tłum. Stanisław Koźmian.

- Tak, proszę pana - zgodził się Michaił, nie zdając sobie w pełni sprawy z tego, co obiecuje.

Nad lasem przeszedł szary cień jednej z ostatnich śnieżyc i do Rosji zawitała wiosna. Zwiastowały ją ulewne deszcze, po których nastąpił zielony wybuch natury. Michaił doświadczał szalonych snów. Biegał w nich na czterech łapach, a jego ciało mknęło przez ciemną przestrzeń. Kiedy się budził, drżał zlany potem. Czasami dostrzegał u siebie czarne włosy pojawiające się przelotnie na ramionach, piersiach albo nogach. Kości pulsowały mu takim bólem, jakby były łamane i łączone na powrót. Kiedy słyszał piękne, odbijające się echem wezwania Wiktora, Nikity albo Renati wyruszających na polowanie, jego gardło drżało, a tęsknota przepęłniała mu serce. Przemiana nadchodziła do niego powoli i nieodwołalnie, zaczynała nad nim panować.

Pewnej nocy na początku maja Aleksa zaczęła się zwijać z bólu i krzyżeć, przytrzymywana przez Pauli i Nikitę. Wkrótce zakrwawione dłonie Renati pomogły wydostać się na świat dwojgu dzieciom. Michaił zobaczył je, zanim Renati szepnęła coś do Wiktora i przykryła ciała szmatami. Jedna z bezwładnych istot, o ludzkich kształtach, nie miała lewego ramienia i nogi i pokryta była śladami ugryzień. Drugie ciało, uduszone przez szarą pępowinę, miało pazury i kły. Renati zawinęła dokładnie martwe istoty, zanim Franko lub Aleksa zdołali je zobaczyć.

Aleksa uniosła głowę i z twarzą błyszczącą od potu szepnęła:

- Czy to chłopcy? Czy to chłopcy?

Michaił odszedł, nie czekając na odpowiedź Renati. Po chwili dopędził go szloch Aleksy. W korytarzu omal nie zderzył się z Frankiem, który odepchnął go, śpiesząc do środka.

Kiedy słońce ukazało się na niebie, zabrali zawinięte w szmaty noworodki do miejsca położonego o pół mili na południe od Białego Pałacu. Zapytana o nie przez Michaiła Renati nazwała je Ogrodem. Jak powiedziała, w Ogrodzie leżeli wszyscy mali. Był otoczony przez wysoko wznoszące się brzozy, pośród których na miękkiej, pokrytej liśćmi ziemi leżały kamienie znaczące miejsca pochówku. Franko i Aleksa uklękli i razem zaczęli kopać rękami groby, a Wiktor trzymał w rękach ciała. Michaił pomyślał najpierw, że to, co robią, jest okrutne, ponieważ Aleksa kopiąc łkała, a po jej twarzy spływały łzy. Po kilku chwilach jednak płacz ustał i zaczęła pracować intensywniej. Michaił zrozumiał, że w ten sposób wataha chowa swoich zmarłych. Siła pracujących mięśni wypierała łzy i palce posłusznie kopały w ziemi. Pozwolili Frankowi i Aleksie, żeby kopali tak głęboko, jak tylko mieli ochotę. Potem Wiktor ułożył ciała w grobach, a oni zakryli je znowu ziemią i liśćmi.

Michaił rozejrzał się po wszystkich małych prostokątach ułożonych z kamienia. W tej części Ogrodu leżały noworodki, a dalej, w głębszym cieniu, dorośli. Wiedział, że leży tam Andriej, podobnie jak wszyscy członkowie watahy, którzy umarli przed jego przybyciem do Białego Pałacu. Policzył, że umarło wiele noworodków: więcej niż trzydzieścioro. Wataha usiłowała mieć dzieci, ale one umierały. „Czy jest możliwe, żeby przetrwało dziecko, które jest częściowo wilkiem, a częściowo człowiekiem?” - myślał patrząc, jak ciepły wiatr porusza gałęziami. Nie sądził, żeby ciało niemowlęcia mogło znieść taki ból, a gdyby jakikolwiek noworodek mógł znieść to cierpienie, to musiałby mieć wyjątkowo silnego ducha.

Franko i Aleksa odszukali odpowiednie kamienie i ułożyli je wokół grobu. Wiktor nie odezwał się ani do nich, ani do Boga. Kiedy praca została ukończona, odwrócił się i odszedł, szurając sandałami po poszyciu. Michaił zobaczył, jak Aleksa wyciągnęła rękę do Franka, ale on pośpiesznie odsunął się od niej i odszedł, nie czekając na nią. Stała przez chwilę, patrząc za nim, a słońce błyszczało na jej długich złotych włosach. Michaił widział, jak drżą jej wargi, i pomyślał, że znowu będzie płakała, ale ona wyprostowała się, a w jej oczach pojawił się wyraz zimnej pogardy. Zrozumiał, że miłość między nią a Frankiem umarła w chwili, gdy niemowlęta znalazły się w grobie. A może Franko uznał ją teraz za mniej wartą. Michaił patrzył na nią, a ona zdawała się rosnać w jego oczach. Odwróciła głowę i zatrzymała na nim wzrok. Wpatrywała się w niego swymi lodowatoniebieskimi oczami.

- Będę miała chłopca - powiedziała Aleksa. - Będę miała.

- Twoje ciało jest zmęczone - rzekła Renati, stając za Michaiłem. - Poczekaj jeszcze rok - dodała.

- Będę miała chłopca - powtórzyła Aleksa uparcie. Znowu przesunęła wzrok, zatrzymując go na twarzy Michaiła. Poczuli, że drży gdzieś w głębi, i wtedy Aleksa odwróciła się gwałtownie i odeszła z Ogrodu w ślad za Nikitą i Pauli.

Renati pokręciła głową, stojąc nad świeżymi grobami.

- Mali - powiedziała łagodnie - och, mali. Mam nadzieję, że będzie wam lepiej w niebie. - Odwróciła się do Michaiła. - Nienawidzisz mnie? - zapytała.

- Nienawidzę? - powtórzył zaskoczony pytaniem. - Nie.

- Zrozumiałabym cię, gdybyś mnie nienawidził - powiedziała. - W końcu to ja wprowadziłam cię do tego życia. Nienawidziłam tego, który mnie ugryzł. On leży tam, przy samym brzegu - wskazała ruchem głowy w kierunku zacienionego miejsca. - Byłam żoną szewca. Jechaliśmy na wesele siostry. Powiedziałam Tiomce, że źle skręcił, ale czy chciał mnie słuchać? Oczywiście, że nie. - Odwróciła się ku większemu obramowaniu z kamieni. - Tiomka umarł w trakcie przemiany. O, już dwanaście wiosen temu. Nie był zbyt postawnym



mężczyzną i byłby z niego byle jaki wilk, ale kochałam go. - Uśmiechnęła się, jednak uśmiech szybko znikł z jej twarzy. - Te wszystkie groby mają swoją historię, ale niektóre z nich są z czasów, kiedy nie było tu jeszcze Wiktora. Więc chyba można powiedzieć, że pozostaną nie rozwiązanymi zagadkami.

- Od jak dawna... wataha tu mieszka? - zapytał Michaił.

- Och, nie wiem. Wiktor mówi, że ten stary człowiek, który umarł w rok po moim przybyciu, mieszkał tu przez ponad dwadzieścia lat, a on opowiadał o innych, którzy żyli tu dwadzieścia lat wcześniej od niego. Kto to może wiedzieć? - powiedziała, wzruszając ramionami.

- Czy kiedykolwiek ktoś tu się urodził i przeżył?

- Wiktor mówi, że słyszał o siedmiu czy ośmiu takich, którzy tu przyszli na świat i przetrwali. Oczywiście wszyscy potem po latach umarli. Ale większość noworodków rodziła się martwa albo umierała po kilku tygodniach. Pauli przestała już próbować. Ja też. Aleksa jest jeszcze dość młoda, żeby nadal próbować, ale pochowała tyle noworodków, że jej serce musi być jak te kamienie. Ach, żal mi jej. - Renati rozejrzała się po Ogradzie i podniosła wzrok na wielkie brzozy, przez których korony przeświecało słońce. - Znam twoje następne pytanie - powiedziała, zanim Michaił zdążył otworzyć usta. - Odpowiedź brzmi: nie. Nikt z watahy nigdy nie opuścił tych lasów. To jest nasz dom. To zawsze będzie nasz dom.

Michaił skinął głową. Nadal miał na sobie resztki swoich zeszłorocznych ubrań, ale poprzedni świat, świat człowieka, był już dla niego mglistym dawnym wspomnieniem. Teraz słyszał śpiew siedzących na drzewach ptaków i patrzył, jak niektóre przelatują z gałęzi na gałąź. Były piękne, ale od razu go zaciekawiło, czy dobrze smakują.

- No, chodź, wracajmy.

Ceremonia już się zakończyła i Renati ruszyła w kierunku Białego Pałacu, a Michaił poszedł za nią. Nie uszli zbyt daleko, kiedy usłyszał odległy wysoki gwizd. Może milę na południowy wschód, ocenił. Zatrzymał się, nasłuchując. To nie ptak, ale...

- Ach - powiedziała Renati - to oznaka lata. Pociąg zaczął kursować. Niedaleko stąd przechodzą przez las tory. - Zatrzymała się na chwilę, widząc, że Michaił stoi w miejscu. Znowu rozległ się krótki przenikliwy dźwięk. - Pewnie na torach są sarny - zauważyła Renati. - Czasami można je tam znaleźć nieżywe. Są niezłe, o ile słońce i sępy nas nie uprzedzą. - Gwizd pociągu przycichł w oddali. - Michaił - ponagliła go.

Michaił nadal nasłuchiwał. Gwizd obudził w nim jakąś tęsknotę, ale sam nie wiedział za czym. Renati czekała na niego, a po lesie krążył berserker. Trzeba było iść dalej. Michaił

jeszcze raz obejrzał się na ogród wypełniony prostokątnymi obramowaniami z kamieni i poszedł za Renati do domu.

Dwa dni po pogrzebie niemowląt Franko chwycił Michaiła za ramię, gdy ten klęcząc na kolanach przed Białym Pałacem szukał w ściółce larw, i podniósł go na nogi.

- Chodź - powiedział. - Musimy gdzieś pójść.

Ruszyli na południe przez las. Franko obejrzał się i stwierdził z zadowoleniem, że nikt ich nie śledzi.

- Dokąd idziemy? - zapytał Michaił, gdy Franko ciągnął go za sobą.

- Do Ogrodu. Chcę zobaczyć swoje dzieci.

Michaił próbował się wyrwać, ale Franko jeszcze mocniej ścisnął go dłonią za ramię. Chciał zawołać kogoś, bo nie przepadał za Frankiem, ale wiedział, że wataha nie akceptuje takich zachowań. Nie spodobałoby się to Wiktorowi, według którego Michaił powinien sam dawać sobie radę.

- Po co ci jestem potrzebny?

- Do kopania - powiedział Franko. - Zamknij gębę i chodź szybciej.

Oddalając się od Białego Pałacu, weszli w las, który zamknął za nimi swe zielone wrota. Michaił zrozumiał, że Franko robi coś, czego nie powinien robić. Być może prawa watahy nie zezwalały na otwieranie grobów po pochowaniu niemowląt, być może ojcu nie wolno było oglądać martwych dzieci. Nie wiedział, dlaczego Franko to robi, ale wiedział, że wykorzystuje go do czegoś, co nie spodoba się Wiktorowi. Wlókł się niechętnie, a Franko ścisnął jego ramię, ciągnąc go za sobą.

Dotrzymywanie kroku Frankowi nie było łatwe. Szedł wielkimi krokami i po pewnym czasie Michaiłowi zaczęło rzezić w płucach.

- Jesteś słaby jak kawka - warknął do niego Franko. - Idź szybciej, powiedziałem.

Michaił potknął się o korzeń i upadł na kolana. Franko poderwał go na nogi i pociągnął dalej. W bladej twarzy mężczyzny i brązowych oczach było coś wściekłego, nawet w jego ludzkiej masce przeświecała twarz wilka. Michaił pomyślał, że może rozkopywanie grobów ściąga nieszczęście. To musiał być powód, dla którego Ogród leżał tak daleko od Białego Pałacu. Ale ludzka strona Franka przeważyła. Jak każdy mężczyzna pragnął zobaczyć owoc swego nasienia.

- Chodź, chodź - ponaglał Michaiła, kiedy obaj szybko parli przez las.

Po kilku minutach wpadli na polanę, na której leżały prostokąty z kamieni. Franko stanął tak nagle, że Michaił wpadł na niego, ale tamten nie zareagował, jęknął tylko bezsilnie.

- O Boże! - wyszeptał.

Michaił też to zobaczył: groby były rozkopane, a kości leżały rozrzucone na ziemi. Duże i małe czaszki, niektóre ludzkie, niektóre zwierzęce, a jeszcze inne będące mieszanką obydwu kształtów, leżały wokół w kawałkach. Franko wchodził dalej w ogród, a jego dłonie zaczęły się przemieniać w wilcze łapy. Niemal wszystkie groby zostały rozryte, a ich zawartość wydobyta na zewnątrz, porozbijana i bezładnie rozrzucona. Michaił spojrział na szczyt ostrą kły czaszkę, z której szczytu spływały siwe pasma włosów. Obok leżały kości dłoni i nieco dalej kość przedramienia. Zobaczył mały odkształcony kręgosłup, a potem czaszkę niemowlęcia zmiażdżoną przez jakąś okropną siłę. Franko szedł dalej w kierunku miejsca, gdzie niedawno zostały pochowane niemowlęta. Depcząc po starych kościach, nastąpił na jakąś czaszkę, której dolna szczeka pękła z traskiem jak kawałek pożółkłego ze starości drewna. Zatrzymał się, chwiejąc na nogach, i wbił wzrok w jamy ziejące tam, gdzie dwa dni wcześniej złożono ciała noworodków. Na ziemi leżała rozerwana szmata. Franko podniósł ją i wtedy coś czerwonego i pokrytego przez muchy wysunęło się z niej i spadło w liście.

Noworodek został przecięty na pół. Górna partia ciała razem z głową zniknęła, a na pozostałej części widać było ślady wielkich kłów. Muchy krążyły w powietrzu, wypełnionym wonią krwi i rozkładu, wokół twarzy Franka. Spojrział w prawo na kolejną czerwoną plamę na ziemi. To była mała noga pokryta delikatnym brązowym włosem. Jęknął okropnie, cofając się przed szkarłatnym resztkami i depcząc stare, pękające kości.

- Berserker - Michaił usłyszał jego szept.

W koronach drzew śpiewały ptaki, szczęśliwe i nie zdające sobie z niczego sprawy. Wszędzie wokół były rozkopane groby i poniewierały się fragmenty szkieletów, zarówno ludzkich, jak i wilczych. Franko odwrócił się gwałtownie do Michaiła i wtedy chłopiec zobaczył jego twarz - mięśnie napięły mu się na policzkach, a oczy zaszklily i uwypukliły. Ostry odór zgnilizny dotarł do nozdrzy Michaiła.

- Berserker - powtórzył słabym, trzęsącym się głosem Franko. Rozejrzał się, węsząc w powietrzu. Pot błyszczał mu na twarzy - Gdzie jesteś?! - krzyknął Franko, przerywając śpiew ptaków. - Gdzie jesteś, ty sukinsynu? - Dał krok w jedną stronę, potem w drugą, jakby jego nogi chciały go rozerwać na pół. - Wychodź! - wrzasnął, obnażając zęby i dysząc całą pierś. - Będę z tobą walczył! - Podniósł wilczą czaszkę i rzucił nią o drzewo. Rozpadła się z traskiem, który zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu. - Niech cię piekło pochłonie! Wychodź!

Muchy obijały się o twarz Michaiła i odlatywały wystraszone przez Franka, który kipiał z wściekłości. Jaskrawe czerwone plamy pokazały się na jego zapadniętych policzkach, a ciało drżało mu jak napięta niebezpiecznie sprężyna.

- Wychodź walczyć! - zawołał. Spłoszone ptaki poderwały się z gałęzi.

Nic nie odpowiedziało na wezwanie Franka. Szczęzące zęby czaszki leżały jak niemi świadkowie masakry, a czarna kurtyna z much pokrywała czerwone resztki ciał niemowląt.

Franko natarł na Michaiła, zanim ten zdążył podjąć próbę obrony. Podniósł go w górę i przycisnął plecami do drzewa tak mocno, że całe powietrze uszło z płuc chłopca.

- Jesteś niczym! - wrzeszczał Franko. - Słyszysz mnie? - Potrząsnął Michaiłem. - Jesteś niczym!

W oczach chłopca pojawiły się łzy bólu, ale nie pozwolił im spłynąć po twarzy. Franko chciał coś zniszczyć, tak jak berserker zniszczył ciała jego dzieci. Uderzył jeszcze mocniej plecami Michaiła o drzewo. - Nie potrzebujemy ciebie! - krzyknął. - Jesteś małym, słabym gów...

I wtedy to nastąpiło. Szybko jak błyskawica, tak szybko, że

Michaił sam nie wiedział do końca, kiedy to się stało. Gdzieś w środku zapalił się ogień parzący mu wewnątrz, przez sekundę poczuł oślepiający ból i nagle jego prawa ręka, a raczej wilcza łapa pokryta czarnymi włosami, które pojawiły się od dłoni aż niemal do łokcia, wystrzeliła do przodu i przejechała po policzku Franka. Głowa mężczyzny odskoczyła, a w miejscu, gdzie uderzyły go pazury, pokazały się krwawe bruzdy. Franko był oszołomiony, z pełnymi strachu oczami wypuścił Michaiła i odskoczył. Krew ściekała mu czerwonymi strumykami po twarzy.

Michaił stanął na nogach z łomoczącym sercem. Był tak samo zaskoczony jak Franko. Patrzył na swoją wilczą łapę z jaskrawoczerwoną krwią i strzępami skóry Franka na końcach białych pazurów. Czarne włosy zawędrowały już powyżej łokcia. Czuł nacisk w odkształcających się kościach ramienia. Łokieć wyskoczył mu ze stawu z głuchym trzaskiem. Ręka skróciła się, a kości zgrubiały pod wilgotną, porośniętą skórą. Błyszczące granatowo w promieniach słońca włosy przesunęły się po jego ręce wyżej w kierunku barku. Michaił poczuł pulsujący ból w szczękach i na czole, jakby na jego czaszce zaczęły się zaciskać żelazne kleszcze. Łzy popłynęły mu z oczu i stoczyły się po policzkach. Teraz zaczęła się przemieniać jego lewa ręka. Palce skracały się z trzaskiem; zaczęły pojawiać się na nich włosy i młode białe pazury. Coś się działo z jego zębami, naciskały mu na język i rozsadały dziąsła. W ustach poczuł smak krwi. Był przerażony. Popatrzył z rozpaczą na Franka, szukając pomocy, ale ten tylko gapił się na niego szklistym wzrokiem, a krew nadal

skapywała mu z policzka. Pachniała jak czerwone wino, które ojciec i matka Michaiła pili z kryształowych kielichów w innym życiu. Jego mięśnie naprężyły się i zadrżały, nabrzmiewając na barkach i plecach. W kroczu pod brudnym ubraniem wybuchły czarne włosy.

- Nie. - Michaił usłyszał własny jęk, brzmiący jak charkot przerażonego zwierzęcia. - Nie. Proszę... nie. - Nie chciał tego. Nie mógł tego znieść, jeszcze nie. Osunął się na kolana, przyduszony ciężarem zginających się kości i nabrzmiewających mięśni.

Chwilę później czarne włosy, które obrosły mu już prawy bark, zaczęły się cofać, odsłaniając rękę. Pazury na palcach zatrzeszczały i znowu się wydłużyły, powracając do poprzedniej postaci. Kości zaczęły się rozprostowywać, a mięśnie pomniejszyły się do normalnej wielkości. Szczeka i kości twarzy z trzaskiem zaczęły wracać do dawnego wyglądu. Poczł, jak zęby wsuwają mu się znowu na właściwe miejsca w dziąsłach, czemu towarzyszył chyba najsilniejszy ból. W niespełna czterdzieści sekund po jej rozpoczęciu przemiana już całkowicie ustąpiła. Michaił zamrugał oczami, żeby pozbyć się palących łez, i spojrzał na swoją ludzką, pozbawioną włosów rękę. Spod paznokci sączyła się krew. Zniknął nie znany mu wcześniej ciężar nowych mięśni. Dotknął językiem swoich ludzkich zębów, czując, jak krew miesza mu się ze śliną. Skończyło się.

- Ty mały draniu - powiedział Franko, ale większość animuszu już go opuściła. Wyglądał tak, jakby uszło z niego powietrze. - Nie potrafiłeś przez to przejść, co? - Dotknął swego rozoranego policzka i spojrzał na dłoń, która pokryła się krwią. - Powinienem cię zabić - powiedział. - Skaleczyłeś mnie. Powinienem rozerwać cię na strzępy, ty mały gnojku.

Michaił podniósł się z trudem na nogi, były słabe i nie chciały go unieść.

- Nie warto nawet cię zabić - rzekł Franko. - W dalszym ciągu jesteś bardziej człowiekiem. Powinienem cię tutaj zostawić i nigdy nie znalazłbyś powrotnej drogi. - Otarł krew z poranionej twarzy i znowu popatrzył na swą dłoń. - O cholera - powiedział ze złością.

- Dlaczego... tak mnie nienawidzisz? - zdołał zapytać Michaił. - Nigdy ci nic nie zrobiłem.

Franko milczał przez chwilę i Michaił pomyślał, że nie zamierza mu odpowiedzieć. Po chwili jednak mężczyzna odezwał się cierpkim tonem.

- Wiktor myśli, że jesteś czymś specjalnym - ze wstrętem przeciągnął ostatnie słowo. - Mówi, że nigdy nie widział, żeby ktoś walczył o życie tak jak ty. O, on od ciebie wiele oczekuje. - Chrząknął sarkastycznie. - Jesteś słabym gnojkiem, ale mogę przyznać jedno: masz szczęście. Wiktor nigdy wcześniej dla nikogo nie polował. Robi to dla ciebie, ponieważ,

jak mówi, nie jesteś gotowy do przemiany, a ja mówię, że albo zostaniesz jednym z nas na całego, albo cię zjemy. I to ja rozwałę ci czaszkę i zjem mózg. Co o tym myślisz?

- Myślę... - Michaił znowu usiłował się podnieść. Twarz miał mokrą od potu. Uniósł się wspierany siłą woli i obolałych mięśni. Nogi znowu niemal całkiem odmówiły mu posłuszeństwa, ale jakoś się utrzymał. Oddychając urywanie, spojrzał w twarz Franka. - Myślę, że kiedyś... będę musiał cię zabić!

Franko wpatrywał się w niego. Cisza przeciągała się i tylko gdzieś w oddali krakały wrony. Wtem Franko roześmiał się, a raczej wydał z siebie jakieś parsknięcie. Skrzywił twarz i znowu przycisnął palce do swego pokaleczonego policzka.

- Ty? Zabić mnie? - Znowu się roześmiał i skrzywił twarz. Jego oczy były zimne i obiecywały okrucieństwo. - Dzisiaj pozwolę ci żyć - rzekł jakby z dobroci serca, ale Michaił się domyślał, że mówi tak, gdyż boi się Wiktora. - Jak już powiedziałem, masz szczęście.

Rozejrzał się, mrużąc oczy i wyęzając zmysły. Poza rozgrzebanymi grobami i połamanymi kośćmi nigdzie nie pozostał ślad po berserkerze. Na rozgrzebanej glebie i masach zeszlórocznych liści nie było żadnych odcisków łap, a na krzewach - żadnych strzępów futra. Przed przyjściem do ogrodu berserker wytarzał się w rozkładającym się mięsie, żeby zamaskować swą woń. Franko przypuszczał, że świętokradczy czyn został dokonany jakieś sześć, siedem godzin przed ich przybyciem do Ogrodu. Odszedł kilka stóp, pochylił się i odpedził ręką muchy. Podniósł z ziemi maleńką oderwaną od ciała rękę i wyprostował się. Delikatnie dotykał palców, badając je jak płatki egzotycznego kwiatu.

- To było moje - powiedział cichym głosem.

Znowu się pochylił, odgarnął garść ziemi, włożył w dołek zmasakrowaną rękę i delikatnie ją przysypał. Przyklepał ziemię i zakrył brązowymi liśćmi. Potem przez długi czas siedział w kucki, a muchy brzęczały mu nad głową, szukając utraconego łupu. Kilka z nich usiadło na jego krwawiącym policzku i zaczęło się tam pożywiać, ale on się nie ruszył. Wpatrywał się tępo przed siebie w rozgrzebaną ziemię i liście.

W pewnej chwili podniósł się nagle, odwrócił plecami do zrujnowanego Ogrodu i ruszył w las, nie oglądając się na Michaiła. Chłopiec pozwolił mu się oddalić, znał drogę do domu. Gdyby nawet stracił orientację, to mógł pójść za zapachem krwi Franka. Wracały mu siły, a głowa i serce przestawały łomotać. Patrzył na Ogród z rozrzuconymi szkieletami, myśląc o tym, w którym dokładnie miejscu zostaną złożone jego kości i kto je okryje. Odwrócił się, odpychając te myśli, i ruszył za Frankiem, wypatrując na ziemi pozostawionych przez niego śladów stóp.





Nadeszły i minęły trzy kolejne wiosny i lato, dwunaste lato w życiu Michaiła, zaczęło wypalać gorącym las. W ciągu tych trzech lat wiele się wydarzyło w życiu watahy. Renati omal nie umarła z powodu robaków pochodzących z chorego dzika. Dopóki nie wróciła do zdrowia, sam Wiktor pielęgnował ją i polował dla niej, pokazując, że nawet granit może być wrażliwy. Pauli urodziła dziewczynkę, którą spłodził Franko. Dziecko umarło w nocy, gdy miało dwa miesiące. W agonii jego ciało skręcało się, pokrywając jasnobrazowym włosiem. Nikita był ojcem dziecka, które nosiła w brzuchu Aleksa, ale poroniła w strumieniu krwi, kiedy płód miał niecałe cztery miesiące.

Michaił chodził w pelerynie z sarniej skóry i sandałach, które zrobiła dla niego Renati. Jego stare ubranie było już o wiele za małe i porwane. Rósł i robił się coraz silniejszy. Gęste czarne włosy zwisały mu do ramion. Jego intelekt też rósł, żywiony książkami: matematyką, historią Rosji, językami, literaturą klasyczną. Była to uczta, której dostarczał mu Wiktor. Czasami przyswajał ją łatwo, innymi razy aż się nią dławził, ale grzmiący głos Wiktora, napęnlający oświetloną przez ognisko komnatę, przywracał go do porządku. Szekspir nawet podobał się Michaiłowi, a szczególnie ponury nastrój i duchy z „Hamleta”.

Jego zmysły też się rozwijały. Nie istniała już dla niego żadna prawdziwa ciemność; najczarniejsza noc była szarym zmierzchem, w którym sylwetki ludzi i zwierząt malowały się przed jego oczami w niesamowitej jasnoniebieskiej poświacie. Kiedy się naprawdę skoncentrował, mógł znaleźć każdego z watahy w Białym Pałacu, kierując się różnorodnym rytmem ich serc. Serce Aleksy na przykład zawsze biło szybko jak mały bębenek, podczas gdy serce Wiktora uderzało z powolną i solidną precyzją jak świetnie dostrojony instrument. Coraz intensywniej odbierał kolory, dźwięki i aromaty. W dzień był w stanie dostrzec z odległości stu jardów sarnę biegnącą przez gęsty las. Poznał też znaczenie szybkości. Szczury, wiewiórki i króliki łapał z łatwością, w niewielkim zakresie uzupełniając spizarnię watahy, ale wymykały się mu większe zwierzęta. Często budził się ze snu, aby ujrzeć swoją rękę lub nogę pokrytą czarnymi włosami i przemieniającą się w wilczą łapę, ale nadal przerażała go pełnia przemiany. Chociaż jego ciało mogło być do niej gotowe, to jego umysł na pewno jeszcze nie. Nie mógł nadziwić się temu, jak inni mogli przemykać z jednego świata w drugi niemal jakby na własne życzenie. Najszybszym z nich oczywiście był Wiktor. Całkowita przemiana od ludzkiej do wilczej postaci nie zajmowała mu nawet czterdziestu sekund. Następny był Nikita, który dokonywał transformacji w czasie niewiele przekraczającym

czterdzieści pięć sekund. Aleksa miała najpiękniejsze futro, a Franko najgłośniej wył. Pauli była najbardziej nieśmiała, a Renati najbardziej litościwa: często pozwalała uciec najmniejszym i najbardziej bezbronnym zwierzętom, nawet kiedy podczas pościgu doprowadzała je do wyczerpania. Wiktor karmił ją za tę lekkomyślność, a Franko jej docinał, ale i tak robiła to, co chciała.

Dowiedziawszy się o zniszczeniu Ogrodu, pełen zimnej wściekłości Wiktor zabrał Nikitę i Franka na długą bezowocną wyprawę w poszukiwaniu leża berserker. W ciągu ostatnich trzech lat dawał on o sobie znać, zostawiając niewielkie kupki ekskrementów wokół Białego Pałacu, a pewnego razu wataha usłyszała w nocy jego wycie. Głęboki, gardłowy dźwięk dochodził z coraz to innej strony, kiedy berserker krążył wokół pałacu. To było wyzwanie do walki, ale Wiktor go nie podjął. Postanowił nie dać się wciągnąć w zasadzkę. Pauli przysięgała, że widziała go pewnej śnieżnej nocy na początku listopada, kiedy biegła u boku Nikity za sarną. Ruda bestia wyłoniła się ze śnieżycy tak blisko niej, że poczuła tchnienie jej wściekłego szaleństwa. Oczy berserker patrzyły na nią jak zimne, bezdenne studnie nienawiści. Otworzył paszczę, żeby zmiażdżyć jej gardło, ale wtedy Nikita skrzył w jej kierunku i berserker zniknął za zasłoną śniegu. Pauli przysięgała, że tak było, ale czasami zdarzało jej się mieszać koszmary senne z rzeczywistością, a Nikita nie pamiętał, żeby widział wtedy cokolwiek poza ciemnością nocy i wirującymi płatkami śniegu.

Pewnej nocy w połowie lipca, gdy Michał i Nikita w ludzkiej postaci cicho biegli przez las, ze ściółki leśnej podrywały się masy złotych much. Stada zwierzyny zostały przetrzebione przez suszę i w ostatnim miesiącu polowania były mało udane. Wiktor rozkazał Michałowi i Nikicie, aby przynieśli cokolwiek, i teraz Michał biegł najlepiej jak potrafił za starszym mężczyzną. Nikita wyprzedzał chłopca jakieś dwadzieścia stóp, przecierając szlak. Kierowali się na południe w równym tempie i po niedługim czasie mężczyzna zwolnił do różnego marszu.

- Dokąd idziemy? - zapytał Michał szeptem. Rozejrzał się w ciemności nocy za czymkolwiek żywym. Nie zobaczył nawet błysku oczu wiewiórki.

- Na tory - odpowiedział Nikita. - Zobaczymy, czy nam się uda łatwe polowanie.

Często wataha znajdowała na torach martwą sarnę, jelenia lub mniejsze zwierzę potracone przez pociąg, który przejeżdżał przez las dwa razy dziennie od maja do sierpnia, kierując się we dzień na wschód, a nocami na zachód.

W miejscu, gdzie las usiany był wielkimi głazami, a zbocze urwiska spadało na południe, z wykutego w skale tunelu o nierównych ścianach wylaniały się tory kolejowe. Przez ponad sześćset jardów biegły łukiem w dół po dnie lesistego wąwozu, a potem

wchodziły w kolejny tunel po zachodniej stronie. Michaił zszedł za Nikitą z nasypu i razem ruszyli wzdłuż toru, wypatrując ciemnego kształtu martwego zwierzęcia i wciągając ciepłe powietrze w nozdrza, żeby wykryć zapach świeżej krwi. Tego wieczoru nie było na torach żadnych martwych zwierząt. Kiedy podeszli do wschodniego tunelu, Nikitą powiedział niespodziewanie:

- Słuchaj.

Michaił wyteżył słuch i też usłyszał ten dźwięk. Łagodny grzmot jak odgłos pioruna. Ale niebo było czyste, a za zasłoną z rozedrganego od gorąca powietrza mrugały gwiazdy. Nadjeżdżał pociąg.

Nikitą pochylił się i przyłożył dłoń do drżącej stalowej szyny. Pociąg zbierał siły, żeby wkrótce potoczyć się w dół długim zjazdem. Za chwilę już miał wypaść z odległego od nich o kilka jardów ujścia tunelu.

- Lepiej już chodźmy - powiedział Michaił.

Nikitą nie ruszał się, nadal trzymając dłoń na szynie. Popatrzył w skalisty otwór tunelu, a potem przeniósł wzrok w kierunku wjazdu do zachodniego tunelu, daleko od miejsca, w którym stali.

- Przychodziłem tu kiedyś sam - powiedział cicho Nikitą. - Przyglądałem się, jak pociąg mija mnie z hukiem. To było przed berserkerem, niech go piekło pochłonie. Ale wiele razy patrzyłem na pędzący pociąg. Jeździ chyba do Mińska. Wyjeżdża z tamtego tunelu - wskazał ruchem głowy - i wjeżdża w ten. W niektóre noce, kiedy maszyniście śpieszy się do domu, pokonuje ten odcinek w niecałe trzydzieści sekund. Jeżeli jest pijany i trzyma za hamulec, to pociąg przemyka z jednego tunelu do następnego w trzydzieści pięć sekund. Wiem, bo liczyłem sekundy.

- A po co? - zapytał Michaił.

Łomot przybliżał się jak nadciągająca burza.

- Ponieważ któregoś dnia go prześcignę - powiedział Nikitą, podnosząc się. - Wiesz, co by było dla mnie najwspanialsze? - zapytał, wpatrując się w ciemnościach w Michaiła swymi migdałowymi mongolskimi oczami. - Chłopiec pokręcił głową. - Być szybkim - ciągnął Nikitą z coraz większym podnieceniem w głosie. - Najszybszym z całej watahy. Najszybszym ze wszystkich na świecie. Przejść przemianę w czasie od wyjazdu pociągu z pierwszego tunelu do wjazdu w drugi. Rozumiesz?

Michaił pokręcił głową.

- Więc przyglądaj się - powiedział Nikitą.

Zachodni tunel zaczął się rozjaśniać, a szyny trzęsły się już od pulsowania pociągu. Nikitą zrzucił pelerynę i stanął całkowicie nagi. I wtedy całkiem niespodziewanie pociąg wypadł z tunelu jak parszający smok o czarnej paszczy i pojedynczym żółtym, cyklopowym oku. Michaił odskoczył do tyłu, czując ogarniający go gorący podmuch. Nikitą, który stał tuż przy szynach, nawet nie drgnął. Wagony towarowe przelatywały obok z hukiem, a czerwone iskry wirowały w rozedrganym powietrzu.

Michaił zobaczył, że ciało Nikity napręży się, a następnie odkształca i pokrywa czarnymi włosami. Nikitą zaczął biec wzdłuż toru, jego plecy i nogi porosły już wilczą sierścią. Biegł w kierunku wschodniego tunelu. Kręgosłup Nikity wyginał się błyskawicznie, a ręce i nogi trzęsły się i skracały, jakby były wciągane do tułowia. Michaił zobaczył, jak czarne włosy zaczynają pokrywać pośladki przyjaciela, a u dołu pleców wyrasta mu coś ciemnego i guzowatego, co zaraz pękło rozwijając się w wilczy ogon balansujący jak ster. Kręgosłup Nikity zgiął się do dołu, więc biegł pochylony nad ziemią. Jego przedramiona zaczęły grubieć, a dłonie przemieniać się w łapy zakończone pazurami. Zrównał się z lokomotywą, biegnąc obok niej ku wlotowi do wschodniego tunelu. Maszynista naciskał na hamulec, ale kocioł w dalszym ciągu pracował pełną parą, wyrzucając iskry z komina. Potężne koła łomotały niedaleko od nóg Nikity. W pewnym momencie stopy mu się wykrzywiły, omal nie pozbawiając go równowagi, przez co stracił cenne sekundy. Lokomotywa wyprzedziła Nikitę, obsypując go iskrami i przesłaniając obłokiem czarnego dymu. Poczul w powietrzu nieczysty zapach człowieka, który jak trucizna wypełnił mu płuca. Michaił stracił Nikitę z oczu w burzy czarnego dymu.

Pociąg wjechał z rykiem we wschodni tunel, nie przerywając podróży do Mińska. Na poręczy ostatniego wagonu kołysała się w tę i z powrotem pojedyncza czerwona latarnia. Dno wąwozu wypełnił dym o gorzkim posmaku palonego świeżego drewna. Idąc w oparach wzdłuż toru, Michaił czuł jeszcze gorąco pozostałe po pociągu. Iskry nadal spadały na ziemię jak deszcz meteorytów.

- Nikitą - zawołał - gdzie jesteś?!

Coś potężnego i ciemnego skoczyło na niego.

Czarny wilk uderzył Michaiła w barki i obalił na ziemię. Stanął w rozkroku nad jego klatką piersiową i wpatrzył się w twarz chłopca swoimi skośnymi oczami i otworzył paszczę, odsłaniając czyste białe kły.

- Przestań - powiedział Michaił. Chwycił pysk Nikity ręką i odepchnął go od siebie. Wilk warknął i kłapnął zębami tuż przed jego twarzą. - Przestań już! - powtórzył Michaił. - Mało mnie nie rozgnieciesz!

Wilk znowu pokazał kły tuż przed nosem Michaiła i wtem wysunął wilgotny różowy język i przejechał nim po jego twarzy. Chłopiec wrzasnął, próbując odepchnąć od siebie zwierzę, ale ciężar Nikity go przytłaczał. W końcu wilk zszedł z piersi Michaiła, który usiadł, myśląc, że następnego ranka będzie miał na ciele siniaki pozostawione przez wilcze łapy. Nikita zaczął biegać w kółko za swoim ogonem, kłapiąc zębami, a potem wskoczył w wysokie chwasty na stoku wąwozu i zaczął się w nich tarzać.

- Zwariowałaś - powiedział Michaił, wstając na nogi. Kiedy Nikita się tarzał, jego ciało zaczęło się znowu zmieniać.

Rozległ się trzask rozciągających się ścięgien i łączących na nowo kości. Nikita mruknął z bólu, a Michaił odszedł kilka kroków, żeby tamten mógł być przez chwilę sam.

Po około trzydziestu sekundach usłyszał głos Nikity.

- Do cholery. - Mongoł przeszedł obok Michaiła, kierując się w górę zbocza, żeby odnaleźć swoją pelerynę. - Cholera. Potknąłem się o własne nogi - powiedział. - Zawsze mi przeszkadzają.

Michaił zrównał z nim krok. Czarny dym podnosił się z wąwozu, niosąc ze sobą żelazny odór cywilizacji.

- Nie rozumiem - powiedział. - Co ty chciałeś zrobić?

- Powiedziałem ci. Chcę być szybki. - Obejrzał się na tunel, w którym zniknął pociąg. - Wróci. Jutro wieczorem. I następnej nocy też. Znowu spróbuję. - Podniósł z ziemi pelerynę i narzucił ją na siebie. Michaił patrzył na niego tępo, nadal niewiele rozumiejąc. - Wiktor opowie ci pewną historię, jeśli go o to poprosisz. Mówi, że ten stary człowiek, który przewodził watasze, gdy Wiktor do niej dołączył, pamiętał kogoś, kto potrafił się przemienić w dwadzieścia cztery sekundy. Możesz to sobie wyobrazić? Od ludzkiej postaci do wilczej w dwadzieścia cztery sekundy! Sam Wiktor nie potrafi zejść poniżej pół minuty! A ja jestem beznadziejny.

- Nie. Nie jesteś. Jesteś szybki.

- Niewystarczająco szybki - powiedział Nikita z naciskiem. - Nie jestem najszybszy. Nie jestem najsilniejszy. Nie jestem najbystrzejszy. Ale całe życie, nawet gdy byłem chłopcem w twoim wieku i wypruwałem sobie żyły w kopalni węgla, chciałem być kimś szczególnym. Jak się pracuje długo na dole w kopalni, to

się marzy, żeby być ptakiem. Może mam nadal to samo marzenie, tylko teraz chcę, żeby moje nogi stały się skrzydłami.

- A jakie to ma znaczenie, czy jesteś najszybszy, czy...

- To ma znaczenie dla mnie. Daje mi cel, rozumiesz? Przychodzę tutaj latem, ale tylko w nocy. Nie chcę, żeby zobaczył mnie maszynista. Robię się coraz szybszy, tylko moje nogi jeszcze nie wiedzą, jak latać. - Wskazał ręką wzdłuż toru w kierunku odległego wschodniego tunelu. - Którejś nocy pokonam pociąg. Zacznę tu, w tym miejscu, jako człowiek i zanim pociąg dojedzie do drugiego tunelu, przebiegnę przez tory przed lokomotywą jako wilk.

- Przebiegniesz przez tory?

- Tak. Na czterech łapach - powiedział Nikita. - Teraz poszukajmy lepiej czegoś do jedzenia dla watahy, bo może nam na to nie wystarczyć nocy.

Ruszył w dół zbocza na wschód, a Michaił podążył za nim.

Niewiele ponad pół mili od miejsca, gdzie Nikita ścigał się z pociągiem, znaleźli leżącego na torach zająca. Patrzył wypukłymi oczami, jakby nadal był zahipnotyzowany przez błyszczące żółte oko potwora, który go przejechał. Był to niewielki łup, ale wystarczał na początek. Nikita złapał go za uszy i poniosł w ręce jak zepsutą zabawkę. Szukali dalej.

Woń krwi zająca spowodowała, że ślina napłynęła Michaiłowi do ust. Czuł, że lada moment z jego gardła wydobędzie się zwierzęce warczenie. Z każdym dniem coraz bardziej upodabniał się do reszty watahy. Przemiana czekała na niego jak mroczny przyjaciel. Nie musiał robić nic więcej, tylko wyciągnąć ręce i objąć ją, była tak bliska i gotowa. Nie wiedział jednak, jak nad nią panować. Nie miał pojęcia, jak wywołać przemianę w taki sposób, w jaki robili to pozostali. Czy to było jak rozkaz, czy jak marzenie? Bał się utraty resztki człowieczeństwa. Pełna przemiana doprowadziłaby go do miejsca, do którego nie ośmielał się pójść. Jeszcze nie, jeszcze nie teraz.

Ślina gromadziła mu się w ustach. Coś w nim zawarczało, ale nie w gardle, tylko w żołądku. Mimo wszystko nadal był bardziej chłopcem niż wilkiem.

Wiele nocy owego długiego suchego lata Michaił polował z Nikita wzdłuż torów kolejowych. Pewnego razu na początku sierpnia znaleźli małą sarnę z dwiema nogami obciętymi przez koła pociągu. Nikita nachylił się i spojrzał w wypełnione bólem oczy zwierzęcia. Michaił dostrzegł, że Nikita delikatnie gładzi je po boku. Mówił coś po cichu do sarny, próbując ją uspokoić, a potem położył dłonie na jej głowie i gwałtownie szarpnął.

Sarna osunęła się ze złamanym karkiem, już nie cierpiała. Nikita powiedział mu wtedy, że na tym właśnie polega miłosierdzie. Pociąg jeździł zgodnie z rozkładem. W niektóre noce przelatywał z rykiem w dół od tunelu do tunelu, a w inne hamulce piszczały, rozsiewając iskry. Michaił siedział na zboczu wąwozu osłonięty przez sosny i patrzył, jak Nikita ściga się z pociągiem wzdłuż torów, a jego ciało skręca się w przemianie, walcząc o zachowanie równowagi. Zawsze wyglądało na to, że jego nogi, te przyrośnięte do ziemi

skrzydła, odmawiają mu posłuszeństwa i nie chcą unieść go w powietrze. Nikita biegał coraz szybciej, ale nigdy nie dość szybko. Pociąg zawsze go wyprzedzał i wjeżdżał we wschodni tunel, pozostawiając wilka spowitego dymem.

Sierpień dobiegł końca i ostatni tego lata pociąg przejechał z hukiem w kierunku Mińska, błyskając czerwonym światłem rozkołysanej latarni. Nikita z opuszczonymi ramionami potruchtał z powrotem do miejsca, gdzie zostawił swój ubiór, a Michaił patrzył, jak z jego ciała znikają błyszczące czarne włosy. Nikita, znowu w ludzkiej postaci, włożył pelerynę, oddychając gorzkim odorem dymu, jakby wciągał woń potu niebezpiecznego i dającego respekt wroga.

- No cóż - powiedział w końcu - lato znowu nadejdzie.

Poszli do domu ku nadchodzącej jesieni.

Zima, okrutna biała dama, zacisnęła swą pięść na lesie i zamknęła go w lodowych okowach. Drzewa pękały na mrozie, jeziora zamieniły się w białe masy lodu, a niebo zaciągnęło niskimi chmurami i mgłą. Dzień po dniu słońce nawet się nie pokazywało i cały świat wyglądał jak ocean śniegu i czarnych, bezlistnych drzew. Nawet wrony, przystrojone w czarne garnitury elegantki, zamarzały na gałęziach albo wzbijały się w powietrze na sztywniejących skrzydłach, daremnie poszukując słońca. Tylko króliki śmigły pośród czarnej ciszy lasu, ale nawet one zaszyły się drżące w swoich norach, gdy z Syberii nadciągnęły wichry.

Wataha też trzęsła się z zimna w czeluściach Białego Pałacu. Wszyscy tłoczyli się wokół ogniska z sosnowych szyszek. Mimo to edukacja Michaiła postępowała sprawnie. Wiktor był rygorystycznym nauczycielem. Razem z chłopcem recytował utwory

Szekspira i Dantego, rozwiązywał zadania matematyczne i studiował historię Europy.

Pewnego dnia Pauli i Nikita wyszli na dwór, żeby przynieść więcej drewna na opał. Wiktor powiedział im, żeby trzymali się blisko Białego Pałacu i nie tracili się z oczu. Mgła opadła, utrudniając widoczność, ale ogień musiał być podtrzymywany. Nie minęło jeszcze pół godziny, kiedy Nikita wrócił do komnaty z naręczem patyków i poruszając się jak lunatyk, skierował się do ogniska. Miał posrebrzone przez szron brwi i włosy i przymglone oczy. Nie zatrzymując się, upuścił patyki na ziemię.

- Gdzie jest Pauli? - zapytał Wiktor, wstając.

Nikita powiedział, że była o dwadzieścia stóp od niego. Dwadzieścia stóp. Rozmawiali, usiłując rozgrzać się nawzajem słowami, i potem, całkiem niespodziewanie, Pauli przestała odpowiadać. Nie było żadnego wołania o pomoc, żadnych odgłosów walki we mgle. Pauli była koło niego, a już po chwili...

Nikita zaprowadził Wiktora i Franka na dwór, aby im pokazać to miejsce. Nie dalej niż czterdzieści jardów od pokrytego lodem pałacu znaleźli na śniegu jaskrawe plamy krwi. Koło nich ujrzeni pokrwawioną pelerynę Pauli. Na ziemi leżało kilka wyglądających jak zbielełe kości patyków. Ślady stóp Pauli skończyły się w miejscu, gdzie z ciemnych zarośli wynurzały się odciski łap berserkera. Dalej ciągnęła się w śniegu bruzda pozostawiona przez wleczone ciało, która prowadziła przez pagórek i zniknęła w gęstym lesie. Znaleźli też fragmenty wnętrza Pauli. Wyglądały jak fioletowe siniaki na śniegu. Ślady łap berserkera i bruzda wyżłobiona przez wleczone ciało ciągnęły się dalej przez las. Wiktor, Franko i Nikita



zdjęli swoje ubiory i trzęsąc się z zimna, przeszli przemianę w przywierającej do ich ciał mgłę. Trzy wilki - jeden szary, jeden jasnobrązowy i jeden czarny - ruszyły tropem berserkera, przeskakując przez zasy. O milę na wschód znaleźli zaklinowaną między dwiema skałami, niebieską jak marmur rękę, która została oderwana od barku. Doszli do miejsca pełnego urwisk, w którym wiatr zwał do czysta śnieg z ostrych skał, i wtedy skończyły się zarówno tropy berserkera, jak i wszelkie ślady po ciele Pauli.

Przez następne kilka godzin trzy wilki zataczały kręgi, oddalając się coraz bardziej od Białego Pałacu. W pewnej chwili Franko odniósł wrażenie, że widzi wielki rudy kształt stojący na wystającej półce skalnej, ale mieciony wiatrem śnieg przesłonił widok na kilka sekund i kiedy po chwili zawieja zelżała, sylwetka zwierzęcia już znikła. Nikita wyczuł zapach Pauli, zapach letniego siana w podmuchu wiatru. Ruszyli za nim na północ i po przejściu kolejnej mili znaleźli jej głowę leżącą na dnie rozpadliny. Czaszka była rozłupana, a w jej wnętrzu nie było mózgu.

Doszli tropem berserkera do krawędzi skalistej rozpadliny, której ściany poznaczone były pieczarami, i tam zgubili jego ślad. Któraś z tych pieczar mogła kryć leże berserkera. Gdyby jednak było inaczej, to Wiktor, Nikita i Franko narażaliby życie na darmo, decydując się na niebezpieczne zejście w dół. Padało coraz bardziej i żelazisty zapach śnieżycy wypełnił szarością powietrze. Wiktor parsknął, podrzucając głową, żeby dać sygnał do odwrotu, i wszyscy zawrócili w długą drogę do domu.

Wiktor opowiedział to wszystko, gdy siedzieli wokół ognia. Skończywszy mówić, odsunął się i usiadł samotnie w kącie. Zaczął gryźć kości dzika, wpatrując się w puste legowisko, na którym do tej pory spoczywała Pauli, a jego oczy płonęły w zimnej poświacie ogniska.

- Trzeba iść i upolować tego sukinsyna! - zawołał Franko, przekrzykując huk szalejącej za ścianami śnieżycy. - Nie możemy tak siedzieć tutaj jak... jak...

- Jak ludzie? - zapytał cicho Wiktor. Podniósł z ogniska małą gałązkę i zaczął wpatrywać się w jej płomień.

- Jak tchórze! - krzyknął Franko. - Najpierw Bieły, potem Ogród, a teraz Pauli! On nie przestanie, dopóki nas wszystkich nie zabije!

- Nie możemy wyjść w tej burzy - zauważył Nikita. - Berserker też nie.

- Musimy go znaleźć i zabić - powtórzył Franko, chodząc gniewnie przed ogniem i niemalże potracając nogami Michaiła. - Gdybym tylko mógł dosięgnąć pazurami jego gardła, tobym...

- To byłbyś jego śniadaniem - parsknęła z pogardą Renati.

- Zamknij się, ty stara wiedźmo! Kto cię pytał o zdanie?

W mgnieniu oka Renati poderwała się na nogi i rzuciła w kierunku Franka, który obrócił się do niej twarzą. Rdzawe włosy wyskoczyły na zewnętrznych stronach dłoni Renati, a jej palce zaczęły się zakrzywiać, przemieniając w pazury.

- Przestańcie - powiedział Wiktor. Spojrzała na niego. Kości jej twarzy już się przekształcały. - Renati, proszę, przestań - powtórzył Wiktor.

- A niech go zabije - powiedziała Aleksa. Lodowatoniebieskie oczy błyszczały w jej pięknej twarzy. - Zasłużył sobie na śmierć.

- Renati... - Wiktor podniósł się. Plecy Renati zaczęły się wyginać.

- No chodź, chodź! - warknął Franko. Podniósł prawą rękę, która już się pokryła jasnobrązowymi włosami i zamiast palców miała pazury. - Jestem gotowy!

- Przestańcie! - krzyknął Wiktor, aż Michaił podskoczył. To był grzmiący głos jego nauczyciela. Echo krzyku Wiktora odbiło się od ścian. - Jeżeli pozabijamy się nawzajem, to berserker wygra. Będzie mógł przyjść tutaj i zabrać nasz dom, a my będziemy leżeli martwi. Przestańcie. Oboje. Musimy myśleć jak ludzie, a nie zachowywać się jak zwierzęta.

Renati zamrugła oczami, miała zniekształcone usta i szczękę. Strumyk śliny ściekał jej po dolnej wardze, po pokrytym rdzawym włosem podbródka, zawisł na nim na chwilę i odpadł. Jej twarz zaczęła znowu wracać do ludzkiej postaci, mięśnie zadrgały pod skórą, a kły cofnęły się z mokrymi cmoknięciami. Wilczy włos skrócił się i zniknął. Renati podrapała się po grzbietach dłoni podrażnionych przez resztki znikających włosów.

- Ty gnojku - powiedziała, patrząc wprost na Franka. - Masz mi okazywać szacunek, zrozumiano?

Franko chrząknął i uśmiechnął się do niej lodowato. Wykonał pod jej adresem pogardliwy ruch ręką, znowu w pełni ludzką i bladą, i odszedł od ciepła ogniska. Piżmowa woń rozwścieczonych zwierząt nadal utrzymywała się w powietrzu.

Wiktor stał pomiędzy Renati i Franko, czekając, aż ochłona, i w końcu powiedział:

- Jesteśmy rodziną, a nie wrogami. Berserker chciałby, żebyśmy skoczyli sobie nawzajem do gardeł. To bardzo by mu ułatwiło zadanie. - Wrzucił do ognia płonąca gałązkę. - Ale Franko ma rację. Musimy odszukać berserkera i zabić go. Jeżeli tego nie zrobimy, to on zabije nas jedno po drugim.

- Widzisz - rzucił Franko pod adresem Renati. - On się ze mną zgadza!

- Zgadzam się z prawami logiki - poprawił go Wiktor. - A ty, niestety, nie zawsze ich przestrzegasz. - Zamilkł na moment, wsłuchując się w wycie wichury dochodzące przez

wybite okna na wyższej kondygnacji. - Myślę, że berserker mieszka w jednej z tych pieczar, które odkryliśmy. Nikita ma rację: on nie wyjdzie na dwór w tej śnieżycy, ale my możemy.

- Nie widać nawet na wyciągnięcie ręki - powiedziała Renati. - Słuchaj, jak wieje.

- Słyszę - powiedział Wiktor, obchodząc ognisko i zacierając ręce. - Kiedy śnieżycy ustanie, berserker znowu wyjdzie na łowy. Nie znamy jego zwyczajów, ale jest pewne, że kiedy tylko wyczuje nas w swojej pieczarze, to poszuka sobie nowej. Ale... co by było, gdybyśmy go zastali w pieczarze, kiedy śnieżycy będzie jeszcze trwać?

- Tego się nie da zrobić - pokręcił głową Nikita. - Widziałeś tę rozpadlinę. Pozabijalibyśmy się, gdybyśmy próbowali tam zejść.

- Berserker potrafi to robić. A jeżeli on potrafi, to i my też - powiedział Wiktor. Zamilkł na chwilę, aby dotarło to do wszystkich. - Największym problemem będzie odnalezienie jaskini. Na jego miejscu oznaczyłbym każdą z nich swoją wonią. Ale może tego nie zrobił, może kiedy wejdziemy do tej rozpadliny, będziemy w stanie odnaleźć jego trop po zapachu i trafić wprost do niego. Może teraz spać. Ja bym spał, gdybym miał pełny żołądek i myślał, że jestem bezpieczny.

- Tak. O to chodzi - powiedział podekscytowanym głosem Franko. - Trzeba zabić tego sukinsyna we śnie!

- Nie. Berserker jest wielki i bardzo silny. Żaden z nas nie poradziłby sobie z nim w otwartej walce. Najpierw musimy znaleźć jego pieczarę, a potem zamknąć go w niej, zarzucając kamieniami wejście. Jeżeli szczelnie je zablokujemy, to nie wygrzebie się na zewnątrz. Gdybyśmy się z tym szybko uporali, to może udałoby się nam zamknąć wejście, zanim w ogóle by się zorientował, co się dzieje.

- No i pod warunkiem, że nie ma jakiegoś zapasowego wyjścia - powiedziała Renati.

- Nie powiedziałem, że ten plan jest doskonały. Żaden plan nigdy nie jest doskonały. Ale berserker jest szalony. On nie myśli jak zwykły wilk. Dlaczego miałby myśleć o ucieczce, kiedy wydaje mu się, że potrafi pokonać każdą istotę, która chodzi na czterech czy dwóch nogach. Pewnie znalazł sobie ciepłą, przytulną jaskinię bez drugiego wyjścia, w której się może położyć, gryźć kości i rozmyślać, jak zabić kolejnego z nas. Uważam, że warto zaryzykować.

- A ja nie - zaprotestowała Renati, marszcząc czoło. - Śnieżycy jest za silna. Będzie wam ciężko dojść tam, nie mówiąc już o znalezieniu właściwej jaskini. Nie. Ryzyko jest za duże.

- A więc jakie jest inne wyjście? - zapytał Wiktor. - Czekać, aż minie śnieżycy i berserker znowu wyjdzie polować na nas? Powinniśmy wykorzystać naszą przewagę

wynikającą z tego, że właśnie się najadł. Będzie ociężały z brzuchem pełnym mięsa. Uważam, że powinniśmy pójść teraz, bo jak nie, to cała wataha będzie narażona na wyniszczenie.

- Tak - zgodził się Franko. - Trzeba zapolować na niego już teraz, kiedy myśli, że jest bezpieczny!

- Ja już postanowiłem. Idę. - Wiktor popatrzył na pozostałych. Jego wzrok zatrzymał się na kilka sekund na Michaiile, po czym przesunął się dalej. - Franko, pójdziesz ze mną?

- Ja? - zapytał Franko, otwierając szeroko oczy. - Tak, oczywiście, że pójde - odparł niepewnym głosem. - Mam tylko nadzieję, że cię nie będę opóźniał.

- Opóźniał? Dlaczego?

- No, nie wspominałem o tym wcześniej. To nic takiego, oczywiście, ale... mam stopę potłuczoną o kamień. - Widzisz? - Zsunął sandał, pokazując granatowy siniak. - Mam też trochę spuchniętą kostkę. Sam nie wiem, kiedy to mi się zrobiło. - Nadusił siniak i skrzywił się trochę przesadnie. - Ale i tak mogę iść - powiedział. - Nie będę taki szybki jak zwykle, ale możecie na mnie liczyć.

- Możemy liczyć na to, że będziesz ostatnim durniem - wtrąciła Renati. - Zapomnijcie o Franku i jego biednych nogach. Ja pójde z wami.

- Chcę, żebyś została tutaj. Żebyś zajęła się Michaiilem i Aleksą - sprzeciwił się Wiktor.

- Oni potrafią zająć się sobą sami!

Wiktor jednak nie zamierzał z nią dyskutować. Spojrzał na Nikitę.

- Masz na nogach jakieś obtłuczenia od kamieni?

- Dziesiątki - odpowiedział Nikita, podnosząc się. - Kiedy możemy iść?

- Ale mnie boli kostka! - zaprotestował Franko. - Widzicie? Spuchła mi! Musiałem źle stanąć, kiedy...

- Rozumiem - powiedział Wiktor i Franko zamilkł. - Pójde z Nikita. Ty możesz tu zostać, jeżeli o to ci chodzi.

Franko chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował i zamknął usta.

- Im wcześniej pójdziemy, tym szybciej będziemy mogli wrócić - powiedział Wiktor do Nikity. - Jestem już gotowy. - Nikita skinął głową i Wiktor zwrócił się do Renati. - Jeżeli zdołamy odszukać jaskinię berserkera i zamknąć go w niej, to będziemy tam czekali odpowiednio długo, aby nabrać pewności, że nie może się z niej wydostać. Postaramy się wrócić w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Jeżeli śnieżyca bardzo się nasili, to znajdziemy jakieś miejsce do spania. Zajmiesz się wszystkim, tak?

- Tak - odpowiedziała ponuro Renati.

- Franko i ty nie będziecie skakać sobie do gardeł - dodał Wiktor rozkazującym tonem i spojrzał na Michaiła. - Powstrzymasz ich, żeby się nie pozabijali nawzajem, prawda?

- Tak, proszę pana - odpowiedział Michaił, chociaż nie wiedział, co mógłby zrobić, gdyby Franko i Renati starli się ze sobą.

- Kiedy wrócę, masz mieć już skończoną lekcję, którą zaczęliśmy wczoraj. - Był to tekst na temat upadku Cesarstwa Rzymskiego. - Przepytam cię z tego.

Michaił skinął głową. Wiktor zsunął z siebie pelerynę i zdjął sandały, a Nikita poszedł w jego ślady. Stali obydwoj nadzy, wydychając parę z ust. Nikita pierwszy zaczął przemianę. Czarne włosy popęzły po jego ciele jak dziwne pnącza.

Wiktor wpatrywał się w Renati błyszczącymi w przyćmionym świetle oczami.

- Posłuchaj mnie. Jeżeli z jakiegoś powodu... nie wrócimy po trzech dniach, ty będziesz rządziła watahą.

- Kobieta będzie rządzić mną? - pisał Franko.

- Będzie rządzić watahą - powtórzył Wiktor. Szara fala wilczych włosów spływała po jego barkach i w dół po ramionach. Skóra Wiktora wyglądała na śliską i natłuszczoną, a na czole, nad jego łączącymi się brwiami, wystąpiły krople potu. Para unosiła się wokół jego ciała. - Masz jakieś zastrzeżenia w tej sprawie? - Jego głos brzmiał coraz bardziej chropowato. Kości twarzy zaczynały się przesuwac, a spoza warg wysunęły się kły.

- Nie - odpowiedział pośpiesznie Franko - żadnych zastrzeżeń.

- Życie nam powodzenia. - Głos Wiktora brzmiał już jak gardłowy charkot. Jego ciało zadrzało, pokrywając się grubą, porośniętą szarym włosom skórą.

Większość głowy i twarzy Nikity też już się zmieniła. Z wydłużającego się z trzaskiem pyska wypływały obłoki pary. Michaił pamiętał, że kiedyś taki trzask brzmiał dla niego złowieszczo, ale teraz dźwięki przemiany były piękne jak muzyka grana na egzotycznych instrumentach. Obydwoje postacie zatrzęsyły się i ludzkie ciało ustąpiło miejsca wilczej sierści, palce u rąk i nóg - pazurom, zęby - kłom, nosy - długim czarnym pyskom, a wszystkiemu temu towarzyszyła muzyka kości, ścięgien i mięśni przekształcających się w zwierzęcą formę. Od czasu do czasu rozlegało się mruknięcie Wiktora albo Nikity. Wreszcie Wiktor sapnął potężnie i wyskoczył z komnaty w kierunku schodów, a Nikita pobiegł kilka kroków za nim. Po paru sekundach obydwu wilki zniknęły.

- Naprawdę mi spuchła kostka! - powiedział Franko, znowu pokazując nogę Renati. - Widzisz, nie pobiegłbym na tej nodze za daleko, co?

Zignorowała go.

- Będziemy potrzebowali świeżej wody - powiedziała, biorąc gliniany garnek pozostawiony tam jeszcze przez mnichów. Była w nim resztką wody pokryta przybrudzonym lodem. - Michaił, pójdziesz z Aleksą przynieść śniegu? - Podała mu garnek. Musieli jedynie zejść po schodach i zgarnąć do garnka śniegu wpadającego z wichrem przez okna. - Franko, ty pierwszy staniesz na straży czy ja mam to zrobić?

- Ty tu rządzisz, więc rób jak chcesz.

- W porządku. Ty pierwszy staniesz na straży. Zmienię cię, kiedy nadejdzie pora. - Renati siadła przy ognisku, wczuwając się w swoją nową funkcję.

Franko zaklął pod nosem. Nie było przyjemnie chodzić na górę do pozbawionej szyb wieży, w której szalał zimny wiatr, ale stanie na straży było ważnym obowiązkiem, który każdy pełnił na zmianę. Odszedł więc niechętnie, a Michaił i Aleksą poszli napęłnić garnek śniegiem. Renati natomiast, niespokojna o los ukochanego mężczyzny, siedziała podpierając dłońią podbródek.

W nocy śnieżycy gwałtownie ustała. Powędrowała dalej, pozostawiając za sobą las pełen zasp wysokich na osiem stóp. Drzewa uginały się pod śniegiem. Kiedy zaczął wstawać nowy dzień, przenikający do szpiku kości mróz zajął miejsce zawiei. Słońce kryło się za chmurami koloru mokrej bawełny. Wreszcie nadeszła pora śniadania.

- O Boże, jak zimno - powiedział Franko, kiedy razem z Michaiłem brnęli przez białą pustynię, która jeszcze w lecie była zielonym dywanem.

Michaił nic nie odpowiedział. Mówienie pochłaniało za wiele energii, a poza tym czuł się tak, jakby miał zamrożone szczęki. Obejrzał się na stojący jakieś pięćdziesiąt jardów za ich plecami Biały Pałac; prawie go nie było widać na tle śnieżnej pustyni.

- Przeklinam to miejsce! - krzyknął Franko. - Przeklinam ten cały kraj! Przeklinam Wiktora i Nikitę, i Aleksę, i przeklinam tę cholerną Renati. Pomiata mną jak służącym. Co ona sobie wyobraża? Że kim jest?

- Nic nie znajdziemy, jeżeli będziesz się tak wydzierał - powiedział cicho Michaił.

- Do diabła, tu nie ma nic żywego! Niby jak mamy znaleźć jedzenie? Stworzyć je? Nie jestem Bogiem, wiem to na pewno! -

Zatrzymał się, powęszył w powietrzu. Od mrozu piekło go w nosie i miał przytępienie powonienia. - Jeżeli Renati rządzi, to dlaczego ona nie znajdzie nam jedzenia? Odpowiedz mi na to! Nie było potrzeby odpowiadać. Ciągnęli losy, najkrótsze wydobyte z ognia patyki, żeby zdecydować, kto ma zdobyć śniadanie. Michaił wyciągnął najkrótszy patyk, a Franko tylko nieco dłuższy.

- Jeżeli cokolwiek tu jeszcze żyje - mówił dalej Franko - to siedzi zakopane w swojej norze, żeby nie zamarznąć. Powinniśmy zrobić to samo. Powąchaj powietrze. Widzisz! Nic!

W tym momencie, jakby po to, by udowodnić, że Franko się myli, zając z siwawym futrem śmignął przez śnieg i popędził w kierunku kępy na wpół pogrzebanych w śniegu drzew.

- Tam - powiedział Michaił. - Patrz!

- Oczy mi zamarzają.

Michaił zatrzymał się i obrócił do Franka.

- Nie zamierzasz się przemienić? Możesz go złapać, jeżeli się przemienisz.

- Do diabła z tym! - Na policzki Franka wystąpiły plamy. - Jest za zimno na przemianę. Odmarzłyby mi jaja, jeżeli jeszcze się to nie stało. - Sięgnął ręką w dół, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Jeżeli się nie przemienisz, to nic nie złapiemy - napomniał go Michaił. - Co za sztuka dla ciebie złapać zająca, jeśli byś...

- O, teraz ty wydajesz rozkazy, co? - warknął Franko. - Posłuchaj mnie, gówniarzu, to ty wyciągnąłeś najkrótszy patyk. Ty się przemień i złap coś dla nas. Już najwyższy czas, żebyś zaczął coś robić.

Słowa Franka ugodziły boleśnie Michaiła, gdyż wiedział, że są prawdziwe. Szedł dalej, otulając się ramionami, żeby zachować resztki ciepła, a jego sandały skrzypiały na zmrożonym śniegu.

- No więc dlaczego się nie przemienisz, co? - Franko nie dawał mu spokoju, wietrząc łatwe zwycięstwo. Szedł w ślad za chłopcem. - Dlaczego ty się nie przemienisz, żebyś mógł łapać króliki i wyć do tego cholernego księżycy jak wariat?

Michaił milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Rozglądał się za zającem, ale ten zniknął gdzieś w bieli śniegu. Obejrzał się na Biały Pałac, który wydawał się unosić w powietrzu jak odległy miraż pomiędzy białą ziemią i równie białym niebem. Wielkie płatki znowu zaczęły sypać z nieba i gdyby Michaił nie był tak zmarznięty, nieszczęśliwy i nie czuł się tak nieprzydatny, to być może pomyślałby, że są piękne.

Franko zatrzymał się o kilka jardów od niego i zaczął chuchać w dłonie. Płatki śniegu wpadały mu we włosy i przyklejały się do rzęs.

- Może Wiktorowi podoba się takie życie - powiedział ponurym głosem - i może Nikicie też, ale czym oni byli przedtem. Mój ojciec był bogatym człowiekiem, więc ja byłem synem bogatego człowieka. - Potrząsnął głową i płatki śniegu zsunęły mu się z twarzy. - Jechaliśmy powozem z wizytą do dziadków. Złapała nas burza śnieżna, bardzo podobna do wczorajszej. Moja matka pierwsza zamarzła na śmierć. Ale ojciec, młodszy brat i ja znaleźliśmy chatę niedaleko stąd. Teraz już jej nie ma, zawaliła się pod śniegiem kilka lat temu. - Franko podniósł wzrok, szukając słońca, ale nadaremnie. - Brat umarł, płacząc. Na sam koniec nawet nie mógł otworzyć oczu, bo zamarzły mu powieki. Mój ojciec wiedział, że nie możemy tam dłużej zostać. Jeżeli chcieliśmy przeżyć, to musieliśmy znaleźć jakąś wieś. Więc zaczęliśmy iść. Pamiętam... obydwaj mieliśmy palta podbite futrem i drogie buty na nogach. Ja miałem koszulę z monogramem, mój ojciec kaszmirowy szal. Ale żadna z tych rzeczy nie uchroniła nas przed zimnem. Wiał okropny wiatr. Znaleźliśmy jakąś jamę i próbowaliśmy rozpałcić ogień, ale drewno było oblodzone. - Spojrzał na Michaiła. - Wiesz, co



paliliśmy? Wszystkie pieniądze z portfela ojca. Paliły się bardzo jasnym płomieniem, ale nie dawały wcale ciepła. Czego nie oddalibyśmy wtedy za trzy grudki węgla! Mój ojciec zamarzył na siedząco. Zostałem siedemnastoletnim sierotą i wiedziałem, że też umrę, jeżeli nie znajdę jakiegoś schronienia. Więc włożyłem na siebie dwa palta i ruszyłem w drogę. Nie uszedłem zbyt daleko, kiedy znalazły mnie wilki. - Chuchnął jeszcze raz w dłonie i zatarł je. - Jeden z nich ugryzł mnie w rękę. Kopnąłem go w pysk tak mocno, że wybiłem mu trzy zęby. Ten sukinsyn nazywał się Józef. Nigdy potem nie doszedł całkiem do siebie. Rozerwały mojego ojca na strzępy i zjadły go. Pewnie zjadły też matkę i brata. Nigdy o to nie pytałem. - Franko jeszcze raz rozejrzał się po niebie, widząc tylko sypiący śnieg. - Wzięli mnie do watahy, żebym był rozplodnikiem. Z tego samego powodu wzięliśmy ciebie.

- Roz... plodnikiem?

- Żeby robić dzieci - wyjaśnił Franko. - Wataha potrzebuje młodych, bo inaczej zginie. Ale niemowlęta umierają. - Wzruszył ramionami. - Być może Bóg mimo wszystko wie, co robi. - Spojrzał w kierunku drzew, między którymi zniknął zając. - Jak się słucha Wiktora, to się tylko słyszy, jak szlachetne jest to życie i jak powinniśmy być dumni z tego, czym jesteśmy. Ja nie znajduję niczego szlachetnego w tym, że mamy sierść na dupach i gryziemy pokrwawione kości. Do cholery z takim życiem! - Splunął w śnieg. - Sam się przemień - powiedział do Michaiła. - Lataj sobie na czworakach i lej na drzewa. Ja, na Boga, urodziłem się człowiekiem i jestem człowiekiem. - Odwrócił się i ruszył w kierunku oddalonego o jakieś siedemdziesiąt jardów Białego Pałacu.

- Czekaj! - zawołał Michaił. - Franko, czekaj! Mężczyzna obejrzał się przez ramię na Michaiła, ale się nie zatrzymał.

- Przynieś nam dobrego, świeżego królika - powiedział kwaśno. - Albo jak ci się uda, to możesz wykopać trochę tłustych larw. Wracam do środka, żeby...

Franko nie dokończył zdania, bo w tej samej chwili o kilka stóp od niego nagle eksplodowała zaspą i wyskoczył z niej wielki rudy wilk, który zatrzasnął szczęki na jego nodze.

Kości pękły, jakby ktoś wystrzelił z pistoletu, i berserker obalił Franka na ziemię, rozrywając mu zębami ciało na nodze. Zaatakowany otworzył usta do krzyku, ale wydobył się z nich tylko stłumiony charkot. Michaił stał oszołomiony, czując, jak wszystko wiruje mu w mózgu. Berserker albo czyhał dłuższy czas pod śniegiem, trzymając tylko nozdrza przy samej powierzchni, żeby móc oddychać, albo zagrzebał się pod zaspą, żeby się na nich zasadzić. Nie było czasu na rozmyślenia nad tym, co się mogło stać z Wiktorem i Nikitą. Teraz ważne było tylko jedno: berserker rozrywał nogę Franka, z której płynęła na śnieg parująca krew.

Michaił zaczął wołać o pomoc, wiedząc, że nawet jeśli Renati i Aleksa w ogóle go usłyszą, to Franko już nie będzie żył, zanim przybiegną im na ratunek. Berserker wypuścił zmasakrowaną nogę mężczyzny i chwycił go paszczą za bark. Franko rozpaczliwie się bronił, żeby kły wilka nie dosięgły jego gardła. Twarz pokryła mu śmiertelna bladość, a oczy wystąpiły z przerażenia z orbit. Michaił spojrział do góry. Jakieś trzy stopy nad jego głową zwisała gałąź. Podskoczył i chwycił ją; obłamała się pod jego ciężarem. Berserker nie zwracał nań uwagi, nadal trzymał zęby zatopione w ramieniu Franka. Michaił skoczył do przodu, zaparł się nogami o śnieg i wbił ostry koniec gałęzi w jedną z szarych gałek ocznych berserkera.

Kij wyłupił wilkowi oko. Zwierz ryknął z bólu i wściekłości, wypuścił ramię Franka i cofnął się, potrząsając łbem, żeby pokonać ból. Franko zaczął się odczołgiwać. Odsunął się jakieś sześć stóp, zadrzał i zemdlał. Miał zmasakrowany bark i nogę.

Berserker kłapał paszczą w powietrzu i odnalazł swym jedynym okiem Michaiła Gałatinowa.

Coś przepłynęło między nimi, jakaś iskra. Michaił poczuł ją równie mocno jak bicie własnego serca i pulsowanie krwi w żyłach. Może była to wzajemna nienawiść, a może instynktowne przygotowanie do mającej nastąpić walki. Czymkolwiek był ten impuls, Michaił rozumiał go w pełni. Kiedy berserker rzucił się ku niemu, chłopiec uniósł jak włócznię ostro zakończony kij.

Rudy wilk otworzył szeroko paszczę, naprężając mięśnie potężnych łap do skoku. Michaił nie cofnął się. Nerwy w nim drżały, a każdy ludzki instynkt przynaglał do ucieczki, ale wilcza część jego natury czekała na atak, kalkulując zimno. Berserker wykonał ruch w lewo - Michaił od razu rozpoznał zwód - odbił się od ziemi i runął na chłopca.

Michaił upadł na kolana, unikając uderzenia masą wielkiego ciała i jednocześnie unosząc kij. Ostry szpic wbił się w porośnięty białą sierścią brzuch berserkera. Kij złamał się, ale jego końcówka utkwiała głęboko w ciele zwierza. Wilk zwinął się w powietrzu i uderzył jedną przednią łapą w plecy Michaiła, przebijając dwoma pazurami jego skórzaną pelerynę. Chłopiec runął twarzą w śnieg, jak uderzony młotem, a berserker, skomląc, spadł na brzuch kilka jardów od niego. Michaił obrócił się, wciągając w płuca zimne powietrze, i stanął twarzą do wilka, zanim ten zdążył skoczyć mu na plecy. Jednooka bestia stała na czterech łapach. Z jej brzucha wystawała resztką tkwiącej głęboko w ciele końcówki kija. Michaił stał, oddychając głęboko i czując, jak gorąca krew spływa mu po plecach. Berserker ruszył w prawo, odcinając mu drogę do pałacu. Kawalek kija, który został Michaiłowi w prawej ręce, nie był dłuższy niż nóż kuchenny, mógł mieć około siedmiu cali długości. Berserker parsknął,

wypuszczając z nozdrzy obłok pary, podskoczył do Michaiła i odbił się z powrotem, nadal blokując mu drogę ucieczki.

- Pomóżcie nam! - krzyknął chłopiec w kierunku pałacu poprzez tłumiący jego głos śnieg. - Renati, pomocy!

Bestia rzuciła się do przodu i Michaił zadał cios wymierzony w jej drugie oko. Jednak wilk zatrzymał się gwałtownie i skręcił ciało, wyrzucając spod łap fontanny śniegu, i cios trafił w powietrze. Berserker rzucił się w bok, znalazł się z lewej, nie bronionej przez chłopca strony i skoczył na niego, uprzedzając cios kijem.

Berserker zderzył się z nim. W ułamku sekundy Michaił pomyślał o pociągu towarowym zjeżdżającym z hukiem ze wzgórze, z jednym świecącym okiem. Upadł na ziemię jak szmaciana lalka i gdyby nie śnieg, złamałby sobie kręgosłup. Stracił dech w piersiach, a w głowie zaszumiało mu od uderzenia. Poczł woń krwi i zwierzęcej śliny. Brutalna masa przyciskała jego ramiona, unieruchamiając rękę trzymającą kij. Zamrugął, pokonując ból, i dojrzał nad sobą paszczę berserkera, który odsłaniał kły, żeby chwycić go za twarz i zerwać mu z niej tkanę jak szmatę. Kości niemal wyskakiwały ze stawów ramion przyciśniętych masą wilka. Berserker pochylił się, napinając mięśnie na bokach, i Michaił wyczuł w jego oddechu krew Franka. Szczęki rozwarły się, żeby rozłupać mu czaszkę.

I wtedy dwie ludzkie ręce pokryte brązowym włosem chwyciły paszczę berserkera. To Franko podniósł się ze śniegu i skoczył na grzbiet rudej bestii. Pokryta kępami brązowego zarostu twarz była przepelniona bólem.

- Uciekaj - sapnął, skręcając z całej siły głowę wilka. Berserker targnął ciałem, żeby zrzucić z siebie napastnika, ale nie udało mu się tego dokonać. Zacisnął szczęki i jego zęby przebiły dłonie Franka. Michaił poczuł, że wilk nie przygniata mu już ramion, uniósł więc obydwie pulsujące bólem ręce i wbił ostry kij w gardło berserkera. Kij zarył się na trzy cale, trafił na coś twardego i znowu się złamał. Berserker zawył i zatrzęsł się z bólu, parskając czerwonymi drobinkami, a Michaił wysunął się spod niego. Wilk uniósł się na tylne łapy, usiłując zrzucić Franka ze swojego grzbietu.

- Uciekaj! - krzyknął Franko, trzymając się wilka spływającymi krwią palcami.

Michaił poderwał się, cały unurzany w śniegu. Rzucił się do ucieczki, wypuszczając z dłoni resztki złamanego kija. Płatki śniegu wirowały wokół jak tańczące anioły. Stłuczone mięśnie ramienia pulsowały dotkliwym bólem. Obejrzał się i zobaczył, że berserker otrząsa się z szaleńczą gwałtownością, zrzucając z siebie tracącego siły Franka. Wilk napiął mięśnie, żeby skoczyć na przeciwnika i dobić go, ale Michaił się zatrzymał.

- Hej! - krzyknął.

Berserker obrócił głowę w jego kierunku i spojrzał nań z wściekłością jednym okiem.

Michaił poczuł, jak coś rozpała się też w jego wnętrzu. Jakby w samym środku ciała buchał ogień. Żeby ocalić Franka i siebie samego, musiał sięgnąć w zar płomieni i wydobyć to, co się w nich zrodziło.

„Chcę tego” - pomyślał, skupiając się na obrazie swoich zakrzywiających się w szpony palców. Widział to wyraźnie w swojej wyobraźni. Usłyszał w sobie jakieś wycie, jakby rozszalałego wiatru. Mrowiące ukłucia przesunęły się w górę po plecach. „Chcę tego”. Z porów w skórze zaczęła się unosić para. Zadrzał, czując ciśnienie napierające na jego organy wewnętrzne. Serce zaczęło mu łomotać. Ból przeszył mięśnie rąk i nóg, a na czaszce zacisnęła się obręcz okropnego bólu. Coś trzasnęło w szczęce, aż usłyszał swój własny jęk.

Berserker patrzył na niego jak zahipnotyzowany. Nadal stał z otwartą paszczą gotów rzucić się na Franka i złamać mu kark.

Michaił uniósł prawą rękę - była pokryta gładkim, czarnym włosiem, a palce zamieniły się w białe pazury. „Chcę tego”. Czarne włosy sunęły w górę jego ramion. Lewa dłoń też się przemieniała. Głowa bolała go tak, jakby ją ścisnęła stalowa imadło, a szczęki zaczęły mu się wydłużać z trzaskaniem kości. „Chcę tego”. Nie miał już odwrotu, nie mógł zawrócić przemiany. Zrzucił z siebie pelerynę, upadła na śnieg. Ledwie zdążył zsunąć sandały, kiedy zaczęły mu się przekształcać stopy. Zachwiał się i upadł na zad.

Berserker węszył w powietrzu. Warknął, patrząc na przyoblekającą nową postać istotę.

Czarne włosy wysypały się na piersi i barki Michaiła. Po chwili obrośli mu gardło i twarz. Jego szczęki i nos wydłużały się w pysk, a kły wystrzelały z taką siłą, że poraniły mu do krwi wnętrze jamy ustnej. Kręgosłup wyginał się z porażającym bólem. Nogi i ręce skróciły się i nabrzmiały od mięśni. Ściągnęła i chrząstki trzaskały i pstrykały. Michaił zadrzał gwałtownie, jakby jego ciało pragnęło się pozbyć ostatnich ludzkich elementów. Mokry od płynów organicznych ogon wystrzelił mu z ciemnej narośli u dołu kręgosłupa i zawirował w powietrzu. Michaił stanął na czterech łapach. Mięśnie nadal mu drżały jak struny harfy, a nerwy paliły bólem. Piżmowe pachnące płyny nasycyły mu futro. Jądra podciągnęły mu się jak twarde kamyki i porosły szorstkim włosiem. Prawe ucho pokryło się sierścią i zaczęło zmieniać w trójkątną małżowinę, ale lewe nie poddało się przemianie i pozostało uchem chłopca. Ból narastał, był już niemal przyjemny, i nagle ustąpił. Michaił zaczął krzyczeć do Franka, wołać, żeby się odczołgał, ale gdy otworzył usta, wydobył się z nich tylko wysoki pisk, który przestraszył go samego.

Dziękował Bogu za to, że nie widzi siebie, ale szok dostrzeżony w oku berserkera mówił mu wszystko. Zapragnął przemiany i oto jej dokonał.

Pęcherz Michaiła otworzył się, wypuszczając żółty strumień na śnieżną biel. Zobaczył, że berserker odwraca od niego uwagę i znowu nachyla się nad Frankiem, który, zemdlny, nie był w stanie się bronić. Michaił rzucił się do przodu, ale przednie i tylne łapy zaplątały mu się o siebie i upadł na brzuch. Znowu się podniósł, trzęsąc się jak nowo narodzony. Krzyknął na berserkera, ale jego krzyk zabrzmiał jak słabe warczenie, które nie zwróciło nawet uwagi rudego wilka. Michaił skoczył niezdarnie przez śnieg, stracił równowagę i znowu upadł, ale znalazł się tuż obok wilka. Nie zastanawiając się wcale, rozwarł szczęki i wbił kły w ucho berserkera. Wilk zawył, szarpiąc się w bok, i oderwane u samej nasady ucho zostało w zębach Michaiła. Berserker zachwiał się, oszołomiony nowym bólem. Michaił przetknął spływającą mu do paszczy krew wilka i razem z nią połknął jego ucho. Zwierz obrócił się, kłapiąc wściekle paszczą. Michaił też się obrócił, pomagając sobie ruchem ogona, i ledwie chroniąc się przed upadkiem, rzucił się biegiem przed siebie.

Jednak łapy znowu go zawiodły. Przed samym pyskiem widział ziemię, wszystko wyglądało dziwnie. Potknął się, pośliznął na śniegu i padł na brzuch. Podniósł się, znowu próbując uciekać, ale koordynacja ruchu czterech łap była dla niego zagadką. Usłyszał tuż za sobą potężne sapanie berserkera i przewidując, że wilk już prawie się na niego rzuca, zrobił zwód w lewo i uskoczył w prawo, jeszcze raz tracąc równowagę. Berserker przeleciał obok niego i próbując zmienić kierunek, wzbil łapami obłok śniegu. Michaił poderwał się na nogi, jeżąc włos na grzbiecie, i skręcił znowu gwałtownie, zadziwiony zwinnością swego ciała. Berserker kłapał szczękami, minimalnie tylko chybiając jego boku. Wtedy Michaił obrócił się na drżących łapach do rudej bestii, stawiając jej czoło. W powietrzu między nimi krążyły płatki śniegu. Berserker runął na przeciwnika, parskając parą i krwią. Michaił zarył się w śniegu na rozstawionych łapach, czując, że serce omal mu się nie rozerwie. Berserker, spodziewając się, że jego przeciwnik uskoczy w lewo lub w prawo, nagle się zatrzymał, a wtedy Michaił uniósł się na tylnych łapach, stając jak człowiek, i rzucił się do przodu.

Otworzył paszczę i instynktownym ruchem, którego wcale nie planował, zacisnął szczęki na pysku berserkera, wbijając kły w jego futro i ciało, aż dosięgły chrząstki i kości. Zatapiając jeszcze głębiej zęby, uniósł lewą łapę i potężnym uderzeniem przeorał pazurami po jedynym ocalałym oku berserkera.

Bestia zawyla oślepią, szarpiąc ciałem, żeby strząsnąć z siebie młodego wilka, ale Michaił trzymał się mocno. Berserker uniósł się na tylnych łapach, zastygł na ułamek sekundy w powietrzu i runął na Michaiła. Ten poczuł przeszywający go na wskroś ból pękającego żebra, ale śnieg uchronił mu kręgosłup.

Berserker znowu się uniósł, prostując na całą wysokość. Michaił wypuścił z zębów jego krwawiący pysk i cofnął się, niemal pozbawiony oddechu przez ból złamanego zębra.

Berserker ze ślełą furią wymachiwał łapami w powietrzu. Rzucił się do biegu, żeby odnaleźć Michaiła, ale uderzył łbem w pień dębu. Oszołomiony stanął w miejscu, przebierając łapami i kłapiąc paszczą. Michaił wycofał się, żeby bestia miała wokół siebie pustą przestrzeń, i stanął przy Franku. Opuścił łopatki, żeby złagodzić ból w klatce piersiowej. Berserker wydał wściekły jęk, parskając krwią, i zaczął się rzucać to w prawo, to w lewo, próbując pochwycić w zmasakrowane nozdrza woń przeciwnika.

Nagle rdzawy kształt śmignął nad śniegiem i uderzył z całym impetem w bok berserkera. Pazury Renati rozorały mu skórę, drąc z niej wstążki rudego futra i mięsa, i berserker upadł w płataninę kolczastych krzewów. Nie zdążył zadać ciosu zębami, kiedy Renati odskoczyła i zaczęła czujnie krążyć wokół niego. Kolejny wilk, o płowym futrze i lodowatoniebieskich oczach, skoczył na berserkera z przeciwnej strony, rozdrapując mu pazurami drugi bok. Berserker obrócił się, by chwycić Aleksę zębami, a wtedy Renati rzuciła się do przodu i pochwyciła w paszczę jego tylną łapę. Szarpnęła łbem i kość pękła. Renati odskoczyła, a rudy wilk zachwiał się na trzech nogach. Aleksa znowu rzuciła się do przodu, chwyciła w zęby jedyne ucho bestii, oderwała je i odskoczyła do tyłu. Berserker usiłował trafić ją pazurami, jednak jego ruchy traciły szybkość. Przeszedł kilka kroków w jednym kierunku, zatrzymał się i skręcił w drugą stronę, pozostawiając za sobą na śniegu jaskrawoczerwone plamy krwi.

Nadal był silny. Michaił stał, patrząc, jak Renati i Aleksa starają się zmęczyć wilka, zadając mu tysiące śmiertelnych ukąszeń i zadrapań. W końcu berserker zdecydował się uciekać, ciągnąc za sobą złamaną nogę. Renati uderzyła ciałem w jego bok, obalając go na ziemię, i zmiażdżyła mu zębami przednią łapę. Aleksa natomiast chwyciła go za ogon. Berserker usiłował wstać, ale Renati wbiła mu szpony w brzuch i rozpruła go łatwo, niemal z elegancją. Berserker zadrżał i zaczął się miotać konwulsyjnie po bieli śniegu. Renati pochyliła się i zacisnęła kły na odsłoniętej szyi rudego wilka. Berserker nie próbował stawiać oporu. Michaił zobaczył, jak Renati naprężyła mięśnie, ale zaraz odsuwa szczęki od gardła wilka i odchodzi. Razem z Aleksą popatrzyła na Michaiła.

Początkowo nie rozumiał. Dlaczego Renati nie rozerwała mu gardła? Po chwili jednak pojął, że patrząc na niego spokojnie dwie wilczyce oddają mu przywilej dobitcia wroga.

- No, ruszaj - wyrzeźił Franko. Siedział, trzymając się pokrwawionymi dłońmi za ramię. Michaił był zaskoczony tym, że rozumie ludzką mowę tak samo jak poprzednio. - Zabij go - powiedział Franko. - Jest twój.

Renati i Aleksa stały, patrząc na spadające na ziemię płatki śniegu. Michaił dojrzał to w ich oczach - oczekiwały, że to uczyni. Ruszył do przodu, ślizgając się i stawiając chwiejne kroki, aż się zatrzymał nad pokonanym rudym wilkiem.

Berserker był od niego dwa razy większy. Miejscami jego futro pokryło się siwizną. Miał potężne, zaprawione w walce muskuły. Rudy łeb podniósł się, jakby nasłuchiwał bicia serca Michaiła. Z dziur, w których poprzednio były oczy, ciekła krew, a zmiądzona łapa przesuwiała się po śniegu, rysując w nim płytkie bruzdy.

„On prosi o śmierć - uświadomił sobie Michaił - leży i prosi o śmierć”.

Berserker wydał głęboki jęk: głos uwięzionej duszy. Michaił poczuł, jak narasta w nim nie wrogość, ale litość.

Pochylił głowę i zatopił kły w szyi berserkera. Zacisnął mocniej szczęki, ale berserker się nie ruszył. Wtedy Michaił oparł się łapami o jego ciało i szarpnął łbem do góry. Nie zdawał sobie sprawy z własnej siły: gardło wilka rozerwało się jak pudełko z niespodzianką, tryskając jaskrawą krwią. Berserker zadrżał, drapiąc powietrze. Tym razem walczył chyba nie ze śmiercią, ale z życiem. Michaił cofnął się, trzymając w zębach kawałek mięsa. Oczy znieruchomiały mu w szoku. Widział, jak inni rozrywają gardła swoich ofiar, ale nigdy aż do tej chwili nie rozumiał idącego z tym w parze poczucia nadzwyczajnej siły.

Renati uniosła łeb do nieba, rozpoczynając swą pieśń. Aleksa dodała do niej swój wyższy, młodszy głos i śpiew popłynął w harmonii ponad śniegiem. Michaił pomyślał, że wie, o czym jest ta pieśń: o śmierci wroga, o tym, że wataha odniosła zwycięstwo i że narodził się nowy wilk. Wypluł kawałek mięsa berserkera z paszczy, ale smak krwi pobudził jego zmysły. Wszystko było wyraźniejsze, wszystkie kolory, dźwięki i aromaty nabrały takiej intensywności, że jednocześnie radowały go i przerażały. Uświadomił sobie, że aż do tej chwili jego egzystencja była tylko imitacją życia. Teraz czuł się kimś znaczącym, pełnym siły. Wiedział, że jego prawdziwym ciałem jest muskularna, pokryta czarnym włosiem postać, a nie słaba, blada figura chłopca.

Oszołomiony gorączką zwycięskiej walki, Michaił zaczął tańczyć i podskakiwać z radości, a obydwie wilczyce wyśpiewywały swoje arie. Potem on też unióś łeb i otworzył pysk. To, co z niego wypłynęło, było bardziej skrzeczeniem niż muzyką, ale miał przed sobą wiele czasu, żeby nauczyć się śpiewać. Nieskończenie wiele czasu. Pieśń ucichła, ostatnie jej nuty odbiły się echem w oddali i Renati zaczęła znowu powracać do postaci kobiety z obwisłymi piersiami. Przemiana zajęła jej może czterdzieści pięć sekund. Uklękła przy Franku. Aleksa też się przekształciła. Michaił patrzył na nią zafascynowany. Jej kończyny wydłużyły się, a płowe futro przemieniło w długie blond włosy na głowie i złotawy puch

między nogami, na przedramionach i udach. Stała naga i wspaniała, ze stwardniałymi od zimna sutkami. Ona też podeszła do Franka, a Michaił stał na czterech łapach, czując, że coś twardego wyrasta mu w kroczu. Renati obejrzała zmasakrowaną nogę Franka i jęknęła.

- Niedobrze, co? - zapytał ją słabym głosem.

- Cicho - powiedziała Renati. Zadrzała, a jej nagie ciało pokryło się gęsią skórką. Musieli zanieść Franka do pałacu, inaczej wszyscy by zamarli. Popatrzyła na Michaiła, na wilka. - Przemień się z powrotem - poleciła mu. - Teraz potrzebujemy bardziej rąk niż zębów.

„Przemienić się z powrotem? - pomyślał. - Czy będąc tutaj, znowu muszę wracać tam?”

- Pomóż mi go podźwignąć - powiedziała Renati do Aleksy i we dwie zaczęły podnosić Franka. - No, pomóż nam - zwróciła się do Michaiła.

Nie chciał się przemieniać, nie mógł znieść myśli o powrocie do tego słabego, pozbawionego owłosienia ciała. Wiedział jednak, że tak musi być, i gdy tylko ta świadomość dotarła do niego, poczuł, że się przekształca - w odwrotnym kierunku, z powrotem do postaci chłopca. Przemiana - jak sobie wtedy uświadomił - zawsze zaczynała się od umysłu. Zobaczył swoją skórę, znowu gładką i białą, i dłonie zakończone palcami zamiast szponów. Jego ciało stało wyprostowane na dwóch długich kończynach. Wszystko odbywało się zgodnie z ukazującymi się w jego umyśle obrazami. Czarne włosy, pazury i kły zniknęły i poczuł tak przeszywający ból, że aż osunął się na kolana. Złamane wilcze żebro przeistaczało się w złamane żebro chłopca, nierówne końcówki kości pocierały o siebie. Michaił przyłożył swe ludzkie palce do białego boku i podniósł się, kiedy ból zelżał. Nogi mu drżały, bał się, że może się przewrócić. Szczęki znowu powróciły na swoje poprzednie miejsce i kiedy stał w obłoku pary, resztki ciemnych włosów zaczęły znikać w porach jego skóry, swędząc niemiłosiernie.

Usłyszał śmiech Aleksy.

Spojrzał w dół i zobaczył, że ani ból, ani zimno nie spowodowały ustąpienia sztywności. Zasłonił się, a twarz oblała mu się rumieńcem.

- Nie ma na to czasu - powiedziała Renati. - Pomóż nam! Razem z Aleksą próbowały nieść Franka między sobą. Michaił podszedł do nich, aby im pomóc resztkami sił.

Kiedy dźwigali Franka do Białego Pałacu, podniósł swoją pelerynę i w pośpiechu się nią okrył. Peleryny Renati i Aleksy leżały na śniegu tuż przy ścianie pałacu, ale zostawiły je tam. Rzykując upadek, zeszli z Frankiem po schodach i położyli go przy ognisku. Dopiero wtedy Renati poszła na górę, żeby przynieść okrycia. Franko otworzył przekrwione oczy i chwycił Michaiła za przód peleryny. Przyciągnął go do siebie.



- Dziękuję - powiedział. Trzymająca Michaiła ręka osunęła się i znowu zemdłał. Miał szczęście, że stracił świadomość, bo jego noga była niemal całkowicie oderwana.

Michaił poczuł jakiś ruch za sobą. Pochwycił jej zapach, świeży jak zapach poranka. Obejrzał się i zobaczył tuż przed swoją twarzą złote włosy pomiędzy udami Aleksy. Patrzyła na niego z góry błyszczącymi w świetle ogniska oczami.

- Podoba ci się to? - zapytała.

- Ja... - Znowu poczuł sztywnienie w kroczu. - Ja... Ja nie wiem.

Skinęła głową, uśmiechając się nieznacznie.

- Niedługo będziesz wiedział. A kiedy będziesz wiedział, ja będę na to czekała.

- Och, odejdz od chłopca, Aleksą! - zawołała Renati, która akurat weszła do komnaty.

- On jest jeszcze dzieckiem. - Rzuciła Aleksie jej pelerynę.

- Nie - odparła Aleksą, patrząc na Michaiła. - Już nie. - Przyoblekła pelerynę zmysłowym ruchem, ale nie zaciągnęła jej z przodu.

Michaił popatrzył jej w oczy i z płonąca twarzą znowu spojrzął na to miejsce.

- Za mojej młodości zostałabyś spalona na stosie za to, o czym myślisz - powiedziała do niej Renati. Potem odepchnęła Michaiła i znowu pochyliła się nad Frankiem, przyciskając garść śniegu do jego nogi.

Aleksą przesłoniła się połami peleryny i dotknęła dwóch krwawych pręg na plecach Michaiła, popatrzyła na czerwone plamy krwi na palcach i zlizwała je.

Niemal cztery godziny później Wiktor i Nikita wrócili do domu. Zawiodły ich poszukiwania, gdyż berserker oznaczył każdą jaskinię, a poza tym zostali zaskoczeni w nocy na wąskiej półce skalnej przez wicher. Mieli zamiar zdać im z tego wszystkiego relację, ale zobaczyli wielkiego rudego wilka leżącego martwo na śniegu, a wokół niego czerwone ślady walki. Wiktor słuchał uważnie, kiedy Renati opowiadała mu, jak ona i Aleksą, usłyszawszy wycie berserkerka, wyszły na zewnątrz, i ujrzały walczącego Michaiła. Wiktor nic nie rzekł, ale oczy świeciły mu z dumy. Od tego dnia już nie patrzył na Michaiła jak na bezradnego chłopca.

Przy świetle ognia Franko poddał się amputacji nogi, przeprowadzonej za pomocą ostrego kawałka krzemienia. Kości były zmiażdżone, więc wystarczyło przeciąć porozrywane mięśnie i parę strzępów ciała. Franko pokrył się cały potem, wczepiając się dłońmi w ręce Renati i zaciskając zęby na włożonym w usta drewnie, kiedy Wiktor przeprowadzał zabieg. Michaił pomagał trzymać Franka. Noga w końcu dała się oddzielić i spoczęła na kamieniach. Wataha zasiadła wokół niej, a zapach krwi zaczął wypełniać wnętrze komnaty.

Na zewnątrz znowu zawył wichur. Kolejna śnieżycą gnała przez zimową Rosję. Wiktor podciągnął kolana do podbródka.

- Czymże jest likantrop w oczach opatrności? - zapytał.

Nikt nie odpowiedział. Nikt nie umiał odpowiedzieć.

Po pewnym czasie Michaił wstał i przyciskając rękę do rannego boku, poszedł na górę po schodach. Stanął w wielkiej komnacie, pozwalając się chłostać wiatrowi. Wpadający przez wybite okna śnieg pokrywał bielą jego włosy i gromadził się na ramionach. Po paru sekundach wyglądał tak, jakby się postarzał. Podniósł wzrok ku sklepieniu, na którym mieszkaly wyblakłe anioły, i otarł krew z warg.

**CZEŚĆ SIÓDMA**

**KLUB „PIEKŁO”**

Niemcy były krainą szatana - co do tego Michael Gallatin nie miał wątpliwości.

Jechał z Myszą na wozie z sianem. Obydwaj mieli brudne ubrania i jeszcze brudniejszą skórę. Ich twarze przesłaniał dwutygodniowy zarost. Michael przyglądał się jeńcom wojennym pracującym po obu stronach drogi przy wycince drzew. W większości wyglądali jak wychudzeni, starzy ludzie. Nawet nastolatków wojna zamieniała we wraki. Byli ubrani w szare workowate stroje robocze i unosili topory niczym zmęczone maszyny. Pilnowała ich drużyna żołnierzy uzbrojonych po zęby w pistolety maszynowe i karabiny. Niemcy rozmawiali i palili papierosy. Na szarym wschodnim horyzoncie podnosił się słup dymu - coś się tam paliło. „Nalot” - pomyślał Michael. Alianckie naloty nasilały się wraz z przybliżaniem się daty inwazji.

- *Halt!* - Na drodze przed nimi pojawił się żołnierz. Woźnica, muskularny Niemiec o imieniu Günther, działający w niemieckim ruchu oporu, ściągnął lejce. - Wyszadzaj tych włóczęgów! - krzyknął żołnierz, młody, przesadnie ruchliwy porucznik o pызatych czerwonych policzkach. - Mamy tu dla nich robotę!

- To ochotnicy - wyjaśnił Günther. Choć miał na sobie wytarty chłopski ubiór, z jego tonu przebijała pewność siebie. - Wiozę ich do Berlina. Mają tam przydział.

- A ja przydzielam ich do pracy przy drodze - rzucił porucznik - No, wysadzaj ich! Już!

- O cholera - szepnął Mysz.

Obok niego na sianie rozparł się Michael, a przy nim siedzieli Dietz i Friedrich, dwaj inni niemieccy antyfaszyści, którzy eskortowali podróżnych od wsi o nazwie Sulingen, do której dotarli cztery dni temu. Pod sianem spoczywały schowane trzy pistolety maszynowe, dwa lugery, sześć granatów zwanych tłuczkami i granatnik przeciwpancerny, czyli panzerfaust.

Günther zaczął protestować, ale porucznik podszedł z tyłu wozu i krzyknął:

- Wysiadać! Wszyscy wysiadać! Już! Ruszajcie dupy! Friedrich i Dietz uznali, że lepiej usłuchać niż sprzeczać się z młodym Hitlerkiem, i zeskoczyli z wozu. Michael poszedł za ich przykładem, a ostatni zsiadł Mysz. Porucznik zwrócił się do Günthera:

- No, ty też! Zabierz ten wóz do gnoju z drogi i chodź za mną!

Günther trzepnął konia po bokach lejcami i zjechał pod kępę sosen. Porucznik ustawił Michaela, Mysza, Günthera i dwóch pozostałych mężczyzn przy ciężarówce, gdzie dostali

siekierzy. Michael rozejrzał się i zauważył oprócz porucznika jeszcze trzynastu niemieckich żołnierzy. Jeńców było ponad trzydziestu - ścinałi siekierami sosny.

- Dobra - warknął porucznik. Wyglądał jak czysto wygolony sznauzer. - Wy dwaj tutaj - wskazał Michaelowi i Myszy w prawo. - Pozostali tędy! - skierował w lewo Günthera, Dietza i Friedricha.

- Eee... przepraszam, proszę pana - powiedział nieśmiało Mysz. - Co my mamy robić?

- Oczywiście wycinać drzewa. - Porucznik zmrużył oczy i popatrzył na mierzącego pięć stóp i dwa cale, brudnego, porośniętego brązowym zarostem człowieczka. - Czy jesteś tak samo ślepy jak głupi?

- Nie, proszę pana. Tylko myślałem nad tym, dlaczego...

- Wystarczy, jak będziesz słuchał rozkazów. Już, do roboty!

- Tak jest! - odparł Mysz, chwytając swój topór. Minał oficera, ruszając we wskazanym kierunku.

Michael poszedł za nim. Pozostali przeszli na drugą stronę drogi.

- Hej, ty kurduplu! - krzyknął porucznik. Mysz zatrzymał się, drżąc cały w środku. - Niemiecka armia może mieć z ciebie tylko jeden pożytek. Można włożyć cię do armaty i wystrzelić.

Kilku żołnierzy roześmiało się, jakby usłyszeli przedni dowcip.

- Tak jest - odpowiedział Mysz i ruszył ku drzewom.

Michael wybrał miejsce pomiędzy dwoma mężczyznami i zaczął wymachiwać toporem. Jeńcy nie przerywali pracy ani w żaden inny sposób nie okazywali, że w ogóle go widzą. Drzazgi tryskały w chłodne poranne powietrze. Michael poczuł zapach sosnowej żywicy przemieszany z wonią potu i zmęczenia. Zauważył, że wielu więźniów ma przyszyte do ubrań żółte gwiazdy Dawida. Wszyscy jeńcy byli mężczyznami, wszyscy byli brudni i wszyscy mieli ten sam wychudły wygląd i szkliste oczy. Mechanicznie wznosili topory, przynajmniej we wspomnieniach wracając do przeszłości. Michael zrąbał cienkie drzewo i wyprostował się, żeby przetrzeć ręką twarz.

- Nie obijać się tam! - zawołał stojący za nim żołnierz.

- Nie jestem jeńcem - zaprotestował Michael - ale obywatelem Rzeszy. Oczekuję traktowania z szacunkiem, chłopcze - dodał widząc, że żołnierz ma najwyżej dziewiętnaście lat.

Niemiec spojrział na niego z wściekłością i przez chwilę słychać było tylko tępe uderzenia toporów o pnie. Po chwili żołnierz chrząknął coś i ruszył wzdłuż linii pracujących

jeńców, opierając dłonie na maszynowym schmeisserze. Michael powrócił do pracy. Ostrze jego topora migotało srebrnym blaskiem w powietrzu. Uderzał z zaciśniętymi zębami.

Był dwudziesty drugi kwietnia. Osiemnaście dni temu on i Mysz opuścili Paryż i ruszyli trasą, którą przygotowała dla nich Camille i inni członkowie francuskiego ruchu oporu. W tym czasie podróżowali przez terytorium Hitlera wozem konnym, furą ciągniętą przez woły, pociągiem towarowym, pieszo i łodzią wiosłową. Sypiali w piwnicach, na strychach, w pieczarach i w lesie, w kryjówkach w podwójnych ścianach, a żywili się tym, czym tylko mogli ich wspomóc opiekunowie. Nieraz by głodowali, ale Michaelowi udawało się od czasu do czasu zostawić Mysz samego, zdjąć ubranie i zapolować na drobną zwierzynę. Mimo to obydwaj stracili na wadze po prawie dziesięć funtów. Oczy im się zapadły, a twarze przybrały zgłodniały wyraz. Jednak podobnie wyglądała większość cywilów, których spotykali. Przydziały żywności były wysyłane dla żołnierzy rozmieszczonych w Norwegii, Holandii, Francji, Polsce, Grecji, Włoszech i oczywiście dla tych, którzy walczyli o życie w Rosji. Niemiecki naród umierał po trochu każdego dnia. Hitler mógł być dumny ze swej żelaznej woli, ale jego niewzruszone serce niszczyło jego własny kraj.

„Czym jest «Żelazna Pięść»,?» - rozmyślał Michael, kiedy spod ostrza jego topora tryskały okruchy drewna. Żaden z wielu agentów, z którymi rozmawiał pomiędzy Paryżem a Sulingen, nie miał najmniejszego pojęcia, co te słowa mogą oznaczać. Jednak wszyscy zgadzali się co do tego, że kryptonim pasował do stylu Hitlera. Uważali, że jego umysł, podobnie jak wola i serce, mają w sobie coś z żelaza.

Michael musiał się dowiedzieć, czym jest „Żelazna Pięść”. Czerwiec był coraz bliżej, a wraz z nim termin nieuniknionej inwazji. Byłoby samobójstwem dla aliantów szturmować plażę bez pełnego rozpoznania tego, co może ich czekać. Kolejne drzewo padło pod toporem Michaela. Berlin leżał niespełna trzydzieści mil na wschód. Przebyli tak długą drogę przez krainę pokrytą lejami po bombach i rozświetloną nocami od pożarów, unikając spotkań z patrolami SS, samochodami pancernymi i podejrzliwymi mieszkańcami wsi, i w końcu zostali uziemieni przez porucznika żółtodzioba, którego zadaniem było ścinanie sosen. Camille zaaranżowała spotkanie Echa z Michaelem w Berlinie i wszelkie opóźnienie mogło mieć fatalne skutki. Mniej niż trzydzieści mil do celu - i pracujące siekiery.

Mysz ściał w końcu swoje pierwsze drzewo; patrzył, jak się przechyla i upada. Jeńcy pracowali nieprzerwanie po obu jego stronach. Powietrze pełne było tryskających ścinków drewna. Mysz oparł się na toporze, kurcząc ramiona. Gdzieś w głębi lasu zastukał dzieciół, jakby przedrzeźniał uderzenia toporów.

- No, do roboty! - Za Myszą pojawił się żołnierz z karabinem.

- Odpoczywam chwilę. Ja...

Żołnierz kopnął go w prawą łydkę, nie na tyle mocno, by pozbawić go równowagi, ale wystarczająco, żeby pozostawić mu siniaka. Mysz skrzywił twarz w grymasie i zobaczył, że jego przyjaciel - człowiek, którego znał wyłącznie pod imieniem Zielone Oczy - przerywa pracę i patrzy na nich.

- Powiedziałem, do roboty! - rozkazał żołnierz, nie dbając o to, czy Mysz jest Niemcem, czy nie.

- Dobrze, dobrze. - Mysz podniósł znowu topór i utykając, odszedł nieco dalej w las. Żołnierz był tuż za nim; czekał na jakiś pretekst, żeby kopnąć go jeszcze raz. Sosnowe igły otarły się o policzek Myszy. Odgarnął gałęzie na boki, żeby dostać się do pnia. I wtedy zobaczył wiszące tuż przed jego twarzą dwie pozieleniałe, zmumifikowane stopy. Uniósł głowę, wstrząśnięty. Serce podskoczyło mu do gardła.

Na gałęzi sosny wisiał mężczyzna z pętlą na szyi, o poszarzałej skórze i otwartych ustach, zastygłych w śmiertelnym grymasie. Ręce miał związane na plecach, a jego ubranie przypominało kolorem wyschnięte, wiosenne błoto. Nie dało się określić wieku wisielca, choć kręcone rudawe włosy wskazywały, że był młody. Oczy zniknęły wydziobane przez wrony, podobnie jak fragmenty policzków. Pozostał tylko chudy, wysuszony korpus. Na zwieszającej się z jego szyi tabliczce widać było napis: ZDEZERTEROWAŁEM Z MOJEJ JEDNOSTKI. Niżej ktoś dopisał czarnym ołówkiem: „I poszedłem do piekła”.

Mysz usłyszał czyjś zduszony głos. „To z mojego własnego gardła” - domyślił się po chwili, czując, jak na szyi zaciska mu się pętla.

- No i co? Czego stoisz i się gapisz? Zdejmij go. Mysz obejrzał się na żołnierza.

- Ja? Nie... proszę... ja nie mogę...

- No już, kurduplu! Zrób coś pożytecznego.

- Proszę... Robi mi się niedobrze...

Żołnierz naprężył się, gotów do zadania kolejnego kopniaka.

- Powiedziałem: zdejmij go. Nie będę tego powtarzać drugi raz. Ty mały...

Coś odsunęło go w bok. Niemiec zachwiał się, potykając o ścięty pień, i siadł na zadzie. Michael uniósł ręce do góry, chwycił trupa za nogi i szarpnął nim mocno. Sznur naderwał się, ale na szczęście głowa wisielca nie odpadła. Michael szarpnął znowu i sznur całkiem pękł. Zwłoki spadły do stóp Myszy jak kawałek zeschniętej skóry.

- Do cholery z tobą! - Żołnierz przyskoczył do Michaela z zaczerwienioną twarzą, odbezpieczając broń i przystawiając lufę do jego piersi. Położył palec na spuście.

Michael nie poruszył się. Wpatrywał się w żołnierza, widząc w jego oczach niecierpliwość dziecka.

- Oszczędź kulę dla Rosjan - powiedział swoim najlepszym bawarskim akcentem, ponieważ jego nowe papiery przedstawiały go jako bawarskiego hodowcę świń.

Żołnierz zamrugał oczami, ale nie zdjął palca ze spustu.

- Mannerheim! - wrzasnął porucznik, podchodząc do nich. - Ty cholerny durniu! Odłóż karabin, to Niemcy, a nie Słowianie!

Żołnierz usłuchał od razu. Zabezpieczył broń, patrząc wrogo na Michaela. Porucznik stanął między nimi.

- Idź, pilnuj tamtych - powiedział do Mannerheima, wskazując w kierunku innej grupy jeńców. Mannerheim odszedł, a pyzaty oficer zwrócił się do Michaela: - Nie dotykaj moich ludzi, rozumiesz? Mógłbym pozwolić, żeby ciebie zastrzelił, i miałbym do tego prawo.

- Jesteśmy obydwaj po tej samej stronie - napomniął go Michael, wytrzymując jego wzrok. - Prawda?

Porucznik spojrział na niego bez słowa. „Za długo się przygląda, czyżby się czegoś dosłuchał w moim niemieckim?” - pomyślał Michael, czując, jak krew zastyga mu w żyłach.

- Chciałbym zobaczyć twoją przepustkę - powiedział porucznik.

Michael sięgnął do kieszeni pochłapanego błotem brązowego płaszcza i podał oficerowi swoje dokumenty. Porucznik otworzył je i zaczął czytać dane. W dolnym prawym rogu, tuż pod podpisem urzędnika wydającego zezwolenia na podróż, widniała urzędowa pieczęć.

- Hodowca świń - mruknął cicho Niemiec i pokręcił głową. -

O Boże. To już do tego doszło.

- Jestem w stanie walczyć - powiedział Michael.

- No pewnie. Może będziesz nawet musiał, jeżeli front rosyjski się załamie. Te brudne sukinsyny nie spoczną, dopóki nie dotrą do Berlina. Do jakiej służby się zgłaszasz?

- Do służby rzeźniczej - odpowiedział Michael.

- Pewnie masz w tym praktykę, co? - Porucznik popatrzył z niechęcią na brudne ubranie Michaela. - Strzelałeś kiedy z karabinu?

- Nie, proszę pana.

- A dlaczego się wcześniej nie zgłosiłeś na ochotnika?

- Hodowałem świnię - odpowiedział Michael i wtedy dostrzegł ponad ramieniem porucznika, że jeden z żołnierzy idzie w kierunku wozu z sianem, gdzie schowana była ich broń. Usłyszał kaszel Myszy i zrozumiał, że ten widzi to samo.



- Do cholery! - powiedział porucznik. - Masz prawie tyle lat co mój ojciec.

Michael patrzył na zbliżającego się do wozu żołnierza, czując ciarki na plecach. Niemiec wskoczył od tyłu na wóz i ułożył się na sianie do snu. Inni żołnierze zaczęli gwizdać na niego i pohukiwać, ale on roześmiał się tylko i zdjął hełm, podkładając sobie dłonie pod głowę. Michael zauważył, że trzech żołnierze siedzą na platformie ciężarówki, a pozostali są rozproszeni pomiędzy jeńcami. Spojrzał na Günthera, który był po drugiej stronie drogi. Woźnica przestał rąbać i patrzył na żołnierza, który nieświadom niczego leżał na ich arsenale.

- Wyglądasz całkiem zdrowo. Nie wydaje mi się, żeby służba rzeźnicza miała coś przeciwko temu, byś przez parę dni ścinał drzewa z moimi ludźmi. - Porucznik złożył dokumenty Michaela i oddał mu je. - Poszerzamy tę drogę dla czołgów. Więc, jak widzisz, będziesz wykonywał swą służbę dla Rzeszy i nawet nie musisz sobie brudzić rąk krwią.

„Kilka dni - pomyślał ponuro Michael - nie, to jest niedopuszczalne”.

- Obydwasz z powrotem do pracy! - zakomenderował porucznik. - Kiedy skończymy robotę, to sobie pojedziecie dalej. - Michael zobaczył, że żołnierz na wozie zmienia pozycję, próbując ułożyć się wygodniej, i przyklepuje rękami siano. Gdyby namacał którąś ze schowanych pod nim sztuk broni...

Nie mieli czasu czekać, czy żołnierz znajdzie broń, czy nie. Porucznik odchodził w kierunku ciężarówki, przekonany o swoich umiejętnościach perswazji. Michael chwycił Mysz za łokieć i pociągnął go w kierunku drogi.

- Nie odzywaj się - ostrzegł go Michael.

- Ej, wy! - zawołał jeden z żołnierzy. - Kto wam kazał odejść?

- Chce nam się pić - wyjaśnił Michael, widząc, że porucznik również ich obserwuje. - Mamy manierkę na wozie. Chyba się możemy napić przed dalszą pracą?

Porucznik machnął im zezwalająco ręką, podciągnął się na rękach i usiadł na podłodze ciężarówki, żeby dać odpoczynek nogom.

Michael i Mysz przeszli na drugą stronę drogi. Jeńcy nadal rąbali pnie, a sosny upadały na ziemię z łoskotem łamanych gałęzi. Günther spojrzał na Michaela wytrzeszczonymi z przerażenia oczami. Żołnierz na wozie właśnie wbił rękę w siano, żeby sprawdzić, co go gniece.

- On znalazł... - szepnął alarmująco Mysz.

- Oho! ho! - zawołał żołnierz, wyciągając coś spod siana. - Poruczniku Zeller, niech pan patrzy, co te sukinsyny chowają przed nami. - Podniósł do góry napelnioną w połowie butelkę wódki.

- Chłopi zawsze zakopują swoje tajemnice - powiedział Zeller, stając na platformie ciężarówki. Pozostali żołnierze patrzyli z zainteresowaniem. - Jest tam więcej butelek?

- Chwila, zobaczę. - Żołnierz znowu zaczął grzebać w sianie. Michael doszedł do wozu, zostawiając Mysz sześć kroków za sobą. Odłożył topór, wsunął rękę głęboko w siano i zacisnął dłoń na znajomym przedmiocie.

- Tu jest coś na twoje pragnienie - powiedział, wyciągając pistolet maszynowy i odsuwając bezpiecznik.

Żołnierz popatrzył na niego, szeroko otwierając błękitne jak norweski fiord oczy.

Michael bez wahania nacisnął na spust, przesywając kulami klatkę piersiową żołnierza, aż jego ciało zatańczyło jak marionetka, i od razu obrócił lufę, otwierając ogień do żołnierzy siedzących na ciężarówce. Topory przestały stukać i przez chwilę jeńcy i niemieccy żołnierze stali nieruchomo jak namalowane figury.

I wtedy rozpętało się piekło.

Trzej żołnierze na ciężarówce upadli podziurawieni przez kule. Porucznik Zeller rzucił się na podłogę, kryjąc się przed gwizdzącymi w powietrzu kulami, i sięgnął do kabury po pistolet. Żołnierz stojący obok Günthera opuścił karabin, aby oddać strzał do Michaela, a wtedy woźnica wbił mu topór pomiędzy łopatki. Dwaj pozostali towarzysze Michaela też unieśli topory, nacierając na dwóch kolejnych żołnierzy. Topór Dietza niemal obciął głowę jednemu z nich, ale Friedrich dostał z bliska kulę w serce, zanim zdążył zadać cios.

- Na ziemię! - krzyknął Michael do Myszy, który oszołomiony stał na linii ognia. Patrzył wypukłymi oczami na zwłoki żołnierza na sianie i nie ruszał się. Michael dał krok do przodu i nie znajdując lepszego rozwiązania, uderzył go w żołądek kolbą schmeissera. Mysz zgiął się i upadł na kolana. Kula z pistoletu uderzyła w wóz obok Michaela, odłupując kawałek drewna, i otarła się rykoszetem o bok konia. Zwierzę zakwiczało i uniosło się na tylnych nogach. Michael przyklęknął i pociągnął długą serią po ciężarówce, przebijając kulami opony i rozwalając tylną i przednią szybę kabiny, jednak Zeller przywarł do podłogi platformy.

Günther zadał kolejny cios siekierą, odrąbując rękę żołnierzowi, który już miał otworzyć do niego ogień ze schmeissera. Niemiec upadł w drgawkach, a Günther chwycił jego broń i obsypał kulami dwóch innych żołnierzy, którzy biegli, aby ukryć się między drzewami. Obydwaj zachwiali się i upadli. Kula z pistoletu przeleciała z jękiem obok głowy Michaela, ale Zeller strzelał na oślep. Michael sięgnął ręką ponad deskami wozu, zagłębiając rękę w siano. Kolejna kula obsypała mu twarz drzazgami, z których jedna wbiła mu się w

ciało nie więcej niż cal od lewego oka, ale Michael miał już to, czego szukał. Wydobył granat i przykucnąwszy, wyciągnął zawleczkę.

- Zabijcie tego przy wozie! Zabijcie tego sukin... - wołał Zeller do pozostałych przy życiu żołnierzy.

Michael cisnął granat. Kiedy ten upadł przed ciężarówką i wtoczył się pod nią, Gallatin rzucił się na ziemię, przygniatając Mysz własnym ciałem, a sam zakrył dłońmi głowę.

Granat eksplodował i ciężarówka aż podskoczyła na pozbawionych powietrza kołach. Pomarańczowe i czerwone płomienie ogarnęły pojazd, dotarły do zbiornika z paliwem i po chwili wybuch wstrząsnął powietrzem. Kawałki metalu poszybowały w górę i z płonącego czerwonego jądra wzniósł się słup czarnego dymu. Zeller już nie strzelał. Wokół sypał się deszcz płonących szmat i gorącego metalu. Przerażony koń oderwał lejce od gałęzi, do której przywiązał je Günther, i pomknął drogą.

Günther i Dietz, uzbrojeni w zdobyczne karabiny, klęczeli przy pniach sosen, strzelając w kierunku czterech żołnierzy, którzy przetrwali pierwsze starcie. Jeden z nich przestraszył się, poderwał z ziemi i rzucił do ucieczki, ale Dietz trafił go kulą w głowę, zanim ten zdążył przebiec trzy kroki. W tym momencie dwaj jeńcy rzucili się na pozostałą przy życiu trójkę i ich siekiery rozpoczęły rzeź. Obydwaj więźniowie zginęli od kul, ale zaraz zastąpiło ich trzech towarzyszy. Topory podnosiły się i opadały, a ich ostrza pokrywały się czerwienią. Rozbrzmiał jeszcze ostatni wystrzał, oddany w niebo ręką umierającego żołnierza, rozległ się ostatni krzyk - i siekiery przerwały swe dzieło.

Michael podniósł się, biorąc do ręki pistolet maszynowy, który wcześniej rzucił na ziemię. Nadal był rozgrzany jak piec. Günther i Dietz wyszli ze swoich kryjówek i szybko zaczęli oglądać ciała. Rozległy się kolejne wystrzały, kiedy dobijali rannych.

Michael dotknął ramienia Myszy.

- Nic ci nie jest?

Mysz usiadł, nadal oszołomiony. W oczach miał łzy.

- Uderzyłeś mnie - jęknął. - Dlaczego mnie uderzyłeś?

- Lepsza kolba niż kula. Możesz wstać?

- Nie wiem.

- Możesz - powiedział Michael i podniósł go na nogi. Mysz nadal trzymał w ręku swoją siekiere, zaciskając palce do białości.

- Lepiej się stąd wynieśmy, zanim pojawi się więcej Niemców - powiedział Michael i rozejrzał się, spodziewając się zobaczyć znikających w lesie jeńców, jednak większość z nich po prostu siedziała na ziemi, jakby czekając na kolejną ciężarówkę pełną żołnierzy.

Michael przeszedł na drugą stronę drogi, a Mysz podążył kilka kroków za nim. Podeszli do jednego z pracujących przy ścinie drzew jeńców - chudego mężczyzny z czarną brodą.

- Co się stało? - zapytał Michael. - Jesteście teraz wolni. Możecie iść, jeśli chcecie.

Mężczyzna, którego twarz wyglądała, jakby obciążono brązową skórą wystające kości, uśmiechnął się nieznacznie.

- Wolni - wyszeptał z wyraźnym ukraińskim akcentem. - Wolni. Nie. - Pokręcił głową.  
- Nie wydaje mi się.

- Tu są lasy. Dlaczego nie pójdziecie w lasy?

- Pójść? - powiedział, podnosząc się, kolejny mężczyzna, jeszcze chudszy od pierwszego. Miał twarz o wysuniętej szczęce i był ogolony prawie do skóry. Mówił z północnorosyjskim akcentem. - Dokąd pójść?

- Nie wiem. Po prostu... Iść stąd.

- Po co? - zapytał czarnobrody mężczyzna unosząc krzaczaste brwi. - Faszyci są wszędzie. To ich kraj. Dokąd mielibyśmy pójść, żeby znowu nas nie złapali?

Michael nie potrafił tego zrozumieć. Jego natura nie mogła pojąć, dlaczego ktoś wyzwolony z pęt godzi się z myślą o założeniu ich na nowo. Ci ludzie musieli być jeńcami od bardzo dawna. Od tak dawna, że zapomnieli, co znaczy wolność.

- Nie wydaje się wam, że jest jakaś szansa? Że mogłoby się wam udać...

- Nie - przerwał łysy jeńiec o nieruchomych, czarnych oczach. - Żadnej szansy.

Kiedy Michael rozmawiał z jeńcami, Mysz stanął obok, opierając się o pień sosny. Było mu słabo i czuł, że jest bliski omdlenia od zapachu krwi. Nie był prawdziwym żołnierzem. „Boże, pomóż mi dostać się do domu - modlił się. - Pomóż mi dostać się do...” - Nagle, około ośmiu stóp od miejsca, w którym stał, podniósł się z ziemi jeden z Niemców. Widać było, że jest ranny w bok; jego twarz poszarzała. Mysz zobaczył, że to Mannerheim. Dojrzał też, że żołnierz sięga po leżący obok niego pistolet, podnosi go i wycelowuje w plecy Zielonych Oczu.

Mysz chciał krzyknąć, ale tylko zaskrzeczał, nie potrafiąc wydobyć głosu. Palec Mannerheima spoczął na spuście. Trzymająca broń ręka chwiała się, więc przytrzymał ją drugą czerwoną od krwi dłonią.

Mannerheim jest Niemcem. Zielone Oczy jest... kim on jest? Niemcy są moją ojczyzną. ZDEZERTEROWAŁEM Z MOJEJ JEDNOSTKI. Kurdupel. „I poszedłem do piekła”.

W głowie Myszy myśli wirowały jak szalone. Palec Mannerheima zaczął zaciskać się na spuście. Zielone Oczy nadal rozmawiał. Dlaczego się nie odwraca? Dlaczego nie...

Nie było już czasu.

Mysz usłyszał swój własny, niemal zwierzęcy krzyk, rzucił się do przodu i wbił ostrze siekiery w czaszkę Mannerheima.

Trzymająca pistolet dłoń podskoczyła i padł strzał.

Michael usłyszał świst kuli przelatującej koło jego głowy. Trafiona kulą gałązka złamała się i spadła na ziemię. Odwróciwszy się, ujrzał Mysz trzymającego w rękach siekiere, której ostrze utkwilo w głowie Mannerheima. Ciało żołnierza osunęło się do przodu i Mysz wypuścił z dłoni siekiere, jakby go parzyła, a potem osunął się na kolana i zastygł bez ruchu. Z jego na wpeł otwartych ust zwisała cienka nitka śliny. W końcu Michael pomógł mu stanąć na nogi.

- O Boże - szepnął Mysz i zamrugnął powiekami. - Zabiłem człowieka. - Łzy wypełniły mu oczy i potoczyły się po policzkach.

- Możecie uciekać - powiedział Michael ciemnobrodemu jeńcowi, podtrzymując jednocześnie Mysz, który opierał się o niego całym ciałem.

- Nie mam dzisiaj ochoty na ucieczkę - padła odpowiedź. Jeniec popatrzył w górę na szare niebo. - Może jutro. Wy uciekajcie. Powiemy im... - przerwał i jakaś myśl przyszła mu do głowy. - Powiemy im, że alianci wylądowali. - Uśmiechnął się marzycielsko.

Michael, Mysz, Günther i Dietz zostawili jeńców i kryjąc się w lesie, ruszyli wzdłuż drogi. Około pół mili dalej odnaleźli swój wóz z sianem. Koń spokojnie skubał pokrytą rosą trawę.

Odjechali pośpiesznie, zostawiając za sobą słup czarnego dymu, który zaczął się rozprzestrzeniać na horyzoncie. Mysz siedział z nieruchomym wzrokiem i bezdźwięcznie poruszał ustami. Michael patrzył przed siebie, próbując pozbyć się z pamięci widoku twarzy młodego żołnierza, którego zabił. Wszyscy pociągnęli wódki z butelki, która przetrwała wymianę ognia i którą znowu ukryli pod sianem. W tych czasach alkohol był bezcenną walutą.

Jechali dalej przed siebie, z każdym obrotem kół zbliżając się do Berlina.

Michael widział Paryż rozświetlony słońcem, ale Berlin przywitał go ponurą szarością.

Było to wielkie, rozległe miasto. Pachniało ziemią jak piwnica przez długi czas zamknięta przed światłem. Poza tym wyglądało na stare; wszystkie jego przysadziste budowle miały ten sam odcień szarości. Przywodziły Michaelowi na myśl kamienne nagrobki na wilgotnym cmentarzysku, porośnięte śmiertelnie trującym grzybem.

Przebyli Hawelę w rejonie Spandau i od razu na drugim brzegu musieli zjechać z drogi, zepchnięci przez kolumnę samochodów terenowych i ciężarówek z wojskiem jadącą na zachód. Przenikliwie zimny wiatr wiał od rzeki, targając wiszącymi na latarniach wypłowiałymi nazistowskimi flagami. Chodnik był poznaczony śladami gąsienic. Nad panoramą miasta unosiły się ciemne kłęby dymów, z których wirujący wiatr tworzył coś w postaci znaków zapytania. Ściany kamienic przyozdobione były obdartymi plakatami i hasłami: PAMIĘTAJCIE O BOHATERACH SPOD STALINGRADU! NAPRZÓD NA MOSKWĘ! NIEMCY ZWYCIĘSKIE DZISIAJ, NIEMCY ZWYCIĘSKIE JUTRO. „Teraz są to epitafia na nagrobkach” - pomyślał Michael. Berlin był cmentarzem pełnym duchów. Oczywiście na chodnikach, tak samo jak w samochodach, kwiaciarniach, zakładach krawieckich i kinach, widziało się ludzi, ale brakowało im choćby krzty witalności. Berlin nie był radosnym miastem. Michael dostrzegł, że ludzie oglądają się za siebie przez ramię, bojąc się tego, co nadchodziło ze wschodu.

Powozący wozem Günther wiózł ich przez eleganckie ulice dzielnicy Charlottenburg, w której domy mieszkalne wyglądały jak zamki z piernika dla równie bajkowych księżąt i baronów. Kierowali się ku zniszczonemu przez wojnę centrum miasta. Widzieli coraz więcej ulic o zwartej zabudowie szarych domów z oknami pozaciąganyymi zasłonami zaciemniającymi. Tu nie spotykało się już księżąt i baronów. Michael zauważył coś dziwnego: na ulicach byli tylko starsi ludzie i dzieci, nigdzie nie widziało się młodych mężczyzn, z wyjątkiem żołnierzy, którzy przejeżdżali w samochodach i na motocyklach. Ci żołnierze mieli młode twarze, ale stare oczy. Berlin był miastem żałoby, ponieważ jego młodzież ginęła.

- Musimy zawieźć mojego przyjaciela do domu - powiedział Michael do Günthera. - Obiecałem mu to.

- A mnie rozkazano zabrać cię do zakonspirowanego lokalu. I tam właśnie jedziemy.

- Proszę - odezwał się Mysz drżącym głosem. - Proszę... mój dom jest niedaleko stąd. W Tempelhof, blisko lotniska. Pokażę wam drogę.

- Przykro mi - odparł Günther - moje rozkazy.... Michael zacisnął dłoń na karku woźnicy. Günther był dobrym towarzyszem, ale Michael nie miał ochoty na sprzeczkę.

- Zmieniam twoje rozkazy. Możemy jechać do tego lokalu, kiedy zawieziemy do domu mojego przyjaciela. Jedź tam albo oddaj mi lejce.

- Nie wiesz, jak ryzykujesz - rzucił Dietz. - I my też! Dopiero straciliśmy przez ciebie przyjaciela!

- Więc zsiadaj i idź na piechotę.

Dietz zawahał się, on też czuł się nieswojo w Berlinie.

- Cholera - mruknął cicho Günther i potrząsnął lejcami. - No dobra, w którym rejonie Tempelhof mieszkasz?

Mysz pośpiesznie podał mu adres, a Michael zdjął rękę z karku Günthera.

Wkrótce zaczęli napotykać domy zburzone przez bomby. Amerykańskie ciężkie bombowce B-17 i B-24 zrzuciły swój ładunek na tę część miasta i teraz gruzy blokowały ulice. Niektóre budynki zostały przemienione całkowicie w sterty gruzu i drewna. Inne popękały i zawaliły się od wybuchów. Nad ziemią utrzymywały się resztki dymów. Było tu jeszcze bardziej ponuro i w wieczornym półmroku czerwone wnętrza dymiących ruin żarzyły się jak piekielne ognie.

Minęli miejsce, w którym cywile w brudnych ubraniach i o brudnych twarzach przeszukiwali szczątki budynku. Języki ognia lizały resztki drewnianych elementów konstrukcji. Jakaś starsza kobieta zanosiła się od płaczu, pocieszana przez sędziwego mężczyznę. Na spękany chodnik leżały ułożone z niemiecką precyzją ciała okryte prześcieradłami.

- Mordercy! - zawołała kobieta, patrząc nie wiadomo czy na niebo, czy w kierunku kancelarii Hitlera stojącej w centrum Berlina. - Niech was piekło pochłonie, mordercy! - krzyknęła i nie mogąc znieść widoku ruin, znowu zaczęła łkać, z dłońmi przyciśniętymi do twarzy.

Przed wozem rozciągał się krajobraz zniszczenia. Po obu stronach ulicy widać było wypalone, zrujnowane budynki. Wiszące nad ziemią warstwy dymu były zbyt ciężkie, żeby wiatr zdołał je rozpędzić. W jednym miejscu wznosiły się ku niebu kominy fabryki, lecz ona sama leżała jak lizka zmiażdżona twardym butem. Stos gruzów był tak wysoki, że blokował całkowicie ulicę, więc Günther musiał poszukać innej drogi na południe w kierunku Tempelhof. Nieco bardziej na zachód szalał wielki pożar, plując czerwonymi płomieniami.

Michael pomyślał, że bomby musiały upaść tam poprzedniej nocy. Mysz siedział z opuszczonymi ramionami, patrząc wokół szklanym wzrokiem. Michael dotknął jego ramienia, ale szybko cofnął rękę. Nie wiedział, co mógłby mu powiedzieć.

Günther znalazł ulicę Myszy i po chwili zatrzymał wóz pod wskazanym adresem.

Szeregowe domy wzniesione były z czerwonego kamienia, żaden z nich nie płonął, tylko w powietrzu wirowały zimne już popioły. Przelatywały koło twarzy Myszy, kiedy zsiadł z wozu i stanął na tym, co pozostało z frontowych schodów.

- To nie tu! - powiedział Mysz do Günthera. Twarz pokrył mu zimny pot. - To nie ten adres!

Günther nie odpowiedział.

Mysz patrzył na to, co kiedyś było jego domem. Brakowało dwóch ścian i większości stropów. Wypalona do cna centralna klatka schodowa biegła do góry jak powykrzywiany kręgosłup. Tablica umieszczona obok osmalonej dziury, w której kiedyś były drzwi frontowe, ostrzegała: NIEBEZPIECZEŃSTWO. WSTĘP WZBRONIONY! Ostemplowana była pieczęcią inspektora do spraw mieszkaniowych NSDAP. Mysz zdusił w sobie śmiech. „O Boże - pomyślał. - Przejechałem taki szmat drogi, a oni nawet nie chcą mnie wpuścić do mojego własnego domu!” Zobaczył w gruzach skorupy niebieskiego wazonu, w którym - jak pamiętał - kiedyś stały róże. Palące łzy wypełniły jego oczy.

- Louise! - zawołał okropnym głosem. Słyszając jego wołanie, Michael zadrżał w głębi duszy. - Louise! Odpowiedz mi!

W nadpalonym budynku po drugiej stronie ulicy otworzyło się okno i wyjrzał z niego stary mężczyzna.

- Hej! - zawołał. - Kogo pan szuka?

- Louise Mausenfeld! Czy wie pan, gdzie ona jest i dzieci?

- Zabrali wszystkie ciała - powiedział mężczyzna, wzruszając ramionami. Mysz nigdy go wcześniej nie widział; kiedyś w tamtym lokalu mieszkało młode małżeństwo. - To był okropny pożar. Widzi pan, jak wypaliło cegły? - Poklepał jedną wymownym ruchem.

- Louise... dwie dziewczynki... - Mysz zachwiał się, świat zawirował wokół niego. Świat czy raczej okrutne piekło?

- Jej mąż też zginął we Francji - powiedział stary człowiek. - Przynajmniej tak słyszałem. Jest pan ich krewnym?

Mysz nie odpowiedział, krzyknął tylko głosem pełnym bólu, który odbił się echem o resztki ścian. I wtedy, zanim jeszcze Michael zdążył wyskoczyć z wozu, żeby go zatrzymać,



rzucił się biegiem w górę schodów. Wypalone stopnie zatrzeszczały pod jego ciężarem. Michael bez wahania podążył za nim w głąb królestwa popiołu i ciemności.

- Tam nie wolno wchodzić! - usłyszał jeszcze za plecami wołanie starego człowieka. Po chwili sąsiad zamknął okno.

Mysz nie przerywał wspinaczki po schodach. Jego lewa stopa przebiła nadpalony stopień, ale wyciągnął ją i pisał się dalej, przytrzymując rękami poczerniałej balustrady.

- Zatrzymaj się! - zawołał Michael, ale Mysz nie usłuchał. Schody zadrżały, kawałek poręczy nagle oberwał się i spadł w wypełnioną gruzami otchłań. Mysz zachwiał się na krawędzi schodów, ale chwycił się poręczy po drugiej stronie. Dotarł tak do kondygnacji około pięćdziesięciu stóp nad ziemią i potknął się o kupkę nadpalonego drewna. Osłabione deski w podłodze zatrzeszczały pod nim.

- Louise! - krzyknął Mysz. - To ja! Wróciłem do domu. Louise!

Wszedł do przeciętych na pół siłą wybuchu pokojów, które były kiedyś mieszkaniem nieżyjącej już rodziny: pokryty sadzą piec, potłuczona zastawa, tu i ówdzie talerz czy filiżanka, które w cudowny sposób przetrwały wstrząs. Sosnowy stół wypalił się do samych nóg. Obok leżała konstrukcja fotela z wystającymi jak poskręcane wnętrzości zardzewiałymi sprężynami. Na ścianach widać było resztki żółtych jak leprotyczne rany tapet, a na nich jaśniejsze prostokąty, gdzie kiedyś wisiały obrazy. Mysz przechodził z pokoju do pokoju, wołając Louise, Carlę i Lucillę. Michael nie potrafił go zatrzymać, nie warto było próbować. Po prostu podążał za nim wystarczająco blisko, żeby go chwycić, gdyby wpadł w dziurę w podłodze.

Mysz wszedł do pomieszczenia, które kiedyś było sypialnią. W podłodze widniały dziury wybite przez spadające z wyższego poziomu płonące elementy konstrukcji budynku. Kanapa, na której Louise lubiła przesiadywać z dziewczynkami, była teraz wypaloną płataniną sprężyn. Pianino natomiast, które dostali jako prezent ślubny od dziadków Louise, zamienione zostało w przerażającą mieszaninę klawiszy i strun. Ocalał jednak kominek zbudowany z białej cegły, który ogrzewał rodzinę w tak wiele chłodnych nocy. Zachowała się też biblioteczka, chociaż niewiele książek zostało na półkach. Przetrwał nawet jego ulubiony fotel bujany. Stał teraz nadpalony w tym miejscu, gdzie go kiedyś zostawił. Mysz popatrzył na ścianę obok kominka i jęknął.

Na chwilę zastygł bez ruchu, a potem powoli dał parę kroków po trzeszczącej podłodze i podszedł do oprawionego w ramkę Żelaznego Krzyża - odznaczenia zdobytego przez jego syna.

Szkło było rozbite, ale poza tym Żelazny Krzyż przetrwał w nie naruszonym stanie. Mysz zdjął z szacunkiem ramkę ze ściany i odczytał podpis: nazwisko syna i datę śmierci. Zadrżał cały, a jego oczy wypełniły się szaleństwem. Na blade policzki nad brudną brodą wystąpiły dwie jaskrawoczerwone plamy.

Mysz cisnął Żelaznym Krzyżem o ścianę i resztki szkła z ramki rozsypały się po podłodze. Odznaczenie upadło z brzękiem. Mysz skoczył ku niemu, podniósł je i z wyrazem szaleństwa w oczach obrócił się ku oknu.

Michael położył dłoń na pięści przyjaciela, zaciśniętej na Żelaznym Krzyżu.

- Nie - powiedział. - Nie wyrzucaj go.

Mysz popatrzył na niego zaskoczony, zamrugał powoli oczami. Z przepelnionej rozpaczą piersi dobył się jęk, który zabrzmiał jak skowyt wiatru w ruinach. Podniósł drugą rękę, też zacisnął ją w pięść i z całej siły uderzył Michaela w szczękę. Jego głowa odskoczyła do tyłu, ale nie wypuścił ręki przyjaciela ani nie próbował się bronić. Mysz uderzył jeszcze raz i znów Michael nie zareagował. Patrzył tylko na niego z żarem w swych zielonych oczach, a z rozciętej dolnej wargi zaczęła spływać strużka krwi. Mysz podniósł rękę, żeby uderzyć go trzeci raz, ale zobaczył, jak Michael napina mięśnie twarzy, przygotowując się na cios, i wtedy cała siła uszła z jego ręki. Uderzył słabo Michaela otwartą dłonią i opuścił ramię. Zachwiał się, a łzy wypełniły mu oczy. Byłby upadł, ale Michael go podtrzymał.

- Chcę umrzeć - wyszeptał Mysz. - Chcę umrzeć, chcę umrzeć, o Boże, pozwól mi...

- Wstań - powiedział Michael - No, wstawaj.

Nogi odmawiały Myszy posłuszeństwa. Chciał paść na podłogę i leżeć tam, aż młot Tora zniszczy ziemię. Poczul woń prochu z ubrań Michaela i zapach ten przypomniawszy mu wszystkie okropne momenty walki w lesie. Wyrwał się Michaelowi i cofnął się.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - krzyknął. - Do diabła z tobą, trzymaj się ode mnie z daleka!

Michael nic nie odpowiedział. Widział nadciągającą burzę i rozumiał, że musi się wyszaleć.

- Ty jesteś mordercą! - wrzasnął Mysz. - Bestią! Widziałem twoją twarz tam w lesie! Widziałem twoją twarz, kiedy zabijałeś tych ludzi! Niemców! Moich rodaków! Zastrzeliłeś tego chłopca i nawet nie mrugnąłeś okiem!

- Nie było czasu na mruganie - odparł Michael.

- Podobało ci się to! - krzyczał z furią Mysz. - Zabijanie sprawia ci przyjemność!

- Nie, to nieprawda.

- Och! Boże... Jezu... Zrobiłeś ze mnie mordercę. - Twarz Myszy wykrzywił grymas. Czuł się tak, jakby coś od wewnątrz zaczynało go rozrywać. - Ten młody chłopak... Zamordowałem go. Zabiłem go. Zabiłem Niemca. Och, mój Boże!

Potoczył wzrokiem po zrujnowanym pokoju, mając wrażenie, że słyszy krzyki swojej żony i dwóch córek rozrywanych przez bomby. Gdzie był on sam - zapytał się w myślach - kiedy alianckie bombowce niosły śmierć jego ukochanym? Nawet nie miał ich zdjęcia, bo wszystkie papiery, portfel i fotografie zabrano mu w Paryżu. Upadł na kolana i zaczął grzebać w stercie wypalonych gruzów, rozpaczliwie szukając zdjęcia Louise i dzieci.

Michael otarł grzbietem dłoni krew z twarzy. Mysz odrzucał okruchy gruzów na wszystkie strony, ale nie wypuszczał z dłoni odznaczenia.

- Co zamierzasz? - zapytał Michael.

- To wy to zrobiliście. Wy. Alianci. Wasze bombowce. Wasza nienawiść do Niemiec. Hitler ma rację. Świat boi się i nienawidzi Niemiec. Myślałem, że on jest wariatem, ale on ma rację.

Grzebał coraz głębiej w gruzach, ale nie było w nich żadnych fotografii, tylko popiół. Podniósł się i zwrócił do biblioteczki ze zwęglonymi książkami w poszukiwaniu zdjęć, które kiedyś były na półkach.

- Doniosę na ciebie. Właśnie tak zrobię. Doniosę na ciebie, a potem pójdę do kościoła i będę błagał Boga o wybaczenie. Boże... zamordowałem Niemca. Zamordowałem Niemca swoimi własnymi rękami. - Załkał i łzy potoczyły mu się po twarzy. - Gdzie są te zdjęcia? Gdzie są te zdjęcia?

Michael przykląkł kilka stóp od niego.

- Nie możesz tu zostać.

- To mój dom! - krzyknął Mysz z taką mocą, że aż zadrżały ramy pustych okien. Oczy miał przekrwione i zapadnięte. - Tu mieszkam - powiedział, ale tym razem to był tylko szept.

- Nikt tu nie mieszka - powiedział Michael, podnosząc się. - Günther czeka na nas. Czas iść.

- Iść? Dokąd iść? - zapytał Mysz tak samo jak poprzednio rosyjski jeniec, który nie widział sensu ucieczki. - Jesteś brytyjskim szpiegiem, a ja obywatelem Niemiec. Mój Boże... dlaczego dałem ci się namówić? Dusza mnie pali. O Boże, wybac mi!

- To Hitler doprowadził do tego, że spadły bomby i zabiły twoją rodzinę. Myślisz, że nikt nie rozpaczał po śmierci ludzi, których zabiły niemieckie bomby zrzucone na Londyn? Myślisz, że twoja żona i dzieci to jedyne osoby, które zginęły w zbombardowanym budynku?

Jeżeli tak myślisz, to jesteś głupcem. - Mówił cicho i spokojnie, ale patrzył na Mysz przeszywającym wzrokiem. - Warszawa, Narvik, Rotterdam, Sedan, Dunkierka,

Kreta, Leningrad, Stalingrad. Hitler posyła ludzi na śmierć wszędzie: na północy, południu, wschodzie i zachodzie, dokąd tylko może sięgnąć. Trzeba rozpaczać nad setkami tysięcy, a ty płaczesz nad jednym zniszczonym mieszkaniem. - Pokręcił głową, czując mieszaninę współczucia i obrzydzenia. - Twój kraj ginie. Hitler go zabija, ale zanim dokona swojego dzieła, zniszczy tylu ludzi, ilu tylko zdoła. Twój syn, żona i córki - kim oni są dla Hitlera? Czy coś dla niego znaczyli? Nie wydaje mi się.

- Zamknij się! - zawołał Mysz. W jego brodzie błyszczały krople łez.

- Przykro mi, że bomby spadły tutaj - powiedział Michael. - Przykro mi, że spadły na Londyn. Ale skoro naziści objęli władzę i Hitler rozpoczął wojnę, to bomby musiały gdzieś spaść.

Mysz nie odpowiedział. Nie znalazł w ruinach żadnych zdjęć. Teraz siedział na nadpalonej podłodze, kołysząc się w tył i w przód.

- Masz tutaj krewnych? - zapytał Michael. Mysz zawahał się i po chwili pokręcił głową.

- Masz dokąd pójść?

Kolejne potrząśnięcie głową. Mysz pociągnął nosem i otarł go ręką.

- Muszę wypełnić swoją misję. Jeżeli chcesz, możesz jechać ze mną do tego konspiracyjnego lokalu. Stamtąd może Günther zdoła cię wywieźć za granicę.

- To jest mój dom - powtórzył Mysz.

- Czyżby? - Michael wiedział, że zadaje retoryczne pytanie. - Jeżeli chcesz mieszkać na cmentarzu, to wolna wola. Jeżeli chcesz wstać i iść stąd ze mną, to chodź. Ja idę. - Odwrócił się plecami do Myszy i ruszył przez wypalone pokoje do schodów, a następnie zszedł na ulicę.

Günther i Dietz pociągali sznapsa z butelki, ogrzewając się na zimnym wietrze. Michael postanowił, że da jeszcze Myszy dwie minuty. Jeżeli nie pojawi się w tym czasie, to wtedy on będzie musiał rozstrzygnąć, co dalej robić. Sytuacja była niezręczna - Mysz wiedział za dużo.

Minęła minuta. Michael patrzył na dwójkę dzieci grzebiących w stercie czarnych gruzów. Odkryły razem parę butów i jedno z nich odpędziło drugie. Michael usłyszał trzeszczenie schodów i poczuł, jak rozluźniają mu się mięśnie. Mysz wyszedł z budynku. Popatrzył na niebo i na okoliczne budynki, jakby je widział pierwszy raz w życiu.

- W porządku - powiedział znużonym, pozbawionym emocji głosem. Miał otoczone czerwonymi obwódkami, opuchnięte oczy. - Pójdę z tobą.

Kiedy Michael i Mysz wsiedli na wóz, Günther potrząsnął lejcami i koń, kulejąc, ruszył przed siebie. Dietz zaproponował sznapsa. Michael pociągnął łyk i podał butelkę Myszy, ale ten pokręcił głową, patrząc na swoją dłoń. Leżał na niej Żelazny Krzyż.

Michael nie wiedział, co by zrobił, gdyby Mysz nie wyszedł. Zabiłby go? Być może. Nie chciał o tym myśleć, uchodził za zawodowca w tej brudnej branży i najważniejsza była jego misja. „Żelazna Pięść”. Frankewitz. Blok. Doktor Hildebrand i broń chemiczna. No i oczywiście Harry Sandler. Co oni mieli ze sobą wspólnego i co oznaczały malowane na zielonym metalu dziury po pociskach?

Musiał się tego dowiedzieć. Gdyby zawiódł, to mogła również zawieść aliancka inwazja na Europę.

Oparł się o bok wozu, czując pod sianem kształt pistoletu maszynowego. Mysz wpatrywał się w Żelazny Krzyż, jakby zahipnotyzowany myślą, że tak mała rzecz może być ostatnim przedmiotem mającym jakiegokolwiek znaczenie w jego życiu. Potem zacisnął palce na odznaczeniu i wsunął je do kieszeni.

Konspiracyjny lokal znajdował się w Neukölln, dzielnicy starych fabryk i domów mieszkalnych stojących w szeregowej zabudowie wzdłuż torów kolejowych. Günther zapukał do drzwi jednego z domów. Otworzył je chudy młody mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami i pociągłą twarzą, która wyglądała tak, jakby nigdy nie gościł na niej uśmiech. Dietz i Günther odprowadzili pozostałą dwójkę do budynku i weszli z nimi na pierwsze piętro. Michael i Mysz zostali zaprowadzeni do saloniku i zostawieni tam sami. Około dziesięciu minut później weszła do pokoju kobieta w średnim wieku, o kręconych, siwiejących włosach. Przyniosła ze sobą dwie filiżanki herbaty i kilka kromek żytniego chleba. Nie pytała ich o nic i Michael też się nie odezwał. Zjedli pośpiesznie chleb, popijając go herbatą.

Okna saloniku zakryte były zasłonami zaciemniającymi. Być może pół godziny po posiłku Michael usłyszał odgłos zatrzymującego się na przed domem samochodu. Podszedł do okna, odsunął nieco zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Zapadała noc, a ulica nie była oświetlona. Michael zobaczył rysujące się na tle ciemnego nieba kontury budynków i parkującego przy chodniku czarnego mercedesa. Kierowca wysiadł, obszedł samochód i otworzył tylne drzwi. Z wnętrza wychynęła najpierw kształtna kobieca noga, a potem ukazała się sama jej właścicielka. Rzuciła okiem na promyk światła wydobywający się z okna w miejscu, gdzie Michael odsunął zasłonę, ale z góry nie było widać jej twarzy. Kierowca zamknął drzwi, a Michael z powrotem zaciągnął zasłonę.

Usłyszał dochodzące z parteru głosy, należące do Günthera i jakiejś kobiety. Rozmawiała po niemiecku w bardzo wyrafinowany, elegancki sposób. W jej sposobie mówienia słyszeć było coś arystokratycznego i jednocześnie coś obcego, czego Michael nie potrafił jeszcze do końca rozpoznać. Ze schodów dobiegły go odgłosy kobiecych kroków, które zbliżyły się do zamkniętych drzwi saloniku.

Gałka się obróciła i do środka weszła tajemnicza kobieta.

Miała na sobie czarny kapelusz z woalką, która przysłaniała jej twarz. W okrytej białą rękawiczką dłoni trzymała czarną walizeczkę. Na sobie miała czarną aksamitną pelerynę, narzuconą na ciemnopopielatą suknię w prążki. Spod kapelusza wychylały się gęste złote loki, które opadały jej na ramiona. Była szczupła i wysoka: miała około pięciu stóp i dziesięciu cali wzrostu. Michael dojrzał błysk jej oczu zza woalki, kiedy spojrzała na niego, przesunęła wzrok na Mysz i wróciła znowu do niego. Zamknęła drzwi za sobą i Michael poczuł zapach jej perfum, delikatny aromat cynamonu i wyprawionej skóry.

- To pan jest tym człowiekiem - powiedziała swym arystokratycznym niemieckim, zwracając się do Michaela.

Skinął głową. Było coś obcego w jej akcencie. „Co to jest?” - myślał Michael.

- Jestem Echo - powiedziała, stawiając na stole swoją walizeczkę i rozsuwając jej zamek. - Pana towarzysza jest niemieckim żołnierzem. Co trzeba z nim zrobić?

- Nie jestem żołnierzem - zaprotestował Mysz - jestem kucharzem, to znaczy: byłem kucharzem.

Echo patrzyła na Michaela, ale nie mógł nic wyczytać z jej przesłoniętej woalką twarzy.

- Co trzeba z nim zrobić? - powtórzyła. Michael rozumiał, co ma na myśli.

- Można mu wierzyć - powiedział.

- Ostatni człowiek, który uważał, że można komuś wierzyć, już nie żyje. Przyszedł pan do nas z niebezpiecznym ładunkiem.

- Mysz... to znaczy mój przyjaciel... chce wydostać się z kraju. Czy to może być zor...

- Nie - przerwała Echo. - Nie będę ryzykować życia żadnego z moich przyjaciół, żeby pomóc pańskiemu. Ten... - obejrzała się pośpiesznie na Mysz i Michael niemal wyczuł, jak kobieta wzdyga się wewnętrznie - ...ten Mysz to pana kłopot. Czy pan się nim zajmie, czy mam to zrobić sama?

Był to uprzejmy sposób zapytania, czy Michael zlikwiduje Mysz, czy też ma to wykonać jeden z jej agentów.

- Ma pani rację - zgodził się Michael. - Mysz to mój kłopot i ja się nim zajmę.

Kobieta skinęła głową.

- Pojedzie ze mną - dodał Michael.

Na chwilę zapadła cisza, śmiertelna cisza.

- Niemożliwe - rzuciła Echo.

- Nie, to nie jest niemożliwe. Kiedy byłem w Paryżu, musiałem polegać na jego pomocy i on mi pomógł. Moim zdaniem dowiódł swej wartości.

- Ale nie przede mną. Pan sam zresztą też nie dowiódł niczego. Jeżeli odmówi pan wypełnienia swojego obowiązku, to ja odmówię współpracy z panem. - Zasunęła zamek walizeczki i ruszyła w kierunku drzwi.

- Więc będę pracował bez pani - powiedział Michael i w tej chwili zrozumiał, na czym polega tajemnica jej akcentu. - Nie potrzebuję pomocy jankeski.

Zatrzymała się z dłonią na gałce drzwi.

- Co?

- Pomocy jankeski. Nie potrzebuję jej. Pani jest Amerykanką, prawda? To słyhać w pani akcencie. Niemcom tutaj musiał słoń nadepnąć na ucho, skoro się nie zorientowali.

Najwyraźniej ugodziło ją to dotkliwie.

- Niemcy wiedzą, że urodziłam się w Stanach Zjednoczonych, jeśli to pana interesuje. Obecnie jestem mieszkanką Berlina. Czy to pana zadowala?

- To jest odpowiedź na moje pytanie, ale nie powiedziałbym, żeby mnie zadowalała. - Michael uśmiechnął się lekko. - Przypuszczam, że nasz wspólny przyjaciel w Londynie poinformował panią co nieco na mój temat. - Michael wiedział, że mogły zostać przekazane informacje dotyczące wszystkiego oprócz jego umiejętności biegania na czterech łapach. - Jestem dobry w tym, co robię. Jak już powiedziałam, jeżeli pani odmówi współpracy ze mną, to wykonam zadanie samodzielnie...

- To będzie pana kosztowało życie - przerwała mu Echo.

- Być może. Ale nasz wspólny przyjaciel z pewnością powiedział pani, że można mi ufać. Nie przeżyłem misji w Afryce Północnej dlatego, że jestem głupi. Jeżeli mówię, że zajmę się Myszą, to mówię poważnie. Zajmę się nim.

- A kto zajmie się panem?

- To jest pytanie, na które nigdy nie musiałem szukać odpowiedzi - powiedział Michael.

- Chwileczkę - wtrącił się Mysz. Nadal miał spuchnięte od łez oczy. - Czy ja nie mam tu nic do powiedzenia? Może ja nie chcę, żebyście się mną zajmowali! Kto was, do cholery, o to w ogóle prosił? Przysięgam na Boga, że było mi lepiej w domu wariatów! Tam przynajmniej mówili do rzeczy.

- Cisza! - warknął Michael. Mysz był o krok od egzekucji, ale wcale nie zdawał sobie z tego sprawy. Skarcony, zaklął pod nosem, a Michael znowu zwrócił się do kobiety. - Mysz pomagał mi do tej pory. Może mi pomóc jeszcze raz. - Echo mruknęła coś niechętnie. - Nie przyjechałem do Berlina, żeby zamordować człowieka, który ryzykował dla mnie swoje życie - dodał Michael.

- O... zamordować? - jęknął Mysz, zrozumiawszy wreszcie sytuację.

- Mysz idzie ze mną - powiedział Michael, patrząc uporczywie na woalkę. - Zajmę się nim. A kiedy moja misja będzie zakończona, pomoże pani nam obydwu wydostać się z Niemiec.

Echo nie odpowiedziała. Bębniła palcami po czarnej walizeczce i widać było, że pośpiesznie rozważa sytuację.

- Więc? - ponaglił Michael.



- Gdyby nasz wspólny przyjaciel był tutaj, to powiedziałaby, że zachowuje się pan bardzo głupio. - Nie dawała za wygraną, ale rozumiała, że ten stojący przed nią brudny człowiek o zielonych oczach podjął już decyzję i nie da się od niej odwieść. Westchnęła, pokręciła głową i postawiła z powrotem walizeczkę na stole.

- Co się dzieje? - zapytał przerażony Mysz. - Zabijecie mnie?

- Nie - powiedział Michael. - Właśnie zostałeś zwerbowany do brytyjskiej Secret Service.

Myszy zabrakło tchu, jakby w gardle utkwiała mu kość.

- Ma pan nową tożsamość. - Echo rozsunęła zamek walizeczki, włożyła do niej rękę i wyjęła teczkę na akta. Wyciągnęła ku niemu rękę z dokumentami, ale kiedy Michael dał krok do przodu, przykryła nos drugą dłonią. - O Boże, co za zapach!

Michael wziął teczkę i otworzył ją. Zobaczył kartki maszynopisu z napisanym po niemiecku życiorysem barona Fredericka von Fange. Michael nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Kto zaproponował takie nazwisko?

- Nasz wspólny przyjaciel.

„Oczywiście” - pomyślał. To była typowa złośliwość człowieka, którego spotkał ostatnio jako szofera o nazwisku Mallory.

- Od hodowcy świń do barona w ciągu jednego dnia. To niezłe, nawet jak na kraj, gdzie można od ręki kupić arystokratyczne tytuły.

- Ta rodzina naprawdę istnieje. Są znani w niemieckich kręgach arystokratycznych. Może pan mieć tytuł arystokratyczny, ale i tak nadal cuchnie pan jak hodowca świń. Tu jest ta druga informacja, o którą pan prosił. - Podała mu następną teczkę z dokumentami. Michael przejrzał zapisane strony. Camille przekazała drogą radiową zakodowane pytania do Echa, a ona spisała się znakomicie, zestawiając informacje na temat pułkownika SS Jerka Bloka, doktora Gustava Hildebranda i firmy Hildebrand Industries. Pośród dokumentów znajdowały się czarno-białe fotografie, rozmazane, ale wystarczająco przydatne, przedstawiające dwóch mężczyzn. Była tam też jedna strona maszynopisu na temat Harry'ego Sandlera oraz jego fotografia, na której siedział przy stole wśród niemieckich oficerów, trzymając na kolanach ciemnowłosą kobietę. Na jego prawym ramieniu przycupnął zakapturzony sokół.

- Jest pani bardzo dokładna - pochwalił ją Michael. Poczuł uścisk w żołądku, patrząc na okrutną, uśmiechniętą twarz Sandlera. - Czy Sandler jest nadal w Berlinie?

Skinęła głową.

- Gdzie?

- Nasze podstawowe zadanie - przypomniała mu - nie dotyczy Harry'ego Sandlera. Wystarczy panu, jeżeli powiem, że Sandler w najbliższym czasie nie będzie wyjeżdżał z Berlina.

Oczywiście miała rację. Najpierw „Żelazna Pięść”, a potem Sandler.

- A co z Frankewitzem? - zapytał.

Było to jedno z pytań, które zadał jej wcześniej za pośrednictwem Camille.

- Znam jego adres, mieszka blisko Victoria Park na Katzbachstrasse.

- I zaprowadzi mnie pani do niego?

- Jutro. Dzisiaj, myślę, powinien pan przeczytać te informacje i wbić je sobie do głowy - wskazała ruchem ręki na biografię barona von Fange. - I na rany Chrystusa, niech się pan ogoli i domyje. W Trzeciej Rzeszy nie ma cyganerii wśród baronów.

- A ja? - zapytał całkiem zagubiony Mysz. - Co ja, do cholery, mam robić?

- No właśnie, co? - powtórzyła Echo i Michael wyczuł, że patrzy na niego.

Szybko przejrzał biografię barona von Fange: posiadłości ziemskie w Austrii i Włoszech, rodzinny zamek nad Saarą, stadnina koni rasowych, szybkie samochody, drogie, szyte na zamówienie ubrania: normalne rzeczy wśród klasy uprzywilejowanej. Podniósł głowę znad kartki.

- Będę potrzebował kamerdynera - powiedział.

- Co? - pisnął Mysz.

- Kamerdynera, kogoś, kto będzie wieszał na wieszakach moje drogie ubrania. - Spojrzał na Echo. - A propos, gdzie są te ubrania? Jestem pewien, że nie chce pani, abym odgrywał rolę barona ze świńskim gównem na koszuli.

- Zajmą się panem. I pana kamerdynerem też. - Wydawało mu się, że nieznacznie się uśmiechnęła, ale trudno było to dojrzeć pod woalką. - Mój samochód będzie czekał tutaj na pana o dziewiątej zero zero. Szofer ma na imię Wilhelm. - Zasunęła zamek walizeczki i wzięła ją do ręki. - Sądzę, że teraz na tym kończymy. Tak? - Nie czekając na odpowiedź, podeszła energicznym krokiem do drzwi na swych długich, zgrabnych nogach.

- Chwileczkę - powiedział Michael. Zatrzymała się. - Skąd pani wie, że Sandler planuje zatrzymać się na dłużej w Berlinie?

- Dlatego jestem tutaj, baronie von Fange, że wiem takie rzeczy. Jerek Blok jest także w Berlinie, to nie tajemnica: Blok i Sandler są obydwaj członkami klubu „Piekło”.

- Klubu „Piekło”? Co to jest?

- Och, jeszcze dowie się pan tego - powiedziała łagodnym głosem Echo. - Dobranoc, panowie. - Otworzyła drzwi i zamknęła je za sobą.

Michael przysłuchiwał się odgłosowi jej kroków, kiedy schodziła po schodach.

- Kamerdyner? - wyrzucił z siebie Mysz. - Co ja wiem o tym, jak być kamerdynerem? W całym życiu miałem tylko trzy garnitury.

- Dobrych kamerdynerów widać, ale ich nie słyszać. Jeśli wykonasz swoją rolę, to będziemy mogli wydostać się z Berlina cali i zdrowi. Mówiłem poważnie o tym, że przystępujesz do naszego wywiadu. Dopóki będziesz ze mną, będę cię chronił, więc oczekuję od ciebie wykonywania moich poleceń. Zrozumiano?

- Nie, do cholery. Co mam robić, żeby uratować dupę?

- No, to proste. - Usłyszawszy warkot silnika mercedesa, Michael podszedł do okna i odchylił nieco zasłonę, aby spojrzeć na odjeżdżający w mroku samochód. - Echo chce ciebie zabić. Wydaje mi się, że mogłaby to zrobić jednym strzałem.

Mysz milczał.

- Przemyśl to dzisiaj - powiedział mu Michael. - Jeżeli zrobisz to, co ci każę, będziesz mógł się wydostać z tego cmentarzyska, zanim zaleją je Rosjanie. A jeżeli nie... - Wzruszył ramionami. - Cóż, masz wybór.

- Dobry wybór! Albo kula w łeb, albo przypalanie przez gestapo jaj gorącym żelazem.

- Zrobię wszystko, żeby do tego nie dopuścić - zapewnił go Michael, wiedząc, że gdyby gestapo ich złapało, to przypalanie gorącym żelazem narządów płciowych byłoby jedną z najłagodniejszych tortur.

Do saloniku znowu weszła siwowłosa kobieta. Sprowadziła ich po schodach na parter, skąd wyszli przez tylne drzwi budynku na zewnątrz, a następnie zstąpili po kolejnych schodach do porośniętej pajęczyną sutereny. Większość podziemnych klitek była pusta lub zapchana zniszczonymi meblami oraz innymi rupieciami i oświetlona lampkami naftowymi. Weszli do piwnicy przeznaczonej do leżakowania wina. Czekają tam na nich dwóch mężczyzn. Razem odsunęli na bok wielki stojak z pełnymi butelkami, odsłaniając prostokątny otwór w ceglanej ścianie. Kobieta przeprowadziła Michaela i Mysza przez tunel do sutereny kolejnego szeregowego domu, gdzie zobaczyli dobrze oświetlone i czyste pomieszczenia, w których stały skrzynie z granatami ręcznymi, amunicją do karabinów i pistoletów, spłonkami, zapalnikami i innym wojskowym sprzętem.

W końcu dotarli do dużej sali, w której kilka osób pracowało przy maszynach do szycia. Pod ścianą stały wieszaki z ubraniami, głównie niemieckimi mundurami. Krawcy wyjęli miarki i dobrali dla obydwu przybyszów garnitury i koszule, oznaczając odpowiednie rozmiary. Przyniesiono też skrzynię z obuwem, w której baron i jego kamerdyner zaczęli poszukiwać właściwych dla siebie wzorów. Kobiety, które zdejmowały miarę z Myszy,

zrędziły niezadowolone, zdając sobie sprawę z tego, że czeka je w nocy żmudne skracanie spodni oraz rękawów koszul i marynarek. Po chwili przyszedł mężczyzna z maszynką do strzyżenia włosów i brzytwą. Ktoś inny przyniósł wiadra z gorącą wodą, szorstkie mydło w kostkach, które byłoby w stanie zmyć nawet brodawki ze skóry ropuchy. Po zabiegach z maszynkami do strzyżenia, brzytwą i mydłem Michael Gallatin, dla którego przeistaczanie się nie było niczym nowym, zaczął się wzuwać w swą nową tożsamość. Przypomnił sobie przy tym aromat cynamonu i skóry, rozmyślając nad tym, czyja twarz mogła się kryć za woalką.

Czarny mercedes przyjechał dokładnie o dziewiątej rano. Był kolejny smutny dzień, słońce kryło się za grubą warstwą szarych obłoków. Dowództwo niemieckie cieszyło się z takiej pogody, ponieważ przy niskim pułapie chmur alianckie lotnictwo zawieszało swe rajdy.

Dwaj mężczyźni, którzy wyszli z domu w pobliżu torów kolejowych, bardzo się różnili od tych, którzy wkroczyli do tego samego domu poprzedniego wieczoru.

Baron von Fange był dokładnie ogolony, a jego czarne włosy zostały starannie ułożone. W oczach mężczyzny po dobrze przespanej nocy nie było już ani śladu zmęczenia. Ubrany był w popielaty garnitur z kamizelką, jasnoniebieską koszulę i wąski krawat w popielate paski ze srebrną szpilką. Na nogach lśniły wypolerowane czarne pantofle, a na ramiona zarzucony miał beżowy płaszcz z wielbłądziej wełny. Czarne rękawiczki z koziej skóry dopełniały stroju. Widać było, że ubranie jest uszyte na miarę.

Kamerdyner, niski, krępy mężczyzna, był tak samo dokładnie ogolony i miał nową fryzurę, która odsłaniała jego wielkie i nieładne uszy. Ubrany był w ciemnogrnatowy garnitur, z gładką czarną muszką. Czuł się fatalnie; dusił go wykrochmalony na sztywno kołnierzyk koszuli, a nowe błyszczące czarne buty ścisnęły stopy jak żelazne cęgi. Nauczył się już wykonywać jeden z obowiązków kamerdynera, to znaczy - zajmować się walizkami z cielęcej skóry, które wypełnione były ubraniami barona i jego kamerdynera. Przenosząc bagaże z domu do bagażnika mercedesa, Mysz musiał uznać kunszt krawców ujawniający się w dbałości o szczegóły: wszystkie koszule barona miały monogramy i nawet na walizkach widniały ozdobne litery: FVF.

Michael już się pożegnał z Güntherem, Dietzem i pozostałymi konspiratorami i usiadł na tylnym siedzeniu mercedesa. Kiedy

Mysz usiłował wsiąść za nim do samochodu, Wilhelm, barczysty mężczyzna z siwym wąsem, powiedział: „Służący jeździ na przednim siedzeniu” - i zamknął mu drzwi przed nosem. Mysz, mrucząc coś do siebie, zajął więc miejsce z przodu. W kieszeni zabrzęczał mu Żelazny Krzyż. Wilhelm zapalił silnik i mercedes gładko ruszył ulicą.

Szklana przegroda oddzielała przednie siedzenia od tyłu samochodu. Michael poczuł wewnątrz zapach Echa, jednak samochód był absolutnie czysty, nie było w nim żadnych chusteczek, kawałków papieru, nic, co mogłoby mu podpowiedzieć, kim jest Echo. Był o tym przekonany, dopóki nie otworzył błyszczącej metalowej popielniczki umieszczonej na tyle oparcia siedzenia kierowcy. Nie dojrzał w niej odrobiny popiołu, za to spostrzegł skasowany

zielony bilet. Przyjrzał się dokładnie napisowi: „Kino «Elektra»„. Odłożył z powrotem bilet do popielniczki i zamknął ją. Podniósł małą klapkę w przegrodzie i zapytał Wilhelma:

- Dokąd jedziemy?
- Jedziemy w dwa miejsca, proszę pana. Najpierw mamy odwiedzić artystę.
- A drugie miejsce?
- Pańska kwatery na czas pobytu w Berlinie.
- Czy pani spotka się z nami?
- Być może, proszę pana - odparł Wilhelm.

Michael zaniknął klapkę. Spojrzał na Mysz, który usiłował rozciągnąć palcem kołnierzyk koszuli. Poprzedniej nocy, kiedy spali w jednym pokoju, Michael usłyszał jego łkanie. Mysz wstał z łóżka i stanął przy oknie. Nie ruszał się z miejsca przez dłuższy czas. Michael słyszał delikatne brzęczenie Żelaznego Krzyża, który Mysz obracał w rękach. Po pewnym czasie westchnął głęboko, wytarł nos rękawem i wsunął się z powrotem do łóżka. Brzęk ucichł, Mysz spał z odznaczeniem w zaciśniętej dłoni. Duchowy kryzys minął, przynajmniej na razie.

Wilhelm był doskonałym kierowcą, dzięki czemu świetnie sobie radził na ulicach Berlina, koszmarnie zatłoczonych wozami konnymi, wojskowymi ciężarówkami, czołgami i tramwajami, nie mówiąc już o miejscach zablokowanych przez dymiące ruiny. Krople lekkiego deszczu zaczęły stukać o szybę samochodu. Michael analizował w pamięci fakty, które poznał z dokumentów dostarczonych mu przez Echo.

Nie znalazł w nich żadnych nowych informacji na temat Jerka Bloka. Pułkownik był fanatycznym zwolennikiem Hitlera i lojalnym członkiem partii nazistowskiej. Odkąd opuścił stanowisko komendanta obozu koncentracyjnego Falkenhausen, jego działalność okryta była mgłą tajemnicy. Doktor Gustav Hildebrand, syn niemieckiego pioniera w dziedzinie wojny chemicznej, miał dom w pobliżu Bonn; tam też znajdowała się firma Hildebrand Industries. Teraz Michael dowiedział się o nim czegoś nowego: Hildebrand posiadał również rezydencję i laboratorium na wyspie Skarpa, około trzydziestu mil na południe od Bergen w Norwegii. Jak na letni dom było to miejsce zanadto oddalone od Bonn. Jako miejsce na zimowe wakacje... cóż, zimy były bardzo długie i mroźne na północy. Więc dlaczego Hildebrand pracował w tak odizolowanym miejscu? Z pewnością byłby w stanie znaleźć przyjemniejsze otoczenie. Michael uznał, że warto zbadać ten fakt.

Wilhelm jechał powoli obok Victoria Park, w którym na drzewach błyszczały w deszczu świeże pączki. Po obu stronach ulicy widać było budynki mieszkalne, niewielkie sklepy i przemyskujących pośpiesznie, ukrytych pod parasolkami pieszych.

Michael znowu podniósł klapkę.

- Czy jesteśmy oczekiwani?

- Nie, panie baronie. Herr von Frankewitz był o północy w domu. Zobaczymy, czy jeszcze tam jest - odparł Wilhelm, jadąc żółtym tempem przed siebie.

„Oczekuje sygnału” - pomyślał Michael. Zobaczył kobietę przycinającą róże w oknie kwiaciarni i mężczyznę stojącego w bramie, który usiłował otworzyć oporną parasolkę. Kobieta wstawiła róże do szklanego wazonu i umieściła je na wystawie, a mężczyzna zdołał otworzyć parasolkę i odszedł.

- Herr Frankewitz jest w domu, panie baronie - powiedział Wilhelm. - Jego mieszkanie znajduje się w tym budynku - wskazał ręką dom z szarych cegieł po prawej stronie. - Numer pięć na drugim piętrze - dodał i zatrzymał mercedesa. - Będę jeździł wokół tego kwartału. Życzę panu powodzenia.

Michael wysiadł i podniósł kołnierz płaszcza, by osłonić się przed deszczem. Mysz również zamierzał wysiąść, ale Wilhelm chwycił go za rękę.

- Baron idzie sam - powiedział.

Mysz próbował się wyrwać, ale Michael go powstrzymał.

- Słusznie. Zostań w samochodzie. - Odszedł w kierunku wskazanego przez Wilhelma budynku.

Mercedes ruszył przed siebie.

Wnętrze kamienicy pachniało jak wilgotny grobowiec. Na ścianach widniały wymalowane farbą nazistowskie hasła. W ciemnym kącie Michael dostrzegł jakiś ruch. Nie był pewien, czy to kot, czy może wielki gryzoń. Wszedł na górę po schodach i odnalazł drzwi z przybrudzoną tabliczką z numerem mieszkania.

Zapukał. Z dołu dobiegł go płacz niemowlęcia. Gdzieś indziej słychać było podniesione głosy kłócących się mężczyzny i kobiety. Zapukał znowu, gotów użyć prezentu od swoich obecnych opiekunów: dwustrzałowego derringera, który miał w kieszeni kamizelki. Żadnej odpowiedzi. Podniósł rękę, żeby zastukać pięścią jeszcze raz, jednocześnie się zastanawiając, czy przypadkiem Wilhelm nie zinterpretował źle jakiegoś sygnału.

- Proszę odejść - dobiegł go zza drzwi głos mężczyzny. - Nie mam pieniędzy. - Brzmiał anemicznie, jak głos kogoś, kto ma kłopoty z oddychaniem.

- Herr von Frankewitz? - odezwał się Michael. - Proszę, muszę z panem porozmawiać.

Cisza.

- Nie mogę rozmawiać. Proszę odejść.

- To bardzo ważne.

- Powiedziałem, że nie mam pieniędzy. Proszę mnie nie męczyć. Jestem chory.

Michael usłyszał zza drzwi szuranie oddalających się stóp.

- Jestem przyjacielem pana przyjaciela z Paryża. Tego miłośnika opery - powiedział.

Kroki zatrzymały się. Michael czekał.

- Nie wiem, o czym pan mówi - wydyszał Frankewitz.

- Powiedział mi, że ostatnio robił pan jakieś prace malarskie. Na metalu. Chciałbym omówić je z panem, jeśli można.

Znowu zapadła cisza. Von Frankewitz był albo bardzo ostrożny, albo bardzo przerażony. Po chwili rozległ się szcęk otwieranych zamków. Zaszurała zasława i drzwi uchyliły się nieznacznie. W szparze pokazała się blada twarz jak oblicze upiora wychodzącego z grobowca.

- Kim pan jest? - wyszeptał Frankewitz.

- Przebyłem długą drogę, żeby się z panem spotkać - odparł Michael. - Czy mogę wejść?

Frankewitz zawahał się, jego blada twarz wyglądała jak księżyc w pierwszej kwadrze. Michael zobaczył szare przekrwione oko i gęste przetłuszczone włosy, częściowo zasłaniające wysokie blade czoło. Oko zamrugało. Frankewitz otworzył drzwi i cofnął się, wpuszczając Michaela do środka.

Mieszkanie było ciasne i ciemne, a jego wąskie okna pokrywał pył z kominów fabrycznych. Na drewnianej podłodze, która nie wyglądała na zbyt solidną, leżał wytarty orientalny czarno-złoty dywan. Masywne ozdobne meble przypominały eksponaty trzymane w zakurzonych magazynach muzealnych. Wszędzie leżały poduszcзки, a poręcze sofy w odcieniu morskiej zieleni okryte były koronkowymi pokrowcami. Zapachy wypełniające mieszkanie uderzyły w nozdrza Michaela: woń dymu tanich papierosów, słodkiej wody kwiatowej, farb olejnych i terpentyny oraz niemiły odór choroby. W kącie pokoju, przy jednym z wysokich okien, stało krzesło i sztalugi z rozpiętym płótnem, na którym widniało rozpoczęte malowidło przedstawiające pejzaż: czerwone niebo nad miastem, którego budynki zrobione były z kości.

- Proszę usiąść tutaj, tu jest najwygodniej. - Frankewitz odsunął stertę brudnych ubrań z sofy i Michael usiadł. Poczul uwierającą go w plecy sprężynę.

Frankewitz był chudym mężczyzną. Miał na sobie niebieski jedwabny szlafrok i domowe pantofle. Przeszedł się po pokoju, poprawiając abażury lamp, obrazy i bukiet zwiędłych kwiatów w miedzianym wazonie, a potem usiadł na krześle z wysokim oparciem,



założył nogę na nogę i sięgnął po paczkę papierosów i ebonitową cygarniczkę. Włożył do niej papierosa drżącymi palcami.

- Więc widział pan Wenera, tak? Jak się mają sprawy u niego? Michael domyślił się, że Frankewitz mówi o Adamie.

- Nie żyje. Gestapo go zabiło.

Malarz otworzył usta i westchnął. Trzęsącymi się dłońmi usiłował zapalić zapalkę. Pierwsza była wilgotna, błysnęła tylko i zgasła. Udało mu się zapalić papierosa drugą zapalką. Zaciągnął się głęboko. Od razu porwał go atak kaszlu, po chwili zakaszłał jeszcze raz i jeszcze. Z płuc malarza rozległo się rżenie, jednak gdy tylko kaszel ustąpił, znowu zaciągnął się papierosem. W jego zapadniętych oczach pojawiła się wilgoć.

- To smutna wiadomość. Werner był... dżentelmenem. Michael uznał, że to odpowiedni moment, aby przejść do konkretów.

- Czy wiedział pan, że pański przyjaciel pracuje dla brytyjskiej Secret Service?

Frankewitz bez słowa palił papierosa, mały punkt żarzył się w półmroku.

- Wiedziałem - odparł w końcu. - Werner powiedział mi o tym. Nie jestem nazistą. To, co oni zrobili z moim krajem i moimi przyjaciółmi... nie darzę ich sympatią.

- Powiedział pan Wernerowi o wyjeździe do jakiegoś magazynu i o tym, że malował pan dziury po kulach na zielonym metalu. Chciałbym się dowiedzieć, jak doszło do tego, że dostał pan taką pracę. Kto pana zatrudnił?

- Jakiś człowiek. - Frankewitz wzruszył chudymi ramionami. - Nigdy nie słyszałem jego nazwiska. - Zaciągnął się papierosem, wypuścił dym i znowu zakaszłał. - Przepraszam, jestem chory.

Michael zauważył już zaschnięte rany na nogach Frankewitza. Wyglądały jak ugryzienia szczura.

- A skąd ten człowiek wiedział, że umie pan to wykonać?

- Żyję ze sztuki - odpowiedział Frankewitz, jakby to wszystko tłumaczyło. Wstał i poruszając się jak stary człowiek, chociaż nie mógł mieć więcej niż trzydzieści trzy lata, podszedł do sztalug. Obok nich stały oparte o ścianę liczne obrazy. Frankewitz przyklęknął i zaczął je przeglądać, dotykał ich ostrożnie długimi, białymi palcami, tak jakby budził śpiące dzieci. - Kiedyś malowałem w kawiarni niedaleko stąd. Na zimę przenosiłem się do pracowni. Ten człowiek przyszedł na kawę. Przyglądał się, jak maluję. Przychodził jeszcze wiele razy. A, jesteście! - powiedział patrząc na jeden z obrazów. - Wtedy właśnie nad tym pracowałem. - Wyjął obraz i pokazał go Michaelowi. Był to autoportret Frankewitza, na którym jego twarz przedstawiona była jakby w odbiciu popękanego lustra. Pęknięcia wyglądały tak

realistycznie, że Michael miał wrażenie, iż gdyby ich dotknął, to mógłby się skaleczyć w palec. - Potem przyprowadził jeszcze jednego człowieka, żeby zobaczył ten obraz. Nazistowskiego oficera. Później się dowiedziałem, że ten oficer nazywa się Blok. Jakies dwa tygodnie po ich wizycie ten pierwszy mężczyzna przyszedł do kawiarni i zapytał mnie, czy chciałbym zarobić trochę pieniędzy - powiedział, uśmiechając się blado niesamowitym grymasem. - Cóż, pieniądze zawsze się przydają, nawet pieniądze od nazistów. - Przez chwilę przypatrywał się portretowi. Przedstawiona na nim twarz była przykładem fantastycznego autopochlebstwa. Odstawił obraz i podniósł się. Spojrzał na krople deszczu spływające po brudnych szybach. - Przyjechali po mnie którejś nocy i odwieźli na lotnisko. Był tam Blok i jeszcze kilku ludzi. Zanim wystartowaliśmy, założyli mi na oczy opaskę.

- Więc nie wie pan, gdzie wylądowaliście?

Frankewitz wrócił na swoje krzesło i znowu włożył w usta cygarniczkę. Patrzył przez okno na deszcz, wydechając niebieski dym z rżeniem w płucach.

- To był długi lot. Raz lądowaliśmy, żeby zatankować paliwo. Wyczułem jego zapach. Czułem też promienie słońce na twarzy, więc wiedziałem, że lecimy na zachód. Kiedy wylądowaliśmy, poczułem zapach morza. Zaprowadzili mnie w jakieś miejsce i tam zdjęli mi opaskę. To był jakiś magazyn bez okien. Drzwi były zamknięte. Mieli tam wszystkie farby i narzędzia, jakich potrzebowałem, bardzo starannie przygotowane. Dostałem mały pokój, w którym miałem mieszkać, z krzesłem i leżanką, paroma książkami, pismami i gramofonem. Tam też nie było okien. Pułkownik Blok zaprowadził mnie do dużego pomieszczenia, gdzie leżały kawałki blachy i szkła, powiedział, co mam z tym zrobić. Kazał mi namalować dziury po kulach, pęknięcia na szkle, tak jak to zrobiłem z lustrem na moim obrazie. Powiedział, że chce, żebym namalował na metalu dziury według pewnego wzoru. Zaznaczył te miejsca kredą. Wykonałem tę pracę. Kiedy skończyłem, znowu założyli mi opaskę i zaprowadzili do samolotu. Po długim locie zapłacili mi i zawieźli samochodem do domu. - Przechylił głowę, słuchając melodii deszczu. - To wszystko.

„Niezupełnie” - pomyślał Michael.

- A w jaki sposób Ad... Werner dowiedział się o tym?

- Powiedziałem mu. Spotkałem Wenera latem zeszłego roku. Byłem w Paryżu z jeszcze innym przyjacielem. Jak powiedziałem, Werner był dżentelmenem. Prawdziwym dżentelmenem. Ach, cóż. - Wykonał wyrażający smutek gest ręką i wtedy w jego oczach pokazało się przerażenie. - Gestapo... oni nie... Werner nie powiedział im o mnie, prawda?

- Nie, nie powiedział.

Frankewitz odetchnął z ulgą, znowu porwał go atak kaszlu.

- Dzięki Bogu - rzekł, kiedy już odzyskał głos. - Dzięki Bogu. Gestapo... Oni robią z ludźmi takie straszne rzeczy.

- Powiedział pan, że zaprowadzili pana z samolotu do magazynu. Nie zawieźli pana samochodem?

- Nie. To może było trzydzieści kroków, nie więcej. „Więc magazyn był częścią lotniska” - pomyślał Michael.

- Co jeszcze znajdowało się w tym magazynie?

- Nie miałem za wiele możliwości, żeby się rozglądać. Zawsze był przy mnie wartownik. Widziałem jakieś beczki i skrzynie. Chyba beczki z ropą. Jakieś maszyny, przekładnie i takie rzeczy.

- I postyszał pan nazwę „Żelazna Pięść”, czy tak?

- Tak. Pułkownik Blok rozmawiał z jakimś mężczyzną, który przyjechał z wizytą. Zwracał się do niego „doktorze Hildebrand”. Kilka razy wymienił to nazwisko.

Michael uznał, że tu właśnie musi poszukać więcej wyjaśnień.

- Dlaczego Blok i Hildebrand pozwolili na to, żeby pan ich podsłuchiwał, skoro były takie środki ostrożności? Musiał być pan z nimi w tym samym pomieszczeniu, prawda?

- Oczywiście. Ale pracowałem, więc może myśleli, że nie słucham - odparł Frankewitz, wydmuchując do góry dym. - W każdym razie to nie był taki sekret. Musiałem to namalować.

- To namalować? Co namalować?

- Te słowa: „Żelazna Pięść”. Musiałem je wypisać na kawałku blachy. Blok pokazał mi, jak wykonać ten napis, ponieważ nie znam angielskiego.

- Angielskiego? - zdumiał się Michael. - Malował pan...

- Słowa „Żelazna Pięść” po angielsku - powiedział Frankewitz. - Na zielonym metalu, oliwkowozielonym, dokładnie mówiąc. Pod nimi namalowałem rysunek.

- Rysunek? - Michael zdziwiony pokręcił głową. - Nie rozumiem.

- Pokażę panu. - Frankewitz podszedł do sztalug, usiadł na krześle i wziął blok papieru do rysowania. Ujął w rękę kawałek węgla, a Michael stanął za nim. Przez chwilę Frankewitz zastanawiał się, po czym zaczął rysować. - To bardzo robocza wersja. Ostatnio ręka nie jest mi zbyt posłuszna. To chyba przez pogodę. W tym mieszkaniu jest zawsze wilgotno na wiosnę.

Michael obserwował powstający rysunek. Przedstawiał wielką pięść w pancерnej rękawicy. Pięść zaciskała się na jakiejś postaci, która jeszcze czekała na dokończenie.

- Blok stał za mną i przyglądał się tak samo jak pan teraz - powiedział Frankewitz. Narysował chude nogi zwieszające się pod żelazną pięścią. - Musiałem robić szkic pięć razy, zanim uznał, że rysunek go zadowala. Potem namalowałem to na blasze, pod tymi słowami. Skończyłem szkołę sztuk pięknych w pierwszej trójce absolwentów. Profesorowie mówili, że zapowiadam się obiecująco. - Uśmiechnął się blado. Jego ręka poruszała się tak, jakby była wyposażona we własną inteligencję. - Cały czas nachodzą mnie wierzyciele. Myślałem, że pan jest jednym z nich - ciągnął, rysując zwisające bezwładnie ręce postaci. - Najlepiej maluję w lecie - powiedział - kiedy mogę wyjść na słońce do parku.

Frankewitz skończył rysowanie sylwetki. Wyglądała jak postać z komiksu. Następnie przystąpił do pracy nad głową i szczegółami twarzy.

- Kiedyś jeden z moich obrazów był na wystawie. Przed wojną. Przedstawiał dwie złote rybki pływające w zielonym stawie. Zawsze lubiłem ryby, wyglądają tak łagodnie. - Narysował dwoje szeroko otwartych, występujący z orbit oczu i zadarty nos. - Wie pan, kto kupił ten obraz? Jeden z sekretarzy Goebbelsa. Tak, samego Goebbelsa, ten obraz teraz może wisi nawet w Kancelarii Rzeszy. - Nakreślił kosmyk ciemnych włosów spadający na czoło postaci. - Mój podpis w Kancelarii Rzeszy. Ach, świat jest dziwny, prawda? - Skończył twarz, dorysowując czarny prostokąt wąsa, i odsunął rękę od rysunku. - Proszę, to właśnie namalowałem dla pułkownika Bloka.

To była karykatura Adolfa Hitlera. Miał wybałuszone oczy i otwarte usta, jakby krzychał ściskany w żelaznej pięści.

Michaelowi odebrało mowę. Próbował dostrzec w tym wszystkim jakiś sens, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Pułkownik SS Jerek Blok, lojalny nazista, zapłacił Frankewitzowi, żeby narysował karykaturę führera? To nie miało żadnego sensu! Okazanie takiego braku szacunku gwarantowało spotkanie ze stryczkiem, a pracę zlecił przecież fanatyk Hitlera. Dziury po pociskach, spękane szkło, karykatura, żelazna pięść... o co w tym wszystkim chodziło?

- Nie zadawałem żadnych pytań - powiedział Frankewitz, wstając z krzesła. - Niczego nie chciałem wiedzieć. Zależało mi tylko na tym, żeby wrócić żywym do domu. Blok powiedział mi, że mogą mnie jeszcze raz potrzebować, żebym wykonał jeszcze więcej tej roboty. Powiedział, że jest to specjalne zadanie i że gdybym powiadomił o tym kogokolwiek, to gestapo znajdzie mnie i złoży mi wizytę. - Rozprostował fałdy szlafroka. Znowu poruszał nerwowo dłońmi. - Nie wiem, dlaczego wyznałem wszystko Wernerowi. Wiedziałem, że pracuje dla drugiej strony. - Znowu spojrzął na ściekające po szybie krople deszczu. Jego wychudzoną twarz pokrywały cienie. - Myślę... że to zrobiłem, bo... Blok patrzył na mnie w

taki sposób. Jakbym był psem, który potrafi robić sztuczki. Widać to było w jego oczach: nienawidził mnie, ale mnie potrzebował. Być może nie zabił mnie dlatego, że myślał, iż będę mu jeszcze potrzebny. Ale ja jestem człowiekiem, nie zwierzęciem, rozumie pan to?

Michael skinął głową.

- Tylko tyle wiem. Już nie pomogę panu w niczym więcej. - Znowu zaczęło mu rzeźić w płucach. Zapalił papierosa, ale mu zgasł. - Ma pan trochę pieniędzy? - zapytał.

- Nie, nie mam - powiedział Michael. Miał portfel dostarczony mu przez jego gospodarzy, ale nie było w nim pieniędzy. Popatrzył na dłonie Frankewitza i zdjął swoje rękawiczki. - Proszę, coś są warte.

Frankewitz wziął je bez wahania. Smużka niebieskiego dymu wydobywała się spomiędzy jego ust.

- Dziękuję. Jest pan prawdziwym dżentelmenem. Nie zostało nas wielu na świecie.

- Lepiej niech pan to zniszczy - Michael wskazał rysunek z karykaturą Hitlera. Podszedł do drzwi i zatrzymał się, żeby jeszcze coś dodać. - Nie musiał mi pan mówić o tych rzeczach. Doceniam to. Ale muszę powiedzieć panu jedno. Nie jest pan bezpieczny, wiedząc o tych rzeczach.

Frankewitz machnął w powietrzu ręką, w której trzymał papierosa.

- Czy ktokolwiek jest bezpieczny w Berlinie?

Michael nie znał odpowiedzi na takie pytanie. Czuł, że robi mu się duszno w tym wilgotnym pokoju z wąskimi brudnymi oknami. Odsunął zasuwę przy drzwiach.

- Czy pan jeszcze mnie odwiedzi? - zapytał Frankewitz, gasząc resztkę papierosa w zielonej onyksowej popielniczce.

- Nie.

- Przypuszczam, że tak będzie lepiej. Mam nadzieję, że znajdzie pan to, czego szuka.

- Dziękuję, też mam taką nadzieję.

Michael otworzył ostatni zamek i wyszedł z mieszkania, zamykając drzwi za sobą. Usłyszał, jak Frankewitz od razu zaciąga zasuwę. Robił to pośpiesznie, jak zwierzę kryjące się w klatce. Zakaszłał ciężko kilka razy, a Michael dotarł korytarzem do schodów i wyszedł na mokrą od deszczu ulicę.

Wilhelm podjechał do krawężnika i Michael wsiadł do samochodu. Ruszyli w kierunku zachodnim.

- Znalazłeś to, czego szukałeś? - zapytał Mysz milczącego przyjaciela.

- To dopiero początek - odpowiedział Michael.

Hitler miażdżony w żelaznej pięści. Dziury po pociskach malowane na zielonym metalu. Doktor Hildebrand, naukowiec pracujący nad gazami bojowymi. Magazyn na lotnisku, gdzie w powietrzu czuło się zapach morza. To był początek, tak, początek labiryntu. A inwazja na Europę miała nastąpić po ustaniu wiosennych sztormów. „W pierwszym tygodniu czerwca” - pomyślał Michael. Życie setek tysięcy ludzi wisiało na włosku.

„Żyj wolny”. Uśmiechnął się ponuro, czując przygniatające go ciężkie brzemie odpowiedzialności.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Wilhelma po kilku minutach.

- Żeby pana zakwaterować. Jest pan nowym członkiem klubu „Piekło”.

Michael chciał zapytać, co to jest, ale zauważył, że Wilhelm skupia całą uwagę na prowadzeniu samochodu. Popatrzył na swoje dłonie, nadal rozważając wszystkie wątpliwości. Ulewa siekła o szyby samochodu.

- Jesteśmy, panie baronie - oznajmił Wilhelm.

Za omiataną przez wycieraczki szybą dojrzeli cel podróży; wznoszące się w deszczu i mgle wieże zamku usytuowanego na wyspie na Haweli. Żeby tam dotrzeć, Wilhelm jechał około piętnastu minut brukowaną drogą wiodącą przez Grunewald, która urywała się na brzegu rzeki. Nie był to jednak koniec drogi, ponieważ ponad ciemnymi wodami prowadził do masywnej granitowej bramy pałacu drewniany most pontonowy. Wjazd na most był zamknięty żółtym szlabanem. Gdy Wilhelm zwolnił, z małej kamiennej strażnicy wyszedł młody mężczyzna w jasnobrązowym uniformie, granatowych rękawiczkach i z parasolem w ręku. Wilhelm odkręcił szybę i oznajmił: „Baron von Fange” - a wtedy strażnik skinął głową i wrócił na swój posterunek. Widać było przez szybę okienną, że wykręca numer telefonu. Wychodzące ze strażnicy przewody telefoniczne przekraczały rzekę i znikwały w zamku. Po chwili strażnik wyszedł na zewnątrz, podniósł szlaban i dał Wilhelmowi znak ręką, żeby jechał dalej. Mercedes przetoczył się po moście do zamku.

- To jest hotel „Reichkronen” - wyjaśnił Wilhelm, kiedy dojeżdżali do bramy. - Zamek został zbudowany w tysiąc siedemset trzydziestym trzecim roku. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym przejęli go naziści. Przeznaczony jest dla dygnitarzy i gości Rzeszy.

- Och, Boże - westchnął Mysz, patrząc na ogromny zamek. Oczywiście widywał go już wcześniej, ale nigdy z tak bliskiej odległości. Nigdy też nawet nie marzył, że może znaleźć się w jego wnętrzu. „Reichkronen” był zarezerwowany dla dygnitarzy partii nazistowskiej, zagranicznych dyplomatów, wysokiej rangi oficerów, książąt i baronów, to znaczy prawdziwych baronów. Zamek potężniał w ich oczach, a jego otwarta brama czekała

jak paszcza o szarych wargach. Mysz poczuł się bardzo malutki. Ścisnęło go w żołądku. - Ja... ja nie sądzę, że mogę tam wejść.

Nie miał jednak wyboru. Mercedes wjechał przez bramę na rozległy dziedziniec. Szerokie schody z granitu wznosiły się do góry, prowadząc do dwuskrzydłowych drzwi wejściowych, nad którymi widniał złoty napis „Reichkronen” i swastyka. Z drzwi wyszli czterej młodzi blondyni w jasnobrązowych uniformach. Zeszli pośpiesznie po schodach w kierunku mercedesa.

- Ja nie mogę... nie mogę... - powtarzał Mysz, czując, że traci oddech.

Wilhelm zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

- Dobry służący - powiedział cicho - nie sprawia zawodu swojemu panu.

W tym samym momencie otworzono z zewnątrz drzwi samochodu i gdy tylko Mysz wysiadł, nad jego głową pojawił się parasol, trzymany przez jednego z mężczyzn. Wilhelm wysiadł z samochodu i podszedł do bagażnika, by go otworzyć.

Jak przystało na barona, Michael czekał, siedząc w samochodzie, aż mu otworzą drzwi. Wysiadł pod trzymany usłużnie parasol. Też go ścisnęło w żołądku i czuł, jak sztywnieją mu mięśnie karku. Ale nie było czasu na wahanie. Jeżeli miał przeżyć tę maskaradę, musiał odegrać swoją rolę do końca w najdrobniejszych szczegółach. Pokonał narastające zdenerwowanie i ruszył schodami w górę tak szybko, że młody mężczyzna z parasolem z trudnością dotrzymał mu kroku. Mysz szedł kilka jardów za nim i z każdą chwilą czuł się coraz mniejszy. Wilhelm i dwaj pozostali mężczyźni nieśli bagaże.

Michael wszedł do westybuli „Reichkronen” i znalazł się w nazistowskiej świątyni. Była to wielka komnata, w której światło lamp rozlewało się po ciemnobrązowych meblach o skórzanych obiciach, a perskie dywany połyskiwały złotymi nitkami. U sklepienia wisiał masywny ozdobny żyrandol, w którym paliło się może pięćdziesiąt świec. W kominku z białego marmuru, który był tak wielki, że mógłby być garażem dla czołgu „Tygrys”, płonął ogień. Pośrodku ściany nad kominkiem wisiał duży, oprawiony w ramę portret Adolfa Hitlera, po którego obydwu stronach umieszczono złożone orły. Wnętrze komnaty wypełniały dźwięki muzyki kameralnej; to kwartet smyczkowy wykonywał utwór Beethovena. Na obitych skórą fotelach i sofach siedzieli niemieccy oficerowie, w większości z kieliszkami w rękę, zajęci albo konwersacją, albo słuchaniem muzyki. Inni obecni, a wśród nich trochę kobiet, stali w grupach, prowadząc kurtuazyjne rozmowy.

Michael rozejrzał się, próbując ogarnąć zmysłami to okropne miejsce, kiedy usłyszał przerażony jęk stojącego za nim Myszy. W tejże chwili dosłyszał kobiecy głos, piękny jak dźwięk wiolonczeli.

- Frederick! - Ten głos brzmiał mu znajomo. Nie zdążył się jeszcze obrócić, kiedy usłyszał go powtórnie. - Frederick! Och, kochany!

Podbiegła do niego i objęła ramionami. Poczuł jej zapach: cynamon i skóra. Obejmowała go mocno, przyciskając blond loki do jego policzka. Spojrzała mu prosto w twarz oczami o kolorze szampana, szukając swymi koralowymi ustami jego ust.

Pozwolił jej je odnaleźć. Smakowała jak świeże białe wino mozelskie. Przyciskała się całym ciałem mocno do niego, nie przerywając pocałunku. Michael również ją objął i wsunął język pomiędzy jej wargi. Poczuł, jak się wzdrgnęła, chcąc się od niego oderwać, ale zamknął ją w uścisku i delikatnie przesunął językiem w tę i z powrotem po jej ustach. Nagle chwyciła jego język wargami i wciągnęła go z taką siłą, jakby chciała mu go urwać. Zaciśnęła zęby na jego języku w zgoła niepieszczotliwy sposób. „To jest cywilizowany sposób prowadzenia wojny” pomyślał Michael. Objął jeszcze mocniej, a ona odwzajemniła się uściskiem tak silnym, że aż chrupnęło mu w kręgosłupie. Stali tak przez chwilę, zwarci ustami.

- Hmhm - chrząknął obok nich jakiś mężczyzna - więc to jest ten szczęśliwy baron von Fange.

Kobieta wypuściła język Michaela i odsunęła głowę.

Czerwone plamy wystąpiły jej na policzki, a piękne, jasno-brązowe oczy zabłysły gniewem spod gęstych blond brwi. Jednak na ustach miała radosny uśmiech.

- Tak, Harry - odpowiedziała z podnieceniem w głosie. - Czyż nie jest piękny?

Michael odwrócił głowę w prawo i zobaczył Harry'ego Sandlera, stojącego może trzy stopy od niego.

Myśliwy, ten sam człowiek, który niecałe dwa lata temu w Kairze doprowadził do zamordowania hrabiny Margritty, chrząknął sceptycznie.

- Dzikie zwierzęta są piękne, Chesno. Szczególnie kiedy ich głowy wiszą na mojej ścianie. Obawiam się, że nie podzielam twojego gustu, ale... miło jest mi w końcu poznać pana, baronie. - Sandler wysunął wielką dłoń, a siedzący na jego lewym ramieniu złotawy sokół rozłożył skrzydła, żeby zachować równowagę.

Michael przez chwilę patrzył jedynie na jego rękę. Wyobrażał ją sobie trzymającą telefon, przez który przekazano rozkaz zamordowania Margritty. Widział, jak ta ręka wystukuje przez krótkofalówkę zaszyfrowane wiadomości adresowane do faszystowskich władców. Widział, jak naciska spust sztucera, posyłając kulę w głowę lwa. Ujął dłoń Sandlera w swoją i potrząsnął nią, zachowując na twarzy uprzejmy uśmiech, chociaż w jego oczach pojawiło się coś twardego. Sandler ścisnął jego dłoń mocniej, wiążąc ją w swojej.



- Chesna zanudza mnie na śmierć opowieściami o panu - powiedział Sandler z uśmiechem na czerstwej twarzy.

Mówił bardzo dobrze po niemiecku. W jego ciemnobrązowych oczach nie było ani śladu ciepła. Coraz mocniej, aż do bólu ścisnął w dłoni rękę Michaela. - Dzięki Bogu, że pan tu już jest, więc nie będzie mi musiała więcej opowiadać.

- Być może zanudzę pana na śmierć moimi własnymi opowieściami - powiedział Michael, uśmiechając się jeszcze szerzej, żeby nie dać po sobie poznać, że jego ręka jest bliska zmiążdżenia. Patrzył Sandlerowi prosto w oczy, czując, co sobie nawzajem przekazują: tylko silniejszy może przetrwać. Jego ręka nadal tkwiła ściśnięta w niedźwiedziej łapie Sandlera. Jeszcze parę gramów nacisku - i popękałyby mu kości. Michael uśmiechał się, choć pot zaczynał mu spływać pod pachami. Był na łasce mordercy, przynajmniej przez chwilę.

W końcu Sandler wypuścił rękę Michaela i odsłonił swe białe prostokątne zęby. Gallatin poczuł mrowienie w palcach od zaczynającej krążyć na nowo krwi.

- Jak już powiedziałem, cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Sandler.

Chesna była ubrana w granatową sukienkę, dopasowaną idealnie do szczupłego ciała, a jasne włosy spadały jej w lokach na ramiona. Jej twarz, o wysokich, wyraźnych kościach policzkowych i pełnych ustach, była urocza jak promień słońca, który przenika przez burzowe chmury.

Wzięła Michaela pod rękę.

- Fredericku, mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tych przechwałek na twój temat. Zdradziłam Harry'emu nasz sekret.

- O? Tak? No i co teraz będzie?

- Harry się zgodził poprowadzić pannę młodą do ołtarza, prawda?

Uśmiech Sandlera przybladł odrobinę, co nie miało żadnego znaczenia, bo od samego początku był fałszywy.

- Muszę powiedzieć panu, baronie, że czeka pana największa przeprawa w życiu.

- Och, czyżby? - odparł Michael, czując się, jakby miał pod stopami nie podłogę, lecz kruchy, grożący pęknięciem lód.

- Jak najbardziej. Gdyby pana tu nie było, Chesna poślubiłaby mnie. Mam więc zamiar dołożyć wszelkich starań, żeby pana zdetronizować.

Chesna roześmiała się.

- Ojej! To wspaniałe! Będzie o mnie walczyć dwóch przystojnych mężczyzn! - Obejrzała się na Wilhelma i Mysza, którzy stali kilka stóp z boku. Twarz Myszy poszarzała, „Reichkronen” przytłaczał go swym ciężarem. Bagaż już zniknął, wniesiony do windy przez

obsługę hotelową. - Możesz teraz udać się do swojego apartamentu - powiedziała tonem wskazującym na to, że nawykła do wydawania poleceń i że znajdują one posłuch.

Wilhelm zdecydowanym kuksańcem skierował Mysz w stronę schodów. Nieszczęśnik zrobił tylko kilka kroków i obejrzał się na Michaela. Na twarzy rzekomego kamerdynera widać było mieszaninę paniki i zdziwienia. Michael skinął głową i Mysz ruszył za Wilhelmem w kierunku klatki schodowej.

- Trudno jest znaleźć dobrych służących - stwierdziła Chesna aroganckim tonem. - Czy pójdziemy do salonu? - Wskazała ręką oświetloną świecami salę po drugiej stronie westybulu.

Michael pozwolił, żeby go tam zaprowadziła. Sandler szedł kilka kroków za nimi i fałszywy baron czuł, że myśliwy przygląda mu się taksująco. Oczywiście kobieta o imieniu Chesna była agentką, którą znał jako Echo, ale kim ona w ogóle była? I w jaki sposób mogła tak swobodnie obracać się w arystokratycznych kręgach Rzeszy? Dotarli już prawie do salonu, kiedy stanęła przed nimi ciemnowłosa dziewczyna.

- Przepraszam - powiedziała nieśmiało - ale widziałam wszystkie pani filmy. Pani jest wspaniała. Czy mogłabym dostać autograf?

- Oczywiście. - Chesna wzięła od dziewczyny pióro i notes. - Jak się nazywasz?

- Charlotta.

Michael przyglądał się dedykacji wpisywanej dużymi literami: „Dla Charlotty, wszystkiego najlepszego, Chesna van Dorne”. Zakończyła podpis ozdobnym zawijasem i z olśniewającym uśmiechem podała notes z powrotem Charlocie.

- Proszę bardzo. W przyszłym miesiącu wchodzi na ekrany mój nowy film. Mam nadzieję, że zechcesz go obejrzeć.

- Och, tak! Dziękuję! - Dziewczyna, podniecona, wróciła z autografem na swe miejsce na sofie pomiędzy dwoma oficerami w średnim wieku.

W salonie, który był udekorowany godłami niemieckich dywizji piechoty i dywizji pancernych, Chesna wybrała odosobniony stolik. Michael zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku. Kiedy nadszedł kelner, Chesna zamówiła rieslinga, Michael poprosił o to samo, a Sandler zażądał whisky z wodą sodową i talerz surowego siekanego mięsa. Wyglądało na to, że kelner nawykł do spełniania tego zamówienia, gdyż przyjął je bez komentarza.

- Harry, czy musisz wszędzie nosić tego ptaka? - zapytała Chesna przekornym tonem.

- No, nie całkiem wszędzie. Ale Blondi jest moim amuletem. - Uśmiechnął się, patrząc na Michaela. Sokół, wspaniały okaz, też wpatrywał się w Michaela, który pomyślał, że zarówno sokół, jak i jego pan mają takie same zimne oczy. Szpony ptaka zaciskały się na

skórzanej osłonie, którą Sandler miał naszytą na ramieniu tweedowej, wyglądającej na drogą marynarki. - Czy wie pan coś o ptakach drapieżnych, baronie?

- Wiem wystarczająco dużo, żeby ich unikać.

Sandler zaśmiał się uprzejmie. Miał w jakiś surowy sposób przystojną twarz, o kwadratowej szczęce i skrzywionym nosie boksera. Jego rudawe włosy były przystrzyżone krótko na skroniach i z tyłu, a mały płomienisty kosmyk spadał mu na pokryte zmarszczkami czoło. Wszystko w jego wyglądzie sugerowało wyniosłą pewność siebie i siłę. Ubrany był w jasnoniebieską koszulę i krawat w czerwone paski, a w klapę marynarki miał wpiętą małą złotą swastykę.

- Sprytny z pana człowiek - powiedział. - Złapałem Blondi w Afryce. Wytrenowanie jej zajęło mi trzy lata. Oczywiście, nie jest oswojona, tylko posłuszna. - Wyjął skórzaną rękawicę z wewnętrznej kieszeni płaszcza i włożył ją na lewą rękę. - Jest piękna, prawda? Czy pan wie, że jakbym dał jej sygnał, to w pięć sekund rozorałaby panu twarz?

- To pocieszająca myśl - odparł Michael, czując ściskanie w jądrach.

- Wytrenowałem ją na brytyjskich jeńcach - ciągnął Sandler. - Smarowałem im twarze wnętrzościami myszy, a Blondi dokonywała już reszty. Masz, mała. - Zagwizdał cichym, wibrującym dźwiękiem i podsunął Blondi grzbiet osłoniętej rękawicą dłoni. Sokół od razu zeskoczył z jego ramienia i zacisnął szpony na rękawicy. - Moim zdaniem w okrucieństwie jest coś szlachetnego - stwierdził Sandler, przypatrując się z podziwem ptakowi. - Może właśnie dlatego chciałem, żeby Chesna mnie poślubiła.

- Och, ten Harry! - Chesna uśmiechnęła się do Michaela. W jej uśmiechu kryło się jakieś ostrzeżenie. - Nigdy nie wiem, czy go pocałować, czy dać mu w twarz.

Michael jeszcze nie zdążył się otrząsnąć po uwadze Sandlera na temat angielskich jeńców. Czuł, że mimo wysiłków uśmiech może zniknąć mu z twarzy.

- Mam nadzieję, że zostawisz swoje pocałunki dla mnie - powiedział.

- Jestem zakochany w Chesnie od naszego pierwszego spotkania. To było na planie... który to był film, Chesno?

- „Płomień przeznaczenia”. Heinreid cię tam przyprowadził.

- O, właśnie! Przypuszczam, że pan też jest jej wielbicielem, baronie.

- Największym wielbicielem - potwierdził Michael. Położył rękę na dłoni Chesny i ścisnął ją.

„Ona musi być aktorką filmową - pomyślał. - I w dodatku całkiem znaną”. Przypomniał sobie, że czytał coś kiedyś o „Płomieniu przeznaczenia” - filmie

propagandowym z 1938 roku. Był to jeden z typowych nazistowskich obrazów: hitlerowskie sztandary, rozradowane tłumy wiwatujące na cześć führera i idylliczne niemieckie krajobrazy.

Kelner przyniósł im kieliszki z białym winem, whisky z wodą sodową dla Sandlera i talerz z siekanym surowym mięsem. Myśliwy pociągnął łyk alkoholu i zaczął karmić Blondi krwistymi kawałkami. Sokół pożerał je pośpiesznie. Michael poczuł zapach krwi i ślina napłynęła mu do ust.

- No więc, kiedy jest ten szczęśliwy dzień? - zapytał Sandler. Miał czerwone od krwi palce prawej ręki.

- W pierwszym tygodniu czerwca - odparła Chesna. - Jeszcze nie ustaliliśmy dokładnej daty, prawda, Fredericku?

- Nie, jeszcze nie.

- Wasze szczęście. A dla mnie to tragedia. - Sandler patrzył, jak kawałek mięsa znika w zakrzywionym dziobie Blondi. - Czy pan zajmuje się czymkolwiek, baronie? To znaczy, poza pilnowaniem rodzinnej posiadłości.

- Zajmuję się prowadzeniem winnic. Także ogrodów. Uprawiamy tulipany - zacytował informacje ze swojego nowego życiorysu.

- Ach, tulipany. - Sandler uśmiechnął się, wpatrzony w sokoła. - To musi dostarczać panu wiele trudu. Bycie arystokratą to wspaniałe zajęcie, nieprawdaż?

- O ile jest się w stanie znieść rozkład dnia pracy. Sandler przeniósł wzrok na Michaela. Coś błysnęło w jego brązowych, pozbawionych emocji oczach jak ostrze noża. Gniew? Zazdrość? Przesunął talerz z mięsem kilka cali w kierunku Michaela.

- Proszę. Może pan nakarmi Blondi.

- Harry, nie sądzę, żebyśmy... - usiłowała zaprotestować Chesna.

- W porządku - przerwał jej Michael, biorąc w palce kawałek mięsa.

Sandler powoli przesunął rękę z Blondi w kierunku Michaela, tak żeby ten mógł dotrzeć dłonią jej dzioba. Michael podniósł rękę, żeby podać Blondi mięso.

- Ostrożnie - powiedział cicho Sandler. - Ona lubi palce. I jak potem zbierałby pan tulipany?

Michael zatrzymał rękę. Blondi wpatrywała się nieruchomo w trzymany przez niego kawałek mięsa. Wyczuł, jak siedząca obok Chesna van Dorne tężeje w napięciu. Sandler czekał, spodziewając się, że bogaty i wiodący próżniaczy tryb życia baron się wycofa. Michael nie miał wyboru: musiał przesunąć dalej rękę. Kiedy przybliżył palce do Blondi, z jej dzioba zaczął się wydobywać groźny syk.

- Oho! - odezwał się Sandler. - Blondi wyczuwa coś w panu, co się jej nie podoba.

Sokół pochwycił dobywającą się z porów jego skóry woń wilka. Michael zawahał się, zatrzymując rękę około czterech cali od dzioba Blondi. Jej syk był coraz głośniejszy i groźny jak syk pary uchodzącej z rozgrzanego czajnika.

- Zdaje się, że pan ją naprawdę niepokoi. Ciii, mała. - Sandler odsunął od Michaela rękę z sokołem i zaczął delikatnie dmuchać na tył jego szyi. Syk stopniowo ucichł, ale Blondi nadal wpijała się wzrokiem w Michaela, który czuł, że ptak ma ochotę skoczyć na niego i zatopić szpony w jego ciele.

„Jaki pan, taki sokół” - pomyślał Michael, czując narastającą atmosferę wrogości.

- No cóż - powiedział - szkoda, żeby się zmarnowała taka dobra wołowina. - Włożył kawałek mięsa do ust, przeżuł je i połknął. Widząc to, Chesna omal się nie zachłysnęła, a Sandler siedział tylko jak zahipnotyzowany, patrząc na niego z niedowierzaniem. Michael od niechcenia pociągnął łyk wina i przetarł usta serwetką. - Befszyk tatarski jest jednym z moich ulubionych dań - oświadczył. - A to jest prawie to samo, nieprawdaż?

Sandler obudził się.

- Lepiej uważaj na swego przyszłego męża, Chesno. Wygląda na to, że lubi smak krwi - powiedział wstając. Ich rozgrywka została na jakiś czas przerwana. - Muszę dopilnować pewnych spraw, więc na razie pożegnam się z wami. Mam nadzieję, baronie, że będziemy mogli jeszcze porozmawiać. Oczywiście przyjdzie pan do klubu „Piekło”.

- Ależ oczywiście.

- Jeżeli lubi pan surowe mięso, to na pewno spodoba się panu nasz klub. - Wysunął rękę do Michaela, ale zatrzymał ją, spojrzawszy na swe przybrudzone krwią palce. - Wybacz pan, jeśli nie podam panu ręki?

- Ależ nic nie szkodzi - odparł Michael. Jego palce i tak nie były jeszcze gotowe na kolejne zawody w ściskaniu dłoni. Sandler skłonił się Chesnie i opuścił salę, niosąc uczepionego jego ręki sokoła.

- Czarujący - stwierdził Michael. - Spotykałem już sympatyczniejsze bestie.

Chesna spojrzała na niego. Była rzeczywiście dobrą aktorką, gdyż mimo chłodnego spojrzenia nadal miała rozmarzoną minę szczęśliwej kochanki.

- Jesteśmy obserwowani - oznajmiła. - Jeżeli jeszcze raz spróbujesz mi włożyć język do gardła, to ci go odgryzę. Czy to jasne, kochanie?

- Czy to znaczy, że będę miał jeszcze jedną szansę?

- To znaczy, że nasze przygotowania do małżeństwa są fikcją, której nie należy mieszać z rzeczywistością. Był to tylko najlepszy sposób na wytłumaczenie twojej obecności i wprowadzenie cię do tego hotelu.

Michael wzruszył ramionami. Bawiło go drażnienie tej opanowanej nordyckiej gwiazdy.

- Po prostu usiłuję odegrać moją rolę.

- Aktorstwo lepiej zostaw mnie. Po prostu idź tam, gdzie ci każe; rób, co ci każe, i odzywaj się wtedy, gdy ktoś mówi do ciebie. Nie podawaj sam żadnych informacji i nie próbuj, na Boga, konkurować z Harrym Sandlerem. - Skrzywiła się nieprzyjemnie pod jego adresem. - O co ci chodziło z tym surowym mięsem? Nie sądzisz, że posunąłeś się za daleko?

- Być może, ale dzięki temu ten sukinsyn wyniósł się stąd, nie sądzisz?

Chesna van Dorne pociągnęła łyk wina, ale nic nie powiedziała. Musiała w duchu przyznać mu rację. Sandler został wypunktowany, a z nim nie było to takie łatwe. W jakiś niesamowity sposób wypadło to nawet zabawnie. Spojrzała na Michaela. „To zdecydowanie nie jest typ człowieka wachającego tulipany” - uznała. Domyty, bez potarganych włosów i brody był bardzo przystojny. Jednak w jego oczach czaiło się coś niepokojącego, coś, czego nie potrafiła określić. Wyglądały tak jak... właśnie, jak oczy niebezpiecznego zwierzęcia, przypominały jej jasnozielone oczy wilka, którego się przestraszyła, kiedy jako dwunastoletnia dziewczynka zwiedzała berlińskie zoo. Zwierz wpatrywał się w nią swymi zimnymi czystymi oczami, a ona uczepiła się przestraszona dłoni ojca, chociaż drapieznika oddzielały od nich żelazne pręty. Wiedziała, co wilk myśli: „Chcę ciebie zjeść”.

- Chcę coś zjeść - oznajmił Michael. Surowe mięso pobudziło jego apetyt. - Czy jest tu restauracja?

- Tak, ale możemy zamówić jedzenie do pokoju - odparła Chesna, kończąc wino. - Mamy wiele spraw do omówienia.

Wpatrywał się w nią, ale unikała jego wzroku. Zawołała kelnera, podpisała rachunek, a potem wzięła Michaela pod ramię i wyprowadziła go z salonu tak, jak prowadzi się na smyczy rasowego psa. Kiedy już znaleźli się w westybulu i skierowali ku windom o wyłączanych drzwiach, włączyła swój olśniewający uśmiech, jakby to był reflektor sceniczny.

Gdy dochodzili już do wind, usłyszeli ochryply męski głos:

- Chesna van Dorne?

Przystanęła i odwróciła się z promiennym uśmiechem, gotowa oczarować kolejnego łowcę autografów.

Zobaczyła przed sobą olbrzymiego mężczyznę. Wyglądał jak żywa wieża. Mógł mierzyć około sześciu stóp i trzech cali wzrostu i ważyć co najmniej dwieście sześćdziesiąt funtów, a przy tym miał potężne ramiona i bary. Ubrany był w mundur SS z szarą wysoką czapką. Na jego bladej twarzy nie dało się dostrzec ani śladu emocji.

- Kazano mi to pani przekazać - rzekł, podając Chesnie małą białą kopertę.

Serce skoczyło Michaelowi do gardła. Przed nim stał Stiefel - człowiek, który skopał i zatratował na śmierć wuja Gaby w stodole w Bazancourt.

- Mam przekazać pani odpowiedź - dodał Stiefel.

Miał krótko przyszyżone włosy, a jego bladoniebieskie oczy o ciężkich powiekach wydawały się patrzeć na wszystkich innych ludzi jak na kruche konstrukcje z ciała i kości. Kiedy Chesna, otworzywszy kopertę, zaczęła czytać list, Michael zerknął na wysokie, podbite grubą podeszwą buty SS-mana. Światło świec odbijało się na ich wypolerowanej powierzchni. „Czyżby to były te same buty, którymi Niemiec wybił zęby Gervaise'go?” - pomyślał Michael. Wyczuł, że SS-man patrzy na niego, więc podniósł wzrok i spojrzał mu prosto w twarz. Stiefel nieznacznie skinął głową. Widać było po jego oczach, że nie rozpoznaje Michaela.

- Proszę mu powiedzieć, że... będę zachwycona - powiedziała

Chesna i Stiefel odszedł ku grupie oficerów stojących pośrodku westybulu.

Nadjechała winda.

- Piąte - powiedziała Chesna do starszego windziarza. - Właśnie zostaliśmy zaproszeni na kolację przez pułkownika Jerka Bloka - dodała, zwracając się do Michaela.

Chesna otworzyła zamek w białych drzwiach i obróciła ozdobną mosiężną gałkę. Przechodząc przez próg, Michael poczuł wypełniający wnętrze apartamentu zapach świeżych róż i lawendy.

Weszli do majestatycznego, umeblowanego na biało salonu ze sklepieniem na wysokości dwudziestu stóp i kominkiem z zielonego marmuru. Podwójne przeszklone drzwi prowadziły na taras, z którego rozciągał się widok na rzekę i rosnący za nią las. Na białym pianinie marki „Steinway” stał duży kryształowy wazon z różami i gałązkami lawendy. Z wiszącego nad kominkiem portretu spoglądał twardo Adolf Hitler.

- Przytulnie tutaj - stwierdził Michael. Chesna zamknęła drzwi na klucz.

- Twoja sypialnia jest tam - wskazała ruchem głowy. Michael przeszedł korytarzem i obejrzał obszerny pokój wyposażony w dębowe meble i przyozdobiony obrazami, przedstawiającymi różne typy używanych przez Luftwaffe samolotów. Zauważył, że jego rzeczy są już starannie ułożone w szafie. Wrócił do salonu.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział. Położył płaszcz na sofie i podszedł do jednego z wysokich okien. Nadal padało, krople deszczu dzwoniły o szyby, a mgła pokrywała widoczny w dole las. - Sama płacisz za to czy twoi przyjaciele?

- Ja płacę. I to niemało. - Podeszła do barku z onyksowym blatem, wyjęła z niego szklankę i otworzyła butelkę źródlanej wody. - Jestem bogata - dodała.

- Tylko dzięki grze w filmach?

- Od trzydziestego szóstego roku grałam główne role w dziesięciu obrazach. Nie słyszałeś o mnie?

- Słyszałem o Echu - odparł. - Nie o Chesnie van Dorne. - Otworzył drzwi na balkon i wciągnął w płuca wilgotne, pachnące sosną powietrze. - Jak do tego doszło, że Amerykanka została niemiecką gwiazdą filmową?

- Talent. Poza tym byłam na właściwym miejscu we właściwym momencie. - Wypiła wodę i odstawiła szklankę. - Imię Chesna pochodzi od Chesapeake. Urodziłam się na jachcie mojego ojca w zatoce Chesapeake. Mój ojciec był Niemcem, a matka pochodziła ze stanu Maryland. Mieszkałam i w jednym, i w drugim kraju.

- A dlaczego wybrałaś Maryland, a nie Niemcy? - zapytał.



- Chodzi ci o moje przekonania, tak? - Uśmiechnęła się lekko. - No cóż, nie jestem wyznawcą tego człowieka znad kominka. Mój ojciec też nim nie był. Popełnił samobójstwo w trzydziestym czwartym roku, kiedy upadła jego firma,

Michael już chciał powiedzieć: „Jak mi przykro” - ale uznał, że nie byłoby to na miejscu. Chesna po prostu informowała go.

- Ale jednak grasz w nazistowskich filmach? - zauważył.

- Gram w filmach dla pieniędzy. A poza tym dzięki temu, co robię i kim jestem, mogę docierać do miejsc niedostępnych dla innych. Słyszę dużo plotek, czasami widzę nawet mapy. Byłbyś zdziwiony, gdybyś się dowiedział, jak na przykład generał potrafi się przechwalać, kiedy szampan rozwiąże mu język. Jestem pupilka Niemiec. Moja twarz widnieje nawet na niektórych plakatach propagandowych. - Uniosła brwi. - Rozumiesz?

Skinął głową, myśląc, że jeszcze bardzo mało wie o Chesnie van Dorne. Czy jest, tak jak jej filmowe postacie, tylko wytworem wyobraźni? W każdym razie uważał ją za piękną kobietę i wiedział, że jego los spoczywa w jej rękach.

- A gdzie jest mój przyjaciel? - zapytał.

- Twój kamerdyner, tak? W skrzydle dla służby. - Wskazała ręką biały telefon. - Skontaktujesz się z nim, wykręcając numer naszego pokoju i dziewiątkę. Możemy zamówić posiłek do apartamentu, jeżeli jesteś głodny.

- Jestem. Chciałbym zjeść befsztyk. - Spostrzegł, że Chesna patrzy na niego podejrzliwie. - Krwisty - dodał.

- Chciałabym ci o czymś powiedzieć - rzekła po chwili milczenia. Stała przy oknie, patrząc na rzekę. Na jej twarzy odbijało się światło błyskawic. - Nawet jeżeli inwazja odniesie sukces, a możliwe, że stanie się inaczej, to alianci i tak nie dotrą do Berlina przed Rosjanami. Oczywiście naziści spodziewają się inwazji, ale nie wiedzą dokładnie, kiedy ani gdzie ona nastąpi. Zamierzają zepchnąć aliantów z powrotem do morza, żeby móc skupić cały wysiłek na froncie wschodnim. Ale to im nie pomoże i front wschodni będzie wytyczał granicę Niemiec. Więc to jest moje ostatnie zadanie; kiedy zakończysz swą misję, wyjeżdżam z tobą.

- I z moim przyjacielem - zauważył Michael.

- Tak - zgodziła się - z nim też.

W tym samym czasie, gdy likantrop i gwiazda filmowa rozmawiali o swojej przyszłości, przez dziedziniec hotelu przejechał szary samochód sztabowy z chorągiewką SS. Pokonał most pontonowy i ruszył tą samą brukowaną leśną drogą, którą Michael i Mysz przybyli do „Reichkronen”. Wjechał w granice Berlina i skierował się na południowy wschód ku fabrykom i zanieczyszczoneму powietrzu dzielnicy Neukölln. Ze wschodu nadciągały

czarne chmury, grzmoty piorunów rozlegały się jak odgłosy dalekich eksplozji. Samochód dojechał do dzielnicy zabudowanej szeregami kamienic i wtedy kierowca zatrzymał wóz, nie zważając na inne pojazdy. Nikt nie zatrąbił na niego, chorągiewka SS uciszała wszystkie protesty.

Z samochodu wysiadł olbrzymi mężczyzna w mundurze z odznakami adiutanta i w szarej czapce z wysokim denkiem. Na nogach miał wypolerowane wysokie buty. Obszedł samochód i otworzył drzwi z drugiej strony. Siedzący z tyłu pasażer, umundurowany, chudy jak tyczka mężczyzna, w ciemnozielonym płaszczu, wysiadł z samochodu i wszedł do jednego z budynków, a wielkolud podążył za nim. Szary samochód pozostał na miejscu. Kierowca wiedział, że nie będzie czekał zbyt długo.

Na drugim piętrze adiutant zastukał masywną pięścią w drzwi z przybrudzoną piątką. W mieszkaniu ktoś zakaszłał.

- Tak, kto tam?

Oficer w ciemnozielonym płaszczu skinął głową.

Stiefel kopnął drzwi prawą nogą. Pękły z trzaskiem rozłupującego się drewna, ale zamki uniemożliwiły ich otwarcie. Opór drzwi spowodował, że Stiefel poczerwieniał na twarzy z wściekłości, kopnął je jeszcze raz i jeszcze raz.

- Przestańcie! - krzyknął mężczyzna z wnętrza mieszkania. - Proszę, przestańcie!

Czwarty kopniak wyłamał drzwi. Theo von Frankewitz stał w swoim jedwabnym niebieskim szlafroku, a oczy występowały mu z orbit z przerażenia. Cofnął się, potknął o stół i upadł na podłogę. Stiefel wszedł do mieszkania, stukając butami podkutymi żelaznymi ćwiekami. Przerażeni sąsiedzi zaczęli otwierać drzwi i wyglądać na korytarz, ale oficer w płaszczu krzyknął:

- Wracać do swoich nor!

Drzwi pozamykały się jedne po drugich. Słysząc było tylko dźwięk przekręcanych w zamkach kluczy.

Frankewitz usiłował uciec po podłodze na czworakach. Wcisnął się w kąt, podnosząc ręce w błagalnym geście.

- Proszę, nie zróbcie mi krzywdy! - zawołał. - Proszę, nie!

Na podłodze leżała cygarniczka z dymiącym jeszcze papierosem. Stiefel rozgniół ją butem, podchodząc do błagającego o łaskę mężczyzny. Zatrzymał się nad nim jak góra mięsa.

Po policzkach Frankewitza spływały łzy. Usiłował wcisnąć się w ścianę.

- Czego chcecie?! - krzyknął, dusząc się, kaszląc i płacząc jednocześnie. Spojrzał na SS-mana. - Czego pan chce? Wykonałem tę pracę!

- Wykonałeś. Bardzo dobrze ją wykonałeś. - Oficer wszedł do pokoju i rozejrzał się z niesmakiem. - Cuchnie tutaj. Nigdy nie otwierasz okien?

- One... one... one nie chcą się otwierać - wykrztusił Frankewitz, pociągnął nosem, z którego ciekł śluz, i jęknął.

- Nieważne. - Oficer zniecierpliwiony machnął ręką. - Przyjechałem trochę tu posprzątać. Nasze działania zostały zakończone, więc nie będę już potrzebował twoich talentów.

Frankewitz zrozumiał, co to znaczy. Twarz powlekł mu grymas przerażenia.

- Nie, błagam pana, na rany Chrystusa... wykonałem tę pracę... zrobiłem...

Oficer znowu skinął głową, dając sygnał Stieflowi. Olbrzym kopnął Frankewitza w klatkę piersiową. Rozległ się trzask pękającej kości. Malarz zawył.

- Skończ z tymi wrzaskami - polecił oficer.

Stiefel wziął z zielonej sofy poduszeczkę, rozerwał ją i wyciągnął ze środka garść bawełny. Chwycił Frankewitza za włosy i wepchnął mu bawełnę w otwarte usta. Frankewitz wił się, usiłując dosięgnąć paznokciami oczu Stiefla, ale ten z łatwością uniknął ciosu i kopnął go w żebra, wgniatając mu piersi jak ściankę namokniętej beczki. Wycie było przytłumione, więc już nie przeszkadzało tak bardzo Blokowi.

Stiefel kopnął Frankewitza w twarz, miażdżąc mu nos i wybijając szczękę. Lewe oko malarza zamknęło się od opuchlizny, a na twarzy pokazał się purpurowy siniak w kształcie podeszwy buta. Frankewitz w rozpacz i szaleństwo zaczął drapać ścianę, jakby chciał się przez nią przedostać. Stiefel kopnął go w kręgosłup i malarz upadł, wijąc się jak rozdeptana gąsienica.

W pokoju było wilgotno i chłodno, więc Blok, nie znoszący jakichkolwiek niewygód, podszedł do małego kominka, w którym pośród popiołu dopalał się niewielki ogień. Stał blisko kraty, próbując ogrzać ręce; niemal zawsze było mu w nie zimno. Obiecał Stieflowi, że będzie mógł załatwić Frankewitza. Początkowo planował go zastrzelić, skoro ich plan został wykonany i malarz nie był im już potrzebny, ale Stiefel musiał mieć swój trening tak jak każdy dobrze wyszkolony doberman.

Oprawca złamał kopniakiem lewą rękę Frankewitza. Malarz przestał się opierać, co wyraźnie rozczarowało Stiefla. Leżał bezwładnie na podłodze, deptany butami SS-mana.

„Niedługo będzie po wszystkim” - pomyślał Blok. Wróci do „Reichkronen”, jak tylko opuści to wstrętne... Chwileczkę.

Patrząc na niewielki płomyk, zobaczył w popiołach dopalającą się kulkę papieru. Najwyraźniej Frankewitz dopiero co zgniótł coś i wrzucił do paleniska, ale papier nie zdążył

jeszcze cały się spalić. Blok widział nawet fragment tego, co było narysowane na kartce. Wyglądało to jak twarz mężczyzny z kosmykiem ciemnych włosów spadających na czoło; ocalało tylko jedno wybałuszone karykaturalnie oko, drugie już się spaliło.

Ten rysunek wydawał mu się znajomy. Zbyt znajomy.

Serce załomotało mu w piersi. Sięgnął ręką do paleniska i wyciągnął kawałek papieru. Tak. Twarz. J e g o twarz. Dolna część rysunku była spalona, ale zachował się ostry kontur nosa. Blok poczuł, jak zasycha mu w gardle. Przeganiał popioły i znalazł jeszcze jeden kawałek nie dopalonego papieru. Widać było na nim fragment żelaznej zbroi łączonej nitami.

- Przestań - wyszeptał Blok.

Stiefel zadał kolejny cios, Frankewitz nie reagował.

- Przestań! - krzyknął Blok, wyprostowując się. Olbrzym powstrzymał się przed zadaniem następnego kopniaka, który miał zmiażdżyć czaszkę Frankewitza, i cofnął się.

Blok przykleknął przy malarzu, chwycił go za włosy i uniósł jego głowę z podłogi. Twarz artysty była surrealistycznym malowidłem w odcieniach granatu i czerwieni. Z jego rozbitych warg zwisały zakrwawione strzępki bawełny, a ze zmiażdżonego nosa ciekły czerwone strużki. Z płuc jednak dobiegało słabe rżenie. Malarz kurczowo trzymał się życia.

- Co to jest? - zapytał Blok, przysuwając kawałki papieru do twarzy Frankewitza. - Odpowiedz mi! Co to jest? - Zauważył, że Frankewitz nie jest w stanie odpowiedzieć, więc położył nadpaloną kartkę na podłodze, uważając, żeby nie zabrudziła się krwią, i zaczął wyciągać knebel z jego ust, krzywiąc się z niesmakiem. - Podnieś mu głowę i otwórz oczy - polecił Stieflowi.

Adiutant przytrzymał Frankewitza za włosy, próbując unieść mu powieki. Jedno oko było zmiażdżone i wbite głęboko w oczodół. Drugie wystawało przekrwione, jakby przedrzeźniając oko z karykatury.

- Popatrz na to, słyszysz mnie?! - zawołał Blok. Frankewitz jęknął słabo, w płucach mu zabułgotało.

- To jest kopia pracy, którą wykonywałeś dla mnie, prawda? - Blok trzymał papier blisko twarzy Frankewitza. - Dlaczego to narysowałeś? - Było mało prawdopodobne, żeby Frankewitz naszkicował to dla własnej przyjemności, więc Blokowi nasunęło się kolejne pytanie: - Kto to widział?

Frankewitz zakaszłał i z ust pociekła mu krew. Jego ocalałe oko poruszyło się i natrafiło na nadpalony kawałek papieru.

- Ty to narysowałeś - ciągnął Blok w taki sposób, jakby mówił do niedorozwiniętego dziecka. - Dlaczego narysowałeś to, Theo? Co miałeś zamiar z tym zrobić?

Oczy Frankewitza patrzyły nieruchomo, ale nadal oddychał. Blok zorientował się, że w ten sposób niczego nie osiągnie.

- Do cholery z tym - zaklął wstając i przeszedł na drugą stronę pokoju do telefonu. Podniósł słuchawkę, starannie otarł mikrofon rękawem i wybrał czterocyfrowy numer. - Mówi pułkownik Jerek Blok - przedstawił się telefoniście. - Daj mi lekarza. Szybko.

Czekając, obejrzał jeszcze raz papier. Nie było wątpliwości, że Frankewitz odtworzył z pamięci rysunek, a potem próbował go spalić. To wystarczyło, żeby Blok poczuł się zaniepokojony. Kto jeszcze widział ten rysunek? Musiał się tego dowiedzieć, a w tym celu konieczne było utrzymanie Frankewitza przy życiu.

- Potrzebny mi jest ambulans - powiedział do lekarza gestapo, który odebrał telefon. Podał mu adres mieszkania, w którym się znajdował. - Niech pan przyjeżdża tutaj jak najszybciej! - powiedział niemal krzycząc i odwiesił słuchawkę.

Wrócił do Frankewitza, aby sprawdzić, czy jeszcze oddycha. Jeżeli informacje przypadłyby wraz ze śmiercią tego ulicznego pedałowatego malarza, to jego samego czekałby stryzyk.

- Nie umieraj - polecił Frankewitzowi. - Słyszysz mnie, sukinsynu? Nie umieraj!

- Panie pułkowniku - odezwał się Stiefel. - Gdybym wiedział, że pan nie chce, żebym go zabił, tobym go tak mocno nie kopał.

- Nieważne! Wyjdź na dwór i czekaj na ambulans!

Kiedy Stiefel opuścił mieszkanie, Blok zwrócił uwagę na ustawione obok sztalug płótna. Zaczął je przeglądać, odrzucając jedno po drugim na bok, w panicznym poszukiwaniu rysunków podobnych do tego, który widniał na wyciągniętych z ognia strzępach papieru. Nie znalazł niczego takiego, ale wcale go to nie uspokoiło. Przeklinał ten dzień dawno temu, kiedy postanowił nie zabijać Frankewitza, ale wtedy istniała możliwość, że potrzebny będzie jeszcze jakiś dodatkowy retusz, a jeden malarz wmieszany w tę sprawę już wystarczał. Leżący na podłodze Frankewitz zaniósł się kaszlem i z ust popłynęła mu krew.

- Zamknij się! - warknął Blok. - Nie umrzesz! Mamy sposoby, żeby cię utrzymać przy życiu! A potem cię i tak zabijemy, więc się zamknij!

Frankewitz usłuchał polecenia pułkownika, tracąc przytomność. „Lekarze gestapo poskładają go - pomyślał Blok - poszczepiają mu kości drutem, pozszywają rany i powstawiają stawy we właściwe miejsca. Będzie wtedy wyglądał bardziej jak Frankenstein, a nie Frankewitz, ale narkotyki rozwiążą mu język i pomogą mówić. Powie, dlaczego naszkicował ten rysunek i kto go widział”. Doszli tak daleko z „Żelazną Pięścią”, że nie mogli sobie pozwolić na to, aby plan został zniweczony przez tę siekaninę leżącą na podłodze.

Blok usiadł na morskozielonej sofie z poręczami osłoniętymi koronkowymi pokrowcami i po kilku minutach usłyszał syrenę nadjeżdżającego ambulansu. Pomyślał, że bogowie Walhalli darzą go sympatią, ponieważ Frankewitz nadal oddychał.

- Wznieśmy toast za śmierć Stalina. - Harry Sandler podniósł kieliszek z winem.

- Za śmierć Stalina! - powtórzył ktoś jeszcze i wszyscy spełnili toast.

Michael Gallatin, siedzący przy długim stole naprzeciwko Sandlera, wypił bez wahania.

Minęła właśnie ósma. Michael gościł w apartamencie pułkownika SS Jerka Bloka z Chesną van Dorne i dwudziestką nazistowskich oficerów, niemieckich dygnitarzy i ich towarzyszek. Był ubrany w czarny frak i białą koszulę z białą muszką. Siedząca na prawo od niego Chesną miała na sobie głęboko wyciętą, długą czarną suknię, z perłami zakrywającymi łagodnie wzniesienie piersi. Oficerowie występowali w mundurach i nawet Sandler zrezygnował ze swojego tweedowego stroju na rzecz bardziej formalnego popielatego garnituru. Zostawił także w pokoju swojego ptaka i widać było, że dzięki temu wielu gości, z Michaeliem włącznie, czuje się swobodniej.

- Za grób Churchilla! - wznosił toast siwowłosej major siedzący kilka miejsc od Chesny i wszyscy, nie wyłączając Michaela, z radością wypili kolejny kieliszek.

Michael obserwował twarze gości. Blok i jego adiutant w podkutych butach byli nieobecni, ale pewien młody kapitan usadził wszystkich przy stole i podjął się roli gospodarza. Po jeszcze kilku toastach: na cześć załogi zatopionego U-boota, dzielnych żołnierzy poległych pod Stalingradem i spalonych podczas bombardowania mieszkańców Hamburga - kelnerzy w białych marynarkach zaczęli wwozić na srebrnych wózkach dania. Główną atrakcją wieczoru był pieczony dzik z jabłkiem w pysku; został ustawiony - co Michael zauważył z pewną przyjemnością - przed Harrym Sandlerem. Prawdopodobnie myśliwy sam ustrzelił dzika poprzedniego dnia w lesie zarezerwowanym na polowania dla gości hotelu. Kiedy teraz odcinał porcje mięsa i nakładał je na talerze, było wyraźnie widać, że umie posługiwać się nożem równie dobrze jak sztuceredem.

Michael jadł oszczędnie, mięso miało dla niego za dużo tłuszczu, i przysłuchiwał się dobiegającym zewsząd konwersacjom. Wszyscy wyrażali optymizm, że Rosjanie zostaną odrzuceni, a Anglicy przyczołgają się do stóp Hitlera błagając o pokój, co było tyle samo warte co wróżenie ze szklanej kuli. Wszędzie rozmawiano głośno, a wino lało się nieprzerwanym strumieniem. Kelnerzy ciągle donosili potrawy i atmosfera była tak gęsta od nierzeczywistości, że Harry Sandler mógłby ją pokroić na plasterki nożem. Nierzeczywistość była pokarmem nazistów i wyglądało na to, że są nią nasyceni.

Michael i Chesna rozmawiali ze sobą przez większość popołudnia. Okazało się, że ona nic nie wie o „Żelaznej Pięści”. Tak samo nie wiedziała nic o pracach doktora Gustava Hildebranda ani o tym, co się dzieje na jego norweskiej wyspie. Wiedziała oczywiście, że uczony jest zwolennikiem użycia gazów bojowych. Był to znany fakt. Ale najwyraźniej Hitler pamiętał swoje własne spotkanie z iperytem w pierwszej wojnie światowej i nie miał ochoty na otwarcie tej puszkii Pandory, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Michael zapytał też Chesnę, czy naziści mają zapasy bomb i pocisków gazowych. Nie była pewna co do ilości tych zapasów, ale wyraziła przekonanie, że gdzieś w Rzeszy spoczywa co najmniej pięćdziesiąt tysięcy ton ładunków z gazami bojowymi, trzymane w pogotowiu, na wypadek gdyby Hitler zmienił zdanie. Michael zauważył, że amunicja z gazami bojowymi może być użyta w celu zakłócenia inwazji, ale Chesna nie zgodziła się z tym. Jak stwierdziła, potrzebne byłyby tysiące pocisków i bomb, żeby powstrzymać inwazję. Poza tym gazy, nad którymi pracował ojciec doktora Hildebranda - to znaczy iperyt podczas pierwszej wojny światowej, a potem, pod koniec lat trzydziestych, tabun i sarin - łatwo mogły być zniesione przez wiatr na pozycje obrony, biorąc pod uwagę zmienność wiatru na wybrzeżu. Tak więc, jak stwierdziła Chesna, atak gazowy na aliantów mógłby się obrócić przeciwko wojskom niemieckim. Z pewnością była to możliwość, którą rozważało już do tej pory dowództwo, i jej zdaniem Rommel, który dowodził obroną Wału Atlantyckiego, nie zezwoliłby na takie rozwiązanie. W każdym razie, jak powiedziała, alianci panowali w powietrzu i z pewnością zestrzeliliby wszelkie niemieckie bombowce, które zbliżyłyby się do miejsc lądowania wojsk inwazyjnych.

Wrócili więc do punktu wyjścia i mogli się tylko zastanawiać nad znaczeniem dwuwyrzowej nazwy i karykatury Adolfa Hitlera.

- Nie je pan. Czy coś nie tak? Może mięso nie jest dla pana wystarczająco surowe?

Michael podniósł głowę i spojrzał na siedzącego po drugiej stronie stołu Sandlera. Jego pokryta sztucznym uśmiechem twarz poczerwieniała jeszcze bardziej od toastów.

- Wszystko w porządku - powiedział Michael i zmusił się do przełknięcia kawałka tłustego mięsa. Zazdrościł Myszy, który mógł sobie zjeść talerz zupy na wołowinie i chleb z wątrobianką w pomieszczeniach dla służby. - A gdzie jest pana amulet? - zapytał Sandlera.

- Blondi? Och, niedaleko. Mój apartament jest obok. Wie pan, zdaje mi się, że ona za bardzo pana nie lubi.

- Jaka szkoda - odparł Michael.

Sandler miał już odpowiedzieć z pewnością coś równie dowcipnego, ale zwrócił uwagę na siedzącą obok niego rudowłosą młodą kobietę. Zaczął z nią rozmawiać. Michael



usłyszał, jak mówi coś o Kenii. No cóż, widać było, że myśliwy potrafi być prawdziwym nudziarzem.

W tejże chwili otworzyły się drzwi jadalni i wszedł Jerek Blok, za którym podążał Stiefel. Od razu podniósł się chór wiwatów i jeden z gości zaproponował wzniesienie toastu na cześć Bloka. Pułkownik wziął kieliszek z winem od przechodzącego z tacą kelnera, uśmiechnął się i wypił za swoje długie życie. Michael patrzył, jak Blok, wysoki, chudy mężczyzna o bladej twarzy, w obwieszonym medalami mundurze, obchodzi dookoła stół, podając rękę gościom i klepiąc ich po plecach. Stiefel posuwał się za nim jak cień.

Blok podszedł do krzesła Chesny.

- Och, moja kochana dziewczyna! - powiedział i pochylił się, by pocałować ją w policzek. - Jak się masz? Pięknie wyglądasz. Twój nowy film jest już chyba prawie gotowy, prawda? No i będzie to arcydzieło, które nas wszystkich podtrzyma na duchu, prawda? Oczywiście, że tak - dodał, kiedy Chesna powiedziała mu, że film już wkrótce wchodzi na ekrany. Jego szare oczy - oczy jaszczurki, pomyślał Michael - odszukały barona von Fange. - Ach, tu jest ten szczęściarz! - Podszedł do Michaela i wyciągnął do niego rękę. Michael wstał, żeby podać mu dłoń. Stojący za Blokiem Stiefel wpatrywał się w barona. - Nazywa się pan von Fange, prawda? - upewnił się pułkownik. Uścisk jego wilgotnej dłoni był słaby. Miał długi wąski nos, spiczasty podbródek i krótko przystryżone włosy przetykane siwizną na skroniach i nad czołem.

- Spotkałem któregoś von Fange w zeszłym roku w Dortmundzie. Czy to był członek pana rodziny?

- Całkiem możliwe. Mój ojciec i wujowie podróżują po całych Niemczech.

- Tak, spotkałem jakiegoś von Fange. - Blok skinął głową. Wypuścił dłoń Michaela i cofnął swą wilgotną rękę. Miał fatalne uzębienie. W dolnej szczęce były same srebrne korony. - Jednak nie pamiętam jego imienia. Jak ma na imię pana ojciec?

- Leopold.

- O, co za arystokratyczne imię! No nie, zupełnie nie mogę sobie przypomnieć. - Blok uśmiechał się nadal, ale był to sztuczny uśmiech. - Niech mi pan powie jeszcze jedno. Dlaczego taki młody mężczyzna nie jest w SS? Z pana rodowodem łatwo dostałby pan stanowisko oficerskie.

- On sadzi tulipany - powiedział nieco bełkotliwie Sandler. Trzymał w powietrzu kieliszek na wino, czekając, żeby kelner napełnił go na nowo.

- Rodzina von Fange uprawia tulipany od ponad pięćdziesięciu lat - odezwała się Chesna. - Poza tym są właścicielami wspaniałych winnic i produkują wino własnej marki. Dziękuję, Harry, że zwróciłeś na to uwagę pułkownika Bloka.

- Tulipany? - Uśmiech Bloka stał się jeszcze zimniejszy. Michael wiedział, co on myśli: „Może stojący przede mną człowiek nie jest materiałem na SS-mana”. - No cóż, baronie, musi pan być dosyć szczególną osobą, żeby zdobyć serce Chesny w taki sposób. Trzymała pana istnienie w zupełnej tajemnicy przed swymi przyjaciółmi! No cóż, aktorka jest zawsze aktorką, prawda? - Odwrócił twarz do Chesny. - Przyjmijcie ode mnie życzenia wszystkiego najlepszego dla was obojga - powiedział i ruszył dalej, by zaraz się przywitać z kolejnym gościem.

Michael dalej dziobał swoje danie. Stiefel wyszedł z jadalni i wtedy ktoś zapytał Bloka o jego nowego adiutanta.

- To nowy model - powiedział Blok, siadając na honorowym miejscu przy stole. - Wykonany ze stali Kruppa. Ma karabiny maszynowe w kolanach i miotacz granatów w dupie. - Rozległ się śmiech. Michael zauważył, że Bloka cieszy tego rodzaju reakcja. - Do niedawna Stiefel był w jednostce zwalczającej partyzantów we Francji. Przydzieliłem go mojemu przyjacielowi, Harzerowi, ale ten biedny sukinsyn dostał kulę w łeb, przepraszam panie za wyrażenie. W każdym razie wziąłem Stiefela pod moją komendę dwa tygodnie temu. - Uniósł pełen kieliszek wina. - A teraz toast. Za klub „Piekło”.

- Za klub „Piekło” - zawtórowali mu obecni, spełniając toast. Uczta toczyła się nadal. Podano pieczonego łososa, nerkówkę w koniaku, przepiórki nadziewane siekaną kiełbasą, a potem tort obficie nasączony brandy i maliny w schłodzonym różowym szampanie. Michael czuł, że ma pełny brzuch, choć jadł oszczędnie. Chesna nie jadła prawie wcale, ale większość z obecnych napychała się tak, jakby jutro miał nadejść dzień Sądu Ostatecznego. Michael przypomniał sobie pewien moment sprzed lat, kiedy zimowe wiatry szalały na dworze, a głodująca wataha zgromadziła się wokół odciętej nogi Franka. Cały ten tłuszcz i alkohol nie pasowały do wilczej diety.

Kiedy goście skończyli dania, podano koniak i cygara. Większość obecnych odeszła od stołu do drugiego pokoju, w którym podłoga wyłożona była marmurem. Michael stał obok Chesny na długim balkonie, z kieliszkiem ciepłego koniaku w ręce, i obserwował promienie reflektorów oświetlające niskie chmury nad Berlinem. Chesna objęła go i oparła głowę na ramieniu. Byli sami.

- Jaką mam szansę, żeby wejść później do środka? - spytał cicho, naśladowując ton oczarowanego kochanka.

- Co? - Chesna omal nie odepchnęła go od siebie.

- Wejść tutaj - powtórzył. - Chciałbym się rozejrzeć po apartamencie Bloka.

- Niewielką. Wszystkie drzwi wyposażone są w urządzenia alarmowe. Jeżeli nie będziesz miał odpowiedniego klucza, rozpęta się piekło.

- Mogłabyś załatwić mi klucz?

- Nie. To zbyt ryzykowne.

Michael zamilkł na chwilę, obserwując balet reflektorów.

- A drzwi balkonowe? - zapytał.

Zauważył już, że drzwi balkonowe nie są wyposażone w zamki. Nie były zbyt potrzebne, skoro drzwi znajdowały się na siódmym piętrze pałacu, więcej niż sto sześćdziesiąt stóp nad poziomem gruntu. Najbliższy balkon, na prawo od nich, należał do apartamentu Harry'ego Sandlera i był odległy o ponad czterdzieści stóp.

- Chyba żartujesz - powiedziała Chesna, zaglądając mu w oczy.

- Nasz apartament jest piętro niżej, prawda?

Michael podszedł do kamiennej balustrady i spojrzał w dół. Nieco ponad dwadzieścia stóp pod nim znajdował się następny taras, jednak nie należał on do apartamentu Chesny. Jej pokoje były za rogiem, a ich okna wychodziły na południe, podczas gdy taras Bloka znajdował się od wschodu. Michael przyjrzał się ścianie pałacu. Wielkie, naruszone przez erozję kamienie pełne były szczelin i dziur, a tu i ówdzie widniały ozdobne rzeźby orłów, wzory geometryczne i groteskowe paszcze rzygaczy. Wąski gzyms otaczał budowlę na każdym piętrze, jednak spora jego część na siódmym piętrze była pokruszona. Mimo to pozostało tam bardzo wiele punktów, na których mógł oprzeć dłonie i stopy. „Gdybym był bardzo, bardzo ostrożny...” - pomyślał.

Patrząc z wysoka w dół, poczuł ściskanie w żołądku. Jednak bardziej bał się skakania z samolotu niż samej wysokości.

- Będę mógł wejść przez drzwi balkonowe - stwierdził.

- W Berlinie możesz dać się zabić na wiele sposobów. Jeżeli masz ochotę, to powiedz Blokowi, kim naprawdę jesteś, a on ci wpakuje kulę w mózg i nie będziesz musiał popełniać samobójstwa.

- Mówię poważnie - powiedział Michael i Chesna zauważyła, że naprawdę nie żartuje.

Zaczęła go przekonywać, że to całkowicie szalony pomysł, ale nagle na balkon weszła chichocząca młoda blondynka w towarzystwie oficera, który mógł być w wieku jej ojca.

- Kochanie, kochanie - powtarzał słodkim głosem oficer - powiedz mi, co byś chciała.

Michael przyciągnął Chesnę do siebie i podprowadził ją w róg balkonu. Wiatr owiewał ich twarze, niosąc ze sobą zapach mgły i sosen.

- Mogę już nie mieć kolejnej sposobności - powiedział tonem zakochanego. Zaczął gładzić dłonią plecy Chesny. Tym razem nie odsunęła się, ponieważ niemiecki satyr i jego nimfетка patrzyli na nich. - Mam trochę doświadczenia we wspinaczce - dodał, myśląc o kursie wspinaczki, który przeszedł przed misją w Afryce Północnej. Była to sztuka polegająca na wykorzystaniu wąskiej jak włos szczeliny czy mikroskopijnego występu skalnego do podtrzymania ciała ważącego sto osiemdziesiąt funtów. Zastosował już tę umiejętność w Operze Paryskiej. Spojrzał znowu w dół przez balustradę, ale zaraz się cofnął, żeby przedwcześnie nie wystawiać swej odwagi na próbę. - Jestem w stanie to zrobić - powiedział, czując kobiecy zapach Chesny. Jej piękna twarz była tak blisko jego twarzy.

Nad Berlinem poruszały się w upiornym tańcu smugi świateł reflektorów. Powodowany nagłym impulsem, Michael przyciągnął Chesnę do siebie i pocałował ją w usta.

Opierała się, ale tylko przez moment, ponieważ ona też wiedziała, że są obserwowani. Objęła go ramionami, czując, jak naprężają mu się pod ubraniem mięśnie przedramion. Michael pieścił dłonią plecy Chesny, smakując jej usta. Miód, może ze szczyptą pieprzu. Ciepłe, coraz cieplejsze wargi. Przyłożyła mu dłoń do piersi, żeby go odepchnąć, ale ramię odmówiło jej posłuszeństwa. Pokonana dłoń odsunęła się. Michael pogłębił pocałunek i Chesna odwzajemniła mu się tym samym.

- O właśnie, tego właśnie chcę - usłyszeli głos nimfетки mówiącej do starego kozła.

Jeszcze jeden oficer wyjrzał przez drzwi na balkon.

- Już prawie pora - oznajmił i odszedł pospiesznie.

Satyr i nimfетка podążyli za nim. Dziewczyna nadal chichotała.

Michael przerwał pocałunek i Chesna zaczerpnęła powietrza.

- Prawie pora na co? - zapytał ją, czując jeszcze mrowienie w ustach.

- Na spotkanie klubu „Piekło”. Odbywa się raz w miesiącu w sali zgromadzeń. - Czowała się tak, jakby dostała zawrotu głowy. „To z pewnością przez tę wysokość” - pomyślała. Usta paliły ją jak ogień. - Lepiej pośpieszmy się, żeby zająć dobre miejsca. - Wzięła go za rękę i razem odeszli z balkonu.

Zjechali zatłoczoną przez gości windą. Michael przypuszczał, że klub „Piekło” jest jednym z tych mistycznych stowarzyszeń, z których naziści są tak dumni. W każdym razie za chwilę miał się o tym przekonać. Poczuł, że Chesna bardzo mocno ścisła jego dłoń, chociaż ma nadal radosną minę. Aktorka przy pracy.

Sala zgromadzeń, mieszcząca się na parterze za westybulem, wypełniała się ludźmi. Około pięćdziesięciu członków klubu już siedziało na krzesłach. Kurtyna z czerwonego aksamitu oddzielała scenę od widowni, a u sklepienia zwisały wielokolorowe lampy. Oficerowie ubrani byli w galowe mundury, a prawie wszyscy pozostali mieli na sobie stroje wieczorowe. Michael pomyślał, że niezależnie od swego charakteru klub „Piekło” jest miejscem zarezerwowanym dla arystokracji Rzeszy.

- Chesna! Tutaj! Proszę, siądź z nami! - Jerek Blok machał do nich ręką, podnosząc się z fotela. Nie dostrzegli przy nim Stiefla, który mógłby potrzebować dwóch krzeseł. Blok siedział z grupą osób, które były obecne na jego przyjęciu. - Posuńcie się - powiedział i wszyscy od razu usłuchali. - Proszę, usiądź obok mnie - wskazał Chesnie krzesło. Usiadła, zostawiając dla Michaela miejsce na skraju rzędu. Blok położył rękę na jej dłoni i uśmiechnął się. - Ach, co za piękna noc! Wiosna! Czuć ją w powietrzu, prawda?

- Tak, czuć wiosnę - zgodziła się Chesna z miłym uśmiechem, choć w jej głosie słychać było napięcie.

- Cieszymy się, że jest pan z nami, baronie - zwrócił się Blok do Michaela. - Chyba pan wie, że wszystkie wpływy od członków klubu idą na Fundusz Wojenny?

Michael skinął głową, a Blok zaczął rozmawiać z siedzącą przed nim kobietą. Sandler zajmował miejsce w pierwszym rzędzie. Opowiadał o czymś z ożywieniem siedzącym po obu jego bokach kobietom. „Pewnie historie z Afryki” - pomyślał Michael.

W ciągu piętnastu minut weszło do sali jeszcze około osiemdziesięciu osób. Kiedy lampy zaczęły przygasać, zamknięto drzwi, żeby na salę nie wchodziłi nie zaproszeni. Na widowni zapadła cisza. „O co tu, do licha, chodzi?” - pomyślał Michael. Chesna nadal ścisnęła jego dłoń, niemal wbijając mu paznokcie w skórę.

Przed kurtynę wyszedł mężczyzna w białym fraku. Publiczność przywitała go uprzejmymi brawami. Konferansjer podziękował członkom klubu za przybycie na comiesięczne spotkanie i za hojne datki. Potem zaczął mówić o walecznym duchu Rzeszy i o tym, jak dzielna młodzież niemiecka zmiażdży Rosjan i zepchnie z powrotem do ich dziur. Tym razem brawa były mniej entuzjastyczne, a niektórzy z oficerów zaczęli mruzczyć niechętnie. Nie zniechęcając się tym, mężczyzna w białym fraku, mistrz ceremonii, jak sądził Michael, nadal mówił o świetlanej przyszłości Tysiącletniej Rzeszy i o tym, że Niemcy będą miały trzy stolice: Berlin, Moskwę i Londyn.

- Krew przelana dzisiaj - mówił grzmiącym głosem - przemieni się w laury jutrzejszego zwycięstwa, więc będziemy walczyć nadal! Walczyć! Walczyć! A teraz - powiedział z ożywieniem - czas na rozrywkę!

Lampy zgasły. Kurtyna rozsunęła się, odsłaniając oświetloną scenę. Konferansjer odszedł na bok.

Na scenie siedział na krześle jakiś mężczyzna. Czytał gazetę i palił cygaro. Michael omal nie poderwał się na równe nogi. To był Winston Churchill. Całkowicie nagi, z cygarem zaciśniętym w zębach i z wyświechtanym egzemplarzem „London Timesa” w pulchnych dłoniach.

Na sali rozległ się śmiech, a ukryta za sceną orkiestra dęta zagrała wesołą melodię. Winston Churchill siedział, paląc cygaro, i czytał. Narządy płciowe zwisały mu pomiędzy rozstawionymi nogami. Wśród śmiechów i oklasków publiczności pojawiła się na scenie dziewczyna ubrana tylko w wysokie czarne skórzane buty. W rękę miała pejcz, a nad górną wargą - wymalowany węglem wąsik a la Hitler.

Nie wierząc własnym oczom, Michael rozpoznał w niej Charlotte - kolekcjonerkę autografów. W tej chwili nie było w niej ani cienia nieśmiałości, jej piersi kołysały się swobodnie, kiedy podchodziła do Churchilla. Mężczyzna na krześle podniósł głowę znad gazety i krzyknął przesywającym głosem. Wszyscy na widowni zaczęli się śmiać jeszcze bardziej, a Churchill upadł na kolana, wystawiając goły zad na widok publiczności, i podniósł w błagalnym geście ręce do góry.

- Ty świnió! - krzyknęła dziewczyna. - Ty ohydny morderco! Tu masz naszą łaskę! - Zamachnęła się pejczem i na ramionach Churchilla pokazały się czerwone smugi.

Bity mężczyzna zawył z bólu, padając do jej stóp. Dziewczyna zaczęła smagać jego plecy i pośladki, przeklinając go językiem godnym pijanego marynarza, a orkiestra nadal grała wesołą melodię przy wtórze śmiechu skręcających się z radości widzów.

Rzeczywistość i nierzeczywistość mieszały się ze sobą. Michael wiedział oczywiście, że ten mężczyzna nie jest angielskim premierem, tylko bardzo podobnym do niego aktorem, jednak pejcz nie był fikcyjny. Gniewny szal dziewczyny też nie był udawany.

- To za Hamburg! - krzyczała. - Za Dortmund! Za Marienburg! Za Berlin. Za... - Wylizwała nazwy miast, które zostały zniszczone przez bombowce alianckie, i z każdym uderzeniem pejcza raniącego do krwi skórę mężczyzny publiczność wiwatowała. Blok poderwał się na nogi, klaszcząc wzniesionymi nad głowę dłońmi. Pozostali też stanęli, wołając radośnie, kiedy smagany pejczem Churchill trząsał się u stóp dziewczyny. Krew spływała mu po plecach, ale nie próbował się podnieść ani też uniknąć ciosów. - Bonn! - wrzeszczała dziewczyna, smagając go pejczem. - Schweinfurt! - Na jej ramionach i pomiędzy piersiami błyszczały krople potu, namalowany węglem wąs się rozmasał i cała drżała z wysiłku. Pejcz nadal opadał. Plecy i pośladki mężczyzny pokrywały krzyżujące się czerwone

smugi. W końcu zadrżał i upadł łkając, a żeńskie wcielenie Hitlera uderzyło go w plecy pejczem jeszcze raz i triumfalnie postawiło obutą stopę na jego karku. Charlotta pozdrowiła publiczność nazistowskim gestem, odbierając za to entuzjastyczne wiwaty i brawa. Kurtyna zasunęła się.

- Wspaniałe, wspaniałe! - powiedział Blok, siadając znowu na krześle. Pot wystąpił mu na czoło, więc przetarł je białą chusteczką. - Widzi pan, jaką rozrywkę można mieć za pieniądze, baronie?

- Tak - odpowiedział Michael, zmuszając się do uśmiechu, chociaż była to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie musiał zrobić w życiu. - Tak, widzę.

Kurtyna rozsunęła się na nowo. Na scenie dwaj mężczyźni zrzucali łopatami z taczki kawałki czegoś błyszczącego i rozsypywali je po deskach. Michael dostrzegł, że są to okruchy szkła. Mężczyźni skończyli pracę i odjechali z tacją, a wtedy niemiecki żołnierz wepchnął na scenę chudą dziewczynę o brązowych włosach. Była ubrana w brudną, połataną sukienkę zszytą z worków na kartofle i stąpała bosymi stopami po szkło. Stała w końcu z opuszczoną głową, włosy przesłaniały jej twarz. Do swego łachmana miała przypiętą żółtą gwiazdę Dawida. Z lewej strony sceny pokazał się skrzypek w czarnym fraku, przyłożył instrument do brody i zaczął grać żywą melodię.

Pozbawiona ludzkiej godności i jasności myślenia dziewczyna zaczęła tańczyć na szkle jak mechaniczna zabawka.

Widownia śmiała się i biła brawo, jakby podziwiała sztuczki tresowanego zwierzęcia.

- Bravo! - zawołał siedzący przed Michaeliem oficer. Michael strzeliłby mu w łeb, gdyby miał ze sobą swojego derringera. Bestialstwo, którego był świadkiem, przewyższało wszystko, czego doświadczył w rosyjskim lesie. To naprawdę było zgromadzenie bestii. Ledwie mógł się powstrzymać przed tym, żeby nie poderwać się na równe nogi i krzyknąć na dziewczynę, by przestała. Chesna poczuła, jak Michael drży, i spojrzała na niego. Zobaczyła w jego oczach odrazę i coś jeszcze, co przeraziło ją do szpiku kości.

- Nic nie rób - szepnęła.

Pod frakiem i wykrochmaloną koszulą Michaela zaczęły się pokazywać wilcze włosy. Rozprzestrzeniały się po całym ciele.

Chesna ścisnęła jego dłoń. Patrzyła pustym wzrokiem; wyłączyła emocje tak, jak wyłącza się elektryczną latarkę. Na scenie skrzypek grał coraz szybciej i dziewczyna też przyspieszyła, zostawiając na deskach krwawe ślady stóp. Michael nie mógł już tego znieść. Nie mógł patrzeć na dręczenie niewinnych. Czuł, jak włosy pojawiają mu się na ramionach, łopatkach i udach. Przemiana wzywała go, ale poddanie się jej na tej widowni skończyłoby

się tragedią. Zamknął oczy, myśląc o dzikim lesie, Białym Pałacu i wilczych pieśniach w zakątku odległym od cywilizacji. Skrzypek grał teraz bardzo szybko, a widownia klaskała w rytm muzyki. Pot oblał twarz Michaela. Czuł zwierzęcy zapach wydobywający się z jego ciała. Musiał bardzo wyteńczyć wolę, by powstrzymać dzikie prądy. Już go nieomal ogarnęły, ale zwalczył je, zaciskając mocno oczy, kiedy wilcze włosy zaczęły wyrastać na jego piersiach. Pasma pokazało się na grzbiecie prawej dłoni, którą trzymał zaciśniętą na oparciu krzesła, ale Chesna nie zauważyła tego. Po chwili przemiana odpłynęła jak pociąg towarowy, który przemknął w ciemności po torach. Poczł intensywnie swędzenie, spowodowane przez znikające w porach skóry włosy.

Skrzypek grał w szatańskim tempie. Michael słyszał dźwięk odłamków szkła przesuwanych bosymi stopami dziewczyny. Muzyka doszła do zenitu i urwała się przy akompaniamencie wiwatów i okrzyków:

- Brawo, brawo!

Michael otworzył wilgotne z wściekłości i odrazy oczy. Żołnierz sprowadził dziewczynę ze sceny. Poruszała się jak zamknięty w nie kończącym się koszmarze sennym somnambulik. Skrzypek uklonił się, uśmiechając się serdecznie, i na scenie pojawił się człowiek z miotłą, który zaczął zmiatać pokrwawione kawałki szkła. Kurtyna znowu się zasunęła.

- Znakomite - powiedział Blok, nie kierując swych słów do nikogo konkretnego. - To był jak dotąd najlepszy występ!

W przejściach na widowni pokazały się ładne nagie kobiety. Wiozły na wózkach beczki z piwem i kufle. Zatrzymywały się, żeby nalewać piwa do kufli, i podawały je spragnionym członkom klubu „Piekło”. Widownia zachowywała się coraz hałaśliwiej. Niektórzy z obecnych zaczęli śpiewać obsceniczne piosenki. Uśmiechnięte twarze świeciły od potu, a piwo rozbryzgiwało się wokół, kiedy widzowie stukali się kufłami, wznosząc toasty.

- Jak długo to trwa? - zapytał Michael.

- Wiele godzin, raz trwało całą noc.

Michael nie miał ochoty zostać tam już nawet minuty. Dotknął kieszeni, wyczuwając w niej klucz, który dała mu Chesna. Blok rozmawiał z siedzącym obok mężczyzną, tłumaczył mu coś, uderzając przy tym pięścią o poręcz krzesła. „Żelazna Pięść” pomyślał Michael.

Kurtyna rozchyliła się ponownie. Na środku sceny stało łóżko okryte prześcieradłem zrobionym z rosyjskiej flagi. Na łóżku leżała naga ciemnowłosa kobieta, mogła być Słowianką. Jej nadgarstki i kostki były przywiązane do rogów łóżka. Z obu stron sceny wmaszerowało dwóch muskularnych mężczyzn, ubranych jedynie w niemieckie hełmy i



wysokie buty. Widownia zareagowała głośnym aplauzem i podnieconymi śmiechami. Obydwaj mężczyźni prezentowali gotowość seksualną. Leżąca na łóżku kobieta szarpnęła się, ale nie była w stanie uciec.

Michael doszedł do granic wytrzymałości. Wstał, odwrócił się plecami do sceny i idąc szybkim krokiem między rzędami, opuścił salę.

- Dokąd poszedł baron? - zapytał Blok. - To jest gwóźdź programu!

- Chyba nie czuje się zbyt dobrze - powiedziała Chesna. - Zjadł za dużo.

- Wrażliwy żołądek, co? - Wziął ją za rękę, żeby też nie wyszła, i obdarzył swym srebrnym uśmiechem. - Więc teraz ja dotrzymam ci towarzystwa, dobrze?

Chesna próbowała się odsunąć, ale Blok mocno dzierzył jej dłoń. Nigdy nie opuściła spotkania klubu „Piekło”, zawsze była jego lojalnym członkiem i gdyby teraz wyszła, nawet w ślad za baronem, mogłoby to wywołać podejrzenia. Z wysiłkiem odprężyła mięśnie i na jej twarzy znowu pojawił się zawodowy uśmiech.

- Mam ochotę na piwo - powiedziała.

Blok przywołał gestem ręki jedną z nagich kelnerek. Na scenie rozległ się krzyk, który widownia powitała głosami aprobaty.

Michael otworzył zamek w drzwiach ich apartamentu i poszedł prosto na balkon. Zacerpnął świeżego powietrza, żeby uspokoić wzburzony żołądek. Po paru minutach wróciła mu jasność myślenia. Spojrzał na gzyms, który biegł z balkonu wzdłuż ściany zamku. Miał najwyżej osiem cali szerokości. Tu i ówdzie widać było na popękanych szarych kamieniach rzeźbione orły i rzygacze. Gdyby jednak źle postawił nogę albo osunęła mu się ręka...

Mniejsza z tym. Jeżeli w ogóle miał tam pójść, to musiał zrobić to już teraz.

Przełożył nogi przez balustradę i postawił stopę na gzymsie, przytrzymując się palcami oczodołów rzygacza. Namacał gzyms drugą stopą. Odczekał kilka sekund, żeby odpowiednio wyważyć ciało, i ostrożnie zaczął się przemieszczać po biegnącym sto czterdzieści stóp nad ziemią gzymsie.

Gzyms był śliski od deszczu. Podmuchy jeszcze zimniejszego niż za dnia wiatru rozwiewały włosy Michaela i szarpały jego frak. Przemieszczał się cal po calu, przyciskając klatkę piersiową do wysokiej jak góra ściany zamku. Około trzydziestu stóp dzieliło go od balkonu następnego apartamentu, skąd było już tylko około ośmiu stóp do południowo-wschodniego narożnika. Michael posuwał się ostrożnie do przodu, myśląc tylko o tym, gdzie postawić stopę, za co chwycić palcami. Namacał ręką kamiennego orła, ale rzeźba pękła i rozsypała się w kawałki. Okruchy kamienia poleciały w ciemność. Przycisnął się do ściany, wczepiając się palcem wskazującym i kciukiem w szerokie na pół cala pęknięcie, aż odzyskał całkowicie równowagę. Ruszył znowu do przodu, wyszukując palcami szczelin w wiekowych kamieniach, sprawdzając stopami solidność każdego fragmentu gzymsu, zanim dał następny krok. Pomyślał, że przypomina muchę pełznącą po boku wielkiego kwadratowego tortu.

Coś zatrzeszczało. „Ostrożnie, ostrożnie” - napomniał sam siebie. Gzyms wytrzymał i już po chwili Michael przechodził przez balustradę następnego balkonu. Drzwi były zakryte od wewnątrz przez zasłonę, ale z wielkiego okna zaraz za skrajem tarasu wylewało się jaskrawe światło. Gzyms przechodził bezpośrednio pod tym właśnie oknem. Musiał je minąć, żeby dotrzeć do rogu zamku, gdzie rzygacze i geometryczne ozdoby wspinały się do poziomu kolejnego piętra. Michael przeszedł przez balkon, zaczerpnął głęboko powietrza i znowu przekroczył balustradę, wchodząc na gzyms. Spociał się pod pachami, plecy też miał wilgotne. Ruszył do przodu. Mijając okno, musiał polegać tylko na wytrzymałości gzymsu, gdyż nie miał czego trzymać się rękami. Zobaczył, że mijany przez niego pokój jest obszerną sypialnią. Na łóżku leżały rozrzucone ubrania, ale w środku nie było nikogo. Michael minął okno, myśląc z niezadowoleniem, że zostawił na nim odciski dłoni - i już był tuż przy rogu.

Stał przytulony do południowo-wschodniego rogu „Reichkronen”, a wiatr smagał go po twarzy. Za jego plecami reflektory nadal przeszukiwały pochmurne niebo. Teraz musiał porzucić względne bezpieczeństwo gzymsu i wspiąć się na wyższe piętro po wykutych w kamieniu ozdobach. Po niebie przetoczył się grzmot. Michael spojrzał do góry, badając wzrokiem rzygacze i figury geometryczne, aby wypatrzeć miejsca, gdzie może oprzeć się palcami i stopami. Wiatr groził mu utratą równowagi, ale on nic nie mógł na to poradzić. „Ruszaj” - polecił sobie w duchu, ponieważ w miejscu, w którym stał, łatwo mógł stracić odwagę. Uniósł rękę, zacisnął palce na wyrzeźbionym trójkącie i zaczął się podciągać do

góry. Umieścił czubek jednego buta w oczodole rzygacza, a drugim podparł się na skrzydle orła. Wspiął się po kamiennych rzeźbach, szarpany przez wiatr.

Dwanaście stóp nad gzymsem szóstego piętra włożył palce w oczodoły demonicznej kamiennej twarzy i wtedy z rozwartej paszczy rzeźby wyskoczył z trzepotem skrzydeł gołąb. Michael zamarł w bezruchu z łomoczącym sercem. Wokół niego wirowały w powietrzu pióra. Miał pościerane palce, ale był już tylko osiem stóp poniżej gzymsu siódmego piętra. Znowu podjął wspinaczkę i w końcu oparł się jednym kolaniem o gzyms i ostrożnie stanął na nogi. Gzyms zatrzeszczał i kilka kamiennych okruchów posypało się w dół, ale mimo wszystko Michael stał na czymś w miarę solidnym. Dość łatwo dotarł do następnego balkonu, który należał do apartamentu Harry'ego Sandlera. Szybko przemknął się na przeciwległy koniec i stanął przed zniszczonym gzymsem łączącym balkon Sandlera z balkonem Bloka. Z gzymsu zostały tylko fragmenty, pomiędzy którymi ziały wielkie dziury. Największa miała około pięciu stóp długości, ale z miejsca, w którym stał Michael, wyglądała na dwa razy większą. Wiedział, że będzie musiał wczepić się palcami w ścianę, żeby pokonać ten odcinek.

Zaczął się przesuwać na czubkach butów po pokruszonym gzymsem, wyszukując palcami rąk pęknięć w kamieniu. Przeniósł masę ciała do przodu, opierając się na prawej nodze, i w tym momencie resztką gzymsu oberwała się pod jego stopą. Z rozstawionymi nogami przywarł piersią do ściany, zaciskając jeszcze mocniej palce na szczelinach w murze. Od wysiłku barki pulsowały mu bólem. Słyszał swój własny świszczący oddech. „Ruszał - ponaglił się w myślach - nie zatrzymuj się, do cholery!” Usłuchał tego wewnętrznego gorącego głosu, roztopiającego lód, który zaczął paraliżować mu kolano. Ruszył do przodu, ostrożnie stawiając stopy, i dotarł do miejsca, gdzie nie było już nawet szczątków gzymsu.

- Poprosił mnie o radę, więc mu jej udzieliłem - usłyszał dobiegający z dołu czyjś głos. Ktoś rozmawiał na tarasie szóstego piętra. - Powiedziałem, że ci żołnierze są całkiem zieloni i jeżeli ich wyślę w ten kocioł, to zostaną posiekani na kawałki.

- I on oczywiście nie słuchał - zauważył inny męski głos.

- Śmiał się ze mnie! Naprawdę się śmiał! Powiedział, że na pewno zna swoje wojska lepiej niż ja i poprosi mnie o opinię, kiedy będzie jej potrzebował. No i teraz mamy rezultat, prawda? Osiem tysięcy ludzi okrążonych przez Rosjan i kolejne cztery tysiące już maszerujących do obozów jenieckich. Mówię ci, można się rozchorować, kiedy człowiek myśli o tym marnotrawstwie!

Michael sam nie czuł się zbyt dobrze, myśląc o tym, że będzie musiał wczepić się w ścianę, aby pokonać dziurę w gzymsem. Sięgnął ręką, jak tylko mógł najdalej, nie zważając na rozmowę oficerów na niższym balkonie. Wczepił poobcierane palce w szczeliny i napiął

ramiona. „Teraz” - pomyślał i zanim jeszcze zdążył się zawahać, przerzucił ciało ponad dziurą w gzymsie, napinając do granic wytrzymałości mięśnie ramion, palce i nadgarstki. Zawisł przez kilka sekund na rękach, usiłując natrafić prawą stopą na następny fragment gzymsu. Znowu odłamał się kawałek kamienia i spadł w dół, a za nim posypały się mniejsze okruchy.

- To zbrodnia - kontynuował pierwszy oficer bardziej napiętym głosem. - Absolutna zbrodnia. Młodzi mężczyźni, tysiące młodych mężczyzn rozrywanych na strzępy. Wiem, widziałem raporty. Ale kiedy naród niemiecki dowie się o tym, ktoś będzie musiał za to zapłacić.

Michael nie mógł oprzeć stopy na gzymsie, ponieważ kamień ciągle się kruszył. Pot wystąpił mu na twarz. Poczuł skurcze w nadgarstkach i wokół warg. Jeszcze jeden kawałek kamienia odłamał się i spadł, objając się po drodze o ścianę zamku.

- O Boże, co to było? - zapytał drugi oficer. - Coś tam spadło.

- Gdzie?

„No, szybciej, szybciej” - przynaglił się Michael, przeklinając w duchu swoją niezdarność. Zdołał oprzeć czubek prawego buta o mały fragment gzymsu, który na szczęście się nie odłamał. Nacisk na palce i nadgarstki nieco zelżał. Jednak nadal odłamywały się małe okruchy kamienia i spadały w dół, grzechocząc o ścianę.

- Tam! Widziałeś? Na pewno coś słyszałem.

Michael był pewien, że za kilka sekund obydwaj oficerowie wychyła się za balustradę balkonu, popatrzą do góry i zobaczą go na ścianie walczącego o równowagę. Przesunął prawą stopę do przodu, robiąc miejsce na fragmencie gzymsu dla dużego palca lewej stopy, po czym napiął ramiona i rozciągnął się na ścianie tak, że natrafił prawą stopą na mocniejszy kamienny występ. Taras Bloka był już w zasięgu ręki. Oderwał prawą dłoń od ściany, chwycił się balustrady i szybko przerzucił ciało na drugą stronę. Odpoczywał przez chwilę, dysząc głęboko i czując, jak powoli rozluźniają mu się mięśnie barków i przedramion.

- Ten cały cholerny zamek się rozsypuje - powiedział pierwszy oficer. - Całkiem jak Rzesza, co? Do diabła, nie byłbym zaskoczony, gdyby ten balkon oberwał się pod nami.

Zapadła cisza. Michael usłyszał, jak jeden z mężczyzn chrząka nerwowo, a po chwili rozległ się skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi balkonowych.

Michael obrócił gałkę przeszklnych drzwi i wszedł do apartamentu Jerka Bloka.

Wiedział, gdzie są jadalnia i kuchnia. Nie miał zamiaru w nich buszować, gdyż mógł tam zajrzeć któryś z kelnerów czy kucharzy. Przeszedł przez wysoko sklepiony pokój gościnny i mijając kominek z czarnego marmuru, nad którym wisiał obowiązkowy portret

Hitlera, dotarł do kolejnych zamkniętych drzwi. Obrócił piszczącą mosiężną gałkę i drzwi ustąpiły.

Pokój nie był oświetlony, ale Michael widział wystarczająco dobrze: półki z książkami, masywne dębowe biurko, kilka czarnych foteli obitych skórą oraz tapczan. Musiał to być gabinet Bloka na czas jego pobytów w „Reichkronen”. Michael zamknął drzwi za sobą, przeszedł po grubym perskim dywanie, jak pomyślał - prawdopodobnie zrabowanym w Rosji, i zbliżył się do biurka. Włączył stojącą na nim lampę z zielonym abażurem i podjął poszukiwania. Na jednej ze ścian gabinetu wisiała duża oprawiona w ramki fotografia Bloka stojącego pod kamiennym łukiem. W tle widać było drewniane budowle, zwoje drutu kolczastego i ceglany komin wyrzucający w niebo obłoki czarnego dymu. Na kamiennym łuku widniał wykuty napis: „Falkenhausen”. Michael wiedział, że to obóz koncentracyjny koło Berlina, komenderowany w swoim czasie przez Bloka. Na zdjęciu pułkownik miał minę człowieka dumnego ze swojego dziecka.

Michael przyjrzał się uważniej biurku. Było puste, najwyraźniej Blok dbał o wzorowy porządek. Próbował zajrzeć do najwyższej szuflady. Zamknięta. Tak samo pozostałe szuflady.

Przy biurku stał czarny skórzany fotel z wybitymi na oparciu srebrnymi literami „SS”, a pod biurkiem - oparty o fotel czarny neseser. Michael podniósł i położył go na blacie. Na czarnej powierzchni neseseru widniały srebrne insygnia SS i wytłoczone gotykiem inicjały: J.G.B. Rozsunął zamek, zajrzał do środka i wydobył tekturową teczkę.

W teczce odkrył kartki białego papieru z emblematem SS i wypisanymi na nich na maszynie kolumnami liczb, oznaczających sumy pieniędzy. „Zestawienia budżetowe” - pomyślał Michael. Obok liczb widniały litery. Być może były to inicjały ludzi albo symbole produktów, a może jakieś zakodowane informacje - nie miał czasu, aby próbować je rozszyfrować. Odniósł jednak ogólne wrażenie, że wydawano na coś wielkie sumy pieniędzy i że Blok albo jego sekretarka zapisywali wszystkie sumy do ostatniej marki.

W teczce było coś jeszcze: prostokątna brązowa koperta.

Wewnątrz znalazł trzy czarno-białe fotografie. Wzdrygnął się na ich widok, ale zaraz pochylił się i zmusił do bliższego przyjrzenia się zdjęciom. Na pierwszym z nich widniała twarz martwego mężczyzny, a raczej to, co z niej zostało. Prawy policzek zapadł się jak krater o poszarpanych krawędziach, czoło pokryte było dziurami, a po nosie został tylko otwór. Spomiędzy resztek warg wyzierały zęby. Na podbródku i odsłoniętym gardle widać było kolejne dziury, każda z nich miała około cala średnicy. Z prawego ucha pozostał tylko strzęp, tak jakby zostało odcięte palnikiem. Oczy mężczyzny patrzyły nieruchomo przed siebie i dopiero po kilku sekundach Michael spostrzegł, że pozbawione są powiek. U dołu fotografii,

tuż pod podziurawionym gardłem, widać było tabliczkę z niemieckim napisem: „19/02/44, Obiekt doświadczalny nr 307, Skarpa”.

Druga fotografia przedstawiała profil czegoś, co kiedyś mogło być twarzą kobiety. Na czaszce została odrobina ciemnych kędzierzawych włosów. Jednak większość ciała zniknęła, a rany były tak okropne i głębokie, że odsłaniały zatoki i nasadę języka. Z oczu została biała masa, która wyglądała jak roztopiony воск. Na podziurawionym ramieniu widać było tabliczkę z napisem: „22/02/44, Obiekt doświadczalny nr 345, Skarpa”.

Michael poczuł, jak krople zimnego potu występują mu na kark. Spojrzał na trzecie zdjęcie. Nie dało się stwierdzić, czy ta osoba była mężczyzną, kobietą czy dzieckiem. Z twarzy nie zostało nic oprócz mokrych dziur i resztek błyszczącej tkanki między nimi. Wśród okropnych szczątków przeświecały zaciśnięte zęby, tak jakby ten ktoś usiłował powstrzymać ostatni krzyk. Gardło i ramiona poznaczone były dziurami, a na tabliczce widniał napis: „24/02/44, Obiekt doświadczalny nr 359, Skarpa”.

„Skarpa - pomyślał Michael - to ta norweska wyspa, na której doktor Gustav Hildebrand posiada drugi dom”. Wyglądało na to, że umie dostarczać rozrywki swoim gościom.

Michael zebrał siły i znowu spojrzął na zdjęcia. Obiekty doświadczalne. Bezimienne numery, prawdopodobnie rosyjscy jeńcy. Ale, na rany Chrystusa, co tak mogło niszczyć ludzkie ciało? Nawet miotacz płomieni nie czynił takich spustoszeń. Jedynym wyjaśnieniem, jakie znajdował, było użycie kwasu siarkowego, jednak nierówne brzegi ran nie zdradzały żadnych śladów oparzeń chemikaliami czy ogniem. Nie był znawcą substancji żrących, ale wątpił w to, czy nawet działanie kwasu siarkowego mogłoby mieć tak okropny efekt. „Obiekty doświadczalne - pomyślał. - Co tam było badane? Czyżby jakiś nowy środek chemiczny wynaleziony przez Hildebranda? Coś tak strasznego, że mogło być testowane tylko na pustej wyspie na północ od wybrzeży Norwegii? Jaki to mogło mieć związek z «Żelazną Pięścią» i karykaturą Hitlera duszonego w bezlitosnym uścisku?”

Pytania bez odpowiedzi. Jednak Michael Gallatin wiedział jedno: musi znaleźć te odpowiedzi przed mającą nastąpić za niecały miesiąc aliancką inwazją na Europę.

Odłożył fotografie do koperty i umieścił je z powrotem w teczce razem z kartkami papieru. Włożył teczkę do neseseru, zasunął jego zamek i odstawił neseser dokładnie na to miejsce, w którym go znalazł. Jeszcze przez kilka minut rozglądał się po gabinecie, ale już nic więcej nie zwróciło jego uwagi. Zgasił lampę i przeszedł przez pokój, kierując się do drzwi wyjściowych. Był już prawie przy nich, kiedy usłyszał odgłos klucza wsuwanego do zamka.

Zatrzymał się gwałtownie, obrócił i rzucił się w kierunku balkonu. Ledwie zdążył na nim stanąć, kiedy drzwi apartamentu otworzyły się i usłyszał podniecony głos dziewczyny:

- Och, to wygląda cudownie!

- Pułkownik lubi luksusy - odpowiedział ochryply głos.

Drzwi zamknęły się od wewnątrz i rozległ się odgłos przekręcanego klucza. Michael stał, przyciskając plecy do ściany. Zerknął przez przeszklone drzwi do wnętrza. W pokoju był Stiefel z dziewczyną. Najwyraźniej przywiódł swą zdobycz do apartamentu Bloka, chcąc ją na tyle oszołomić, aby pozwoliła mu się rozebrać. Następnym etapem - jak Michael przypuszczał, opierając się na swojej znajomości sztuki uwodzenia - było przyprowadzenie jej na balkon, żeby przechylwszy się przez balustradę, mogła zakosztować nieco emocji. W takim wypadku należało czym prędzej opuścić to niebezpieczne miejsce.

Pośpiesznie przekroczył poręcz i stanął na zdradziecko podziurawionym gzymsie. Wsunął starte palce w pęknięcia w ścianie, wczepił się w nie mocno i ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przybył. Fragmenty kamienia trzeszczały i osypywały się pod jego ciężarem, ale pokonał wszystkie dziury i dotarł do balkonu apartamentu Sandlera. Stojąc już na nim, usłyszał zza pleców głos dziewczyny:

- Ależ tu wysoko, prawda?

Michael otworzył drzwi balkonu i wsunął się do środka, zamykając je delikatnie za sobą. Apartament Sandlera był bliźniaczym odbiciem apartamentu Bloka, z tym tylko wyjątkiem, że kominek był wykonany z czerwonego kamienia i wisiał nad nim inny wariant portretu führera. We wnętrzu panowała cisza, wyglądało na to, że Sandler nadal się oddaje piekielnym rozrywkom. Michael podszedł do drzwi wejściowych i zobaczył sokoła. Blondi siedziała w stojącej koło drzwi klatce. Nie była zakapturzona i wpatrywała się w niego nieruchomymi ciemnymi oczyma.

- Cześć, ty suko - powiedział Michael i zapukał w klatkę. Sokół zadrzał z wściekłości, strosząc pióra na szyi, zaczął syczeć na niego. - Powinienem ciebie zjeść i wypluć twoje kości na podłogę. - Sokół przysiadł, drżąc jak napięta struna. - No cóż, może następnym razem - obiecał Michael i sięgnął ręką do gałki u drzwi.

Usłyszał za sobą słaby, niemalże melodyjny brzęk. Coś szczęknęło. Michael obejrzał się na klatkę z sokołem i zobaczył opadającą spod sufitu przeciwwagę, zawieszoną na cienkim łańcuszku. Zrozumiał, że obracając gałkę przerwał odciąg pułapki i że już nie ma czasu na żadne rozmyślenia, gdyż przeciwwaga podnosiła do góry drzwi klatki. Sokół rzucił się na niego, tnąc pazurami powietrze.





Kiedy Michael walczył o utrzymanie równowagi na hotelowym gzymsie, Jerek Blok, zanosząc się od śmiechu, ocierał z oczu łzy. Na scenie dawano przedstawienie z udziałem karlicy i potężnego Słowianina, który z pewnością był wiejskim głupkiem z jakiejś zapadłej rosyjskiej dziury. Jednakże jego męskie wyposażenie było potężnych rozmiarów. Uśmiechał się, kiedy widzowie pokładali się ze śmiechu, jakby rozumiał, co ich tak bawi.

Blok spojrział na swój kieszonkowy zegarek. Czuł się już nasycony rozpustą, a poza tym był zdania, że po pewnym czasie wszystkie dupy, duże czy małe, wyglądają tak samo. Przechylił się do Chesny i dotknął jej kolana wcale nie ojcowskim gestem.

- Twój baron musi nie mieć poczucia humoru - powiedział.

- Nie czuł się dobrze. - Prawdę mówiąc, ona sama też nie była w formie. Twarz ją bolała od tych wszystkich fałszywych uśmiechów.

- No, chodź, wystarczy tych rozrywek rodem z piwiarni. - Podniósł się, przytrzymując ją za łokieć. - Postawię ci butelkę szampana.

Chesna była zadowolona, że może wyjść bez wzbudzania podejrzeń. Daleko było do końca przedstawienia i program zapowiadał jeszcze bardziej okrutne sceny, w których mieli brać udział również widzowie. Klub „Piekło” nigdy jej nie pociągał, jedynie dostarczał okazji do spotkań z różnymi ludźmi. Pozwoliła pułkownikowi Blokowi, aby odprowadził ją do salonu, myśląc, że w tym momencie baron może być w drodze do jego apartamentu albo może już wracać. Jak do tej pory nie słyszała krzyku spadającego człowieka. Ten mężczyzna był szalony, ale z pewnością nie przeżyłby tak długo w tym niebezpiecznym zawodzie, gdyby postępował nierozważnie.

Usiedli przy stoliku. Blok zamówił dużą butelkę szampana, znowu spojrział na swój kieszonkowy zegarek i poprosił kelnera, aby przyniósł mu telefon do stolika.

- Obowiązki? - zapytała Chesna. - Tak późno?

- Niestety, tak. - Blok zamknął kopertę zegarka i włożył go z powrotem do kieszeni swego wymuskanego munduru. - Chciałbym się dowiedzieć wszystkiego o baronie, Chesno. Gdzie go spotkałaś i co o nim wiesz. Od jak dawna cię znam, nigdy nie myślałem, że jesteś kobietą, która może sobie pozwolić na popełnianie głupstw.

- Głupstw? - zapytała, unosząc brwi. - O co panu chodzi?

- Ci książęta, hrabiowie, baronowie nie są nic warci. Widuje się ich każdego dnia, kiedy odprawiają swoje ceremonie i stroją się jak manekiny. Każdy człowiek z odrobiną

arystokratycznej krwi w żyłach uważa się za złoto, chociaż w rzeczywistości to tylko żeliwo. Pamiętaj, nigdy dość ostrożności. - Pogroził jej palcem.

Podszedł do nich kelner z telefonem i włożył wtyczkę przewodu do gniazdka.

- Dzisiaj po południu rozmawiałem z Harrym - ciągnął Blok. - On uważa, że baron może być... jak by to powiedzieć... zainteresowany czymś więcej niż tyłka miłością.

Czekała, co powie dalej, czując, jak serce zaczyna jej przyspieszać. Była przekonana, że Blok coś wywęszył.

- Mówisz, że znasz go dopiero od niedawna, tak? I już planujecie małżeństwo? Cóż, pozwól, że przejdę do sedna sprawy. Jesteś piękną i bogatą kobietą ze wspaniałą reputacją w Rzeszy. Nawet Hitler uwielbia twoje filmy, a Bóg wie, że ulubionym temat filmowym führera jest on sam. Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, że baron może chcieć ożenić się z tobą po prostu dla twoich pieniędzy i prestiżu?

- Tak, myślałam o tym - odparła. - Baron kocha mnie dla mnie samej. - „Chyba zbyt pośpieszyłam się z odpowiedzią”.

- Ale skąd możesz być tego pewna, jeżeli nie odczekasz trochę? Nie ma przecież pośpiechu, świat się jeszcze nie wali, prawda? Dlaczego się nie wstrzymasz do końca lata?

Podniósł słuchawkę telefonu. Chesna rozpoznała wybierany przez niego numer i poczuła, że krew zastyga jej w żyłach.

- Mówi pułkownik Blok - rzucił do słuchawki, przedstawiając się telefoniście. - Z lekarzem, proszę. Chociaż trzy miesiące - zwrócił się ponownie do Chesny. - Muszę ci powiedzieć, że ani ja, ani Harry nie darzymy tego człowieka sympatią. On ma jakiś taki przebiegły i głodny wygląd. Jest w nim coś fałszywego. Przepraszam - przerwał, powracając do rozmowy telefonicznej. - Tak, Blok. Mówi Blok. Jak przebiega operacja?... Dobrze. Więc dojdzie do siebie?... Wystarczy, żeby mógł mówić, tak?... A kiedy to może nastąpić?... Dwadzieścia cztery godziny to za długo! Najwyżej dwanaście! - rzucił wyniosłym, rozkazującym tonem, mrugając do Chesny. - Posłuchaj, Artur. Chcę, żeby Frankewitz...

Chesna nieomal jęknęła na głos. Nie była pewna, czy rzeczywiście tego nie zrobiła. Coś jak żelazna obręcz zacisnęło się na jej szyi.

- ...był w stanie odpowiadać na pytania w ciągu dwunastu godzin. Tak, koniec rozmowy. - Odłożył słuchawkę i odsunął od siebie telefon takim gestem, jakby aparat budził w nim odrazę. - No więc rozmawialiśmy o baronie. Trzy miesiące. Będziemy w stanie przez ten czas dowiedzieć się o nim wszystkiego. - Wzruszył ramionami. - W końcu to moja specjalność.

Chesna omal nie zaczęła krzyżeć. Bała się, że jest blada jak trup, ale jeśli Blok coś w ogóle zauważył, to i tak nie dał tego po sobie poznać.

- Proszę, mamy szampana. - Zabębnił palcami o blat stolika, czekając, aż kelner naleje im trunku do wysokich kieliszków. - Na zdrowie! - wznosił toast.

Chesna musiała użyć wszystkich swoich aktorskich umiejętności, żeby opanować drżenie ręki.

Kiedy podnosiła do ust kieliszek z musującym napojem, w apartamencie Sandlera opadła przeciwwaga, łańcuszek naprężył się, podnosząc do góry drzwi klatki, i Blondi rzuciła się na Michaela Gallatina.

Szpony rozpruły powietrze w tym samym miejscu, w którym przed sekundą była jego twarz, ale Michael pochylił się w szybkim uniku i Blondi przeleciała mu nad głową. Zawróciła w powietrzu, trzepocząc energicznie skrzydłami, i runęła znowu na Michaela, który cofał się, osłaniając twarz dłońmi. Wykonał zwód w prawo i z wilczą szybkością odskoczył w lewo. Kiedy Blondi śmignęła obok niego, dwa szpony zaczęły o jego prawe ramię, wrywając z fraka kawałki czarnego materiału. Zawróciła, wściekle skrzecząc. Michael cofał się panicznie, rozglądając się za czymś, czym mógłby się bronić. Blondi zatoczyła ciasny krąg i nagle zmieniła kierunek lotu i rzuciła się na jego twarz, rozkładając szeroko skrzydła. Michael padł na podłogę. Sokół przeleciał nad nim i próbując się zatrzymać, prześliznął się po oparciu czarnej sofy, ryjąc pazurami głębokie bruzdy w skórzanym obiciu. Michael przetoczył się w bok i uniósłszy się na kolana, zobaczył przed sobą otwarte drzwi prowadzące do wykładanej błękitnymi płytkami łazienki. Usłyszał za sobą trzepot skrzydeł i poczuł, że szpony sokoła bliskie są zatopienia się w jego potylicy. Rzucił się do przodu, wywijając w powietrzu kozła, i wpadł do łazienki. Obracając się na kafelkowej podłodze, dostrzegł, że Blondi mknie za nim. Chwycił krawędź drzwi, zatrasnął je i niemal równocześnie dosłyszał głucho uderzenie ciała sokoła o ich powierzchnię. Zapadła cisza.

„Nie żyje? - pomyślał Michael - czy jest po prostu oszołomiona?”

Po kilku sekundach poznał odpowiedź na swoje pytanie - usłyszał zgrzyt pazurów o drzwi. Wstał, rozglądając się po swym więzieniu, w którym znajdowała się umywalka, owalne lustro, sedes i wąska szafka. W pomieszczeniu nie było jednak żadnych okien ani dodatkowych drzwi. Zajrzał do szafki, ale nie znalazł w niej nic przydatnego. Blondi nie przestawała atakować, ryjąc szponami bruzdy w drzwiach. Żeby wydostać się z apartamentu

Sandlera, musiał przejść przez pokój, jakoś omijając sokoła. Gospodarz mógł wrócić w każdej chwili, Michael nie miał więc czasu, żeby czekać, aż sokół się zmęczy, a poza tym

nie było wielkiej szansy, żeby ptak przestał się nim interesować. Michael wiedział, że Blondi wyczuwa roztaczany przez niego wilczy zapach i to właśnie doprowadza ją do szaleństwa.

Widać było, że Sandler nie darzy zaufaniem ochrony „Reichkronen”. Cienki drut, który przyczepił do gałki drzwi, kiedy wychodził na wieczorne rozrywki, był nieprzyjemną niespodzianką dla ewentualnych ciekawskich. Jeżeli ktoś raz zostanie myśliwym, to już jest nim na zawsze.

Michael przeklinał się w duchu za niedostateczną czujność. Nie mógł pozbyć się sprzed oczu widoku okropnych fotografii. Odkrycie, którego dokonał tego wieczoru, nic by nie dało, gdyby nie zdołał się stąd wydostać. Blondi znowu natarła na drzwi, tym razem już mniej energicznie. Michael popatrzył na swoje odbicie w lustrze i zobaczył rozerwany materiał na ramieniu fraka. Kawalek koszuli też był wyrwany, ale ciało miał nie naruszone. Jeszcze nie. Michael wziął lustro za ramę, zdjął je z uchwytów, obrócił odwrotną stroną do siebie i uniósł, przesłaniając sobie nim twarz jak tarczą. Podeszedł do drzwi. Podejrzał, że pazury Blondi musiały już wryć z pół cala drewna w drzwiach. Przytrzymał lustro jedną ręką, wciągnął powietrze, a drugą obrócił gałkę i otworzył drzwi.

Sokół zaskrzeczał i uciekł w głąb pokoju. Zobaczył swoje własne odbicie. Osłaniając twarz lustrem, Michael ostrożnie zaczął wycofywać się ku drzwiom na balkon. Nie mógł ryzykować spotkania z Sandlerem w hallu. Musiał wrócić do apartamentu Chesny tą samą drogą, którą tu przybył. Był pewien, że Stiefel i jego zdobycz przestali już rozmawiać i opuścili balkon. Nagle usłyszał świst skrzydeł nacierającej nań Blondi. Zatrzymała się tuż przed swoim odbitym w lustrze wizerunkiem i uderzyła z wściekłością pazurami w szkło. Siła uderzenia omal nie wytrąciła Michaelowi lustra z rąk. Zaciśnął jeszcze mocniej palce na jego krawędziach. Blondi cofnęła się w powietrze i znowu natarła na niego, nie zwracając uwagi na palce Michaela, ale koncentrując atak na sokole, który ośmielił się naruszyć jej terytorium. Pazury znowu natrafiły na szkło. Michael nadal cofał się w kierunku balkonu. Blondi zaskrzeczała wysokim głosem, obleciała pokój dookoła i zaatakowała lustro jeszcze raz. Tym razem uderzyła w nie pod kątem z całym impetem, aż Michael się zachwiał. Zaczepił piętą o nogę niskiej ławy i upadł. Lustro wysunęło mu się z rąk i rozbiło o kamienie kominka z hukiem porównywalnym do wystrzału. Blondi krążyła wokół żyrandola tuż pod sufitem. Michael podniósł się na kolana. Drzwi balkonu były już nie dalej niż dwanaście stóp od niego. Blondi przestała krążyć i znurkowała, wysuwając wycelowane w jego odsłonięte oczy szpony.

Nie miał czasu na myślenie. Sokół spadał nań jak złota strzała. Dopadł go z wysuniętymi do dołu szponami i zakrzywionym dziobem, gotowym do zadania ciosu w oczy.

Michael błyskawicznie wykonał zamach prawą ręką, aż usłyszał pękający szew fraka, i od razu w miejscu, w którym przed momentem był sokół, zawisł w powietrzu obłok złotych piór. Poczuł, jak szpony Blondi grzęzną w jego przedramieniu, przecinając materiał marynarki i koszuli, ale jednocześnie zakrwawiona i oszołomiona bestia zawirowała jak strącony z drzewa liść i uderzyła o ścianę, rozsiewając w powietrzu kolejny obłok pierza. Blondi osunęła się na podłogę, zostawiając na ścianie czerwoną smugę. Skrwawiona masa, która była przed chwilą drapieżnym ptakiem, drgnęła kilka razy i zastygła bez ruchu.

Michael spojrzął na swoją rękę. Czarne włosy pokrywały potężną wilczą łapę, a zakrzywione pazury były mokre od krwi Blondi i jej wnętrzości. Mięśnie nabrzmiały mu pod materiałem fraka, napinając go w szwach. Wilcze włosy dotarły mu prawie do karku i poczuł, jak jego kości zaczynają się odkształcać i przemieszczać.

„Nie - pomyślał. - Nie tutaj”.

Stanął na ludzkich nogach. Musiał się wyteńczyć, żeby odeprzeć przemianę, zanim zdążyła go na dobre opanować. Zapach krwi i przemocy podrażnił mu nerwy. Zakrzywione szpony cofnęły się, wywołując bolesne ukłucia w dłoni. Włosy też zniknęły, pozostawiając po sobie tylko swędzenie skóry. Po chwili przemiana ustąpiła całkowicie, znowu był w pełni człowiekiem, jeśli nie liczyć piżmowego smaku dzikości w ustach.

Pośpiesznie wyszedł na taras. Stiefel i dziewczyna zniknęli już we wnętrzu apartamentu Bloka. Michael żałował, że nie może nic zrobić, aby zatrzeć za sobą ślady, ale było już na to za późno. Przeszedł przez balustradę, stanął na gzymsie i dotarł do południowo-wschodniego rogu zamku, gdzie zszedł na poziom niższego piętra, ponownie przytrzymując się rzeźbionych w kamieniu rzygaczy i geometrycznych ozdób. Po około dziewięciu minutach stanął na balkonie apartamentu Chesny, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

W końcu mógł już swobodnie oddychać. „Ale gdzie jest Chesna? - pomyślał. - Ach, oczywiście, nadal na spotkaniu klubu «Piekło»”. Powinien się tam znowu pokazać, ale nie mógł tego zrobić we fraku pociętym szponami sokoła. Wszedł do łazienki, wymył ślady krwi spod paznokci prawej ręki, a potem przebrał się w świeżą białą koszulę i ciemnopopielatą marynarkę z klapami z czarnego aksamitu. Nie zmienił białej muszki, ponieważ nie była poplamiona krwią. Pantofle były poobcierane, ale nie miał czym ich zastąpić. Obejrzał się szybko w lustro, sprawdzając uważnie, czy nie przegapił jakiejś plamki krwi lub złotawego pióra, i opuścił apartament. Zjechał windą do westybulu.

Wyglądało na to, że spotkanie klubu dobiegło już końca, gdyż westybul pełny był oficerów i towarzyszących im kobiet. Śmiech dobywał się ze splukiwanych piwem gardeł. Michael rozejrzał się za Chesną w tłumie i poczuł nagle czyjąś dłoń chwytającą go za ramię.

Obrócił się i stanął twarzą w twarz z Harrym Sandlerem.

- Szukałem pana wszędzie - powiedział Sandler. Miał przekrwione oczy i wilgotne usta. - Gdzie pan chodził? - Michael zauważył, że wino i piwo, które Sandler wypił, podziały na niego.

- Na spacer - odparł Michael. - Nie czułem się dobrze. Widział pan Chesnę?

- Tak, też pana szukała. Prosiła, żebym jej pomógł. Dobre przedstawienie, prawda?

- Gdzie jest Chesną? - powtórzył Michael, strząsając z ramienia dłoń Sandlera.

- Ostatnio widziałem ją na dziedzińcu. O tam - Sandler wskazał ruchem głowy drzwi wejściowe. - Myślałem, że wrócił pan do domu zrywać tulipany. Zaprowadzę pana do niej - powiedział, dając Michaelowi znak ręką, żeby poszedł za nim, i ruszył chwiejnym krokiem przez tłum.

Michael się zawahał.

- No, baronie - ponaglił go Sandler, przystając. - Ona czeka na swojego ukochanego.

Michael ruszył przez tłum za myśliwym w kierunku drzwi wejściowych. Nie wiedział, co może się stać, kiedy Sandler odkryje rozszarpanego sokoła. Chesną była czarującą i inteligentną kobietą, był więc pewien, że coś wymyśli. Cieszyło go, że Mysz nie widział tych koszmarnych rozrywek, bo mógłby tego nie znieść. Jedno było jasne dla Michaela: musieli się dowiedzieć, nad czym pracuje Gustav Hildebrand. O ile byłoby to możliwe, powinni dotrzeć na wyspę Skarpa. Jednak Norwegia była daleko od Berlina, w którym i tak nie brakowało niebezpieczeństw.

Michael zszedł za Sandlerem po schodach. Myśliwy omal nie stracił na nich równowagi, co mogłoby się skończyć skruceniem karku. Michael pomyślał, że w takim wypadku opatrność wyręczyłaby go w jego planach. Przeszli przez dziedziniec, omijając rozlane na bruku kałuże.

- Gdzie ona jest? - zapytał Michael, idąc za Sandlerem.

- Tędy - odparł myśliwy, wskazując ręką w kierunku ciemnej wstęgi rzeki. - W ogrodzie. Może mógłby mi pan powiedzieć, jakie tam rosną kwiaty?

Michael pomyślał, że słyszy coś szczególnego w głosie Sandlera. Jakaś twardość ukrytą pod pijackim bełkotem. Zwolnił kroku. Zauważył, że Sandler idzie teraz szybciej, bez trudu utrzymując równowagę na nierównym bruku. A więc nie był w rzeczywistości tak pijany, tylko raczej udawał pijanego. O co tu więc mogło...

- Tu jest - powiedział cicho Sandler całkiem trzeźwym tonem.

Za załomu muru wynurzył się mężczyzna w długim popielatym płaszczu i czarnych rękawiczkach. Za plecami Michaela też się ktoś poruszył. Usłyszał szurnięcie podeszwą o

kamień. Obrócił się błyskawicznie i zobaczył tuż przy sobie drugiego mężczyznę w szarym płaszczu. Nieznajomy dał dwa szybkie kroki do przodu i opuścił trzymaną w górze rękę. Spoczywająca w jego dłoni gumowa pałka wypełniona ołowiem spadła na skroń Michaela, powalając go na kolana.

- Szybciej - ponaglił Sandler. - Podnieście go, do cholery.

Tuż obok zatrzymał się czarny samochód. Michael, oszołomiony bólem, usłyszał dźwięk otwieranych drzwi samochodu. „Nie, to nie drzwi - pomyślał. - To coś cięższego. Czyżby pokrywa bagażnika?”

Poczuł, że podnoszą go i wloką do przodu. Stopy ciągnęły mu się po bruku. Był całkiem bezwładny. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie potrafił jasno myśleć. Obydwaj mężczyźni przywlekli go do tyłu samochodu.

- Szybciej - syknął Sandler.

Podnieśli go i wtedy Michael zrozumiał, że mają zamiar wrzucić go do bagażnika. „Och, nie - zaprotestował w duchu. - Nie można do tego dopuścić, nie”. Napiął mięśnie i wyrzucił prawy łokieć ostro do tyłu. Trafił w coś twardego, wywołując przekleństwa z ust jednego z mężczyzn. Poczuł mocne uderzenie pięścią w nerki i chwytające go od tyłu za gardło ramię. Zaczął się szarpać, usiłując się oswobodzić. Gdyby tylko był w stanie postawić stopy na ziemi, toby wszystko...

Usłyszał znowu świst pałki w powietrzu.

Cios spadł na tył jego głowy, aż przed oczami zawirowały mu ciemne plamy. Stęchły zapach. Odgłos zamykanej za nim pokrywy trumny. Nie, to pokrywa bagażnika. Moja głowa... Moja głowa.

Rozległ się dźwięk gładko pracującego silnika. Samochód ruszył. Michael usiłował podnieść głowę, ale od razu zacisnęła mu się na niej żelazna obręcz bólu i osunął się w nieświadomość.

## **CZEŚĆ ÓSMA**

# **OSTATNI KWIAT MŁODOŚCI**



Pewnego ranka latem, kiedy Michaił miał czternaście lat, a słońce ogrzewało ziemię, przez zieleniejący jak młodzieńczy sen las biegł czarny wilk.

Znał już wszystkie sztuczki. Nauczył się ich od Wiktora i Nikity. Napędza się ciało tylnymi łapami, a hamuje i skręca przednimi. Zawsze trzeba być wyczulonym na to, co się ma pod łapami: miękki kurz, błoto, kamienie czy piasek. Wszystkie te podłoża wymagają innego kroku, innego napięcia ciała. Czasami mięśnie powinny być twarde jak nowe sprężyny, a czasami rozluźnione jak rozciągnięte gumy. Ale - jak powtarzał twardo Wiktor - najważniejsza jest ustawiczna czujność. Wiktor używał tego słowa wiele razy, wbijając je jak gwóźdź w niespokojny mózg Michaiła. Czujność na reakcje swojego ciała: równa praca płuc, pompowanie krwi, ruchy mięśni i ścięgien, rytm czterech łap. Wyczulenie na słońce na niebie i kierunek, w którym się przemieszcza. Czujność na otoczenie i zapamiętanie drogi powrotnej do domu. Świadomość nie tylko świata z przodu, ale też tego, co dzieje się z prawej strony, z lewej, z tyłu, u góry i pod spodem. Świadomość zapachu śladów zostawionych przez drobną zwierzynę i odgłosów zwierząt uciekających od twego własnego zapachu. Wyczulenie na te wszystkie rzeczy i na jeszcze wiele innych. Michaił nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, że być wilkiem oznacza tak ciężką pracę.

Teraz jednak stawało się to jego drugą naturą. Ból przemiany zelżał, chociaż - jak powiedział mu Wiktor - nigdy nie miał opuścić go do końca. Ból w rozumieniu Michaiła był częścią życia. Mimo wszystko ból przemiany bladeł w porównaniu z tym absolutnym, pobudzającym podnieceniem, które Michaił odczuwał za każdym razem, kiedy mknął na czterech łapach przez las, napinając mięśnie i czując się tak silny jak nigdy przedtem. Był nadal małym wilkiem, ale Wiktor powiedział mu, że urośnie. Mówił też, że Michaił szybko się uczy, że ma dobrą głowę.

W owe gorące letnie dni Michaił spędzał większość czasu w wilczej postaci. Czuł się nagi i blady jak robak, gdy przybierał postać chłopca. Sypiał bardzo mało, bo każdy dzień i noc obiecywały nowe odkrycia, nowe rzeczy, które mógł zobaczyć swymi bystrymi oczami. Rzeczy, które były czymś oczywistym dla niego, gdy był w ludzkiej postaci, dla wilczych oczu stawały się czymś niesamowitym. Deszcz okazywał się prysznicem migocących kolorów, a ślady małych zwierząt w wysokiej trawie wypełniał delikatny zapach ich ciepłych ciał. Nawet wiatr wydawał się złożoną żywą istotą, niosącą ze sobą wieści o życiu i śmierci z całego obszaru lasu.

No i księżyc. Och, ten księżyc!

Wilcze oczy widziały księżyc inaczej niż ludzkie. Widziały go jako nieskończenie fascynującą srebrną dziurę w czerni nocy, czasami obrzeżoną jasnoniebieskim światłem, czasami czerwonym, a czasami niemożliwym do opisanego odcieniem. Światło księżycy spływało na ziemię srebrnymi promieniami, oświetlając las jak katedrę. Michaił nigdy wcześniej nie widział piękniejszego blasku. Wilki, nie wyłączając pozbawionego jednej łapy Franka, zbierały się na wysokich skałach w tym oszałamiająco pięknym blasku i wznosiły swe pieśni. Były to peany, w których radość przeplatała się ze smutkiem. Żyjemy - głosiły ich pieśni - i chcemy żyć na zawsze. Ale życie przemija, tak samo jak księżyc przesuwa się po niebie, i oczy wszystkich ludzi i wilków muszą zmętnieć i zamknąć się.

Ale będziemy śpiewali, dopóki będzie istniało takie światło!

Michaił biegał dla samej przyjemności biegania. Czasami, kiedy wracał do ludzkiej postaci po całych godzinach spędzonych na czterech łapach, miał problemy z utrzymaniem równowagi na dwóch nogach. Były jak słabe białe badyle, których nie można zmusić, by poruszały się wystarczająco szybko. Fascynowała go prędkość, możliwość ruchu, gwałtowne skręty w lewo i prawo, kiedy ogon pomaga utrzymać równowagę jak ster łodzi. Wiktor powiadał, że Michaił jest za bardzo urzeczony swoją wilczą postacią i zaniedbuje naukę. Tłumaczył mu, że to nie tylko przemiana ciała jest cudem, ale ludzki mózg w wilczej czaszce, który potrafi zarówno prowadzić tropem zranionego jelenia, jak i recytować Szekspira.

Michaił przebił się przez zarośla i wypadł nad staw w skalistej rozpadlinie. W taki gorący dzień aromat wody działał jak kuszące perfumy. Były jeszcze pewne rzeczy, które Michaił jako chłopiec umiał robić lepiej niż wilk. Jedną z nich było pływanie. Wytarzał się w miękkiej trawie dla samej przyjemności, a potem, sapiąc, położył się na boku i poddał przemianie. W dalszym ciągu było dla niego tajemnicą, w jaki sposób ona się odbywa. Zaczynała się od tego, że wyobrażał siebie jako chłopca, tak samo jak wyobrażał siebie jako wilka, kiedy pragnął przemiany w przeciwnym kierunku. Im pełniej i bardziej szczegółowo widział siebie w wyobraźni, tym szybciej i głódziej następowała. Oczywiście zdarzały się problemy. Czasami nie chciała go usłuchać ręka albo noga, a raz zbuntowała się głowa. Wszystkie takie przypadki śmieszyły pozostałych członków watahy, a dla Michaiła były powodem zmartwienia, jednak z upływem czasu coraz lepiej dawał sobie radę. Jak powiedział mu Wiktor, nie w jeden dzień Rzym zbudowano.

Michaił skoczył do wody, która zamknęła się nad jego głową. Wypłynął po chwili, parskając, a potem wygiął ciało w łuk i znurkował w głębinę. Przemieszczając się nad pokrytym kamieniami dnem, przypomniał sobie, jak i gdzie nauczył się pływać. To było w

Petersburgu, kiedy jako dziecko pluskał się pod opieką matki w wielkim krytym basenie. Czy to naprawdę był on? Ten wychuchany, nieśmiały chłopak, który nosił koszule z wysokimi wykrochmalonymi kołnierzykami i brał lekcje gry na pianinie? Z jego obecnej perspektywy wszystko to wyglądało jak sceny z obcego świata. Ludzie, którzy zamieszkiwali tamten świat, już prawie całkiem znikli z jego pamięci. Nic nie było rzeczywiste poza obecnym życiem i rosnącym wokół lasem.

Wyplynał na powierzchnię, żeby się otrząsnąć z wody, i wtedy usłyszał jej śmiech.

Rozejrzał się zaskoczony. Siedziała na kamieniu, a jej długie włosy błyszcząły w świetle słońca jak złoto. Aleksa była tak samo naga jak on, ale jej ciało było nieskończenie bardziej interesujące.

- Och, patrzcie! Co za płotkę złowiłam!

- Co tu robisz? - zapytał Michaił, brodząc w wodzie. - A co ty robisz tam w stawie?

- Pływam - odparł. - Jak to wygląda?

- Głupio. Fajnie, ale głupio.

Pomyślał, że ona nie umie pływać. Czyżby przyszła tu za nim z pałacu?

- To przyjemne, szczególnie po biegu. - Domyślił się, że Aleksa przybiegła za nim, bo ciało miała pokryte błyszczącą warstwą potu.

Ostrożnie zsunęła się po kamieniu, wyciągnęła rękę i nabrała w dłoń wody. Uniosła ją do ust i wychłęptała językiem jak zwierzę, a potem oblała resztką złoty puch pomiędzy udami.

- Och, tak - powiedziała i uśmiechnęła się do niego. - To fajne, prawda?

Michaił czuł, że robi mu się coraz cieplej. Odplynał od niej, ale staw był niewielki. Zaczął pływać w kółko, udając, że nie zauważa, jak ona rozciąga się na skale, wystawiając ciało na działanie słońca i oczywiście na jego widok. Odwrócił twarz. Co się z nim dzieje od tej wiosny? Ciągle myślał o Aleksie. Jej blond włosach i lodowatych błękitnych oczach, kiedy była w ludzkiej postaci. Jasnym futrze i dumnym ogonie, gdy była wilczycą. Pociągała go tajemnica pomiędzy jej udami. Śnił o... nie, nie. To nieczyste.

- Masz piękne plecy - powiedziała łagodnym tonem. Słyszał w jej głosie jakąś słabość.

- Wyglądają na takie silne.

Zaczął płynąć nieco szybciej. Sam nie wiedział, czy robi to dlatego, żeby mięśnie jego pleców napięły się jeszcze bardziej.

- Kiedy wyjdiesz, to cię wytrę - powiedziała.

Penis Michaiła już zgadł, w jaki sposób to się miało dokonać, i stwardniał jak kamień, na którym przysiadła Aleksa. Pływał nadal, a ona wygrzewała się na słońcu i czekała.

Pomyślał, że może zostać w wodzie tak długo, aż Aleksa się zmęczy i wróci do domu. Była zwierzęciem, tak mówiła o niej Renati. Ale wraz z tym, jak słabło tempo jego ruchów w wodzie, a serce było poruszane nie znanym mu wcześniej uczuciem, zrozumiał, że zbliżenie z Aleksa nastąpi już wkrótce, może nawet dzisiaj. Chciała go. Chciała tego, co mógł jej dać. Był zadowolony, gdyż Wiktor nie mógł go nauczyć wszystkiego. Aleksa czekała w gorącym słońcu. Jego odbłask od powierzchni wody sprawił, że Michaiłowi zakręciło się w głowie. Zrobił jeszcze dwa kółka, rozważając sytuację. Pewna ważna część jego ciała podjęła już decyzję.

Wyszedł z wody, czując mieszaninę pożądania i strachu. Zobaczył, jak Aleksa podnosi się, a jej piersi się naprężają, kiedy spojrzała na to, co jej oferuje. Zeszła ze skały i stanęła w trawie, czekając na niego.

Wzięła go za rękę i podprowadziła w cień drzew. Ułożyła go na łożu z mchu i przyklekła przy nim. Była piękna, chociaż z bliska Michaił widział, że wokół jej oczu i w kącikach ust zaczynają pojawiać się zmarszczki. Życie wilka było ciężkie, a Aleksa nie była już dziewczęciem. Jednak jej lodowatoniebieskie oczy obiecywały niewyobrażalne dla niego przyjemności. Pochyliła się nad nim i przyłożyła usta do jego ust. Musiał się wiele nauczyć o sztuce miłości i teraz właśnie zaczęła się pierwsza lekcja.

Aleksa spełniła obietnicę. Wytarła go. Językiem. Zaczęła od dołu i powoli przesuwiała się do góry, zlizując wodę z jego skóry i pijając zbierające się na niej krople.

Doszła do jego pulsującego krwią centrum i tam pokazała swą prawdziwą zwierzęcą naturę. Była żądna świeżego mięsa. Wzięła go do ust. Michaił jęknął i zatopił palce w jej włosach. Jak każde zwierzę Aleksa lubiła posługiwać się zębami. Zaczęła gryźć go i lizać, a on czuł coraz większe napięcie w lędźwiach. W głowie mu zaszumiło i poczęło błyskać, jakby wypełniła ją letnia burza. Aleksa trzymała go w swych ciepłych ustach, zaciskając palce u nasady jąder. Poczuł, jak jego ciałem targają konwulsje, nie potrafił zapanować nad tym odruchem. Przez kilka sekund jego mięśnie się naprężyły, jakby miały wyrwać się spod skóry. Błyski w głowie pulsowały coraz intensywniej, atakując jego nerwy i wzniecając w nich płomień. Jęknął zwierzęcym głosem.

Aleksa zwolniła uścisk, patrząc na wytryskujące z jego ciała nasienie. Targnął nim kolejny skurcz i bluznął kolejną białą eksplozją. Uśmiechnęła się dumna ze swej władzy nad jego młodym ciałem, a potem, kiedy sztandar Michaiła zaczął opadać, podjęła znowu podróż językiem po brzuchu i klatce piersiowej, zataczając kółka na jego ciele. Gęsia skórka występowała mu w miejscach, których dotknął jej język. Znowu poczuł, że twarde, a w miarę, jak myśli zaczęły mu się oczyszczać z początkowego delirium, zrozumiał, że w

świecie można się nauczyć więcej rzeczy, niż kiedykolwiek się to śniło mieszkającym ongiś w Białym Pałacu mnichom.

Ich usta spotkały się i przywarły do siebie. Aleksa ugryzła go w język i wargi, chwyciła za obie dłonie i położyła je sobie na piersiach. Potem usiadła na jego biodrach i wsunęła się na niego. Połączyli się ze sobą. Puls Michaiła bił teraz wewnątrz jej wilgotnego żaru. Biodra Aleksy podjęły powolny rytm, który stopniowo zyskiwał na sile i intensywności. Patrzyła wprost w jego oczy, a jej twarz i piersi błyszczały od potu. Michaił był pojętnym uczniem. Reagował na jej ruchy, poruszając się sam i zagłębiając się w nią. Kiedy ich ruchy stały się mocniejsze i bardziej gwałtowne, Aleksa odrzuciła do tyłu głowę, obsypując ramiona kaskadą złotych włosów, i krzyknęła z rozkoszy.

Poczuł, jak drży. Miała zamknięte oczy, a z jej ust dobywały się łagodne jęki. Podała mu piersi do całowania, poruszając biodrami szybkimi i gwałtownymi ruchami. I wtedy znowu przytłoczyły Michaiła nie kontrolowane konwulsje. Mięśnie mu się naprężyły, a krew zaszumiała w żyłach. Ekspłodował do wnętrza wilgotnego ciepła Aleksy. Czuł się tak, jakby jego ciało się rozciągało. W kościach pulsowało mu mokrym żarem. Niebo mogłoby mu spaść na głowę, jakby było ze szkła, ale wcale by się tym nie przejął. Zawędrował w jakąś nieznaną krainę, o której wiedział tylko jedno: podobało mu się tam, bardzo mu się podobało. Chciał wrócić tam jak najszybciej, by podjąć na nowo swą podróż.

Był gotów szybciej, niż przypuszczał, że jest to możliwe. Przyciskając do siebie swe ciało, przetoczyli się po mchowym posłaniu i wysunęli z cienia na słońce. Teraz ona była pod nim. Zarzuciła mu nogi na biodra, śmiejąc się z jego entuzjazmu, kiedy ponownie się w nią zagłębił. To było lepsze niż pływanie. Nie potrafił dotrzeć do dna stawu Aleksy. Słońce grzało ich mokre od potu ciała, stapiając je w jedno i wypalając resztki nieśmiałości Michaiła. Odpowiadał na jej ruchy mocnymi posunięciami. Jej uda przylegały do jego boków, językiem drażniła jego język, kiedy on wyginał nad nią grzbiet i uderzał w jej głębinę.

Ich napięte ciała zdążyły ku kulminacji, która nadeszła bez ostrzeżenia. Jasne włosy wyprysnęły na brzuchu Aleksy, na jej udach i ramionach. Jęknęła z oczami znieruchomiałymi z rozkoszy i Michaił poczuł jej ostry, dziki zapach. Ta woń wyzwoliła wilka również w nim, czarne włosy wystąpiły mu na plecach pod zaciśniętymi dłońmi Aleksy. Zwinęła się i rozpoczęła przemianę. Jej zęby wydłużyły się w kły, a piękna twarz przybierała inną formę piękna. Michaił poddał się przemianie, nadal złączony z kobietą. Czarne włosy pokryły mu barki, ramiona, pośladki i nogi. Ich ciała wiły się pełne pożądania i bólu. Obrócili się, zajmując taką pozycję, że ciało przeistaczające się w czarnego wilka znalazło się za ciałem przekształcającym się w wilka o jasnej sierści. Na moment przed dopełnieniem się przemiany

Michaił zadrżał i jego nasienie bluznęło do ciała Aleksy. Oszołomiony odczuwaną rozkoszą, uniósł głowę do góry i zawył. Aleksa dołączyła się do jego pieśni i ich głosy połączyły się harmonijnie, rozpadając się po chwili i znowu mieszając w swoistej formie fizycznej miłości.

Michaił zsunął się z niej. Nadal czuł pożądanie, ale jego porośnięte czarnym włosom jądra były już puste. Aleksa przetoczyła się przez grzbiet w trawie, a potem podskoczyła i zaczęła biegać w kółko, kłapiąc zębami na swój własny ogon. Michaił też zaczął biegać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, położył się więc na słońcu z wywieszonym językiem. Aleksa potrafiła go nosem, przewróciła na plecy i polizała po brzuchu.

Rozkoszował się jej pieszczotami, leżąc z przymkniętymi oczami i myśląc, że taki wspaniały dzień już się nie powtórzy.

Kiedy słońce zaczęło opadać i niebo się zaróżowiło, Aleksa pochwyciła w nozdrza niesioną przez wiatr woń królika. Ruszyli za nią razem przez las na wyścigi, żeby się przekonać, kto pierwszy potrafi odnaleźć łup. Biegając przed siebie, ocierali się bokami, tak jak to robią wszyscy szczęśliwi kochankowie na Ziemi.

To były wspaniałe dni. Jesień przeszła w zimę, a nieprzerwane kontakty Michaiła z Aleksa dały rezultat w postaci jej nabrzmiałego brzucha. Dni robiły się coraz krótsze, a szron malował wzory na dworze. Wiktor się domagał, żeby Michaił poświęcał mu coraz więcej czasu. Ich lekcje osiągnęły już zaawansowany poziom i teraz obejmowały również wyższą matematykę, teorię cywilizacji, religię i filozofię. Michaił stwierdził ku swemu własnemu zdziwieniu, że jego umysł jest tak samo żądny wiedzy, jak jego ciało pragnie Aleksy. Otworzyło się przed nim dwoje drzwi: jedno do tajemnic seksu, a drugie do problemów życia. Michaił siedział spokojnie, a Wiktor zachęcał go nie tylko do myślenia, ale też do formułowania własnych opinii na temat istoty rzeczy. Podczas dyskusji o religii Wiktor postawił pytanie, na które nie było odpowiedzi: Kim jest likantrop w oczach Boga? Czy przeklętą bestią, czy owocem cudu?

Ta zima była wyjątkowa. Trwała kilka łagodnych miesięcy, podczas których nastąpiły tylko trzy śnieżyce i prawie zawsze łatwo było polować. Zima minęła i znowu przyszła wiosna. Wszyscy byli zadowoleni. Pewnego majowego dnia Renati wróciła z wieścią, że widziała w lesie dwoje ludzi jadących wozem konnym. Jej zdaniem koń nadałby się do zjedzenia i mogliby sprowadzić oboje podróżnych do pałacu. Wiktor zgodził się. Licząca teraz tylko pięcioro członków wataha potrzebowała świeżej krwi.

Zadanie zostało wykonane z wojskową precyzją. Nikita i Michaił zaczęli się po obu stronach drogi, Renati podeszła do wozu od tyłu, a Wiktor pobiegł naprzód, żeby wybrać miejsce zasadzki. Nagle, akurat kiedy wóz przejeżdżał pod gałęziami gęstych sosen, padł sygnał: potężny głos Wiktora. Nikita i Michaił natychmiast wyskoczyli z zarośli, uderzając z obydwu boków, a Renati natarła od tyłu. Wiktor też wyskoczył ze swojej kryjówki. Na jego widok koń zaczął kwiczeć i wierzgać nogami. Michaił zobaczył przerażone twarze podróżnych, ubranych w chłopskie stroje. Nikita rzucił się na chudego, brodatego mężczyznę, chwycił go zębami za przedramię i ściągnął z wozu. Michaił doskoczył, żeby ugryźć kobietę w ramię, jak pouczył go Wiktor, ale zatrzymał się z odsłoniętymi kłami i kapiącą z paszczy śliną. Przypomniawszy sobie własne cierpienie. Nie mógł znieść myśli, że mógłby zadać komuś innemu taki ból. Podróżna krzyknęła, zasłaniając twarz dłońmi. Wtedy Renati wskoczyła na wóz i zatopiła kły w ramieniu kobiety, ściągając ją na ziemię. Wiktor skoczył, atakując kark konia, i zawisł na nim, wczepiony zębami w ciało zwierzęcia. Koń rzucił się do ucieczki, ale

nie ubiegł daleko. Wiktor pokonał go, choć wyszedł z utarczki pokryty skaleczeniami i siniakami.

Mężczyzna zmarł w głębinach Białego Pałacu podczas przemiany. Kobieta przetrwała przemianę, a przynajmniej przetrwało jej ciało. Jednak jej umysł nie zniósł tego. Cały czas tkwiła zwinięta w kłębek w kącie, przyciskając się plecami do ściany, łkając i modląc się. Nikt nie potrafił nic z niej wydobyć oprócz beładnej gadaniny. Nie powiedziała nawet, jak się nazywa ani skąd jest. Dzień i noc modliła się o śmierć, aż w końcu Wiktor dał jej to, o co prosiła, i zakończył jej cierpienia. Tego dnia członkowie watahy prawie nie rozmawiali ze sobą. Michaił pobiegł daleko od Białego Pałacu, biegał tam i z powrotem, nie mogąc pozbyć się z myśli jednego słowa: potwór.

W środku lata Aleksa urodziła dziecko. Michaił patrzył na wynurzającego się z jej ciała noworodka, a kiedy Aleksa zapytała: „Czy to chłopiec, czy to chłopiec?” - Renati otarła jej czoło i odpowiedziała:

- Tak. Piękny, zdrowy syn.

Noworodek przetrwał pierwszy tydzień. Aleksa nazwała go Petyr na pamiątkę wuja, którego pamiętała z dzieciństwa. Petyr miał mocne płuca i Michaił lubił wyc, wtórując jego kwileniu. Nawet Franko, którego serce zmiękło, odkąd nauczył się chodzić na trzech łapach, był oczarowany dzieckiem, ale nikt inny, tylko sam Wiktor spędzał najwięcej czasu z noworodkiem. Wpatrywał się w niego bursztynowymi oczami, kiedy Petyr ssał sutki Aleksy. Aleksa chichotała jak dziewczynka, trzymając przy sobie dziecko, ale wszyscy wiedzieli, czego wypatruje Wiktor. Szukał na ciele niemowlęcia oznak wojny pomiędzy wilkiem a człowiekiem. Było wiadomo, że dziecko albo przetrwa ten konflikt i dwie natury zawrą zawieszenie broni, albo nie. Minał kolejny tydzień, potem miesiąc. Petyr nadal żył, nadal kwilił i ssał.

Częste wichury targały lasem. Pewnego razu wataha wyczuła w powietrzu słodkawy zapach nadchodzącej burzy. Było to tej samej nocy, kiedy przejeżdżał ostatni tego lata pociąg. Zmierzał na wschód, gdzie miał zostać aż do wiosny. Zarówno Nikita, jak i Michaił zaczęli postrzegać pociąg jak żywą istotę. Noc w noc ścigali się z nim wzdłuż torów, rozpoczynając bieg w ludzkiej postaci i zamierzając przeciąć jego ścieżkę, zanim zdąży wpaść z hukiem w otwór wschodniego tunelu. Byli obydwaj coraz szybsi, ale wydawało się, że pociąg też pędzi coraz prędeziej. Być może zmienił się maszynista, jak przypuszczał Nikita. Musiał to być ktoś, kto nie wiedział, do czego służą hamulce. Michaił też był tego zdania: pociąg zaczął wypadać z zachodniego tunelu jak demon z piekła rodem i mknął, żeby zdążyć do domu jeszcze przed nastaniem świtu. Dwukrotnie Nikita zakończył przemianę i niemalże wykonał skok, który



miał go przenieść przez snop światła z cyklopowego reflektora lokomotywy, ale akurat wtedy pociąg przyspieszał, wyrzucając z siebie obłoki czarnego dymu i deszcz iskier, i w ostatnim momencie zawodziły Nikitę nerwy. Czerwona lampa na ostatnim wagonie kołysała się, jakby się z nich naigrawając. Jej światło odbijało się w oczach Nikity, aż w końcu znikało w długim tunelu.

Michaił i Nikita czekali w ciemnościach na ostatni tego lata pociąg, ukryci pod kołyszącymi się po obu stronach wąwozu sosnami i dębami, które sprawiały, że cały świat wydawał się pełen chaotycznego ruchu. Obydwaj byli nadzy, gdyż przybiegli z Białego Pałacu w wilczej postaci. Siedzieli przy torach niedaleko otworu zachodniego tunelu i co chwila Michaił wyciągał rękę i dotykał szyn, aby sprawdzić, czy nie drżą pod kołami nadjeżdżającego pociągu.

- Spóźnia się - powiedział Nikita. - Będzie jechał szybciej niż zwykle, żeby nadrobić opóźnienie.

Michaił skinął zamyślony głową, gryząc źdźbło trawy. Uniósł wzrok, spoglądając na chmury sunące po niebie jak kawałki blachy. Dotknął ręką torów: były głuche.

- Może się zepsuł.

- Może tak - zgodził się Nikita.

- Nie, nie! To ostatni przejazd! Dojadą dzisiaj do domu, nawet gdyby mieli pchać pociąg! - Wyrwał kępkę trawy i podrzucił ją niecierpliwym ruchem w powietrze, patrząc, jak unosi ją wiatr. - Przyjedzie tu - powtórzył.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w szum drzew.

- Myślisz, że on przeżyje? - zapytał Michaił.

Wszyscy zadawali sobie ciągle w duchu to pytanie.

- Nie wiem. - Nikita wzruszył ramionami. - Wydaje się, że jest całkiem zdrowy, ale... trudno powiedzieć. - Znowu dotknął szyny. Nic. - Musisz mieć w sobie coś silnego. Coś bardzo specjalnego.

- To znaczy co? - zapytał zdziwiony Michaił. Nigdy nie myślał o sobie jak o kimś odmiennym od pozostałych członków watahy.

- No, pomyśl, ile razy ja sam próbowałem spłodzić dziecko. Albo Franko. Nawet Wiktor. Mój Boże, można by pomyśleć, że Wiktor będzie sypał nimi jak z rękawa, ale dzieci zwykle umierały po kilku dniach, a te, które przeżyły dłużej, cierpiały taki ból, że strach było na to patrzeć. A teraz popatrz na siebie: masz piętnaście lat i spłodziłeś dziecko, które przeżyło miesiąc i wygląda na zdrowe. No i pamiętaj o tym, jak sam przetrwałeś przemianę. Trzymałeś się przy życiu, kiedy już dawno wszyscy z nas postawili na tobie krzyżyk. Renati

teraz mówi, że zawsze wiedziała, że przeżyjesz, ale za każdym razem, kiedy patrzyła na ciebie, widać było, że myśli o Ogradzie. Franko zakładał się o jedzenie, że umrzesz po tygodniu, a teraz dziękuje codziennie Bogu, że nie umarłeś! - Przechylił nieco głowę, nasłuchując, czy nie jedzie pociąg. - Wiktor wie.

- Co wie?

- Wie, co ja robię. Wie, co my wszyscy robimy. Ty jesteś w pewien sposób inny. Silniejszy. Inteligentniejszy. Jak myślisz, dlaczego Wiktor spędza z tobą tyle czasu, studiując te wszystkie książki?

- Lubi uczyć.

- Och, tak ci powiedział. No to dlaczego nie chciał uczyć mnie albo Franka czy Aleksy, albo jeszcze kogoś innego? Myślał, że mamy pusto w głowach? Nie - sam odpowiedział na swoje pytanie. - Poświęca swój czas na uczenie ciebie, ponieważ uważa, że jesteś tego wart.

- A dlaczego tak myśli?

- Ponieważ ty chcesz osiąść wiedzę. - Skinął głową mimo grymasu Michaiła. - To prawda! Słyszałem, jak Wiktor o tym mówił. On wierzy, że przed tobą jest przyszłość.

- Przyszłość? Przed każdym z nas jest przyszłość, no nie?

- Nie o to mi chodzi. Przyszłość poza tym. - Zatoczył ręką szeroki gest, wskazując na las. - Poza tym, co mamy tutaj.

- To znaczy... że odejdę stąd?

- Właśnie. A przynajmniej Wiktor tak uważa. On myśli, że pewnego dnia będziesz w stanie opuścić las i poradzić sobie sam, kiedy już tam się znajdziesz.

- Sam? Bez watahy?

- Tak. - Nikita skinął głową. - Sam.

Było to tak niewiarygodne, że Michaił nie mógł o tym nawet myśleć. Jakże którykolwiek członek watahy mógłby przetrwać sam? Nie, nie. To niewyobrażalne. Wiedział, że zostanie na zawsze w lesie z watahą. Wataha była czymś wiecznym. Czyż mogło być inaczej?

- Gdybym opuścił las, to kto zająłby się Aleksą i Petyrem?

- Tego to już nie wiem, ale Aleksą ma to, na czym jej zależało: chłopca. Uśmiecha się w taki sposób... Ona nawet nie wygląda tak jak kiedyś. Wygląda na inną osobę. Aleksą nie przetrwałaby tam - wskazał ręką na zachód. - Wiktor o tym wie i Aleksą o tym wie. Spędzi tutaj resztę życia i ja też. Tak samo Wiktor, Franko i Renati. Jesteśmy dzikimi przeżytkami, no nie? - Uśmiechnął się szeroko, ale jego uśmiech nie był pozbawiony nuty smutku. - Kto

może wiedzieć, co będzie z Petyrem? - zapytał, przybierając poważniejszy wyraz twarzy. - Kto wie, czy przeżyje jeszcze tydzień albo jaki będzie jego umysł, kiedy się postarzeje. Może stanie się jak ta kobieta, co płakała cały dzień w kącie. Albo... - Zerknął na Michaiła. - Albo może być taki jak ty. Kto wie? - Nikita znowu przechylił głowę, nasłuchując. Zmrużył oczy. Przyłożył palec do szyny i Michaił zobaczył na jego twarzy nikły uśmiech. - Pociąg jedzie. Szybko. Jest opóźniony!

Michaił dotknął szyny i poczuł wibracje pochodzące od masy pędzącego w oddali pociągu. Zaczęły spadać pierwsze krople deszczu, wzniesając przy torach maleńkie obłoczki kurzu. Nikita podniósł się i przeszedł pod osłonę drzew przy otworze tunelu. Michaił poszedł za nim. Stanęli pochyleni jak gotowi do startu sprinterzy. Deszcz padał coraz mocniej i po chwili lało już jak z cebra. Na torze pojawiły się kałuże wody. Ziemia gwałtownie pokrywała się błotem. Nie podobało się to Michaiłowi. Wiedział, że nie będzie łatwo utrzymać równowagi. Odgarnął mokre włosy z oczu. Słyszeli już grzmot szybko zbliżającego się pociągu.

- Myślę, że dzisiaj nie powinniśmy biec - powiedział Michaił.

- Dlaczego nie? Z powodu takiego deszczu? - Nikita pokręcił głową, napinając gotowe do biegu ciało. - Biegałem w o wiele gorszym deszczu niż ten!

- Ziemia... Za dużo błota.

- Nie boję się - rzucił Nikita. - Och, śni mi się ta czerwona lampa na ostatnim wagonie! Mruga na mnie jak oko szatana!

Dzisiaj pokonam pociąg! Czuję to, Michaił! Zdołam to zrobić, jeśli tylko będę biegł odrobinę szybciej! Tylko troszeczkę...

Reflektor lokomotywy wynurzył się jak pocisk z tunelu, a za nim ukazała się długa czarna lokomotywa i wagony towarowe. Nowy maszynista nie bał się mokrych torów. Deszcz i wiatr chłostały twarz Michaiła. Krzyknął: „Nie!” - i wyciągnął rękę w kierunku Nikity, ale ten już wystartował. Widać tylko było białą smugę sunącą wzdłuż torów. Michaił rzucił się za nim, żeby go powstrzymać, ale deszcz i wiatr były za silne. Pośliznął się na błocie i omal nie wpadł pod pędzący pociąg. Usłyszał krople deszczu syczące na gorącym korpusie lokomotywy jak chór węży. Biegł, usiłując dogonić Nikitę. Po śladach zobaczył, że jego stopy zaczęły się już przemieniać w wilcze łapy.

Nikita biegł pochylony do przodu prawie na czterech łapach. Jego ciało już nie było białe. Deszcz przesłaniał go, wirując dokoła. Michaił stracił równowagę i upadł na twarz, ślizgając się po błocie. Krople deszczu zastukały po jego ramionach, a błoto zakleiło mu oczy. Usiłował wstać, ale znowu się przewrócił. Leżał jeszcze, kiedy pociąg wpadł z rykiem we

wschodni tunel. Zagłębił się w nim, zostawiając za sobą odbłask czerwonego światła na skale. Po chwili nawet i to zniknęło.

Michaił usiadł na ziemi, chłostany ulewą. Woda ściekała mu po twarzy.

- Nikita! - zawołał. Nie odpowiedział mu ani wilk, ani człowiek. Michaił podniósł się i zaczął brnąć przez błoto w kierunku wschodniego tunelu. - Nikita, gdzie jesteś?!

Nie było widać Nikity. Deszcz nie przestawał siec. Wirujące w powietrzu węgliki gasły z sykiem, zanim jeszcze zdążyły spaść na ziemię. Wokół unosił się zapach rozpalonego żelaza i gorącej pary.

- Nikita?!

Nie było go przy torach. „Udało mu się - pomyślał Michaił z radością. - Udało mu się! Udało...”

Coś leżało po drugiej stronie torów. Jakiś nieforemny, drżący kształt.

Nad szynami unosiła się para. Wewnątrz tunelu na torze nadal błyszczały żarzące się węgliki. Nikita leżał w chwastach osiem stóp od wlotu do tunelu.

Wilk przeskoczył przez tory, jednak pociąg zwyciężył. Jego nisko opuszczony klinowaty zderzak oderwał tylne łapy wilka. Kiedy Michaił zobaczył, co zostało z Nikity, jęknął i osunął się na kolana. Nie potrafił się opanować, zrobiło mu się niedobrze. Wzdłuż torów ciekły rozmywane przez deszcz smugi krwi.

Nikita zajęczał cichym, okropnym głosem.

Michaił uniósł twarz do góry, wystawiając ją na deszcz. Znowu usłyszał jęk zakończony skomleniem. Zmusił się, żeby popatrzeć na swego przyjaciela, i zobaczył, że Nikita patrzy na niego. Wspaniała wilcza głowa zwisała jak więdnięty kwiat. Nikita miał przyćmione oczy, ale wpatrywał się w Michaiła, przytrzymując go wzrokiem. Michaił wyczytał w nich niemą prośbę.

Zabij mnie.

Zmasakrowane ciało Nikity drżało z bólu. Usiłował odciągnąć się przednimi łapami od torów, ale nie miał w nich wcale siły. Jego głowa zakołysała się i osunęła w błoto. Z wielkim wysiłkiem Nikita uniósł łeb i jeszcze raz popatrzył błagalnie na klęczącego przy nim chłopca.

Było oczywiste, że Nikita umiera, ale śmierć nie przychodziła wystarczająco szybko. Wcale nie była szybka. Michaił pochylił głowę i wbił wzrok w błoto. Wokół niego leżały fragmenty ciała, ludzkiego ciała porośniętego wilczym włosem, jak zmasakrowane elementy wspaniałej układanki. Usłyszał znowu jęk i zacisnął powieki. Jego pamięć przywołała mu przed oczy umierającą przy torach sarnę i spoczywające na jej głowie dłonie Nikity. Pamiętał

gwałtowne szarpnięcie i trzask pękających kości, kiedy Nikita łamał kark sarny. To był po prostu akt miłosierdzia. I Nikita teraz nie prosił o nic innego.

Michaił wstał, ale zachwiał się i omal znowu nie upadł. Czuł się tak, jakby śnił, jakby unosił się w tym bezbrzeżnym morzu deszczu. Nikita drżał, wpatrując się w Michaiła. Czekał. W końcu Michaił poruszył się. Stopy uwięzły mu w błocie, ale wyrwał je i przykląkł obok przyjaciela.

Nikita uniósł głowę, poddając mu szyję.

Michaił chwycił za boki wilczej głowy. Nikita zamknął oczy, ciągle jęcząc cicho.

„Moglibyśmy go wyleczyć - myślał Michaił. - Nie muszę go zabijać. Moglibyśmy go wyleczyć. Wiktor będzie wiedział, jak to zrobić. Przecież wyleczyliśmy Franka”.

Ale w głębi serca wiedział, że rany Nikity są o wiele gorsze niż zmiądzona noga Franka. Nikita był bliski śmierci i prosił tylko o skrócenie męki. To wszystko wydarzyło się tak szybko: ulewa, pociąg, parujące tory... tak szybko, tak szybko.

Michaił zacisnął mocniej dłonie. Drżał tak samo jak Nikita. Wiedział, że musi zrobić to za pierwszym razem. Przed oczami zawirowały mu czarne plamy, krople deszczu spływały mu po powiekach. Wiedział, że musi to zrobić w miłosierny sposób.

Zmobilizował się. Nikita uniósł jedną przednią łapę i oparł ją na przedramieniu Michaiła.

- Przykro mi - wyszeptał Michaił, wciągnął głęboki oddech i szarpnął tak gwałtownie, jak tylko potrafił. Usłyszał trzask i ciało Nikity zadrgało konwulsyjnie-

Michaił zostawił zwłoki przyjaciela i odszedł, brnąc w deszczu i błocie. Ukrył się w wysokich chwastach i zwinął w kłębek, nie zważając na chłuszczącą go ulewę. Kiedy ośmielił się znowu popatrzeć na Nikitę, zobaczył nieruchomy przecięty tułów wilka z jedną ludzką ręką i dłonią. Michaił siedział w kucki, podciągnąwszy kolana pod brodę, i kołysał się, patrząc na ciało z białą ręką. Wiedział, że trzeba zabrać je z torów, zanim rankiem znajdą je ptaki. Musiało być głęboko pochowane.

„Nikita odszedł. Dokąd?” - myślał Michaił. Przypomniał sobie pytanie Wiktora: „Kim jest likantrop w oczach Boga?”

Poczuł, że coś z niego opada. Może to był ostatni kwiat młodości. To, co zostało, było jak świeża, jątrząca rana. Pomyślał, że aby przebrnąć przez życie, człowiek musi mieć serce pokryte pancerzem i napędzane rozżarzonym węglem. Wiedział, że musi wykształcić w sobie takie serce, jeżeli ma przetrwać. Czuwał przy ciele Nikity aż do momentu, kiedy przestało padać. Wiatr ustał i w lesie zapanował spokój. Michaił pobiegł do domu pod ociekającymi wodą drzewami, by zanieść Wiktorowi wiadomość.



Petyr płakał. Był środek zimy i za murami Białego Pałacu szalała wichura. Wiktor nachylał się nad siedmiomiesięcznym dzieckiem, które leżało na legowisku z siana w pobliżu niewielkiego ogniska. Niemowlę było otulone w sarnią skórę i koc, który Renati wykonała z ubrań dwojga podróżnych. Płacz Petyra przerodził się w jękliwe zawodzenie. Wiktor, w którego brodzie pokazały się białe pasma, dotknął rozpalonego czoła chłopca i spojrzał na pozostałych członków watahy.

- Zaczęło się - powiedział ponurym tonem. Aleksa wybuchnęła płaczem.

- Cicho bądź! - warknął Wiktor i kobieta zaszyła się w kącie.

- Co możemy zrobić? - zapytał Michaił, chociaż znał już odpowiedź na swoje pytanie. Brzmiała ona: „nic”. Petyr miał przejść próbę cierpienia i nikt nie mógł mu w tym pomóc.

Michaił pochylił się nad dzieckiem, poprawiając koc tylko dlatego, że musiał czymś zająć ręce. Petyr miał rozpaloną twarz, a jego lodowatoniebieskie oczy okrążone były czerwonymi obwódkami. Na głowie dziecka widniała niewielka kępka ciemnych włosów. „To oczy Aleksy - pomyślał Michaił. - Moje włosy”. W kruchym ciele dziecka rozpoczynała się pierwsza bitwa długiej wojny.

- Jest silny. Przeżyje - powiedział Franko bez przekonania w głosie. Jakże niemowlę zdołałoby przeżyć taki ból? Podniósł się na swojej jedynej nodze i podpierając sosnowym kijem, poszedł na własne legowisko.

Wiktor, Renati i Michaił spali ułożeni wokół dziecka. Aleksa wróciła i położyła się przytulona do Michaiła. Płacz Petyra narastał i słabł, jego głos stał się chrapliwy, ale nie milkł ani na chwilę. Podobnie nie ustawało zawodzenie wichru na zewnątrz.

Z upływem dni ból Petyra narastał. Wiedzieli o tym, patrząc, jak drży i wije się, zaciska pięści i wymachuje rękami, jakby chciał uderzyć powietrze. Tłoczyli się wokół niego. Petyr był gorętszy od ognia. Czasami krzyczał niemo, otwierając usta i zaciskając mocno powieki, innymi razy jego głos wypełniał komnatę. Słyszając go, Michaił czuł, jak kraje mu się serce. Aleksa płakała. Kiedy tylko wyglądało na to, że ból słabnie, usiłowała karmić dziecko surowym mięsem, które sama wcześniej przeżuwała na miękką papkę. Zjadał większość pokarmu, ale był coraz słabszy. Wiądl na ich oczach jak starzec. Jednak Petyr trzymał się życia. Kiedy jego płacz stawał się tak okropny, że Michaił myślał, iż Bóg z pewnością musi położyć kres temu cierpieniu, ból przechodził na trzy, cztery godziny. Potem wracał i krzyki rozpoczynały się znowu. Michaił wiedział, że Aleksa jest u kresu wytrzymałości. Miała puste

oczy, a dłonie trzęsły się jej tak bardzo, że z trudnością mogła trafić do własnych ust. Ona też starzała się z dnia na dzień.

Pewnej nocy, kiedy Michaił spał wyczerpany długim polowaniem, obudził go niesamowity, chrapliwy odgłos. Usiadł, aby podejść do Petyra, ale Wiktor odepchnął go, pierwszy rzucając się do dziecka.

- Co się dzieje? Co się stało? - zapytała Renati.

Franko przykuśtykał w krąg światła, podpierając się na lasce. Zszokowana Aleksa patrzyła tylko pustym wzrokiem. Wiktor ukląkł przy dziecku i pobladł. Chłopiec leżał w absolutnej ciszy.

- Połknął język! - zawołał Wiktor. - Michaił, trzymaj go, żeby się nie rzucał.

Michaił chwycił na ręce gorące jak rozżarzone węgle ciało Petyra.

- Trzymaj mocno! - krzyknął Wiktor, otwierając dziecku usta i wkładając do nich palec, żeby wyciągnąć język. Bezskutecznie. Twarz Petyra pokryła się niebieskawosinym odcieniem. Jego płuca poruszały się ciężko. Zaciskał w powietrzu maleńkie dłonie. Wiktor przesunął drugim palcem w ustach dziecka i odszukał język. Pociągnął, ale język uwiązł w gardle Petyra.

- Wyciągnij go! - krzyknęła Renati. - Wiktor, wyciągnij go! Wiktor szarpnął jeszcze raz, mocniej. Rozległ się odgłos jakby otwieranej butelki i język się uwolnił, ale twarz Petyra siniała nadal. Jego płuca przestały pracować, nie był w stanie wciągnąć w nie powietrza. Na twarzy Wiktora zabłyśły krople potu. Z jego ust buchały obłoki pary. Uniósł Petyra, przytrzymał go za stopy i klepnął mocno w plecy otwartą dłonią. Michaił skrzywił twarz w grymasie na odgłos uderzenia. Petyr nadal nie wydawał żadnego dźwięku. Wiktor mocniej klepnął go w plecy. I jeszcze raz. Rozległo się sapanie i powietrze eksplodowało z ust dziecka razem z krzykiem bólu i wściekłości, przy którym zbladły odgłosy burzy.

Aleksa wyciągnęła ręce, by wziąć dziecko. Wiktor podał jej Petyra. Zaczęła go kołysać, płacząc z radości. Podniosła jedną małą rączkę i przycisnęła ją do ust.

Nagle poderwała gwałtownie głowę, szeroko otwierając oczy: na białej skórze dziecka pokazały się ciemne włosy. Trzymane w jej ramionach ciało zaczęło się konwulsyjnie skręcać. Petyr otworzył usta i zaskomlił. Aleksa popatrzyła na Michaiła, a potem na Wiktora, który siedział w kucki, opierając podbródek na splecionych dłoniach. Przyglądał się tylko, a jego bursztynowe oczy połyskiwały w świetle ogniska.

Twarz Petyra zaczęła się zmieniać. Pokazały się początki pyska, a oczy zaczęły się cofać pod jego ciemną czupryną. Michaił usłyszał za sobą westchnienie oszołomionej Renati. Uszy Petyra wydłużyły się, a na ich krawędziach wystąpiły miękkie białe włosy. Palce dłoni i



stóp zaczęły się cofać, przeradzając w małe zakrzywione pazury. Rozległy się ciche trzaski przesuających się kości i stawów. Petyr zajęczał, ale wyglądało na to, że już nie będzie płakał. Przemiana zajęła najwyżej minutę.

- Postaw go - powiedział cicho Wiktor.

Aleksa usłuchała. Niebieskookie wilcze szczenię, z twardym ciałem pokrytym delikatnym czarnym włosom, zaczęło podnosić się na łapy. Udało mu się stanąć, ale upadło. Spróbowało jeszcze raz i znowu upadło. Michaił ruszył w jego kierunku, żeby mu pomóc, ale Wiktor go powstrzymał:

- Nie. Niech sam to zrobi.

Petyr znowu zapanował nad łapkami i udało mu się stanąć. Jego ciało drżało, a niebieskie oczy mrugały ze zdziwienia. Machał na boki krótkim ogonkiem i strzygł uszami. Dał krok przed siebie, potem jeszcze jeden, ale splątały mu się tylne łapki i znowu upadł. Poirytowany sapnął energicznie, wydmuchując z nozdrzy strumienie pary. Wiktor pochylił się nad Petyrem, wyciągnął rękę i przesunął palcem w tę i z powrotem przed jego pyskiem. Szczeniak powiódł oczami i nagle wyrzucił głowę do przodu, rozwarł szczęki i zacisnął je na palcu Wiktora.

Wiktor uwolnił się z jego zębów i uniósł dłoń do góry. Na palcu widać było kropelkę krwi.

- Gratulacje - powiedział do Michaiła i Aleksy. - Wasz syn ma nowy ząb.

Petyr przestał już się przewracać. Ruszył przed siebie, obwąchując kamienie w posadzce. Ze szpary pod jego nosem wyskoczył karaluch i rzucił się do ucieczki. Petyr szczenię zdziwionym cieniem głosem i kontynuował swą ekspedycję.

- Wróci, prawda? - zapytała Aleksa. - Wróci?

- Zobaczymy - powiedział Wiktor, zamykając tym dyskusję. Mniej więcej w pół drogi przez komnatę Petyr uderzył nosem w krawędź kamienia. Zaskomlał z bólu i poturlał się po podłodze, i wtedy jego ciało znowu zaczęło powracać do ludzkiej postaci. Delikatne czarne włosy cofnęły się w głąb, a pysk spłaszczył się, przechodząc w nos. W jednym z jego otworów widać było krew. Wilcze łapy Petyra przekształciły się w dłonie i stopy, a jego skomlenie przerodziło się w równy, głośny krzyk. Aleksa podbiegła do dziecka i wzięła je na ręce. Zaczęła kołysać synka i szczebiotać do niego, aż w końcu Petyr czknął kilka razy i przestał płakać. Znowu był niemowlęciem, człowiekiem.

- No - powiedział Wiktor po chwili milczenia. - Jeżeli nasz nowy nabytek przetrwa zimę, to będzie na co popatrzeć.

- Przeżyje - powiedziała Aleksa. W jej oczach znowu pojawił się wesoły promyk. - Już ja się o to postaram, by przeżył.

Wiktor podziwiał swój ugryziony palec.

- Ojej, wątpię, czy kiedykolwiek uda ci się go do czegoś zmusić. - Obejrzał się na Michaiła i uśmiechnął się nieznacznie. - Dobrze sobie poradziłeś, synu - powiedział i ruchem ręki wskazał Aleksie, żeby podeszła z dzieckiem w ciepły krąg ogniska.

„Powiedział «synu», - pomyślał Michaił. „Synu”. Nikt go tak nigdy przedtem nie nazywał. Coś w tym słowie brzmiało dla niego jak piękna muzyka. Pomyślał, że będzie spał tej nocy, słuchając, jak Aleksa nuci Petyrowi, i będzie śnił o wysokim, szczupłym mężczyźnie w wojskowym mundurze, stojącym obok już prawie całkiem zapomnianej kobiety. Mężczyzna ten miał rysy Wiktora.

Pod koniec zimy Petyr nadal żył. Przyjmował wszelkie jedzenie, jakie podawała mu Aleksa. Miał tendencję do przemieniania się w wilcze szczenię bez ostrzeżenia i doprowadzał resztę watahy do wściekłości swoim bezustannym ujadaniem, ale przeważnie pozostawał w ludzkiej postaci. Zanim przyszło lato, miał już prawie wszystkie zęby. Wiktor trzymał palce z dala od jego ust.

W niektóre wieczory Michaił przesiadywał na skraju wąwozu i patrzył na przejeżdżający pociąg. Zaczął odliczać sekundy pomiędzy wyjazdem pociągu z zachodniego tunelu i wjazdem do wschodniego. Rok wcześniej ścigał się z pociągiem razem z Nikitą, ale robił to bez większego przekonania. Tak naprawdę nigdy nie było dla niego ważne, jak szybko potrafi przejść przemianę. Wiedział, że jest w tym dość szybki, ale nie tak jak Nikita. Teraz jednak kości przyjaciela spoczywały w ogrodzie, a pociąg - niezwyciężony stwór - sapał, wydychając czarny dym i rozświetlając noc swym błyszczącym okiem. Michaił często zastanawiał się nad tym, co pomyśleli ludzie z obsługi pociągu, kiedy znaleźli na zderzaku krew i strzępy porośniętego czarnym włosem ciała. Jeśli w ogóle zwrócili na to uwagę, pewnie uznali, że pociąg uderzył jakieś zwierzę. Coś, co nie powinno znaleźć się na torze.

Blżej pełni lata Michaił zaczął biegać wzdłuż toru, kiedy pociąg wypadał z tunelu. Nie ścigał się z nim. Po prostu rozprostowywał nogi. Lokomotywa zawsze zostawiała go z tyłu w obłokach kwaśnego czarnego dymu, a rozżarzone węgielki parzyły mu skórę. W takie noce, kiedy pociąg zniknął już w tunelu, Michaił przechodził przez tory do miejsca, w którym umarł Nikita, i siadał w chwastach, myśląc: „Gdybym chciał, tobym tego dokonał. Dokonałbym”.

To było możliwe.

Musiałby zacząć od dobrego startu. Najtrudniejsze było utrzymanie się na nogach, kiedy wszystkie kończyny przechodziły przemianę. Kręgosłup nachylał się, wykrzywiając ciało w ten sposób, że trudno było zachować równowagę. Cały ten czas czuł ból nerwów i stawów i jeżeli potknąłby się o własne łapy, to wpadłby pod pociąg albo mógłby doznać okropnych obrażeń. Nie, nie warto było ryzykować.

Michaił zawsze odchodził od torów, mówiąc sobie, że już tam nie wróci. Wiedział jednak, że to kłamstwo. Pociągała go prędkość, wypróbowanie siebie w konkurencji z potworem, który zabił Nikitę. Biegał coraz szybciej wzdłuż torów, ale nie ścigał się z pociągiem, jeszcze nie. Nadal niezbyt dobrze potrafił zachować równowagę i przewracał się

za każdym razem, kiedy próbował w biegu przemienić się z postaci ludzkiej w wilczą. Miał problemy z synchronizacją, z utrzymaniem się na nogach do momentu, kiedy przednie kończyny były w stanie już dotknąć ziemi i biec z taką samą prędkością jak tylne. Michaił ciągle próbował i ciągle kończyło się to niepowodzeniem.

Pewnego popołudnia Renati wróciła z polowania z szokującą wiadomością: nie dalej niż pięć mil na północny zachód od Białego Pałacu ludzie zaczęli ścinać drzewa. Już wycięli polanę i budowali baraki z surowych pni oraz prowadzili przez las drogę. Mieli ze sobą wiele wozów konnych, pił i toporów. Renati powiedziała, że podpełzła blisko w swojej wilczej postaci, aby zobaczyć, jak pracują. Jeden z mężczyzn dostrzegł ją i wskazał innym, zanim zdążyła uciec z powrotem do lasu.

- Co to może znaczyć? - zapytała.

„Zakładają obozowisko dla drwali” - pomyślał Wiktor.

Powiedział wszystkim, żeby pod żadnym pozorem nie podchodzili blisko do tego miejsca ani w postaci ludzkiej, ani wilczej. Jego zdaniem prace miały trwać przez sezon letni, a potem robotnicy powinni odjechać. Najlepiej więc było nie ryzykować kontaktu z nimi.

Jednak od tego momentu - jak zauważył Michaił - Wiktor stał się milkiwy i zamyślał się nad czymś. Zabronił wszystkim polować w dzień. Był niespokojny, przechadzał się po komnacie w tę i z powrotem na długo po tym, jak wszyscy inni ułożyli się do snu.

Wkrótce wygrzewający się na słońcu członkowie watahy dosłyszeli dochodzące z oddali z wiatrem odgłosy toporów i pił niszczących las kawałek po kawałku.

I potem nadszedł ten dzień.

Franko i Renati ruszyli na polowanie, kiedy na niebie wisiał sierp księżyca, a las wypełniało cykanie świerszczy. Niewiele ponad godzinę po ich odejściu dotarł do pałacu odgłos odległych wystrzałów, który zagłuszył brzęczenie owadów i odbił się echem od ścian budowli. Michaił naliczył cztery strzały.

Wstał z legowiska, na którym spoczywał przy Aleksie. Petyr bawił się obok nich na podłodze króliczą kością. Wiktor odłożył podręcznik łaciny, z którego czytał Michaiłowi, i również wstał. Rozległy się dwa kolejne wystrzały. Michaił wzdrygnął się, przypominając sobie odgłos wystrzałów sprzed lat i to, jakie zniszczenia może spowodować kula.

Kiedy przebrzmiało echo ostatniego strzału, ich uszu dobiegło wycie. Szorstki, wystraszony głos Franka wzywał pomocy.

- Zostań z Petyrem - polecił Wiktor Aleksie, podchodząc do schodów i rozpoczynając przemianę.

Michaił ruszył za nim i po chwili dwa wilki wybiegły z pałacu i popędziły przez ciemność w kierunku, z którego dochodził głos Franka. Nie przebiegły jeszcze nawet mili, kiedy wyczuły zapach prochu i ludzi: gorzko-słodki zapach strachu. W lesie błyskały latarnie i rozlegały się głosy nawołujących się drwali. Franko zaczął skowytać wysokim tonem, naprowadzając na siebie Wiktora i Michaiła. Znaleźli go siedzącego w gęstych zaroślach na skraju urwiska, skąd widać było ustawione wokół ognia namioty.

Wiktor uderzył ciałem w bok Franka, żeby go uciszyć, i ten przewrócił się brzuchem do góry w geście uległości. W jego oczach było widać strach, nie przed Wiktorem, ale przed tym, co teraz się działo na oświetlonej przez ogień polanie.

Dwaj mężczyźni ze strzelbami przewieszonymi przez ramię ciągnęli coś z lasu ku ognisku. Oprócz nich było tam jeszcze sześciu mężczyzn uzbrojonych w pistolety albo strzelby, z latarniami w rękach. Stanęli wokół jakiegoś leżącego na ziemi kształtu, unosząc latarnie.

Michaił zauważył, że Wiktor drży. Sam czuł się tak, jakby miał płuca pełne lodowych igiełek. Na ziemi leżało ciało wilka o rdzawym futrze, przedziurawione trzema kulami. W świetle lamp krew Renati wyglądała na czarną. Wszyscy zobaczyli martwego wilka z jedną ludzką ręką i ludzką nogą.

„O Boże - pomyślał Michaił. - Teraz już wiedzą”.

Jeden z drwali zaczął się głośno modlić chrapliwym głosem i kiedy dotarł do końca modlitwy, przystawił lufę strzelby do głowy Renati i rozłupał ją jednym strzałem.

- Słyszeliśmy tych ludzi - powiedział Franko, kiedy wrócili do komnaty. Trząśł się cały, a krople potu błyszczały na jego skórze. - Śmiali się i rozmawiali przy ognisku. Robili tyle hałasu, że trzeba by być głuchym, żeby ich nie usłyszeć.

- Byliście głupi, żeście tam poszli! - krzyknął Wiktor, rozsiewając z ust kropelki śliny.  
- Do cholery! Zabili Renati!

- Chciała podejść bliżej - ciągnął Franko, jakby go nie słysząc. - Próbowałem ją zawrócić, ale... Ona chciała ich zobaczyć. Chciała podejść blisko i posłuchać, co mówią. - Potrząsnął głową, jakby próbował wydobyć się z szoku. - Staliśmy na krawędzi polany... tak blisko, że słyszeliśmy bicie ich serc, i myślę, że coś w nich ją zahipnotyzowało. Tak jakby zobaczyła istoty z innego świata. Nawet kiedy jeden z tych ludzi podniósł głowę i zobaczył ją, to i tak się nie ruszyła. Myślę... że przez chwilę... zapomniała, że jest wilkiem.

- Odjadą teraz, prawda? - zapytała Aleksa z nadzieją w głosie, trzymając na rękach wierzące się dziecko. - Odjadą z powrotem tam, skąd przyjechali. - Nikt jej nie odpowiedział.  
- Prawda?

- Ha! - Wiktor splunął w ogień. - Kto wie, co oni zrobią? Ludzie są szaleni! - Otarł usta grzbietem dłoni. - Może odjadą. Może widok Renati wystraszył ich i już się pakują. Do cholery, wiedzą o nas! Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż wystraszony Rosjanin z karabinem! - Rzucił szybko okiem na Michaiła, a potem na dziecko w ramionach Aleksy. - Może odjadą, ale ja na to nie liczę. Od tej chwili będziemy bez przerwy utrzymywali posterunek obserwacyjny na wieży. Ja pójdę pierwszy. Michaił, zmienisz mnie? - Michaił skinął głową. - Będziemy musieli podzielić dyżury na sześciogodzinne zmiany - kontynuował Wiktor. Rozejrzał się, patrząc na Aleksę, Petyra, Franka i Michaiła. Już tylko oni zostali z całej watahy. Nie musiał nic mówić. Jego twarz wyrażała wszystko i Michaił potrafił to odczytać: wataha wymierała. Wiktor ogarnął wzrokiem komnatę, jakby poszukując tych utraconych. - Renati nie żyje - szepnął i Michaił zobaczył w jego oczach łzy. - Kochałem ją - powiedział Wiktor. - Otulił się peleryną, obrócił gwałtownie i wszedł po schodach na górę.

Minęły trzy dni. Odgłosy pracujących pił i toporów ustały. Czwartego dnia po śmierci Renati Wiktor i Michaił podkradli się do urwiska, z którego rozciągał się widok na obóz. Namioty zniknęły, a po ognisku zostały tylko popioły. Odór ludzi też zniknął. Wiktor i Michaił ruszyli na północny zachód, podążając ścieżką wytyczoną przez ścięte pnie drzew, i dotarli do głównego obozowiska drwali. Ono również było opustoszałe. Baraki stały puste, odjechały też wozy. Ale droga, którą wycięto w lesie, pozostała jak brązowa rana zadana ziemi. Nie było ani śladu zwłok Renati: ludzie zabrali je ze sobą. Co się stanie, kiedy oczy innych zobaczą ciało wilka z ludzką ręką i nogą? Wycięta droga zmierzała wprost do Białego Pałacu. Z gardła Wiktora dobył się głuchy jęk. Michaił rozumiał, co to znaczy: Boże, dopomóż nam.

Mijało lato wypełnione ciągiem upalnych dni. Drwale nie wrócili i żadne wozy nie złobiły już kolein na leśnej drodze. Michaił znowu zaczął wracać do wąwozu nocami i patrzeć na przejeżdżający pociąg. Wydawało mu się, że maszynista prowadzi jeszcze szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Michaił przypuszczał, że mógł słyszeć o zabiciu Renati albo też jakąś z narosłych wokół tego wydarzenia opowieści o zamieszkujących las potworach.

Ścigał się kilka razy z pociągiem, zawsze zwalniając, kiedy jego ciało rozpoczynało przemianę i kiedy miał problemy z utrzymaniem równowagi. Stalowe koła syczały na niego i zostawiały go za sobą.

Lato skończyło się i las pokryły złote i czerwone barwy. Promienie słońca padały ukośnie na ziemię, a poranne mgły były coraz zimniejsze i coraz dłużej utrzymywały się w powietrzu. Wtedy nadeszli żołnierze.

Przybyli wraz z pierwszym przymrozkiem. Było ich dwudziestu dwóch. Przyjechali na konnych wozach. Przyczajeni w zaroślach Wiktor i Michaił obserwowali ich, jak zakładają obóz w miejscu, gdzie stały baraki drwali. Wszyscy żołnierze mieli karabiny, a niektórzy też pistolety. Na jednym z wypełnionych sprzętem wozów stały skrzynie oznaczone napisami: NIEBEZPIECZEŃSTWO! MATERIAŁY WYBUCHOWE! i masywny karabin maszynowy na kółkach. Dowodzący oficer od razu ustawił warty wokół obozu i żołnierze zaczęli kopać doły i umieszczać w nich zaciosane ostro do góry drewniane pale. Rozwinęli siatki i zawiesili je na drzewach, rozpinając na wszystkie strony wyzwalające odciały. Oczywiście zostawili na pułapkach swój zapach, łatwo więc było uniknąć tych siatek i drutów. Potem połowa żołnierzy wzięła dwa wozy i pojechała wyciętą przez drwali drogą do dawnego obozowiska. Tam ustawili swoje namioty, wykopali kolejne doły i zawiesili jeszcze więcej sieci. Wzięli ze sobą skrzynię z materiałami wybuchowymi i ciężki karabin maszynowy. Kiedy strzelali z niego na próbę, rozlegał się taki odgłos, jakby miał nadejść koniec świata, a pociski ścinały małe sosenki, jakby raził je naraz tuzin toporów.

- To ciężki karabin maszynowy - powiedział Wiktor, kiedy wrócili do pałacu. - Przywieźli ze sobą karabin maszynowy! Żeby nas zabić! - Wstrząśnięty pokręcił głową, kołysząc białą brodą. - Boże, muszą myśleć, że są nas tutaj setki!

- Moim zdaniem trzeba się stąd wynosić, dopóki tylko się da - przynaglił Franko. - Już teraz, zanim te sukinsyny zaczną na nas polować!

- A dokąd pójdziemy na zimę? Może mamy wykopać jamy i mieszkać w nich? Nie przetrwalibyśmy bez dachu nad głową!

- Nie przetrwamy tu, gdzie jesteśmy teraz! Zaczną przeszukiwać las i prędzej czy później nas znajdą.

- Więc co mamy zrobić? - zapytał cicho Wiktor. Blask ogniska odbijał się od jego twarzy. - Iść do żołnierzy i powiedzieć im, że nie trzeba nas się bać, że jesteśmy ludźmi tak jak oni? - Uśmiechnął się gorzko. - Idź pierwszy, Franko. Zobaczymy, jak cię potraktują.

Franko skrzywił się i odszedł, podpierając się laską. Był o wiele sprawniejszy na trzech nogach niż na jednej. Wiktor siadł i zatopił się w myślach. Michaił rozumiał, co się dzieje w jego głowie. Oczywiście było, że o wiele trudniej będzie im polować z powodu obecności żołnierzy i rozstawionych pułapek. Franko miał rację: żołnierze ich znajdą. Michaił nie potrafił sobie wyobrazić, co mogą z nimi zrobić, kiedy ich schwytają. Spojrzał na Aleksę, która tuliła do siebie dziecko. „Albo nas zabiją, albo wsadzą do klatek” - pomyślał. Wolał śmierć od zamknięcia za kratami.

- Te sukinsyny już wypędziły mnie z jednego domu - powiedział Wiktor. - Nie wypędzą mnie z drugiego. Zostanę tutaj bez względu na wszystko. - Wstał, pewien już swej decyzji. - Wszyscy pozostali mogą sobie poszukać jakiegoś innego miejsca, jeżeli chcą. Może moglibyście ukryć się w tych jaskiniach, w których polowaliśmy na berserkera, ale niech mnie szlag trafi, jeżeli mam się kulić i trząść w jaskini jak zwierzę. Nie. Tu jest mój dom.

Zapadła cisza. Dopiero Aleksa przerwała ją pełnym złudnej nadziei głosem.

- Może zmęczą się poszukiwaniami i odjadą. Nie zostaną tu zbyt długo. Już prawie zima. Odjadą, kiedy spadnie pierwszy śnieg.

- Tak! - poparł ją Franko. - Nie zostaną, kiedy zrobi się zimno. To pewne!

Po raz pierwszy wataha tęskniła za lodowatym podmuchem zimy. Jedna porządna śnieżycza przepędziłaby żołnierzy. Ale choć powietrze się oziębiło, niebo ciągle było czyste. Suche liście spadały z drzew, a Michaił i Wiktor nadal obserwowali żołnierzy z zarośli, kiedy ci przemierzali las w zwartych grupkach, z gotowymi do strzału karabinami. Pewnego razu kilku z nich dotarło nie dalej niż sto jardów od Białego Pałacu. Kopali kolejne doły i szpikowali ich dna ostrymi palami, a potem nakrywali je, maskując ziemią i liśćmi.

- Wilcze doły - powiedział Wiktor Michaiłowi.

Pułapki były niegroźne, ale pewnego okropnego dnia Michaił i Wiktor patrzyli w przerażeniu na żołnierzy, którzy natrafili przypadkiem na Ogród. Zaczęli kopać rękami i bagnietami, rozgrzebując groby, które zostały przywrócone do porządku po śmierci berserkera. Ujrawszy, jak ręce żołnierzy wydobywają z ziemi wilcze i ludzkie kości, Michaił opuścił głowę i odwrócił się, nie mogąc znieść tego widoku.

Śnieg przyprószył las. Północny wiatr zapowiadał zmianę pogody, ale żołnierze nie odjeżdżali.

Minął październik. Niebo pociemniało ciężkie od chmur. Pewnego ranka, kiedy Michaił wracał z polowania, niosąc w zębach królika, zobaczył wrogów nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od Białego Pałacu.

Było ich dwóch. Obydwaj mieli ze sobą karabiny. Michaił wskoczył w zarośla i przywarł do ziemi, patrząc na zbliżających się żołnierzy. Rozmawiali ze sobą, coś o Moskwie. W ich głosach słychać było strach, a palce trzymali na spuście.

Michaił wypuścił królika z zębów. „Proszę, zatrzymajcie się - błagał w myślach. - Proszę, zawróćcie. Proszę...”

Ale oni nie zatrzymywali się. Ich buty miażdżyły ściółkę i z każdym krokiem przybliżali się coraz bardziej do Wiktora, Franka, Aleksy i dziecka. Michaił naprężył mięśnie, czując łomot serca.



„Proszę, zawróćcie”.

Żołnierze zatrzymali się. Jeden z nich zapalił papierosa, osłaniając dłońmi płonąca zapalkę.

- Zaszliśmy za daleko - powiedział do swojego kolegi. - Lepiej wracajmy, bo jak nie, to Nowikow obedrze nas ze skóry.

- Ten sukinsyn zwariował - stwierdził drugi żołnierz, podpierając się karabinem. - Moim zdaniem trzeba podpalić cały ten przeklęty las i skończyć z tym raz na zawsze.

- Po jaką cholere on chce, żebyśmy zakładali tutaj nowe obozowisko? - Rozejrzał się z wyrazem takiego przerażenia i zdziwienia na twarzy, że Michaił zrozumiał, iż żołnierz pochodzi z miasta. - Spalić ten cały las do samej ziemi i wracać do domu. Ot, takie jest moje zdanie.

Pierwszy żołnierz wydmuchnął nosem obłoki dymu.

- Właśnie dlatego nie jesteśmy oficerami, Stiepan - powiedział. - Jesteśmy za inteligentni, żeby dostać gwiazdki. Mówię ci, jak będę musiał kopać następny cholerny dół, to powiem

Nowikowowi, gdzie może sobie wsadzić swoje... - przerwał, wydychając dym, i rozejrzał się po drzewach. - Co to? - zapytał ściszym głosem.

- Co? - Stiepan też się rozejrzał.

- Tam. - Żołnierz dał dwa kroki do przodu i wskazał przed siebie. - O tam! Widzisz? Michaił przymknął oczy.

- To jakiś budynek - powiedział pierwszy żołnierz. - Widzisz? Ma wieżę.

- O Boże! Masz rację! - stwierdził Stiepan. Od razu uniósł broń i odbezpieczył ją.

Słyszac szczęk metalu, Michaił otworzył oczy. Obydwaj żołnierze stali najwyżej piętnaście stóp od niego.

- Lepiej powiedzmy o tym Nowikowowi - zdecydował Stiepan. - Za cholere nie podejść do tego bliżej. - Odwrócił się i w pośpiechu zaczął odchodzić.

Pierwszy żołnierz upuścił niedopałek papierosa i podążył za kolegą.

Michaił podniósł się z ziemi. Nie mógł pozwolić, żeby wrócili do swojego obozu. Nie mógł. Nie wolno mu było do tego dopuścić. Pomyślał o kościach wrywanych z Ogrodu jak kruche korzenie, o rozłupanej na kawałki głowie Renati, o tym, co ci ludzie zrobią z Aleksą i Petyrem, kiedy już wrócą z karabinami i materiałami wybuchowymi.

Michaił cicho warknął, czując narastającą w nim wściekłość. Żołnierze przedzierali się przez las niemal biegiem. Z pyskiem poplamionym krwią królika Michaił rzucił się za nimi jak czarna strzała. Biegł cicho, z wdziękiem mordercy. Mimo to, kiedy był już blisko

żołnierzy i wybierał właściwy moment do skoku, ciągle pamiętał o jednym: łyż wilka nie różnią się od łyż człowieka.

Wyskoczył do przodu, odbijając się od ziemi pracującymi jak stalowe sprężyny tylnymi łapami, i wylądował na plecach palącego papierosa żołnierza, zanim ten cokolwiek zdążył zauważyć.

Obalił go na pokrywające ziemię suche liście i zacisnął zęby na jego karku. Szarpnął nim gwałtownie w lewo i prawo, usłyszał odgłos pękających kości. Żołnierz rzucił się, ale były to tylko śmiertelne konwulsje nerwów i mięśni. Michaił złamał mu kark do końca i żołnierz zginął, zanim zdążył wydać głos.

Wilk usłyszał jęk przerażenia. Podniósł głowę i swymi błyszczącymi zielonymi oczami zobaczył unoszącego broń Stiepana. Palec żołnierza zaciskał się na spuście. Ułamek sekundy przedtem pocisk opuścił lufę karabinu, Michaił uskoczył na bok w zarośla i ołowiana kula uderzyła w poszycie, wzbijając resztki liści i ziemi. Rozległ się drugi strzał i kula przeleciała nad ramieniem Michaiła, trafiając w pień dębu. Wilk rzucił się w lewo i w prawo i zarył gwałtownie łapami w warstwę suchych liści. Żołnierz uciekał, wołając o pomoc, a Michaił rzucił się za nim jak bezgłośny anioł śmierci.

Żołnierz potknął się o własne nogi, poderwał się i biegł dalej.

- Pomocy, pomocy! - zawołał i obrócił się, oddając strzał w kierunku istoty, która - jak sądził - biegnie za nim. Michaił jednak zataczał łuk, żeby odciąć go od obozu. Żołnierz nadal biegł i krzyczał, kiedy wilk wyskoczył za nim z zarośli. Już sprężył się do skoku, lecz nagle zauważył, że nie musi już tracić swej energii.

Ziemia otworzyła się pod stopami żołnierza, a on sam wpadł w dół, przebijając maskującą okrywą z ziemi i liści. Krzyk żołnierza zakończył się charkotem. Michaił stanął ostrożnie na krawędzi dołu i spojrzał na dno. Ciało żołnierza drgało przebite siedmioma czy ośmioma palami. Podniecony intensywnym zapachem krwi i własną wściekłością, Michaił zaczął kręcić się w kółko za własnym ogonem, kłapiąc zębami.

Po chwili usłyszał krzyki nadbiegających kolejnych żołnierzy. Obrócił się i popędził do miejsca, gdzie leżało ciało pierwszego żołnierza. Chwycił je zębami za szyję i zaczął ciągnąć w zarośla. Ciało było ciężkie i tkanka rozrywała mu się w zębach. Kątem oka zobaczył biały błysk: to Wiktor podbiegł do niego i zaczął pomagać mu wciągać ciało w ciemny kąt pod gęstą kępą sosen. Kłapnął zębami w kierunku Michaiła, dając mu znak, żeby się wycofać. Ten zawahał się, ale Wiktor uderzył go ciałem w bok, więc usłuchał. Stary wilk przypadł do ziemi, nasłuchując odgłosów żołnierzy. Było ich ośmiu. Czterech z nich

wydobywało z dołu ciało martwego kolegi, a czterech pozostałych zaczęło przepatrywać las, trzymając gotowe do strzału karabiny.

Potwory nadeszły. Wiktor zawsze wiedział, że któregoś dnia to nastąpi. Potwory nadeszły i było wiadomo, że nie zrezygnują, zanim nie zdobędą krwawego łupu.

Wiktor podniósł się i jak duch pobiegł do Białego Pałacu, z nozdrzami pełnymi nienawistnego odoru.

Czyjaś ręka potrząsnęła Michaiła za ramię, wyrywając go z niespokojnego snu po zaledwie dwóch godzinach. Czyjś palec zamknął mu usta.

- Cicho - powiedział Wiktor, kucając przy nim. - Słuchaj. - Obejrzał się na Alekse, która też już się obudziła i teraz przytuliła do siebie Petyra, a potem znowu spojrzała na Michaiła.

- Co to? Co się dzieje? - Franko wstał, podpierając się kijem.

- Żołnierze nadchodzą - odpowiedział Wiktor. Twarz Franka zbliała. - Widziałem ich z wieży. Piętnastu albo szesnastu, może więcej. - Zobaczył ich w niebieskawej poświacie przed wschodem słońca, jak przemykali się od drzewa do drzewa, myśląc, że są niewidocznymi. Usłyszał pisk kół: ciągnęli ze sobą ciężki karabin maszynowy.

- I co zrobimy? - W głosie Franka słychać było panikę. - Musimy się wynosić, kiedy jeszcze można!

Wiktor popatrzył na płonące ognisko i powoli skinął głową.

- Dobrze - powiedział. - Pójdziemy.

- Pójdziemy? - zapytał Michaił. - Dokąd? To jest nasz dom!

- Zapomnij o tym! - rzekł Franko. - Nie będziemy mieli żadnych szans, jeżeli nas tutaj złapią.

- On ma rację - zgodził się Wiktor. - Ukryjemy się w lesie. Może będziemy mogli wrócić, kiedy żołnierze się wyniosą. - Słychać było w jego głosie, że wcale w to nie wierzy. Gdyby żołnierze znaleźli ich schronienie, to mogliby sami się tam wprowadzić, żeby się ukryć przed pierwszymi śnieżycami. Wiktor podniósł się. - Nie możemy tu już zostać.

Franko nie wahał się. Odrzucił kij i od razu na skórze zaczęły mu się pokazywać szare włosy. Po minucie stał już na trzech łapach. Michaił poszedłby w jego ślady, ale Petyr nadal był w ludzkiej postaci, więc Aleksa też nie mogła się przemienić. Postanowił zatem zostać w ludzkiej postaci. Twarz Wiktora i czaszka zaczęły się przemieniać. Zrzucił pelerynę i gładkie białe włosy zaczęły występować mu na piersiach, ramionach i plecach. Franko już wchodził po schodach. Michaił chwycił rękę Aleksy i pociągnął ją razem z dzieckiem za sobą.

Wiktor, całkiem już przemieniony, prowadził. Szli za nim przez kręte korytarze, mijając wysokie łukowate okna, przez które wdzierały się konary drzew i za którymi malowało się nagle jaśniejące poranne niebo. Nie pojaśniało jednak od słońca, które nadal znaczyło się tylko czerwoną smugą nad horyzontem, ale od błyszczącej, syczącej kuli białego

ognia, która wzniosła się nad lasem i opadała, oblewając wszystko jaskrawym, mieniącym się światłem. Ognista kula wylądowała na dziedzińcu pałacu, a dwie kolejne wleciały nad las i spadły śladem pierwszej. Czwarta rozbiła resztkę witraża w jednym z okien i wdarła się do wnętrza pałacu, pryskając ogniem i błyszcząc jak miniaturowe słońce.

Wiktor szczechnął na pozostałych, nie pozwalając im się zatrzymywać. Michaił uniósł rękę, żeby osłonić oczy przed oślepiającym blaskiem, drugą ręką obejmując Aleksę. Franko biegł na trzech łapach tuż za Wiktorem. Na zewnątrz ciemność przeistoczyła się w sztuczną, zimną jasność. Podążając przez korytarze na swych niezdarnych ludzkich nogach, Michaił miał wrażenie, że śni. Jaskrawe światło rzucało groteskowe, zniekształcone cienie na ściany, stapiając w nowe kształty cienie ludzi i wilków.

Ogarniające Michaiła poczucie nierzeczywistości nie opuściło go nawet wtedy, kiedy żołnierz - pozbawiony twarzy kształt - ukazał się przed nimi w korytarzu, uniósł karabin i oddał strzał. Wiktor już rzucał się na niego, ale jęknął nagle i Michaił zrozumiał, że kula dosięgła celu. Wiktor przewrócił żołnierza swą masą i uciszył jego krzyk, rozrywając mu gardło jednym szarpnięciem.

- Tu są! Tu są! - krzyknął kolejny wojskowy. - Jest tu ich z dziesięć!

Żołnierskie buty załomotały po kamiennych posadzkach. Wypalił drugi karabin i kula, krzesząc iskry, uderzyła w ścianę tuż nad głową Franka. Wiktor okrzyknął się, zderzając się z Frankiem, żeby ich zawrócić. W korytarzu przed sobą Michaił dostrzegł ośmiu czy dziewięciu żołnierzy. Ucieczka tą drogą była niemożliwa. Wiktor szczechał szorstkim z bólu głosem, żołnierze krzyczeli, a Petyr zawodził w ramionach Aleksy. Rozległy się jeszcze dwa strzały i obydwie kule odbiły się rykoszetem od ścian. Michaił odwrócił się i rzucił biegiem przed siebie, pociągając Aleksę. Wybiegł zza zakrętu korytarza i zatrzymał się, stając twarzą w twarz z trzema żołnierzami.

Zamarli bez ruchu, zaskoczeni widokiem człowieka. Jednak pierwszy żołnierz otrząsnął się i wycelował lufę karabinu w pierś Michaiła.

Michaił usłyszał swoje własne warczenie. Wyrzucił przed siebie błyskawicznie rękę, chwycił za lufę karabinu i uniósł ją, zanim karabin wypalił. Poczucił gorące muśnięcie kuli ocierającej się o jego ramię. Wyrzucił przed siebie drugą rękę i dopiero gdy zatopił zakrzywione szpony w oczach żołnierza, zauważył, że jego dłoń się przemieniła.

To był cud dominacji ducha nad ciałem. Wydrapał żołnierzowi oczy, a ten z krzykiem cofnął się do swoich kolegów. Drugi uciekł wołając o pomoc, ale trzeci w panice, nie celując, zaczął strzelać z karabinu. Kule odbijały się od ścian i sklepienia. Jakiś kształt o trzech łapach przeleciał koło Michaiła i zarył głową w brzuch żołnierza. Mężczyzna usiłował obronić się

przed Frankiem, ale ten miał uszkodzone tylko łapy, nie zęby. Rozerwał żołnierzowi twarz i chwycił go za gardło. Michaił klęczał, wyginając ciało. Strząsnął z siebie pelerynę i poddał się przemianie.

Błysnął metal. Żołnierz zamachnął się i wbił nóż w kark Franka. Wilk zadygotał, ale nie rozluźnił uścisku na gardle żołnierza. Żołnierz wyciągnął nóż i uderzył jeszcze raz, i jeszcze raz. Franko szarpnął zębami i zmiażdżył mu tchawicę. Nóż tkwił aż po rękojeść w karku wilka. Z nozdrzy wytryskiwały mu krwawe drobinki.

Wśród dymu ukazali się dwaj kolejni żołnierze. Lufy ich karabinów pluły ogniem. Coś jak uderzenie młota trafiło Michaiła w bok, pozbawiając go tchu. Kolejna kula rozerwała mu ucho. Franko zawył trafiony, ale rzucił się przed siebie z nadal tkwiącym w szyi nożem i zatopił kły w nodze jednego z żołnierzy. Drugi strzelił do niego z bezpośredniej odległości, ale Franko nadal gryzł jak szalony. Z dymu wyskoczył nagle Wiktor z barkiem ociekającym ciemną krwią i wpadł na żołnierza, obalając go na ziemię. Michaił był już całkiem przemieniony. Zapach krwi i walka rozпалиły w nim szaf. Skoczył na żołnierza, którego zaatakował Franko, i we dwóch szybko dali sobie z nim radę. Potem rzucił się w bok na pomoc Wiktorowi. Chwycił żołnierza za gardło i rozerwał je.

- Michaił - usłyszał za sobą cichy jęk.

Obrócił się i zobaczył klęczącą Aleksę. Trzymała w ramionach piszczącego Petyra. Miała nieruchome oczy, a z kącika jej ust ciekł cienki czerwony strumyczek. Na ziemi wokół jej kolan stała kałuża krwi.

- Michaił - szepnęła, podając mu dziecko.

Nie mógł wziąć Petyra. Potrzebował do tego dłoni, nie wilczych łap.

- Proszę - szepnęła.

Ale Michaił nie mógł jej nawet odpowiedzieć. Wilczy język nie potrafi wymawiać ludzkich słów wyrażających miłość, prośbę czy smutek.

Lodowatoniebieskie oczy Aleksy wywróciły się. Zaczęła upadać na twarz, nadal trzymając dziecko, i Michaił uświadomił sobie, że czaszka Petyra zaraz pęknie, gdy uderzy o kamienie.

Skoczył nad zwłokami żołnierza i wsunął się pod dziecko, łagodząc swym ciałem jego upadek.

Usłyszał kolejnych wojskowych zbliżających się przez wypełniony dymem korytarz. Wiktor szczebkał, ponaglając go, aby szedł za nim. Michaił nie ruszał się z miejsca oszołomiony, jakby mu zastygły stawy i mięśnie.

Wiktor chwycił w zęby ranne ucho Michaiła i pociągnął go za nie. Żołnierze byli już prawie przy nich. Wiktor słyszał pisk kótek, na których toczyli karabin maszynowy.

Franko podpełził do przodu, chwycił Michaiła zębami za ogon i szarpnął do tyłu, omal mu go nie odrywając. Ból przeniknął mu całe ciało. Petyr nadal zawodził, żołnierze przybliżali się ze swoją śmiertcioną bronią, a Aleksa leżała bez ruchu na kamieniach. Wiktor i Franko szarpali Michaiła, ponaglając go, żeby wstał. Już nic nie mógł zrobić ani dla Aleksy, ani dla swojego syna. Uniósł głowę i kłapał zębami w kierunku Wiktora, aż ten się cofnął, i wyśliznął się ostrożnie spod Petyra, tak że dziecko zsunęło się łagodnie na podłogę. Wstał, czując w paszczy gorzki smak krwi.

Przez dym widać było sylwetki żołnierzy. Rozległ się szcęk metalu: odgłos odciąganego rygla.

Franko uniósł z trudnością głowę i zawył. Nóż nadal tkwił mu w karku. Odgłos wycia odbił się echem w korytarzu, zatrzymując palec żołnierza tuż przy spuście karabinu. Franko, kuśtykając, ruszył na żołnierzy. Napiął ciało do skoku i rzucił się w dym, otwierając szeroko paszczę, żeby zatopić zęby w jakiegokolwiek ludzkie ciało. Rozległ się klekot karabinu maszynowego i kule przecięły Franka na pół. Wiktor obrócił się w przeciwnym kierunku i rzucił korytarzem, przeskakując przez ciała żołnierzy. Karabin maszynowy nadal klekotał, a kule odbijały się od ściany jak szerszenie. Michaił zobaczył, jak ciało Aleksy porusza się uderzone kolejną kulą. Następny pocisk odbił się z piskiem od kamieni obok Petyra. Michaił miał do wyboru albo zginąć na miejscu, albo próbować wydostać się stamtąd. Obrócił się i pognął za siwym wilkiem.

Kiedy odbiegł na pewien dystans, usłyszał, że karabin maszynowy przestaje strzelać. Petyr nadal płakał. Jeden z żołnierzy krzyknął:

- Wstrzymać ogień! Tu jest dziecko!

Michaił nie zatrzymywał się. Los Petyra, jakkolwiek miał być, nie zależał już od niego. Ale karabin maszynowy przestał strzelać, nie padł też strzał z innej broni. Może mimo wszystko w sercach rosyjskich żołnierzy obudziła się litość? Michaił nie oglądał się. Biegł przed siebie tuż za Wiktorem, przestając już myśleć o terażniejszości, a zwracając się ku przyszłości.

Wiktor znalazł prowadzącą do góry wąską klatkę schodową i wbiegł po niej, pozostawiając za sobą na kamieniach krople krwi. Michaił znaczył za sobą swój własny czerwony szlak. Przedostali się przez pozbawione szyb okno na wyższym piętrze, zsunęli po pochyłym dachu i wpadli w zarośla. Pobiegli ramię w ramię przez las i kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od pałacu, stanęli, dysząc w mroźnym powietrzu. Suche liście pod ich

łapami zaczęły się pokrywać plamami krwi. Wiktor zagrzebał się w liście i leżał na wpół zakryty, rżąc z bólu. Michaił krążył w kółko, aż osunął się bez sił. Zaczął lizać ranny bok, ale nie wyczuł kuli. Pocisk przebił ciało i przedostał się na drugą stronę, omijając żebra i organy wewnętrzne. Mimo to Michaił tracił dużo krwi. Wczołgał się pod osłonę sosny i zemdlął.

Kiedy się ocknął, silny wiatr targał wierzchołkami drzew. Dzień chylił się ku końcowi. Słońce już prawie zaszło. Zobaczył siwego wilka zagrzebanego w liście. Wstał, podszedł chwiejnym krokiem do Wiktora i trącił go nosem. Pomyślał przez chwilę, że nie żyje, ponieważ był tak okropnie nieruchomy, ale Wiktor jęknął i podniósł się. Wokół warg miał zaschniętą krew i patrzył tępo przed siebie pustym wzrokiem.

Głód ścisnął Michaiłowi żołądek, ale był zbyt wyczerpany, żeby polować. Podreptał w jedną, a potem w drugą stronę, nie mogąc się zdecydować, co powinien robić. Stał więc w miejscu, opuściwszy głowę. Bok znowu miał mokry od krwi.

Z daleka doszedł głuchy, grzmiący odgłos. Michaił postawił uszy. Dźwięk powtórzył się. Zauważył, że dochodzi z południowego wschodu, od strony Białego Pałacu.

Wiktor ruszył przez las i wszedł na niewielki skalisty grzbiet. Stał bez ruchu i zapatrzył się na coś. Po pewnym czasie Michaił zebrał w sobie siły, wdrapał się na skałę i stanął obok niego.

W oddali unosił się targany przez wiatr słup czarnego dymu, pośród którego błyszczały czerwone płomienie. Po chwili rozległa się trzecia eksplozja. Zobaczyli lecące w górę kamienie i od razu obydwaj zrozumieli, co się dzieje: żołnierze wysadzali w powietrze Biały Pałac.

Dwie następne eksplozje posłały w ciemniejące niebo snopy ognia. Michaił zobaczył, jak wieża, na której kiedyś dawno temu zawisł jego latawiec, przechyliła się i upada. Po chwili nastąpił kolejny, jeszcze silniejszy wybuch. W powietrze uniosło się coś, co wyglądało jak płonące nietoperze. Porwane wiatrem zaczęło krążyć w gwałtownych wirach i po chwili do nozdrzy Wiktora i Michaiła doszedł odór bezmyślnego zniszczenia. Ogniste nietoperze, wirując, nadleciały nad las i zaczęły opadać.

Niektóre z nich przywiał do dwóch wilków. Żaden z nich nie musiał się przyglądać, żeby odgadnąć, co to jest. To były płonące stroniczki zapisane po łacinie, niemiecku i rosyjsku. Na wielu pozostały ślady kolorowych ilustracji wykonanych ręką mistrza. Przez pewien czas padał śnieg czarnych płatków - zwęglonych marzeń cywilizacji, a potem wiatr porwał je i uniósł ze sobą. Nic już po nich nie zostało.



Nad światem zapadła noc. Rozdmuchiwany przez wiatr ogień zaczął przenosić się na drzewa. Wilki stały nadal na swoim skalistym punkcie obserwacyjnym. W ich oczach odbijał się blask płomieni. Jedna para źrenic dostrzegła prawdziwą naturę bestii i nienawidziła tego widoku, druga zaś patrzyła z tępą rezygnacją, przytłoczona przez niezmierną tragedię. Płomienie skakały i tańczyły, jakby parodiując radość, a zielone sosny kurczyły się, brązowiejąc pod ich dotykiem. Michał potracił nosem Wiktora. Nadszedł czas, żeby odejść - niezależnie od tego, dokąd mieli iść - ale Wiktor się nie ruszył. Dopiero znacznie później, kiedy obydwoj poczuli nadciągający żar, wydał z siebie pierwszy dźwięk. Głęboki, okropny jęk: odgłos klęski. Michał zszedł po zboczu i szczechnął na Wiktora, żeby ruszył za nim. W końcu ten odwrócił się od płomieni i roztrzęsiony zaczął schodzić ze zwieszoną nisko głową.

„Jest jedna prawda, tak samo prawdziwa dla wilków jak i dla ludzi - myślał Michał, kiedy kluczyli przez las. - Życie jest dla żywych”. Aleksa, Franko, Nikita... i wszyscy inni odeszli. A Petyr? Czy jego kości leżały w ruinach Białego Pałacu, czy żołnierze zabrali go ze sobą? Co stałoby się z Petyrem, gdyby został sam? Michał wiedział, że prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie, i wiedział również, że może tak jest lepiej. Niespodziewanie wstrząsnęła nim myśl, że jest mordercą. Zabijał ludzi, łamał im karki i rozrywał gardła i... niech się Bóg nad nim zmiłuje... to było łatwe.

A najgorsze, że zabijając odczuwał przyjemność. Chociaż księgi legły w popiołach, to ich głosy pozostały w pamięci Michała. Teraz usłyszał jeden z nich, z „Ryszarda II” Szekspira:

*Idź wraz Z Kainem błąkać się w zamroczu,  
Nigdy w dzień światła nie pokaż twych oczu.  
Klnę się, lordowie, boleję okropnie,  
Że krew ta rosi mego szczęścia stopnie<sup>2</sup>.*

Wszedł głębiej w zarośla, a Wiktor podążył za nim. Za ich plecami nadal płonęły drzewa, wypełniając las wirami.

---

<sup>2</sup> William Szekspir: „Tragedia Ryszarda II”, przeł. Stanisław Koźmian.

Kiedy nadeszły śniegi, Michaił i Wiktor mieszkali już od ponad dziesięciu dni w jednej z tych jaskiń, w których ukrywał się berserker. Było w niej dość miejsca dla dwóch wilków, ale nie dla dwóch ludzi. Szalał coraz zimniejszy północny wiatr, przy którym powrót do ludzkiej postaci byłby równoznaczny z samobójstwem. Wiktor był jak w letargu, spał całymi dniami i nocami. Michaił polował dla obydwu, chwytając w lesie co tylko się dało.

Nastała prawdziwa zima, skuwając mrozem ziemię. Michaił zawędrował do obozowiska żołnierzy i zastał je puste. Nie było ani śladu Petyra. Śnieg zasypał koleiny wyżłobione przez koła wozów i zakrył wszelki zapach ludzi. Michaił minął obszerny teren pozostały po wypalonych drzewach i rumowisko szerniałych kamieni, gdzie kiedyś stał Biały Pałac, i powrócił do jaskini.

W pogodne noce, kiedy świecił otoczony błękitną obwódką księżyc i niebo rozjaśnione było od gwiazd, Michaił wznosił pieśń. Pieśń bólu i tęsknoty. Cała radość została w nim zabita. Wiktor nie opuszczał jaskini. Leżał zwinięty jak kula siwego futra i tylko czasami poruszał uszami, słysząc pieśń czarnego wilka, ale nie przyłączał się do niego. Głos Michaiła niósł się nad lasem, porywany przez krążący między drzewami wiatr. Nikt mu nie odpowiadał.

Przez kolejne tygodnie i miesiące Michaił czuł, że coraz bardziej oddala się od ludzkiej natury. Nie potrzebował tego białego słabego ciała. Teraz potrzebne mu były pazury i kły. Szekspir, Sokrates, wyższa matematyka, niemiecki, łacina, angielski, historia, teorie religijne - to wszystko były zagadnienia należące do innego świata. W obecnym świecie Michaiła prawdziwym problemem było przetrwanie. Niewłaściwe rozwiązanie tego problemu równało się śmierci.

Zima zaczęła ustępować. Śnieżyce przerodziły się w ulewy i w lesie ukazała się świeża zieleń. Pewnego ranka Michaił powrócił z polowania i znalazł starego nagiego mężczyznę z białą brodą, siedzącego na kupce kamieni w najwyższym punkcie nad rozpadliną. Wiktor mrużył oczy w ostrym świetle słońca. Miał pomarszczoną i bladą twarz. Przyjął należną mu porcję upolowanego piżmaka i zjadł ją na surowo. Potem obserwował słońce wznoszące się po nieboskłonie, ale w jego bursztynowych oczach nie było ani odrobiny światła. Wtem przechylił na bok głowę, jakby usłyszał jakiś znany mu dźwięk.

- Renati?! - zawołał słabym głosem. - Renati?

Michaił położył się obok niego na brzuchu na skraju urwiska, gryząc mięso i usiłując nie słyszeć drżącego głosu. Po chwili Wiktor przyłożył ręce do twarzy i zaczął płakać. Michaił poczuł drżenie serca.

Wiktor uniósł głowę z taką miną, jakby zobaczył czarnego wilka po raz pierwszy w życiu.

- Kim jesteś? - zapytał. - Czym jesteś? Michaił nie przerywał jedzenia. Wiedział, kim jest.

- Renati! - zawołał znowu Wiktor. - Ach, jesteś. - Michaił zobaczył, jak się uśmiecha, patrząc gdzieś przed siebie. - Renati, on myśli, że jest wilkiem. Myśli, że zostanie tutaj na zawsze i będzie biegał na czterech łapach. Zapomniał, czym tak naprawdę jest cud, Renati. Zapomniał, że pod tą skórą jest człowiekiem. On myśli, że zostanie tu i będzie łapał piżmaki na obiad, gdy ze mnie zostanie już tylko proch i odejdę tam, gdzie ty jesteś. - Roześmiał się krótko, zadowolony ze swego dowcipu, który opowiedział duchowi. - I pomyśleć tylko, co kładłem godzina po godzinie do jego głowy! - Niepewnymi palcami dotknął ciemnej blizny na ramieniu i nacisnął zgrubienie pozostałe od tkwiącej w mięśniach kuli. Znowu popatrzył na czarnego wilka. - Przemień się z powrotem - powiedział.

Michaił oblizywał kości piżmaka, nie zwracając na niego żadnej uwagi.

- Przemień się z powrotem - powtórzył Wiktor. - Nie jesteś wilkiem, przemień się.

Michaił chwycił w szczęki czaszkę piżmaka, rozłupał ją i wyjadł z niej mózg.

- Renati też chce, żebyś się przemienił z powrotem - powiedział mu Wiktor. - Słyszysz ją? Ona mówi do ciebie.

Michaił słyszał tylko wiatr i głos szalonego człowieka. Skończył posiłek i oblizwał łapy.

- Mój Boże - powiedział cicho Wiktor. - Prawie już całkiem zwariowałem. - Wstał i spojrzał w dół rozpadliny. - Ale jeszcze nie do tego stopnia, aby myśleć, że w istocie jestem wilkiem. Jestem człowiekiem. Ty też, Michaił. Przemień się z powrotem, proszę.

Ale Michaił nie przemieniał się. Leżał na brzuchu, patrząc na krążące nad nim wrony, i myślał o tym, że chciałby którąś ugryźć. Przeszkadzała mu woń Wiktora. Za bardzo przypominała mu wyłaniające się z półmroku postaci z karabinami w rękach.

Wiktor westchnął, opuszczając głowę, i powoli, ostrożnie zaczął schodzić po stoku. Kości trzeszczały mu w stawach. Michaił podniósł się i ruszył za nim, żeby w razie potrzeby chronić go przed upadkiem.

- Nie potrzebuję twojej pomocy! - krzyknął Wiktor. - Jestem człowiekiem, nie potrzebuję twojej pomocy!

Zeszedł niżej aż do samej jaskini. Wpełzł do niej, położył się, podciągając kolana pod brodę, i zapatrzył się nieruchomo przed siebie. Michaił przysiadł na skalnej półce przed jaskinią i wystawiając ciało na lekki wiatr, obserwował krążące jak czarne latawce wrony.

Las rozkwitał ogrzewany wiosennym słońcem. Wiktor nie powrócił do swej wilczej postaci, a Michaił nie powracał do kształtów ludzkich. Wiktor był coraz słabszy. W chłodne noce Michaił wchodził do jaskini i kładł się przy nim, ogrzewając go ciepłem własnego ciała, ale Wiktor spał niespokojnie. Bez przerwy męczyły go koszmary; zrywał się, nawołując Renati lub Nikitę albo innego członka watahy. W ciepłe dni przysiadł na skałach nad urwiskiem i wpatrywał się w przymglony zachodni horyzont.

- Powinieneś pojechać do Anglii - powiedział pewnego razu do czarnego wilka. - Właśnie, do Anglii. - Skinął głową. - W Anglii ludzie są cywilizowani. Nie zabijają dzieci. - Dreszcz targnął jego ciałem. Nawet w najcieplejsze dni było mu zimno. - Słyszysz mnie, Michaił?

Wilki uniósł głowę i popatrzył na niego, ale nie odpowiedział.

- Renati - rzucił przed siebie Wiktor - myliłem się. Żyliśmy jak wilki, ale nie byliśmy wilkami. Byliśmy ludźmi i nasze miejsce było w świecie ludzi. Myliłem się postanawiając, że zostaniemy tutaj. Myliłem się. Za każdym razem, kiedy patrzę na niego - wskazał na czarnego wilka - wiem, że się myliłem. Dla mnie już za późno. Ale nie dla niego. Mógłby odejść, gdyby chciał. Powinien odejść. - Splótł chude palce, próbując się skoncentrować. - Bałem się świata ludzi. Bałem się bólu. Ty też, Renati, prawda? Myślę, że wszyscy się baliśmy. Mogliśmy byli odejść, gdybyśmy tak postanowili. Mogliśmy byli nauczyć się przeżyć w tym dzikim świecie. - Uniósł głowę, patrząc na zachód ku niewidocznym wioskom i miastom leżącym za horyzontem. - Och, to okropny świat - dodał cicho. - Ale to tam jest miejsce Michaiła. Nie tutaj. Już nie tutaj. - Spojrzał na czarnego wilka. - Renati mówi, że musisz odejść.

Michaił nawet nie drgnął. Drzemał, wygrzewając się na słońcu, ale słyszał, co mówi Wiktor. Poruszył ogonem, odpędzając muchę.

- Nie potrzebuję cię - powiedział Wiktor z irytacją. - Myślisz, że utrzymujesz mnie przy życiu? Ha! Potrafię złapać gołymi rękami to, co sto razy wymknie się twoim zębom! Myślisz, że to jest lojalność? To głupota! Przemień się! Synu, słyszysz mnie?

Czarny wilk otworzył oczy i zaraz znowu je zamknął.

- Jesteś idiotą! - zawołał Wiktor. - Poświęcałem swój czas dla idioty. Och, Renati! Dlaczego przyniosłaś go do nas? On ma życie przed sobą, ale chce odrzucić ten cud. Myliłem się... Bardzo się myliłem. - Wstał, nadal mówiąc do siebie, i zaczął schodzić ku jaskini.

Michaił ruszył za nim, patrząc, jak Wiktor stawia stopy. Ten jak zwykle zaczął krzycheć na niego, ale Michaił zeszedł za nim do jaskini.

Mijały dni. Zbliżało się lato. Prawie codziennie Wiktor wchodził na skały i rozmawiał z Renati, a Michaił leżał w pobliżu, na wpół słuchając i na wpół drzemiąc. Pewnego dnia doleciał do nich odgłos przejeżdżającego w dali pociągu. Michaił uniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Maszynista prawdopodobnie usiłował spędzić z torów jakieś zwierzę. Może warto było odwiedzić w nocy to miejsce, żeby zobaczyć, czy pociąg coś przejechał. Znowu opuścił głowę na łapy, czując na grzbiecie gorące promienie słońca.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną lekcję, Michaił - powiedział cichym głosem Wiktor, kiedy gwizdek lokomotywy ucichł już całkiem. - Może najważniejszą lekcję. Żyj wolny! To wszystko. Żyj wolny nawet wtedy, gdy twoje ciało jest spętane. Żyj wolny! Tutaj - wskazał pobladał ręką na swą głowę. - To jest to miejsce, gdzie nikt nie jest w stanie cię zniewolić. Miejsce, którego nie ograniczają mury. Być może to jest najtrudniejsza lekcja do opanowania, Michaił. Każdy rodzaj wolności ma swą cenę, ale wolność myśli jest bezcenna. - Spojrzał pod słońce, mrużąc oczy, a Michaił podniósł głowę, patrząc na niego. W głosie Wiktora zabrzmiała jakaś inna nuta, coś ostatecznego. Michaił przestraszył się tak, jak nigdy jeszcze od tego czasu, gdy nadeszli żołnierze. - Musisz stąd odejść. Jesteś człowiekiem i twoje miejsce jest w świecie ludzi. Renati zgadza się ze mną. Jesteś tutaj dla starego człowieka, który rozmawia z duchami. - Obrócił twarz ku czarnemu wilkowi. W jego bursztynowych oczach błyszczały jakieś ogniki. - Nie chcę, żebyś tu został, Michaił. Życie czeka na ciebie. Tam. Rozumiesz?

Michaił nie poruszył się.

- Chcę, żebyś odszedł. Dzisiaj. Chcę, żebyś poszedł do tamtego świata jako człowiek. Jako żywy cud. - Podniósł się i Michaił natychmiast też wstał. - Jeżeli tam nie pójdziesz, to jaki będzie pożytek z tego, czego cię nauczyłem? - Siwe włosy wystąpiły mu na barkach, klatce piersiowej, brzuchu i ramionach. Broda przywarła do szyi, a twarz zaczęła się przemieniać. - Byłem dobrym nauczycielem, prawda? - zapytał przechodzącym w głębokie warczenie głosem. - Kocham cię, synu. Nie zawieź mnie.

Kręgosłup Wiktora się wykrzywił, a on sam stanął na czterech kończynach. Siwa sierść szybko porastała jego chude ciało. Wiktor mrugał oslepiony światłem słońca. Napiął tylne nogi i Michaił zrozumiał, co ma zamiar zrobić. Skoczył do przodu.

Siwy wilk też skoczył.

Wyleciał w powietrze, nadal się przemieniając. Skręcając się powoli w powietrzu, spadł na skały u dna rozpadliny.

Michaił chciał krzyknąć. Chciał zawołać: „Ojczy!” ale z jego paszczy wydobył się tylko wysoki, bolesny skowyt.

Wiktor nie wydał żadnego dźwięku. Michaił odwrócił wzrok, zaciskając mocno oczy, i nie zobaczył już, jak siwy wilk uderza o skały.

Podniósł się księżyc w pełni. Michaił siedział nad rozpadliną, wpatrując się w nią bez ruchu. Drżał co chwila, chociaż powietrze było rozgrzane. Próbował wznieść pieśń, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego gardła. Las stał cichy. Michaił był zupełnie sam.

Poczuł w brzuchu ukąszenia głodu - bestii, która nie zna litości. „Tory kolejowe” - pomyślał. Jego odwykły od myślenia mózg pracował powoli. Tory kolejowe. Pociąg mógł coś tego dnia przejechać. Na torach mogło być mięso.

Poszedł przez las do wąwozu. Przeniknął się w dół przez chaszczki i gęste pnącza, dotarł do torów. Na oślep zaczął je przeszukiwać, ale nigdzie nie poczuł woni krwi. Postanowił wracać do jaskini, była teraz jego domem. Miał nadzieję, że może po drodze uda mu się znaleźć mysz albo królika.

Wtedy usłyszał daleki grzmot.

Uniósł łapę, dotknął szyny i wyczuł jej drzenie. Za moment pociąg miał wypaść z zachodniego tunelu i z hukiem przelecieć przez wąwóz, znikając we wschodnim tunelu. Znowu na ostatnim wagonie miała kołysać się czerwona latarnia. Michaił wpatrywał się w miejsce, w którym zginął Nikita. W jego umyśle pojawiły się duchy. Słyszał, jak mówią do niego. Jeden z nich wyszeptał: „Nie zawieź mnie”.

I nagle pomyślał o tym. Tym razem potrafi pokonać pociąg. Jeżeli tylko naprawdę zechce. Może pokonać pociąg, zaczynając wyścig w postaci wilczej i kończąc jako człowiek.

A jeżeli nie byłby wystarczająco szybki... cóż, jakie to miałyby znaczenie? Był w lesie pełnym duchów, więc dlaczego nie miałyby się do nich przyłączyć i śpiewać nowych pieśni?

Pociąg nadjeżdżał. Michaił podszedł do wylotu zachodniego tunelu i usiadł przy torach. W ciepłym powietrzu poruszonym łagodnym wiatrem unosiły się świetliki i cykały owady. Napręzał mięśnie pod swym czarnym futrem.

„Życie czeka na ciebie. Tam - usłyszał w duchu. - Nie zawieź mnie”.

Poczuł ostrą woń pary. W tunelu błysnęło światło. Grzmot zamienił się w ryk bestii. I wtedy w snopie światła i deszczu czerwonych iskier pociąg wystrzelił z tunelu i pomknął na wschód.

Michaił podniósł się. „Za wolno! Za wolno” - pomyślał i rzucił się do biegu. Lokomotywa już go wyprzedzała, jej stalowe koła łomotały o szyny nie dalej niż trzy stopy od niego. „Szybciej!” - ponaglił sam siebie i obie pary łap usłuchały. Pochylił nisko ciało,

szarpany podmuchem powietrza wzniecany przez pociąg. Odbijał się mocno nogami od ziemi i biegł z łomoczącym sercem. Szybciej. Jeszcze szybciej. Nadrabiał dystans do lokomotywy... Zrównał się z nią... Wyprzedził. Rozpalone węgielki paliły go w plecy i śmigły przy jego twarzy. Biegł dalej, czując zapach przypalonego futra. Był już przed lokomotywą o sześć stóp... osiem... dziesięć. Szybciej! Szybciej! Uwolnione od podmuchu powietrza, stworzone do prędkości i wysiłku ciało parło do przodu. Zobaczył ciemną dziurę wschodniego tunelu. „Nie uda mi się” - pomyślał, ale odepchnął szybko tę myśl, zanim zdążyła go opanować. Wyprzedzał lokomotywę o dwadzieścia stóp, kiedy zaczął się przemieniać.

Najpierw zaczęła się przekształcać jego czaszka i twarz. Biegł nadal na czterech łapach. Czarne włosy na ramionach i grzbiecie zniknęły w wygładzającym się ciele. Poczul ból wydłużającego się kręgosłupa. Całe ciało przepełniło się bólem, ale nadal biegł. Zaczął wytracać tempo. Z przemieniających się łap znikały mu włosy, a kręgosłup się prostował. Lokomotywa przybliżała się do niego, a wschodni tunel był już niedaleko przed nim. Michaił zachwiał się, ale nie stracił równowagi. Iskry gaśły z sykiem na białym ciele jego ramion. Przemieniające się łapy, w których pazury zaczęły ustępować miejsca palcom, utrzymywały go coraz mniej pewnie. Teraz albo nigdy.

Michaił, na wpół wilk i na wpół człowiek, runął przed lokomotywę i skoczył nad torem.

Światło reflektora chwyciło go w swój snop w powietrzu, jakby zamrażając przez bezcenną sekundę. „Oko Boga” - pomyślał Michaił. Poczul gorący oddech lokomotywy i usłyszał jej potężne koła. Zderzak był o włos od uderzenia w jego ciało i rozerwania go na strzępy.

Pochylił głowę, zamykając oczy, gotów na cios. Zrobił kozła w powietrzu nad zderzakiem, przeleciał przez światło reflektora i wpadł w chwasty. Wylądował na plecach, dysząc ciężko. Gorąco lokomotywy omiotło go, rozwiewając mu włosy, a iskry poparzyły nagą pierś. Usiadł jeszcze w porę, żeby zobaczyć w tunelu czerwoną latarnię kołyszącą się w tę i z powrotem na ostatnim wagonie. Pociąg zniknął.

Każda kość bolała go tak, jakby została wyrwana ze stawu. Miał poobijane plecy i żebra. Nogi poobcierane i pokaleczone. Ale był cały. Pokonał tory.

Siedział przez pewien czas, dysząc ciężko, a całe ciało świeciło mu się od potu. Sam nie wiedział, czy potrafi wstać, czy nie. Nie pamiętał, jak się chodzi na dwóch nogach.

Jego gardło poruszyło się. Chciał coś wyrazić słowami. Wydobyły się z jego ust z wysiłkiem.

- Ja żyję - powiedział zaskoczony brzmieniem własnego głosu, głębszym niż to, które pamiętał.

Michaił nigdy nie czuł się tak nagi. Jego pierwszym odruchem była chęć ponownej przemiany, ale powstrzymał się. „Może później - pomyślał. - Jeszcze nie teraz”. Położył się w chwastach, odzyskując siły i pozwalając swojemu umysłowi na swobodne błądzenie. „Co leży za tym lasem? - rozważał. - Co jest tam, w tym świecie, do którego on sam należał, jak twierdził Wiktor? To musi być okropny świat pełen niebezpieczeństw. Musi to być dzicz, w której okrucieństwo nie zna granic”. Bał się tego świata. Bał się tego, co mógłby w nim znaleźć... i bał się także tego, co mógł znaleźć w sobie samym.

„Życie czeka na ciebie. Tam”.

Michaił usiadł i popatrzył na wiodące na zachód tory.

„Nie zawieź mnie”.

Anglia - ojczyzna Szekspira - leżała właśnie tam. „Cywilizowany kraj” - mówił o niej Wiktor.

Michaił wstał. Kolana ugięły się pod nim i upadł.

Druga próba była bardziej udana. Przy trzeciej stanął na nogach. Nie pamiętał już, że jest taki wysoki. Popatrzył na księżyc w pełni. To był ten sam księżyc, chociaż nie tak piękny jak ten widziany oczami wilka. Światło błyszczało na szynach i jeżeli były tam duchy, to teraz wznosiły pieśni.

Michaił dał pierwszy ostrożny krok. Jego nogi były nieporadne. Jak kiedykolwiek wcześniej mógł na nich chodzić?

Pomyślał, że szybko się tego nauczy. Wiktor miał rację: tutaj nie było dla niego życia. Jednak kochał to miejsce i opuszczał je z ciężkim sercem. To było miejsce jego młodości, a czekał na niego inny, bardziej brutalny świat.

„Nie zawieź mnie” - pomyślał.

Dał drugi krok, potem trzeci. Nadal było mu trudno, ale szedł.

Michaił Gałatinow szedł przed siebie. Naga biała postać w letnim świetle księżyca. Wkroczył do zachodniego tunelu na dwóch nogach jako człowiek.



**CZEŚĆ DZIEWIĄTA**

**KRÓLESTWO SZATANA**

Michael usłyszał gwizdek parowozu. Czyżby pociąg wracał po torach, żeby dać mu szansę na kolejny wyścig? Jeżeli tak, to był pewien, że tym razem to pociąg będzie szybszy. Czuł ból w kościach, a jego głowa była jak bliski pęknięcia wrzód. Gwizd lokomotywy ucichł. Michael usiłował obejrzeć się przez ramię, przebić wzrokiem ciemność, ale nic nie widział. Gdzie jest księżyc? Był tu jeszcze przed chwilą.

Rozległ się odgłos delikatnego pukania. Po chwili pukanie powtórzyło się.

- Baronie, czy pan śpi? - zapytał po niemiecku męski głos. Michael otworzył oczy. Zobaczył nad sobą sufit z ciemnego lakierowanego drewna.

- Baronie, czy mogę wejść?

Tym razem pukanie było już bardziej natarczywe. Ktoś obrócił gałkę w wąskich drzwiach i otworzył je. Michael uniósł głowę, czując łomotanie w skroniach.

- Ach, nie śpi pan - powiedział gość z sympatycznym uśmiechem. Był szczupły i łysy, ze starannie przystrzyżonym wąsem koloru blond. Miał na sobie garnitur w prążki i kamizelkę z czerwonego aksamitu. Wokół jego sylwetki widać było czerwony odbłask światła, jak gdyby stał przy drzwiach pieca hutniczego. - Herr Sandler chciałby, żeby zjadł pan z nim razem śniadanie.

Michael usiadł powoli. W głowie mu łomotało, ale oprócz tego słyszał jakiś klekoczący odgłos. Przypomniał sobie ciężką pałkę. Pomyślał, że uderzenie musiało zakłócić jego poczucie równowagi, podobnie jak zmysł słuchu, ponieważ całe pomieszczenie wydawało się łagodnie kołysać w tył i w przód.

- Śniadanie będzie podane za piętnaście minut - powiedział nieznajomy wesołym głosem. - Czy wolałby pan sok jabłkowy czy grejpfrutowy?

- Gdzie ja jestem?

Michael zauważył, że leży na łóżku. Miał rozpięty kołnierzyk koszuli i zdjętą muszkę. Rozsnurowane pantofle stały obok łóżka na podłodze. Wyglądały tak, jakby zostały świeżo wyczyszczone. Pokój, ciasne, niewielkie pomieszczenie, był wyposażony w fotel z brązowej skóry i stolik, na którym stała biała miska z wodą. W miejscu, gdzie powinno się znajdować okno, widać było zaryglowany metalowy prostokąt. Znowu dosłyszał gwizd lokomotywy, wysoki, przesywający dźwięk dochodzący gdzieś z przodu. Już wiedział, gdzie jest i dlaczego pomieszczenie się kołysze, ale dokąd jechał ten pociąg?

- Herr Sandler czeka - powiedział mężczyzna.

Michael dostrzegł za jego plecami jakiś ruch. Na korytarzu, gdzie przez szczelinę w zasłonie przedostawało się czerwone światło, stał niemiecki żołnierz z pistoletem.

„O co tu, do diabła, chodzi?” - pomyślał Michael. Uznał, że rozsądne będzie posłuszne spełnianie poleceń.

- Napiję się soku jabłkowego - powiedział i opuścił stopy na podłogę. Wyprostował się ostrożnie, obawiając się utraty równowagi. Jednak jego nogi pewnie stały na podłodze.

- Doskonale, panie baronie. - Blondyn, z pewnością kamerdyner, zamierzał odejść.

- Chwileczkę - powiedział Michael - chciałbym też dzbanek kawy. - Czarnej, bez cukru. I trzy jajka, czy macie jajka?

- Tak, panie baronie.

- Dobrze. Chcę trzy jajka w skorupkach.

Wyraz twarzy kamerdynera dowodził, że nie zrozumiał polecenia.

- Słucham pana?

- Trzy jajka. Surowe. W skorupkach. Czy to jasne?

- Eee... tak, panie baronie, całkiem jasne. - Wycofał się, zamykając drzwi za sobą stanowczym ruchem.

Michael podszedł do metalowego prostokąta, próbując podważyć go palcami. Jednak pokrywa nawet nie drgnęła, była mocno przysrubowana. Znalazł jakąś linkę. Pociągnął, włączając niewielką lampę umieszczoną na suficie. W stojącej przy ścianie szafie wisiał jego popielaty garnitur z czarnymi aksamitnymi klapami, ale nie było w niej żadnych innych ubrań. Rozejrzał się dokoła. Pomieszczenie było iście spartańskie, jak ruchoma cela więzienna. Z pewnością stojący za drzwiami żołnierz pilnował go.

„Czy w pociągu jest jeszcze więcej żołnierzy? - pomyślał. - Jak daleko od Berlina jest pociąg? Gdzie są Chesna i Mysz?”

Nawet nie wiedział, ile czasu upłynęło od zasadzki, w którą wpadł, ale wątpił w to, żeby był nieprzytomny dłużej niż przez kilka godzin. Więc jeżeli teraz wschodziło słońce, to spotkanie klubu „Piekło” było poprzedniej nocy. Czy Sandler znalazł to, co zostało z jego sokoła? I skoro teraz on sam był jako szpieg wieziony na przesłuchanie przez gestapo, to dlaczego kamerdyner, zwracając się do niego, tytułował go baronem?

Pytania, pytania. Nie znał jeszcze odpowiedzi na żadne z nich. Przeszedł dwa kroki do stołu, nabrał w dłonie wody i przemył twarz. Obok miski leżał czysty biały ręcznik, wytarł się nim do sucha. Nabrał znowu wody w dłonie i wypił kilka łyków. Na ścianie obok wisiało lustro. Michael spojrzał na swoje odbicie. Białka oczu miał przekrwione, ale nie widać było na głowie żadnych śladów po uderzeniach. Ostrożnie odszukał guzy, jeden był tuż nad lewą

skronią, a drugi z tyłu głowy. Ciosy, z których każdy mógł go zabić, zostały zadane z wyczuciem. A to znaczyło, że Sandler, albo ktoś inny, chciał, żeby on żył.

Nadal przed oczami miał mgłę. Wiedział, że musi otrząsnąć się z oszołomienia, i to szybko, ponieważ nie ma pojęcia, co go oczekuje. Na dziedzińcu „Reichkronen” popełnił błąd: za bardzo stłumił instynkt. Powinien był zwrócić uwagę na fakt, że Sandler udaje nietrzeźwego. Powinien był znacznie wcześniej dosłyszeć podchodzącego do niego z tyłu mężczyznę. No cóż, to była nauczka. Już nigdy nie zamierzał lekceważyć Harry'ego Sandlera.

Zapiął kołnierzyk koszuli i włożył muszkę. Nie byłoby właściwe pójść na śniadanie, nie zadbawszy wcześniej o wygląd. Przypomniał sobie fotografie, które znalazł w apartamencie pułkownika Jerka Bloka: zmasakrowane twarze ofiar jakiegoś eksperymentalnego programu na wyspie Skarpa. Jak dużo Sandler mógł wiedzieć o nowym przedsięwzięciu doktora Hildebranda albo o „Żelaznej Pięści” i tajnym zleceniu dla Frankewitza? Nadszedł czas, żeby się tego dowiedzieć.

Michael wyjął z szafy marynarkę, włożył ją, jeszcze raz sprawdził muszkę w lustrze, zaczerpnął głęboko powietrza i otworzył drzwi.

Czekający na zewnątrz żołnierz natychmiast wyciągnął lugera z kabury. Wycelował broń w twarz Michaela. Ten uśmiechnął się i podniósł ręce do góry. Poruszył palcami.

- Nie mam nic w rękawach - powiedział.

- Ruszać się! - rzucił żołnierz i wskazał pistoletem na lewo. Michael powędrował rozkołysanym korytarzem, a żołnierz eskortował go, idąc kilka kroków z tyłu. W wagonie było jeszcze kilka pomieszczeń o rozmiarach zbliżonych do tego, w którym przebywał. Zauważył, że nie jest to pociąg więzienny. Był zbyt czysty, wykładane boazerią ściany błyszcząły, podobnie jak mosiężne elementy. Jednak w powietrzu unosił się jakiś zwierzęcy zapach - woń potu i strachu. Z pewnością w tym pociągu nie działo się nic przyjemnego.

Drugi żołnierz, także uzbrojony w lugera, czekał przy wejściu do następnego wagonu. Ten również wskazał, żeby iść dalej. Michael przecisnął się przez łączące wagony przejście i znalazł się w wykwintnym wnętrzu.

Był to wspaniały wagon restauracyjny, z sufitem i ścianami wykładanymi ciemnym drewnem i podłogą okrytą czerwono-złotym perskim dywanem. U sufitu zwisał mosiężny żyrandol, a na ścianach umieszczone były mosiężne lampy. Pod żyrandolem stał stół nakryty białym obrusem, przy którym siedział gospodarz Michaela.

- A, dzień dobry, baronie. - Harry Sandler wstał, uśmiechając się radośnie. Wyglądał na wypoczętego. Ubrany był w jedwabny szlafrok ze swoimi inicjałami wypisanymi gotyckimi literami nad sercem. - Proszę się do mnie przysiąść.

Michael obejrzał się przez ramię. Jeden z żołnierzy wszedł za nim do wagonu i teraz stał przy drzwiach, trzymając w ręku lugera. Gallatin podszedł do stołu i usiadł naprzeciwko Sandlera, gdzie czekała nań zastawa z błękitnej porcelany. Myśliwy wrócił na swoje miejsce.

- Mam nadzieję, że spał pan dobrze. Niektórzy ludzie mają problemy w pociągu ze snem.

- Po paru pierwszych guzach spałem jak niemowlę - powiedział Michael.

- O, wspaniale - roześmiał się Sandler. - Zachował pan poczucie humoru. To bardzo pocieszające, baronie.

Michael rozwinął swoją serwetkę, wewnątrz były plastikowe sztucce. Sandler natomiast miał sztucce ze srebra.

- Nigdy nie wiadomo, jak ludzie zareagują - odezwał się. - Czasami takie sytuacje są... no... nieprzyjemne!

- To niesłychane - powiedział Michael z teatralnym oburzeniem. - Zostałem uderzony w głowę w środku nocy, wepchnięty do bagażnika samochodu, zawieszony Bóg wie gdzie i budzę się w jadącym pociągu, a niektórzy mówią, że to jest nieprzyjemne?

- Niestety, tak. No, ale są różne gusta, prawda? - Sandler znowu się roześmiał, ale jego wzrok był zimny. - A, jest Hugo z naszą kawą!

Kamerdyner, który przychodził do przedziału Michaela, wyszedł z za drzwi, które musiały prowadzić do kuchni, niosąc na tacy dwa srebrne dzbanuszki i dwie filiżanki.

- To jest mój pociąg - oznajmił Sandler, kiedy Hugo nalewał im kawę. - Dar od Rzeszy. Piękny, prawda?

Michael rozejrzał się. Zauważył już, że okna są zakryte metalowymi żaluzjami.

- Tak, zgadzam się. Ale czy odczuwa pan awersję do światła?

- Wcale nie. W gruncie rzeczy potrzebujemy trochę porannego słońca, prawda? Hugo, otwórz te dwa - wskazał ręką na okna po obydwu stronach stołu.

Hugo wyjął klucz z kieszeni kamizelki, włożył go w otwór zamka pod jednym z okien i obrócił. Rozległo się metaliczne szczęknięcie i Hugo odsunął żaluzję za pomocą korbki. Przez okno wlało się światło świtu. Kamerdyner otworzył zamek pod drugim oknem i w ten sam sposób jak poprzednio podniósł żaluzję, a potem włożył klucz do kieszeni i wrócił do kuchni. Michael sączył kawę, czarną, bez cukru, tak jak prosił, i patrzył w jedno z okien. Pociąg jechał przez las. Ostre światło słońca błyszczało pomiędzy drzewami.

- No proszę - powiedział Sandler - już lepiej, prawda? To jest bardzo interesujący pociąg, sądzę, że się pan o tym przekona. Mój prywatny wagon jest na końcu, zaraz za tym, w

którym pan spał. Są jeszcze trzy wagony pomiędzy tym, w którym jesteśmy, a lokomotywą. Wspaniale urządzone. Czy wie pan dużo o pociągach?

- Miałem z nimi nieco do czynienia.

- Jeżeli chodzi o pociągi, to fascynuje mnie w nich to, że można sobie w środku stworzyć swój własny świat. Ten pociąg na przykład dla każdego, kto patrzy z zewnątrz, może wyglądać na zwykły towarowy. Nikt nawet nie zwróciłby na niego uwagi. Ale w środku... no, tu jest mój świat, baronie. Uwielbiam odgłos kół na szynach, moc lokomotywy, to jak jazda wewnątrz wielkiej, pięknej bestii, zgadza, się pan?

- Tak, zgodziłbym się z tym - odparł Michael, popijając kawę. - Zawsze myślałem o pociągu jak o czymś w rodzaju... wielkiej żelaznej pięści.

- Naprawdę? A to interesujące. Ach, rozumiem dlaczego. - Skinął głową. Na jego zrelaksowanej, uprzejmej twarzy nie widać było żadnej zmiany, żadnej reakcji na wzmiankę o żelaznej pięści.

„Czy on wie coś o «Żelaznej Pięści», czy nie?” - pomyślał Michael.

- Zaskakuje mnie pan, baronie - stwierdził Sandler. - Zakładałem, że będzie pan... powiedzmy... zdenerwowany. Może jest pan po prostu dobrym aktorem? Tak, myślę, że właśnie tak.

No cóż, jest pan daleko od swoich tulipanowych ogrodów, baronie. I obawiam się, że nie opuści pan tego pociągu żywy.

Michael powoli odstawił filiżankę na stół. Sandler przyglądał mu się uważnie, czekając na jakąś reakcję: okrzyk strachu, łzy czy błaganie. Michael jednak zatrzymał na nim wzrok jeszcze przez kilka sekund, a potem sięgnął po srebrny dzbanek i dolał sobie kawy.

Sandler zmarszczył brwi.

- Myśli pan, że żartuję, prawda? Ale to, co mówię, jest dalekie od żartu, mój przyjacielu. Zabiję ciebie, a to, czy twoja śmierć będzie szybka czy powolna, zależy od ciebie.

Odgłos kół pociągu nagle się zmienił. Michael spojrział przez okno. Przejeżdżali przez most nad szeroką ciemnozieloną rzeką. Zaskoczony zauważył coś jeszcze. Nad drzewami, być może o pół mili od torów, widać było baszty i wieżyczki dużej budowli. Nie miał wątpliwości, że to „Reichkronen”.

- Tak, to hotel - powiedział Sandler, prawidłowo rozpoznając reakcję barona. - Jeździmy wokół Berlina od trzech godzin. Będziemy tak podróżować aż do końca polowania.

- Polowania?

- Tak, właśnie. - Na twarzy Sandlera zagościł uśmiech. Znowu on kontrolował sytuację. - Zapoluję na ciebie w pociągu. Jeżeli zdołasz się dostać do lokomotywy i pociągnąć

za linkę gwizdka trzy razy, zanim ciebie znajdę, to twoja śmierć będzie szybka: dostaniesz kulę w głowę. Jednak jeżeli złapię cię, zanim tam dotrzesz, wtedy... - wzruszył ramionami - myśliwy ma prawo wyboru.

- Jesteś zupełnym wariatem.

- O, podoba mi się taki duch. - Sandler zaklaskał w ręce. - Wydobądź z siebie trochę emocji. No, czy nie możesz uronić paru łez? A może trochę mnie pobłagać? Może pomogłoby, gdybym ci opowiedział, że ostatni człowiek, na którego tutaj polowałem, został przeze mnie obdarty ze skóry. Był wrogiem Himmlera, więc dałem mu jego skórę. Jestem przekonany, że powiesił ją sobie na ścianie.

Z kuchni wyszedł Hugo, pchając przed sobą wózek ze śniadaniem. Postawił przed Sandlerem stek, a przed Michaeliem talerz, na którym leżały trzy surowe jajka.

- Fascynuje mnie pan, baronie - powiedział myśliwy z uśmiechem. - Sam nie wiem, jak pana rozgryźć.

Serce Michaela przyśpieszyło i zrobiło mu się nieco sucho w gardle, ale daleki był od paniki. Wyjrzał przez okno na przemykające wzdłuż toru domy i fabryki.

- Wątpię, czy Chesnie będzie się podobało to, że zostałem porwany - powiedział zimnym tonem. - A może porwał pan również i ją?

- Oczywiście, że nie. Ona jest nadal w „Reichkronen”, tak jak pana kamerdyner. Chesna nic nie wie o tym i nigdy się nie dowie. - Wziął w rękę ostry nóż i zaczął kroić swój stek. Mięso w środku było prawie czerwone, krew skapywała z niego na talerz. - W tej chwili policja przeciąga sieci przez rzekę, poszukując pańskiego ciała. Zgłosiło się dwóch ludzi, którzy zeznali, że widzieli, jak chodzi pan nad brzegiem rzeki po opuszczeniu klubu. Wyglądało im na to, że wypił pan trochę za dużo. Zataczał się pan i odmówił powrotu do hotelu. - Sandler zjadł kawałek steku i popił kawą. - Brzeg rzeki potrafi być bardzo zdradliwy, baronie. Nie powinien był pan sam tam chodzić.

- Jestem pewien, że ktoś widział, jak odjeżdżałem stamtąd z wami.

- W tym tłumie? Nie sądzę, żeby tak było. Poza tym to i tak nie ma znaczenia. Otrzymałem zezwolenie pułkownika Bloka, żeby się panem zająć. On nie chce, tak samo jak ja, żeby się pan ożenił z Chesna.

„A więc o to chodzi” - pomyślał Michael. Nie miało to nic wspólnego z jego misją ani z faktem, że jest brytyjskim tajnym agentem. Sandler i Blok chcieli, żeby zniknął baron von Fange. Było także jasne, że myśliwy nic nie wie o losie sokoła. Prawdopodobnie nie miał okazji, aby wrócić do hotelu, i zapewne nie wróci tam, dopóki nie zakończy swego polowania. Oczywiście Chesna nie uwierzy w opowieść, że „baron” się upił. Będzie

wiedziała, że coś jest nie tak. Co wtedy zrobi? W tej chwili nie mógł się nad tym zastanawiać. Jego głównym problemem był uśmiechnięty mężczyzna, który siedział po przeciwnej stronie stołu i jadł krwiste mięso.

- Kocham Chesnę - powiedział Michael. - Ona też mnie kocha. Czy to nic nie znaczy?  
- dodał, żeby wywołać wrażenie słabości. Nie chciał, żeby Sandler zrobił się zbyt ostrożny.

- Och, co za pieprzenie! Chesna nie kocha ciebie. - Sandler nabił kolejny kawałek mięsa na widelec. - Może jest zadurzona, może lubi twoje towarzystwo, chociaż nie rozumiem dlaczego. W każdym razie czasami pozwala na to, żeby serce rządziło jej głową. Jest fantastyczną kobietą, piękną, utalentowaną, dobrze ułożoną. Poza tym bardzo odważną. Czy wiesz, że pilotuje swój własny samolot? Sama wykonywała akrobacje w filmach. Doskonale pływa i mogę cię zapewnić, że strzela lepiej z karabinu niż wielu mężczyzn, których znam. Jest twarda o tutaj – dotknął ręką głowy - ale ma serce kobiety. W przeszłości już miewała nierozsądne romanse, ale nigdy nie mówiła o małżeństwie. Jestem nieco zawiedziony, zawsze myślałem, że potrafi lepiej oceniać ludzi.

- To znaczy, że nie podoba ci się fakt, że wybrała mnie zamiast ciebie?

- Decyzje Chesny nie zawsze są mądre - powiedział Sandler. - Czasami trzeba ją naprowadzić. Więc pułkownik Blok i ja postanowiliśmy, że masz zniknąć. Na zawsze.

- A dlaczego sądzisz, że poślubi ciebie?

- Pracuję nad tym. Poza tym byłyby to wspaniałe fakt propagandowy dla Rzeszy. Dwoje Amerykanów, którzy wybrali życie pod sztandarem nazistowskim. W dodatku Chesna jest gwiazdą. Nasze zdjęcia byłyby w gazetach i magazynach na całym świecie, rozumiesz?

Oczywiście, Michael rozumiał. Sandler był nie tylko zdrajcą i mordercą, ale miał także niezmiernie wybujałe ego. Gdyby nawet wcześniej Michael nie zamierzał go zabić, to podjąłby taką decyzję w tej chwili. Wziął w rękę swoją plastikową łyżeczkę, rozbił skorupkę pierwszego jajka, podniósł je do ust i wypił całe.

Sandler roześmiał się.

- Surowe mięso i surowe jajka. Baronie, chyba się pan wychował w stodole!

Michael w ten sam sposób wypił kolejne jajko. Wrócił Hugo z osobnymi dzbankami soku jabłkowego dla Michaela i Sandlera. Myśliwy napił się soku, ale Gallatin zatrzymał rękę ze szklanką tuż przy ustach. Wyczuł delikatny, nieco gorzkawy zapach. Czyżby jakaś trucizna? Nie, zapach nie był aż tak ostry. Jednak w soku był jakiś medykament. „Prawdopodobnie środek usypiający” - pomyślał. Coś, co miało spowolnić jego reakcje. Odstawił szklankę i znowu sięgnął po kawę.

- Co się stało? - zapytał Sandler. - Nie lubisz jabłek?



- Trochę to czuć robakami - odparł Michael, rozbił skorupkę trzeciego jajka i wlał jego zawartość do ust, rozcierając żółtko zębami. Przełknął i popił kawą. Chciał jak najszybciej uzupełnić zapas protein w organizmie.

Tory skręcały na północny wschód, rozpoczynając kolejne okrążenie wokół Berlina.

- Nie masz zamiaru prosić? - zapytał Sandler. - Chociaż odrobinę?

- A czy coś by to pomogło?

Sandler pokręcił głową. W jego ciemnych oczach pojawiła się ostrożność. Michael wiedział, że Sandler wyczuł coś, czego się wcześniej nie spodziewał, i postanowił posunąć się jeszcze dalej.

- Więc nie mam wielkiej szansy, prawda? Tak jak pluskwa pod żelazną pięścią?

- Och, masz szansę. Ale niewielką. - W głosie Sandlera nie było żadnej reakcji na wzmiankę o żelaznej pięści. Czymkolwiek więc była „Żelazna Pięść”, to Harry Sandler nic o niej nie wiedział. - To znaczy: możesz umrzeć szybką śmiercią. Wystarczy, że dostaniesz się do lokomotywy, zanim ciebie odnajdę. Oczywiście będę uzbrojony. Mam ze sobą mój ulubiony sztucer. Niestety, ty będziesz bez broni. Ale dam ci dziesięciominutową przewagę. Na chwilę zostaniesz zaprowadzony z powrotem do swojego przedziału. Potem usłyszysz brzęczyk alarmowy. To będzie dla ciebie sygnał, żebyś zaczął uciekać. - Odkroił kolejny kawałek steku i wbił nóż w pozostałą resztę. - Bez sensu byłoby, gdybyś chciał się ukrywać w swoim przedziale czy blokować drzwi. W takim przypadku znalazłbym cię jeszcze szybciej. A jeżeli wyobrażasz sobie, że możesz wyskoczyć z pociągu, to popełniasz błąd. W środku są żołnierze, ustawieni w przejściach między każdym wagonem. A okna... no cóż, możesz o nich zapomnieć. - Dał znak ręką Hugonowi, który stał w pobliżu, czekając, kiedy będzie mógł posprzątać ze stołu. Kamerdyner zaczął opuszczać żaluzje na oknach. Światło powoli zniknęło. - Potraktujmy to jak zawody sportowe, dobrze? - zaproponował Sandler. - Ty odegrasz swoją rolę, a ja swoją.

Opadła ostatnia żaluzja. Hugo wyjął klucz z kieszeni, aby zamknąć zamki, i wtedy pod jego marynarką Michael dostrzegł kaburę z pistoletem.

- Nie myśl nawet o tym, że mógłbyś zdobyć jego broń - powiedział Sandler, podążając za wzrokiem Michaela. - On spędził osiem miesięcy na froncie wschodnim i jest doskonałym strzelcem. Jakies pytania na temat reguł?

- Nie.

- Naprawdę mnie pan zadziwia, baronie. Muszę się przyznać, że myślałem, iż w takiej chwili będzie już pan na kolanach. No ale, jak widać, nigdy nie wiadomo, co jest ukryte we

wnętrzu człowieka - powiedział, szczerząc radośnie zęby. - Hugo, proszę zaprowadzić barona do jego kwatery.

- Tak jest - odrzekł kamerdyner, wyciągając pistolet z kabury i mierząc z niego do Michaela.

Kiedy drzwi pomieszczenia się zamknęły, Michael zauważył, że wewnątrz zostało zmienione. Lustro, stolik, biała miska i ręcznik gdzieś zniknęły. Podobnie w szafie nie było już wieszaka. Nie mógł więc, jak planował poprzednio, użyć jako broni kawałków lustra czy fragmentów miski albo wieszaka. Lampa znajdowała się za wysoko, by mógł jej sięgnąć, chociaż był przekonany, że mógłby wymyślić jakiś sposób, by ją rozbić. Usiadł na łóżku, żeby się zastanowić. Pociąg kołysał się łagodnie, a koła klekotały na złączach szyn. Czy rzeczywiście potrzebował broni, żeby pokonać Harry'ego Sandlera? Nie był tego pewien. Mógł przemienić się w wilka i być gotowy do biegu, kiedy tylko rozlegnie się dźwięk brzęczyka.

Jednak nie przemienił się, i tak już dysponował rozwiniętym instynktem i percepcją. Przemiana dałaby tylko tyle, że postradałby ubranie. Był w stanie poruszać się na dwóch nogach i myśleć jak wilk, żeby pokonać Sandlera. Jedynym problemem było to, że myśliwy znał pociąg lepiej od niego. Musiałby więc znaleźć odpowiednie miejsce, żeby urządzić w nim zasadzkę, i wtedy...

Wtedy spadłby z jego sumienia ciężar odpowiedzialności za śmierć hrabiny Margritty. Mógłby wtedy zakończyć ten epizod w swoim życiu i zapomnieć o przymusie dokonania zemsty. Był w stanie pokonać Harry'ego Sandlera jako człowiek. Rękami, a nie pazurami.

Czekał.

Minęły może dwie godziny. Michael leżał na łóżku i odpoczywał. Był absolutnie spokojny, gotowy psychicznie i fizycznie. Nagle rozległ się brzęczyk alarmowy. Rozbrzmiewał przez jakieś dziesięć sekund i zanim jeszcze się skończył, Michael był już za drzwiami w drodze do lokomotywy.

Żołnierz w przejściu między wagonami odprowadził go lufą pistoletu i Michael znowu znalazł się w bogato wyposażonym wagonie, w którym jadł śniadanie. Gdy drzwi zamknęły się za jego plecami, strażnik pozostał na swoim miejscu.

Metalowe żaluzje były całkowicie zaciągnięte. Żyrandol zarzył się przytłumionym światłem, podobnie jak lampki na ścianach. Michael ruszył wzdłuż wagonu, zatrzymując się przy nakrytym białym obrusem stoliku.

Talerze nie zostały uprzątnięte. W zostawionym przez Sandlera kawałku steku tkwił wbity nóż.

Michael przypatrzył się nożowi. To interesujące: dlaczego tam został? Była na to tylko jedna odpowiedź: Sandler oczekiwał, że on go weźmie. A co by się stało, gdyby to zrobił? Michael delikatnie dotknął rękojeści noża. Przesunął uważnie palec i znalazł to, czego szukał. Cienka, niemal niewidoczna metalowa nitka otaczała rękojeść, a potem, kryjąc się w półmroku, biegła ku górze do wiszącego nad stolikiem żyrandola. Michael przyjrzał się mu dokładnie. Wśród ozdobnych elementów dostrzegł niewielki pistolet, do którego spustu przytwierdzony był prowadzący od noża drucik. Lufa ustawiona była pod takim kątem, że gdyby wyciągnął nóż ze steku, pistolet by wypalił i kula trafiłaby go w lewe ramię. Michael uśmiechnął się ponuro. Więc to dlatego pozwolono mu pozostać w swoim pomieszczeniu przez dwie godziny. W tym czasie Sandler i jego ludzie zajmowali się zakładaniem takich pułapek.

„Rzeczywiście dziesięciominutowa przewaga” - pomyślał Michael. Polowanie mogło się skończyć bardzo szybko.

Postanowił dać Sandlerowi nieco do myślenia, i być może zatrzymać go w ten sposób na jakiś czas. Postąpił krok na bok, schodząc z linii ognia, i kopnął nogę stołu. Stół przewrócił się, a wtedy drucik się napiął i pistolet wypalił z głośnym trzaskiem. Kula uderzyła w ścianę, obsypując wewnątrz drzazgami różanego drewna. Michael wziął nóż do ręki, ale zauważył, że dał się oszukać; był to jedynie bezużyteczny ułomek. Zdjął pistolet z żyrandola, chociaż domyślał się, co odkryje. Tak jak przypuszczał, magazynek był pusty.

Nie miał już czego tam szukać. Upuścił pistolet na podłogę i ruszył przed siebie. Teraz jednak szedł wolniej, ostrożniej. Wypatrywał przechodzących w poprzek wagonu odciągaczy, nie zapominając jednocześnie, że taki drut może przebiegać na wysokości głowy. Zatrzymał się przy drzwiach do kuchni i przysunął rękę do gałki. Z pewnością Sandler oczekiwał, że

spróbuje pokonać te drzwi, aby dotrzeć do sprzętu, który się za nimi znajduje. Gałka była wytarta do połysku i błyszczała obiecująco. „To zbyt łatwe” - pomyślał Michael. Obrócenie gałki mogło spowodować wystrzał pistoletu, który był tak ustawiony, że pocisk trafiłby „zwierzynę”, przebijając drewniane drzwi. Odsunął rękę, cofnął się od drzwi i znowu ruszył do przodu. W następnym przejściu między wagonami stał kolejny żołnierz. W jego oczach nie dało się dostrzec jakichkolwiek emocji. Michael był ciekaw, jak wiele ofiar Sandlera zdołało pokonać pierwszy wagon. Na razie jednak nie mógł sobie gratulować, od lokomotywy dzieliły go jeszcze trzy wagony.

Wszedł do następnego. Siedzenia stały na całej jego długości po obu stronach, a środkiem biegł korytarz. Okna były zamknięte metalowymi żaluzjami, ale umieszczone pod sufitem w równej odległości dwa żyrandole oświetlały wnętrze wesołym światłem. Wagon zakołysał się, kiedy pociąg wjechał na łuk torów i jednocześnie rozległ się krótki, ostrzegawczy gwizd lokomotywy. Michael przykląkł, aby obejrzeć korytarz na poziomie kolan. Jeżeli przechodził tamtędy odciągacz, to i tak nie był w stanie go dostrzec. Wiedział, że Sandler jest już na jego tropie i w każdej chwili może wpaść przez drzwi znajdujące się za plecami. Nie mógł czekać, wstał i powoli ruszył korytarzem, trzymając dłonie uniesione przed sobą i wypatrując uważnie błysku drutu na poziomie kolan czy kostek.

Jednak ani u góry, ani u dołu nie dostrzegł odciągacza. Zaczął się pocić i z pewnością było coś w tym wagonie, co tylko czekało, żeby popełnił błąd. A może nie umieszczono tu żadnych pułapek, aby uspić jego czujność? Podszedł do drugiego żyrandola, wiszącego około dwudziestu stóp przed końcem wagonu. Zbliżając się, podniósł głowę i zaczął wypatrywać jakiejś ukrytej broni, ale nic tam nie było.

Nagle poczuł, że jego lewa stopa zapada się o jakieś ćwierć cala w dywan i usłyszał delikatne szczęknięcie otwierającego się zamka.

Stanął na wyzwalaczu pułapki. Poczuł na karku zimny oddech śmierci. Błyskawicznie uniół ręce, chwycił się ramion żyrandola i podciągnął nogi. Rozległ się wystrzał ukrytej po lewej stronie korytarza dubeltówki. Wiązka śrutu przeleciała w tym miejscu, gdzie dwie sekundy wcześniej były jego kolana, i zaryła się w siedzeniach po prawej stronie. Ułamek sekundy później wypaliła druga lufa, jeszcze bardziej niszcząc siedzenia. Kawałki drewna i materiału prysnęły w powietrze.

Michael wyprostował nogi i wypuścił z rąk żyrandol. Otoczył go obłok niebieskiego dymu. Jedno spojrzenie na siedzenie wystarczyło, żeby zrozumiał, co strzały z dubeltówki zrobiłyby z jego kolanami. Wiłby się unieruchomiony na podłodze, dopóki nie przyszedłby

Sandler. Usłyszał łoskot otwieranych na końcu wagonu drzwi. Obejrzał się. Ubrany w strój myśliwski Sandler podniósł sztucer, wycelował i wypalił.

Zanim jeszcze pociągnął za spust, Michael już dawał nurka na podłogę. Kula przeleciała z gwizdem nad jego lewym ramieniem i uderzyła w metalową żaluzję. Sandler nie zdążył jeszcze wycelować ponownie, kiedy Michael skoczył na nogi i runął przez drzwi na końcu wagonu. Oczywiście, jak się tego spodziewał, w korytarzu stał żołnierz z pistoletem w dłoni. Wyciągnął rękę, żeby chwycić Michaela za kołnierz i postawić go na nogi.

Jednak Michael sam poderwał się błyskawicznie, uderzając Niemca głową w podbródek. Żołnierz zachwiał się z szeroko otwartymi i pełnymi bólu oczami. Michael chwycił go za nadgarstek, starając się odciągnąć od siebie lufę pistoletu, i uderzył nasadą dłoni w środek twarzy. Nos Niemca trzasnął, bluzgając krwią, a Michael wyrwał mu lugera, odrzucając jego samego od siebie jak worek kartofli. Obrócił się i spojrział w tył przez małą szybkę w drzwiach. Sandler przeszedł już ponad połowę długości wagonu. Michael podniósł lugera, by oddać strzał przez szybę, i zobaczył, jak Sandler zatrzymuje się i unosi sztucer. Obydwaj wystrzelili jednocześnie.

Drzazgi posypały się wokół Michaela, podobnie jak odłamki szkła poleciały w kierunku Sandlera. Coś gorącego otarło się o prawe udo Michaela. Niemal osunął się na kolana od tego palącego muśnięcia. Szybka w drzwiach zniknęła, a w drewnie pokazała się dziura wielkości męskiej pięści, wybita kulą ze sztucera Sandlera. Michael oddał jeszcze jeden strzał, a Sandler odpowiedział mu kolejnym pociskiem, który utkwiał w ścianie nad jego głową. To było niebezpieczne miejsce. Michael przysiadł, przyciskając jedną dłoń do krwawej plamy na prawym udzie, i wycofał się do następnego wagonu.

Obrócił głowę, słysząc za sobą głośny huk. Wagon, w którym się znalazł, nie miał podłogi. Był tylko metalową skorupą. Michael stał na skraju otchłani, patrząc na zlewające się w oczach podkłady. Przez całą długość wagonu biegła pod sufitem metalowa rura, miała może sześćdziesiąt stóp długości. Mógł przedostać się na drugą stronę tylko w jeden sposób: musiał przejść po rurze, uczepiwszy się jej rękami. Spojrzał w kierunku podziurawionych kulami drzwi, przez które przed chwilą przeszedł. Sandler czekał, nie spieszyło mu się. Może trafiła go jedna z kul lugera, a może odłamki szkła pokaleczyły mu twarz. Michael uznał, że najlepszym ratunkiem przed ścigającym go szaleńcem będzie kontynuacja ucieczki w kierunku lokomotywy i próba zatrzymania pociągu. Gdyby Sandler był poważnie ranny, prawdopodobnie pościg podjęliby żołnierze. W każdym razie nie mógł czekać dłużej. Kula sztucera wyłobiła szramę w jego udzie i tracił dużo krwi. Za kilka minut opadłby z sił. Włożył lugera za pasek i skoczył nad podkładami, chwytając dłońmi żelazną rurę. Jego ciało

zakołysało się w tył i w przód i gorąca krew pociekła mu po prawej nodze. Zaczął przesuwając się po rurze, wyciągając ramię jak najdalej przed siebie, zanim zwalniał uchwyt drugiej ręki.

Minął już środek wagonu, kiedy usłyszał ponad łomotem kół suchy trzask sztucera. Kula uderzyła w sufit około sześciu cali na lewo od rury. Obrócił głowę i zobaczył stojącego w drzwiach Sandlera, który wkładał kolejny nabój do komory. Uśmiechał się, a jego pokaleczona odłamkami szkła twarz ociekała krwią. Uniósł sztucer i wycelował w głowę Michaela. Ten zawisł na jednej ręce i wyciągnął lugera zza paska. Zobaczył, że Sandler kładzie palec na spuście, i zrozumiał, że nie zdąży już oddać strzału.

- Rzuć to! - ryknął Sandler, przekrzykując łoskot kół. - Rzuć to, sukinsynu, bo jak nie, to odstrzelę ci łeb.

Michael zastygł na chwilę bez ruchu. Błyskawicznie ocenił sytuację. „Nie” - postanowił. Uznał, że kula Sandlera trafi w cel, zanim on zdąży pociągnąć za spust lugera.

- Powiedziałem: rzuć broń, już! - Uśmiech Sandlera przemienił się w krzywy grymas, krew skapywała mu z podbródka.

Michael rozluźnił palce. Luger spadł na torowisko i zniknął.

- Trafiłem cię, co?! - krzyknął Sandler, patrząc na ciemną plamę na udzie Michaela. - Wiedziałem, że trafiłem! Myślałeś, że jesteś taki sprytny, co? - Otarł twarz rękawem i popatrzył na plamy krwi. - Krwawię przez ciebie, ty sukinsynu! - zawołał i Michael zobaczył, że Sandler mruga oczami, jakby był w szoku. Odłamki szkła błyszcząły na jego twarzy. - Jesteś niezły, baronie! Myślałem, że wystarczy nóż i dubeltówka... na tym zwykle kończy się polowanie. Nikt jeszcze tak daleko nie doszedł.

Michael trzymał rurę obydwiema dłońmi. Myślał pośpiesznie, a zimny pot oblewał mu twarz.

- Jeszcze mnie nie złapałeś - odpowiedział.

- Rzeczywiście nie! Jedno naciśnięcie na spust i mam nowe trofeum!

- Nie złapałeś mnie - powtórzył Michael. - Nazywasz siebie myśliwym? - Roześmiał się nieprzyjemnie. - Jest jeszcze jeden wagon do przejścia, co? Potrafię przejść przez wszystko, cokolwiek tam masz... Z ranną nogą! - Zauważył, że w oczach Sandlera pojawia się zainteresowanie, podniecenie wyzwaniem. - Możesz mnie zastrzelić teraz, ale spadnę na tory. Nie weźmiesz mnie żywcem... a czy nie o to chodziło?

Tym razem myśliwy roześmiał się, opuścił lufę sztucera i zlizął krew z warg.

- Jesteś twardy, baronie! Nigdy bym się nie spodziewał, żeby wachacz tulipanów mógł być tak twardy. No co, obydwaj utoczyliśmy sobie krwi, więc powiedzmy, że pierwsza runda kończy się remisem. Ale nie przejdiesz przez następny wagon, baronie, obiecuję ci to.

- A ja mówię, że przejdę.

Sandler wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Zobaczymy. No, dalej. Dam ci sześćdziesiąt sekund. Michael nie czekał. Ruszył wzdłuż rury.

- Następnym razem jesteś trupem! - krzyknął jeszcze za nim Sandler.

Michael zbliżył się do małej platformy przed drzwiami. Rozkołysał ciało i skoczył na nią. Żołnierz stojący na straży przed następnym wagonem cofnął się, ustępując z drogi, i nakazał mu ruchem pistoletu, żeby przeszedł dalej. Michael obejrzał się i zobaczył, że Sandler przekłada pas sztucera przez głowę, przygotowując się do przejścia po rurze. Na Michaela czekał jeszcze ostatni wagon. Wszedł do środka.

Drzwi zasunęły się za jego plecami. Ich szklana szyba pomalowana była na czarno. Ani jeden promyk światła nie wnikał do wnętrza. Było ciemne jak najciemniejsza noc. Michael usiłował wypatrzeć coś w czerni, meble czy oświetlenie - cokolwiek, co mogłoby mu wskazać drogę przed nim - ale nic nie mógł dostrzec. Podniósł dłonie, trzymając je przed twarzą, i dał krok do przodu. Drugi krok. Trzeci. Nadal żadnych przeszkód. Rana na prawym udzie pulsowała tęnym bólem, a krew spływała po nodze. Dał czwarty krok i wtedy coś ugryzło go w palce. Cofnął dłonie, czując piekący ból. „Brzytwy albo kawałki szkła” - pomyślał i znowu wyciągnął ręce. Po lewej stronie wyczuł wolną przestrzeń. Dał dwa kroki do przodu i trzeci w lewo i znowu natrafił dłonią na kolejne ostrza. Krew zastygła mu w żyłach. „To labirynt - pomyślał - labirynt o ścianach pokrytych brzytwami”.

Zdjął szybko marynarkę i owinął w nią dłonie. Znowu ruszył do przodu, zagłębiając się w absolutną ciemność. Wyteżając zmysły, wciągnął nosem powietrze i wyczuł w nim woń oleju silnikowego, gorzki odór spalanego w lokomotywie węgla i zapach własnej krwi. Serce łomotało mu w piersi, wysiłał oczy, żeby wyróżnić w ciemności jakieś kształty. Dotknął bezpośrednio przed sobą kolejnej ściany z ostrzami. Po lewej stronie też natrafił na pokrytą brzytwami ścianę. Labirynt prowadził go teraz w prawo. Nie miał żadnego wyboru, musiał iść w tym kierunku. Przejście skręciło ostro w lewo i nagle Michael znalazł się w ślepych zaułku. Zrozumiał, że minął gdzieś rzeczywiste przejście i musi się wycofać. Szukał drogi, natrafiając marynarką na tnące materiały ostrza, i wtedy usłyszał odsuwające się drzwi i odgłos ich zamykania. Więc Sandler już przybył.

- Podoba ci się mój labirynt, baronie? - zapytał. - Mam nadzieję, że nie boisz się ciemności.

Michael wiedział, że najlepiej jest nie odpowiadać. Sandler zorientowałby się wtedy, gdzie się znajduje. Obmacywał rękami ścianę. Skrzywił się, gdy ostrze brzytwy przedostało

się przez materiał i skaleczyło go znowu w palce. Tutaj! Wąski korytarz albo przynajmniej coś, co wyglądało na korytarz. Ruszył do przodu, trzymając dłonie przed sobą.

- Nie widzę, gdzie jesteś, baronie - powiedział Sandler. Jego głos dobiegł z innego miejsca, więc i on szedł przez labirynt. - Myślałem, że do tej pory już się załamiesz! A może już się załamałeś i gdzieś leżysz w kącie? Zgadza się?

Michael dotarł do kolejnej ściany. Korytarz skręcał w prawo pod takim kątem, że ostrza brzytwy przecięły koszulę i ciało na prawym ramieniu.

- Wiem, że jesteś przerażony. Ale kto by nie był? Widzisz, to dla mnie najbardziej podniecająca część polowania - przerażenie w oczach zwierzęcia, kiedy sobie uświadomi, że nie ma wyjścia. Ach, czy powiedziałem ci już, że znam przejście przez labirynt? Sam go zbudowałem. Fajnie się dotyka brzytwy, prawda?

„Mów, mów” - pomyślał Michael. Głos Sandlera pozwalał mu ocenić, że myśliwy znajduje się teraz po lewej stronie, jakieś piętnaście czy dwadzieścia stóp za nim. Michael posuwał się, obmacując przejście między brzytwami.

- Pewnie już jesteś pocięty na kawałki. Należy nosić skórzane rękawiczki, tak jak ja. Trzeba być zawsze przygotowanym, baronie, to cecha prawdziwego myśliwego.

Przed Michaelem pojawiła się ściana. Zaczął obmacywać ją z lewej i prawej strony, żeby znaleźć kolejne przejście. Głos Sandlera był coraz bliżej.

- Jeżeli się poddasz, to potraktuję cię ulgowo. Musisz powiedzieć tylko dwa słowa: poddam się. Umrzesz szybką śmiercią, zgoda?

Dłonie Michaela natrafiły na róg ściany po lewej stronie. Marynarka była już w strzępach, a materiał przesiąkł krwią. Czuł, że opuszczają go siły i słabną mu mięśnie. Ranna noga zaczynała drętwieć. Jednak wychodzące z tego wagonu drzwi musiały być tuż przed nim, nie dalej niż piętnaście stóp. Był pewien, że szyba w nich też jest pomalowana na czarno. Znalezienie drzwi było więc trudnym zadaniem. Ruszył prowadzącym w lewo korytarzem, wagon zakołysał się, kiedy pociąg wjechał na kolejny łuk. Michael wszedł na odcinek korytarza, biegnący wzdłuż osi wagonu. Zapach palącego się węgla nabrał intensywności. „Drzwi muszą być blisko - pomyślał - już niewiele zostało do przejścia...”

Dał jeszcze dwa kroki i usłyszał metaliczne szczęknięcie zwalnianej zapadki.

Rzucił się na podłogę i wtedy w całym wagonie zapaliły się żarówki. Światło poraziło go, niebieskie koła zawirowały mu przed oczami. Leżał oszołomiony, wytrącony z równowagi, a oczy piekły go tak, jakby też były pokaleczone.

- O, prawie się wydostałeś, co? - Z odległości dwunastu stóp po prawej stronie doszedł go głos Sandlera. - Poczekaj tylko na mnie, baronie. Zaraz tam dotrę.



Oczy Michaela pełne były niebieskiego ognia. Odsunął się ze środka korytarza, przytykając plecy do pokrytej brzytwami ściany. Sandler szedł ku niemu, jego buty stuknęły po podłodze. Wiedział, że myśliwy się spodziewa znaleźć go całkowicie bezradnego, wijącego się z bólu, z dłońmi przyciśniętymi do oczu. Obrócił ciało tak, żeby nic nie blokowało mu ramion, i wyjął dłonie z pociętej marynarki.

- Powiedz coś, baronie. Będzie mi łatwiej cię znaleźć i zakończyć twoje cierpienia.

Michael nie odzywał się. Leżał na boku i wsłuchiwał w dźwięk kroków Sandlera. Były coraz bliżej. „No, chodź, no, chodź, czekam!” - powtarzał w duchu z wściekłością.

- Baronie? Zdaje się, że polowanie zakończone. - Michael usłyszał szczęk zamka sztucera.

Poczuł zapach miętowego płynu po goleniu. Potem skrzypienie skórzanych butów, lekkie jęknienie deski w podłodze - i już wiedział, że stopy Sandlera są w zasięgu jego dłoni.

Wyrzucił do przodu obydwie ręce, ufając swojemu słuchowi. Natrafił palcami na kostki myśliwego i zaciskając na nich mocno dłonie, szarpnął z całą siłą swoich barków i korpusu.

Sandler nie zdążył nawet krzyknąć. Upadł, skręcając ciało. Sztucer wypalił i kula utkwiała w suficie. Myśliwy uderzył o uzbrojoną w brzytwy ścianę i wrzasnął z bólu.

Michael skoczył na wijącego się na podłodze Sandlera. Zacisnął dłonie na jego gardle i zaczął je zwierać. Myśliwy tracił oddech, ale nagle drewniana kolba sztucera trafiła Michaela w szczękę. Rozluźnił uścisk, jednak dłońmi nadal trzymał koszulę Sandlera, który usiłował się odczołgać. Znowu uderzył

Gallatina kolbą, tym razem w obojczyk. Michael upadł na plecy, czując, jak brzytwy przecinają mu ramiona. Sztucer wypalił jeszcze raz, płomień wystrzelił z lufy, ale kula chybiła. Michael ponownie zaatakował i rzucił Sandlera na brzytwy. Myśliwy wrzasnął z bólu. W jego głosie słychać było też przerażenie. Gallatin chwycił sztucer, przywierając do niego dłońmi, a Sandler usiłował mu go wyrwać. Próbował trafić przeciwnika w oczy okrytą skórzaną rękawicą dłonią, a potem chwycił go za włosy. Michael uderzył go pięścią w tors i usłyszał uchodzące z jego płuc powietrze.

Walczyli w korytarzu na kolanach. Wagon się kołysał, a brzytwy ocierały się o ich plecy. Obydwaj usiłowali użyć sztucera jako podpory, żeby stanąć na nogi. Walczyli w milczeniu, przegranego czekała śmierć. Michael zdołał postawić jedną stopę na podłodze. Już miał się podnieść, kiedy cios pięścią w splot słoneczny obalił go na podłogę. Myśliwy uniósł kolano i trafił Michaela w podbródek. Przyłożył sztucer do jego szyi i napał nań całą masą. Michael nie poddawał się, ale nie był w stanie odepchnąć napastnika. Podniósł rękę, chwycił

go za włosy i pchnął jego twarz na pokrytą brzytwami ścianę. Myśliwy zawył z bólu i zwolnił uścisk.

Wstał, nadal trzymając sztucer. Michael szarpnął go ręką za kostkę i wtedy Sandler zatoczył się na przeciwną ścianę. Miał już dość swojego labiryntu, wyrwał nogę z dłoni Michaela i chwiejnie zaczął się wycofywać korytarzem, wpadając na ściany i rycząc z bólu, kiedy brzytwy przecinały mu ciało. Michael usłyszał, jak próbuje obrócić gałkę w drzwiach, żeby je otworzyć moką od krwi dłonią. Od razu skoczył na nogi i rzucił się w pościg.

Sandler uderzył ramieniem w drzwi. Otworzyły się z hukiem, zalewając korytarz ostrym światłem słonecznym. Brzytwy, setki brzytw po obydwu stronach zabłyszczały jaskrawo, niektóre z nich pokryte były kroplami krwi. Blask znowu oślepił Michaela, ale widział jeszcze wystarczająco dobrze, żeby dostrzec sylwetkę stojącego w drzwiach Sandlera. Skoczył do przodu i uderzył w myśliwego. Obydwaj przelecieli przez drzwi i upadli na zewnętrzną platformę wagonu.

Sandler, oślepiony przez słońce, z twarzą pociętą na czerwone pasma, krzyknął do strażnika:

- Zabij go, zabij go!

Żołnierz był oszołomiony widokiem dwóch zakrwawionych postaci, które wypadły z wnętrza wagonu. Jego pistolet nadal tkwił w kaburze. Odpiął ją, chwycił kolbę i zaczął wyciągać broń. Mrużąc oczy w świetle, Michael widział tylko ciemną sylwetkę żołnierza na ognistym tle. Kopnął go w krocze, zanim jeszcze tamten wycelował, i kiedy Niemiec skulił się z bólu, Michael uderzył go kolanem w twarz i przerzucił przez barierkę platformy. Pistolet wypalił, kiedy ciało spadało już na tory.

- Pomocy! - zawołał Sandler, klęcząc na platformie. Jednak hałas kół zagłuszał jego głos.

Michael postawił nogę na sztucerze, przyłożył dłoń do czoła, żeby osłonić oczy przed jaskrawym światłem, i zobaczył przed platformą węglarkę i lokomotywę z kominem plującym czarnym dymem.

Sandler klęczał skulony, krew skapywała mu z twarzy i plamiła cały jego strój.

- Pomocy! - zawołał słabym głosem. Drżał i jęczał, kołyszac się w tył i w przód.

- Zabiję cię! - powiedział Michael po angielsku. Sandler nagle znieruchomiał. Krew skapywała mu z opuszczonej głowy na metalową powierzchnię platformy.

- Przypomnij sobie pewne nazwisko: Margritta Phillipe. Pamiętasz ją?

Sandler nie odpowiedział. Pociąg znowu jechał przez zielony las poza granicami Berlina. Maszynista i jego pomocnik nie mogli dostrzec ich na platformie.

Michael trącił Sandlera w bok czubkiem buta.

- Hrabina Margritta, w Kairze. - Czuł się wyczerpany, kolana niemal odmawiały mu posłuszeństwa. - Mam nadzieję, że pamiętasz tę kobietę, bo to ty kazałeś ją zamordować.

Sandler w końcu podniósł głowę, twarz miał pociętą, a oczy opuchnięte tak, że zostały z nich tylko szczeliny.

- Kim jesteś? - wycharczał po angielsku.

- Byłem przyjacielem Margritty. Wstań.

- Ty... nie jesteś Niemcem.

- Wstań - powtórzył Michael. Podpierał się sztucерem, ale postanowił go nie używać. Chciał złamać kark Sandlerowi gołymi rękami i wyrzucić go z pociągu jak worek śmieci. - Wstawaj. Chcę, żebyś na mnie patrzył, kiedy cię będę zabijał.

- Proszę... - jęknął Sandler. Z nosa ciekła mu krew. - Proszę... nie zabijaj mnie. Mam pieniądze. Dam ci dużo pieniędzy.

- To mnie nie interesuje. Wstawaj.

- Nie mogę. Nie mogę wstać. - Sandler znów zatrząsł się i podpełzł do przodu. - Moje nogi... chyba mam złamane nogi.

Michael uczył przyptyw wściekłości. Ilu ludzi zniszczył Harry Sandler, służąc nazistowskiemu Niemcom? Czy ich wołania o litość zostały wysłuchane? Michael był pewien, że nie. Sandler chciał zapłacić, więc Michael zamierzał mu to umożliwić. Pochylił się, chwycił za kołnierz marynarki myśliwego i zaczął go podnosić na nogi.

Była to ostatnia pułapka, w którą Michael włożył dłoń. Sandler znowu udawał, podobnie jak w „Reichkronen” udawał nietrzeźwość. Poderwał się nagle, zaciskając z wściekłości zęby. W jego dłoni błyszczał nóż, który wyciągnął z buta. Zadał cios, celując czubkiem noża w środek brzucha Michaela Gallatina.

Ostrze zatrzymało się nagle, kiedy było już niecałe dwa cale od jego ciała. Ręka Michaela chwyciła nadgarstek Sandlera i zacisnęła się mocno. Myśliwy spojrział na nią i w jego opuchniętych oczach pojawiło się przerażenie.

To nie była ludzka ręka, ale nie była to też całkiem zwierzęca łapa. Pokrywała się czarnymi włosami, a palce wykrzywiały się, przechodząc w szpony. Sandler jęknął i spojrział na twarz przeciwnika. Kości policzkowe barona przesuwwały się, a nos i usta wydłużały w pokryty czarnym włosem pysk. Usta rozchyliły się, pokazując wyrastające pomiędzy ludzkimi zębami kły, z których skapywała ślina. Sandler był wstrząśnięty, niemal odchodził od zmysłów. Nóż wypadł mu z brzękiem na platformę. Czuł zwierzęcy odór, potu i wilczej sierści. Otworzył usta do krzyku.

Michael, czując już wykrzywający się kręgosłup, pochylił twarz i zatopił kły w gardło myśliwego. Szybkiem, gwałtownym szarpnięciem rozerwał ciało i żyły, miażdżąc krtań Sandlera. Cofnął głowę, zostawiając ziejącą dziurę w miejscu, gdzie było gardło myśliwego. Twarz Sandlera zadrgała w grymasie, jego nerwy nie kontrolowały już ciała. Woń krwi ośladnęła zmysły Michaela. Znowu zadał cios, wbijając kły w czerwoną tkankę, szarpiąc głowę w tył i w przód, wgryzając się w głęb aż do kręgosłupa. Wreszcie chwycił go kłami, rozłamał i wgryzł się w poszarpane krawędzie. Kiedy się cofnął, głowa myśliwego zwisała już tylko na strzępach mięśni i tkanki łącznej. Z ziejącej dziury tchawicy rozległo się rżenie. Michael, w pękającej koszuli i spodniach, postawił stopę na piersiach przeciwnika i pchnął ciało.

To, co zostało jeszcze z Harry'ego Sandlera, przechyliło się do tyłu i wypadło z pędzącego pociągu.

Michael wypluł z ust strzęp ciała i położył się na boku. Wiedział, że musi jeszcze dotrzeć do lokomotywy i zmniejszyć prędkość pociągu. Nie był w stanie operować pokrętlami za pomocą wilczych łap. Powstrzymał się przed kompletną przemianą, chociaż dzikie prądy wirowały w jego umyśle, a mięśnie przeżyły się pod porośniętą czarnym włosem, okrytą ubraniami skórą. Palce u nóg bolały go w twardych butach, a barki chciały uwolnić się z ubrania. „Jeszcze nie - pomyślał - jeszcze nie”. Powoli zaczął powracać przez pierwotne stadium, które przebyło już jego ciało, i po półminucie usiadł w ludzkiej postaci, mokry od potu, z zeszywniałą ranną nogą.

Chwycił karabin, w komorze naboju znajdował się pocisk. Wstał, nadal oszołomiony, i wszedł po drabinie na pomost prowadzący przez dach węglarki. Podkraść się do lokomotywy i zobaczył maszynistę i pomocnika pracujących w kabinie. Zsunął się po drabinie do środka.

Obydwaj mężczyźni od razu podnieśli ręce do góry, gdy tylko go zobaczyli. Byli kolejarzami, a nie żołnierzami.

- Wyskakiwać! - rozkazał Michael po niemiecku. Wykonał gest karabinem. - Już!

Pierwszy skoczył pomocnik, potoczył się po nasypie w zarośla. Maszynista zawahał się, patrząc szeroko otwartymi ze strachu oczami, aż Michael przyłożył mu lufę sztucera do gardła. Niemiec wolał połamać kości niż dostać kulę w gardło; skoczył z lokomotywy.

Michael pociągnął czerwoną rączkę, redukując prędkość. Wychyliwszy się przez okno, zobaczył, że zbliżają się do mostu na Haweli. W pewnej odległości od niego widać było baszty „Reichkronen”. Równie dobre miejsce jak każde inne. Zmniejszył jeszcze bardziej prędkość pociągu i wspiął się z powrotem na dach węglarki. Lokomotywa zbliżała się do

mostu, jej koła wybijały wolniejszy rytm. Rozległ się pisk zaworu parowego, ale Michael nie miał czasu, żeby się tym martwić. Pociąg zbliżał się do mostu nadal ze sporą prędkością. Podniósł się, przyciskając jedną dłoń do rannego uda. Most zwęził się i w dole rozpostarła się zachęcająca tafla ciemnozielonej wody. Wypluł z ust kawałek skóry, drobiny ciała Sandlera uwięzły mu między zębami. Miał nadzieję, że rzeka pod mostem jest wystarczająco głęboka. W przeciwnym razie czekało go spotkanie z dnem.

Zaczerpnął głęboko powietrza i skoczył.

Ciepłe poranne słońce łagodnie oświetlało twarz Chesny, ale w jej wnętrzu szalała burza. Stała na porośniętym trawą brzegu rzeki na wprost „Reichkronen”, patrząc na łódki płynące na przemian to z prądem, to pod prąd. Siedzący w nich wiosłarze przeczesywali rzekę już od kilku godzin, ale Chesna wiedziała, że sieci wykryją tylko muł i zarośla. Gdziekolwiek był baron, to z pewnością nie na dnie Haweli.

- Powiadam pani, że to kłamstwo - rzekł stojący obok Mysz. Mówił cicho, ponieważ poszukiwania barona von Fange przyciągnęły tłum gapiów. - Dlaczego miałby tutaj przyjść? A poza tym on by się nie upił. Cholera, wiedziałem, że nie powinienem spuszczać go z oka. Ktoś musiał załatwić tego durnia!

Brazowe oczy Chesny obserwowały ruchy łodzi, a lekki wiatr rozwiewał jej złote włosy. Miała na sobie czarną sukienkę, która była jej normalnym ubiorem, a nie strojem żałobnym. Żołnierze przeszukali brzegi rzeki na długości kilku mil, żeby sprawdzić, czy ciało nie zostało wyrzucone na płyciznę. Wiedziała, że to nie ma sensu. Odgrywano przedstawienie, ale kto je zorganizował i dlaczego? Pomyślała o jednej możliwości i aż zakręciło jej się w głowie: został złapany podczas przeszukiwania apartamentu Jerka Bloka i zabrany na przesłuchanie. Być może tak rzeczywiście było, ale pułkownik Blok nie zdradził się z niczym, kiedy powiedział jej rano, że policja została wezwana, aby przeszukać rzekę. Męczyły ją jeszcze inne myśli: jeżeli baron załamałby się na torturach, to mógłby powiedzieć wszystko, co wiedział. Wtedy na jej własną szyję i szyje innych ludzi z organizacji czekałyby pętle z fortepianowych strun. Czy więc powinna tu zostać i odgrywać rolę zamartwiającej się narzeczonej, czy też uciec, kiedy to jeszcze możliwe? Poza tym pozostawała sprawa Frankewitza. Pułkownik Blok powiedział lekarzowi gestapo, że chce, aby Theo von Frankewitz mógł odpowiadać na pytania w ciągu dwunastu godzin. Ten termin niebezpiecznie się zbliżał.

Wiedziała, że sieci nie wydobędą barona von Fange z rzeki. Być może został już schwytany w inną sieć, a kolejna sieć zawisła już nad nią i jej przyjaciółmi. „Muszę uciekać - postanowiła - wymyślić jakąś wymówkę. Dostać się na lotnisko, do mojego samolotu i spróbować uciec do Szwajcarii...”

Mysz obejrzał się przez ramię i aż zadrżał. W ich kierunku szedł pułkownik Blok i jego wielki adiutant w świecących butach. Mysz poczuł się jak gołąb, który ma być za chwilę oskubany i ugotowany. Teraz znał już prawdę, jego przyjaciel baron miał rację. To Hitler był

tym, który zamordował jego żonę i rodzinę, a ludzie tacy jak Jerek Blok stanowili broń Hitlera. Mysz wsunął dłoń do kieszeni swoich doskonale odprasowanych popielatych spodni i dotknął spoczywającego w niej Żelaznego Krzyża. Odznaczenie miało ostre krawędzie.

- Chesna?! - zawołał Blok. Słońce odbijało się od jego srebrnych zębów. - Są jakieś wyniki?

- Nie - odparła, starając się nie okazać niepokoju. - Nie znaleźli nawet buta.

Blok, ubrany w sztywny SS-mański mundur, zatrzymał się przy Chesnie, a Stiefel stanął jak góra za Myszą. Pułkownik pokręcił głową.

- Obawiam się, że go nie znajda. Tu są bardzo mocne prądy. Jeżeli wpadł gdzieś w pobliżu, to może być teraz o wiele mil stąd. Albo mogło go wciągnąć pod zatopioną kłodę, pomiędzy skały, albo... - Dostrzegł bladość Chesny. - Przepraszam, moja droga, nie miałem zamiaru mówić tak dosadnie.

Skinęła głową. Mysz słyszał sapiącego za nim jak miech Stiefela. Krople potu zaczęły spływać mu pod pachami.

- Nie widziałam dzisiaj Harry'ego - zauważyła Chesna. - Wydaje mi się, że mógłby być zainteresowany tą sytuacją.

- Dzwoniłem kilka minut temu do jego apartamentu - odparł Blok - i powiedziałem mu, co się prawdopodobnie stało z baronem. - Zmrużył oczy, chroniąc je przed blaskiem odbitym przez rzekę. - Harry nie czuje się zbyt dobrze. Mówił, że boli go gardło. Zdaje mi się, że zamierza przespać większość dnia... ale poprosił mnie, abym przekazał jego kondolencje.

- Nie wydaje się, by było wiadomo, że baron nie żyje - zauważyła zimno Chesna.

- Nie, nie wiemy tego - zgodził się Blok. - Ale dwaj świadkowie powiedzieli, że widzieli go zataczającego się nad brzegiem rzeki i...

- Tak, tak, wiem to wszystko! Ale nie widzieli, jak wpadł do rzeki, prawda?

- Jednemu z nich wydaje się, że słyszał plusk - przypomniał jej Blok.

Dotknął dłonią łokcia Chesny, lecz ona cofnęła rękę. Palce Bloka zawisły na kilka sekund w powietrzu i zaraz opuścił ramię.

- Wiem, że darzyłaś go dużą sympatią, Chesno. Sądzę, że ty też jesteś bardzo zdenerwowany - zwrócił się do Myszy. - Ale fakty są faktami, nieprawdaż? Jeżeli baron nie wpadł do rzeki i nie utopił się, to gdzie jest?

- Coś mamy! - krzyknął jeden z mężczyzn w łodzi około czterdziestu jardów od brzegu i razem ze swoim towarzyszem zaczął wyciągać sieć. - To coś ciężkiego, nie wiadomo co.

- Pewnie sieć zaczepiła się o zatopiony pień - powiedział

Blok do Chesny. - Obawiam się, że prąd uniósł ciało barona daleko w dół...

Sieć wynurzyła się na powierzchnię. W jej zwojach dostrzegli ciemne od oblepiającego je mułu ciało.

Blok otworzył usta.

- Mamy go! - krzyknął człowiek w łodzi, a Chesna poczuła, jak serce niemal się jej zatrzymuje. - O Boże! - krzyknął ten sam mężczyzna. - On żyje!

Obydwaj żołnierze zaczęli wciągać ciało przez burtę do środka. Oblepiona mułem postać zachlupotała w wodzie i sama wpłynęła do łodzi.

Blok dał trzy kroki do przodu. Zmieszane z wodą błoto mlaskało pod jego butami.

- Niemożliwe - sapnął - to... całkowicie niemożliwe! Gapię, którzy spodziewali się ujrzeć najwyżej namoknięte zwłoki, ruszyli w kierunku przybliżającej się do brzegu łodzi. Człowiek, który właśnie został wydobyty z wodnego grobu, rozgarnął zwoje sieci, żeby uwolnić nogi.

- Niemożliwe - dobiegł uszu Chesny szept pułkownika Bloka. Obejrzał się na Stiefla, twarz miał białą jak papier.

Mysz wydał radosny okrzyk, kiedy zobaczył czarne włosy i zielone oczy wyłowionego mężczyzny i wbiegł do wody w swych wyprasowanych spodniach, by pomóc wciągnąć łódkę.

Kiedy jej dno uderzyło o ziemię, Michael Gallatin wyszedł na brzeg. W butach mu chlupotało, a biała do niedawna koszula oblepiona była błotem. Nadal miał na sobie muszkę.

- O Boże! - powiedział Mysz, wyciągając rękę, aby położyć ją na ramionach Michaela.  
- Myśleliśmy, że pan już nie żyje!

Michael skinął głową, miał szare usta i drżał cały. Woda była dość zimna.

Chesna stała bez ruchu, ale po chwili otrząsnęła się i podbiegła, aby przytulić się do barona. Skrzywił się, opierając na jednej nodze, i objął ją unurzanyymi w mule ramionami.

- Żyjesz, żyjesz! - krzyknęła Chesna. - Och, dzięki Bogu, że żyjesz! - Przywołała do oczu łzy. Pocięły jej po policzkach.

Michael wdychał świeży zapach Chesny. Chłód rzeki uratował go przed omdleniem podczas długiego pobytu w wodzie, ale teraz zmęczenie dawało znać o sobie. Ostatnie sto jardów, a potem krótki odcinek, kiedy płynął pod wodą, żeby zaplątać się w sieci, były okropnym przeżyciem. Ktoś stał za Chesną. Michael podniósł głowę i spojrzał wprost w oczy Jerka Bloka.



- No, no - powiedział pułkownik z cierpkim uśmiechem. - Wrócił pan spośród martwych, prawda? Stiefel, jestem przekonany, że właśnie byliśmy świadkami cudu. W jaki sposób aniołowie odkryli kamień pokrywający pana grób, baronie?

- Zostaw go w spokoju - oburzyła się Chesna. - Nie widzisz, że jest wyczerpany?

- O tak, widzę, że jest wyczerpany, ale nie pojmuję, dlaczego nie umarł. Baronie, zdaje się, że był pan pod wodą prawie sześć godzin. Czy wyrosły panu skrzela?

- Niezupełnie - odpowiedział Michael. Jego ranne udo było zdrętwiałe, ale już nie krwawiło. - Miałem to. - Uniósł prawą dłoń, w której trzymał długą na jakieś trzy stopy trzcinę. - Niestety, byłem nieco nieostrożny. Wypiłem za dużo wczoraj wieczorem i poszedłem na spacer. Musiałem się pośliznąć. W każdym razie wpadłem i prąd mnie porwał. - Otarł błoto z policzka rękawem. - Zdziwiające, jak można otrzeźwieć, kiedy człowiek uświadomi sobie, że jest bliski utonięcia. Coś złapało mnie za nogę. Chyba jakiś konar. Rozcięło mi bardzo dotkliwie udo. Widzi pan?

- I co dalej? - ponaglił go Blok.

- Nie mogłem się oswobodzić i przez to, że miałem uwięzioną nogę, nie mogłem też unieść głowy ponad powierzchnię. Na szczęście leżałem koło trzcin. Wyrwałem jedną z nich, odgryzłem końcówkę i oddychałem przez nią.

- Rzeczywiście szczęśliwy zbieg okoliczności - powiedział Blok. - Czy nauczył się pan tego triku na kursie dla komandosów, baronie?

- Nie, pułkowniku - odpowiedział Michael zszokowanym tonem. - Kiedy byłem skautem.

- I był pan pod wodą przez prawie sześć godzin? Oddychał pan przez jakąś pieprzoną trzcinę?

- Ta pieprzona trzcina, jak pan to ujął, pojedzie ze mną do domu. Może dam ją do pozłocenia i oprawię w ramki. Nikt nie zna swych własnych możliwości, dopóki jego życie nie jest narażone na niebezpieczeństwo, czyż nie mam racji?

Blok miał coś odpowiedzieć, ale zrezygnował. Rozejrzał się po gapiach, którzy podeszli do nich.

- Witamy pośród żywych, baronie - powiedział, patrząc na niego zimnym wzrokiem. - Dobrze by było, gdyby pan się wykapał. Trochę pan cuchnie rybami. - Odwrócił się i odszedł, a Stiefel ruszył za nim. Po chwili pułkownik Blok zatrzymał się nagle i znowu zwrócił się do barona: - Lepiej niech pan się trzyma swojej trzciny. Cuda nie zdarzają się zbyt często.

- Och, niech pan się nie martwi - odparł Michael, czując, że nie może zrezygnować z takiej okazji. - Będę ją trzymał żelazną pięścią.

Blok stał bez ruchu jak skamieniały. Michael poczuł, że Chesna ściska go mocniej ramieniem. Serce jej łomotało.

- Dziękuję panu za troskę, pułkowniku - dodał Michael. Blok nadal się nie ruszał. Michael wiedział, że dwa rzucone przed chwilą słowa kipiały teraz w mózgu pułkownika. Musiał myśleć, czy to przenośnia, czy świadome wyzwanie? Wpatrywali się w siebie przez kilka sekund jak dwie drapieżne bestie. Jeżeli Michael był wilkiem, to Jerka Bloka można by porównać do pantery o srebrnych zębach. Po chwili pułkownik uśmiechnął się blado i skinął głową.

- Życzę panu zdrowia, baronie - powiedział i ruszył w górę w kierunku „Reichkronen”.

Stiefel patrzył wrogo na Michaela jeszcze parę sekund, co wystarczyło, żeby wyrazić jedno: wojna została wypowiedziana - po czym podążył w ślad za pułkownikiem.

Dwaj niemieccy oficerowie, jeden z nich z monoklem w oku, podeszli do Michaela i zaproponowali pomoc w dotarciu do apartamentu. Podpierany przez nich z obu stron, Michael wdrapał się, kulejąc, na brzeg rzeki. Chesna i Mysz szli za nim..

W westybulu hotelu pojawił się poruszony i zaczerwieniony na twarzy dyrektor. Zaczął przeproszać za nieszczęście, które spotkało barona, i zapewniać, że wzdłuż brzegu rzeki zostanie postawiony mur, żeby zapobiec podobnym wypadkom w przyszłości. Zaproponował też usługi hotelowego lekarza, ale Michael odmówił.

- Czy butelka najlepszej brandy, jaką dysponuje hotel, pomogłaby złagodzić rany? - zapytał dyrektor.

Baron odparł, że według niego będzie to doskonałe lekarstwo. Gdy tylko drzwi pokoju Chesny zamknęły się i oficerowie odeszli, Michael położył się na białej leżance.

- Gdzie byłeś? - zapytała Chesna.

- I nie wciskaj nam tu kitu o tych sześciu godzinach pod wodą - wtrącił Mysz. Nalał sobie kieliszek stuletniej brandy i podał drugi Michaelowi. - Co się, do cholery, stało?

Michael połknął brandy, czując się tak, jakby wlewał w siebie ogień.

- Urządziłem sobie przejażdżkę pociągiem. Jako gość Harry'ego Sandlera. On nie żyje, a ja tak. I to wszystko. - Rozwiązał muszkę i zaczął zdejmować poszarpaną koszulę. Czerwone rany po ostrzach brzytwy pokrywały jego ramiona i plecy. - Pułkownik Blok był pewien, że Sandler mnie zabije. Więc możecie sobie wyobrazić jego zaskoczenie.

- Dlaczego Sandler chciałby cię zabić? On nie wie, kim jesteś naprawdę!

- Sandler chce, raczej chciał, poślubić ciebie. Więc starał się jak mógł, żeby usunąć mnie z drogi. Blok przystał na to. Masz sympatycznych przyjaciół, Chesno.

- Blok już niedługo może przestać być moim przyjacielem. Gestapo ma Theo von Frankewitza.

Michael słuchał uważnie, kiedy Chesna opowiadała mu o rozmowie telefonicznej, którą odbył Blok. W świetle tych informacji jego uwaga na temat „Żelaznej Pięści” wyglądała teraz na raczej nie przemyślaną. Był pewien, że Frankewitz będzie śpiewał jak ptaszek, gdy tylko gestapo zacznie nad nim pracować. Mimo że nie znał nazwiska Michaela, to jego oko artysty, choćby nawet mocno podbite, zapamiętało twarz. Taki opis wystarczyłby, aby ich wszystkich dopadło gestapo.

Michael wstał.

- Musimy wyjechać stąd jak najszybciej.

- I dokąd pojedziemy? Za granicę? - zapytał Mysz z nadzieją w głosie.

- Jeśli chodzi o ciebie, to tak, a jeśli chodzi o mnie, niestety nie. - Spojrzał na Chesnę.

- Muszę dostać się do Norwegii. Na wyspę Skarpa. Sądzę, że doktor Hildebrand wynalazł nowy rodzaj broni i teraz wypróbowuje ją na jeńcach wojennych. Nie wiem, co ta broń ma wspólnego z „Żelazną Pięścią”, ale mam zamiar się tego dowiedzieć. Czy możesz mi ułatwić dostanie się tam?

- Nie wiem, potrzebuję czasu, żeby przygotować przerzut.

- Ile czasu?

- Trudno powiedzieć - pokręciła głową - tydzień przynajmniej. Najlepiej byłoby polecieć tam samolotem. Trzeba będzie przygotować miejsca do lądowania, żeby zatankować paliwo. Jeszcze jedzenie i wyposażenie dla nas. Potem z wybrzeża Norwegii musielibyśmy popłynąć łodzią na Skarpę. Takie miejsce będzie pod ścisłą ochroną - miny w wodzie, radar na brzegu i Bóg wie co jeszcze.

- Źle mnie zrozumiałaś - powiedział Michael - ty nie polecisz do Norwegii. Razem z Myszą pojedziecie za granicę. Kiedy tylko Blok zda sobie sprawę z tego, że jestem brytyjskim agentem, wtedy się domyśli, że twoje najlepsze role to nie te znane z ekranu.

- Potrzebujesz pilota - odparła Chesna. - Latam własnym samolotem, odkąd skończyłam dziewiętnaście lat. Mam dziesięcioletnie doświadczenie. Szukanie innego pilota, który zawiózłby cię do Norwegii, byłoby niemożliwością.

Michael przypomniał sobie, jak Sandler mówił, że Chesna sama wykonywała niebezpieczne akrobacje powietrzne w jednym z filmów. Był skłonny uznać, że Chesna van Dorne jest jedną z najbardziej fascynujących kobiet, jakie kiedykolwiek spotkał, a z pewnością jedną z najpiękniejszych. Była tego rodzaju kobietą, która nie potrzebuje mężczyzny, aby nią kierował albo chronił ją przed niebezpieczeństwem. Jak Michael

zauważył, Chesna nie bała się niebezpieczeństw. Nic dziwnego, że Sandler tak bardzo jej pożądał. Jako myśliwy czuł pociąg, żeby ją ujarzmić. Skoro przetrwała tak długo jako tajny agent w sercu obozu nieprzyjaciela, musiała być rzeczywiście kimś wyjątkowym.

- Potrzebujesz pilota - powtórzyła Chesna. Michael nie mógł odmówić jej racji. - Polecę z tobą do Norwegii. Mogę załatwić znalezienie kogoś z łodzią. Od tego momentu będziesz zdany na własne siły.

- A ja? - zapytał Mysz. - Do cholery, ja nie chcę lecieć do Norwegii!

- Wyślę cię rurociągiem - powiedziała Chesna. - Tak nazywamy kanał przerzutowy do Hiszpanii - wyjaśniła, kiedy spojrzał na nią nic nie rozumiejąc. - Kiedy tam się dostaniesz, moi przyjaciele pomogą ci znaleźć drogę do Anglii.

- W porządku, to mi odpowiada. Im szybciej się stąd wydostanę, tym lepiej będę się czuł.

- Więc spakujmy się i znikajmy od razu.

Chesna poszła do swojego pokoju, żeby zacząć się pakować, a Michael wszedł do łazienki i obmył z mułu twarz i włosy. Zdjął spodnie i spojrzał na ranę na udzie. Kula przeszła bezpiecznie, nie naruszając mięśni, ale zostawiła na ciele wyżłobienie o czerwonych brzegach. Wiedział, co trzeba z tym zrobić.

- Mysz - zawołał - przynieś mi brandy!

Spojrzał na swoje ręce. Palce i całe dłonie miał poznaczone cięciami brzytw. Niektóre z nich były głębokie i też wymagały dezynfekcji. Mysz przyniósł mu karafkę. Skrzywił twarz w grymasie, kiedy zobaczył ranę po kuli.

- Weź prześcieradło z mojego łóżka - polecił mu Michael - i przygotuj z niego kilka pasów.

Mysz odszedł, żeby spełnić polecenie.

Michael najpierw umył ręce w brandy. Krzywił się z bólu. Wiedział, że będzie cuchnął jak pijak, ale rany musiały być oczyszczone. Przemył cięcia na ramionach, a potem zajął się raną na udzie. Polał brandy kawałek tkaniny i przyłożył ją do rany, zanim jeszcze zdążył pomyśleć, co go czeka.

Musiał wziąć drugi kawałek tkaniny. Zacisnął go w zębach i dopiero wtedy wylał resztę złotego ognia z karafki na zaczerwienioną ranę.

- Tak, właśnie tego chcę od Frankewitza - mówił Jerek Blok do słuchawki telefonu w swoim apartamencie. - Opisu. Czy kapitan Halder tam jest? To dobry oficer, wie, jak wydobyć odpowiedzi. Proszę powiedzieć kapitanowi, że chcę mieć tę informację już teraz. A

co mnie obchodzi stan Frankewitza?! - parsknął z irytacją. - Powiedziałem, że chcę tej informacji już teraz. W tym momencie. Zostanę przy telefonie. - Usłyszał otwierane drzwi i obejrzał się na wchodzącego Stiefela. - O co chodzi? - zapytał.

- Pociąg herr Sandlera nie przejechał jeszcze przez stację towarową. Ma ponad dziesięć minut opóźnienia. - Stiefel dowiedział się o tym chwilę wcześniej, rozmawiając ze znajdującego się na dole telefonu z naczelnikiem stacji.

- Sandler powiedział mi, że zabiera barona do pociągu. Jednak pociąg nadal jeździ, a baron von Fange wynurza się z rzeki jak jakaś ropucha! Jak to według ciebie wygląda, Stiefel?

- Nie wiem, proszę pana. Jak pan powiedział, to jest niemożliwe.

Blok chrząknął i pokręcił głową.

- Oddychał przez pustą trzcinę! Ten człowiek ma tupet, to muszę mu przyznać! Stiefel, mam w tej sprawie bardzo złe przeczucia. - Ktoś zgłosił się po drugiej stronie linii. - Czekam na rozmowę z kapitanem Halderem - wyjaśnił Blok. - Tu mówi pułkownik Jerek Blok! Wynosić się z połączenia!

Czerwone plamy pokazały się na bladych policzkach Bloka. Zabębnił palcami po blacie biurka, sięgnął po wieczne pióro i kartkę niebieskiego papieru listowego z wytłoczoną nazwą hotelu. Stiefel stał obok, splótłszy ręce przed sobą, i czekał na kolejny rozkaz pułkownika.

- Halder? - powiedział Blok po chwili. - Czy ma pan to, czego potrzebuję? - Przez chwilę słuchał w milczeniu. - Nie obchodzi mnie to, czy on umiera! Czy wydobył pan tę informację? W porządku, niech pan mi powie, co pan ma. - Wziął do ręki pióro i zatrzymał je nad papierem. Po chwili zaczął pisać: „Elegancko ubrany mężczyzna. Wysoki. Szczupły. Blondyn. Brązowe oczy”. - Co? Niech pan to powtórzy - polecił i dopisał: „Prawdziwy dżentelmen”. - Co to ma znaczyć? Tak, wiem, że pan nie czyta w cudzych myślach. Niech pan słucha, Halder, proszę do niego wrócić i jeszcze raz z nim to omówić. Niech pan doloży starań, żeby nie kłamał. Niech pan mu powie... o, niech pan mu powie, że możemy wstrzyknąć mu coś, co może utrzymać go przy życiu, o ile będziemy mieli pewność, że mówi prawdę. Niech pan chwilę poczeka. - Przyłożył rękę do mikrofonu słuchawki i spojrzał na Stiefela. - Masz klucz do apartamentu Sandlera?

- Tak jest - odpowiedział SS-man, wyciągając klucz z kieszeni.

- Daj mi go. - Blok wziął klucz. Obiecał Sandlerowi, że nakarmi rano Blondi kawałkiem surowego mięsa. Był jednym z nielicznych ludzi, których wydawała się słuchać. Przynajmniej było wiadomo, że nie rzuci się na niego, gdy otworzy drzwi i klatka odemknie

się dzięki zastawionej pułapce. - W porządku, Halder - Blok wrócił do rozmowy. - Niech pan omówi z nim to wszystko jeszcze raz, a potem zadzwoni do mnie. Jestem w „Reichkronen”. - Podał Halderowi numer telefonu i odłożył słuchawkę.

Wziął do ręki kartkę z notatkami. „Blondyn, brązowe oczy”. Jeśli to była prawda, to z pewnością nie odpowiadało to rysopisowi barona. „O czym ja myślę? - zdziwił się w duchu. - Że baron jest jakoś w to zamieszany? I być może Chesna? To śmieszne”. Pamiętał jednak, jak wzmianka barona o „Żelaznej Pięści” niemal powaliła go z nóg. Oczywiście to były tylko dwa słowa. Zwykle dwa słowa, których każdy mógł użyć. Ale baron... coś było z nim nie tak. A teraz jeszcze ten pociąg Sandlera jadący niezgodnie z rozkładem i baron wyłowiony z rzeki. Przecież został zabrany do pociągu Sandlera.

- Muszę nakarmić tego cholernego ptaka - powiedział Blok. Surowe mięso czekało w lodówce w kuchni Sandlera. - Zostań tutaj i odbierz telefon, gdyby ktoś dzwonił - polecił Stieflowi. Wyszedł z apartamentu i skierował się do drzwi na końcu korytarza.

Wilhelm, kierowca Chesny, wyprowadził mercedesa z garażu „Reichkronen” na dziedziniec i gdy z Myszą pakował walizki do bagażnika, Chesna i Michael zatrzymali się w westybulu, żeby się pożegnać z dyrektorem hotelu.

- Tak mi przykro z powodu tego okropnego wypadku - powiedział dyrektor, gestykulując żywo. - Mam nadzieję, że jeszcze pan powróci do „Reichkronen”, baronie.

- Bardzo chętnie - odparł Michael. Był czysty i świeżo ogolony. Na sobie miał granatowy garnitur w prążki, białą koszulę i krawat w szare paski. - Poza tym ten wypadek to moja wina. Niestety... byłem trochę za bardzo rozluźniony, kiedy się przechadzałem nad rzeką.

- Och, dzięki Bogu za pana przytomność umysłu! Mam nadzieję, że brandy była dobra?

- Och, tak, doskonała, dziękuję. - W apartamencie Chesny został kawałek flaneli, przegryziony prawie na dwie części, natomiast oddarty z prześcieradła pas był teraz na udzie Michaela jako opatrunek.

- Fräulein van Dorne, życzę pani i baronowi wszystkiego najlepszego - powiedział dyrektor ze sztywnym ukłonem.

Chesna podziękowała mu i wsunęła w dłoń hojny napiwek.

Idąc pod rękę Chesna i Michael przeszli przez westybul. Mieli już ustalone plany, które nie dotyczyły wspólnego wyjazdu na miesiąc miodowy, ale lotu do Norwegii. Michael odczuwał coraz większą presję. Był dwudziesty czwarty kwietnia, a Chesna powiedziała, że będzie potrzebny przynajmniej tydzień, żeby jej antyfaszystowska sieć przygotowała miejsca do tankowania samolotu i przedsięwzięła odpowiednie środki bezpieczeństwa. Jeśli wziąć pod uwagę, że aliancka inwazja na Europę miała nastąpić w pierwszym tygodniu czerwca, to czas mógł odgrywać tutaj krytyczną rolę.

Byli prawie przy frontowych drzwiach, kiedy Michael dosłyszał łomot ciężkich kroków dochodzący zza ich pleców. Napiął mięśnie, aż Chesna poczuła przepływające przez jego ciało fale. Czyjaś ręka chwyciła go za ramię i zatrzymała dziesięć stóp od wyjścia. Michael odwrócił się i spojrzał w pozbawioną wyrazu kwadratową twarz Stiefla. Wielkolud zwolnił uścisk.

- Przepraszam bardzo, baronie, fräulein - powiedział - ale pułkownik Blok chciałby z państwem zamienić kilka słów.

Blok podszedł do nich uśmiechnięty, z rękami w kieszeniach.

- Ach, dobrze! Stiefel złapał was, zanim jeszcze zdążyliście uciec. Nie miałem pojęcia, że wyjeżdżacie. Dowiedziałem się o tym, kiedy próbowałem się dodzwonić do twojego apartamentu, Chesno.

- Zdecydowaliśmy się około godziny temu - odparła. W jej głosie nie było śladu zdenerwowania.

„Prawdziwa profesjonalistka” - pomyślał Michael.

- Naprawdę? No cóż, nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony. To znaczy: z powodu tego incydentu. - Jego szare, jaszczurcze oczy przesunęły się na Michaela i z powrotem na Chesnę. - Ale z pewnością nie planowaliście wyjechać bez pożegnania się mną. Zawsze myślałem o tobie jako o członku mojej rodziny, Chesno - powiedział z jeszcze szerszym uśmiechem. - Może jestem wujkiem, który się trochę za bardzo miesza do twoich spraw. Prawda? - Wyjął prawą rękę z kieszeni. Pomiedzy kciukiem i palcem wskazującym trzymał złote pióro. Michael rozpoznał je i poczuł, jak ścisną go w żołądku. Blok uśmiechał się, wachlując się piórem sokoła. - Byłbym zaszczycony, gdybym mógł zaprosić was oboje na lunch. Z pewnością nie zamierzaliście wyjechać przed posiłkiem, prawda? - Poruszał piórem w tę i z powrotem, tak jak kot porusza wąsami.

Chesna nie dała poznać po sobie niczego, chociaż serce jej przyspieszyło i przeczuwała katastrofę.

- Mój samochód jest przygotowany do drogi. Naprawdę musimy jechać.

- Nigdy ci się nie zdarzyło, żebyś zrezygnowała z przyjemnego lunchu, Chesno. Być może zaraziłaś się nieco zwyczajami barona.

Michael postanowił przejąć inicjatywę. Wyciągnął rękę.

- Pułkowniku Blok, było mi bardzo przyjemnie pana poznać. Mam nadzieję, że będzie pan na naszym ślubie.

Blok ujął dłoń Michaela i potrząsnął nią.

- Och, tak - odpowiedział. - Są dwie okazje, których nigdy nie przepuszczam: śluby i pogrzeby.

Michael i Chesna przeszli przez drzwi i zaczęli schodzić po granitowych stopniach. Pułkownik i Stiefel ruszyli za nimi. Mysz czekał, trzymając otwarte drzwi mercedesa, a Wilhelm właśnie wkładał ostatnią walizkę do bagażnika.

„Blok usiłuje nas opóźnić - pomyślał Michael. - Ale dlaczego?” Było oczywiste, że pułkownik znalazł martwą Blondi i inne ślady świadczące o włamaniu do apartamentu Sandlera. Jeżeli miał zamiar dokonać aresztowania, to dlaczego nie zrobił tego do tej pory?



Michael odprowadził Chesnę pod drzwi mercedesa. Blok podążał za nimi krok w krok. Michael czuł, że Chesna drży. Ona także wiedziała, że ich rozgrywka znalazła się w niebezpiecznym punkcie.

Chesna miała już wsiąść do samochodu, kiedy Blok wyciągnął rękę i chwycił ją za łokieć. Spojrzała na niego, mrużąc oczy przed oślepiającymi promieniami słońca.

- To za stare, dobre czasy. - Blok pochylił się i pocałował ją lekko w policzek.

- Do zobaczenia, Jerek - powiedziała Chesna, odzyskując panowanie nad sobą. Wsiadła do samochodu, a Mysz zamknął za nią drzwi, po czym przeszedł na drugą stronę, żeby otworzyć drzwi przed Michaeliem. Blok ruszył za nim, a Stiefel stał kilka jardów od wozu.

- Było mi bardzo przyjemnie poznać pana, baronie. Michael wsiadł do mercedesa, ale Blok przytrzymał drzwi.

Wilhelm zajął miejsce za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki.

- Mam nadzieję, że pan i Chesna będziecie zadowoleni z przyszłości, którą sobie wybraliście.

Spojrzał w kierunku wjazdu na dziedziniec. Michael już to usłyszał: niski warkot pojazdu zbliżającego się do zamku po moście pontonowym.

- Och, zapomniałem o czymś - powiedział Blok, odsłaniając w uśmiechu srebrne zęby.

- Służący Sandlera zdołał zatrzymać pociąg. Znaleźli też jego ciało. Biedaczysko, jakiś zwierzak już dobrał się do niego. Niech mi pan to wyjaśni, baronie. Jak ktoś taki jak pan, rozpieszczony cywil bez wojskowego doświadczenia, mógł zabić Harry'ego Sandlera? No, oczywiście, jeśli jest pan tym, za kogo się podaje? - Wsunął dłoń pod swą czarną SS-mańską marynarkę i w tej samej chwili przez bramę wjechała ciężarówka z tuzinem żołnierzy na platformie.

Michael nie miał czasu na odgrywanie roli obrażonego barona. Kopnął Bloka w brzuch, przewracając go na bruk, ale pułkownik miał już w ręku pistolet. Mysz zobaczył błysk lufy lugera wycelowanej w barona i coś rozpałiło się w jego wnętrzu. Podskoczył do przodu i kopnął SS-mana w trzymającą pistolet dłoń.

Rozległ się suchy trzask i pistolet wypalił, ale w tej samej chwili uderzona kopniakiem dłoń Bloka otworzyła się i luger wypadł z niej na bruk.

Stiefel ruszył do akcji. Michael wychylił się z samochodu, chwycił Mysz i wciągnął go do środka.

- Jedź! - krzyknął do Wilhelma i szofer przycisnął pedał gazu.

Mercedes skoczył do przodu, a Michael zatrzasnął drzwi. W tej samej chwili uderzył w nie podkuty but, wygniatając w blasze dół wielkości talerza.

- Bierz pistolet! Bierz pistolet! - krzyknął Blok, podnosząc się na nogi.

Stiefel podbiegł do lugera i chwycił go w dłoni.

Kula uderzyła w tylną szybę pędzącego przez dziedziniec mercedesa, obsypując jego pasażerów odłamkami szkła.

- Zatrzymajcie ich! - rozkazał Blok żołnierzom. - Zatrzymajcie ten samochód!

Kule posypały się za mercedesem. Jeden z pocisków przebił lewą tylną oponę. Przednia szyba też rozpadła się na kawałki. Z wyciem silnika mercedes jechał już po moście pontonowym. Przez wybitą przez kulę dziurę w masce tryskał strumień pary. Michael obejrzał się i zobaczył kilku biegnących za nimi żołnierzy. Ciężarówka zawracała na dziedzińcu. Rozległy się strzały karabinów i pistoletów maszynowych i mercedes zatrząsł się od uderzeń kul. Dojechał do drugiego brzegu rzeki i w tej chwili pękła prawa tylna opona, a na masce pokazały się języki ognia.

- Zatrzymaj silnik! - krzyknął Wilhelm, widząc, jak błyskawicznie spada strzałka wskaźnika oleju, a poziom temperatury wznosi się powyżej czerwonej kreski. Tył samochodu zarzucało to w prawo, to w lewo i Wilhelm nie był już w stanie panować nad kierownicą.

Mercedes zjechał z drogi, wpadając w las, stoczył się po zboczu i uderzył w gęste zarośla. Wilhelm naciskał na pedał hamulca. Wóz prześliznął się obok dębu i zatrzymał w zagajniku młodych iglaków.

- Wszyscy wysiadać! - zawołał Wilhelm. Otworzył swoje drzwi, chwycił za podłokietnik i odsunął znajdującą się pod nim zapadkę. Skórzana tapicerka odpadła, odsłaniając schowek z pistoletem maszynowym i trzema magazynkami amunicji.

Wysiadając z samochodu, Michael wyciągnął za sobą Mysz. Chesna otworzyła schowek pod tylnym siedzeniem i wydobyla z niego lugera.

- Tędy! - zawołał Wilhelm, pokazując ręką w dół stoku, ku jeszcze gęstszym zaroślom.

Rzucili się w tym kierunku, z Chesna na czele. Po około czterdziestu sekundach wybuchł zbiornik paliwa mercedesa, obrzucając teren wokół kawałkami metalu i szkła. Michael poczuł zapach krwi. Spojrzał na swoje dłonie i zauważył plamy na palcach prawej ręki. Rzucił okiem przez ramię i zobaczył, że Mysz osuwa się na kolana.

„Strzał Bloka” - pomyślał Michael. Koszula Myszy tuż pod sercem była mokra od krwi. Jego pobladła twarz świeciła kropelkami potu.

Michael przykląkł przy nim.

- Możesz wstać? - zapytał drżącym głosem. Mysz jęknął, oczy miał wilgotne.

- Nie wiem. Spróbuję. - Usiłował stanąć, ale ledwie się wyprostował, ugięły się pod nim kolana. Michael chwycił go i podtrzymał, nim zdążył upaść.

- Co się stało? - Chesna zatrzymała się i wróciła do nich. - Czy on... - ucichła, zobaczywszy krew na koszuli Myszy.

- Zbliżają się! - powiedział Wilhelm. - Są zaraz za nami. Wpatrując się w las, odbezpieczył trzymany na wysokości bioder pistolet maszynowy.

Usłyszeli głosy zbliżających się żołnierzy.

- Och, nie - zamrugął oczami Mysz - nie, ale namieszałem. Taki ze mnie kamerdyner.

- Będziemy musieli go zostawić! - powiedział Wilhelm. - Szybciej!

- Nie zostawię mojego przyjaciela - zaprotestował Michael.

- Nie bądź głupcem. - Wilhelm spojrział na Chesnę. - Ja uciekam bez względu na to, czy on zabiera się z nami, czy nie. - Obrócił się i pobiegł w las, oddalając się od nadchodzącego pościgu.

Chesna spojrzała w górę stoku. Zobaczyła czterech czy pięciu żołnierzy przeciskających się przez zarośla.

- Cokolwiek masz zamiar zrobić - powiedziała do Michaela - zrób to szybko.

I zrobił. Strażackim chwytem podniósł Mysz i razem z Chesną pobiegł w kierunku drzew.

- Tędy, tutaj! - usłyszeli głos jednego z żołnierzy wołającego do swoich towarzyszy. Przed nimi rozległ się klekot pistoletu maszynowego. Odpowiedziały mu liczne wystrzały karabinowe. - Trafiliśmy jednego! - krzyknął któryś ze ścigających.

Chesna przykucnęła za pniem drzewa, a Michael stanął za nią. Wskazała mu coś ręką, ale Michael już wcześniej to zobaczył. Tuż przed nimi na polanie dwaj żołnierze z karabinami stali nad zwijającym się z bólu na ziemi Wilhelmem. Chesna uniosła pistolet, wycelowała dokładnie i nacisnęła spust. Trafiony żołnierz zachwiał się, dając krok do tyłu z dziurą w sercu i upadł. Drugi żołnierz, ostrzeliwując się na oślep, rzucił się do ucieczki. Chesna z zaciętą twarzą strzeliła do niego i trafiła go w biodro. Zanim zdążył upaść, jej następna kula przeszła mu gardło. Chesna, profesjonalna zabójczyni w eleganckiej czarnej sukni, podniosła się i podbiegła do Wilhelma. Michael ruszył za nią i szybko doszedł do tego samego wniosku co Chesna. Wilhelm został trafiony w brzuch i klatkę piersiową i nie było dla niego już nadziei. Jęczał i wił się, zaciskając oczy z bólu.

- Przykro mi - szepnęła Chesna i przybliżyła lufę lugera do głowy Wilhelma. Zastoniła twarz drugą ręką i pociągnęła za spust, kończąc jego męki.

Schyliła się po pistolet maszynowy i włożyła lugera Michaelowi za pasek. Gorąca lufa oparzyła go w brzuch. Brązowe oczy Chesny były wilgotne i zaczerwienione, ale twarz miała spokojną i opanowaną. Jeden z jej obcasów złamał się, więc zdjęła obydwa buty i odrzuciła je pomiędzy drzewa.

- Chodźmy - powiedziała sucho i ruszyła do przodu. Michael z Myszą na ramionach dotrzymywał jej kroku, mimo że znowu otworzyła mu się rana na udzie. Pokonywał wyczerpanie tylko dzięki temu, że wiedział, co się z nimi stanie, kiedy dostaną się w ręce gestapo. Wszelka nadzieja na wyjaśnienie zagadki „Żelaznej Pięści” i przekazanie informacji aliantom byłaby stracona.

Coś poruszyło się na lewo od nich. Dostrzegli błysk słońca na klamrze żołnierskiego pasa. Chesna obróciła się i posłała w tym kierunku serię. Żołnierz rzucił się na ziemię.

- Tutaj! - zawołał i wystrzelił dwie kule, które odbiły się od drzew obok Chesny i Michaela. Oboje zmienili kierunek i rzucili się dalej biegiem.

Coś nadleciało ku nim, uderzyło w pień drzewa za ich plecami i spadło na ziemię. Trzy sekundy później rozległa się ogłuszająca eksplozja. Suche liście wzleciały w powietrze. Z ziemi podniósł się gęsty obłok białego dymu. „Granat dymny - pomyślał Michael - znaczą, gdzie się znajdujemy”.

Chesna parła do przodu przez kolczaste zarośla, osłaniając twarz dłońmi. Z tyłu po lewej i prawej stronie rozległy się krzyki ścigających. Kolejna kula przeleciała z jękiem koło ich głów jak rozwścieczony szerszeń. Chesna z twarzą podrapaną przez kolce zatrzymała się na skraju drogi, na której stanęły właśnie dwa kolejne samochody ciężarowe. Siedzący na nich żołnierze zaczęli zeskakiwać na ziemię. Chesna dała znak Michaelowi, żeby się wycofał, i skierowała się w inną stronę. Przedarli się przez gęste zarośla na szczycie wzgórza i zagłębili w wąwóz.

Na brzegu zbocza ukazali się trzej żołnierze. Ich sylwetki rysowały się na tle słońca. Chesna nacisnęła spust swojego pistoletu maszynowego, trafiając dwóch z nich. Trzeci rzucił się do ucieczki. Kolejny granat dymny eksplodował po prawej stronie i gryzący biały dym wypełnił wąwóz. „Psy gończe zacieśniają dystans” - pomyślał Michael. Czuł, jak pędzą, przemykając od cienia do cienia, i ślinią się z wycelowanymi w kierunku swych ofiar karabinami. Chesna biegła dnem wąwozu, raniąc stopy o kamienie, ale nie zatrzymywała się ani też nie zważała na ból. Michael był tuż za nią. Dym otaczał ich ze wszystkich stron.

Mysz nadal oddychał, ale plecy Michaela były mokre od krwi. Wśród drzew po lewej stronie rozległ się głuchy odgłos wybuchu kolejnego granatu dymnego. Stada kraczących czarnych wron wzlatywały nad wierzchołki drzew.

Na stoku wzgórza pojawiły się sylwetki żołnierzy zbiegających w obłok dymu. Zauważywszy to, Chesna powstrzymała ich pośpieszną serią. Pocisk karabinu odbił się rykoszetem o skałę obok niej i odpryski kamienia zraniły ją w prawą rękę. Rozejrzała się dokoła. Miała twarz mokrą od potu i dzikie oczy. Michael dostrzegł w nich strach schwytanego w pułapkę zwierzęcia. Pobieгла dalej, pochylając się. Michael podążał za nią na odmawiających posłuszeństwa nogach.

Wąwóz skończył się i znowu przed nimi rozpościerał się las. Pomiędzy drzewami wił się strumień o porośniętych mchem brzegach. Z przodu widać było zakręt drogi, a pod nią kamienny przepust, przez który przepływał strumień. Otwór przepustu był niemal całkiem zapchany przez muł i rośliny. Michael obejrzał się i zobaczył żołnierzy wyskakujących z zadymionego wąwozu. Inni zbiegali ze stoku, kryjąc się za pniami drzew. Chesna przyklęła, starając się wcisnąć w pełen mułu przepust.

- Tutaj - ponagliła go - szybko!

Otwór był bardzo ciasny. Michael wiedział, że w żaden sposób nie zdoła przecisnąć się razem z Myszą, zanim dopadną ich żołnierze. Podjął błyskawiczną decyzję. Kiedy Chesna, leżąc na brzuchu, wciskała się w przepust, Michael obrócił się i wybiegł ze strumienia, kierując się w las. Chesna wcisnęła się głębiej, a muł i rośliny wodne zamknęły za nią otwór.

Kula karabinu odłamała gałązkę sosny nad głową Michaela. Biegł zygzakiem pomiędzy drzewami. Skręcił, kiedy na wprost niego eksplodował kolejny granat. „Ci myśliwi znają swoją robotę” - pomyślał. Jego płuca pracowały ciężko. Czuł, że opuszczają go siły. Przenarł się przez gęste zarośla prześwietlone złotymi promieniami słońca i z wysiłkiem wspiął się na grzbiet wzgórza. Zbiegł z drugiej strony, pośliznął się na warstwie starych liści i wpadł w splątane kolczaste zarośla, chwytające jego i Mysz za ubrania i ciało.

Szarpał się, usiłując wyrwać się z zarośli. Zobaczył, że żołnierze nadchodzą ze wszystkich stron. Popatrzył na Mysz i dostrzegł krew wydobywającą się z jego ust.

- Proszę... Proszę - jęknął Mysz. - Proszę... Nie dopuść, żeby mnie torturowali...

Michael wyciągnął lugera zza paska i pierwszym strzałem trafił jednego z żołnierzy. Pozostali padli na ziemię. Jego kolejne dwa strzały chybiły celu, kule tylko przeleciały między drzewami, ale następny pocisk odbił się od niemieckiego hełmu. Michael wycelował w bielejącą wśród drzew twarz i nacisnął spust. Nic. Magazynek lugera był pusty.

Pociski z pistoletów maszynowych siekły po zaroślach, obrzucając Michaela i Mysz ziemią.

- Nie zabijać ich, idioci! - usłyszeli czyjś krzyk. To Jerek Blok krył się gdzieś za drzewami na stoku. - Rzuć broń, baronie! - zawołał znowu Blok. - Jesteście otoczeni! Jedno moje słowo i posiekają was na kawałki!

Michael był oszołomiony i bliski omdlenia. Spojrzał znowu na Mysz, przeklinając się za wciągnięcie przyjaciela w tę śmiertelną pułapkę. W oczach Myszy widać było niemałą prośbę. Michael przypomniał sobie wzrok Nikity, kiedy dawno, dawno temu ranny wilk leżał przy torach kolejowych.

- Czekam, baronie! - zawołał Blok.

- Nie, nie... Nie pozwól, żeby mnie torturowali - wyszeptał Mysz. - Nie wytrzymałbym tego. Powiedziałbym im wszystko. Ja... nie umiałbym się powstrzymać. - Chwył rękę Michaela pokaleczoną przez kolce dłonią, a na jego ustach pojawił się słaby uśmiech. - Wiesz... właśnie pomyślałem... że nawet nie powiedziałeś mi, jak się naprawdę nazywasz.

- Michael.

- Michael - powtórzył Mysz. - Tak jak ten anioł.

„Może anioł ciemności - pomyślał Michael. - Anioł, dla którego zabijanie jest drugą naturą”. Nagle uświadomił sobie, że podobnie jak wilkołak nigdy nie umiera ze starości, tak samo będzie z człowiekiem, którego znał jako Mysz.

- Baronie! Pięć sekund i zaczynamy strzelać!

Michael wiedział, że gestapo znajdzie sposób, by podtrzymać Mysz przy życiu. Naszpikują go lekarstwami, a potem zamęczą. Byłaby to straszna śmierć. Michael wiedział, że i jego czeka ten sam los, ale ból nie był mu obcy. Wiedział też, że jeżeli zostanie chociaż cień szansy na kontynuację jego misji, to będzie musiał postarać się ją wykorzystać.

Więc niech tak będzie. Michael odrzucił lugera i broń upadła ze szczękiem na kamienie.

Przyłożył ręce do skroni Myszy i napiął mięśnie. Z oczu popłynęły mu łzy, znacząc palące ścieżki na podrapanych policzkach. „Anioł - pomyślał z goryczą. - Och, tak. Przeklęty anioł”.

- Czy... zajmiesz się mną? - zapytał Mysz bliski utraty przytomności.

- Tak, zajmę się.

Po chwili znowu rozległ się głos Bloka:

- Wyczołgać się na otwartą przestrzeń, obydawaj!

Z zarośli wynurzyła się jedna postać. Brudny, krwawiący i wyczerpany Michael opierał się na dłoniach i kolanach. Otoczyło go sześciu żołnierzy uzbrojonych w karabiny. Blok podszedł do niego ze Stieblem za plecami.

- Gdzie ten drugi? - zapytał, spoglądając w kierunku zarośli, i zobaczył leżące bez ruchu ciało. - Wyciągnijcie go - rozkazał dwóm żołnierzom.

Obydwaj zagłębili się w zarośla.

- Wstawać! - powiedział Blok do Michaela. - Słyszysz mnie, baronie?

Michael podniósł się powoli i spojrzał z nienawiścią w twarz pułkownika.

- A gdzie jest ta suka? - zapytał Blok.

Michael nie odpowiedział. Skrzywił się tylko, słysząc odgłos rozrywających się na kolcach ubrań. Żołnierze wlekli po ziemi ciało Myszy.

- Gdzie ta suka? - powtórzył Blok, przykładając lufę pistoletu pod lewym okiem Michaela.

- Przestań pieprzyć. I tak mnie nie zabijesz - rzucił Michael po rosyjsku.

Blok pobladł jak ściana.

- Co on powiedział? - Pułkownik rozejrzał się, oczekując, że ktoś przetłumaczy mu słowa Michaela. - To było po rosyjsku, prawda? Co on powiedział?

- Powiedziałem - mówił dalej Michael w swym ojczystym języku - że ssiesz osłe kutasy i gwizdziesz dupą.

- Co on, do cholery, powiedział? - powtórzył Blok. Popatrzył z gniewem na Stiefła. - Byłeś na froncie wschodnim! Co on powiedział?

- Myślę... że powiedział... że ma osła i koguta, który śpiewa.

- On sobie próbuje żartować czy zwariował?

Michael szczerknął gardłowo, aż Blok cofnął się o dwa kroki.

Jeden z żołnierzy usiłował rozewrzeć zaciśnięte palce Myszy. Nie poddawały się. Stiefel podszedł, podniósł nogę i przygniótł butem martwą rękę. Palce pękły jak zapałki. Michael patrzył wstrząśnięty, jak Stiefel naciska całym swym ciężarem na rękę Myszy. Olbrzym podniósł but, odsłaniając zmiażdżone i połamane palce jego przyjaciela. W rozwartej dłoni spoczywał Żelazny Krzyż.

Stiefel pochylił się, by wziąć odznaczenie do ręki.

- Jeżeli tego dotkniesz, to cię zabiję - powiedział Michael po niemiecku.

Jego pewny głos sprawił, że Stiefel się zawahał. Zamrugał niepewnie, zawieszając w powietrzu rękę, w którą chciał wziąć ostatnią własność zabitego. Michael wpatrywał się w

niego, czując, jak w żyłach narastają mu gorące, dzikie prądy. Był bliski przemiany... tak bardzo bliski. Gdyby zechciał, miałby ją w zasięgu ręki...

Blok zamachnął się i uderzył Michaela w jądra kolbą pistoletu. Gallatin jęknął z bólu i osunął się na kolana.

- Ależ, baronie - napomniał go Blok. - Pogróżki nie przystoją wysoko urodzonym, zgadza się pan z tym? - Skinął na Stiefła, który wziął Żelazny Krzyż do ręki. - Baronie, poznamy się nawzajem bardzo dobrze. Może pan się nauczyć śpiewać wysokim głosem, zanim skończę z panem. Podnieść go! - powiedział do dwóch żołnierzy, którzy posłusznie wykonali rozkaz.

Michael zgiął się wpół od paralizującego bólu w kroczu. Nawet gdyby przemienił się w wilka, to nie uciekłby zbyt daleko. Upadłby z wyczerpania. Nie był to odpowiedni czas ani odpowiednie miejsce. Pozwolił, żeby dzikie prądy opuściły go jak zanikające echo.

- No, chodźmy, mamy kawałek do przejścia.

Blok ruszył w górę wzgórza, a żołnierze podążyli za nim, popychając przed sobą Michaela. Inni szli po obu jego stronach, trzymając broń w pogotowiu. Stiefel kroczył w pewnej odległości za nimi, z Żelaznym Krzyżem w ręce. Dalej kilku żołnierzy wlokło za sobą w kierunku drogi ciało Myszy. Michael już nie oglądał się na niego. Jego przyjaciel odszedł i nie groziły mu tortury.

Blok spojrział na błękitne niebo i odsonił w uśmiechu swe srebrne zęby.

- O, co za piękny dzień, prawda? - powiedział.

Postanowił pozostawić oddział żołnierzy, aby kontynuowali poszukiwanie Chesny. Nie miał wątpliwości, że szybko znajdą tę sukę. Nie mogła uciec daleko. Mimo wszystko była tylko kobietą. Serce go bolało, że okazał się takim durniem, ale cieszył się, że dostanie Chesnę w swoje ręce. Uważał się za jej dobrotliwego wujaszka, kiedy sądził, że jest lojalną nazistką. Teraz jednak taka zdrada zasługiwała na mniej pobłażliwe traktowanie. Już on to potrafi? Ależ co za skandal! Trzeba to utrzymać w tajemnicy przed gazetami za wszelką cenę! Tak samo przed szpiegującymi oczami i uszami Himmlera. A więc dokąd wziąć barona na przesłuchanie?

„Ach, oczywiście - pomyślał - oczywiście!” Patrzył, jak żołnierze wpychają barona na platformę ciężarówki i zmuszają go do położenia się na plecach, z rękami podwiniętymi pod ciało. Jeden z nich siadł obok i przyłożył mu lufę karabinu do gardła.

Blok podszedł do kierowcy, żeby udzielić mu instrukcji. Pozostali w lesie żołnierze kontynuowali poszukiwania złotowłosej pupilki Niemiec.





Michael powonieniem wyczuł cel podróży, zanim go zobaczył. Nadal leżał bez ruchu na plecach na metalowej podłodze ciężarówki, z przyciśniętymi pod sobą dłońmi. Wokół niego siedzieli uzbrojeni żołnierze. Platforma była okryta zielonym brezentem. Promienie słońca wpadały do środka tylko przez szpary. Stracił poczucie kierunku, chociaż wiedział, że nie jadą w stronę miasta, gdyż droga była zbyt nierówna jak na wymagania cywilnych berlińskich kierowców. Nie, ta droga przeszła tortury pod kołami ciężarówek i innych ciężkich pojazdów. Czuł ból w mięśniach za każdym razem, kiedy koło, uderzając o wybój, wstrząsało platformą.

Coraz bardziej intensywna woń wnikała pod brezent. Żołnierze też ją wyczuli, niektórzy z nich poruszali się niespokojnie i szeptali do kolegów. Zaznał kiedyś czegoś podobnego w Afryce Północnej, kiedy natknął się na zwłoki grupy brytyjskich żołnierzy trafionych z miotacza płomieni. Kiedy raz poczuje się słodkawy zapach nadpalonego ludzkiego ciała, to już nigdy nie można go zapomnieć. Tym razem Michael czuł też woń spalonego drewna. „Sosnowe drewno - pomyślał. - Pali się bardzo szybko i daje wysoką temperaturę”.

Jeden z żołnierzy wstał i rzucił się na tył ciężarówki, żeby zwymiotować. Michael usłyszał, jak dwaj inni żołnierze wymieniają szeptem nazwę „Falkenhausen”.

Już wiedział, dokąd jadą. Do obozu koncentracyjnego Falkenhausen. Do ukochanego dziecka Bloka.

Zapach zniknął. Michael pomyślał, że musiał się zmienić kierunek wiatru. Ale co, na Boga, tam się paliło?

Ciężarówka zatrzymała się i przez chwilę stała bez ruchu. Przez głuchy warkot silnika Michael dosłyszał odgłosy stukania młotkami. Po chwili ciężarówka podjechała około stu jardów i znowu się zatrzymała.

- Wyprowadzić więźnia! - zawołał czyjś ochryply głos. Odsunięto brezent. Michael został wyciągnięty z ciężarówki wprost w jasne światło słońca i postawiony przed majorem Waffen SS. Był to otyły mężczyzna o mięsistej, rumianej twarzy i oczach tak białych jak diamenty, chociaż nie było w nich ani odrobiny blasku. Miał na sobie czarny mundur, który niemal pękał w szwach, i czarną czapkę z płaskim daszkiem. Jego włosy przystrzyżone były krótko przy skórze. Na pasie miał kaburę z walterem i pałkę z twardej gumy.

Michael rozejrzał się. Zobaczył drewniane baraki i mury z czarnego kamienia, a za nimi zielone wierzchołki gęstego lasu. W pobliżu prowadzono budowę nowego baraku. Więźniowie w pasiastych strojach wbijali gwoździe w spojenia konstrukcji pod okiem strażników z pistoletami maszynowymi. Przed murem znajdował się wewnętrzny płot ze zwojów drutu kolczastego, a w rogach ogrodzenia stały drewniane wieżyczki strażnicze. Zobaczył też bramę wejściową, również wykonaną z drewna, a nad nią kamienny łuk, który widział na fotografii w apartamencie Bloka. W powietrzu wisiała ciemna mgiełka, która powoli przemieszczała się nad lasem. Znowu poczuł ten zapach, zapach palonego ciała.

- Na wprost patrz! - krzyknął major i chwycił Michaela za podbródek, aby obrócić mu głowę.

Michael poczuł przytkniętą do pleców lufę karabinu. Inny żołnierz ściągnął mu marynarkę, a potem zerwał z niego koszulę tak gwałtownym ruchem, że perłowe guziki poleciały w powietrze. Potem zdjął mu pas, obsunął spodnie i ściągnął bieliznę. Michael poczuł uderzenie lufą karabinu w nerki. Wiedział, czego chciał od niego, ale stał bez ruchu, patrząc w bezbarwne oczy majora.

- Zdejmij buty i skarpety - rozkazał Niemiec.

- Czy to znaczy, że jesteśmy zaręczeni? - zapytał Michael. Major wyciągnął pałkę. Przyłożył jej koniec do brody Michaela.

- Zdejmij buty i skarpety - powtórzył.

Kątem oka Michael zauważył jakiś ruch po lewej stronie. Zerknął w tę stronę i zobaczył nadchodzących Bloka i Stiefla.

- Na wprost patrz! - rozkazał major i szybkim brutalnym uderzeniem trafił Michaela w ranę na udzie. Rana otworzyła się, tryskając krwią, i ból sparaliżował mu nogę. Michael osunął się na kolana w białawy kurz. Wylot lufy karabinu zaglądał mu prosto w twarz.

- Baronie - powiedział Blok. - Niestety, jest pan teraz w naszym królestwie. Czy zechce pan więc słuchać majora Krolle?

Michael nie odpowiedział. Czuł w nodze okropny ból, a na twarzy pokazały mu się krople potu. Obuta noga pchnęła go w plecy, obalając na ziemię. Stiefel przycisnął swą masą kręgosłup Michaela, aż ten zazgrzytał zębami.

- Pan naprawdę chce z nami współpracować, baronie - powiedział Blok. - On jest Rosjaninem - zwrócił się do majora Krolle. - Wie pan, jakie uparte potrafią być te sukinsyny.

- My tu leczymy z uporu - odparł Krolle.

Stiefel nadal przyciskał Michaela nogą do ziemi. Dwaj żołnierze zdjęli mu pantofle i skarpety. Teraz był całkowicie nagi. Ręce miał spięte kajdankami na plecach. Żołnierze

podnieśli go na nogi i popchnęli do przodu. Nie opierał się wcale, bo skończyłoby się to tylko połamaniem kości. Poza tym nadal był wyczerpany po walce z Sandlerem i ucieczce przez las. Nie miał czasu na opłakiwanie Myszy czy rozpatrywanie swego własnego położenia. Jego prześladowcy mieli zamiar wymusić torturami wszystkie informacje. Jednak było dla niego korzystne, iż myśleli, że jest agentem Związku Radzieckiego, ponieważ w ten sposób kierowali uwagę na wschód, a nie na zachód.

„Przerażająco duży obóz” - pomyślał Michael.

Wszędzie stały baraki, w większości zbudowane z pomalowanego na zielono drewna. Setki pni po ściętych drzewach świadczyły o tym, że obóz Falkenhausen został wzniesiony kosztem lasu. Michael zobaczył blade, wychudzone twarze obserwujące go przez wąskie okna z okiennicami na zawiasach. Obok niego przechodziły grupy wycieńczonych, wygolonych na łyso więźniów, prowadzonych przez strażników z pistoletami maszynowymi i gumowymi pałkami.

Michael zauważył, że prawie wszyscy więźniowie mają przyszytą do ubrań żółtą gwiazdę Dawida. Jego nagość wyglądała na coś powszedniego, bo nie zwracała niczyjej uwagi. Nieco dalej, może w odległości dwustu jardów, dostrzegł obóz wewnątrz obozu. Były to baraki otoczone dodatkowym ogrodzeniem ze zwojów drutu kolczastego. Michael zobaczył może trzystu czy czterystu więźniów stojących w szeregach na zakurczonym placu musztry, słuchających płynących z głośników słów o Tysiącletniej Rzeszy. Dalej po lewej stronie ujrzał przysadzisty budynek z szarego kamienia, z którego dwóch kominów unosiły się w powietrze kolumny ciemnego dymu, spychanego przez wiatr w kierunku lasu. Usłyszał zgrzyty i huk ciężkich urządzeń, chociaż nie mógł dostrzec, skąd ten odgłos pochodzi. Zmiana kierunku wiatru przyniosła kolejny zapach, tym razem nie palonego ciała, ale odór nie mytych, pocących się ludzi. Mieszały się z nim wonie rozkładu, ekskrementów i krwi. „Cokolwiek tam się dzieje - pomyślał, patrząc na wypluwane przez kominy słupy dymu - musi mieć więcej wspólnego z zagładą niż więzieniem”.

Od strony szarego budynku nadjechały dwie ciężarówki i Michaelowi rozkazano się zatrzymać. Stał na poboczu drogi, z lufą karabinu przyłożoną do głowy, kiedy samochody się do nich zbliżały. Krolle zatrzymał je i zaprowadził Bloka i Stiefla na tył pierwszego pojazdu. Michael patrzył na nich, kiedy Krolle rozmawiał z Blokiem, i zauważył, że rumiana twarz majora promienieje z podniecenia.

- Jakość jest doskonała - usłyszał słowa Krolle. - W całym systemie produkt z Falkenhausen stoi na najwyższym poziomie.

Krolle rozkazał zdjąć jedną z sosnowych skrzyń ustawionych na tyle ciężarówki i otworzyć ją. Jeden z żołnierzy zaczął podważać wieko nożem.

- Widzi pan, że wypełniam zalecenie co do jakości, które pan tak podkreślił, pułkowniku - kontynuował Krolle.

Michael zobaczył, jak Blok kiwa głową i uśmiecha się, zadowolony z wazeliniarstwa majora.

Żołnierz wyciągnął ostatni gwóźdź i podniósł wieko.

- Widzi pan? - powiedział Krolle, sięgając ręką do środka. - Niech którykolwiek inny obóz spróbuje osiągnąć tę jakość.

Krolle trzymał w ręku garść długich rdzawobrazowych włosów. „To włosy kobiety” - pomyślał Michael. Miały naturalne loki. Krolle uśmiechnął się do Bloka i sięgnął jeszcze głębiej do skrzyni. Tym razem wyciągnął gęste jasnoblond loki.

- Ach, czyż nie są piękne? - zapytał Krolle. - Będzie z tego wspaniała peruka, warta swej ceny w złocie. Z przyjemnością mogę panu zakomunikować, że nasza produkcja wzrosła o trzydzieści siedem procent. I w całym transporcie nie ma ani śladu wszy. Ten nowy środek insektobójczy jest cudowny.

- Powiem doktorowi Hildebrandowi, jak dobrze działa - oznajmił Blok. Zajrzał do skrzyni, włożył rękę do środka i wyjął garść błyszczących, połyskujących jak miedź włosów. - O, te są wprost wspaniałe!

Blok przegarniał palcami włosy. Świeciły w słońcu i były tak piękne, że Michael poczuł, jak ściska go w sercu. „To włosy więźniarki - pomyślał - a gdzie jest jej ciało?” Zapach spalenizny udzielił mu odpowiedzi. Zrobiło mu się niedobrze.

Tym ludziom, tym potworom nie można pozwolić żyć. Byłby przeklęty przez Boga, gdyby wiedział o tych rzeczach i nie rozerwał gardel stojących przed nim łotrów. Uśmiechali się i rozmawiali o perukach i planach produkcji. Platformy wszystkich trzech ciężarówek były załadowane sosnowymi skrzyniami pełnymi włosów obciętych z głów kobiet, tak jak się strzyże przeznaczone na rzeź owce.

Nie mógł pozwolić, żeby pozostali przy życiu.

Dał krok do przodu, omijając wycelowaną w niego lufę karabinu.

- *Halt!* - krzyknął żołnierz. Krolle, Blok i Stiefel obrócili się w jego kierunku. - *Halt!* - powtórzył żołnierz i wbił Michaelowi lufę pistoletu w klatkę piersiową.

Ten ból był niczym. Michael nie zatrzymywał się mimo skrępowanych na plecach dłoni. Patrzył w bezbarwne oczy majora Krolle, który drgnął i cofnął się krok do tyłu. Michael poczuł kły wysuwające się z jego szczęk i ruchy mięśni twarzy.

- *Halt*, do cholery! - Żołnierz zadał mu cios w tył głowy lufą karabinu.

Michael zachwiał się, ale nie upadł. Szedł dalej na trzech Niemców. Stiefel wysunął się, przesłaniając sobą pułkownika Bloka. Inny żołnierz, uzbrojony w pistolet maszynowy, podbiegł do Michaela i uderzył go kolbą w żołądek. Michael zgiął się wpół, jęcząc z bólu, a żołnierz uniósł broń, aby uderzyć go w głowę.

Jednak więzień uderzył pierwszy. Nagim kolanem trafił żołnierza w krocze z taką siłą, że ten aż podskoczył i padł z łoskotem na ziemię. Czyjaś ręka zacisnęła się z tyłu na gardle Michaela, blokując mu tchawicę. Kolejny żołnierz zadał mu cios pięścią w klatkę piersiową, aż jego serce utraciło swój rytm.

- Trzymajcie go! Trzymajcie tego sukinsyna! - wrzasnął Krolle.

Michael szarpał się z wściekłością. Krolle uniósł pałkę i zadał mu cios w ramię. Drugie i trzecie uderzenie powaliło Michaela na ziemię. Dyszał ciężko, czując ból w posiniaczonym ramieniu i brzuchu. Resztkami woli walczył z nieświadomością, odpierając przemianę. Czarne włosy były tuż-tuż, jeszcze chwila, a pokażą się na jego ciele; czuł wydzielany przez własną skórę zapach dzikości, czuł dziką moc w ustach. Gdyby przemienił się tutaj, leżąc na ziemi, to trafiłby pod niemieckie noże. Każda część jego ciała, od organów wewnętrznych do zębów, zostałaby zaopatrzona w etykietkę i umieszczona w słoju z formaldehydem jako eksponat medyczny. Chciał żyć, chciał zabić tych ludzi, więc walczył z przemianą i zmusił ją do ustąpienia.

Kilka czarnych wilczych włosów wystąpiło mu na klatce piersiowej, na wewnętrznej stronie ud i na gardle, ale zniknęły tak szybko, że nikt nie zdążył ich dojrzeć. Nawet gdyby któryś z żołnierzy je zobaczył, pomyślałby, że to przywidzenie. Michael leżał na brzuchu, bliski omdlenia.

- Myślę, baronie, że czeka pana tutaj bardzo nieprzyjemny pobyt - dobiegł go głos Bloka.

Żołnierze chwycili Michaela pod ręce, postawili go na nogi i zaczęli wlec między sobą. Osunął się w nieświadomość.

- Czy pan mnie słyszy?

Ktoś mówił do niego z dalekiego końca tunelu. Czyj to głos?

- Baronie, czy pan mnie słyszy?

Ciemność, ciemność. „Nie odpowiadaj - pomyślał. - Jeżeli nie odpowiesz, to ten, kto mówi, odejdzie i pozwoli ci odpoczywać!”

Zapaliło się światło. Było bardzo jasne. Michael widział to przez zamknięte powieki.

- On nie śpi - usłyszał ten sam głos skierowany do kogoś innego. - Widzi pan, jak wzrósł jego puls? O, on wie, że tu jesteśmy. - „To głos Bloka” - skojarzył Michael. Czyjaś ręka chwyciła go za podbródek i potrząsnęła jego głową. - No, no. Niech pan otworzy oczy, baronie.

Nie miał zamiaru tego robić.

- Daj mu się napić - rozkazał komuś Blok i natychmiast wiadro zimnej wody chlusnęło Michaelowi na twarz.

Parsknął, drżąc na całym ciele z zimna, i otworzył oczy. Światło, żarówka o dużej mocy przystawiona tuż do jego twarzy, oślepiło go tak, że znowu zamknął powieki.

- Baronie - powiedział Blok. - Jeżeli nie zechce pan otworzyć oczu, to obetniemy panu powieki.

Nie było wątpliwości, że tak zrobią. Usłuchał więc, mrużąc oczy przed jaskrawym światłem.

- Dobrze! Teraz możemy przejść do interesów! - Blok podciągnął sobie krzesło i usiadł.

Michael dostrzegł inne sylwetki: wysokiego mężczyznę trzymającego wiadro i jeszcze kogoś, otyłego Niemca w czarnym SS-mańskim mundurze napiętym w szwach. „Oczywiście to major Krolle” - pomyślał.

- Zanim jeszcze zaczniemy - podjął cichym głosem Blok - powiem panu, że jest pan przykładem człowieka, którego opuściła nadzieja. Nie ma ucieczki z tego pomieszczenia. Za tymi murami są kolejne mury. - Pochylił się ku niemu w krąg światła lampy, odstaniając w uśmiechu srebrne zęby. - Nie ma pan tutaj przyjaciół i nikt nie przybędzie, żeby pana uratować. Wykończymy pana albo szybko, albo powoli - to jedyny wybór, jaki stoi przed panem. Rozumie pan, baronie? Proszę potwierdzić.

Michael rozmyślał nad tym, w jaki sposób jest skrupowany. Leżał całkiem nago na metalowym stole w kształcie litery „X”, z rękami rozciągniętymi nad głową i rozstawionymi nogami. Mocne skórzane rzemienie krępowały mu nadgarstki i kostki. Stół był przechylony w ten sposób, że jego ciało znajdowało się w prawie pionowej pozycji. Poruszył kończynami, żeby zbadać krępujące go rzemienie. Nie miały ani ćwierci cała luzu.

- Bauman - powiedział Blok. - Przynieś jeszcze wody. Człowiek z wiadrem - jak przypuszczał Michael, adiutant majora Krolle - odpowiedział: „Tak jest” i podeszedł do drzwi. Z zewnątrz odsunięto żelazną zasuwę i w szparze otwierających się drzwi Michael zobaczył przelotny odblask bladego światła. Blok ponownie skierował uwagę na jeńca.

- Jakie jest pańskie nazwisko i narodowość?

Michael milczał. Serce mu łomotało i był pewien, że Blok to widzi. Ramię bolało go ogromnie, chociaż prawdopodobnie kość nie była pęknięta. Czuł się jak worek ran na szkielecie z drutu kolczastego. Blok oczekiwał jego odpowiedzi, więc Michael zdecydował się jej udzielić.

- Richard Hamlet. Jestem Brytyjczykiem.

- O, jest pan Brytyjczykiem, coś takiego? Angol, który mówi doskonale po rosyjsku? Nie przekonuje mnie to. Jeżeli jesteś tak bardzo brytyjski, to powiedz mi coś po angielsku.

Michael nie odpowiadał.

Blok westchnął głęboko i pokręcił głową.

- Chyba wolę ciebie jako barona. W porządku, założmy sobie, że jesteś agentem Armii Czerwonej. Prawdopodobnie zrzuconym na spadochronie do Niemiec z zadaniem zabójstwa czy sabotażu. Twoim kontaktem była Chesna van Dorne. Jak i gdzie się spotkaliście?

„Czy złapali Chesnę?” - pomyślał Michael. W oczach przesłuchującego nie dojrzał odpowiedzi na to pytanie.

- Jakie było twoje zadanie? - zapytał Blok.

Michael patrzył wprost przed siebie, widział żyłą pulsującą na skroni pułkownika.

- Dlaczego Chesna przywiozła ciebie do „Reichkronen?” Nadal żadnej odpowiedzi.

- Jak zamierzałeś wydostać się z Niemiec po przeprowadzeniu zadania?

Milczenie.

Blok nachylił się jeszcze bliżej.

- Czy słyszałeś o człowieku nazwiskiem Theo von Frankewitz? Twarz Michaela nie zdradzała żadnych emocji.

- Zdaje się, że Frankewitz znał ciebie. O, początkowo usiłował ciebie osłaniać, ale daliśmy mu pewien interesujący lek. Zanim umarł, podał nam dokładny opis człowieka, który



odwiedził go w jego mieszkaniu. Powiedział nam, że pokazał temu komuś rysunek. Człowiekiem, którego opisał, jest pan, baronie. Teraz proszę mi powiedzieć: dlaczego rosyjski agent miałby się interesować takim zdegenerowanym ulicznym artystą jak Frankewitz? - Dotknął palcem wskazującym posiniaczonego ramienia Michaela. - Niech pan nie myśli, że jest pan taki dzielny, baronie. Jest pan bardzo głupi. Możemy naszpikować pana lekami, żeby rozluźnić panu język, ale niestety, one nie działają skutecznie, jeśli nie jest się w... powiedzmy... osłabionym stanie. Dlatego musimy spełnić ten warunek. Wybór należy do pana, baronie. Więc jak to zrobimy?

Michael nie odpowiedział. Wiedział, co go czeka, i przygotowywał się do tego.

- Rozumiem - rzekł Blok. Podniósł się i odszedł na bok. - Majorze Krolle, więzień jest do pana dyspozycji.

Krolle podszedł do Michaela, podniósł pałkę i przystąpił do pracy.

Po pewnym czasie znów oblano twarz Michaela zimną wodą, przywracając go w ten sposób do królestwa szatana. Zaczął kaszleć i parskać, z nozdrzami zablokowanymi krwią. Jego prawe oko było całkowicie zapuchnięte, cała prawa strona twarzy nabrzmiała od siniaków. Z rozbitej dolnej wargi ściekała mu po brodzie strużka krwi i skapywała na piersi.

- To naprawdę nie ma sensu, baronie. - Pułkownik Blok siedział znowu na krześle obok Michaela. Przy nim na tacy stał talerz z parówkami i kiszoną kapustą i kryształowy kielich białego wina. Pod brodą miał serwetkę. Jadł kolację, posługując się srebrnymi sztucami. - Wie pan, że mogę zabić pana w każdym momencie, kiedy tylko zechcę.

Michael parsknął krwią z nozdrzy. Chyba miał złamany nos. Językiem namacał chwiejający się ząb.

- Major Krolle chce zabić pana już teraz i skończyć z tym - mówił dalej Blok. Nadgryzł kawałek parówki i przetaił usta serwetką. - Myślę, że niedługo nabierze pan rozsądku. Skąd pan jest, baronie? Z Moskwy? Z Leningradu? Z którego okręgu wojskowego?

- Ja jestem... - Jego głos zabrzmiał jak chrapliwy skrzekot. - Jestem obywatelem Wielkiej Brytanii.

- Och, niech pan nie zaczyna znowu z tym! - ostrzegł Blok i pociągnął łyk wina. - Baronie, kto pana skierował do Theo van Frankewitza? Czy to była Chesna?

Michael nie odpowiedział, co chwila tracił zdolność widzenia, a w głowie huczało mu od razów.

- Uważamy, że tak - powiedział pułkownik. - Sądzymy, że Chesna zajmowała się sprzedawaniem niemieckich tajemnic wojskowych. Nie wiem, jak dowiedziała się o Frankewitzu, ale założmy, że jest związana z siecią zdrajców. Pomagała panu wykonać misję,

jakakolwiek by ona była, i zdecydowała się zdradzić jakieś informacje, które, jak sądziła, zechce pan zanieść swoim rosyjskim panom. Psy mają panów, prawda? No cóż, być może Chesna myślała, że zapłaci jej pan za te informacje. Zapłacił pan?

Żadnej reakcji. Michael patrzył przed siebie, omijając wzrokiem oślepiającą lampę.

- Chesna przywiozła pana do „Reichkronen”, żeby mógł pan kogoś zamordować, prawda? - Blok rozciął parówkę. Polał się z niej tłuszcz. - Ci wszyscy oficerowie tam... może miał pan zamiar wysadzić w powietrze cały ten hotel? Ale niech pan mi powie, dlaczego pan poszedł do apartamentu Sandlera? To pan zabił jego sokoła, prawda?

Michael milczał.

- Nic złego się nie stało - stwierdził Blok z lekkim uśmiechem. - Nie cierpiałem tego cholernego ptaka. Ale kiedy znalazłem te wszystkie pióra i bałagan w apartamencie Sandlera, wiedziałem, że to musi być pana sprawka, szczególnie po tym małym przedstawieniu na brzegu rzeki. Wiedziałem, że musiał pan przejść szkolenie specjalne, skoro udało się panu uciec z pociągu Sandlera. Polował tam na ponad dziesięciu ludzi, także na byłych oficerów, którzy popadli w niełaskę, więc rozumie pan, że żaden uprawiający tulipany baron nie mógłby pokonać Sandlera. Ale nie było panu łatwo, co? - Wskazał nożem na pokrytą zaschniętą krwią ranę po kuli na prawym udzie Michaela. - No, a teraz wracając do Frankewitza... kto jeszcze wie o rysunku, który panu pokazał?

- Będziecie musieli zapytać Chesnę - odpowiedział Michael, próbując odkryć, czy została schwytana.

- Och, tak. Zapytam ją, może pan na to liczyć. Ale w tej chwili pytam pana. Kto jeszcze wiedział o tym rysunku?

„Nie złapali jej” - pomyślał Michael. Przynajmniej istniała taka możliwość. Widać było, że sprawa rysunku jest niesłychanie ważna dla Bloka. Pułkownik skończył jedzenie. Popijając wino, czekał na odpowiedź rosyjskiego agenta. W końcu wstał i odsunął krzesło.

- Majorze Krolle - powiedział, wskazując mu, żeby podszedł bliżej.

Krolle wynurzył się z ciemności. Uniósł rękę z gumową pałką, a Michael naprężył mięśnie. Nie był jeszcze gotów na kolejne bicie, musiał zdobyć trochę czasu.

- Wiem wszystko o „Żelaznej Pięści” - rzucił.

Pałka już spadała, zmierzając ku twarzy Michaela, ale zanim zdążyła go uderzyć, Blok chwycił Krollego za nadgarstek i powstrzymał cios.

- Chwileczkę - powiedział, patrząc twardo na Michaela. - To tylko takie wyrażenie. Dwa słowa, które pan wydobył z Frankewitza. Nie miały dla niego żadnego znaczenia i tak samo nie znaczą nic dla pana.

Michael uznał, że nadeszła pora na kolejny ślepy strzał.

- Alianci mogą potraktować to odmiennie.

W celi zapadła cisza, jakby sama wzmianka o aliantach była w stanie zmrozić krew w żyłach. Blok nadal wpatrywał się w Michaela, ale jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- Majorze Krolle - odezwał się Blok - czy zechciałby pan opuścić celę? Bauman, ty też. - Odczekał, aż major i jego adiutant odejdą, i zaczął się przechadzać w tę i z powrotem po celi, trzymając ręce za plecami i pochylając się nieco do przodu. Zatrzymał się nagle. - Pan blefuje. Nie wie pan absolutnie nic o „Żelaznej Pięści”.

- Wiem, że jest pan odpowiedzialny za bezpieczeństwo tego przedsięwzięcia - powiedział Michael, ostrożnie dobierając słowa. - Sądzę, że nie zabrał mnie pan do siedziby gestapo w Berlinie, ponieważ nie chce pan, aby przełożeni się dowiedzieli, że nastąpił przeciek chronionych informacji.

- Nie było przecieku. Poza tym nie wiem, o jakim przedsięwzięciu pan mówi.

- Och, tak, wie pan. Obawiam się, że to już żadna tajemnica.

Blok podszedł do Michaela i nachylił się nad nim.

- Naprawdę? Więc niech pan mi powie, baronie, czym jest „Żelazna Pięść”? - zapytał, dysząc odorem parówek i kiszzonej kapusty.

Nadszedł moment prawdy. Michael wiedział bardzo dobrze, że jedno zdanie może zdecydować, jaki wyrok zapadnie.

- Doktor Hildebrand stworzył coś o wiele bardziej skutecznego niż płyn insektobójczy, prawda?

Blok zacisnął szczęki, ale poza tym ani drgnął.

- Potwierdzam, że dostałem się do apartamentu Sandlera - kontynuował Michael. - Przedtem wszedłem do pańskiego pokoju. Znalazłem pański neseser i fotografie z eksperymentów Hildebranda. Sądzę, że to byli jeńcy. Skąd ich pan tam wysyła? Stąd czy z innych obozów?

Blok zmrużył powieki.

- Więc pospekulujmy, dobrze? - zapytał Michael. - Wysyła pan jeńców z różnych obozów. Są przewożeni do laboratorium Hildebranda na wyspie Skarpa. - Twarz Bloka poszarzała. - O... napiłbym się łyk wina - powiedział Michael. - Żeby przepłukać gardło.

- Poderżnę ci to gardło, ty słowiański sukinsynu! - syknął Blok.

- Nie sądzą. Proszę o łyk wina.

Blok stał bez ruchu. W końcu zimny uśmiech pojawił się na jego ustach.

- Jak pan sobie życzy, baronie. - Wziął kielich wina z tacy i przyłożył go do ust Michaela, pozwalając mu zaczerpnąć jeden łyk. - No, niech pan dalej fantazjuje.

Michael obliznął spuchniętą dolną wargę, zapiekła go od wina.

- Jeńcy poddawani są przez Hildebranda eksperymentom. Jak dotąd było ich ponad trzystu, o ile pamiętam. Przypuszczam, że pan regularnie rozmawia z Hildebrandem. Prawdopodobnie używał pan tych zdjęć, aby pokazać swoim przełożonym, jak przebiegają prace. Zgadza się?

- Wie pan co? Ta cela jest bardzo dziwna. - Blok rozejrzał się. - Słysząc głosy ludzi, którzy tu zginęli.

- Pan może chceć mnie zabić, ale pan tego nie zrobi. I pan, i ja wiemy, jak ważna jest „Żelazna Pięść”. - Kolejny strzał na oślepe, który nie chybił celu. Blok patrzył na niego nieruchomym wzrokiem. - Moi przyjaciele w Moskwie byłiby zachwyceni możliwością przekazania tej informacji aliantom.

Sugestie Michaela trafiły na podatny grunt.

- Kto jeszcze o tym wie? - zapytał Blok. Jego głos był napięty, niemal drżał.

- Chesna nie jest jedyną osobą. - Michael zdecydował się naciskać na Bloka. - Kiedy ja przebywałem w pańskim apartamencie, ona była z panem.

Argument Michaela przekonał Bloka. Zamarł na chwilę, kiedy pomyślał, że wśród obsługi „Reichkronen” musi być zdrajca.

- Kto dał panu klucz?

- Tego nie wiem. Klucz został dostarczony do apartamentu Chesny podczas spotkania klubu „Piekło”. Zwróciłem klucz, wrzucając go do doniczki na drugim piętrze.

„Jak dotąd całkiem nieźle” - pomyślał. Blokowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że wspiął się po ścianie zamku. Podniósł głowę. Serce biło mu pośpiesznie. Wiedział, że prowadzi niebezpieczną grę, ale musiał zyskać na czasie.

- Wie pan, myślę, że ma pan rację co do tej celi. Rzeczywiście słysząc tutaj głos martwego pułkownika.

- Niech pan z łaski swojej, baronie, nie będzie taki dowcipny. - Blok uśmiechnął się nieznacznie. Na policzkach miał czerwone plamy. - Dostanie pan kilka zastrzyków prawdy i powie mi wszystko.

- Sądzę, że dowie się pan, że jestem nieco bardziej twardy niż Frankewitz. Poza tym nie mogę powiedzieć panu tego, czego nie wiem. Klucz został mi dostarczony i zwróciłem go w kopercie razem z filmem.

- Z filmem? Jakim filmem? - Głos Bloka drżał już wyraźnie.

- No cóż, nie poszedłbym do pana apartamentu nie przygotowany, prawda? Oczywiście miałem ze sobą aparat fotograficzny. Też został mi dostarczony przez przyjaciela Chesny. Zreprodukowałem zdjęcia z pańskiej teczki, poza tym także te papiery, które wyglądały jak strony księgi rozliczeniowej.

Blok milczał, ale Michael wiedział, że myśli nad tym, iż chronione przez niego sekrety wydostały się na zewnątrz i być może są już wiezione przez kuriera do Związku Radzieckiego, i że „Reichkronen” to gniazdo zdrajców.

- Jesteś kłamcą - powiedział Blok. - Gdyby to było prawdą, tobyś nie mówił o tym tak swobodnie.

- Nie chcę umrzeć. Wcale też nie mam ochoty na tortury. W każdym razie informacja została przekazana. Już nie może pan nic zrobić.

- Och, nie zgadzam się. Absolutnie się nie zgadzam. - Blok sięgnął do swej tacy i chwycił w rękę widelec. Zaczerwieniony, stanął obok Michaela. - Rozniosę „Reichkronen” na strzępy i powieszę każdego, od hydraulika do dyrektora, jeśli to się okaże konieczne. A pan, mój drogi baronie, powie mi, jak i gdzie spotkał się z Chesną, jaka miała być pańska droga ucieczki i wiele innych rzeczy. Ma pan rację, nie zabiję pana. - Wbił koniec widelca w lewą rękę Michaela i wyszarpnął go. - Mimo wszystko ma pan pewną wartość. - Znowu zadał cios widelcem, wbijając go w bark Michaela. Ten zadrżał, a twarz pokryła mu się potem. Blok wyciągnął widelec. - Zjem ciebie - powiedział i znowu wbił widelec w pierś Michaela, tuż pod gardłem - jak kawałek mięsa. Zjem, strawię, co mi potrzeba, i wypluję resztę. - Wyciągnął widelec, jego koniec ociekał krwią. - Coś może wiesz o wyspie Skarpa, ale nie wiesz, jak będzie użyta „Żelazna Pięść”. Nikt nie wie, gdzie jest forteca, tylko ja, doktor Hildebrand i paru innych, których lojalność jest niewątpliwa. Dlatego twoi rosyjscy przyjaciele też nie wiedzą i nie mogą przekazać informacji Brytyjczykom ani Amerykanom, zgadza się? - Wbił widelec w lewy policzek Michaela, wyjął go i oblizał z niego krew. - To było tylko pierwsze danie. - Wyłączył lampę.

Michael usłyszał, jak przechodzi na drugą stronę pomieszczenia. Ciężkie drzwi otworzyły się.

- Bauman! - zawołał pułkownik. - Zabierz to bydlę do celi. Do tej pory Michael wstrzymywał oddech. Dopiero teraz, zaciskając zęby wypuścił z sykiem powietrze. Pomyślał, że przynajmniej na razie nie będzie już torturowany.

Wszedł Bauman z trzema żołnierzami. Odwiązali nadgarstki i kostki Michaela i zdjęli go ze stołu, a potem odprowadzili pod lufą karabinu korytarzem o kamiennej posadzce.

- Ruszaj się, ty świni! - warknął Bauman, popychając Michaela do przodu. Był szczupłym młodym mężczyzną w okularach o okrągłych szklach i miał pociągłą, wychudzoną twarz.

Po obydwu stronach korytarza znajdowały się wysokie na trzy stopy drewniane drzwi z żelaznymi zasuwami umieszczonymi na poziomie podłogi. W drzwiach widniały małe kwadratowe okienka, które mogły być odsuwane - jak sądził Michael - albo żeby wpuścić powietrze, albo żeby podawać jedzenie i wodę. W korytarzu unosił się odór wilgoci i starych mokrych barłogów, ludzkich ekskrementów, potu i nie mytych ciał. „Psiarnia dla wściekłych psów” - pomyślał Michael. Dosłyszał zwierzęce jęki i mamrotanie więźniów.

- Stać! - rozkazał Bauman. Zatrzymał się wyprostowany, patrząc obojętnie na Michaela. - Na kolana!

Michael nie ruszył się. Dwie lufy karabinu potrafiły go w plecy. Pochylił się, a wtedy jeden z żołnierzy odciągnął skrzypiącą żelazną zasuwę. Coś poruszyło się za drzwiami.

Bauman otworzył celę. Gorący, przyprawiający o mdłości duszny podmuch uderzył Michaela w twarz. W wilgotnym, ciemnym wnętrzu dojrzał zarysy pięciu czy sześciu chudych postaci. Być może inni siedzieli przy ścianach. Podłoga pokryta była brudnym sianem, a sufit znajdował się nie wyżej niż pięć stóp nad podłogą.

- Wejść! - polecił Bauman.

- Na rany Chrystusa! Na rany Chrystusa! - zawołał wychudzony łysy mężczyzna z wypukłymi oczami, rzucając się na kolana w kierunku drzwi i unosząc ręce do góry. Całe piersi miał pokryte ciekącymi ranami. Zatrzymał się, cały roztrzęsiony i patrzył błagalnie na Baumana.

- Powiedziałem: wchodzić - powtórzył Niemiec.

Dwie sekundy później jeden z żołnierzy kopnął Michaela w tułów, a inni wepchnęli go do piekielnej jamy i zatrzasnęli za nim drzwi. Rozległ się zgrzyt zasuw.

- Na rany Chrystusa! Na rany Chrystusa! - krzyczał więzień, aż w końcu uciszył go czyjś ponury głos z głębi celi.

- Zamknij się, Metzger! Nikt ciebie nie słucha!

Leżąc na brudnym sianie w cuchnącym, ciemnym wnętrzu, wśród mamroczących i jęczących przez sen więźniów, Michael poczuł, jak opada na niego całun smutku.

„Życie jest bardzo cenne. Co takiego jest w ludziach, że aż tak nienawidzą życia?” - myślał.

Przypomniawszy sobie ciemny dym wznoszący się z kominów i znaczący powietrze odorem palonych ciał. Pomyślał o sosnowych skrzyniach pełnych włosów i o tym, jak ktoś, matka czy ojciec, w innym, lepszym świecie czesał te włosy, pieścił je i całował czoło, na które opadały. Teraz włosy trafiły do perukarza, a ciało uleciało z dymem. Niszczono tu nie tylko ludzi, ale palono na popiół całe światy. I po co? Dla *Lebensraum* - pożądanej przez Hitlera „przestrzeni życiowej” - i Żelaznych Krzyży? Przypomniawszy sobie Mysz leżącego w zaroślach ze złamanym w odruchu miłosierdzia karkiem. Ścisnęło go w sercu; może zabijanie było jego naturą, ale wcale nie odczuwał w nim przyjemności. Mysz okazał się dobrym przyjacielem. Jak lepiej można go było uhonorować? Odprawianie żałoby po jednym człowieku w tak pełnym śmierci świecie wydawało się podobne do zdmuchiwanie świecy w płonąjącym domu. Chciał uchronić swój umysł przed obrazem Stiefla miażdżącego martwą rękę i wrywającego z niej odznaczenie. Oczy mu zwilgotniały. Pomyślał, że w tym piekielnym miejscu może odejść od zmysłów.

Blok coś powiedział. Co to było? Michael usiłował się skoncentrować i zapomnieć o rzezi. Blok powiedział coś o fortecy. Tak, właśnie. To były słowa Bloka: „Nikt nie wie, gdzie jest forteca, tylko ja, doktor Hildebrand i paru innych...”

Forteca. Jaką fortecę miał na myśli? Wyspę Skarpa? Michael przypuszczał, że nie. Chesna bez trudu się dowiedziała, że Hildebrand ma dom i laboratorium na Skarpie. Ta informacja nie była ściśle strzeżoną tajemnicą. Więc jaką inną fortecę mógł mieć na myśli Blok? I co to mogło mieć wspólnego ze sposobem użycia „Żelaznej Pięści”?

„Otwory po kulach na szkle i pomalowanej na zielono blasze - pomyślał Michael. - Blacha malowana na oliwkowozielono, dlaczego właśnie na ten kolor?”

Rozmyślał nad tym, kiedy czyjeś palce dotknęły jego twarzy.

Wzdrygnął się zaskoczony i chwycił chudy nadgarstek nieznanego, który przysiadł obok niego, rysując się w niebieskawej poświacie. Rozległ się stłumiony jęk, intruz próbował się wyrwać, ale Michael trzymał mocno.

Inna postać, większa i także malująca się w oczach Michaela w niebieskawej poświacie, wynurzyła się z ciemności po prawej stronie. Zobaczył ruch ręki. Zaciśnięta pięść uderzyła go w głowę, aż zadzwoniło mu w uszach. Wykonał unik, padając na kolana, i drugi cios otarł się o jego czoło. „Chcą mnie zabić” pomyślał, czując ukłucie paniki. Czy byli aż tak głodni, żeby chcieć jeść ludzkie ciało? Wypuścił pierwszego napastnika, który rzucił się do ucieczki, i skoncentrował się na tym większym i silniejszym. Mężczyzna już zadawał trzeci cios, kiedy Michael uderzył go w wewnętrzną stronę stawu łokciowego. Rozległ się jęk bólu. Michael dojrzał zarys głowy i niewyraźne rysy twarzy. Zadał cios pięścią prosto w twarz. Zatrzeszczały pękające kości nosa.

- Straż! - krzyknął ktoś po francusku. - Straż! Pomocy!

- Na rany Chrystusa! Na rany Chrystusa! - krzyczał inny więzień znajomym mu już głosem.

- Przestańcie, wy idioci! - zawołał po niemiecku z wyraźnym duńskim akcentem kolejny więzień. - Zużyjecie całe powietrze!

Para żyłastych rąk oplotła Michaela wokół klatki piersiowej.

Szarpnął głową do tyłu i uderzył napastnika potylicą w twarz. Oplatające go ręce osłabły. Olbrzym z rozbitym nosem nadal rwał się do walki. Trafił Gallatina pięścią w jego poraniony bark, aż ten krzyknął z bólu. Michael poczuł zaciskające się na jego gardle palce i przygniatające go ciężkie ciało. Podrzucił rękę z otwartą dłońią i krótkim gwałtownym ciosem trafił napastnika w brodaty podbródek. Usłyszał szcęk uderzających o siebie zębów, może nawet dostał się między nie kawałek języka. Mężczyzna jęknął, ale nadal ścisnął gardło Michaela, szukając palcami tchawicy.

Nagle przenikliwy pisk zagłuszył wszystkie inne odgłosy. To był pisk młodej dziewczyny, narastał do histerycznego crescendo.

W drzwiach celi odsunęło się okienko i pojawiła się w nim mosiężna końcówka węża strażackiego.

- Uwaga! - ostrzegł Duńczyk. - Oni chcą...

Strumień wody pod wysokim ciśnieniem wytrysnął z węża i uderzył w więźniów, odrzucając od siebie Michaela i jego przeciwnika. Przyparł Gallatina do muru, objijając mu ciało. Pisk dziewczyny przerodził się w duszący kaszel. Krzyżący więzień ucichł smagany strumieniem wody. Po kilku sekundach woda przestała się lać, wąż się wycofał i okienko zostało zasunięte z powrotem. Było po wszystkim, w celi rozlegało się tylko jęczenie.



- Ty! Ty nowy - powiedział ktoś po rosyjsku. To był ten sam szorstki głos, który rozkazał zamknąć się Metzgerowi, z tą tylko różnicą, że teraz jego właściciel mówił z nadgryzionym językiem. - Dotkniesz jeszcze raz tej dziewczyny i złamię ci kark, jasne?

- Nie chciałem jej skrzywdzić - odpowiedział Michael w swoim ojczystym języku. - Myślałem, że ktoś na mnie napada.

Rosjanin zamilkł na chwilę. Metzger łkał, a ktoś inny usiłował go uspokoić. Ściekająca po ścianach woda gromadziła się w kałuży na podłodze, a w powietrzu unosił się odór potu i pary.

- Ona ma pomieszane w głowie - powiedział Rosjanin do Michaela. - Ma może czternaście lat. Trudno zliczyć, ile razy została zgwałcona. Ktoś jej gdzieś wypalił oczy gorącym żelazem.

- Przykro mi.

- Dlaczego? - zapytał Rosjanin. - Ty jej to zrobiłeś? - Parsknął krwią ze złamanego nosa. - Nieźle mnie rąbnałeś, ty sukinsynu. Jak się nazywasz?

- Gałatinow.

- Ja jestem Łazaris. Te sukinsyny złapały mnie pod Kirowogradem. Byłem pilotem myśliwca. A ty?

- Jestem zwykłym żołnierzem - odparł Michael. - Złapali mnie w Berlinie.

- W Berlinie? - Łazaris roześmiał się, parszkając krwią. - Ha, ha, a to dobre! No, nasi towarzysze niedługo będą maszerowali przez Berlin. Podpalą to całe cholerne miasto i wypiją toast za śmierć Hitlera. Mam nadzieję, że złapią tego sukinsyna. Oby się tak zakołysał na haku na placu Czerwonym.

- To się jeszcze może zdarzyć.

- Nigdy. Nie wezmą Hitlera żywcem. To pewne. Jesteś głodny?

- Tak. - Po raz pierwszy od czasu, kiedy został wepchnięty do tej jamy, pomyślał o jedzeniu.

- Masz. Wyciągnij rękę, to będziesz miał ucztę.

Michael wyciągnął rękę. Łazaris odszukał jego rękę w ciemności, przytrzymał ją twardymi palcami i włożył mu coś w dłoń.

Michael powąchał to coś. Trzymał w ręku mały kawałek twardego chleba, roztaczający gorzki odór pleśni. W takim miejscu, w jakim był, nie odmawia się przyjmowania prezentów. Powoli zaczął gryźć chleb.

- Skąd jesteś, Gałatinow?

- Z Leningradu. - Przełknął chleb, wyszukując językiem pozostałych między zębami drobin.

- Ja pochodzę z Rostowa. Ale mieszkałem w całej Rosji - powiedział Łazaris, rozpoczynając historię swego życia. Jak się okazało, miał trzydzieści jeden lat, a jego ojciec był specjalistą do spraw technicznych w rosyjskich siłach powietrznych, co oznaczało po prostu, że kierował zespołem mechaników. Łazaris opowiadał o swojej żonie i trzech synach, którzy wszyscy bezpiecznie mieszkali w Moskwie, i o tym, jak odbył ponad czterdzieści lotów na swoim myśliwcu „Jak-1” i zestrzelił dwanaście samolotów Luftwaffe.

- Pracowałem nad trzynastym - powiedział Łazaris - kiedy wypadło z chmur wprost na mnie jeszcze dwóch Niemców. Rozwalili mój biedny „Topór” na kawałki. Uratowałem się ze spadochronem. Wylądowałem niecałe sto jardów od niemieckiego gniazda karabinów maszynowych.

Michael nie widział w ciemności twarzy Rosjanina, ale zdołał dostrzec w niebieskiej poświacie, że wzruszał ramionami.

- Jestem odważny w powietrzu. Na ziemi nie bardzo. No i jestem tutaj.

- „Topór” - powtórzył Michael. - To był twój samolot?

- Tak, tak go ochrzciłem. Wymalowałem nazwę na kadłubie.

Poza tym po jednej swastyce na oznaczenie każdego zestrzelonego samolotu. Ach, to była piękna, wspaniała maszyna - westchnął. - Wiesz, wcale nie widziałem, jak spadła. Chyba tak lepiej. Czasami myślę sobie, że nadal jest w powietrzu i zatacza koła nad Rosją. Wszyscy piloci w moim dywizjonie nadawali nazwy swoim samolotom. Myślisz, że to dziecinne?

- Jak coś pomaga człowiekowi przetrwać, to nie jest dziecinne.

- Też tak myślę. Amerykanie robią to samo. O, jakbyś zobaczył ich samoloty! Malują je, jakby były dziwkami znad Wołgi, szczególnie bombowce dalekiego zasięgu, ale potrafią walczyć jak Kozacy. Czego byśmy mogli dokonać z takimi maszynami jak amerykańskie!

Łazarisa przewożono z obozu do obozu i teraz był w Falkenhausen od - jak sądził - sześciu albo siedmiu miesięcy. Dopiero niedawno, może dwa tygodnie temu, został wrzucony do tej celi. Trudno mu było w takim miejscu mierzyć upływ czasu. Nie miał pojęcia, dlaczego tu trafił, ale brakowało mu widoku nieba.

- A ten budynek z kominami? - zapytał Michael. - Co tam się dzieje?

Łazaris nie odpowiedział. Michael usłyszał tylko, jak Rosjanin drapie się po brodzie.

- Brakuje mi nieba - rzekł po chwili. - Chmury, błękitna wolność. Jakbym tylko zobaczył jednego ptaka, to byłbym szczęśliwy przez cały dzień. Ale niewiele ptaków przelatuje nad Falkenhausen. - Znowu zamilkł. Metzger ponownie łkał okropnym głosem. -

Niech ktoś mu pośpiewa - polecił Łazaris pozostałym więźniom swoim łamanym, ale zrozumiałym niemieckim. - Lubi, jak mu się śpiewa.

Nikt nie zaśpiewał. Michael siedział na mokrym sianie, z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej. Ktoś zajęczał i rozległ się charakterystyczny dla biegunki odgłos wydalania. Z przeciwległego krańca celi, który nie mógł być dalej niż jakieś osiem stóp od niego, Michael dosłyszał łkanie oślepionej dziewczynki. Naliczył w niebieskiej poświacie sześć sylwetek. Uniósł rękę i dotknął sufitu. Żaden promyk światła nie wnikał do wnętrza. Czuł się tak, jakby cała cela, ze ścianami włącznie, kołysała się i zacieśniała, chcąc zmiażdżyć ich ciała. To oczywiście było złudzenie, ale nigdy w życiu nie tęsknił tak bardzo za łykiem świeżego powietrza i widokiem lasu.

„Spokojnie - napomniał się w duchu - spokojnie”. Wiedział, że jest w stanie wytrzymać więcej bólu i niedoli niż normalny człowiek, ponieważ były one integralną częścią jego życia. Ale zamknięcie w niewoli okazało się torturą dla jego duszy i wiedział, że w takim miejscu może się załamać. „Spokojnie” powtórzył sobie w duchu. Nie wiedział, kiedy znowu może zobaczyć słońce, a musiał panować nad sobą. Opanowanie było wilczą cechą. Bez tego wilk nie miał szansy na przetrwanie. Nie mógł, nie wolno mu było porzucić nadziei, nawet w tym fatalnym miejscu. Udało mu się zwrócić uwagę Bloka na fikcyjne gniazdo zdrajców w „Reichkronen”, ale jak długo to mogło trwać? Wcześniej czy później tortury znowu miały się zacząć, a kiedy do tego dojdzie...

„Spokojnie - powtórzył jeszcze raz w myślach. - Nie myśl o tym. Stanie się to wtedy, kiedy się stanie, ale nie wcześniej”.

Chciało mu się pić. Polizał wilgotną ścianę za sobą i zebrał wystarczającą ilość płynu na jeden łyk.

- Łazaris? - odezwał się po chwili.

- O co chodzi?

- Gdybyś mógł się stąd wydostać, to czy jest w zewnętrznym obozie jakiś słaby punkt, jakieś miejsce, w którym można by przejść przez mur?

- Żartujesz sobie - mruknął Łazaris.

- Nie żartuję. Przecież strażnicy się zmieniają. Brama się otwiera, żeby wpuszczać i wypuszczać ciężarówkę. Można wykopać tunel. Nie ma tutaj komitetu ucieczkowego? Nikt jeszcze nie próbował uciec?

- Nie - odparł Łazaris. - Ludzie mają szczęście, kiedy są w stanie chodzić. Kto by tu myślał o bieganiu, wspinaniu się czy kopaniu? Nie ma żadnego komitetu. Nikt nie myśli o ucieczce, bo to jest niemożliwe. Zapomnij o tym, zanim ci się pomiesza w głowie.

- Musi być jakaś droga ucieczki - nie ustępował Michael. Usłyszał desperację w swym własnym głosie. - Ilu tu jest więźniów?

- Nie wiem tak na pewno. Może czterdzieści tysięcy albo coś koło tego w męskim obozie. I jeszcze może dwadzieścia tysięcy w obozie kobiecym. Oczywiście jedni odchodzą, a na ich miejsce pojawiają się nowi. Pociąg przywozi codziennie nowy ładunek.

Michael był oszołomiony. To było, licząc ostrożnie, sześćdziesiąt tysięcy więźniów.

- A ilu jest strażników?

- Trudno powiedzieć, siedmiuset, może ośmiuset, a może tysiąc.

- Więc proporcje są sześćdziesiąt do jednego i mimo to nikt nie próbował uciekać?

- Gałatinow - powiedział Rosjanin znużonym tonem, jakby mówił do niesforne go dziecka - nie słyszałem o nikim, kto zdołałby biec szybciej niż kula karabinu maszynowego. Ani o nikim, kto chciałby tego spróbować. Strażnicy mają też psy, dobermany. Widziałem, co ich zęby potrafią uczynić z ludzkim ciałem, i mogę ci powiedzieć, że to nie jest wcale ładne. Gdyby jakimś cudem więzień wydostał się z Falkenhausen, to dokąd miałby pójść? Jesteśmy w środku Niemiec. Z tego miejsca wszystkie drogi prowadzą do Berlina. - Odsunął się kilka stóp i oparł plecami o ścianę. - Dla ciebie i dla mnie wolność się skończyła - powiedział cicho. - Zapomnij o tym.

- Niech mnie szlag trafi, jeśli zapomnę - odrzekł Michael spokojnie, chociaż w duchu krzyczał z wściekłości.

Trudno było ocenić upływ czasu. Może godzinę albo dwie godziny później Michael zauważył, że więźniowie zaczynają się niepokoić. Wkrótce potem usłyszał dźwięk otwieranych drzwi następnej celi. Więźniowie klęczeli, drżąc z emocji. Po chwili ostre światło wpadło przez otwarte drzwi ich celi.

Mały bochenek czarnego przerośniętego zieloną pleśnią chleba wpadł między więźniów. Rzucili się na niego i rozerwali na kawałki.

- Podać gąbkę! - polecił jeden ze stojących na korytarzu żołnierzy.

Łazaris przesunął się do przodu z szarą gąbką w ręku. Był kiedyś masywnym mężczyzną, ale teraz został z niego prawie tylko sam wielki szkielet. Ciemne włosy sięgały mu ramion, a brodę miał pełną siana i brudu. Napięta skóra pokrywała mu wystające kości policzkowe, a oczy rysowały się jak ciemne otwory w bladej, wychudzonej twarzy. Jego potężny nos, który mógłby przepełniać szacunkiem samego Cyrana de Bergerac, pokrywała zaschnięta krew - pamiątka po pięści Michaela. Przesuwając się koło Gallatina, Łazaris spojrział na niego. Michael zadrżał, widząc jego oczy. Łazaris miał oczy trupa.

Rosjanin zanurzył gąbkę w wiadrze brudnej wody i wyciągnął ją ciężką od płynu. Żołnierze zabrali wiadro, zatrzasnęli z hukiem drzwi i zaciągnęli z powrotem zasuwę. Od razu przystąpili do otwierania następnej celi.

- Kolacja - powiedział Łazaris, znowu przesuając się obok Michaela. - Każdy dostaje łyka z gąbki. Hej, wy sukinsyny! Zostawcie coś dla mojego towarzysza! - Rozległy się odgłosy gwałtownej szarpaniny i po chwili Łazaris szturchnął Michaela w rękę. - Masz. - Włożył mu w dłoń kawałek wilgotnego chleba. - Ten cholerny Francuz zawsze próbuje wziąć więcej, niż mu się należy. Trzeba tu być szybkim, jeśli chce się dostać coś jeszcze prócz samej skórki.

Michael siedział, opierając się plecami o szorstkie kamienie, i żuł chleb. Patrzył przed siebie. Piekło go w oczach. Łzy spływały mu po policzkach, ale sam nie wiedział, kogo opłakuje.

Zgrzytnęła odsuwana zasuwę.

Michael natychmiast przykucnął, otrząsając się z sennego koszmaru, w którym kominy wyrzucały z siebie czarny dym pokrywający ziemię.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem.

- Dawać na zewnątrz dziewczynę! - polecił jeden ze stojących na korytarzu żołnierzy.

- Proszę - odezwał się Łazaris ochryłym od snu głosem. - Proszę, zostawcie ją. Czy ona nie dość jeszcze wycier...

- Dawać na zewnątrz dziewczynę! - powtórzył strażnik. Przebudzona dziewczynka trzęsła się w kącie. Popiskiwała cicho jak złapany we wnyki królik.

Michael doszedł już do kresu wytrzymałości. Przykucnął na wprost drzwi, a jego zielone oczy błyszczały nad czernią świeżego zarostu.

- Jak tak bardzo jej chcecie, to wejdźcie tu i weźcie ją - powiedział po niemiecku.

Rozległ się szcęk przeładowywanej broni i lufa karabinu wysunęła się w kierunku Michaela.

- Z drogi, ty padalcu!

- Gałatinow! Zwariowałeś? - Łazaris usiłował odciągnąć go do tyłu.

Michael nie ruszył się z miejsca.

- Chodźcie, wy sukinsyny! Trzech na mnie jednego. Na co czekacie? No, chodźcie! - krzyknął.

Żaden z Niemców go nie usłuchał. Michael zakładał, że nie będą do niego strzelali, ponieważ wiedzieli, że Blok i Krolle jeszcze z nim nie skończyli. Jeden z żołnierzy splunął na Michaela, zatrzasnął drzwi i przesunął zasuwę.

- No i narobiłeś! - jęknął Łazaris. - Bóg wie, co teraz będzie. Michael obrócił się i chwycił go za brodę.

- Posłuchaj mnie. Jeżeli chcesz zapomnieć, że jesteś mężczyzną, to wolna wola, ale ja nie mam zamiaru leżeć tutaj i jęczeć do samej śmierci! Broniłś tej dziewczyny, kiedy myślałeś, że chcę ją skrzywdzić. Dlaczego więc nie chcesz jej bronić przed tymi sukinsynami?

- Ponieważ - Łazaris odciągnął rękę Michaela od swej brody - człowiek jest tu sam, a ich jest cały legion.

Znowu odsunięto zasuwę.

- Na rany Chrystusa! - wrzasnął Metzger.

Drzwi rozwarły się. Tym razem na korytarzu stało sześciu strażników.

- Ty! - Promień latarki odnalazł twarz Michaela. - Wychodź stamtąd! - Rozpoznali głos Baumana.

Michael ani drgnął.

- Nie spodoba ci się, jak będziemy cię stamtąd wyciągać - pogroził Bauman.

- Tak samo jak temu szkopowi, który spróbuje mnie wyciągać.

- Brać go! - rozkazał Bauman, wyjmując z kabury lugera. Żołnierze zawahali się. - Brać go, powiedziałem! - zagrmiał znowu i kopnął stojącego najbliżej podkomendnego.

Żołnierz pochylił się i zaczął wchodzić do celi. Wyciągnął rękę, żeby chwycić Michaela za ramię, ale ten cisnął mu w twarz garść brudnego siana i poprawił ciosem w szczękę, która pękła, jakby rozległ się huk wystrzału. Następny strażnik przecisnął się przez drzwi, a za nim jeszcze jeden. Michael odparował cios i uderzył drugiego napastnika otwartą dłonią w gardło. Trzeci żołnierz trafił Michaela w szczękę powierzchownym ciosem, a czwarty skoczył na niego i chwycił z tyłu za szyję. Przerazona dziewczynka zaczęła piszczeć wysokim głosem.

Ten głos, podobny do wycia nawołującego w nocy wilka, ożywił Michaela. Cofnął gwałtownie obydwie łokcie, wbijając je w klatkę piersiową duszącego go żołnierza. Niemiec jęknął z bólu, zwalniając uścisk, i Michael wyrwał się. Czyjaś pięść uderzyła go w obolałe ramię. Następny cios trafił w głowę. Michael odrzucił od siebie jednego z żołnierzy z taką siłą, że ten uderzył o ścianę. Inny uderzył go kolanem w plecy i chwycił palcami za twarz, próbując dostać się do oczu. Rozległ się przeraźliwy krzyk bólu i nagle trzymający Michaela żołnierz zamachnął się na wychudzoną postać, która skoczyła na niego. To Metzger zatopił zęby w policzku strażnika, rozrywając mu ciało jak rozszalały terier.

Michael trafił żołnierza kopniakiem w podbródek. Niemiec przeleciał przez drzwi i podciął nogi Baumanowi, który podniósł do ust gwizdek i zaczął pośpiesznie w niego dmuchać, wydając urywane tony. Czyjaś pięść przeleciała koło głowy Michaela i uderzyła w twarz strażnika. Łazaris z okrzykiem zamachnął się znowu i trafił Niemca w usta, miażdżąc mu górną wargę, z której trysnęła krew, i strącając mu czapkę z głowy. Potem chwycił strażnika za włosy i uderzył czołem w jego twarz z takim odgłosem, jaki czyni topór walący w pień.

Jeden z żołnierzy uniósł wypełnioną ołowiem gumową pałkę. Michael chwycił go za nadgarstek, zanim tamten zdążył zadać cios, i uderzył go pięścią w odsłoniętą pachę. Usłyszał za sobą świst powietrza. Zanim zdążył się obrócić, kolba karabinu trafiła go w środek pleców pomiędzy łopatki, pozbawiając tchu. Ciężka pałka spadła na jego rękę tuż pod łokciem,

paralizując ją bólem. Czyjaś pięść oszołomiła go, trafiając z tyłu głowy, i chociaż walczył jak szalony, wiedział, że już nie wystarczy mu sił.

- Wyprowadzić go! - krzyknął Bauman, kiedy kolejni żołnierze przybiegli mu na pomoc. - Szybko, pośpieszyć się!

Żołnierz trzymający w ręku pałkę zaczął bić Łazarisa i Metzgera, odpychając ich pod ścianę. Dwaj inni chwycili dziewczynkę i wyciągnęli ją na zewnątrz. Michael został rzucony na podłogę korytarza, a Bauman postawił mu but na gardle. Reszta strażników, w większości posiniaczonych i krwawiących, zaczęła niezdarnie wygrzebywać się na zewnątrz celi.

Michael usłyszał dźwięk przeładowywanego pistoletu maszynowego. Spojrzał w górę ledwo widzącymi z bólu oczyma i zobaczył strażnika celującego ze schmeissera do środka celi.

- Nie! - wycharczał, czując ciężar stopy Baumana na szyi.

Żołnierz otworzył ogień, puszczając dwie krótkie serie w kierunku pozostałych wewnątrz pięciu więźniów. Puste łuski zaklekotały po posadzce.

- Przestań! - zawołał Bauman i podbił schmeissera lufą pistoletu.

Jeszcze jedna krótka seria trafiła w kamienną ścianę, obsypując ich drobinami kamienia i pyłu.

- Nie strzelać bez rozkazu! - wrzasnął Bauman z wściekłością w oczach. - Rozumiecie, co mówię?

- Tak jest - odpowiedział wystraszony strażnik. Zabezpieczył jeszcze dymiący pistolet i opuścił jego lufę ku ziemi.

Twarz Baumana była purpurowa. Zdjął stopę z szyi Michaela.

- Wiecie, że trzeba się rozliczać z każdego naboju! - krzyknął na żołnierza. - Będę wypełniał raporty przez cały tydzień przez to głupie strzelanie! - Wskazał ręką niechętnie w kierunku celi. - Zamknąć to! A wy postawcie to bydlę na nogi!

Ruszył korytarzem, a strażnicy zmusili Michaela, by poszedł za nim. W głowie mu łomotało, a kolana niemal odmawiały posłuszeństwa.

Został odprowadzony do pomieszczenia z metalowym stołem w kształcie litery „X”. Pod sufitem świeciła się żarówka.

- Przywiązać go - rozkazał Bauman.

Michael zaczął się szarpać, bojąc się uciskających ciało rzemieni, ale był wyczerpany i żołnierze szybko sobie z nim poradzili. Naciągnęli mocno pęta.

- Zostawcie nas! - polecił Bauman.



Kiedy żołnierze odeszli, zdjął okulary i powoli wytarł szkiełka chusteczką do nosa. Michael zauważył, że drżą mu ręce.

Bauman założył znowu okulary. Miał wycieńczoną twarz i ciemne obwódki pod oczami.

- Jak się naprawdę nazywasz? - zapytał.

Michael milczał. Zaczynał już odzyskiwać jasność myślenia, ale nadal piekielnie go bolały ramiona i plecy.

- To znaczy: chodzi mi o to, jak się nazywasz w Anglii - dodał Bauman. - Lepiej szybko mi to powiedz, mój przyjacielu! Nie wiadomo, kiedy Krolle może przyjść, a on strasznie ma ochotę użyć na ciebie swojej pałki!

Michael był oszołomiony. Ton głosu Baumana zmienił się, był przynaglający, a nie rozkazujący. „To musi być taka sztuczka, oczywiście, że tak!” - pomyślał.

- Chesna van Dorne jeszcze nie została schwytana. - Bauman uniósł i unieruchomił stół w taki sposób, że Michael miał ciało prawie w pionie. - Jej przyjaciele... nasi przyjaciele... pomagają jej się ukrywać. Ona też pracuje nad przygotowaniem.

- Przygotowaniami? - zapytał Michael, czując ból przydeptanego wcześniej przez Baumana gardła. - Nad jakimi przygotowaniem?

- Żeby cię stąd wydobyć. I po to, żeby znaleźć samolot i przygotować lądowiska do tankowania. Zamierzaliście lecieć do Norwegii, prawda?

Michaelowi odebrało mowę. „To musi być sztuczka! O Boże! - pomyślał. - Chesna została schwytana i wszystko im powiedziała!”

- Posłuchaj mnie uważnie. - Bauman patrzył mu wprost w oczy. Na jego skroni widać było pulsującą gwałtownie żyłę. - Jestem tutaj, bo nie miałem wyboru. Mogłem albo pojechać na front, ryzykując, że dostanę kulę w łeb lub zostanę powieszony przez Rosjan za jaja, albo pracować tutaj w tej... w tej rzeźni. Na froncie nie mógłbym zrobić nic dla naszych przyjaciół, a tutaj mogę przynajmniej porozumiewać się z nimi i wspomagać niektórych więźniów. Jeżeli twoim zamiarem było doprowadzenie do tego, żeby wszyscy w celi zginęli, to ci się to prawie udało. „To wyjaśnia scenę z pistoletem maszynowym - pomyślał Michael. - Bauman próbował uratować pozostałych. Nie, nie! Blok albo Krolle polecieli mu to przeprowadzić! To wszystko przedstawienie!”

- Moim zadaniem - powiedział Bauman - jest utrzymać cię przy życiu, dopóki przygotowania nie zostaną zakończone. Nie wiem, ile czasu to zajmie. Otrzymam przez radio zaszyfowaną informację, w jaki sposób będzie przeprowadzona twoja ucieczka. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, bo więźniowie opuszczają Falkenhausen tylko jako nawóz w

workach. Zaproponowałem coś i teraz zobaczymy, czy Chesna uzna to za wartościowy pomysł.

- O jaką propozycję chodzi? - zapytał Michael.

- Obóz Falkenhausen został zbudowany po to, aby zamknąć w nim więźniów. Ma za małą załogę i strażnicy przywykli do tego, że mają posłuch. I właśnie dlatego zachowałeś się bardzo głupio. Nie wolno robić nic, co by zwracało na człowieka uwagę! - Mówiąc, chodził w tę i z powrotem. - Graj tylko otępiałego więźnia i wtedy będziesz mógł przeżyć tydzień!

- W porządku - powiedział Michael - założmy, że w to wierzę. Więc jak miałbym się wydostać?

- Strażnicy i Krolle także się rozleniwili. Nie ma tutaj buntów, prób ucieczki, niczego, co zakłócałoby codzienny porządek. Strażnicy nie spodziewają się, aby ktokolwiek próbował się wydostać, ponieważ jest to niemożliwe. Ale - zatrzymał się w miejscu - nikt też się nie spodziewa, żeby ktokolwiek próbował się tu dostać z zewnątrz, i to właśnie może być pewna szansa.

- Dostać się do środka? Do obozu koncentracyjnego? To szaleństwo!

- Tak, Krolle i strażnicy też tak myślą. Jak powiedziałem, Falkenhausen został zbudowany po to, żeby zamknąć w nim więźniów, ale nie wyposażono go w odpowiednie zabezpieczenia, by zapobiec dostaniu się do wewnątrz grupy ratowniczej.

Mała iskierka nadziei zapłonęła w duszy Michaela. Jeżeli stojący przed nim człowiek grał, to zasługiwał na to, by zostać gwiazdą na równi z Chesna. Jednak Michael nadal nie pozwalał sobie w to uwierzyć. Byłoby absolutną głupotą pójść na całość i ryzykować zdradzenie cennych sekretów.

- Wiem, że to dla ciebie trudne. Gdybym był na twoim miejscu, też byłbym nieufny. Pewnie myślisz, że próbuję cię wciągnąć w jakąś pułapkę. Może nic, co mówię, nie jest w stanie sprawić, abyś myślał inaczej, ale musisz uwierzyć w jedno: moje zadanie polega na tym, by utrzymać cię przy życiu, i postaram się je wypełnić. Rób tylko, co ci mówię, i to bez wahania.

- To wielki obóz - powiedział Michael. - Jeżeli nawet grupa ratownicza przedostałaby się przez bramę, to jak miałyby mnie znaleźć?

- Zajmę się tym.

- A co się stanie, jeżeli próba zawiedzie?

- W takim przypadku - powiedział Bauman - moim zadaniem jest dopilnowanie, żebyś umarł nie zdradziwszy sekretów.

Zabrzmiało to przekonująco. Właśnie takiego rozwiązania Michael się spodziewał, w razie gdyby zawiodły próby ratunku. „Mój Boże - pomyślał - czy pozwolę sobie zaufać temu człowiekowi?”

- Strażnicy czekają na zewnątrz. Niektórzy z nich mają długie języki i powtarzają wszystko Krollemu. Będę więc musiał cię pobić, żeby to wyglądało autentycznie. - Zaczął owijać chustką do nosa palce prawej dłoni. - Będę musiał upuścić ci krwi. Przepraszam. - Zacisnął mocno chusteczkę. - Kiedy skończymy, zostaniesz odprowadzony do celi. I jeszcze raz błagam, nie stawiaj żadnego oporu. Chcemy, żeby strażnicy i major Krolle uznali, że dałeś się złamać. Czy to jasne?

Michael nie odpowiedział. W jego głowie kłębiło się zbyt wiele myśli, próbował jakoś wszystko poukładać.

- W porządku - powiedział Bauman, unosząc pięść. - Postaram się to załatwić jak najszybciej.

Zaczął go bić oszczędnymi ciosami boksera, aż jego chusteczka zabarwiła się na czerwono. Nie wymierzał mu żadnych ciosów w korpus; chciał, żeby wszystkie rany, nawet najbardziej powierzchowne, były widoczne. Kiedy skończył, Michael krwawił z rozciętego lewego łuku brwiowego i rozbitej dolnej wargi, a twarz miał pokrytą granatowymi siniakami.

Bauman otworzył drzwi i wezwał strażników, nadal trzymając zakrwawioną chusteczkę na opuchniętej pięści. Bliski nieprzytomności Michael został wyswobodzony z rzemieni i zawleczony z powrotem do celi. Wrzucono go do środka na mokre siano i zatrzaśnięto drzwi.

- Gałatinow! - Łazaris potrząsnął Michaelem, przywracając mu przytomność. - Myślałem, że ciebie zabiją!

- Oni... starali się, jak tylko mogli. - Michael usiłował usiąść, ale głowa ciążyła mu, jakby była z ołowiu. Leżąc, dotykał czyjegoś ciała. Ten ktoś był zimny i nie oddychał.

- Kto to? - zapytał Michael.

Łazaris powiedział, że serie z pistoletu maszynowego przyniosły Metzgerowi boskie zmiłowanie. Francuz też dostał, leżał zwinięty w kłębek i dyszał ciężko. Był ranny w piersi i brzuch. Łazaris, Duńczyk i piąty więzień, Niemiec, który jęczał i płakał bez przerwy, uniknęli ran, skaleczyły ich tylko odłamki kamienia. Dziewczynka natomiast nie została odprowadzona do celi.

Nie wróciła już nigdy. W ciągu następnych ośmiu godzin - przynajmniej według Michaela było to osiem godzin, chociaż stracił już prawie całkiem poczucie czasu - Francuz

wydał ostatni dech i umarł. Strażnicy przynieśli kolejny bochenek czarnego chleba i pozwolili zanurzyć znowu gąbkę w wiadrze z wodą, ale pozostawili martwych razem z żywymi.

Michael spał dużo, odzyskując siły. Rana na udzie zaczynała się zablizniać, tak samo jak rana nad lewym okiem. To również świadczyło o upływie czasu. Leżał na podłodze celi i naciągał mięśnie, zmuszając krew do krążenia w zeszywniałych kończynach. Zamknął swój umysł przed murami i sufitem celi i skoncentrował się na obrazach zielonego lasu i łąk ciągnących się aż po błękitny horyzont. Poznał rozkład dnia: strażnicy przynosili chleb i wodę raz dziennie, a co trzy dni wiadro mającej uchodzić za zupę szarej mazi, w której Łazaris zanurzał gąbkę. Było to powolne głodzenie na śmierć, ale Michael dokładał starań, żeby zjeść każdą kruszynę chleba, wypić każdą kroplę wody czy mazistej zupy - cokolwiek zdołał pozbierać czy wycisnąć.

Zwłoki napuchły i zaczęły cuchnąć rozkładem.

„Co zamierza Blok?” - myślał Michael. Być może badał życiorysy pracowników „Reichkronen”, usiłując odkryć zdrajcę, którego tam nie było, a może próbował znaleźć nie istniejący aparat fotograficzny i film albo dowodził akcją poszukiwania Chesny.

Michael wiedział, że wkrótce znowu zostanie poddany torturom i że będą się odbywać raczej przy użyciu narzędzi niż pięści czy gumowej pałki majora Krolle. Michael nie był pewien, czy zdoła je przetrwać. Postanowił, że kiedy jego kaci znowu przyjdą po niego, to podda się przemianie. Rozerwie gardła tylu z nich, ilu zdąży, zanim posiekają go kulami, i to będzie koniec wszystkiego.

Ale co wtedy z „Żelazną Pięścią” i nadchodzącą inwazją? Już dwa razy przynoszono wiadro z brejowatą zupą, a więc był w tej brudnej dziurze od co najmniej siedmiu dni. Dowództwo aliantów musiało zostać ostrzeżone przed „Żelazną Pięścią”. Nie wiedział, co to jest, ale był pewien, że jest na tyle groźne, aby alianci musieli odłożyć inwazję. Gdyby lądujący na plażach żołnierze zostali narażeni na kontakt z substancją, która powodowała widziane przez niego na fotografiach okaleczenia, to inwazja skończyłaby się masakrą.

Obudził się z niespokojnego snu, w którym wielkie stopy szkieletów w zielonych mundurach leżały na wybrzeżu Francji. Usłyszał odgłos grzmotu.

- Ach, posłuchaj tej muzyki! - powiedział Łazaris. - Czyż nie jest piękna?

„To nie grzmot - uświadomił sobie Michael. - To odgłos bomb”.

- Znowu bombardują Berlin, Amerykanie w B-17. - Podniecony Łazaris sapnął pośpiesznie. Michael wiedział, że Rosjanin wyobraża sobie samego siebie w powietrzu, w roju ciężkich bombowców. - Wygląda na to, że niektóre bomby spadają bliżej. Zapali się las, to zwykle tak się kończy.

W obozie rozległo się wycie syreny alarmowej. Grzmot wybuchów był coraz głośniejszy. Michael czuł drżenie kamiennych ścian celi.

- Zrzucają dużo bomb, ale one nigdy nie spadają na obóz. Amerykanie wiedzą, gdzie jesteśmy, no i mają te nowe celowniki. O, to są samoloty, Gałatinow. Gdybyśmy mieli fortece zamiast tych parszywych tupolewów, tobyśmy odrzucili szkopów jeszcze w czterdziestym drugim.

Dopiero po chwili Michael zwrócił uwagę na słowa Łazarisa.

- Co? - zapytał.

- Powiedziałem, że jakbyśmy mieli B-17 zamiast tych cholernych tu...

- Nie, powiedziałaś „fortece”.

- No jasne. B-17. Latająca forteca. Tak je nazywają, bo bardzo trudno je zestrzelić. Ale i tak daliśmy szkopom za swoje. - Przysunął się bliżej do Michaela. - Kiedy niebo jest czyste, to czasami widać walki powietrzne. Oczywiście nie widać samych samolotów, bo są za wysoko, tylko smugi kondensacyjne. Jednego dnia nieźle się wystraszyliśmy, bo nad samym obozem przeleciała forteca z dwoma dymiącymi silnikami. Nie mogła być wyżej niż sto stóp nad ziemią. Rozbiła się z hukiem może jakąś milę stąd. Jakby leciała trochę niżej, to spadłaby nam prosto na głowy.

Michael zamyślił się. Latająca forteca. Amerykańskie bombowce dalekiego zasięgu stacjonujące w Anglii. Jankesi malowali swoje bombowce na ciemnooliwkowy kolor. Taki sam kolor miały fragmenty blachy, na których Theo von Frankewitz zaznaczał dziury po pociskach. Blok powiedział: „Nikt nie wie, gdzie jest forteca, tylko ja, doktor Hildebrand i paru innych”. Frankewitz wykonywał swoją pracę w hangarze na nieznanym lotnisku. Czyż więc było możliwe, że forteca, o której mówił Blok, to nie budowla, ale bombowiec B-17? I wtedy skojarzył wszystko.

- Czy amerykańscy lotnicy nadają nazwy swoim bombowcom? - zapytał.

- Tak, malują ich nazwy na kadłubie i zwykle różne inne obrazki. Już ci kiedyś mówiłem, że ich samoloty są wymalowane jak dziwki, ale kiedy już wystartują, to latają jak anioły.

- „Żelazna Pięść” - powiedział Michael.

- Co?

- „Żelazna Pięść” - powtórzył. - To może być nazwa latającej fortecy, prawda?

- Zdaje się, że może. A dlaczego pytasz?

Michael nie odpowiedział. Myślał o rysunku, który pokazał mu Frankewitz - rysunku żelaznej pięści ściskającej karykaturalną postać Adolfa Hitlera. Żaden zdrowy na umyśle

Niemiec nie ośmieliłby się pokazać takiego obrazka. Z pewnością jednak mógłby on dumnie zdobić nos latającej fortocy.

- Piękna muzyka - szepnął Łazaris, nasłuchując odgłosu dalekich wybuchów.

„Naziści wiedzą, że inwazja się zbliża - myślał Michael. - Nie wiedzą dokładnie, gdzie ani kiedy, ale prawdopodobnie wiedzą, że nastąpi w końcu maja lub na początku czerwca, gdy zwykle uspokajają się wody na kanale La Manche”. Należało zakładać, że przygotowywana przez Hildebranda substancja będzie do tego czasu gotowa do użytku. Być może sama broń nie była nazywana „Żelazną Pięścią”. Mogło to być określenie środka jej przenoszenia.

Alianckie myśliwce i bombowce dalekiego zasięgu panowały nad niebem Rzeszy. Miasta okupowanej Europy były celem setek rajdów bombowych. Ile latających fortoc zostało zestrzelonych podczas tych nalotów przez niemieckie myśliwce albo działa przeciwlotnicze? Ile z nich posiekanych kulami i z płonącymi silnikami rozbiło się o ziemię? A co ważniejsze, ile sprawnych latających fortoc wpadło w ręce Niemców?

„Przynajmniej jedna” - pomyślał Michael. Może to zaczęło się od tego bombowca, który przeleciał nad Falkenhausen i rozbił się w lesie? Może to właśnie ten incydent nasunął Blokowi pomysł gromadzenia nadających się do użytku części samolotu? Może dlatego został awansowany ze stanowiska komendanta Falkenhausen na stanowisko odpowiedzialnego za bezpieczeństwo programu „Żelazna Pięść”?

Michael nie cofał się przed rozważaniem w myślach najstraszniejszych wariantów. Jak trudne byłoby przywrócenie uszkodzonego B-17 do sprawności technicznej? Oczywiście zależało to od stopnia uszkodzenia samolotu, ale części można było zbierać z wraków w całej Europie. Może latająca forteca „Żelazna Pięść” była rekonstruowana na tym lotnisku, na którym Frankewitz robił swoje malunki. Ale po co malowałby dziury po pociskach? Dlaczego odbudowany bombowiec miałby wyglądać tak, jakby był podziurawiony...?

„Ach - pomyślał - to jasne. Kamuflaż”.

W dzień inwazji plaże, na których mają lądować wojska, będą chronione przez alianckie myśliwce. Żaden samolot Luftwaffe nie będzie w stanie się do nich przedostać, ale okaże się to pewnie możliwe dla amerykańskiej latającej fortocy. Szczególnie dla takiej, która będzie wyglądała na uszkodzoną w walce i wracającą z trudem do bazy w Anglii.

A kiedy taki samolot już dostanie się nad cel, będzie mógł zrzucić bomby z nowym odkryciem Hildebranda na głowy tysięcy młodych żołnierzy.

Michael zdawał sobie sprawę, że w jego rozumowaniu są dziury. Dlaczego Niemcy mieliby wkładać w to tyle wysiłku, skoro ich artyleria mogłaby po prostu ostrzelać nową

bronią wojska inwazyjne? Jeżeli rzeczywiście ta broń była jakiegoś rodzaju gazem, to skąd Niemcy by wiedzieli, że wiatr nie zwieje go z powrotem na ich pozycje? Nie, Niemcy mogli być zdesperowani, ale z pewnością nie byli głupi. O ile więc nie mylił się w swych domysłach, to jak miano by użyć latającej fortecy?

Musiał się wydostać z obozu. Dotrzeć do Norwegii i zdobyć więcej elementów całej układanki. Wątpił w to, że B-17 stacjonuje w Norwegii. To zbyt daleko od prawdopodobnego rejonu lądowania wojsk inwazyjnych. Jednak Hildebrand był w Norwegii ze swoją nową bronią i Michael musiał dokładnie się dowiedzieć, co to jest.

Bomby przestały wybuchać. Słyszał tylko cichnące wycie syreny alarmowej.

- Dobrego polowania - powiedział Łazaris pod adresem lotników. W jego głosie słyszał było wielką tęsknotę.

Michael położył się, usiłując znowu zasnąć. Przed oczami miał ciągle okropne zdjęcia ludzi poddanych eksperymentom

Hildebranda. Tajemnicza substancja, która potrafiła w ten sposób zniszczyć ludzkie ciało, musiała być sama zniszczona.

Napuchnięte zwłoki Metzgera i Francuza bulgotały i trzaskały, wydzielając pochodzące z rozkładu gazy. W ścianie obok Michael usłyszał delikatne drapanie szczura, próbującego znaleźć drogę za pomocą węchu. „Niech tu przyjdzie” - pomyślał. Gryzoń z pewnością był szybki i sprytny, ale Michael wiedział, że on jest szybszy. Biało to zawsze biało. Niechby tylko przyszedł.

Znowu przyniesiono wiadro z zupą. A więc nadszedł dziesiąty dzień jego uwięzienia. Strażnikom zaczęło zbierać się na wymioty, kiedy poczuli odór rozkładających się ciał, więc pośpiesznie zatrzasnęli drzwi celi. Jakiś czas później Michael już zapadał w drzemkę, kiedy usłyszał szcęk odsuwanej zasuwki. Drzwi otworzyły się znowu. Na korytarzu stali dwaj strażnicy z karabinami.

- Wynieść trupy - polecił jeden z nich, przyciskając chusteczkę do nosa.

Łazaris zawahał się, czekając na reakcję swego towarzysza. Jeszcze jeden Niemiec zajrzał do celi, kierując snop światła na bladą twarz Michaela.

- No, szybko! - rozkazał Bauman. - Nie mamy do dyspozycji całej nocy!

Michael usłyszał napięcie w głosie Baumana. „Co się dzieje?” - pomyślał.

Bauman wyciągnął z kabury lugera i wycelował go ku więźniom.

- Nie będę tego dwa razy powtarzał. Wychodzić! Michael i Łazaris chwycili ciało Metzgera i wyciągnęli je z celi, a Duńczyk z Niemcem wynieśli drugie ciało. Prostując się, Michael poczuł ból w kolanach. Duńczyk osunął się na posadzkę i legł na niej bez ruchu, aż jeden z żołnierzy lufą karabinu zmusił go do wstania.

- W porządku - powiedział Bauman. - Teraz marsz, wszyscy. Ponieśli ciała korytarzem.

- *Halt!* - rozkazał Bauman, kiedy dotarli do metalowych drzwi.

Jeden z żołnierzy odsunął rygiel i otworzył je.

Michael wiedział, że jak długo będzie żył, nigdy nie zapomni tego momentu. Przez drzwi wpadło świeże, chłodne powietrze. Może czuć było w nim woń palonych ciał, ale w porównaniu z odorem celi pachniało jak perfumy.

W obozie panowała cisza, a na niebie świeciły jasne gwiazdy. Na zewnątrz budynku stała zaparkowana ciężarówka. Bauman kazał niosącym ciała więźniom podejść do pojazdu.

- Włożyć ich do środka! - polecił nadal napiętym głosem. - Szybko!

Tył ciężarówki był już załadowany ponad dziesiątką nagich ciał mężczyzn i kobiet. Trudno było odróżnić płeć, ponieważ wszystkie ciała miały ogolone głowy, a piersi kobiet spłaszczyły się jak martwe kwiaty. Nad zwłokami kłębiły się natrętne muchy.

- No, ruszać się! - rozkazał Bauman, popychając Michaela do przodu, i w tym samym momencie obrócił się sprawnym ruchem. Przećwiczył to w myślach ze sto razy, kiedy przygotowywał się na ten moment. Wysunął nóż z rękawa, dał krok w kierunku najbliższego



strażnika i wbił mu ostrze w serce. Strażnik krzyknął i zachwiał się. Mokra plama krwi wystąpiła mu na mundur.

- Co, na Boga... - zaczął drugi żołnierz, ale Bauman zadał mu cios w brzuch. Wyciągnął ostrze i dźgnął go jeszcze raz.

Pierwszy strażnik klęczał na kolanach ze zbielełą twarzą, ale jeszcze usiłował wyciągnąć pistolet z kabury. Michael wypuścił trupa Metzgera i w ostatniej chwili chwycił żołnierza za nadgarstek. Uderzył go pięścią w twarz, ale palec strażnika zacisnął się na spuście i pistolet wypalił. Huk wystrzału zabrzmiał przerażająco głośno w nocnej ciszy. Kula poleciała w powietrze. Michael uderzył go jeszcze raz z całych sił, aż strażnik osunął się na ziemię, po czym odebrał mu pistolet.

Żołnierz, który walczył z Baumanem, krzyknął:

- Pomocy, niech ktoś...!

Bauman strzelił mu prosto w usta i strażnik padł plecami na ziemię.

W dali rozległo się szczekanie psów. „Dobermany” - pomyślał Michael.

- Ty! - Bauman wskazał na Łazarisa, który zszokowany stał bez ruchu. - Weź ten karabin! Weź go, ty durniu!

Łazaris podniósł karabin i wymierzył go w Baumana. Michael chwycił broń za lufę i skierował ją w bok.

- Nie - powiedział - on jest po naszej stronie.

- Niech to szlag trafi! Co się dzieje?

- Przestań bełkotać! - Bauman wsunął zakrwawiony nóż do pochwy. Rzucił okiem na świecące wskazówki swojego zegarka. - Mamy trzy minuty na dojechanie do bramy! Wsiadajcie na ciężarówkę, wszyscy.

Gdzieś rozległ się przeraźliwy gwizdek: sygnał alarmowy.

Duńczyk skoczył na ciała leżące na platformie ciężarówki. Łazaris poszedł za jego przykładem, ale niemiecki więzień upadł na kolana, łkając i jęcząc.

- Zostawcie go! - polecił Bauman i wskazał Michaelowi ruchem ręki, aby wsiadł do kabiny. Sam skoczył za kierownicę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik parsknął i zawarczał. Ciężarówka odjechała od budynku, który przed chwilą opuścili, i skierowała się ku bramie wjazdowej obozu, ciągnąc za sobą smugę kurzu. - Te strzały wszystkich pobudziły. Trzymaj się. - Skręcił gwałtownie ciężarówką między dwa drewniane baraki i przycisnął pedał gazu.

Michael zobaczył po lewej stronie rozsiewające czerwone iskry kominy krematorium. Po chwili na ich drodze pojawiło się trzech żołnierzy. Jeden z nich trzymał w rękach pistolet maszynowy. Machali rękami, dając znak kierowcy, żeby zahamował.

- Przebijamy się - rzucił krótko Bauman.

Strażnicy rozpięzchli się na boki, krzycząc na kierowcę, żeby się zatrzymał. Rozległy się kolejne gwizdki. Seria pocisków uderzyła w tył ciężarówki i kierownica zatrzęsała się w rękach Baumana. Z platformy rozległy się wystrzały z karabinu. To Łazaris nie tracił czasu. Światła znajdujących się na wieżyczkach reflektorów skierowały się w ich stronę, omiatając drogę i budynki.

Bauman znowu spojrzał na zegarek.

- Powinno się zacząć za dwie sekundy.

Zanim Michael zdążył zapytać, co ma na myśli, z prawej strony rozległa się głucha eksplozja. Niemal natychmiast nastąpił kolejny wybuch, tym razem za nimi, bardziej po lewej. Trzecia eksplozja miała miejsce tak blisko nich, że Michael zobaczył rozbłysk ognia.

- Nasi przyjaciele przywieźli moździerze, żeby odciągnąć uwagę załogi - powiedział Bauman. - Strzelają z lasu.

Kolejna seria wybuchów przetoczyła się przez obóz. Michael usłyszał strzały z karabinów. To strażnicy strzelali do cieni, a może nawet nawzajem do siebie. Miał nadzieję, że strzelali celnie.

Nagle objął ich jaskrawy snop światła reflektora. Bauman zaklął i skręcił, żeby uciec z kręgu światła, ale reflektor podążał tuż za nimi. Rozległ się przeszywający, wysoki gwizd syreny alarmowej. Załoga obozu ruszyła do akcji.

- Teraz zaczyna działać Krolle - powiedział Bauman, zaciskając do białości palce na kierownicy. - Te sukinsyny na wieżach mają krótkofalówki. Namierzają naszą pozycję...

Na drodze pojawił się strażnik. Stał pewnie na rozstawionych nogach i odbezpieczył schmeissera.

Michael zobaczył wachlarz pocisków z pistoletu maszynowego. Obydwie przednie opony wystrzeliły niemal równocześnie. Pociski podziurawiły silnik i chłodnicę. Ciężarówka zadygotała. Strażnik, nie przerywając ognia, uskoczył na bok, a samochód przemknął obok niego w chmurze kurzu. Przedni zderzak otarł się o kamienny mur, syjąc iskrami, ale Bauman zdołał opanować pojazd. Jechał dalej, wystawiając głowę przez okno, gdy olej chlapał na popękana przednią szybę. Pozbawione powietrza koła ryły koleiny w drodze. Przejechali jeszcze około pięćdziesięciu jardów, kiedy silnik załomotał i przestał pracować.

- No i po samochodzie! - zawołał Bauman, pośpiesznie otwierając drzwi kabiny.

Ciężarówka zatrzymała się na samym środku drogi. Michael i Bauman wyskoczyli na zewnątrz.

- Wychodź! - krzyknął Bauman do Łazarisa i Duńczyka. Wyrzebali się spośród zwłok. Obydwaj sami wyglądali jak trupy.

- Brama jest tam, około stu jardów! - Bauman wskazał im ręką do przodu i rzucił się biegiem w tym kierunku.

Nagi Michael biegł kilka kroków za nim, trzęsąc się z wysiłku. Łazaris potknął się, przewrócił, ale wstał i pobiegł za nimi na swych chudych nogach.

- Czekajcie, proszę, czekajcie na mnie! - wołał Duńczyk, pozostając coraz bardziej w tyle.

Michael obejrzał się akurat w chwili, kiedy światło reflektora oblało Duńczyka.

- Nie zatrzymuj się! - wrzasnął.

Rozległa się seria z pistoletu maszynowego i Duńczyk ucichł.

- Sukinsyny! Wy przekłete sukinsyny! - Łazaris przystanął na drodze i podniósł karabin. W tym samym momencie padło na niego światło reflektora. Seria pocisków uderzyła przed nim w ziemię, ale Łazaris zaczął naciskać spust raz po razie. Szkło reflektora pękło z hukiem i światło zgasło.

Bauman zatrzymał się nagle, stając twarzą w twarz z trzema strażnikami, którzy wyszli pomiędzy baraków.

- To ja! Fritz Bauman! - krzyknął, zanim zdążyli podnieść broń. Michael padł płasko na ziemię. - Więźniowie wszczęli bunt w sektorze E! - wrzeszczał Bauman. - Wszystko rozwalają! Na Boga, lećcie tam!

Żołnierze rzucili się do biegu i zniknęli za rogiem kolejnego baraku. Bauman i Michael ruszyli w kierunku bramy i po chwili wynurzyli się pomiędzy zabudowań, wychodząc na niebezpieczną otwartą przestrzeń. Reflektory z wieżyczek skierowane były do wewnątrz obozu, przesuwając się w tę i z powrotem. W centrum nadal eksplodowały granaty móżdziejowe.

- Padnij! - rozkazał Bauman Michaelowi. Rozciągnęli się na ziemi pod ścianą jednego z drewnianych baraków, kryjąc się przed zbliżającym się do nich kręgiem światła. Bauman spojrzał jeszcze raz na zegarek. - Do cholery! Spóźniają się! Gdzie oni są, do diabła?!

Ktoś zbliżał się do nich biegiem. Michael wyciągnął rękę, chwycił go za kostkę i powalił na ziemię, zanim ten zdążył wpaść w krąg światła reflektora.

- Co chcesz, ty sukinsynu, złamać mi kark?! - krzyknął Łazaris.

Nagle przez otwartą przestrzeń przed nimi przejechał motocykl z przyczepą. Kierowca zatrzymał się z piskiem kół przed stojącym blisko bramy zielonym budynkiem. Jego drzwi otworzyły się i wyskoczyła z nich otyła postać w żołnierskich butach, hełmie i jedwabnym szlafroku, przepasana pasem z dwoma pistoletami w kaburach. To wyrwany ze snu major Krolle skoczył do przyczepy motocykla i dał znak ręką kierowcy, żeby ruszał. Motocyklista nacisnął na gaz i kurz buchnął spod tylnego koła. Michael zorientował się, że Krolle będzie przejeżdżał zaledwie kilka stóp od nich. Bauman już podnosił pistolet, ale Michael go zatrzymał.

- Nie - rzucił i sięgnął po karabin Łazarisa. Podniósł się, przypominając sobie z wściekłością obraz włosów w sosnowej skrzyni.

Motocykl wysunął się zza ściany, a wtedy Michael zamachnął się karabinem jak maczugą. Kolba karabinu trafiła w czaszkę kierowcy, łamiąc mu szyję jak patyk. W tym samym momencie główna brama Falkenhausen otworzyła się z hukiem w rozbłysku płomieni, obrzucając najbliższą okolicę szczątkami płonącego drewna.

Gorąca fala wybuchu oblała wszystko wokół i powaliła Michaela na ziemię. Pozbawiony kierowcy motocykl skręcił ostro w lewo, zrobił kółko i uderzył w drewnianą ścianę, zanim jeszcze Krolle się zorientował, co mu grozi. Z nadal pracującym silnikiem pojazd przechylił się na bok i ogłuszony wybuchem Krolle wypadł z przyczepy, gubiąc hełm.

Spomiędzy resztek bramy wyjechał pomalowany na maskujące kolory samochód ciężarowy z osłaniającymi koła pancernymi płytami. Gdy tylko znalazł się na terenie obozu, odsunięto okrywającą platformę brązową plandekę, spod której ukazał się zamontowany na obrotowej podstawie karabin maszynowy kalibru 0,50 cala. Strzelec zwrócił broń w kierunku najbliższego reflektora i roztrzaskał go kulami, a potem przeniósł ogień na następny reflektor. Na platformie ciężarówki znajdowało się jeszcze trzech mężczyzn. Wymierzylili karabiny ku wieżom strażniczym i otworzyli ogień.

- Naprzód! - wrzasnął Bauman, podrywając się na nogi. Michael czekał przykucnięty, patrząc, jak Krolle wstaje. Pas z kaburami zsunął mu się z brzucha, oplątując nogi.

- Zabierz do ciężarówki mojego przyjaciela - powiedział Michael, wstając.

- Co? Zwariowałaś? Przyjechali tu po ciebie!

- Zrób to - ponaglił Baumana, patrząc na leżący na ziemi karabin z rozłupaną kolbą. Krolle jęczał, usiłując wyciągnąć lugera z kabury. - Nie czekaj na mnie. - Podszedł do majora, wziął do ręki pas i odrzucił go. Krolle jęknął, krew z rozciętego czoła zalewała mu oczy. - Jedźcie! - krzyknął Michael.

Bauman i Rosjanin pobiegli do ciężarówki.

Krolle zajęczał, rozpoznając w końcu stojącego nad nim człowieka. Przyłożył do ust przewieszony na tłustej szyi gwizdek, ale nie miał dość tchu, aby zagwizdać. Michael usłyszał grzechot kul o pancerną płytę. Obejrzał się i zobaczył, że Łazaris i Bauman dotarli do ciężarówki i wskoczyli do środka. Strzelec z platformy nadal prowadził ogień w kierunku wieżyczek strażniczych, ale teraz pociski Niemców trafiały też w samochód. Nadbiegało coraz więcej zaalarmowanych przez wybuchy żołnierzy. Pocisk z karabinu odbił się od jednej z osłon kół ciężarówki. Strzelec z platformy obrócił broń i zabił celującego w jego kierunku żołnierza. Robiło się coraz goręcej, był już najwyższy czas uciekać. Jadąc na wstecznym biegu, ciężarówka zniknęła za płonącą konstrukcją, która poprzednio stanowiła bramę.

Krolle usiłował się wycofać.

- Ratunku! - wycharczał. - Pomocy...!

Ale nikt go nie słyszał - wśród krzyków, wystrzałów i wycia syreny alarmowej, które musiało docierać aż do Berlina.

- Majorze - powiedział Michael i wtedy Krolle spojrział na niego. Grymas okropnego przerażenia zniekształcał mu twarz.

Michael otworzył usta. Mięśnie na jego szczękach naprężyły się i zrobiły miejsce dla kłów, które ociekając śliną, zaczęły wysuwać się z dziąseł. Czarne pasma włosów pokazały się na nagim ciele, a palce u rąk i nóg zaczęły się zakrzywiać w szpony. Krolle zdołał stanąć, pośliznął się, znowu wstał i ze zduszonym krzykiem rzucił się do ucieczki. Nie biegł w kierunku bramy, ponieważ okropna postać blokowała mu drogę, ale w przeciwną stronę: w głąb Falkenhausen. Michael ze zginającym się kręgosłupem i trzeszczącymi stawami popędził za nim jak cień śmierci.

Major padł na kolana obok baraku, usiłując precyzyjnie się przez szczelinę u dołu ściany. Nie udało mu się to, więc znowu poderwał się na nogi i pobiegł dalej, chwiejąc się i wołając o pomoc nie słyszonym przez nikogo głosem. Około trzystu stóp od nich płonął drewniany barak zapalony przez granat z moździerza. Czerwone światło pożaru tańczyło pod ciemnym niebem. Światła reflektorów nadal przemierzały teren obozu, spotykając się ze sobą, a strażnicy strzelali w zamieszaniu do siebie nawzajem.

Umysł wilka był ponad tym chaosem. Wiedział, jakie stoi przed nim zadanie, i czuł przyjemność, mając je wykonać.

Krolle obejrzał się przez ramię i zobaczył zielone oczy stwora. Pisnął ze strachu, stojąc w swym rozpiętym zakurzonym szlafroku, z którego zwisał mu tłusty biały brzuch. Rzucił się do ucieczki, usiłując wzywać pomocy, kiedy udawało mu się złapać oddech. Ośmielił się znowu obejrzeć. Zobaczył, że potwór zbliża się do niego równymi potężnymi

skokami, i wtedy zaczepił stopami o niską barierę z sosnowych żerdzi, przewrócił się przez nią i krzyżąc, zsunął się głową w dół po stromym zboczu wykopu.

Michael przeskoczył lekko przez barierę, która miała chronić samochody przed zbliżaniem się do krawędzi wykopu, i spojrzął w dół. Serce zabiło mu z przerażenia w jego wilczym ciele, kiedy zobaczył pokrywające dno wykopu bestialskie dzieło.

Ile ciał leżało wrzuconych bezładnie do dołu? Trzy tysiące? Pięć tysięcy? Nie wiedział. Głęboki wykop miał około pięćdziesięciu jardów szerokości. Nagie, splątane w obsceniczny sposób, kościste ciała leżały zrzucone na siebie tak grubą warstwą, że nie widać było dna dołu. W tej szarej, okropnej, niewyobrażalnej masie klatek piersiowych, wychudzonych rąk i nóg, łysych czaszek i zapadniętych oczu brnęła do przeciwległego krańca dołu postać w czerwonym szlafroku. Pełzła po kładkach z rozkładających się ciał.

Michael stał na krawędzi wbijając pazury w miękką ziemię. Migający ogień pożaru oświetlał piekielną poświatą olbrzymi masowy grób. Nie potrafił sprawnie myśleć, za wiele było tam śmierci. Rzeczywistość zdawała się zniekształcona, była jak koszmar, z którego musi się zaraz obudzić. Miał przed oczami obraz prawdziwego zła, przy którym błędną wszelkie wyobrażenia.

Michael uniósł głowę do nieba i krzyknął. Jego krzyk wydobył się z gardła szorstkim wilczym zawodzeniem.

Krolle usłyszał wycie i obejrzał się. Muchy kłębiły się wokół jego błyszczącej od potu twarzy.

- Zostaw mnie! - krzyknął do stojącego na krawędzi dołu potwora. Głos mu drżał i słychać było w nim nutę szaleństwa. - Zostaw...

Jedno z ciał pod nim poruszyło się z odgłosem jakby szeptu. Jego ruch spowodował, że inne zwłoki rozstąpiły się i Krolle utracił równowagę. Chwycił się dłonią jakiegoś złamanego ramienia, próbując przytrzymać się go mokrymi od potu dłońmi, ale ciało rozstąpiło się pod jego palcami i wpadł pomiędzy zwłoki. Ciała unosiły się i opadały jak fale morskie, a Krolle trzepotał ramionami, żeby utrzymać się na powierzchni. Otworzył usta do krzyku, ale rzuciła się w nie masa much. Wpadły mu zassane oddechem aż do gardła. Oślepiały go i gromadziły się w uszach. Drapał rozkładające się ciała, nie mogąc znaleźć oparcia dla stóp. Głowa Krollego zniknęła pod zwłokami, które poruszały się wokół niego, jakby budziły się ze snu. Pojedyncze ciała mogły ważyć tyle co łopaty, które je tu rzuciły, ale razem, splątane ramionami i nogami, zamknęły się nad głową Krollego i zdusiły go w swych głębinach. Został zepchnięty na spód, gdzie chuda ręka zagięła mu się na gardle. Uwięzione muchy miotły się w jego ustach.

Krolle przypadł. Ciała nadal się ruszały w całym dole, jakby robiąc miejsce dla kogoś następnego. Michael z oczami pełnymi przerażenia odwrócił się od martwych i ruszył biegiem ku żywym.

Wystraszył śmiertelnie dwa dobermany prowadzone na smyczach przez swoich przewodników i śmignął obok nich, wpadając na twardy teren, gdzie leżał uszkodzony motocykl. Do bramy zbliżała się ciężarówka pełna żołnierzy ruszających w pościg za grupą dywersantów. Michael pokrzyżował im plany, wskakując przez tylną burtę ciężarówki do środka. Niemcy zaczęli wrzeszczeć i wyskakiwać z pojazdu, jakby urosły im skrzydła. Kierowca, przestraszony widokiem chudego i najwyraźniej głodnego wilka kłapiącego paszczą z drugiej strony szyby, od razu stracił panowanie nad kierownicą i ciężarówka uderzyła w otaczający obóz kamienny mur.

W momencie zderzenia wilka nie było już na masce. Wyskoczył przez rozbitą bramę i pognął na wolność. Przebiegł przez drogę i wpadł w las, kierując się węchem. Olej silnikowy, proch strzelniczy... ach, tak... nieświeża woń rosyjskiego pilota.

Biegł zaroślami wzdłuż drogi, kierując się powonieniem. Poczuł zapach krwi, ktoś został ranny. Około mili od Falkenhausen ciężarówka skręciła z głównego szlaku w dróżkę, która była niewiele szersza niż... wilcza ścieżka. Dywersanci byli dobrze przygotowani, gdyż - jak Michael odkrył - jakiś pojazd, który miał zapach jak kolejna ciężarówka, wyjechał z tej dróżki i ruszył dalej, żeby zostawić ślady, które miały zmylić pościg, podczas gdy pierwsza ciężarówka wjechała w gęsty las. Michael biegł przez ciche leśne polany, kierując się wonią Łazarisa.

Przebiegł wijącą się trasą prawie osiem mil, kiedy usłyszał głosy ludzi i zobaczył błysk latarek. Przycisnął się wśród sosen i spojrzał przed siebie. Na polanie stały trzy pojazdy osłonięte przed obserwacją z powietrza siatką maskującą. Opancerzona ciężarówka i dwa cywilne samochody. Kilku ludzi rozmontowywało pośpiesznie pancerne osłony i zdejmowało karabin maszynowy. W tym samym czasie inni przemalowywali pojazd na biało, dodając czerwony krzyż na drzwiach kabiny. Ciężarówka przerodziła się w ambulans z rzędami noszy na platformie. Karabin maszynowy został zawinięty w pakuły, umieszczony w drewnianej skrzyni wyłożonej gumą i schowany do wykopu. Kilku mężczyzn zasypało broń, szybko machając łopatami.

Obok pojazdów stał namiot z wystającą anteną radiową. Michael był mile połączony. Włożyli mnóstwo wysiłku, żeby go uratować, już nie mówiąc o tym, że ryzykowali życie.

- Do cholery, próbowałem go zmusić, aby poszedł z nami! - rzucił Bauman, szybko opuszczając namiot. - Chyba zwariował! Skąd mogłem wiedzieć, że jest bliski pomieszczenia zmysłów?

- Powinieneś być go zmusić! Tylko Bóg jeden wie, co teraz z nim zrobią! - Za Baumanem pokazała się druga osoba. Michael znał ten głos i kiedy wciągnął powietrze w nozdrza, poczuł jej zapach: cynamon i skóra.

Chesna ubrana była w czarny dres i przewiązana skórzanym pasem z kaburą, jej blond włosy skrywały się pod czarną czapką, a twarz miała poczernioną węglem drzewnym.

- Tyle wysiłku, a on nadal tam jest! I zamiast jego ty przywozisz to! - wskazała gniewnie na Łazarisa, który wyszedł z namiotu, spokojnie gryząc suchara. - Mój Boże, co teraz zrobimy?

Wilk uśmiechnął się na swój własny sposób.

Dwie minuty później wartownik usłyszał trzask gałązki. Zastygł bez ruchu, wypatrując, kto może nadchodzić w ciemności. Czy ktoś tam stoi przy sośnie, czy nie? Uniósł broń.

- *Halt!* Kto idzie?

- Przyjaciel - odpowiedział Michael. Wypuścił z rąk gałązkę, którą właśnie złamał, i wyszedł z uniesionymi do góry dłońmi.

Widok nagiego, posiniaczonego człowieka wychodzącego z lasu był tak zaskakujący, że wartownik aż krzyknął:

- Hej! Niech ktoś tu przyjdzie! Szybko!

- Co to, do cholery...? - zawołała Chesna, podbiegając razem z Baumanem i kilkoma innymi osobami na pomoc wartownikowi.

Włączyli latarki i Michael Gallatin został złapany w snopy ich świateł.

Chesna zatrzymała się nagle, tracąc z wrażenia oddech.

- Jak, do cholery...? - wyszeptał Bauman.

- Nie ma czasu na formalności. - Głos Michaela brzmiał chropowato i słabo. Przemiana i ośmiomilowy bieg wyczerpały go do reszty. Już w tej chwili postaci wokół niego zaczynały rozmywać mu się przed oczami. Teraz już mógł sobie na to pozwolić. Był wolny. - Ja... zaraz zemdleję - powiedział. - Mam nadzieję... że ktoś... mnie podtrzyma... - Nogi ugięły się pod nim.

Chesna go podtrzymała.



**CZEŚĆ DZIESIĄTA**

**PRZEZNACZENIE**

Pierwszym bodźcem, jaki odebrał po przebudzeniu, było zielonożółte światło. To słońce przeświecało przez gęste gałęzie drzew. Przypomniawszy sobie las swojej młodości, królestwo Wiktora i jego rodziny. Ale to było dawno temu i teraz Michael nie leżał na legowisku z siana, ale w łóżku z białą pościelą. Nad sobą widział biały sufit, a po bokach pomalowane na jasnozielone ściany. Usłyszał świergot rudzików, więc obrócił głowę w prawo ku oknu. Zobaczył splecione gałęzie i prześwitujące między nimi skrawki nieba.

Mimo tego pięknego widoku nadal miał przed oczami wychudzone zwłoki w masowym grobie. Jeżeli zobaczy się raz coś takiego, to już nigdy nie można zapomnieć, czym jest zło tkwiące w człowieku. Chciał płakać, pozbyć się tego widoku, ale łzy nie napływały mu do oczu. Dlaczego miałby płakać nad doznanymi już cierpieniami? Nie, czas na łzy już przeminął. Teraz nadszedł czas zimnej refleksji i odzyskiwania sił.

Ciało bolało go okropnie. Nawet mózg miał jak poobtłukiwany. Uniósł prześcieradło i zobaczył, że nadal jest nagi. Jego ciało przypominało kołdrę ze skrawków w różnych odcieniach czarnego i niebieskiego. Rana na udzie była zszyta i posmarowana jodyną. Inne rany na jego ciele, nie wyłączając tych, które Blok zadał mu widelcem, również zostały potraktowane środkiem dezynfekującym. Zmyto z niego brud celi i Michael pomyślał, że ten, kto dokonał tego dzieła, zasługuje na medal. Dotknął włosów i stwierdził, że także zostały umyte. Skóra na głowie piekła go, prawdopodobnie od insektobójczego szamponu. Zgolono mu brodę, ale twarz miał pokrytą świeżym zarostem. Nie wiedział, jak długo leżał wyczerpany bez przytomności.

Wiedział jedno: był okropnie głodny. Zauważył żebra rysujące się pod skórą i wychudłe ręce i nogi. Na małym stoliku obok łóżka stał srebrny dzwonek. Michael wziął go w rękę i zadzwonił, żeby zobaczyć, co nastąpi.

Po niecałych dziesięciu sekundach drzwi otworzyły się gwałtownie i weszła Chesna van Dorne. Jej twarz, na której nie było już ani śladu maskującego węgla, promieniała. Miała rozradowane oczy, a złote loki sięgały jej do ramion. „Co za piękny widok” - pomyślał Michael. Niemal nie dostrzegał jej pozbawionego fasonu szarego dresu i waltera tkwiącego w kaburze przytwierdzonej do pasa. Za Chesną wszedł do pokoju szpakowaty mężczyzna w okularach z rogowymi oprawkami, ubrany w granatowe spodnie i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Miał ze sobą czarną lekarską walizeczkę, którą postawił na stoliku przy łóżku i otworzył.

- Jak się czujesz? - zapytała Chesna, stając przy drzwiach i spoglądając na Michaela z urzędową troską.

- Żyję. Ledwie. - Jego głos był ochryłym szeptem. Mówienie sprawiało mu trudność. Chciał usiąść, ale mężczyzna, najwyraźniej lekarz, przyłożył mu dłoń do piersi i przytrzymał go w pozycji leżącej, jakby miał do czynienia z chorym dzieckiem.

- To jest doktor Stronberg - wyjaśniła Chesna. - Zajmował się tobą.

- I pozwolę sobie zauważyć, że jednocześnie poszerzałem granice wiedzy medycznej.

- Głos Stronberga brzmiał jak łoskot żwiru mieszanego w betoniarce. Przysiadł na krawędzi łóżka, wyjął z walizeczki stetoskop i zaczął nasłuchiwać rytmu serca pacjenta. - Proszę głęboko oddychać. - Michael wykonał polecenie lekarza. - Jeszcze raz. Teraz proszę wstrzymać oddech. I wypuszczać powietrze powoli. - Chrząknął, wyjmując z uszu słuchawki. - Słysząc trochę rżenie. Nieznaczna infekcja w płucach, jak sędzę. - Wsunął Michaelowi termometr pod język. - Ma pan szczęście, że jest pan w tak dobrej kondycji fizycznej. W innym wypadku dwanaście dni w Falkenhausen o chlebie i wodzie mogłoby mieć o wiele gorsze następstwa niż wyczerpanie i zatkane płuca.

- Dwanaście dni? - zapytał Michael, sięgając po termometr. Stronberg chwycił go za nadgarstek i odciągnął jego rękę od termometru.

- Proszę to zostawić. Tak, dwanaście dni. Oczywiście ma pan różne inne dolegliwości: nieznaczny wstrząs psychiczny, złamany nos, mocno stłuczony bark i potłuczone plecy od uderzenia, które omal nie zmiażdżyło panu nerek, a pańska rana na nodze była bliska gangreny. Miał pan szczęście, że zakażenie zostało w porę powstrzymane. Musiałem usunąć trochę tkanki, więc nie będzie pan przez jakiś czas w stanie używać tej nogi.

- Mój Boże! - jęknął Michael i zadrżał na myśl o tym, że mógłby stracić nogę pod nożem i piłą chirurgiczną.

- W pana moczu jest krew - kontynuował Stronberg - ale nie sędzę, żeby miał pan jakieś trwałe uszkodzenie nerek. Musiałem wprowadzić sączek i odciągnąć trochę płynu. - Wyjął termometr i odczytał wskazanie. - Nieznaczna gorączka - powiedział. - Przynajmniej od wczoraj trochę pan ochłonał.

- Od jak dawna tu jestem?

- Od trzech dni - powiedziała Chesna. - Doktor Stronberg chciał, żebyś odpoczął.

Michael poczuł w ustach gorzki smak. „Lekarstwa - pomyślał - antybiotyki i najprawdopodobniej środek uspokajający”. Lekarz przygotowywał kolejną strzykawkę.

- Wystarczy tego - zaprotestował Michael.

- Niech pan nie będzie idiotą. - Stronberg ujął go za rękę. - Pana organizm został narażony na kontakt z takim brudem i zarazkami, że miał pan szczęście, że nie złapał tyfusu, dyfterytu i dżumy. - Wbił mu igłę w ramię.

Michael niewiele mógł na to poradzić.

- Kto mnie umył?

- Ja polałam ciebie wodą z węża, chyba to masz na myśli - oznajmiła Chesna.

- Dziękuję.

- Nie chciałam, żebyś zaraził moich ludzi - powiedziała, wzruszając ramionami.

- Wspaniale się spisali. Mam wobec nich zobowiązania. - Przypomniawszy sobie zapach krwi na leśnej ścieżce. - Kto został ranny?

- Eisner. Dostał kulę w rękę. - Zmarszczyła brwi. - Chwileczkę, skąd wiesz, że ktokolwiek został ranny?

„Rzeczywiście” - pomyślał Michael, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Ja... nie jestem pewien. Sypało się dużo kul.

- Tak. - Chesna wpatrywała się w niego uważnie. - Mamy szczęście, że nie straciliśmy nikogo. A teraz może mi powiesz, dlaczego odmówiłeś ucieczki z Baumanem i jak potem trafiłeś do naszego obozu ponad osiem mil od Falkenhausen? Co zrobiłeś? Przebiegłeś tę odległość? Jak nas znalazłeś?

- A Łazaris? - zapytał Michael, grając na zwłokę, żeby zdążyć wymyślić jakąś dobrą odpowiedź. - Mój przyjaciel. Nic mu nie jest?

- Przyniósł ze sobą całą armię wszy - powiedziała Chesna, kiwając głową. - Musieliśmy go ostrzyć na łyso, ale powiedział, że zabije każdego, kto dotknie jego brody. Jest w jeszcze gorszym stanie niż ty, ale będzie żył. - Uniosła swe jasne brwi. - Miałeś mi powiedzieć, jak nas znalazłeś.

Michael przypomniał sobie, jak słyszał Chesnę i Baumana sprzeczekających się owej nocy, kiedy wychodzili z namiotu.

- Chyba trochę mi się pomieszało w głowie - odpowiedział. - Pobiegnę za majorem Krolle. Nie pamiętani za bardzo, co się wydarzyło.

- Zabiłeś go?

- On... zajęto się nim - odparł Michael.

- I co dalej?

- Wziąłem motocykl Krollego. W ten sposób przejechałem przez bramę. Jakaś kula musiała trafić w zbiornik paliwa, bo przejechałem tylko parę mil i silnik się zatrzymał. Potem

zacząłem iść przez las. Zobaczyłem wasze latarki i trafiłem na obóz. - „To bardzo mało wiarygodne” - uznał, ale nie potrafił wymyślić nic lepszego.

Chesna milczała przez chwilę, wpatrując się w niego.

- Jeden z naszych ludzi obserwował drogę - powiedziała. - Nie widział żadnego motocykla.

- Nie jechałem drogą. Jechałem przez las.

- I po prostu przypadkiem trafiłeś na nasz obóz? W takim lesie? Natknąłeś się na nasz obóz, kiedy żaden z faszystów nie potrafił nas znaleźć?

- Chyba tak. Dostałem się w końcu tutaj, prawda? - Uśmiechnął się blado. - Powiedzmy, że takie były wyroki opatrności.

- Myślę, że znowu oddychałeś przez pustą trzcinę - podeszła nieco bliżej łóżka, podczas gdy Stronberg przygotowywał drugi zastrzyk. - Gdybym nie wiedziała, że jesteś po naszej stronie, baronie, to mogłabym mieć wielkie wątpliwości co do twojej osoby. Pokonanie Harry'ego Sandlera na jego własnym gruncie to jedno, a przebycie w twoim stanie ponad ośmiu mil przez las w nocy i odnalezienie naszego obozu, który był bardzo dobrze zamaskowany, to coś absolutnie innego.

- Jestem dobry w tym, co robię. Właśnie dlatego tu jestem. - Skrzywił się, kiedy igła ponownie przebiła mu skórę.

Pokręciła głową.

- Nikt nie jest aż tak dobry, baronie. Jest coś w tobie... coś bardzo dziwnego.

- No cóż, możemy o tym gawędzić cały dzień, jeśli masz na to ochotę - powiedział z udawaną irytacją. Chesna przypatrywała mu się bystro. Zrozumiała, że robi unik. - Czy masz gotowy plan?

- Będzie wtedy gotowy, kiedy mi będzie potrzebny. Pozwoliła na razie zamknąć temat. Jednak ten człowiek coś ukrywał i ona chciała wiedzieć co.

- Dobrze, kiedy możemy ruszać?

- Pan nigdzie nie pojedzie - wtrącił stanowczym głosem Stronberg. Zatrzasnął swą walizeczkę. - W każdym razie przynajmniej przez najbliższe dwa tygodnie. Jest pan wygłodzony i ranny. Normalny człowiek bez pańskiego specjalnego wykształcenia byłby już gotowy.

- Doktorze - powiedział Michael - dziękuję za pana troskliwość i opiekę. A teraz, czy zechciałby pan nas opuścić?

- On ma rację - dodała Chesna - jesteś zbyt słaby, żeby dokądkolwiek się wybierać. Dla ciebie misja jest zakończona.

- Czy po to wydobyłaś mnie stamtąd, żeby mi powiedzieć, że jestem inwalidą?

- Nie. Żeby uchronić cię przed puszczaniem farby. Odkąd zostałeś uwięziony, pułkownik Blok trzyma „Reichkronen” pod kluczem. Przesłuchuje wszystkich pracowników i sprawdza ich kartoteki. Przetrzęsa cały zamek pokój po pokoju. Wyciągnęliśmy cię z Falkenhausen, ponieważ Bauman zawiadomił nas, że Blok zamierza rozpocząć torturowanie cię następnego ranka. Jeszcze cztery godziny - i nie pomogłyby ci nawet sączki.

- Ach, to tak. - Dowiedziawszy się, co mu groziło, uznał ryzyko utraty nogi za drobną niedogodność.

Doktor Stronberg już miał się wycofać przez drzwi, jednak zatrzymał się i powiedział:

- Ma pan interesujące znamię. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

- Znamię? - zapytał Michael. - Jakie znamię? Stronberg zrobił zdziwioną minę.

- Pod pana lewą ręką, oczywiście.

Michael uniósł ramię i zastygł zaskoczony. Od pachy do biodra widać było pasmo gładkich czarnych włosów. Wilczych włosów. Przy całym przeżytych stresie ciała i umysłu nie zdołał się całkowicie przemienić po opuszczeniu Falkenhausen.

- Fascynujące - zauważył Stronberg. Pochylił się bliżej, żeby przyjrzeć się włosom. - To się nadaje do fachowego pisma dermatologicznego.

- Jestem pewien, że tak - odparł Michael, przyciskając ramię do boku.

Stronberg przeszedł obok Chesny, kierując się do drzwi.

- Od jutra zaczniemy wprowadzać dietę ze stałych pokarmów. Dodamy do wywaru trochę mięsa.

- Nie chcę żadnego wywaru, do cholery. Chcę stek. Krwisty, bardzo krwisty.

- Pana żołądek nie jest na to przygotowany - powiedział Stronberg i wyszedł z pokoju.

- Jaki dzisiaj dzień? - zapytał Michael po wyjściu doktora. - Jaka data?

- Siódmy maja. - Chesna podeszła do okna i wyjrzała na las. Wieczorny blask słońca oblał jej twarz.

- Uprzedzając twoje następne pytanie, powiem, że jesteśmy w domu przyjaciela, około czterdziestu mil na północny zachód od Berlina. Najbliższa miejscowość to mała osada o nazwie Rossow, położona jedenaście mil na zachód. Więc jesteśmy tutaj bezpieczni i możesz spokojnie odpoczywać.

- Ja nie chcę odpoczywać. Mam misję do wykonania. - Mówiąc to, poczuł, że środek, który zaaplikował mu Stronberg, zaczyna działać. Miał zdrętwiały język i znowu zaczynała ogarniać go senność.

- Otrzymaliśmy cztery dni temu depezę radiową z Londynu. - Chesna obróciła się od okna i stanęła twarzą do niego. - Inwazja została zaplanowana na piątego czerwca. Przekazałam przez radio informację, że nasza misja nie jest ukończona i że inwazja może być zagrożona. Nadal czekam na ich odpowiedź.

- Zdaje mi się, że wiem, czym jest „Żelazna Pięść” - powiedział Michael i przedstawił jej swoją teorię o latającej fortecy. Słuchała uważnie, nie dając po sobie poznać, czy zgadza się z nim, czy nie. Miała prawdziwą minę pokerzysty. - Nie sądzę, żeby samolot był stacjonowany w Norwegii - powiedział - ponieważ to za daleko od miejsca inwazji. Jednak Hildebrand wie, gdzie jest samolot. Musimy dostać się na Skarpę... - wzrok mu mętniał, w ustach czuł narastający smak lekarstwa -...i dowiedzieć się, co wynalazł Hildebrand.

- Nie możesz nigdzie jechać. Nie w obecnym stanie. Byłoby lepiej, gdybym sama dobrała zespół ludzi i poleciała tam z nimi samolotem.

- Nie! Posłuchaj mnie... twoi przyjaciele mogą być dobrzy w atakowaniu obozów niemieckich... ale Skarpa będzie o wiele trudniejsza. Potrzebujesz zawodowca, żeby wykonać tę robotę.

- Takiego jak ty?

- Właśnie. Jestem w stanie przygotować się w ciągu sześciu dni.

- Doktor Stronberg mówił o dwóch tygodniach.

- Nie dbam wcale o to, co on mówi, do cholery! - Rozgniewał się. - Stronberg mnie nie zna. Będę gotowy w sześć dni. Pod warunkiem, że dostanę mięso.

- Wydaje mi się, że mówisz to poważnie - powiedziała Chesna, lekko się uśmiechając.

- Oczywiście, że poważnie. I koniec ze środkami uspokajającymi czy co tam takiego Stronberg mi wstrzykuje, jasne?

- Powiem mu o tym - powiedziała po chwili zastanowienia.

- Jeszcze jedno. Czy... pomyślałaś o takiej możliwości... że w drodze na Skarpę natrafimy na myśliwce?

- Tak. Jestem gotowa podjąć to ryzyko.

- Jeżeli zostaniesz trafiona, to nie mam ochoty... spadać na ziemię w płomieniach. Potrzebujesz drugiego pilota. Masz kogoś?

Chesna pokręciła głową.

- Porozmawiaj z Łazarisem - zasugerował Michael. - Być może... odkryjesz, że jest interesujący.

- Ten potwór? On jest lotnikiem?

- Po prostu z nim porozmawiaj. - Michaelowi ciążyły powieki. Z trudnością zwalczał senność. „Lepiej będzie teraz odpocząć - pomyślał. - Odpocząć, a od jutra znowu zacząć walczyć”.

Chesna czekała przy jego łóżku, aż zasnął. Jej twarz złagodniała. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego włosów, ale poruszył się, więc ją cofnęła. Kiedy zorientowała się wtedy w lesie, że on i Mysz zostali schwytani, niemal oszalała z rozpacz, i wcale nie dlatego, że się bała, iż zdradzi ich tajemnice. Widząc go wychodzącego z lasu, brudnego i pokrytego siniakami, z twarzą wynędzniałą od głodu i tortur, niemalże zemdląca. Ale w jaki sposób odnalazł ich w lesie? Jak?

„Kim jesteś?” - zagadnęła w myślach śpiącego mężczyznę. Łazaris pytał ją, jak się czuje jego przyjaciel, Gałatinow. Czy więc był Brytyjczykiem, czy Rosjaninem? A może jeszcze kimś innym? Nawet w stanie wycieńczenia był przystojnym mężczyzną, ale dostrzegało się w nim piętno samotności. Jakieś zatracenie. Ona sama spędziła życie otoczona luksusem, a ten człowiek wiedział, co znaczy nędza. W tajnych służbach panuje jedna podstawowa zasada: nie wiązać się emocjonalnie. Jej naruszenie może prowadzić do niewyobrażalnego cierpienia i śmierci. Ale ona była zmęczona, tak bardzo zmęczona nieustannym graniem roli. Życie bez uczuć jest jak granie roli dla krytyki, a nie dla widowni. Nie ma w nim radości, tylko samo rzemiosło.

Baron czy też Gałatinow, czy jak się tam on nazywał, zadrżał przez sen. Zobaczyła, jak jego ramiona pokrywają się gęsią skórą. Przypomniała sobie, jak go myła, wcale nie polewając z węża, ale szczotką, kiedy leżał nieprzytomny w wannie z ciepłą wodą. Zmyła mu wszy z głowy, klatki piersiowej, spod pach i z włosów łonowych. Ogoliła go i umyła mu włosy, a zrobiła to wszystko dlatego, że nikt inny nie chciał się tym zająć. To było jej zadanie - ale zadanie nie wymagało od niej, żeby czuła ból w sercu, kiedy zmywała brud z jego twarzy.

Chesna podciągnęła prześcieradło, nakrywając go po szyję. Otworzył powieki, błyskając zielonymi oczami, ale lekarstwo było bardzo mocne i znowu zapadł w sen. Życzyła mu w myślach dobrego snu, wolnego od koszmarów, i zamknęła cicho drzwi za sobą.



Niecałe osiemnaście godzin po swoim pierwszym przebudzeniu Michael Gallatin stał już na nogach. Oddał mocz do basenu. Mocz nadal był zabarwiony krwią, ale oddając go Michael nie czuł pieczenia. Udo pulsowało mu bólem, jednak stanął pewnie na nogach. Przekuśtykał przez pokój, sprawdzając swą kondycję. Bez środków znieczulających i uspokajających całe ciało miał obolałe, ale myślał jasno. O Norwegii i o tym, co musi zrobić, aby przygotować się do kontynuacji misji.

Położył się na podłodze z sosnowych desek i zaczął powoli napinać mięśnie. Ćwicząc, odczuwał dotkliwy ból. Leżąc na plecach, unosił nogi i podrywał głowę, żeby była jak najbliżej kolan. Potem położył się na brzuchu i zaczął unosić jednocześnie podbródek i nogi. Następnie wykonał trochę powolnych pompek, od których ból przeszył mu mięśnie ramion i pleców. Potem usiadł na podłodze, podciągnął kolana i przechylając się do tyłu, niemal położył plecy na podłodze, wytrzymał w tej pozycji aż do bólu i wyprostował się znowu. Skórę pokryła mu warstewka błyszczącego potu. Pulsująca w żyłach krew nasyciła jego mięśnie, a serce zaczęło bić mocnym rytmem. „Sześć dni - pomyślał, oddychając urywanie. - Będę gotowy”.

Do pokoju weszła kobieta z pasmami szpakowatych włosów w kasztanowej fryzurze. Przyniosła mu posiłek: jarzyny z wody i odrobinę drobno posiekanej wołowiny.

- To dla niemowlaków - powiedział jej Michael, ale zjadł wszystko.

Znowu odwiedził go doktor Stronberg. Michael miał już niższą temperaturę, a rzeżenie w płucach było mniej wyraźne. Jak się jednak okazało, podczas ćwiczeń zerwał trzy szwy. Stronberg napomniął go, żeby leżał w łóżku i odpoczywał, i na tym zakończył wizytę.

Następnej nocy, posiliwszy się kolejną porcją obrzydliwej papki wołowej, Michael wstał w ciemności i otworzył okno. Wysunął się na zewnątrz, wychodząc w cichy las. Stanął pod wiązem, żeby przemienić się z postaci ludzkiej w wilczą. Wszystkie szwy puściły, ale z rany na udzie nie popłynęła już krew. Przybyła mu więc kolejna blizna do kolekcji. Przebiegł na czterech łapach przez las, wciągając aromatyczne, czyste powietrze. Dostrzegł wiewiórkę i dopadł jej, zanim zdążyła wskoczyć na drzewo. Ślina ciekła mu z pyska, kiedy pożerał krwiste mięso. Wypluł kości i sierść i ruszył na dalsze polowanie. W gospodarstwie leżącym około dwóch mil od domu doktora zaszczekał pies. Po chwili wyczuł woń Michaela i zawył. Michael pokropił moczem słupek w ogrodzeniu po to tylko, żeby pokazać psu, gdzie jest jego miejsce.

Usiadł na szczycie trawiastego wzgórką i zapatrzył się w gwiazdy. W tak piękną noc musiał zadać sobie to pytanie: czym jest likantrop w oczach Boga?

Pomyślał, że teraz może już zna na to odpowiedź: po tym, jak zobaczył masowy grób w Falkenhausen, po śmierci Myszy i po widoku Żelaznego Krzyża wyrywanego z jego połamanym palców. Pomyślał, że zna już prawdziwą odpowiedź po tylu dniach spędzonych w tym kraju cierpienia i nienawiści. W każdym razie tymczasem musiał się nią zadowolić.

Likantrop był bożym mścicielem.

Miał tak wiele pracy do wykonania. Wiedział, że Chesna jest odważna, bardzo nawet odważna, ale jej szansa dostania się na Skarpę i ucieczki stamtąd bez niego była nikła. Musiał mieć bystrość i siłę, aby stawić czoło temu, co ich oczekiwało.

Jednak był słabszy, niż mu się wydawało. Przemiana pozbawiła go mocy, leżał więc pod rozgwieżdżonym niebem z głową na łapach. Zasnął i śnił o wilku, który śni, że jest człowiekiem, który śni, że jest wilkiem, który śni.

Kiedy się obudził, słońce wznosiło się nad horyzontem. Świat wokół był zielony i piękny, ale krył w sobie czarne serce. Wstał i ruszył z powrotem w tym kierunku, z którego przyszedł, podążając za swoim własnym zapachem. Zbliżył się do domu i już miał się znowu przemienić w ludzką postać, kiedy usłyszał przebijające się przez śpiewy rannych ptaków ciche trzaski radiostacji. Ruszył w stronę tego dźwięku i około pięćdziesięciu jardów od domu odkrył szopę nakrytą siatką kamuflującą. Na dachu widniała antena. Przyczał się w krzakach, wsłuchując w dochodzące z szopy odgłosy. Najpierw rozległy się trzy sygnały muzyczne, jeden po drugim. Zaraz potem usłyszał głos Chesny.

- Odbiór - oznajmiła po niemiecku.

Odpowiedział jej dochodzący z wielkiej odległości głos mężczyzny.

- Data koncertu została zatwierdzona. Beethoven, tak jak planowano. Musicie jak najszybciej kupić bilety. Koniec.

Zapadła cisza, słychać było już tylko trzaski zakłóceń.

- Więc wszystko jasne - powiedziała Chesna do kogoś.

Po chwili szopę opuścił Bauman. Wszedł po drabince na dach i zdjął antenę. Wkrótce Chesna też wyszła na zewnątrz. Miała podkrążone oczy, musiała więc źle spać poprzedniej nocy. Ruszyła szybkim krokiem przez las w kierunku domu. Michael cicho podążył za nią, kryjąc się w zielonych cieniach. Wyczuł jej woń i przypomniał sobie ich pierwszy pocałunek w westybulu „Reichkronen”. Czuł się już silniejszy, wszystko w nim się umocniło. Jeszcze kilka dni odpoczynku i kilka nocy polowania na potrzebne mu mięso i krew - i...

Dał kolejny krok i w tej chwili ukryta w zaroślach przepiórka zaskrzeczała i wzbiła się w powietrze spod jego nóg.

Chesna obróciła się błyskawicznie w tę stronę, wyciągając z kabury lugera. Zobaczyła go. Wycelowwała, otwierając szeroko oczy, i nacisnęła spust. Rozległ się huk wystrzału i kula odłupała kawałek kory z drzewa obok głowy Michaela. Chesna wystrzeliła jeszcze raz, ale czarny wilk już zniknął. Obrócił się i biegł przez gęste zarośla, kiedy kula z gwizdem przeleciała nad jego plecami.

- Fritz! Fritz! - zawołała Chesna do Baumana. - Wilk! - Michael usłyszał jej głos. - Był tuż-tuż i patrzył na mnie! O Boże, nigdy nie widziałam wilka z tak bliska!

- Wilk? - W głosie Baumana słysząc było niedowierzenie. - Tu nie ma wilków!

Michael zatoczył koło przez las, kierując się ku domowi. Serce łomotało mu w piersiach. Obydwie kule minęły go o cal. Położył się w krzakach i przemienił tak szybko, jak tylko potrafił, czując ból w zmieniających położenie kościach. Kły wsunęły mu się w szczęki z mokrym kłaśnięciem. Wiedział, że wystrzały musiały obudzić wszystkich w domu. Stał na nogi w swej nowej postaci, prześliznął się przez okno i zamknął je za sobą. Usłyszał dochodzące z zewnątrz wołania zaaferowanych ludzi. Położył się do łóżka i podciągnął prześcieradło pod brodę. Leżał już spokojnie, kiedy trzy minuty później weszła do jego pokoju Chesna.

- Pomyślałam, że już się obudziłeś - powiedziała. Nadal była nieco podekscytowana. Wyczuł od niej zapach spalonego prochu. - Słyszałeś strzały?

- Tak. Co się dzieje? - Usiadł, udając niepokój.

- Mało brakowało, bym została zjedzona przez wilka. Tu zaraz, niedaleko od domu. Gapił się na mnie i miał... - Jej głos zamarł.

- Co miał?

- Miał czarne futro i zielone oczy - powiedziała cichym głosem.

- Myślałem, że wszystkie wilki są szare.

Patrzyła w jego twarz, jakby po raz pierwszy naprawdę go zobaczyła.

- Nie.

- Słyszałem dwa strzały. Trafiłaś go?

- Nie wiem. Może. Oczywiście, to mogła być samica.

- No, dzięki Bogu, że cię nie dopadł. - Poczł zapach przygotowywanego śniadania: parówek i naleśników. Jej uważny wzrok zaniepokoił go. - Jeżeli był taki głodny, jak ja jestem teraz, to masz wielkie szczęście, że nie odgryzł z ciebie kawałka.

- Pewnie mam szczęście. - „Co też mi chodzi po głowie - zapytała sama siebie w myślach. - Że ten człowiek ma czarne włosy i zielone oczy tak samo jak wilk? No i co z tego? Chyba tracę zmysły!” - Fritz... mówi, że w tym rejonie nie ma wcale wilków.

- Zapytaj go, czy zechciałby przejść się w nocy przez las, żeby to sprawdzić. - Uśmiechnął się przelotnie. - Ja sam nie miałbym na to ochoty.

Chesna dopiero teraz zauważyła, że stoi opierając się plecami o ścianę. Myśli, które przelatywały jej przez głowę, były całkowicie absurdalne, wiedziała o tym, ale jednak... nie, nie! To głupie! Takie rzeczy zdarzały się w średniowiecznych legendach, które opowiadano nocą przy ogniu, kiedy na dworze wył zimny wiatr. Teraz żyjemy w nowoczesnym świecie!

- Chciałabym wiedzieć, jak się nazywasz - powiedziała w końcu. - Łazaris mówi na ciebie: Gałatinow.

- Urodziłem się jako Michaił Gałatinow. Zmieniłem nazwisko na Michael Gallatin, kiedy zostałem obywatelem brytyjskim.

- Michael - powtórzyła Chesna, wsłuchując się w brzmienie tego słowa. - Właśnie otrzymałam przez radio wiadomość. Inwazja jest w dalszym ciągu planowana na piątego czerwca, o ile na Kanale nie będzie złej pogody. Nasza misja jest ta sama: mamy znaleźć „Żelazną Pięść” i zniszczyć ją.

- Będę gotowy.

Zauważyła, że jego cera wygląda lepiej, jakby miał za sobą trochę ćwiczeń, a może jakiś ekscytujący sen.

- Sądę, że będziesz gotów - odpowiedziała. - Łazaris też czuje się lepiej. Wczoraj rozmawiałam z nim. Wie dużo o samolotach. Jeżeli będziemy mieli problem z silnikiem po drodze, to może się przydać.

- Chciałbym go zobaczyć. Czy mogę dostać jakieś ubranie?

- Zapytam doktora Stronberga, czy jesteś już w stanie wstać z łóżka.

- I powiedz mu, że chcę trochę tych naleśników - mruknął Michael.

Chesna wciągnęła powietrze przez nos i wykryła zapach naleśników.

- Musisz mieć bardzo dobry zmysł powonienia.

- Tak, mam.

Zamilkła. Znowu te myśli, szalone myśli, zawirowały jej w głowie. Odepchnęła je od siebie.

- Kucharka gotuje owsiankę dla ciebie i Łazarisa. Jeszcze nie jesteś w stanie jeść ciężkostrawnych dań.

- Jeżeli tobie i doktorowi chodzi o to, żeby zagłodzić mnie na śmierć, to mogłem zostać w Falkenhausen.

- Wcale nie. Po prostu doktor Stronberg chce, żeby twój organizm się zregenerował. - Podeszła do drzwi i znowu się zatrzymała. Spojrzała w jego zielone oczy, czując, jak skóra cierpnie jej na karku. „To są oczy tego wilka - pomyślała. - Nie, przecież to zupełnie niemożliwe!” - Zajrzę do ciebie później - powiedziała i wyszła.

Michael sposepniał. Kule z jej pistoletu omal go nie trafiły. Oczywiście domyślał się, że Chesna nie wyciągnęła właściwych wniosków, ale wiedział, że musi teraz uważać na to, co robi. Podrapał się po brodzie i popatrzył na rękę. Pod paznokciami miał czarną ziemię.

Po kilku minutach przyniesiono mu śniadanie: wodnistą owsiankę. Nieco później przybył Stronberg, który stwierdził, że gorączka już całkiem przeszła, i zaczął się awanturować o pozrywane szwy. Michael oznajmił, że jest już gotów podjąć lekkie ćwiczenia, więc powinien dostać ubranie, w którym mógłby chodzić. Stronberg początkowo odmówił stanowczo, ale w chwilę potem powiedział, że pomyśli o tym. Nie minęła jeszcze godzina, kiedy ta sama kobieta, która przygotowywała posiłki, przyniosła do pokoju Michaela szarzielony dres, bieliznę, skarpety i płócienne pantofle. Poza tym dostał miskę z wodą, kostkę mydła do golenia i brzytwę.

Świeżo ogolony i ubrany wyszedł z pokoju i zaczął się przechadzać po domu. Na końcu korytarza znalazł pokój Łazarisa. Rosjanin był wystrzyżony na łyso, ale dalej miał swą bujną brodę. Jego dumny nos wyglądał na jeszcze większy pod błyszczącą czaszką. Łazaris nadal był blady i osłabiony, ale jego policzki się zaróżowiły, a w ciemnobrązowych oczach zabłyśły żywe iskierki. Powiedział, że jest traktowany bardzo dobrze, ale odmówiono spełnienia jego prośby o butelkę wódki i paczkę papierosów.

- Hej, Gałatinow! - powiedział, kiedy Michael podniósł się do wyjścia. - Dobrze, że nie wiedziałem, że jesteś tak ważnym szpiegiem! W innym wypadku bardziej bym się bał!

- A teraz się boisz?

- Dlatego, że jestem w gnieździe szpiegów? Gałatinow, jestem taki przerażony, że o mało się nie zesram. Gdyby naziści kiedykolwiek znaleźli to miejsce, tobyśmy wszyscy się huścili na krawatach z drutu.

- Nie znajdą. A my nie będziemy się huścili.

- Tak, może nasz wilk będzie nas bronił. Słyszałeś o nim? Michael skinął głową.

- Więc - powiedział Łazaris - chcesz lecieć do Norwegii. Na jakąś cholerną wyspę przy południowo-zachodnim wybrzeżu, tak? Powiedziała mi o tym Złotowłosa.

- Zgadza się.

- Potrzebujesz drugiego pilota. Złotowłosa mówi, że ma samolot transportowy. Nie chciała powiedzieć, jakiego rodzaju, więc myślę, że nie jest to jeden z najnowszych modeli. - Uniósł palec. - A to znaczy, towarzyszu Gałatinow, że to nie będzie szybki samolot i że nie będzie miał wysokiego pułapu. Powiedziałem to Złotowłosej i powiem też tobie: jeżeli natkniemy się na samoloty myśliwskie, to już po nas. Żaden transportowiec nie może się ścigać z messerschmittem.

- Wiem o tym. Jestem pewien, że ona też to wie. A więc podejmiesz się tego zadania czy nie?

Łazaris zamrugnął oczami, jakby zdziwiony, że w ogóle można zadać takie pytanie.

- Moje miejsce jest na niebie - powiedział. - Oczywiście, że to zrobię.

Michael wcale nie wątpił, że Rosjanin zdecyduje się lecieć. Opuścił Łazarisa i ruszył na poszukiwanie Chesny. Znalazł ją samą w saloniku na tyłach domu, studiującą mapę Niemiec i Norwegii. Pokazała mu trasę, wzdłuż której mieli lecieć, i miejsca, gdzie były planowane trzy międzylądowania w celu uzupełnienia paliwa. Jak powiedziała, przelot miał im zająć cztery noce. Pokazała mu też, w którym punkcie w Norwegii mieli wylądować.

- To kawałek równiny pomiędzy dwiema górami - rzekła. - Mamy tam agenta z łodzią. - Czubkiem ołówka dotknęła kropki oznaczającej nadmorską wieś o nazwie Uskedahl. - A to jest Skarpa - wyjaśniła, dotykając niewielkiego kolistego kształtu na mapie. Michael ocenił, że wyspa jest odległa około trzydziestu mil od Uskedahl i leży osiem lub dziewięć mil od brzegu. - Tutaj prawdopodobnie możemy natknąć się na łodzie patrolowe. - Zatoczyła ołówkiem łuk na wschód od Skarpy. - Przypuszczam, że są tam też miny.

- Więc Skarpa nie wygląda na miejsce odpowiednie na letnie wakacje, prawda?

- Nie bardzo. Leży tam jeszcze śnieg i noce są zimne. Musimy wziąć ciepłe ubrania. W Norwegii lato przychodzi późno.

- Nie przeszkadza mi mroźna pogoda.

Podniosła na niego wzrok i znowu wpatrzyła się w jego zielone oczy. „Wilcze oczy” - pomyślała.

- Niewiele rzeczy potrafi cię zniechęcić, prawda?

- Owszem. Nie pozwalam na to.

- Czy to jest takie proste? Włączasz się i wyłączasz w zależności od okoliczności?

Twarz Chesny była blisko jego twarzy. Jej woń kojarzyła mu się z niebiańskim zapachem. Jeszcze tylko sześć cali i ich usta mogły się spotkać.

- Zdawało mi się, że mówimy o Skarpie - odezwał się Michael.

- Mówiliśmy. Ale teraz rozmawiamy o tobie. - Wytrzymała jego spojrzenie jeszcze przez kilka sekund, a potem odwróciła wzrok i zaczęła składać mapy. - Masz jakiś dom? - zapytała.

- Tak.

- Nie, nie chodzi mi o miejsce, w którym można mieszkać. Chodzi mi o prawdziwy dom. - Znów spojrzała na niego pytająco. - Miejsce, które jest twoim w duszy.

- Nie jestem pewien - odparł. Sercem należał do rosyjskiego lasu, daleko od kamiennego domostwa w Walii. - Chyba jest albo był taki, ale nie mogę do niego wrócić. A kto w ogóle może? - Nie odpowiedziała. - A ty?

Chesna złożyła dokładnie mapy i wsunęła je do mapnika z brązowej skóry.

- Nie mam domu - odpowiedziała. - Kocham Niemcy, ale to jest taka miłość, jaką się darzy chorego przyjaciela, który ma niedługo umrzeć. - Odwróciła wzrok, patrząc przez okno na oblane złotym światłem słońca drzewa. - Pamiętam Amerykę. Te miasta... zapierają dech w piersiach. Cała ta przestrzeń jak w olbrzymiej katedrze. Wiesz, przed wojną odwiedził mnie ktoś z Kalifornii. Mówił, że widział wszystkie moje filmy. Zapytał, czy chciałabym pojechać do Hollywood. - Uśmiechnęła się lekko, pogrążona we wspomnieniach. - Powiedział, że wszyscy ludzie na świecie poznają moją twarz. Że powinnam wrócić do domu i pracować w kraju, w którym się urodziłam. Oczywiście to było, zanim świat się zmienił.

- Ale nie zmienił się aż na tyle, żeby w Hollywood przestali robić filmy.

- Ja się zmieniłam - odpowiedziała. - Zabijałam ludzi. Niektórzy z nich zasługiwali na kule, a inni po prostu mieli pecha być w niewłaściwym miejscu. Widziałam... widziałam okropne rzeczy. I czasami... pragnęłabym bardziej niż czegokolwiek innego móc wrócić do przeszłości i być znowu niewinna. Ale kiedy już dom duszy spłonie, to kto może go odbudować?

Michael nie odpowiedział. Promienie słońca przeświecały przez jej włosy, które błyszczały jak złota włóczka. Pragnął zatopić w nich swe palce. Wyciągnął rękę i dotknął jej loków, ale Chesna westchnęła i zatrzasnęła mapnik. Cofnął dłoń.

- Przepraszam - powiedziała Chesna. Włożyła mapnik do wydrążonej książki i wsunęła ją z powrotem na półkę. - Nie miałam zamiaru tak się nad tym rozwodzić.

- Nic nie szkodzi. - Michael znowu poczuł się nieco zmęczony. Pomyślał, że nie powinien się za bardzo forsować, kiedy to nie jest konieczne. - Wracam do mojego pokoju.

Skinęła głową.

- Powinieneś odpoczywać, dopóki jeszcze możesz. - Wskazała ręką na półki z książkami. - Gdybyś chciał, mógłbyś tu znaleźć wiele do czytania. Doktor Stronberg ma niezłą kolekcję literatury naukowej i mitologii.

„A więc to dom doktora” - pomyślał.

- Nie, dziękuję. Przepraszam, muszę już iść.

Nie sprzeciwiała się, więc Michael opuścił salonik.

Chesna już miała odwrócić się od półek z książkami, kiedy przykuł jej uwagę tytuł na grzbiecie jednego z tomów. Stał pomiędzy dziełem dotyczącym bogów nordyckich i innym, poświęconym historii Schwarzwaldu, a jego tytuł brzmiał „Völkerkunde von Deutschland” - niemieckie opowieści ludowe.

Nie zamierzała zdjąć tej książki z półki, otwierać jej i studiować spisu treści. Miała ważniejsze rzeczy do zrobienia, jak na przykład skompletowanie zimowych ubiorów i odpowiedniego zapasu żywności. Nie chciała nawet dotykać tej książki.

A jednak to zrobiła. Wzięła ją, otworzyła, i zaczęła przeglądać.

Trafiła. Obok rozdziałów na temat mostowych trolli, wysokich na osiem stóp leśnych ludzi i zamieszkujących jaskinie duszków.

*Das Werewolf.*

Chesna zatrasnęła książkę tak energicznie, że aż doktor Stronberg podskoczył w fotelu w swym gabinecie. „Zupełnie absurdalne!” - pomyślała, odstawiając tom na miejsce. Podeszła do drzwi. Jednak im była bliżej nich, tym bardziej zwalniała. Zatrzymała się tuż przed wyjściem. Niepokojące i męczące pytanie, przed którym nie potrafiła się obronić, znowu zaprzątnęło jej myśli. W jaki sposób baron, to znaczy Michael, odszukał ich obóz w ciemnym lesie?

To było niemożliwe.

Wróciła do książek. Położyła rękę na odnalezionym tomie i zawahała się. Czy gdyby przeczytała ten rozdział, oznaczałoby to, że wierzy w takie rzeczy? Nie, oczywiście, że nie. To tylko nieszkodliwa ciekawość, nic więcej. Nie ma czegoś takiego jak wilkołaki, tak samo jak nie ma trolli mostowych i leśnych ludzi. Co by to szkodziło, gdyby sobie poczytała o mitach?

Zdjęła książkę z półki.



Michael krążył w ciemnościach.

Tym razem polowanie udało się lepiej niż poprzedniej nocy. Wbiegł na polanę i natrafił na trójkę saren: kozła i dwie kozy. Rzuciły się błyskawicznie do ucieczki, ale jedna z kóz kuląła i nie była w stanie umknąć przed szybko zbliżającym się wilkiem. Michael zobaczył, że sarna odczuwa ból; jej chroma noga była kiedyś złamana i później krzywo się zrosła. Skoczył i przewrócił kozę na ziemię. W kilka sekund było już po walce - zgodnie z prawem natury.

Zjadł jej serce, wyśmienite danie. Nie było w tym żadnego okrucieństwa. Takie jest życie i taka śmierć. Kozioł i druga koza zatrzymały się na chwilę na wzgórzu, patrząc na pożywiającego się wilka, i po chwili zniknęły w ciemnościach nocy. Michael najadł się do syta. Szkoda było zmarnować resztę mięsa, więc wciągnął zabita kozę pod gęstą kępę sosenek i oznaczył to miejsce dokoła moczem, na wypadek gdyby zawędrował tu pies. Mięso będzie nadal dobre do jedzenia następnej nocy.

Krew i płyny organiczne dodały mu energii. Znowu czuł się żywy, a jego mięśnie nabrały siły. Cały pysk i brzuch miał pobrudzone krwią. Musiał coś z tym zrobić, zanim wróci przez otwarte okno. Pobiegł przez las, węsząc w powietrzu, i po chwili poczuł zapach wody. Wkrótce odnalazł pluskający wśród kamieni strumyk. Zanurzył się w lodowatej wodzie i zaczął się w niej tarzać, żeby zmyć wszystką krew. Wylizał do czysta łapy, żeby pod pazurami nie zostały resztki krwi. Potem napił się i ruszył w drogę powrotną.

Przemienił się w lesie i ruszył dalej na dwóch białych nogach. Podkraść się cicho w kierunku domu, stąpając po miękkiej majowej trawie, i wsunął przez okno do swojego pokoju.

Od razu wyczuł jej zapach. Cynamon i skóra. Siedziała na krześle w kącie pokoju. Widział zarys sylwetki w niebieskawej poświacie.

Usłyszał pośpieszne bicie jej serca. Biło chyba równie głośno jak jego własne.

- Jak długo tu jesteś? - zapytał.

- Godzinę - odpowiedziała, dzielnie starając się nie ujawniać niepokoju. - Może trochę dłużej. - Tym razem głos ją zdradził.

- Czekalaś tutaj cały czas na mnie? Pochlebiasz mi.

- Ja... pomyślałam, że zajrzę do ciebie... - Odchrząknęła i jakby całkiem od niechcenia przeszła do następnego pytania: - Hm, gdzie byłeś?

- Po prostu na dworze, spacerowałem. Nie chciałem wychodzić przez drzwi frontowe, bo pomyślałem, że mogę obudzić wszystkich w do...

- Jest wpół do czwartej rano - przerwała mu Chesna. - Dlaczego jesteś nago?

- Nigdy nie chodzę w ubraniu po północy. To wbrew mojej religii.

- Nie strój sobie żartów! - powiedziała wstając. - Nie ma w tym nic śmiesznego! Mój Boże! Czy to ty zwariowałeś, czy ja? Kiedy zobaczyłam, że ciebie nie ma... i że okno jest otwarte, nie wiedziałam, co myśleć!

Michael przymknął okno.

- No i co pomyślałaś?

- Że ty jesteś... sama nie wiem, to jest całkowicie wariackie!

- Że jestem czym? - zapytał ją cicho, obracając się ku niej.

Chesna chciała wypowiedzieć to słowo, ale uwięzło jej w gardle.

- Jak... znalazłeś nasz obóz tamtej nocy? - zdołała wydusić z siebie. - W ciemności. W lesie, którego całkowicie nie znałeś. Po dwunastu dniach głodu. W jaki sposób? Powiedz mi, Michael. W jaki sposób?

- Już ci powiedziałem.

- Nie, nie powiedziałeś. Tylko tak udawałeś i na tym poprzestaliśmy. Być może nie ma żadnego racjonalnego wytłumaczenia tego faktu. I teraz przychodzę do twojego pokoju i zastaję twoje okno otwarte i puste łóżko. Potem ty się wkradasz nago i próbujesz wykręcić się żartami.

- A co można lepszego zrobić, kiedy człowiek zostaje przyłapany bez majtek? - odparł, wzruszając ramionami.

- Nie odpowiedziałeś mi. Gdzie byłeś?

- Potrzebowałem trochę ruchu - powiedział spokojnie, ważąc słowa. - Zdaje się, że doktor Stronberg uważa, że jeszcze nie jestem gotowy na nic bardziej męczącego od partii szachów, w których, a propos, pokonałem go dzisiaj dwa do jednego. W każdym razie poprzedniej nocy wychodziłem na dwór i spacerowałem. To samo zrobiłem dzisiaj. Wolę nie nosić ubrań, ponieważ jest ładna, ciepła noc i chciałem czuć powietrze na ciele. Czy to takie okropne?

Przez chwilę Chesna nie odpowiadała.

- Wyszedłeś na spacer nawet po tym, jak powiedziałam ci o wilku?

- W lesie jest tyle zwierzyny, że wilk nie zaatakuje człowieka.

- Jakiej zwierzyny, Michael?

- Och, nie powiedziałem ci? Dzisiaj po południu widziałem z okna dwie sarny.

- Nie, nie powiedziałaś. - Stała bez ruchu blisko drzwi, żeby móc ich szybko dopaść. - Ten wilk, którego widziałam... miał zielone oczy. Całkiem jak twoje. I czarne futro. Doktor Stronberg mieszka tutaj od prawie trzydziestu pięciu lat i nigdy nie słyszał o wilku w tym lesie. Fritz urodził się we wsi niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd i też nigdy nie słyszał o żadnych wilkach. Czy to nie jest dziwne?

- Wilki wędrują. Przynajmniej tak słyszałem. - Uśmiechnął się w ciemnościach, ale jego głos przepełniony był napięciem. - Wilk z zielonymi oczami, ha? Chesno, do czego ty zmierzasz?

„Nadszedł decydujący moment - pomyślała Chesna. - Do czego zmierzam?” Czy chciała powiedzieć, że ten stojący przed nią człowiek, brytyjski agent, który urodził się w Rosji, jest jakimś niesamowitym mieszańcem człowieka i zwierzęcia? Że jest żywym przykładem stwora, o którym czytała w książce z ludowymi opowieściami? Człowiekiem, który potrafi przekształcić się w wilka i biegać na czterech łapach? Być może Michael Gallatin był ekscentrykiem i być może miał wykształcony zmysł powonienia, i nawet jeszcze lepszy zmysł kierunku, ale... wilkołak?

- Powiedz mi, o czym myślisz - rzekł Michael, podchodząc do niej. Deska zaskrzypiała pod jego stopą. Pociągał go jej aromat. Dała krok do tyłu. Michael zatrzymał się. - Nie boisz się mnie, prawda?

- A powinnam? - Głos jej drżał.

- Nie, nie zrobię ci krzywdy. - Znowu dał krok ku niej. Tym razem się nie cofnęła.

Był już przy niej. Mimo mroku widziała jego zielone oczy. Głodne oczy, które rozbudziły głód w niej samej.

- Dlaczego przyszłaś dzisiaj do mojego pokoju? - zapytał, przysuwając twarz blisko jej twarzy.

- Ja... mówiłam, że ja... chciałam zajrzeć do...

- Nie - przerwał jej łagodnie - to nie jest prawdziwy powód, prawda?

Milczała z bijącym sercem. Pokręciła głową, kiedy Michael otoczył ją ramieniem.

Ich usta spotkały się i stopiły ze sobą. Chesna pomyślała, że odchodzi od zmysłów, ponieważ zdało się jej, że wyczuwa na jego języku smak krwi. Ale ten smak zniknął w jednej chwili, więc objęła Michaela ramionami i przytuliła się do niego, czując narastającą gorączkę. Był już całkiem gotowy. Pieściła ręką jego pulsującą męskość. Powoli rozpiął jej koszulę nocną, całując głęboko i namiętnie. Zsunął się językiem pomiędzy jej piersi, a potem delikatnie i powoli powrócił do szyi. Poczowała gęsią skórę od jego dotyku i aż jęknęła z rozkoszy. Potrzebowała go, bez względu na to, czy był człowiekiem, czy zwierzęciem.

Koszula nocna Chesny zsunęła się na podłogę. Wyszła z niej, a Michael wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Spletli się na białym pościeliu. Spotkali się gorącymi punktami ciała. Chwytała go swą wilgotną miękkością, zaciskając palce na jego plecach, a on powoli i z gracją wznosił się i opadał silnymi ruchami bioder. Potem położył się na plecach, a Chesna znalazła się na nim. Sprężyny łóżka skrzypiały pod nimi. Michael wygiął ciało, podnosząc ją do góry. Miała go głęboko w sobie i w tej pozycji oboje zadrżeli zgodnie, połączeni gorącym pulsem, który wydobył krzyk z ust Chesny i cichy jęk z ust Michaela.

Leżeli potem razem, rozmawiając przyciszonymi głosami. Chesna trzymała głowę na ramieniu Michaela. Przynajmniej przez chwilę wojna była gdzieś daleko od nich. Powiedziała mu, że chyba pojedzie do Ameryki. Nigdy nie widziała Kalifornii; może to było dla niej właściwe miejsce, aby rozpocząć życie na nowo. Czy ktoś szczególny czeka na niego w Anglii? - zapytała. Zaprzeczył, ale dodał, że Anglia jest jego domem i chce tam wrócić po zakończeniu misji.

Chesna przesunęła palcem po jego brwiach i zaśmiała się cicho.

- Co cię tak śmieszy? - zapytał

- Och... nic. Po prostu... nigdy byś nie uwierzył, co sobie pomyślałam, kiedy zobaczyłam, jak wchodzisz przez okno.

- Chciałbym to wiedzieć.

- To naprawdę wariackie. Chyba ponosi mnie wyobraźnia, odkąd ten wilk tak mnie śmiertelnie wystraszył. - Przesunęła rękę na jego owłosioną pierś. - Ale... pomyślałam... nie śmiej się ze mnie... że możesz być... - zmusiła się do wypowiedzenia tego słowa - ...wilkołakiem.

- Jestem nim - powiedział, patrząc w jej oczy.

- Ach, tak? - Uśmiechnęła się. - Zawsze podejrzewałam, że jesteś bardziej zwierzęciem niż baronem.

Warknął gardłowo i przycisnął usta do jej warg.

Tym razem ich pieszczoty były delikatniejsze, ale wcale nie mniej pełne żądy. Michael pieścił językiem piersi Chesny i w radosnym zapomnieniu przesuwając nim po jej ciele. Przywarła doń, obejmując go rękami i nogami. Wsunął się w nią. Chciała, żeby był w niej głębiej, więc jako dżentelmen usłuchał jej. Leżeli twarzą w twarz, poruszając się powolnymi ruchami jak tancerze przy muzyce. Ich ciała drżały i napinały się, błyszcząc od oblewającego ich z wysiłku potu. Chesna jęknęła, kiedy Michael zawisł nad nią, pieszcząc jej miękkie wejście. A gdy była już blisko szczytu, zagłębił się w nią mocnym pchnięciem.

Niemal rozpląkała się z rozkoszy. Zadrżała, szepcząc jego imię, i wtedy jego ruchy doprowadziły ją do krawędzi rozkoszy, a potem jeszcze dalej. Czuła się tak, jakby skoczyła z urwiska i spadała w mieniące się kolorami tęczy niebo. Michael nie ustawał, aż poczuł gorący uścisk, a po nim erupcję, która napięła jego kręgosłup i plecy niemal do bólu. Pozostał w niej, leżąc pomiędzy jej udami. Całowali się i szeptali, a czas płynął powoli.

Następnego ranka doktor Stronberg oznajmił, że Michael jest na dobrej drodze do wyzdrowienia. Minęła już gorączka, a siniaki na ciele prawie zniknęły. Łazaris też już był silniejszy i mógł chodzić po domu na sztywnych nogach. Doktor jednak zwrócił uwagę na Chesnę, która wyglądała tak, jakby nie wyspała się zbyt dobrze. Zapewniła jednak lekarza, że czuje się świetnie i postara się następnej nocy przespać całe osiem godzin.

Kiedy zapadł zmrok, sprzed domu doktora odjechał brązowy samochód. Z przodu siedzieli doktor Stronberg i Chesna, a z tyłu Michael i Łazaris ubrani w rozepchane szarozielone dresy. Stronberg prowadził samochód wąską wiejską drogą biegnącą na północ. Po około dwudziestu minutach zatrzymał się na skraju szerokiego pola i dwukrotnie zapalił i zgasił światła. Z przeciwległego krańca pola odpowiedział mu sygnał latarni. Stronberg podjechał w tym kierunku i zatrzymał samochód pod osłoną drzew.

Zobaczyli drewnianą konstrukcję okrytą siatką maskującą. Człowiek z latarnią i jeszcze dwóch mężczyzn, wszyscy odziani w proste ubiory rolników, podnieśli brzeg siatki i wskazali przybyłym drogę do środka.

- To jest to - powiedziała Chesna.

W żółtej poświacie latarni Michael zobaczył samolot.

- Święty Piotrze! - roześmiał się Łazaris. - To nie samolot, to trumna - powiedział mieszanką niemieckiego i rosyjskiego.

Michael był skłonny zgodzić się z nim. Trzysilnikowy samolot transportowy, pomalowany na ciemnoszara, mógł z powodzeniem pomieścić siedmiu czy ośmiu pasażerów, ale jego walory były wątpliwe. Maszyna miała połatanę poszycie, a osłony dwóch silników wyglądały tak, jakby zostały potraktowane młotem. Jedna z goleni podwozia była wyraźnie wykrzywiona.

- To jest junkers-52 - orzekł Łazaris. - Model 1934. - Zajrzał pod samolot i przeciągnął palcem po zardzewiałych spojeniach poszycia. Mruknął z dezaprobatą, odkrywając dziurę wielkości pięści. - Ten grat rozleci się na kawałki - powiedział do Chesny. - Wzięliście to ze złomowiska?

- Oczywiście, że tak - odparła. - Gdyby był w doskonałym stanie, to Luftwaffe nadal by go używała.

- Ale może latać, prawda? - zapytał Michael.

- Może. Silniki są trochę zużyte, ale dowiezie nas do Norwegii.

- Zasadnicze pytanie brzmi: czy będzie latał z ludźmi w środku? - wtrącił Łazaris.

Znalazł kolejną dziurę o zardzewiałych krawędziach. - Podłoga kabiny wygląda tak, jakby miała się zaraz oberwać! - Podeszedł do lewego silnika, podniósł rękę i włożył dłoń do środka. Kiedy ją wyjął, palce miał pokryte brudnym olejem i smarem. - Och, wspaniale! Można by wewnątrz tego silnika uprawiać pszenicę. Tyle jest tam ziemi! Złotowłosa, czy masz zamiar popełnić samobójstwo?

- Nie - odpowiedziała krótko - i prosiłam cię, żebyś przestał mnie tak nazywać.

- No cóż, myślałem, że lubisz bajki. A teraz, kiedy zobaczyłem ten wrak, który ty nazywasz samolotem, jestem tego pewny. - Łazaris wziął latarnię od jednego z mężczyzn, okrążył samolot i schylając się, wszedł do środka.

- Nic lepszego nie mogliśmy załatwić - powiedziała Chesna do Michaela. - Może nie jest w najlepszym stanie - przerwała, słysząc ostry śmiech oświetlającego wnętrza kabiny Łazarisa - ale zawiezie nas tam, dokąd chcemy lecieć. Niezależnie od tego, co myśli twój przyjaciel.

Musieli pokonać ponad siedemset mil. Część trasy przebiegała nad lodowatymi wodami Morza Północnego. „Gdyby samolot miał kłopot z silnikami nad morzem...” - pomyślał Michael.

- Czy ma przynajmniej szalupę ratunkową?

- Ma. Sama zakleiłam w niej dziury. Łazaris, klnąc, wynurzył się z kadłuba junkersa.

- Cały jest zardzewiały i ma wszystko obluzowane! - narzekał. - Jeżeli się w nim mocno kichnie, to odleci osłona kabiny! Wątpię, czy ten grat może lecieć szybciej niż sto dwadzieścia mil na godzinę, nawet przy wietrze od ogona!

- Nikt cię nie zmusza, żebyś leciał z nami - powiedziała Chesna, zabierając mu latarnię i oddając ją właścicielowi. - Ale my wylatujemy dwunastego. Pojutrze w nocy. Do tego czasu będziemy mieli przygotowane ubrania i żywność. Zanim dotrzemy do Uskedahl, będziemy mieli po drodze trzy postoje na dotankowanie paliwa. Jeżeli wszystko się dobrze ułoży, to powinniśmy być na miejscu szesnastego rano.

- Jeżeli się dobrze ułoży - powiedział Łazaris, przykładając jeden palec do nosa i wydmuchując śluz - to ten cholerny samolot nie pogubi skrzydeł przed dotarciem do Danii. - Położył dłonie na biodrach i obrócił się, żeby znowu popatrzeć na junkersa. - Chyba ten samolot miał spotkanie z rosyjskim myśliwcem. Tak, tak mi się wydaje. - Spojrzał ma

Michaela, a potem na Chesnę. - Polecę z wami. Wszystko jest dobre, byle tylko wynieść się z Niemiec.

Po powrocie do domu Stronberga Chesna i Michael leżeli razem w łóżku, słuchając narastającego na dworze wiatru. Nie musieli rozmawiać, ich ciała porozumiewały się z wystarczającą elokwencją, początkowo gwałtowną, a potem coraz łagodniejszą.

Chesna spała w objęciach Michaela, który nasłuchiwał szalejącego wiatru, myśląc o Skarpie i „Żelaznej Pięści”. Nie wiedział, co zastaną na tej wyspie, ale w pamięci miał okropne zdjęcia znalezione w neseserze Bloka. Broń, która zadawała tak okropne rany, musiała być odnaleziona i zniszczona, nie tylko dla dobra alianckiej inwazji, ale też dla dobra tych, którzy już zaznali tortur z rąk faszystów. Dysponując taką bronią, Hitler mógł wkrótce postawić na całym świecie znak swastyki.

Po pewnym czasie sen zmorzył Michaela. Nękały go koszmary, w których żołnierze niemieccy maszerowali pod Big Benem, Hitler paradował w stroju z futra czarnego wilka i skądś dobiegał szept Wiktora: „Nie zawieź mnie”.

W powietrzu junkers zachowywał się lepiej, niż zanosilo się na to na ziemi, jednak trząsał się w powiewach wiatru, a umieszczone na skrzydłach silniki dymiły i prychały niebieskawo-białymi iskrami.

- Pije olej i paliwo jak diabeł! - skrzywił się Łazaris, który siedział w fotelu drugiego pilota, przyglądając się miernikom. - Za dwie godziny będziemy już szli na piechotę!

- Wystarczy, żebyśmy dolecieli do pierwszego lądowiska - odparła spokojnie Chesna, trzymając ręce na wolancie.

Trudno było im rozmawiać w hałasie silników. Michael siedział przy stoliku nawigatora z tyłu kokpitu, studiując mapy. Ich pierwsze lądowisko, które było obsługiwane przez członków niemieckiego ruchu oporu, znajdowało się na południe od granicy z Danią. Drugie lądowisko, planowane na następną noc, miało być na terytorium północnej Danii, a ostatnie znajdowało się już na terenie Norwegii. Dzielące je odległości wyglądały na ogromne.

- Nie dociągniemy tam, Złotowłosa - stwierdził Łazaris. Junkers trząsał się gwałtownie. Luźne nity w poszyciu grzechotały jak serie z karabinu maszynowego. - Widziałem z tyłu spadochrony. - Wskazał kciukiem w kierunku ładowni, gdzie leżały skrzynie z żywnością, menażki, zimowe ubrania, pistolety maszynowe i amunicja. - One są dla niemowlaków. Jeżeli chcesz, żebym wyskoczył z takim spadochronem z tej trumny, to musiałas chyba zwariować.

Rozglądał się w ciemnościach, wypatrując błękitnych płomieni z rur wydechowych niemieckich myśliwców nocnych. Wiedział, że zanim zdąży je dojrzeć, pociski z karabinów maszynowych będą już leciały w ich stronę. Skulił się na samą myśl o tym, co wówczas stanie się z ich kokpitem, i mówił dalej, żeby ukryć swój strach, chociaż ani Michael, ani Chesna go nie słuchali.

- Miałbym większą szansę na przeżycie, gdybym skoczył na stóg siana.

Dwie godziny później prawy silnik zaczął przerywać. Chesna wpatrywała się we wskazówkę miernika paliwa, zmierzającą ku zeru. Junkers zaczął przechylać się na nos, tak jakby sam samolot śpieszył się z dotarciem na ziemię. Chesnę bolał przegub od trzymania wolantu i już po chwili musiała poprosić Łazarisa, żeby jej pomógł.

- On leci jak pancernik - zauważył Rosjanin, sterując samolot ku podanym mu przez Michaela współrzędnym.



Z ziemi poderwała się ognista strzała wskazująca ich lądowisko. Łazaris przejął stery i zatoczył kółko nad lądowiskiem. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy koła samolotu uderzyły o ziemię.

W ciągu następnych osiemnastu godzin naziemna obsługa, złożona w większości z chłopów, którzy nigdy w życiu nie widzieli z bliska samolotu, zatankowała pod komendą Łazarisa junkersa i nasmarowała jego silniki. Rosjanin zdobył też trochę narzędzi i pod osłoną siatki maskującej zaczął z ponurym zacięciem grzebać w prawym silniku. Wykonał kilka drobnych napraw, mruczając i klnąc bez przerwy.

Kiedy nadeszła północ, byli znowu w powietrzu, przelatując z Niemiec do Danii. Ciemność po obu stronach granicy była taka sama. Łazaris znowu przejął stery, kiedy Chesna była już zmęczona. Ryczał frywolne rosyjskie przyspiewki, przekrzykując hałas silników. Chesna uciszyła go, wskazując na smugę niebieskich płomyków mijającą ich jakieś pięć tysięcy stóp wyżej. Nocny myśliwiec, prawdopodobnie nowy model heinkla lub dorniera, jak sądząc po jego prędkości orzekła Chesna - zniknął po kilku sekundach na zachodzie, ale jego widok odebrał całkiem Łazarisowi ochotę do śpiewania.

Po wylądowaniu w Danii zostali podjęci bankietem złożonym ze świeżych ziemniaków i kaszanki. Szczególnie Michael był zadowolony z takiego dania. Ich gospodarzami byli znowu biedni chłopci, którzy najwyraźniej przygotowywali tę ucztę jak na przybycie koronowanych głów. Łysa czaszka Łazarisa zwróciła uwagę małego chłopca, który ciągle chciał jej dotykać. Pies gospodarzy węszył nerwowo wokół Michaela, a jedna z kobiet była zachwycona, ponieważ znała Chesnę ze zdjęcia w wyświechtanym magazynie prezentującym niemieckie gwiazdy filmowe.

Prawdziwe gwiazdy powitały ich następnej nocy, kiedy przelatywali nad Morzem Północnym. Łazaris roześmiał się jak dziecko, kiedy śmignął nad nimi meteor, znacząc w ciemności czerwonożółtą smugę. Michael uśmiechnął się, słysząc jego reakcję.

Po wylądowaniu wyszli z samolotu na zimną ziemię Norwegii. Chesna wydobyła z samolotu kurtki z kapturami, które nasunęli na stroje komandosów. Wśród witających ich norweskich partyzantów był brytyjski agent, który przedstawił się jako Craddock. Partyzanci odwieźli ich zaprzężonymi w renifery saniami do kamiennego domku, gdzie czekała kolejna uczta. Craddock, otwarty młody człowiek namiętnie palący fajkę, z odstrzelonym przez niemiecką kulę prawym uchem, powiedział im, że pogoda na północy się pogarsza i że zanim dotrą do Uskedahl, mogą natrafić na śnieg. Jedna z kobiet, prawdopodobnie najstarsza córka w rodzinie, najszersza kobieta, jaką Michael kiedykolwiek widział, usiadła przy Łazarisie. Przypatrywała mu się uważnie, kiedy jadł porcję suszonego solonego mięsa renifera. Gdy

odlatywali następnej nocy w ostatni etap podróży, miała łyzy w oczach. Łazaris natomiast ścisnął w dłoni, ukrytej w kieszeni kurtki, białą króliczą łąpkę, która w jakiś dziwny sposób tam się znalazła.

Ci ludzie byli tylko ułamkiem spośród milionów, które Hitler uznał za nieprzewyższające zwierząt.

Silniki junkersa jęczały w rozrzedzonym, zimnym powietrzu.

Ranek szesnastego maja przyniósł śnieżycę wirującą w powietrzu wokół kabiny i oblepiającą śniegiem jej szyby. Lecąc nad poszarpanymi grzbietami górskimi, samolot zadzierał nos i opadał targany silnymi podmuchami wiatru. Łazaris i Chesna wspólnie walczyli z wolantem, kiedy junkers wznosił się i opadał setki stóp. Michael nie mógł w niczym pomóc, zapiął się tylko pasem i trzymał się stolika. Żołądek mu się wywracał, a krople potu spływały pod pachami. Junkers drżał gwałtownie i wszyscy słyszeli trzeszczenie konstrukcji, przypominające basowe dźwięki skrzypiec.

- Oblodzenie skrzydeł - stwierdziła sucho Chesna, rzucając okiem na mierniki. - W lewym silniku spada ciśnienie oleju. Temperatura szybko rośnie.

- Przeciek oleju. Puściły szwy - stwierdził Łazaris pozbawionym emocji głosem.

Junkers zatrzęsł się znowu, jakby jechali po kocich łbach. Łazaris sięgnął do tablicy i odciął zasilanie lewego silnika. Nie cofnął jeszcze ręki, gdy rozległ się ogłuszający huk i na osłonie silnika pokazały się języki ognia. Śmigło zwolniło i stanęło w miejscu.

- No, teraz się dowiemy, z czego ten samolot jest zrobiony - powiedział Łazaris, zaciskając zęby i patrząc na gwałtownie opadającą wskazówkę wysokościomierza.

Nos junkersa pochylił się do dołu. Łazaris zdołał wyrównać lot, zaciskając ręce na wolancie. Chesna pomagała mu z całych sił, ale samolot nie chciał jej ulec.

- Nie mogę go utrzymać! - zawołała.

- Musisz! - odparł Rosjanin.

Wyteżyła wszystkie siły, napierając ciałem na wolant. Michael rozpiął pasy i przechylając się nad Chesną, również chwycił wolant. Przeciężony samolot dygotał okropnie. Michael wyskoczył do góry, uderzając głową o wręgę kokpitu, kiedy podmuch wiatru uderzył w bok samolotu i zepchnął go na lewo.

- Zapnij się, bo złamiesz sobie kark! - zawołał Łazaris. Michael znowu wychylił się do przodu, pomagając Chesnie utrzymać samolot w stabilnej pozycji. Łazaris rzucił okiem na lewy silnik i zobaczył wydobywające się z niego wstęgi ognia. „Zapaliło się paliwo - pomyślał - jeżeli wybuchnie zbiornik w skrzydle...”

Junkers znowu gwałtownie ześliznął się na bok, aż zajęczał cały kadłub. Łazaris usłyszał dźwięk rozrywającego się metalu i z przerażeniem zauważył, że podłoga kabiny rozpada się pod jego nogami.

- Daj mi stery! - zawołał, popychając wolant do przodu i wprowadzając junkersa w ostre nurkowanie.

Michael zobaczył, że wskazówka wysokościomierza spada w szaleńczym tempie. Nie dostrzegł nic poza śniegiem przed szybą kabiny, ale wiedział, że przed nimi są góry. Chesna też to wiedziała.

Samolot spadał z jękiem kadłuba, napinającego się jak ciało w agonii. Łazaris obserwował silnik. Ogień dogasał w strumieniu powietrza. Kiedy zniknął ostatni płomyk, Rosjanin odciągnął z powrotem wolant, aż zatrzeszczały mu mięśnie w barkach. Junkers reagował ociężale. Nadgarstki i przedramiona bolały Łazarisa nieznosnie. Chesna chwyciła wolant i też zaczęła go odciągać. Wspomagani przez Michaela, zdołali wyrównać trzęsący się i jęczący samolot. Wskazówka wysokościomierza zatrzymała się nieco poniżej poziomu dwóch tysięcy stóp.

- Tam - wskazała Chesna w prawo w stronę widocznego przez śnieg ognia. Skierowała tam samolot, tracąc powoli wysokość.

Na dole pojawiło się kolejne ognisko. Potem trzecie.

- To lądowisko! - zawołała Chesna, patrząc na spadającą igłę wysokościomierza.

Zobaczyli czwarte ognisko. Na ziemi po obu stronach pasa płonęły beczki z ropą.

- Lądujemy. - Chesna zmniejszyła drżącą ręką gaz, a Michael znowu pośpiesznie przypiął się pasami.

Gdy już byli blisko oświetlonego przez płomień lądowiska, Chesna wyrównała lot i wyłączyła pracujące jeszcze dwa silniki. Junkers opadał ślizgiem. Śnieg topniał z sykiem na gorących osłonach silników. Koła uderzyły w ziemię. Samolot odskoczył, znowu uderzył kołami o ziemię i podskoczył jeszcze raz, ale już niżej. Chesna przycisnęła hamulec i junkers potoczył się przez pole, zostawiając za sobą chmurę śniegu.

Samolot zwolnił z bulgotaniem wyciekającego z przewodów płynu hamulcowego i zastygł bez ruchu.

Łazaris spojrział w dół. W szerokiej na jakieś sześć cali dziurze w podłodze zobaczył ośnieżoną ziemię. Pierwszy wyskoczył z samolotu. Kiedy Chesna i Michael wyszli za nim, Rosjanin chodził w kółko oszołomiony, zapoznając nogi na nowo ze stałym gruntem. Silniki parowały i syczały.

Kiedy Michael i Chesna rozładowywali zapasy, do junkersa podjechał obdrapany, pomalowany na biało samochód ciężarowy. Wsiadło z niego kilku mężczyzn, którzy zaczęli rozwijać wielką białą pałatkę. Ich dowódca, rudobrody mężczyzna, który przedstawił się jako Hurks, zaczął pomagać im w załadowywaniu plecaków, broni, amunicji i granatów na ciężarówkę. W tym samym czasie jego ludzie nakrywali pałatką junkersa.

- Mało brakowało, żebyśmy spadli! - powiedział Łazaris do Hurksa, ściskając króliczą łapkę. - Ta śnieżycy o mało nam nie poobrywała skrzydeł!

- Jaka śnieżycy? - Hurks spojrzał na niego ze zdziwioną miną. - Przecież już jest wiosna. - Wrócił do pracy, zostawiając gapiącego się nań Łazarisa.

Nagle rozległ się zgrzyt i trzaski pękających nitów. Michael i Chesna odwrócili się w kierunku samolotu. Łazaris jęknął z przerażenia. Wypalony lewy silnik przechylił się, zawisając na kilka sekund, po czym ostatnie nity przerwały się i silnik spadł na ziemię.

- Witamy w Norwegii - powiedział Hurks. - Pośpieszcie się! - zawołał do swoich ludzi, przekrzykując wycie wiatru. - Nakryjcie go! - Partyzanci sprawnie naciągnęli pałatkę na junkersa i przymocowali ją do ziemi białymi linami. Kiedy już wszyscy, z Norwegami włącznie, wsiedli do ciężarówki, Hurks zajął miejsce za kierownicą i odwiózł ich z lądowiska. Jadąc na południowy zachód w kierunku wybrzeża, przejechali około dwudziestu pięciu mil.

Słońce posrebrzyło niebo na wschodzie, kiedy pokonywali wąskie, błotniste ulice Uskedahl. Była to wioska rybacka z domami z szarego drewna i kamieni. Z kominów unosiły się wąskie strużki dymu i Michael wyczuł w powietrzu zapach mocnej kawy i tłustego mięsa. W dole, w miejscu gdzie skały stykały się z szarym morzem, widać było wypływające na porannym przypiływie kutry z gotowymi do połowu sieciami. Stado chudych psów obszczekiwało ciężarówkę. Tu i ówdzie Michael dojrzał obserwujących ich spoza współprzymkniętych okiennic ludzi.

Chesna szturchnęła go łokciem w zebra i wskazała w kierunku portu. Nad gładką powierzchnią morza, jakieś dwieście jardów od brzegu, sunęła latająca łódź „Blohm und Voss” ze swastyką wymalowaną na ogonie. Dwukrotnie okrążyła powoli flotyllę rybacką, a potem wzniosła się i zniknęła wśród niskich chmur. Wszystko było jasne: niemieccy panowie dawali do zrozumienia, że nic się przed nimi nie ukryje.

Hurks zatrzymał ciężarówkę przed kamiennym domem.

- Tu wysiadacie - powiedział do Michaela, Chesny i Łazarisa. - My zajmiemy się waszymi zapasami.

Ani Chesna, ani Michael nie byli zachwyceni perspektywą zostawienia broni i amunicji człowiekowi, którego nie znali, ale tak samo nie chcieli ryzykować odnalezienia tej

broni przez załogę latającej łodzi, gdyby zdecydowała się skontrolować wieś. Niechętnie zsiadli z ciężarówki.

- Wejdźcie tam - Hurks wskazał na dom. Drzwi błyszcząły pomalowane szelakiem. - Czekać. Jeść. Czekać. - Wrzucił bieg i odjechał przez błoto.

Michael otworzył drzwi i wszedł do środka. Otarł się głową o rozwieszane nad drzwiami srebrne dzwoneczki, które zadźwięczały wesoło jak na Boże Narodzenie. Zaczepiły też o włosy Chesny i przesunęły się po porastającej na nowo głowie Łazarisa. Wnętrze było ponure, czuć było rybami i zaschniętym błotem. Ze ścian zwisały sieci, a tu i ówdzie wisiał krzywo na gwoździu obrazek wycięty z magazynu. W żeliwnym piecyku płonął niewielki ogień.

- Halo! - zawołał Michael. - Jest tu ktoś?

Usłyszeli skrzypienie sprężyn. Na starej brązowej kanapie poruszyła się wielka sterta brudnych ubrań i usiadła z jękiem sprężyn.

- Witam! - odezwał się ochrypliwy i bełkotliwy głos. Głos kobiety. - Witam! - Podeszła do nich w świetle padającym z piecyka. Deski zatrzęszczały pod nią. Michael był zdziwiony, że nie załamały się całkowicie. Kobieta musiała ważyć co najmniej dwieście pięćdziesiąt funtów i miała może sześć stóp i dwa cale wzrostu. Zbliżała się do nich jak ruchoma góra na nogach. - Witam - powiedziała jeszcze raz, gdyż albo brakowało jej słów, albo rozumu. Jej szeroka, pomarszczona twarz pokryła się uśmiechem, odsłaniając usta, w których tkwiły trzy zęby. Miała otoczone siatką zmarszczek eskimoskie oczy w kształcie migdałów, które jednak były jasnoniebieskie. Jej miedzianobrazowa skóra i gładkie proste włosy, przycięte tak, że wyglądały jak duży garnek, połyskiwały pomarańczowo.

Michael domyślił się, że jest przykładem mieszanki walczących ze sobą od pokoleń genów nordyckich i eskimoskich. Wyglądała dość niezwykle, kiedy stała tak, uśmiechając się, zawinięta w pokłady różnokolorowych koców. Patrząc na jej zmarszczki i siwe pasma w pomarańczoworudych włosach, Michael uznał, że musi mieć około pięćdziesięciu lat.

- Witam? - powiedziała, wysuwając do nich rękę z butelką wódki. W nosie miała zatkniętą złotą szpilkę.

- Witam - odparł Łazaris, wrywając jej butelkę z ręki. Połknął łyk ognistego trunku, odsunął flaszkę od ust, zagwizdał z podziwem i znowu wrócił do picia.

Michael wyjął mu butelkę z dłoni i podał ją kobiecie, która oblizwała krawędź szyjki i pociągnęła łyk.

- Jak się nazywasz? - zapytała Chesna po niemiecku. Kobieta pokręciła głową. - Twoje imię. - Chesna spróbowała po norwesku, chociaż bardzo słabo знаła ten język.

Wskazała na siebie ręką: - Chesna - a potem, prezentując Michaela, powiedziała: - Michael - i w końcu przedstawiła zadowolonego Rosjanina: - Łazaris.

- A! - Kobieta skinęła radośnie głową i wskazała dłonią pomiędzy swe olbrzymie uda.  
- Kitty! - powiedziała. - Witam!

- Człowiek może nabawić się tutaj niezłych kłopotów - zauważył bystro Łazaris.  
Chata nie była wprawdzie zbyt czysta, ale przynajmniej ciepła.

Michael zdjął kurtkę i powiesił na haku w ścianie, kiedy Chesna usiłowała nawiązać rozmowę z ich wielką pijaną gospodynią. Zdołała tylko zrozumieć, że kobieta mieszka w tym domu i ma w nim dużo butelek wódki.

Drzwi otworzyły się z brzękiem dzwoneczków i wszedł Hurks.

- No więc? - powiedział, zdejmując z siebie ciężkie palto. - Widzę, że już poznaliście się z Kitty!

Kitty uśmiechnęła się do niego, dopiła resztę z butelki i osunęła na sofę. Sprężyny znowu zajęczały.

- Ona trochę brutalnie traktuje meble - przyznał Hurks - ale jest całkiem miła. Kto z was dowodzi?

- Ja - odpowiedziała Chesna.

- W porządku.

Hurks powiedział coś do Kitty melodyjnym językiem, który brzmiał w uszach Michaela jak mieszanka chrząknięć i młaśnieć. Kitty skinęła głową, już bez uśmiechu, i wpatrzyła się w Chesnę.

- Powiedziałem jej, kim jesteście - oznajmił Hurks. - Czekala na was.

- Czekala? - Chesna pokręciła głową. - Nie rozumiem.

- Kitty zawiezie was na Skarpę - wyjaśnił Hurks. Podszedł do kredensu i wyjął pudełko sucharów.

- Co? - Chesna spojrzała na Kitty, która uśmiechała się z zamkniętymi oczami, przyciskając do brzucha butelkę. - Ona jest... ona jest pijaczką!

- To co? Wszyscy tutaj jesteśmy pijakami. - Wziął ze stołu poobijany dzbanek na kawę, potrząsnął nim, żeby wymieszać napój, i postawił na piecu. - Kitty zna morze i zna też Skarpę. Ja nie znam się ani cholery na kutrach. Nie umiem nawet pływać. To i tak chyba by nie pomogło, kiedy byśmy trafili na minę.

- Mówisz, że jeżeli chcemy dostać się na Skarpę, to musimy oddać nasz los w jej ręce?

- No właśnie - potwierdził Hurks.

- Skarpa! - Kitty otworzyła oczy. Jej głos brzmiał nisko i gardłowo. - Skarpa brudna, zła! Tfu! - splunęła na brudną podłogę. - Nazi! Tfu!

- Poza tym - kontynuował Hurks - to jest kuter Kitty. Była najlepszym rybakim w promieniu stu mil. Mówi, że potrafiła usłyszeć, jak ryby śpiewają, i wtedy wyśpiewywała odpowiedzi, a one napływały tonami do jej sieci.

- Nie interesuję się śpiewającymi rybami - odparła chłodno Chesna. - Interesują mnie łodzie patrolowe, reflektory i miny.

- O, Kitty wie, gdzie one są. - Zdjął blaszane kubki z haczyków. - Kitty mieszkała na Skarpie, zanim nadeszli naziści. Ona z mężem i sześciu synów.

Rozległ się brzęk odrzucanej pustej butelki po wódce. Wylądowała w kącie koło trzech innych pustych flaszek. Kitty wsunęła rękę w czeluści sofy, wyciągnęła korek jednym zębem, przechyliła butelkę i zaczęła pić.

- Co się stało z jej rodziną? - zapytał Michael.

- Naziści... powiedzmy... zmobilizowali ich do pomocy przy budowie tej cholerniej fabryki chemicznej. Zmobilizowali każdego zdolnego do pracy ze wsi Kitty. Samą Kitty też, oczywiście, ponieważ jest silna jak wół. Zbudowali lotnisko i przywozili samolotami robotników przymusowych. Potem rozstrzelali wszystkich, którzy tam pracowali. Kitty ma w sobie dwie kule. Czasem ją to boli, kiedy robi się naprawdę zimno. - Dotknął ręką dzbanka. - Kawa, obawiam się, będzie czarna. Skończyła nam się śmietanka i cukier. - Zaczął nalewać im gęsty napój. - Kitty leżała z trupami przez trzy czy cztery dni. Nie jest pewna, jak długo to trwało. Kiedy już wiedziała, że nie umrze, wstała i znalazła łódź wiosłową. Spotkałem ją w czterdziestym drugim roku, kiedy mój statek poszedł na dno z torpedą w brzuchu. Pływałem w marynarce handlowej, no i dzięki Bogu udało mi się trafić na tratwę. - Podał pierwszy kubek Chesnie, podsuwając jej też suchary.

- A co naziści zrobili z ciałami? - zapytała Chesna, przyjmując poczęstunek.

Hurks zwrócił się do Kitty, znowu używając tego samego języka. Odpowiedziała mu cichym, pijanym głosem.

- Zostawili je dla wilków - powiedział Hurks. Przysunął pudełko do Michaela. - Suchara?

Oprócz mulistej kawy i sucharów Hurks podał im koszyk suszonej, twardej baraniny, która smakowała Michaelowi, ale Chesna i Łazaris mieli problemy z jej przeżuwaniem.

- Zrobimy wieczorem porządny sos - obiecał Hurks. - Kałamarnice, cebula i ziemniaki. Bardzo smaczne. Z dużą ilością soli i pieprzu.

- Nie będę jadł kałamarnic. - Łazaris zsunął kurtkę i usiadł przy stole. Wzdrygnął się. - One wyglądają jak kutas po nocy w moskiewskim burdelu! - Sięgnął po filiżankę. - Nie, ja sobie zjem tylko cebulę i zie...

Coś mignęło za nim. Łazaris zobaczył błysk ostrza i wielką masę Kitty walącą się na niego jak lawina.

- Nie ruszaj się! - krzyknął Hurks. Ostrze spadło, zanim jeszcze Michael i Chesna zdążyli ruszyć na pomoc Rosjaninowi.

Nóż z zakrzywionym ostrzem, używany do oprawiania fok, uderzył w podziurawiony blat stołu pomiędzy drugim i trzecim palcem Łazarisa. Nie trafił w ciało, ale Rosjanin szarpnął ręką, przyciskając ją do piersi, i wrzasnął jak kot, któremu ktoś podpalił ogon.

Kitty przyłączyła się do jego krzyku swym ochrypłym pijackim śmiechem. Wyrwała nóż z blatu i zawirowała w wesołym tańcu. Poruszała się jak potężny, groźny walec.

- Ona zwariowała! - krzyknął Łazaris, sprawdzając, czy ma wszystkie palce. - Całkiem zwariowała.

- Przepraszam - powiedział Hurks, kiedy Kitty schowała nóż i opadła znowu na sofę. - Kiedy pije... to lubi się w to bawić. Ale zawsze chybia. To znaczy... przeważnie chybia. - Uniósł lewą rękę, pokazując brakujący środkowy palec.

- Na rany boskie, zabierzcie jej ten nóż! - zawołał Łazaris, ale Kitty już leżała i znowu piła wódkę.

Michael i Chesna włożyli dłonie do kieszeni kombinezonów.

- Musimy jak najszybciej dostać się na Skarpę - oznajmił Michael. - Kiedy możemy wyruszać?

Hurks przekazał pytanie Kitty. Myślała przez chwilę, marszcząc brwi. Potem wstała i kołyszając się, wyszła na dwór. Po pewnym czasie wróciła ze stopami pokrytymi błotem, uśmiechnęła się i powiedziała coś do Hurksa.

- Jutro w nocy - przetłumaczył. - Mówi, że dzisiaj będzie wiało, a po wietrze przychodzi mgła.

- Do jutrzejszej nocy mogę już nie mieć ani jednego palca! - mruknął Łazaris, chowając ręce do kieszeni. Wyjął je, żeby dokończyć posiłek, dopiero gdy Kitty położyła się znowu na sofie. - Wiecie - podjął, kiedy Kitty zaczęła chrapać - jest coś, o czym wszyscy powinniśmy pomyśleć. Jeżeli dostaniemy się na wyspę i zrobimy to, co wy, bohaterowie, macie za zadanie zrobić i wydostaniemy się stamtąd w całości, to co potem? Może tego nie zauważyliście, ale już jest po junkersie. Nie byłbym w stanie zamontować z powrotem silnika



nawet przy użyciu dźwigu. Poza tym i tak wypalił się do szczytu. Więc jak się stąd wydostaniemy?

Michael myślał już o tym wcześniej. Spojrzał na Chesnę i zobaczył, że ona również nie zna odpowiedzi na to pytanie.

- Tego się właśnie spodziewałem - mruknął Łazaris. Michael nie mógł sobie pozwolić na zatruwanie myśli tym problemem. Musieli dotrzeć na Skarpę i zająć się doktorem Hildebrandem; potem dopiero mogli szukać drogi ucieczki. Miał przynajmniej taką nadzieję. Norwegia nie byłaby najlepszym miejscem na spędzanie lata, zwłaszcza gdyby naziści na nich polowali.

Hurks wziął butelkę z wódką od Kitty i podał ją pozostałym. Michael wypił jeden ognisty łyk, a potem rozciągnął się na podłodze, wkładając dłonie do kieszeni, i po minucie już spał.

Kuter Kitty sunął przez mgłę, mrużąc cicho silnikiem. Woda rozdzielała się przed dziobem, na którym wyrzeźbiona była figura drewnianego maskarona z trójzębem, a osłonięta latarnia rozjaśniała wnętrze nadbudówki przytłumionym zielonym światłem.

Dłonie Kitty, szerokie i twarde, delikatnie poruszały sterem. Michael stał za nią, patrząc przez ociekającą od wilgoci szybę. Kitty była pijana przez większość dnia, ale kiedy tylko słońce zaczęło zachodzić, odstawiła wódkę i umyła twarz w lodowatej wodzie. Była druga w nocy dziewiętnastego maja. Już trzy godziny płynęli trzydziestostopowym, archaicznym kutrem Kitty nadwerężonym przez czas i klimat. Stała w nadbudówce cicha i zamyślona. W ogóle nie przypominała uśmiechniętej pijanej kobiety, która powitała ich w Uskedahl. Była całkowicie skupiona na swojej pracy.

Miała rację co do wichury poprzedniej nocy. Gwałtowny wiatr, który nadleciał z gór, wył nad Uskedahl aż do świtu, ale domy były tak zbudowane, żeby stawić czoło podobnym kaprysom pogody, i wichura nie wyrządziła żadnych szkód. Kitty miała też rację, zapowiadając mgłę, która nasunęła się nad Uskedahl i zatokę, i okryła wszystko białą ciszą. Michael nie rozumiał, jak ona potrafi sterować w tej zupie, ale widział, że co chwila przechyla głowę. Nasłuchiwała, z pewnością nie śpiewów ryb, ale dźwięków samej wody, mówiącej jej coś, czego on nie był w stanie zrozumieć. Od czasu do czasu wykonywała lekkie korygujące ruchy sterem, tak delikatnie, jakby dotykała niemowlęcia.

Nagle wyciągnęła rękę i chwyciła Michaela za kurtkę, przyciągając go bliżej i wskazując przed siebie. Nie widział nic poza mgłą, ale skinął głową. Kitty chrząknęła z satysfakcją, wypuściła jego rękaw i tam właśnie skierowała kuter.

Gdy byli jeszcze na przystani, wydarzył się dziwny incydent. Kiedy ładowali sprzęt na kuter, Michael stanął twarzą w twarz z Kitty, która zaczęła obwąchiwać jego klatkę piersiową. Obwąchała też jego twarz i włosy, a potem cofnęła się, patrząc na niego swymi błękitnymi, nordyckimi oczami. „Wyczuwa we mnie wilka” - pomyślał Michael. Kitty powiedziała coś do Hurksa, a ten przetłumaczył jej słowa:

- Ona chce wiedzieć, z jakiego kraju pochodzisz.
- Urodziłem się w Rosji - odparł Michael.
- On śmierdzi jak Rosjanin - odpowiedziała Kitty za pośrednictwem Hurksa, wskazując na Łazarisa. - Ty pachniesz jak Norwegia.
- Potraktuję to jako komplement - stwierdził Michael.

Kitty przesunęła się jeszcze bliżej do niego, patrząc mu uporczywie w oczy. Michael nie cofnął się. Jeszcze raz powiedziała coś do niego, tym razem szeptem.

- Kitty mówi, że jesteś inny - tłumaczył Hurks. - Myśli, że jesteś człowiekiem przeznaczenia. To wielka pochwała.

- Powiedz jej, że dziękuję.

Hurks przekazał jego słowa. Kitty skinęła głową i odeszła do nadbudówki.

„Człowiek przeznaczenia” - myślał Michael, stojąc obok Kitty, kiedy zagłębiała kuter coraz bardziej we mgłę. Miał nadzieję, że jego przeznaczeniem, tak samo jak Chesny i Łazarisa, nie jest grób na wyspie Skarpa. Hurks pozostał w Uskedahl. Nie pływał wcale, odkąd niemiecki U-boot storpedował jego statek. Łazaris też nie był lwem morskim, ale na szczęście łódź sunęła gładko po spokojnej wodzie, więc tylko dwa razy zwymiotował za burtę. Być może przyczyniły się do tego nerwy, a może odór ryb, który panował na kutrze. Chesna weszła do nadbudówki w kapturze na głowie i z dłońmi w czarnych wełnianych rękawiczkach. Kitty patrzyła wprost przed siebie, prowadząc kuter w kierunku miejsca, którego nikt z pozostałych nie był w stanie dojrzeć. Chesna zaproponowała Michaelowi mocną czarną kawę z termosu. Przyjął ją chętnie.

- Jak się trzyma Łazaris? - zapytał.

- Jest przytomny - odparła. Rosjanin został na dole w ciasnej kabince, która, jak zauważył Michael, była nawet mniejsza niż cela w Falkenhausen. Chesna popatrzyła na mgłę.

- Gdzie jesteśmy?

- Niech mnie diabli porwą, jeżeli wiem. Wydaje się, że jednak Kitty wie, gdzie jesteśmy, i to chyba wystarczy. - Zwrócił jej termos.

Kitty obróciła ster kilka stopni w lewo, a potem sięgnęła ręką do lepkich od smaru dźwigni i wyłączyła silnik.

- Idź - powiedziała do Michaela, wskazując ręką do przodu. Z pewnością chciała, żeby coś obserwował.

Wziął latarkę z zardzewiałej metalowej szafki i opuścił nadbudówkę razem z Chesna. Stał przy maszkaronie na dziobie, świecąc latarką. Strzępy mgły przesunęły się przez snop światła. Fale rozbijały się z pluskiem o burtę dryfującego kutra. Po chwili rozległ się odgłos kroków po pokładzie.

- Hej! - zawołał przejętym głosem Łazaris. - Co się stało z silnikami? Toniemy?

- Cicho - nakazał mu Michael.

Łazaris podszedł bliżej, trzymając się zardzewiałego relingu. Michael powoli przesunął promień latarki w lewo i w prawo.

- Czego szukasz? - wyszeptał Łazaris. - Ziemi?

Michael pokręcił głową. Nie miał pojęcia, czego szuka. I wtedy promień latarki padł na ledwie widoczny przedmiot w wodzie po lewej burcie. Wyglądał jak nadgniły słupek cumowniczy porośnięty szarym grzybem. Kitty też go zauważyła i skierowała ku niemu kuter.

Po chwili wszyscy już to widzieli, może nawet wyraźniej, niż mieliby na to ochotę.

Z wody wystawał wbity w muliste dno pojedynczy słupek, a do niego przywiązany był gnijącymi linami szkielec, który wystawał żebrami nad powierzchnię. Na czaszce widać było fragment skóry i siwych włosów. Wokół szyi zaciągnięta była pętla z grubego drutu, do której przytwierdzono tabliczkę z niemieckim napisem: UWAGA! WSTĘP WZBRONIONY!

Światło latarki padało na poruszające się w oczodołach małe czerwone skorupiaki. Inne zaczęły wyglądać spomiędzy połamanych zębów.

Kitty poruszyła kołem. Kuter przesunął się obok makabrycznego znaku i pozostawił go za sobą w ciemnościach. Włączyła znowu silnik, utrzymując go na niskich obrotach. Nie więcej niż dwadzieścia jardów od szkieletu promień latarki wydobył unoszącą się na wodzie szarą, porośniętą przez wodorosty kulę z wystającymi kolcami.

- To mina! - wrzasnął Łazaris. - Mina! - zawołał w kierunku nadbudówki i wskazał na wodę. - Bum, bum!

Kitty wiedziała, co to jest. Skręciła w prawo i mina została za kutrem. Michael poczuł, jak gniecie go w żołądku. Chesna pochyliła się, ściskając w rękę pręt relingu, a Łazaris utkwiał wzrok w wodę po lewej burcie, wypatrując min.

- Tam! - zawołała Chesna.

Kolejna mina kołysała się na wodzie, obracając się leniwie. Jej powierzchnię porastały skorupiaki. Kuter minął i ją.

Potem Michael dojrzał jeszcze jedną minę niemal na wprost przed dziobem. Łazaris pośpieszył do nadbudówki i wrócił z drugą latarką. Kitty kierowała sunącym ze stałą prędkością kutrem, lawirując między minami, które teraz zaczęły się pokazywać ze wszystkich stron. Łazaris pomyślał, że broda mu posiwieje, kiedy zobaczył minę zaplątaną w wodorosty, wznoszącą się na grzbiecie fali wprost na ich szlaku.

- Skręcaj, do cholery! Skręcaj! - krzyczał, machając w lewą stronę. Kuter usłuchał, ale Łazaris usłyszał, jak mina ociera się o kadłub z dźwiękiem przywodzącym na myśl paznokcie drapiące po szkolnej tablicy.

Skulił się, czekając na wybuch, ale mina została za nimi. Płynęli dalej i wreszcie pozostawili po lewej burcie ostatnią minę.

Kitty zapukała w szybę, a kiedy obrócili się do niej, przyłożyła palec do ust, po czym przeciągnęła nim po gardle, jakby je sobie podrzynała. Było dla nich oczywiste, co ma na myśli.

Po kilku minutach przez mgłę przebił się promień światła reflektora. Zatoczył kilka razy koło, penetrując teren z wieży ustawionej na wyspie. Sama Skarpa była nadal niewidoczna, ale wkrótce Michael usłyszał powolny, równy łoskot, jakby biło jakieś olbrzymie serce. Domyślał się, że to odgłos ciężkich maszyn pracujących w fabryce chemicznej. Wyłączył latarkę. Łazaris poszedł za jego przykładem. Zbliźali się do brzegu. Kitty zmieniła kurs, trzymając się tuż poza zasięgiem światła reflektora. Wyłączyła nagle silnik i kuter zaczął sunąć z sykiem po falach. Wtem Michael i Chesna usłyszeli warkot innego, potężniejszego silnika. We mgle krążyła wokół wyspy łódź patrolowa. Kiedy hałas zamarł w oddali, Kitty ostrożnie włączyła silnik kutra.

Światło reflektora przesunęło się niebezpiecznie blisko. Michael dojrzał przez mgłę blask mniejszych światełek, które wyglądały jak żarówki rozwieszane na drabinkach i powietrznych kładkach, oraz ciemny kształt wielkiego komina. Rytmiczny łoskot był już teraz o wiele głośniejszy i Michael był w stanie dostrzec rozmazane kontury budynków. Kitty płynęła wzdłuż brzegu Skarpy. Wkrótce zostawiła za sobą światła i hałas maszyn i skręciła kutrem, wpływając do półkolistej zatoczki.

Znała tę przystań. Skierowała kuter wprost ku rozpadającym się resztkom falochronu. Wyłączyła silnik, pozwalając łodzi dryfować po srebrnej powierzchni wody. Michael zaświecił latarkę i zobaczył przed sobą oblepione przez skorupiaki nabrzeże. Rozsypujący się dziób zatopionego dawno temu kutra, pokryty setkami czerwonych raczków, wystawał z wody jak pysk jakiegoś dziwnego zwierza.

Kitty wyszła z nadbudówki i zawołała coś, co brzmiało jak: „Kopahej ting! Timeszo!” Wskazała na nabrzeże i Michael zeskoczył z kutra na pomost z trzeszczących, namokniętych bali. Chesna rzuciła linę cumowniczą i Michael przywiązał ją do słupka. Potem umocował drugą linę, rzuconą przez Kitty. Byli więc na miejscu.

Z nabrzeża prowadziły w górę kamienne stopnie. Dalej Michael zobaczył w świetle latarki niewielkie skupisko ciemnych, zapuszczonych domów. Wieś Kitty była w tej chwili zamieszkała tylko przez duchy.

Chesna, Michael i Łazaris sprawdzili swoje pistolety maszynowe i zarzucili je na ramiona. Ich zapasy - porcje słodkiej wody i suszonej wołowiny, tabliczki czekolady, magazynki z amunicją i po cztery granaty na osobę - znajdowały się w plecakach. Przeglądając wcześniej wyposażenie, Michael zauważył coś jeszcze: zapakowaną w

woskowany papier kapsułkę cyjanku, podobną do tej, którą włożył do ust na dachu Opery Paryskiej. Nie potrzebował jej wtedy i teraz również wolałby umrzeć od kuli niż się otruć.

Z gotowym ekwipunkiem ruszyli za Kitty po schodach w kierunku martwej wioski. Kobieta oświetlała drogę latarką, którą wzięła od Łazarisa, wydobywając z ciemności poźłobioną koleinami drogę i domy pokryte mokrą, białą jak popiół pleśnią. Wiele dachów zapadło się, a w oknach brakowało szyb. Jednak wieś nie była całkiem martwa. Michael czuł je i wiedział, że są blisko.

- Witam - powiedziała Kitty, wskazując ręką w kierunku jednego z solidnie wyglądających budynków.

Michael nie wiedział, czy to był kiedyś jej dom, w każdym razie teraz stał się ich domem. Kiedy przekroczyli próg, światło z latarki Kitty przecięło mrok i oświetliło dwa chude wilki. Jeden był żółty, a drugi szary. Szary wilk skoczył ku otwartemu oknu i zniknął błyskawicznie, ale żółty obrócił się do intruzów, odsłaniając kły. Michael usłyszał za sobą szcęk odbezpieczanego pistoletu maszynowego. Chwycił Łazarisa za rękę, zanim ten zdążył nacisnąć na spust.

- Nie - powstrzymał go.

Wilki wycofały się w kierunku okna z podniesioną głową, patrząc na nich z wściekłością. Potem obróciły się nagle, skoczyły przez okno i zniknęły w ciemnościach.

Łazaris z ulgą wypuścił oddech.

- Widziałeś te zwierzaki? Rozerwałyby człowieka na strzępy! Dlaczego, do cholery, nie pozwoliłeś mi strzelać?

- Ponieważ - odpowiedział spokojnie Michael - seria z karabinu sprowadziłaby tutaj Niemców szybciej, niż zdążyłbyś jeszcze raz załadować broń. Wilki nie zrobią ci krzywdy.

- Nazi niedobre - powiedziała Kitty, oświetlając pomieszczenie latarką. - Nazi zabijają... - Wzruszyła potężnymi barkami. - Takie jest nazi.

Ten dom z wilczymi odchodami na podłodze miał być ich kwaterą. Michael pomyślał, że najprawdopodobniej niemieccy żołnierze, którzy strzegą fabryki Hildebranda, tak samo boją się wilków jak Łazaris i nie przyjdą do wioski. Postanowił pozostawić swym towarzyszom rozpakowywanie sprzętu.

- Wyjdę na zwiad. Wrócę tak szybko, jak tylko się da - oświadczył.

- Idę z tobą. - Chesna zaczęła znowu nakładać plecak.

- Nie. Sam mogę poruszać się szybciej. Poczekaj tutaj.

- Nie przyjechałam tu, żeby...

- ...się kłócić - dokończył za nią Michael - i nie po to tu jesteśmy. Chcę podkraść się blisko fabryki i rozejrzeć się. Lepszy jeden zwiadowca niż dwóch albo trzech. Zgadza się?

Chesna zawahała się, ale jego głos brzmiał twardo. Michael piorunował ją wzrokiem.

- W porządku - zgodziła się. - Ale, na litość boską, nie ryzykuj!

- Nie mam zamiaru.

Wyszedł na zewnątrz, ruszył spieszonym krokiem drogą, oddalając się od osady, którą nazwał w myślach Wilczą Wsią. Około siedemdziesięciu jardów na wschód od ostatnich zabudowań rozpoczynały się drzewa, a pokryty ostrokrawędziastymi głazami teren wznosił się ku szczytom wzgórz. Ukląkł, żeby się upewnić, iż Chesna nie idzie za nim, i po kilku minutach zdjął pistolet maszynowy z ramienia oraz plecak i kurtkę. Zaczął się rozbierać, czując, jak skóra napina mu się na chłodzie. Kiedy był już całkiem nagi, znalazł odpowiednią jamę, w której umieścił plecak, ubranie i schmeissera, a potem przykucnął i poddał się przemianie.

Będąc już w wilczej postaci, pomyślał, że zapach jedzenia w plecaku ściągnie wilki z całej wyspy jak dzwonek na obiad. Był tylko jeden sposób, żeby sobie z tym poradzić. Spryskał moczem kamienie wokół swej kryjówki. Jeżeli ten zapach nie będzie w stanie powstrzymać wilków, to dobiorą się do suszonej wołowiny. Napiął mięśnie, pobudzając krążenie krwi, i ruszył biegiem w kierunku skał wznoszących się nad Wilczą Wsią.

Pokonawszy grzbiet pagórka, przebiegł jeszcze pół mili przez gęsty las, kiedy poczuł zapach człowieka. Dudniący odgłos narastał coraz bardziej - zmierzał więc we właściwym kierunku. Kolejne zapachy zaczęły wypełniać mu nozdrza: gorzki fetor spalin z komina fabryki, zapach pary wodnej, woń zajęcy i innych drobnych zwierząt uciekających mu z drogi i... piźmową woń młodej samicy.

Gdzieś z lewej strony delikatnie trzasnęła gałązka. Odwrócił głowę w tym kierunku i dojrzał mignięcie żółtego futra. Dotrzymywała mu kroku, prawdopodobnie nieco niespokojna z ciekawości i z powodu jego samczego zapachu. Nie wiedział, czy obserwowала przemianę. Jeżeli tak, to mogła opowiedzieć swojej watasze ciekawe historie. Gorzki zapach narastał, podobnie jak woń człowieka. Wilczyca zaczęła zwalniać, onieśmielona bliskością ludzi. Po chwili zatrzymała się i zaskomlała wysokim głosem. Zrozumiał, co to znaczy: nie podchodź bliżej. Wcale nie zamierzałby tam podchodzić, gdyby miał jakiś wybór. Teraz jednak biegł dalej. Po około piętnastu jardach wynurzył się z lasu i ujrzał dzieło Hildebranda, wznoszące się jak brudna góra nad ogrodzeniem z siatki zwieńczonym drutem kolczastym.

Masywny komin z szarego kamienia wyrzucał w niebo kłęby dymu. Wokół niego stały betonowe budynki połączone kładkami i rurami, które wiły się po całym terenie jak

labirynt Harry'ego Sandlera. Przypominające bicie serca dudnienie dochodziło gdzieś z centrum kompleksu fabrycznego. Przez szpary w okiennicach przeświecało światło. Pomiędzy budynkami wiły się kręte dróżki. Leżąc na brzuchu na skraju lasu, Michael zobaczył ciężarówkę wyłaniającą się zza rogu jednego z budynków i wjeżdżającą jak opasył chrząszcz w kolejną dróżkę. Na powietrznych kładkach dojrzał kilka postaci. Dwaj robotnicy obracali wielkie czerwone koło zamachowe, a trzeci sprawdzał coś, co wyglądało jak tablica z manometrami, i po chwili dał znak ręką, że wszystko jest w porządku. Praca w fabryce, jak widać, toczyła się dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Michael podniósł się i przebiegł wzdłuż ogrodzenia. Po chwili dokonał kolejnego odkrycia: za siatką znajdowało się lotnisko z hangarami, zbiornikami paliwa i cysternami. Na płycie stały w szyku trzy nocne myśliwce - Do-217 i dwa He-219, wszystkie wyposażone w anteny radarowe, i groźnie wyglądający myśliwiec „Messerschmitt Bf-109”. Największym samolotem na lotnisku był olbrzymi transportowy Me-323 o rozpiętości skrzydeł przekraczającej sto osiemdziesiąt pięć stóp i długości prawie stu stóp. Widać więc było, że naziści prowadzą jakieś naprawdę poważne prace. W tej chwili jednak na lotnisku nic się nie działo. Za płytą kłify wyspy stykały się z morzem.

Michael powrócił na brzeg lasu i wypatrzył odpowiednie miejsce. Zaczął wygrzebywać dziurę pod płotem. Dla tego zadania wilcze łapy lepiej się nadawały niż ludzkie ręce, choć liczne drobne kamienie tkwiące w ziemi niezwykle utrudniały kopanie. Mimo to dziura rosła i kiedy była już wystarczająco obszerna, Michael przycisnął brzuch do podłoża i pomagając sobie łapami, przecisnął się pod siatką. Stał na czterech łapach i rozejrzał się. Ani śladu żołnierza. Wbiegł na najbliższą ścieżkę, przemykając jak cień w kierunku dudniącego odgłosu.

Wyczuł zapach i usłyszał odgłos ciężarówki, zanim jeszcze zdążyła wjechać na dróżkę za jego plecami. Skoczył za róg i rozpląszczył się na ziemi, żeby się ukryć przed reflektorami samochodu. Ciężarówka minęła go, a w pozostawionej przez nią smudze powietrza Michael wyczuł kwaśny odór potu i strachu, który od razu skojarzył mu się z Falkenhausen. Wstał i pobiegł w bezpiecznej odległości za pojazdem.

Ciężarówka zatrzymała się przed długim budynkiem z zamkniętymi okiennicami. Od wewnątrz podniesiono wrota z falistej blachy i przez otwór wylało się ostre światło. Ciężarówka wjechała do środka i po kilku sekundach metalowe wrota zaczęły znowu opadać. W końcu zamknęły się całkiem, przesłaniając zupełnie światło.

Michael wyszukał wzrokiem drabinkę prowadzącą po ścianie budynku do kładki biegnącej środkiem dachu na wysokości około dwudziestu stóp. Nie było czasu na



rozmyślanie. Przykucnął za kilkoma beczkami na ropę. Kiedy przemiana się dokonała i biała skóra zapiekła go z zimna, wstał, podbiegł do drabinki o metalowych szczeblach i szybko wspiął się na nią. Nie mógł tego zrobić na wilczych łapach. Mogły tego dokonać tylko ludzkie ręce i stopy. Kładka przechodziła na dach następnego budynku, ale Michael dojrzał już przed sobą prowadzące dokądś drzwi. Ujął ręką gałkę, obróciła się. Otworzył drzwi i znalazł się w prowadzącej na dół klatce schodowej.

Znalazł się w jakimś warsztacie, w którym stał taśmociąg sięgający niemal sklepienia i kołowroty. Na podłodze ujrzał stosy skrzyń i beczek i kilka maszyn służących do przemieszczania ciężkich ładunków. Dosłyszał głosy ludzi pracujących w drugim końcu długiego budynku. Ostrożnie prześliznął się pomiędzy rozstawionymi sprzętami i przykucnął za stojakiem pełnym miedzianych rur, kiedy usłyszał zirytowany głos.

- Ten człowiek nie umie pracować! Mój Boże, patrzcie na te ręce. Chude jak u starej baby! Powiedziałem: przywieź mi ludzi, którzy potrafią posługiwać się piłą i młotkiem.

Michael znał ten głos. Wyrzął ze swego ukrycia i zobaczył pułkownika Jerka Bloka. Ogromny Stiefel stał za swym panem. Blok krzyczał na innego niemieckiego oficera, którego twarz zabarwiła się na czerwono. Na lewo od nich sterczał wynędzniały mężczyzna w rozepchanym mundurze jeńca wojennego. Jego ręce były nie tylko wychudzone, ale także wykrzywione z niedożywienia. Za tą czwórką stało siedmiu kolejnych jeńców, pięciu mężczyzn i dwie kobiety. Na dużym stole znajdowały się pudełka z gwoździami, cały zestaw młotków i pił, a obok leżał stos drewna. Ciężarówka, po której obydwu stronach trzymali wartę żołnierze z karabinami, czekała przy metalowej bramie.

- Weźcie ten śmieć z powrotem do jego nory! - Blok odepchnął jeńca pogardliwym gestem. - Będziemy musieli zadowolić się tym, co mamy!

Drugi oficer zagonił jeńca z powrotem do ciężarówki, a Blok oparł ręce na biodrach i zwrócił się do pozostałych:

- Jestem przekonany, że wszyscy czujecie się dobrze i macie ochotę pracować, tak? - Uśmiechnął się, jego srebrne zęby zabłyszczały w świetle. Ze strony jeńców nie było żadnej reakcji; mieli blade, pozbawione wyrazu twarze. - Wy, panowie i panie, zostaliście wybrani spośród innych, ponieważ wasze kartoteki wskazują, że znacie się na stolarstwie. Dlatego dzisiaj zajmujemy się pracami w drewnie. Dwadzieścia cztery skrzynie zrobione według następujących specyfikacji. - Wyjął z kieszeni i rozłożył kartkę papieru. - Trzydzieści dwa cale długości, szesnaście cali wysokości, szesnaście cali szerokości. Nie może być żadnych odstępstw od tej reguły. Skrzynie będą wyłożone gumą. Wszystkie wystające czubki gwoździ mają być zaklepane. Wszystkie szorstkie krawędzie mają być wypolerowane do idealnej gład-

kości. Pokrywy będą wyposażone w podwójne zawiasy i zamykane na kłódki, a nie zabijane gwoździami. - Podał listę Stieflowi, który umieścił ją na tablicy ogłoszeń. - Poza tym - kontynuował Blok - po szesnastu godzinach pracy skrzynie podda się przeglądowi. Każda, której nie zakwalifikuję, zostanie zniszczona, a jej wykonawca będzie musiał zaczynać od nowa. Jakies pytania? - Oczywiście jeńcy nie mieli żadnych pytań. - Dziękuję wam za uwagę - powiedział i ruszył w kierunku metalowej bramy, a Stiefel podążył za nim.

Dwaj strażnicy podnieśli bramę, a kierowca wycofał pojazd z siedzącym w środku oficerem i wychudzonym jeńcem. Blok nie wszedł do ciężarówki, tylko razem ze Stieflowem wyszedł za nią pieszo. Metalowa brama znowu opadła. Jeden z pozostałych w środku strażników krzyknął: „Do roboty, wy leniwe sukinsyny!” - a drugi podszedł do jednej z kobiet i przytknął jej do pośladków lufę karabinu. Wyglądający krucho mężczyzna o siwych włosach i w okularach w drucianych oprawkach pierwszy podszedł do warsztatu, wyprzedzając jednego z młodszych. Kiedy już wszyscy jeńcy ocieżale się poruszali, obydwaj strażnicy usiedli przy stole i zaczęli grać w karty. Michael prześliznął się do klatki schodowej tą samą drogą, którą przyszedł, wdrapał się na dach i zsunął po drabince. Na ziemi znowu przysiadł za beczkami i poddał się przemianie. Stawy bolały go od wysiłku po tylu przemianach w tak krótkim czasie, a mięśnie były jak poobijane, ale znowu gotował się do biegu. Wyszedł z kryjówki i wciągnął nosem powietrze. Wśród mnogości zapachów odkrył cytrynową woń pomady do włosów, której używał Jerek Blok. Ruszył tym tropem.

Wybiegł zza rogu i zobaczył zmierzających szybkim krokiem Bloka i Stiefla. Pobiegł za nimi, przypadając do ziemi. Dwadzieścia cztery skrzynie. Wyłożone gumą. Co zamierzali wysłać w tych skrzyniach? Były mniej więcej takiego rozmiaru, aby pomieścić mały pocisk, raketę czy bombę. Wielki samolot transportowy stojący na lotnisku miał zapewne przewozić pełne skrzynie do miejsca, w którym czekała „Żelazna Pięść”.

Krew pulsowała Michaelowi mocno w żyłach. Czuł w sobie mordercze instynkty. Zabicie tutaj, na tej dróżce, Bloka i Stiefla przyszłoby mu z łatwością, mimo że obydwaj byli uzbrojeni w pistolety. Ukoiłoby to duszę Michaela, gdyby mógł rozszarpać Stieflowi gardło i napluć mu w twarz. Jednak powstrzymał się. Nie na tym polegała jego misja. Musiał się dowiedzieć, gdzie jest „Żelazna Pięść” i jaką straszną broń stworzył doktor Hildebrand. Najpierw zadanie, a potem będzie mógł pofolgować swym pragnieniom.

Podążył za obydwoma Niemcami do piętrowego betonowego budynku stojącego w pobliżu centrum fabryki. Również i on miał okna przesłonięte okiennicami. Michael zobaczył, że Blok i Stiefel wchodzą na metalowe schodki i znikają w drzwiach, które zamknęły się za nimi. Przypadł do ziemi, czekając, kiedy wyjdą, ale mijała minuta za minutą,

a oni się nie pokazywali. Za dwie godziny miał nadejść świt. Już był czas, żeby wracać do wsi.

Michael wycofał się do miejsca, w którym zrobił podkop. Tym razem pogłębił jeszcze dziurę, żeby mógł się przez nią przecisnąć człowiek. Kiedy kopał, ziemia tryskała spod jego łap. Wreszcie prześliznął się pod płotem i pobiegł w las.

Żółta wilczyca, która uważała się za przebieglejszą od niego, wynurzyła się z zarośli i ruszyła równolegle do jego ścieżki. Michael prześcignął ją, chcąc dotrzeć do miejsca, gdzie zostawił swoje zapasy, i przemienić się, zanim ona zdąży za bardzo się zbliżyć.

Już na dwóch nogach, ubrany, z plecakiem założonym na plecy i ze schmeisserem przewieszonym na pasie przez ramię, Michael pobiegł drogą do wsi.

Chesna podniosła się z ukrycia za rozsypującym się murem, mierząc z pistoletu maszynowego w zbliżającego się człowieka. Dopiero po chwili poznała, że to Michael. Całą twarz miał pobrudzoną ziemią.

- Znalazłem wejście do fabryki - powiedział. - Chodźmy.

Drogę ze wsi do fabryki trudniej było przebyć na ludzkich nogach niż na wilczych, jak Michael wkrótce się przekonał. Idąc z Chesna i Łazarisem przez las, słyszał dochodzące zewsząd dźwięki. To żółta wilczyca prowadziła swoich towarzyszy. Kitty została na miejscu, żeby pilnować kutra, poza tym jej masa spowalniałaby ich marsz do żółtego tempa. Łazaris podskakiwał przy każdym dźwięku, prawdziwym czy wyimaginowanym, ale Michael pilnował, by Rosjanin miał zabezpieczoną broń i trzymał palec z dala od spustu.

Michael pierwszy przeszedł pod płotem. Po nim przedostał się na drugą stronę Łazaris, mrużąc pod nosem, że chociaż urodził się ostatnim durniem, to nie ma zamiaru umrzeć jak dureń. Potem precisnęła się Chesna, zadając sobie w myślach pytanie, w jaki sposób Michael wykopał taką dziurę bez łopaty. Zatrzymali się w osłoniętym zakątku na jednej z drózek, aby wyjąć z plecaków zapasowe magazynki amunicji i po dwa granaty. Włożyli magazynki do kieszeni kurtek, a granaty przypięli do pasów schmeisserów. Ruszyli dalej, trzymając się blisko ściany.

Doprowadził ich pod budynek, w którym pracowali więźniowie. Zakładali, że łatwo będzie pokonać obydwu strażników i wydobyć informacje o fabryce zarówno od strażników, jak i jeńców. Jednak Michael był gotowy na wszelką ewentualność. Stawiał ostrożnie krok za krokiem. Każde wyjście zza rogu było nowym ryzykiem. W pobliżu budynku, do którego się kierowali, usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Dał znak Chesnie i Łazarisowi, żeby padli na ziemię. Przyklął za rogiem budynku, czekając. Żołnierz był tuż-tuż. Gdy tylko Michael zobaczył jego kolana, poderwał się błyskawicznie z ziemi i uderzył go w podbródek kolbą pistoletu maszynowego. Niemiec podskoczył od uderzenia i padł plecami na chodnik. Jego ciało zadrgało kilka razy i zastygło. Wciągnęli go w niszę bramy i zostawili tam zwiniętego jak pakunek. Wcześniej Łazaris podciął Niemcowi gardło jego własnym nożem. Kiedy wsuwał broń pod kurtkę, oczy pały mu żądzą mordy.

Również w Wilczej Wsi ostrze było w użyciu. Kitty odcinała niewielkie kawałki suszonej wołowiny za pomocą swego zakrzywionego noża do oprawiania fok. Wkładając kolejny kawałek do ust, usłyszała dochodzące ze wsi wycie wilka.

Był to wysoki, przesywający zew, który odbił się echem po przystani i zakończył serią pośpiesznych szczęknięć. Nie podobał jej się ten dźwięk. Wzięła latarkę i uzbrojona w nóż wyszła w mgliste chłodne powietrze. Nie było słyhać nic oprócz plusku fal o falochron.

Kitty stała w miejscu, rozglądając się na wszystkie strony. Wilk znów wydał głos, tym razem serię ostrych skowytów. Kitty odeszła od domu i skierowała się w kierunku przystani. Buty mlaskały w ciemnej ziemi, w której spoczywały kości jej rodziny. Kiedy doszła do przystani, włączyła latarkę i znalazła to, czego szukała: ciemnoszarą gumową łódź przywiązaną do jej własnego kutra. W łodzi leżały trzy pary wioseł.

Nóż Kitty przebił gumę w dziesiątkach miejsc. Łódź zabalgotała, zwijając się, i zatoneła. Potem Kitty na wpół pobiegła, a na wpół potoczyła się na swych masywnych nogach z powrotem w kierunku domu. Wchodząc w drzwi, wyczuła odór ich potu przepełniony wonią kiełbasy i piwa. Stała przed bestiami groźniejszymi niż wilki.

Jeden z ubranych na czarno Niemców podniósł karabin i zaczął mówić coś swym bełkotem. „Jak ludzki język może wytwarzać takie dźwięki?” - pomyślała Kitty. Pozostali dwaj również trzymali skierowane w jej kierunku karabiny. Ich twarze pokryte były czarną farbą maskującą. Wiedziała, że oni tu przyplynie. Przybyli gotowi do dokonania rzezi.

Spodziewała się tego. Uśmiechnęła się, a jej niebieskie nordyckie oczy zabłyszczały.

- Witam - powiedziała i podnosząc nóż runęła do przodu.

Michael, Łazaris i Chesna dotarli na dach budynku. Pokonali kładkę i zeszli po schodach.

- Uważaj, gdzie tym celujesz! - szepnął Michael do Łazarisa, kiedy lufa broni Rosjanina zaczęła zataczać kręgi.

Przeprowadził ich przez labirynt urządzeń i po chwili zobaczyli obydwu strażników pochłoniętych grą w karty. Jeńcy pracowali przy skrzyniach, tnąc piłami deski i wbijając gwoździe, dumni ze swoich umiejętności stolarskich, mimo że służyły Niemcom.

- Chwileczkę - powiedział Michael i przysunął się bliżej strażników.

Jeden z więźniów upuścił gwoździe, schylił się, żeby go podnieść, i wtedy zobaczył człowieka pełzającego na brzuchu po ziemi. Zaskoczony, wciągnął głośno powietrze. Jeszcze jeden jeniec spojrział w kierunku Michaela.

- Czwórka asów! - zawołał jeden ze strażników, rozkładając swoje karty na stole. - Spróbuj mnie pobić!

- Jak sobie życzysz - mruknął Michael, podnosząc się za jego plecami i uderzając go w głowę kolbą schmeissera.

Strażnik jęknął i przewrócił się, rozrzucając karty. Drugi żołnierz sięgnął po karabin, który stał oparty o ścianę, ale zastygł, kiedy poczuł wylot lufy schmeissera na gardle.

- Na podłogę - powiedział Michael. - Na kolana i załóż ręce na kark.

Żołnierz usłuchał bardzo szybko.

Chesna i Łazaris wyszli z ukrycia. Rosjanin trącił butem w bok nieprzytomnego strażnika, a kiedy ten zajęczał, kopnął go tak mocno, że Niemiec znowu stracił przytomność.

- Nie zabijajcie mnie! - błagał klęczący strażnik. - Proszę! Ja jestem nikim!

- Za chwilę będziesz nikim bez głowy - powiedział Łazaris, przykładając ostrze noża do drżącej grdyki Niemca.

- Nie będzie mógł odpowiadać na pytania z poderżniętym gardłem - odezwała się Chesna. Przyłożyła lufę schmeissera do czoła żołnierza i odciągnęła bezpiecznik.

Oczy Niemca rozszerzyły się i zwilgotniały ze strachu.

- Chyba już słucha nas uważnie - powiedział Michael, spoglądając na więźniów, którzy przerwali pracę i stali patrząc na nich oszołomieni. - Co idzie do tych skrzyń? - zapytał strażnika.

- Nie wiem.

- Ty sukinsynu, kłamiesz! - Łazaris przycisnął nieco mocniej ostrze noża i żołnierz zajęczał, kiedy po gardle popłynął mu strumyk ciepłej krwi.

- Bomby! Stufuntowe bomby! Tylko tyle wiem.

- Dwadzieścia cztery? Jedna bomba do każdej skrzyni?

- Tak! Tak! Proszę, nie zabijajcie mnie!

- Są pakowane do przewiezienia? W messerschmitcie, który stoi na lotnisku?

Żołnierz skinął głową. Kołnierz jego munduru zaczął przesiąkać krwią.

- Dokąd są przewożone? - nalegał Michael.

- Nie wiem. - Łazaris przycisnął jeszcze mocniej ostrze. - Przysięgam, że nie wiem! - jęknął żołnierz.

Michael wierzył, że mówi prawdę.

- Co jest wewnątrz bomb?

- Materiał wybuchowy, a co może być w bombie?

- Nie bądź taki cwany - ostrzegła go Chesna groźnym tonem. - Odpowiadaj tylko na pytania.

- Ten dureń nie wie. On jest tylko strażnikiem. Obejrżeli się na człowieka, który to powiedział. Szczupły jeniec z siwymi włosami i w okularach w drucianych oprawkach. Zbliżył się kilka kroków i zaczął mówić po niemiecku z bardzo silnym, chyba węgierskim akcentem.

- To jakiś rodzaj gazu. Właśnie to jest w bombach. Jestem tutaj od ponad pół roku i widziałem, co on potrafi zrobić.

- Też widziałem - powiedział Michael. - Pali ciało. Jeniec uśmiechnął się gorzko.

- Pali ciało - powtórzył. - O, on robi wiele więcej, niż pali ciało, mój przyjacielu. Pożera ciało jak rak. Wiem o tym. Musiałem palić zwłoki. Moja żona była między nimi. - Zamrugął oczami. - Ale teraz jest w lepszym miejscu niż to. Torturują mnie każdego dnia, zmuszając do tego, bym żył. - Spojrzał na trzymany w ręku młotek i upuścił go na beton. Otarł rękę o nogawicę spodni.

- Gdzie są przechowywane bomby? - zapytał Michael.

- Tego to nie wiem. Gdzieś w głębi fabryki. Obok wielkiego komina jest biały budynek. Niektórzy mówią, że tam właśnie robią gaz.

- Ile tu jest jeńców?- zapytała Chesna.

- Osiemdziesięciu czterech. Nie, nie, chwileczkę... - Zastanowił się. - Danelka umarł dwie noce temu. Osiemdziesięciu trzech. Kiedy przyjechałem tutaj, było ponad czterystu, ale... - Wzruszył chudymi ramionami i spojrzał Michaelowi w oczy. - Czy przyjechaliście tutaj, żeby nas uratować?

Michael nie wiedział, co odpowiedzieć. Uznał, że najlepsza jest prawda.

- Nie.

- Ach - jeniec skinął głową - więc chodzi o gaz. Jesteście tutaj z powodu gazu? No cóż, to dobrze. My i tak już nie żyjemy. Jeżeli ten gaz wydostanie się stąd, to ciarki mnie przechodzą na myśl...

Coś uderzyło o blachę bramy.

Serce Michaela podskoczyło, a Łazaris wzdrygnął się tak, że ostrze trzymanego przezeń noża jeszcze bardziej nacięło gardło strażnika. Chesna odsunęła lufę schmeissera od czoła żołnierza, na którym zostało odcisnięte białe kółko, i wymierzyła broń w kierunku bramy.

Ponownie coś uderzyło o metal. „Kolba karabinu albo pałka” - pomyślał Michael.

- Hej, Reinhart! Otwieraj! - rozległ się głos zza bramy.

- On mnie woła - wycharczał strażnik.

- Nie, nie woła jego - powiedział siwowłosy jeniec. - Ten się nazywa Karlsen. Reinhart jest na podłodze.

- Reinhart! - krzyknął żołnierz na dworze. - Otwieraj, do cholery! Wiem, że macie tam tę ładną!

Więźniarka, która wcześniej była potracana lufą karabinu, wzięła do ręki młotek. Jej otoczona czarnymi włosami twarz pobladła. Zaciśnęła mocno dłoń na trzonku młotka, aż jej zbielały palce.

- No, bądźcie kolegami! - zawołał jakiś nowy głos. - Dlaczego trzymacie ją tylko dla siebie?

- Powiedz, żeby odeszli - rozkazała Chesna. Miała kamienny wzrok, ale w jej głosie słysząc było zdenerwowanie.

- Nie - powiedział Michael. - Wejdą tą samą drogą, którą my weszliśmy. Wstawaj. - Karlsen wstał. - Do bramy. Ruszaj się. - Szedł za strażnikiem razem z Chesna, przyciskając lufę karabinu do jego pleców. - Powiedz, żeby poczekali chwilę.

- Poczekajcie chwilę! - zawołał Karlsen.

- Już lepiej! - odpowiedział jeden z żołnierzy na zewnątrz. - Myśleliście, sukinsyny, że uda wam się ją przemycić, co?

Brama podnoszona była za pomocą łańcuchów przesuwających się po bloczkach. Michael stanął z boku.

- Podnoś bramę. Powoli. - Chesna też odsunęła się na bok i Karlsen zaczął obracać korbę. Metalowa brama ruszyła do góry.

W tej samej chwili Reinhart, który od dwóch minut udawał omdlenie, nagle podniósł się u stóp Łazarisa. Trzymając się jedną ręką za złamane żebra, wyciągnął drugą w kierunku ściany obok karcianego stolika. Rosjanin krzyknął i uderzył nożem, zatapiając ostrze w ramieniu Reinharta, ale nie mógł już powstrzymać tego, co nastąpiło za chwilę.

Pięść Reinharta uderzyła w czerwony guzik przytwierdzony do przewodów elektrycznych na ścianie i gdzieś na dachu budynku rozległo się wycie syreny.

Brama była już w jednej czwartej podniesiona. Michael zobaczył dwie pary nóg. Bez wahania odbezpieczył broń i puścił serię pod bramą. Zranił obydwu żołnierzy, którzy padli, krzycząc i wijąc się z bólu. Karlsen wypuścił korbę, żeby na czworakach przedostać się pod bramą, która znowu się zaczęła osuwać w dół, ale Chesna naszpikowała go serią ze schmeissera. Brama opadła, przyciskając jego ciało.

Łazaris z wściekłością uderzał nożem Reinharta. Niemiec zwinął się z twarzą zamienioną w krwawą masę, ale syrena wyła bez przerwy. Czyjaś sylwetka przebiegła obok nich. To czarnowłosa więźniarka podniosła młotek i rozbiła przycisk alarmu na drobne kawałki. Jednak włącznik został uruchomiony i już nie można było uciszyć syreny.

- Uciekajcie, póki jeszcze można! - krzyknął siwowłosy jeniec. - Uciekajcie!

Nie mieli czasu na rozmyślania. Wiadomo było, że syrena sprowadzi do nich wszystkich żołnierzy obecnych na terenie fabryki. Michael podbiegł do klatki schodowej, a Chesna i Łazaris rzucili się za nim. Wskoczyli na dach. W ich kierunku pędziło po kładce dwóch żołnierzy. Michael i Chesna jednocześnie pociągnęli za spust. Kule uderzyły o barierę



kładki, ale żołnierze zdążyli paść na jej powierzchnię. Rozległy się strzały karabinowe i pociski zagwizdały koło ich głów. Michael zobaczył kolejnych dwóch żołnierzy zdążających po kładce z przeciwnej strony. Jeden z nich oddał strzał i kula otarła się o kurtkę Chesny, wyrzucając w powietrze kłęb puchu.

Michael przygotował granat i odczekał chwilę, żeby żołnierze podbiegli bliżej. Kolejna kula odbiła się z jękiem od bariery obok niego. Cisnął granat w dwóch Niemców zbliżających się od tyłu i trzy sekundy później nastąpił wybuch białego ognia, po którym na kładce zostały dwa poszarpane ciała. Łazaris obrócił się w kierunku blokujących im drogę żołnierzy, posyłając krótkie serie pocisków, które odbijały się, iskrząc, od dachówek. Michael zobaczył kolejnych dwóch żołnierzy zbliżających się po kładce z tyłu. Zaklekotał schmeisser Chesny i żołnierze przypadli za barierą.

Dach budynku zamienił się w siedlisko szerszeni. Kula uderzyła w dachówki na lewo od Michaela i odbiła się, przelatując jak rozżarzony niedopałek papierosa, mniej niż pięć cali od jego twarzy. Chesna krzyknęła i upadła.

- Trafili mnie! - zawołała, zaciskając zęby z bólu i gniewu. - Och, do cholery!

Trzymała się za prawą kostkę. Między palcami jej dłoni pokazała się krew.

Łazaris puścił serię w jedną, a potem w drugą stronę. Któryś z żołnierzy krzyknął i spadł przez barierę na bruk dwadzieścia stóp niżej. Michael pochylił się, żeby pomóc wstać Chesnie, i w tej samej chwili poczuł kulę przelatującą mu przez obrzeże kurtki. Nie mieli żadnego wyboru, ale musieli biec z powrotem na klatkę schodową, zanim Niemcy zdążą posiekać ich kulami.

Podniósł Chesnę. Strzelała do ścigających ich żołnierzy jeszcze wtedy, kiedy Michael wciągał ją przez drzwi na schody.

Kula uderzyła w barierę kładki obok Łazarisa i metalowe okruchy zraniły go w szczękę i policzek. Wycofywał się, siejąc kulami po dachu. Kiedy dostali się na schody, seria pocisków uderzyła w drzwi, wrywając je z zawiasów. Michael poczuł piekące ukłucie bólu i uświadomił sobie, że kula właśnie przeszła mu lewą rękę. Ręka zdrętwiała, a palce zacisnęły się bezwiednie. Podtrzymując Chesnę, wycofywał się w dół po schodach do wnętrza warsztatu. Dwaj Niemcy pojawili się u szczytu schodów, ale Łazaris ściał ich serią, zanim jeszcze zdążyli wymierzyć broń. Ich ciała zsunęły się po stopniach. Kolejni żołnierze pokazali się na schodach, a po kilku sekundach eksplodował z hukiem rzucony przez nich granat. Jednak Michael, Chesna i Łazaris byli już na dole. Jeńcy kryli się pomiędzy maszynami i beczkami. Żołnierze zbiegali ze schodów, strzelając przed siebie. Michael obejrzał się w kierunku metalowej bramy. Kolejni Niemcy usiłowali podnieść ją rękoma z drugiej strony,

widać było ich palce mocujące się z krawędzią. W tym samym czasie inni stojący obok nich żołnierze strzelali do wnętrza przez szczelinę nad podłogą. Michael upuścił Chesnę, która osunęła się na kolana ze spoconą z bólu twarzą, i założył nowy magazynek do schmeissera. Z ręki płynęła mu krew, rana wyglądała jak doskonały geometrycznie otwór. Strzelił, celując w szczelinę pod bramą, i Niemcy się rozpierzchli.

Syrena przestała wyć. Ponad łoskotem wystrzałów rozległ się ostry głos:

- Przerwać ogień! Przerwać ogień! Palba osłabła i po chwili całkiem ustała.

Michael ukrył się za podnośnikiem, a Chesna i Łazaris przyklękli pod osłoną beczek. Słyszał okropne jęki rannych i szcęk przeładowywanych pistoletów maszynowych. We wnętrzu budynku unosiła się niebieska mgiełka dymu roztaczającego ostry zapach prochu strzelniczego.

Po chwili zza metalowej bramy rozległ się głos wzmocniony przez głośnik:

- Baronie? Pora, żebyście z Chesna rzucili broń. Już po wszystkim.

Michael spozjrzał na Chesnę. Ich oczy się spotkały. To był głos Jerka Bloka. Skąd on wiedział?

- Baronie... - ciągnął Blok. - Pan nie jest głupi. Z pewnością nie. Wie pan już, że budynek został otoczony i nie ma możliwości, abyście się wydostali. I tak was weźmiemy w ten czy inny sposób. - Przerwał, dając im czas na zastanowienie. - Chesno, moja droga, z pewnością rozumiesz swą sytuację. Rzućcie broń, to sobie porozmawiamy.

Chesna popatrzyła na siniejący otwór rany w nodze. Gruba wełniana skarpetka była mokra od krwi. Odczuwała paraliżujący ból. „Strzaskana kość” - pomyślała. W zupełności rozumiała swe położenie.

- Co zrobimy? - zapytał Łazaris z paniką w głosie. Krew ściekała mu po brodzie.

Chesna zdjęła swój plecak i odpięła klamry.

- Baronie, pan mnie zadziwia! - odezwał się znowu Blok. - Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób została przeprowadzona ta ucieczka z Falkenhausen. Zasłużył pan na mój najwyższy szacunek.

Michael zobaczył, że Chesna sięga ręką do plecaka. Wyjęła z niego kwadratowy pakiecik w woskowanym papierze. Kapsułka z cyjankiem.

- Nie! - Łazaris chwycił ją za rękę. - Jest inny sposób. Pokręciła głową, wrywając rękę z jego chwytu.

- Wiesz, że nie - powiedziała i zaczęła rozwijać 'pakiecik. Michael przesunął się do niej po podłodze.

- Chesno! Możemy się przebić! Nadal mamy granaty!

- Mam strzaskaną kość. Jak mam się stąd wydostać? Czołgać się?

Chwycił ją za nadgarstek, powstrzymując przed włożeniem kapsułki do ust.

- Będę cię niósł.

- Tak. - Chesna uśmiechnęła się blado. Jej oczy pociemniały z bólu. - Wierzę ci, że będziesz. - Dotknęła dłonią policzka Michaela i przesunęła ją do jego ust. - Ale to nic nie da. Nie. Zamkną mnie w klatce i będą torturować jak zwierzę. Wiem za dużo. Skazałabym dziesiątki ludzi na...

Coś zaklekotało o podłogę około piętnastu stóp od nich. Michael popatrzył w tamtą stronę z łomoczącym sercem i zrozumiał, że to jeden z żołnierzy na klatce schodowej rzucił w ich kierunku granat.

Granat wybuchł, zanim którekolwiek z nich zdołało się ruszyć.

Rozległ się przytłumiony huk, błysnęło jaskrawe światło, a potem z granatu zaczął się wydobywać kredowobiały dym. Michael uświadomił sobie, że to nie jest zwykły dym. Czuł jakiś słodkawy, przypominający pomarańcze zapach - zapach środków chemicznych.

Po chwili wybuchł kolejny granat. Chesna z piekącymi, pełnymi łez oczami podniosła do ust kapsułkę z cyjankiem. Michael nie mógł tego znieść. Sam nie wiedząc, czy robi dobrze, czy źle, podbił jej rękę, wytrącając kapsułkę.

Dym okrył ich jak zwoje całunu. Oślepiony przez łzy Łazaris, kaszłąc, podniósł się na nogi i zaczął machać rękami, żeby odgonić dym. Michael czuł się tak, jakby mu puchły płuca. Nie mógł złapać oddechu. Usłyszał kaszel i jęk Chesny. Przywarła do niego, kiedy usiłował wziąć ją na ręce. Brakowało mu tchu, a dym był tak gęsty, że stracił orientację. „Jeden z wynalazków Hildebranda” - pomyślał i oślepiony przez płynące z oczu łzy osunął się na kolana. Słyszał kaszel jeńców, ich też dosięgnął dym. Ktoś podszedł do niego: żołnierz w masce przeciwgazowej, i przystawił mu lufę karabinu do głowy.

Chesna osunęła się w drgawkach na ziemię obok niego. Michael upadł na nią. Usiłował się podnieść, ale zabrakło mu sił. Nieznany środek był bardzo mocny. Po chwili Michael Gallatin stracił przytomność, z nozdrzami wypełnionymi odorem gnijących pomarańczy.

Obudzili się w celi. Michael z obandażowaną ręką wyjrzał przez okratowane okno, z którego widać było lotnisko. W srebrnej poświacie nadal stał na płycie wielki transportowy messerschmitt. Bomby nie zostały więc jeszcze załadowane.

Zabrano im całe wyposażenie i kurtki. Chesna też miała zabandażowaną nogę. Kiedy zdjęła bandaż, zobaczyła, że wyjęto kulę, a rana została fachowo oczyszczona. Czuli jeszcze efekty gazu, wszyscy pluli wodnistym śluzem. Chyba z tego właśnie powodu umieszczono w celi wiadro. Michael cierpiał na okropny ból głowy, a Łazaris był w stanie tylko leżeć na pryczy i wpatrywać się w sufit jak pijak po libacji.

Michael przechadzał się po celi, zatrzymując się co chwila i wyglądając przez okratowane okienko w drewnianych drzwiach. Korytarz był pusty.

- Hej! - zawołał. - Przynieście nam coś do jedzenia i wodę! Chwilę potem pokazał się strażnik. Obrzucił Michaela wrogim spojrzeniem niebieskich oczu i odszedł.

Po godzinie dwaj strażnicy przynieśli im posiłek złożony z gęstej, kleistej owsianki i manierkę wody. Kiedy już zjedli, ci sami dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi w rękach przyszli jeszcze raz i rozkazali im wyjść z celi.

Michael podpierał Chesnę, kiedy kuśtykając szła przez korytarz. Łazaris szedł potykając się, oszołomiony, z kolanami miękkimi, jakby były z wosku. Strażnicy wyprowadzili ich z budynku, który okazał się kamiennym bunkrem stojącym na skraju lotniska, i powiedli w głąb terenu fabrycznego. Po chwili wchodzili już do kolejnego, większego budynku niedaleko od miejsca, gdzie zostali schwytani.

- Nie, nie! - usłyszeli wysoki, chłopiący głos. - Kozłuj! Nie biegnij! Kozłuj!

Znaleźli się w sali sportowej z podłogą z polakierowanych drewnianych desek. Grupka wychudzonych więźniów walczyła o piłkę do koszykówki pod okiem obserwujących ich strażników z karabinami. Rozległ się ogłuszający dźwięk gwizdka.

- Nie! - Chłopiący głos drżał ze zdenerwowania. - Paul drużyny niebieskich! Piłkę dostają czerwoni.

Więźniowie mieli na rękawach niebieskie i czerwone przepaski. Chwiali się i potykali w swych rozepchanych szarych uniformach, tłocząc się pod tablicą ustawioną po drugiej stronie boiska.

- Kozłuj, Władimir! Czy ty w ogóle nie myślisz? Krzyczący mężczyzna stał na krawędzi boiska. Był ubrany w ciemne spodnie, sędziowską koszulkę w paski i miał długie blond włosy opadające na plecy. Mierzył prawie siedem stóp wzrostu.

- Łap piłkę, Tiomkin! - krzyknął, tupiąc nogą. - Przegapiłeś łatwy rzut!

„To wszystko jest co najmniej nienormalne” - pomyślał Michael. Jerek Blok też tam był. Podniósł się z siedzenia, dając znak ręką, by podeszli do niego. Stiefel siedział kilka rzędów wyżej za swoim panem jak buldog na straży.

- Witam - powiedział do Chesny wysoki blondyn. Uśmiechnął się, pokazując końskie zęby. Miał na nosie okrągłe okulary i według Michaela nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia trzy lata. Jego ciemnobrązowe błyszczące oczy wyglądały jak oczy dziecka. - Czy to wy jesteście tymi ludźmi, którzy narobili tyle hałasu rano?

- Tak, to oni, Gustavie - odpowiedział Blok.

- Ach! - Doktor Hildebrand przestał się uśmiechać, a jego twarz sposepniała. - Obudziliście mnie.

Michael pomyślał, że Hildebrand może sobie uchodzić za geniusza wojny chemicznej, ale mimo to jest prostakiem. Uczony odwrócił się od nich i krzyknął na więźniów:

- Nie przerywać! Grać dalej!

Więźniowie, zataczając się, zaczęli się przepychać w kierunku przeciwległej tablicy. Niektórzy przewracali się o własne nogi.

- Siadajcie tutaj. - Blok wskazał na sąsiednie siedzenia. - Chesno, czy zechciałabyś zająć miejsce przy mnie?

Usłuchała go, zachęcona lufą karabinu. Michael siadł za nią, a Łazaris, oszołomiony tym, co się dzieje, spoczął przy nim. Obydwaj strażnicy stanęli kilka kroków od nich.

- Witaj, Chesno. - Blok chwycił ją za dłoń. - Cieszę się, że mogę zobaczyć ciebie zno...

Splunęła mu w twarz.

Blok uśmiechnął się, odsłaniając srebrne zęby. Stiefel podniósł się z miejsca, ale pułkownik powiedział do niego: „Nie, nie. Wszystko w porządku” - i wielkolud usiadł z powrotem. Blok wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i wytarł ślinę z policzka.

- Co za duch! - powiedział cicho. - Jesteś prawdziwą Niemką, Chesno. Ty po prostu nie chcesz w to uwierzyć.

- Jestem prawdziwą Niemką - powiedziała zimno - ale nigdy nie będę kimś w pańskim rodzaju.

Blok zatrzymał chusteczkę w dłoni, na wypadek gdyby jeszcze miała mu się przydać.

- Między zwycięstwem a przegraną jest przepaść, a ty właśnie mówisz z samego dna tej przepaści. Och, to był dobry rzut! - Zaklaskał w dłonie, a Stiefel mu zawtórował.

- To ja go tego nauczyłem! - oświadczył Hildebrand, uśmiechając się radośnie.

Gra toczyła się nadal, więźniowie ospale walczyli o piłkę.

Jeden z nich upadł wyczerpany, więc Hildebrand krzyknął na niego:

- Wstawaj! Wstawaj! Jesteś środkowym, musisz grać!

- Proszę... nie mogę...

- Wstawaj! - Głos Hildebranda brzmiał już mniej chłopięco, pojawiła się w nim nuta groźby. - Natychmiast. Będziesz grał aż do końca meczu.

- Nie... nie mogę wstać...

Rozległ się dźwięk odbezpieczanego karabinu. Więzień wstał. Gra potoczyła się dalej.

- Gustav, to znaczy doktor Hildebrand, uwielbia koszykówkę - wyjaśnił Blok. - Czytał o niej w amerykańskim magazynie. Ja sam nie wiem, o co chodzi w tej grze. Jestem fanem piłki nożnej. Ale każdy ma swój gust, prawda?

- Wygląda na to, że doktor Hildebrand prowadzi mecz żelazną pięścią - powiedział Michael.

- Och, niech pan znowu z tym nie zaczyna! - Twarz Bloka oblała się purpurą. - Nie zmęczył się pan jeszcze tym strzelaniem w ciemno?

- Nie, bo jeszcze nie dotarłem do końca. - Michael uznał, że nadszedł czas na wytoczenie najpoważniejszych argumentów. - Nie wiem jeszcze tylko jednego - powiedział niemal obojętnym tonem. - W którym miejscu stacjonuje forteca. „Żelazna Pięść” to nazwa bombowca B-17, prawda?

- Baronie, pan ciągle wprawia mnie w zadziwienie! - Blok się uśmiechnął, ale w jego oczach widać było niepokój. - Pan nigdy nie odpoczywa, prawda?

- Chciałbym się tego dowiedzieć - nalegał Michael. - „Żelazna Pięść”. Gdzie ona jest?

Blok przez chwilę nic nie mówił, wpatrując się w nieszczęsnych więźniów biegających z jednego końca boiska na drugi i w Hildebranda, który krzyczał na nich, kiedy popełniali błędy w grze.

- Blisko Rotterdamu - powiedział - na lotnisku Luftwaffe. „Rotterdam” - pomyślał Michael. Jednak nie Francja, ale okupowana przez Niemców Holandia. Prawie tysiąc mil na południe od wyspy Skarpa. Poczul, że robi mu się słabo. Znalazł potwierdzenie swoich podejrzeń.

- Skoro to już zostało powiedziane, dodam coś jeszcze. Pan i pana przyjaciele, w tym ten brodaty dżentelmen, który tam siedzi i któremu nie zostałem przedstawiony, na co nie

mam zresztą najmniejszej ochoty, zostaniecie na Skarpie aż do ukończenia prac. Sądzę, że Skarpa będzie dla was twardszym orzechem do rozgryzienia niż Falkenhausen. Ach, tak, a propos, Chesno, gra dla dwóch drużyn jest fair, prawda? Twoi przyjaciele dotarli do Baumana, a moi do jednego z dżentelmenów, którzy przejmowali wasz samolot w pobliżu Uskedahl. - Obdarzył ich krótkim, mrozącym krew w żyłach uśmiechem. - Prawdę mówiąc, jestem na Skarpie od tygodnia, porządkowałem pewne sprawy i czekałem na was. Wiedziałem, baronie, gdzie pan trafi po ucieczce z Falkenhausen. Problem polegał tylko na tym, jak wiele czasu zajmie panu dotarcie tutaj. - Skrzywił się, gdy dwaj więźniowie się zderzyli i piłka wypadła poza boisko. - Nasz radar obserwował was, kiedy przedostawaliście się przez pole minowe. To była pierwszorzędna robota.

„Kitty! - pomyślał Michael. - Co się z nią stało?”

- Sądzę, że bunkier będzie bardziej przestronny niż pańska kwatery w Falkenhausen - ciągnął pułkownik. - Możecie też liczyć na przyjemną morską bryzę.

- A gdzie pan będzie? Będzie się pan opalał na dachu?

- Niezupełnie, panie baronie. - Znowu błysk srebrnych zębów. - Będę przygotowywał operację zniszczenia alianckiej inwazji na Europę.

Powiedział to tak swobodnie, że Michael, mimo iż jego gardło zacisnęło się z emocji, musiał odrzec podobnym tonem.

- Doprawdy? Czy to jest pańska praca na weekend?

- To nie zajmie nam nawet weekendu. Inwazja zostanie zlikwidowana około sześciu godzin po rozpoczęciu. Amerykańscy i brytyjscy żołnierze potopią się nawzajem, kiedy będą usiłowali dopłynąć z powrotem na swoje statki, a dowódcy oszaleją ze strachu. To będzie największa klęska w historii. Oczywiście klęska wrogów Rzeszy i triumf Niemiec. I do tego, baronie, ani jednego pocisku z naszych cennych zapasów.

- I to wszystko dzięki „Żelaznej Pięści”? - mruknął Michael. - I dzięki żrącemu gazowi Hildebranda? Dwadzieścia cztery stufuntowe bomby nie powstrzymają tysięcy żołnierzy. Prawdę mówiąc, wasze wojska mogą ucierpieć od gazu, który wiatr zwieje na ich pozycje. Niech pan mi powie, z jakiego domu wariatów ostatnio pana wypuszczono.

Blok patrzył wprost na niego. Jeden policzek wyraźnie mu drgał.

- Och, nie! - Zachichotał złowieszczo. - Och, mój drogi baronie! Chesno! Żadne z was tego nie wie, co? Myślicie, że bomby zostaną zrzucone po tej stronie Kanału? - Zaniósł się niepoohamowanym śmiechem.

Michael i Chesna spojrzeli na siebie. Michael poczuł, jak gdzieś w jego wnętrzu budzi się przerażenie.

- Widzicie, my nie wiemy, gdzie nastąpi inwazja. Jest tuzin różnych możliwości. - Roześmiał się znowu, ocierając oczy chusteczką do nosa. - Och, jej! Co za niespodzianka! Ale widzicie, nieważne jest miejsce inwazji. Jeżeli ma ona nastąpić w tym roku - to w ciągu najbliższych dwóch, czterech tygodni. A kiedy się zacznie, my zrzucimy te dwadzieścia cztery bomby na Londyn.

- Och, Boże - wyszeptał Michael.

Żaden niemiecki bombowiec nie mógł się przedostać przez brytyjską obronę przeciwlotniczą. Królewskie Siły Powietrzne były zbyt potężne i nabrały wiele doświadczenia od czasów bitwy o Anglię. Żaden niemiecki bombowiec nie mógł nawet zbliżyć się do Londynu.

Ale amerykańska latająca forteca B-17 mogła, szczególnie taka, która wyglądała na uszkodzoną, pełną dziur, wracającą z rajdu bombowego nad Niemcami. W gruncie rzeczy Królewskie Siły Powietrzne zapewne przydzieliłyby takiemu samolotowi ochronę. Skąd brytyjscy piloci mogliby wiedzieć, że dziury po pociskach i uszkodzenia zostały namalowane przez ulicznego malarza z Berlina?

- Te dwadzieścia cztery bomby napełnione są płynnym karnagenem, wokół którego umieszczony jest silny ładunek wybuchowy. Karnagen to gaz, który wyprodukował Gustav. Całkiem niezłe osiągnięcie. Będzie musiał wam pokazać swoje wzory chemiczne, ja wcale ich nie rozumiem. Wiem tylko, że kiedy gaz jest wdychany, to uruchamia bakterie w ciele, mikroby, które powodują rozkład tkanki. Te mikroby w pewnym sensie stają się mięsożerne. W ciągu siedmiu do dwunastu minut ciało zaczyna... powiedzmy... być pożerane od środka. Żołądek, serce, płuca, układ krwionośny... wszystko.

Michael milczał. Widział zdjęcia, więc wierzył słowom Bloka. Jeden z więźniów upadł i legł bez ruchu.

- Wstawaj! - Hildebrand kopnął go w bok czubkiem buta. - No! Wstawaj, powiedziałem! - Więzień nie ruszał się. Hildebrand popatrzył na Bloka. - Po nim! Dajcie mi nowego!

- Zajmij się tym - polecił Blok najbliższemu strażnikowi i żołnierz pośpiesznie opuścił salę gimnastyczną.

- Zespół czerwonych będzie musiał grać w czwórkę! - zawołał Hildebrand i dmuchnął w gwizdek. - Grać dalej!

- To świetny przykład rasy panów - zauważył Michael, nadal nie mogąc otrząsnąć się z szoku. - Zbyt głupi na to, by wiedzieć, że jest idiotą.



- Pod pewnymi względami, niestety, on jest idiotą - zgodził się pułkownik. - Ale na polu wojny chemicznej Gustav Hildebrand geniuszem przewyższa własnego ojca. Weźmy na przykład karnagen. Jest fantastycznie zagęszczony. To, co mieści się w tych dwudziestu czterech bombach, wystarczy, żeby zabić, licząc z grubsza, trzydzieści tysięcy ludzi, w zależności od tego, jak będą wiały wiatry i czy spadnie deszcz.

- Ale dlaczego Londyn? - zapytała Chesna. Była wstrząśnięta podobnie jak Michael. - Dlaczego nie zrzucicie swoich bomb na wojska inwazyjne?

- Ponieważ, droga Chesno, bombardowanie statków jest nieopłacalnym przedsięwzięciem. Cele są za małe, a wiatry na Kanale nieprzewidywalne, poza tym karnagen niezbyt dobrze działa w obecności sodu. Na przykład zawartego w wodzie morskiej. - Poglaskał ją po ręce, zanim zdążyła cofnąć dłoń. - Nie przejmuj się tak. My wiemy, co robimy.

Michael też to wiedział.

- Chcecie uderzyć na Londyn, żeby wiadomość rozeszła się wśród wojsk inwazyjnych. Kiedy żołnierze usłyszą o działaniu gazu, będą sparaliżowani z przerażenia.

- O, właśnie. Popłyną do domu jak grzeczne rybki i zostawią nas w spokoju.

Panika wśród lądujących oddziałów zniweczyłaby wszelką szansę na powodzenie akcji. Nie było sposobu, żeby żołnierze nie dowiedzieli się o ataku na Londyn - jeżeli nie z BBC, to pocztą pantoflową.

- A dlaczego tylko dwadzieścia cztery bomby, a nie na przykład pięćdziesiąt? - zapytał Michael.

- Ten B-17, który mamy, może przewieźć tylko tyle. Wystarczy na ten cel. W każdym razie - wzruszył ramionami - kolejna porcja karnagenu nie przeszła jeszcze rafinacji. To długi i kosztowny proces i jeden błąd może zniszczyć efekty wielu miesięcy pracy. Mamy jednak trochę gotowego karnagenu, żeby w porę pokropić waszych towarzyszy ze Wschodu.

„Dwadzieścia cztery bomby zawierają cały karnagen, który w tej chwili jest gotowy do użycia” - pomyślał Michael. Było to jednak wystarczająco dużo, aby zniweczyć inwazję i wzmocnić uścisk Hitlera na gardle Europy.

- A propos, mamy w Londynie pewien cel - dodał Blok. - Bomby spadną wzdłuż Parliament Street aż do Trafalgar Square.

Może nawet zdołamy osiągnąć Churchilla, kiedy będzie palił jedno z tych obrzydliwych cygar.

Następny więzień osunął się na kolana. Hildebrand chwycił go za siwe włosy.

- Kazałem ci podać piłkę Matthiasowi. Nie kazałem ci rzucać!

- Już się nie zobaczymy - powiedział Blok swoim nieproszonym gościom. - Będę miał potem różne inne zajęcia. Ta operacja jest ukoronowaniem moich wysiłków. - Posłał im srebrny uśmiech. - Chesno, złamałaś mi serce. - Jego uśmiech zbladł, kiedy podsunął swój długi, chudy palec pod jej podbródek. Odwróciła twarz od niego. - Ale byłaś wspaniałą aktorką - powiedział - i zawsze będę kochał tę kobietę, którą widziałem w twoich filmach. Straż, zabrać ich teraz do celi!

Podeszli do nich dwaj żołnierze. Łazaris podniósł się, nadal był oszołomiony. Michael pomógł Chesnie wstać. Jęknęła z bólu, opierając się na rannej nodze.

- Do widzenia, baronie - powiedział Blok, podczas gdy Stiefel patrzył na nich z obojętnym wyrazem twarzy. - Mam nadzieję, że będzie pan miał dobre stosunki z komendantem następnego obozu, do którego pan trafi.

Kiedy szli wzdłuż linii boiska, doktor Hildebrand zagwizdał, kończąc mecz. Uśmiechnął się do Chesny i podszedł do niej kilka kroków.

- Przyszłość jest w chemii - powiedział. - Chemia jest siłą, esencją i sercem stworzenia. Ty sama jesteś pełna chemii.

- Ty też - odparła i kuśtykając odeszła, wspomagana przez Michaela. Wyobrażała sobie tę obłąkańczą przyszłość.

„Kiedy już zamkną się za nami drzwi celi, będziemy skończeni - myślał Michael, podtrzymując Chesnę. - Tak samo trzydzieści albo więcej tysięcy obywateli Londynu i być może sam premier. Nadejdzie też kres marzeń o inwazji na Europę. Wszystko się zakończy wraz z zatrzaśnięciem drzwi celi”.

Łazaris szedł kilka kroków przed nimi, a żołnierze parę kroków z tyłu. Podążali dróżką w kierunku bunkra. Michael nie mógł dopuścić do tego, żeby drzwi znowu zamknęły się za nimi. Za wszelką cenę.

- Potknij się i upadnij - powiedział po angielsku. Chesna od razu wykonała polecenie, jęcząc i trzymając się za kostkę. Michael pochylił się, aby jej pomóc wstać, a obydwaj żołnierze zaczęli wrzeszczeć, żeby ją postawił na nogi.

- Możesz zająć się jednym? - zapytał po angielsku. Skinęła głową. To było rozpaczliwe posunięcie, ale doszli już do skrajnej desperacji. Postawił Chesnę na nogi, po czym nagle obrócił się i pchnął ją na najbliższego strażnika. Wbiła Niemcowi paznokcie w oczy.

Michael dopadł drugiego żołnierza, chwycił jego karabin i podbił go. Poczł okropny ból w rannej dłoni, ale utrzymał broń w rękach. Strażnik targnął karabinem, omal nie

wyrywając go Michaelowi z rąk, ale ten trafił go kolanem w krocze. Niemiec jęknął i zgiął się wpół, a wtedy Michael odebrał mu broń i uderzył go kolbą w kark.

Łazaris mrugał nadal oczami, nie mogąc pozbyć się ociążałości spowodowanej przez gaz. Zobaczył, jak Chesna drapie żołnierza po twarzy, a on usiłuje ją odepchnąć. Dał niepewny krok do przodu. Rozległ się huk wystrzału i kula odbiła się od bruku pomiędzy nim a Chesna. Zatrzymał się, podniósł głowę i zobaczył na biegnącej górą kładce jeszcze jednego żołnierza. Michael strzelił do niego, ale zrobił to prawie na oślep, a jego ręka znowu straciła czucie. Drugi strażnik ryknął i odepchnął Chesnę. Krzyknęła, upadając, i chwyciła się za ranną kostkę.

- Uciekaj! - zawołała do Michaela. - Uciekaj!

Na wpół oślepiiony strażnik, z zalanymi łzami i krwią oczami, wymierzył broń w kierunku Michaela. Kula przeleciała z gwizdem koło jego głowy i wtedy Gałatinow rzucił się do ucieczki.

Strażnik otarł oczy i zobaczył jak przez mgłę sylwetkę uciekającego mężczyzny. Uniósł broń, wycelował, i nacisnął na spust.

Zanim kula wyleciała z lufy, czyjeś ciało uderzyło go w plecy. Strażnik zachwiał się i upadł, a broń wypaliła w powietrze. Łazaris wylądował na jego plecach i zaczął wydzierać mu karabin.

Żołnierz na kładce wycelował do uciekającego i pociągnął za spust.

Coś uderzyło Michaela z boku w głowę. „Pięść - pomyślał - żelazna pięść. Nie, to coś gorącego. Coś rozpalonego jak w ogniu”. Dał jeszcze trzy kroki i upadł. Siłą bezwładu przesunął się na brzuchu po bruku i wśliznął pomiędzy beczki ze śmieciami i połamane skrzynie. Głowa go paliła. Gdzie karabin? Zniknął, wypadł mu z ręki. Przycisnął dłoń do prawej skroni i poczuł ciepłą wilgoć. W głowie mu ciążyło, jakby mózg zamienił mu się w płyn. „Musisz wstać - ponaglił sam siebie. - Uciekać, musisz...”

Klęknął i wtedy druga kula odbiła się od bruku zaledwie kilka stóp od niego. Podniósł się, z głową pulsującą palącym bólem, i chwiejnie ruszył dróżką w kierunku ogrodzenia. Ogrodzenie! Musi się pod nim przedostać! Wybiegł zza rogu niemal wprost pod koła nadjeżdżającej ciężarówki. Pojazd zahamował z piskiem opon, a Michael przycisnął się do ściany i znowu rzucił do biegu, czując w nozdrzach swąd rozgrzanej gumy. Wybiegł zza następnego rogu, stracił równowagę i uderzył w ścianę. Upadł, pogrążając się w ciemność. Wczołgał się w wąską bramę i położył się w niej, drżąc z bólu.

Został postrzelony. Wiedział tylko tyle. Kula otarła mu się o głowę, odrywając trochę ciała i włosów. Gdzie jest Chesna? Gdzie Aleksa i Renati? Nie, nie, tamto to był inny, lepszy

świat. Gdzie Łazaris? Czy jest bezpieczny z Wiktorem? Potrząsnął głową; umysł mu się zaciemniał, skrywając przed nim swe sekrety. Pociąg się spóźnia! Uda mi się, Nikita! Patrz na mnie!

Czuł pieczenie skóry. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach. Co to za gorzka woń? Jego skóra! Co się dzieje z jego skórą? Popatrzył na ręce. Zmieniały się, palce przechodziły w pazury. Bandaż ześliznął mu się z ręki na ziemię. Kości kręgosłupa zatrzeszczały i przesunęły się. Nowy ból przeniknął jego stawy, ale w porównaniu z bólem głowy ten był wręcz przyjemnością.

- Chesna! - niemalże krzyknął. - Gdzie ona jest? Nie mogę jej zostawić. Nie, nie! Wiktor! Wiktor zajmie się Chesna.

Ciało Michaela zaczęło się miotać, splecione dziwnymi więzami oplątującymi mu nogi. Coś się rozerwało na jego porośniętym czarnym futrem grzbiecie. Zrzucił to z siebie. Rzeczy, które spadały z niego, miały okropny zapach. Zapach człowieka.

Zatrzeszczało mu w mięśniach. Musiał wydostać się z tego okropnego miejsca, zanim odnajdą go te potwory. Był w obcym sobie świecie i nic w nim nie miało dla niego sensu. Ogrodzenie! Za ogrodzeniem czeka wolność, a jej właśnie pożądał najbardziej.

Jednak zostawiał tutaj kogoś. Nie, nie tylko jedną osobę. Dwie. Przypomniał sobie imię i otworzył usta do krzyku, ale dźwięk, który się wydobył, był szorstki, dziki i nie wyrażał żadnego znaczenia. Strząsnął ciężkie przedmioty, które zwisały mu na tylnych łapach, i ruszył biegiem, żeby odszukać drogę na zewnątrz.

Odnalazł powonieniem własną ścieżkę. Wtedy zobaczyły go trzy potwory o białych, złych twarzach. Jeden z nich krzyknął z przerażenia. Nawet wilk potrafi zrozumieć to uczucie! Inny podniósł jakiś kij, z którego z hukiem plunął ogień. Michael rzucił się w przeciwną stronę, a gorący podmuch zjeżył mu włosy na karku. Biegł przed siebie.

Jego własna woń doprowadziła go do dziury pod ogrodzeniem. Dlaczego w tym miejscu jest też zapach człowieka? Były to znane mu zapachy, ale do kogo należały? Las przed nim rozciągał się zachęcająco, obiecując bezpieczeństwo. Czuł okropny ból. Potrzebował odpoczynku. Potrzebował miejsca, w którym mógłby się zwinąć w kłębek i lizać rany.

Przecisnął się pod płotem i nie oglądając się na świat, który opuszcza, zanurzył się w objęcia lasu.

Żółta wilczyca zbliżyła się, żeby pochwycić jego woń, kiedy leżał zwinięty w skalnej jamie. Lizał ranną łapę. Jego czaszkę wypełniał okropny ból, który narastał raz po raz. Widział jak przez mgłę. Jednak dostrzegał ją mimo panującego półmroku. Stała na skale około dwudziestu stóp od niego i patrzyła, jak cierpi. Po chwili przyłączył się do niej ciemnobrązowy wilk, a potem szary z jednym okiem. Obydwa wilki powstały i odeszły, ale żółta samica nie ruszyła się z miejsca.

Jakiś czas później, sam nie wiedział kiedy, ponieważ miał wrażenie, jakby poruszał się we śnie, wyczuł zapach ludzi. „Czterech - pomyślał - może więcej”. Mijali jego kryjówkę. Po chwili usłyszał szuranie ich butów po kamieniach. Przeszli dalej, szukając...

Szukając - czego? Żywności? Schronienia? Nie wiedział, ale ludzie, te potwory o białych ciałach, przerażali go i był zdecydowany trzymać się od nich z daleka.

Jakaś eksplozja wyrwała go z niespokojnego snu. Popatrzył na wznoszące się w powietrzu płomienie. „Kuter - pomyślał. - Znaleźli go. Na przystani”. - Zdziwiła go ta myśl. „Skąd to wiem? Czyj to kuter i do czego może być potrzebny wilkowi?”

Ciekawość spowodowała, że podniósł się powoli i ruszył dalej po skałach w kierunku przystani. Żółta wilczyca towarzyszyła mu z jednego boku, a z drugiego boku szedł mały jasnobrązowy wilk, który skomlał nerwowo całą drogę do wsi. „Wilcza Wieś” - pomyślał, patrząc na domy. To była dobra nazwa. Czuł tam woń swojego gatunku. Płomienie trzaskały za falochronem, a przez dym widać było sylwetki ludzi. Stanął przy rogu kamiennego budynku, obserwując chodzące po ziemi potwory.

- Znalazłeś jakieś jego ślady, Thyssen? - zawołał jeden z nich do drugiego.

- Nie, sierżancie! - odkrzyknął zapytany. -- Ani śladu! Znaleźliśmy naszych komandosów i tę kobietę. Tam - wskazał ręką.

- No, jak będzie próbował ukryć się tutaj, to te cholerne wilki go wykończą! - Sierżant ruszył wraz z grupą żołnierzy, a Thyssen skierował się w przeciwnym kierunku.

„O kim oni mówią? - myślał, stojąc w blasku ognia odbijającego się w jego zielonych oczach. - I... dlaczego rozumiem ich język?” To była zagadka, nad którą musiał pomyśleć, kiedy skończy się pulsujący ból w czaszce. W tej chwili chciał ugasić pragnienie i potrzebował miejsca do spania. Wychłęptał trochę wody z kałuży, wybrał jeden z domów i wszedł do niego przez otwarte drzwi. Legł w kącie, zwijając ciało w kłębek dla zachowania ciepła, ułożył pysk na łapach i zamknął oczy.

Jakiś czas później obudziło go skrzypnięcie deski w podłodze. Otworzył oczy i zobaczył przed sobą oślepiające światło latarki.

- O Jezu, ten ma za sobą niezłe przejścia! - powiedział ktoś. Stał, dotykając ogonem ściany, i obnażył kły. Serce łomotało mu ze strachu.

- Spokojnie, spokojnie - wyszeptał jeden z potworów. - Wsadź mu kulę w łeb, Langner.

- Ja nie. Nie mam ochoty na to, żeby ranny wilk skoczył mi do gardła! - Langner wycofał się, a za nim po kilku sekundach drugi żołnierz z latarką. - Nie ma go tutaj! - zawołał Langner do kogoś na zewnątrz. - Za dużo tu wilków jak na mój gust. Wynoszę się stąd.

Czarny wilk z zaschniętą krwią na czaszce znowu ułożył się w kącie i zasnął.

Miał dziwny sen. Jego ciało przechodziło przemianę, robiąc się białe i potworne. Pazury, kły i futro z czarnych gładkich włosów zniknęły. Nagi wpełził w straszny świat. Już miał się podnieść, co było niewyobrażalne, na swych mięsistych nogach, kiedy koszmar przywrócił go do przytomności.

Szarość świtu i głód. Łączyły się ze sobą nawzajem. Wstał i ruszył na poszukiwanie jedzenia. Łeb nadal go bolał, ale już nie tak bardzo. Mięśnie miał obolałe i szedł niepewnym krokiem. Ale wiedział, że przeżyje, jeżeli zdoła znaleźć mięso. Wyczuł woń śmierci. Mięso było blisko, gdzieś tu, w Wilczej Wsi.

Woń doprowadziła go do jednego z domów.

Znalazł ciała czworga ludzi. Jedno z nich należało do potężnej kobiety o pomarańczowych włosach. Trzy pozostałe były zwłokami mężczyzn ubranych na czarno, z twarzami pokrytymi czarnym kamuflażem. Przysiadł, przyglądając się ich pozycjom. Kobieta, z ciałem podziurawionym co najmniej pół tuzinem pocisków, trzymała ręce zaciśnięte na gardle jednego z mężczyzn. Inny leżał w kącie jak zepsuta lalka, z ustami zastygłymi w ostatnim jęku. Trzeci z mężczyzn leżał na plecach koło wywróconego stołu, a w jego sercu tkwił nóż z rękojeścią z rzeźbionego rogu.

Czarny wilk wpatrywał się w nóż. Widział go już kiedyś. Gdzieś. Zobaczył jakby przez sen ludzką rękę na stole i ostrze tego noża uderzające pomiędzy palce dłoni. Ta tajemnica była ukryta w nim tak głęboko, że pozwolił jej pozostać bez rozwiązania.

Zaczął od mężczyzny leżącego w kącie. Ciało na twarzy było delikatne, tak jak język. Pożywiał się, kiedy wyczuł woń innego wilka i usłyszał niskie ostrzegawcze warczenie. Obrócił się błyskawicznie z czerwonym od krwi pyskiem, ale ciemnobrązowy wilk już ruszał do ataku, wysuwając pazury.

Czarny rzucił się w bok, ale łapy miał nadal niepewne. Stracił równowagę, uderzając o wywrócony stół. Brązowy wilk kłapnął zębami, tylko minimalnie chybiając jego przedniej łapy. Kolejny wilk, ten o rdzawobursztynowej maści, wskoczył do domu przez okno i z odsłoniętymi kłami rzucił się na czarnego.

Wiedział, że zaraz zginie. Rozerwą go na strzępy, kiedy tylko wezmą go między siebie. Byli obcy dla niego, tak samo jak on był obcy dla nich. Wiedział, że to walka o terytorium. Kłapnął zębami na bursztynową młodą samicę z taką furją, że cofnęła się przerażona. Ale brązowy, masywny samiec nie dał się tak łatwo wystraszyć. Błyskawicznie wyrzucił łapę i przeorał pazurami klatkę piersiową czarnego wilka, znacząc na niej czerwone smugi. Wilki kłapały paszczami, atakując i parując ciosy jak walczący szermierze. Zderzały się ze sobą piersiami, usiłując obalić się nawzajem masą swojego ciała.

Czarny wilk dostrzegł szansę dla siebie i ugryzł brązowego w ucho. Ten zaskomlał i cofnął się, zrobił zwrot w jedną stronę i znowu natarł z zabójczą wściekłością w oczach. Zderzyły się z taką siłą, że obydwu odebrało oddech. Przepychały się wściekle, usiłując chwycić przeciwnika za gardło. Przesuwały się w tę i z powrotem po pokoju w śmiertelnym balecie zębów i pazurów.

Brązowa masywna łopatką uderzyła go w bok głowy, aż pociemniało mu od bólu przed oczami. Zaskomlał wysokim piskiem i wpadł w kąt. W płucach mu rzeziło, a z nozdrzy przyskała krew. Brązowy wilk, niemal uśmiechając się podniecony walką, przygotowywał się do skoku, aby dokończyć dzieła.

Gwałtowna seria pośpiesznych gardłowych szczęknięć powstrzymała brązowego już na krawędzi ataku.

Do domu wbiegła przez drzwi żółta samica. Tuż za nią wpadł stary jednooki samiec o szarej maści. Samica rzuciła się do przodu, uderzając łbem w bok brązowego wilka. Polizała jego krwawiące ucho, a potem odepchnęła go na bok. Czarny wilk czekał, drżąc na całym ciele. Znowu czuł okropny ból w łbie. Chciał, by wiedziały, że nie zamierza oddać życia bez walki. Krzyknął coś, co było odpowiednikiem ludzkiego: „No, chodźcie!” - i jego gardłowe szczeknięcie spowodowało, że żółta samica zastrzygła uszami. Siadła i wpatrzyła się w niego. W jej oczach pojawiła się jakby iskra szacunku dla czarnego wilka, który oznajmia, że chce przetrwać.

Wpatrywała się w niego przez dłuższy czas. Szary wilk i brązowy samiec lizali jej futro. Do środka wszedł, skomląc nerwowo, mały jasnobrzązowy samiec. Uciszyła go trąceniem w pysk i obróciła się z królewską dostojnością. Machnęła ogonem, podeszła do ciała z tkwiącym w sercu nożem i zaczęła je pożerać.

„Pięć wilków - pomyślał. - Pięć”. Ta liczba niepokoiła go. Była mroczna i roztaczała woń ognia. Pięć. W wyobraźni zobaczył plażę i żołnierzy zmierzających do brzegu przez fale. Ponad nimi unosił się cień lecącego na zachód wielkiego ptaka. Ptak miał szklane oczy, a na dziobie widoczne misterne zadrapania. „Nie, nie - uświadomił sobie. - To litery. Coś jest namalowane. «Żelazna...»,,

Oszołamiające wonie krwi i świeżego mięsa przerwały mu rozmyślania. Pozostałe wilki pożywiały się. Żółta samica podniosła łeb i mruknęła do niego. Znaczyło to, że jest dość mięsa dla wszystkich.

Wziął się do jedzenia, zapominając o tajemnicach. Kiedy jednak brązowy samiec i bursztynowa samica zaczęli rozpruwać wielkie rudowłose ciało na podłodze, zatrząsł się cały i wyszedł na dwór, gdzie porwały go gwałtowne torsje.

Tej nocy pokazały się gwiazdy. Inne wilki, napełniwszy brzuchy, zaczęły wznosić swe pieśni. Przyłączył się do nich. Najpierw nieśmiało, ponieważ nie znał ich melodii, a potem pełnym głosem, kiedy przyjęły jego pieśń i włączyły ją do swojej. Teraz był jednym z nich, chociaż brązowy wilk nadal warczał na niego i węszył w jego kierunku z niechęcią.

Kolejny dzień wstał i przeminął. Czas był wytworem wyobraźni. Nie miał żadnego znaczenia tam, w sercu Wilczej Wsi. Nadał imiona innym. Golda, żółta przywódczyni, starsza, niż można było sądzić po jej wyglądzie. Szczurołap, ciemnobrązowy samiec, którego najulubieńszą rozrywką było uganie się po domach za gryzoniami. Jednooki, który pięknie wył, i Piszczek, najślabszy w stadzie i nie całkiem zdrowy na umyśle. Piąta była

Bursztyńska, marzycielka, która przesiadywała godzinami na skałach, patrząc przed siebie. Poza tym, jak się wkrótce dowiedział, było jeszcze czworo szczeniąt Bursztyński spłodzonych przez Szczurołapa.

Pewnej nocy sypanął przelotny śnieg. Bursztyńska tańczyła, kłapiąc zębami na płatki, gdy Szczurołap i Piszczek biegali wokół niej w kółko. Płatki topiły się od razu, gdy dotykały cieplej ziemi. Był to znak, że zbliża się lato.

Następnego ranka siedział na skałach, a Golda pieściła go, zlizując zaschniętą krew z rany na jego czaszce. To była mowa języka. Oznaczała, że może ją osiąść. Poczł przyplływ pożądania. Wilczyca miała piękny ogon. Kiedy czarny wilk się podnosił, aby ją zadowolić, usłyszał brzęczenie silników.

Spojrzał w niebo. Zobaczył wznoszącą się olbrzymią wronę. Nie, to nie wrona. Wrony nie mają silników.

Samolot o wielkiej rozpiętości skrzydeł. Patrząc na ulatujący w srebrzystym powietrzu ranka samolot, poczuł ciarki na skórze. Kiedy ogromna maszyna zaczęła skręcać na południe,



z jego gardła wydobył się jęk. Samolot musiał być zatrzymany. W jego kadłubie transportowany był ładunek śmierci. Musiał być zatrzymany! Spojrzał na Golde i zobaczył, że ona tego nie rozumie. Dlaczego nie rozumie? Dlaczego on jest jedynym, który rozumie? Zbiegł po skałach w kierunku przystani, widząc w powietrzu malejącą sylwetkę samolotu. Wskoczył na falochron i stał tam skomlać, aż maszyna zniknęła mu z oczu.

„Zawiodłem” - pomyślał. Nie miał pojęcia, w czym zawiódł, więc przestał się nad tym zastanawiać.

Ale opanowały go koszmary i nie był w stanie od nich uciec.

Był w tych koszmarach człowiekiem. Młodym człowiekiem, nie znającym wcale świata. Biegł przez pole pełne żółtych kwiatów, a w rękę trzymał napiętą linkę. Na jej końcu wznosił się pod błękitne niebo biały latawiec, który tańczył i wirował w porywach wiatru. Usłyszał kobiecy głos, wołający go imieniem, którego nie mógł zrozumieć. Kiedy patrzył na coraz wyżej wznoszący się latawiec, zobaczył, jak spada na niego cień ptaka o szklanych oczach i jak jedno z jego wirujących śmigieł tnie latawiec na tysiące fragmentów, które ulatują w powietrze jak kurz. Samolot był oliwkowozielonego koloru, poznaczony śladami po pociskach. Przecięta linka spłynęła na ziemię, a wraz z nią opadła mgła. Zawirowała wokół niego, a on wciągnął ją do płuc. Ciało zaczęło mu topnieć i rozpadać się na krwiste strzępy, osunął się na kolana, kiedy w dłoniach i ramionach otworzyły mu się dziury. Ta sama kobieta, piękna jeszcze mimo dojrzałego wieku, brnęła przez pole ku niemu i kiedy doszła doń z wyciągniętymi rękami, zobaczył, że zamiast twarzy ma ziejącą, pełną krwi jamę.

Siedział w rzeczywistym świetle dnia na przystani i patrzył w wypalony kadłub kutra. „Pięć” - pomyślał. Co w tej liczbie tak go przerażało?

Dni przemijały jeden po drugim, wypełnione rytuałem jedzenia, spania i wylegiwania się w coraz cieplejszym słońcu. Ciała, wyjedzone i kościste, użyczyły stadu ostatniego posiłku. Czarny wilk przyglądał się tkwiącemu w klatce piersiowej zwłok nożowi. Miał zakrzywione ostrze. Widział ten nóż w jakimś innym miejscu. Widział, jak jest wbijany pomiędzy palce człowieka. Zabawa Kitty, tak. Ale kim była Kitty?

Samolot z zielonym pokryciem poznaczonym namalowanymi dziurami po kulach. Twarz człowieka o srebrnych zębach... twarz szatana. Miasto z olbrzymią wieżą zegarową i szeroką rzeką wijącą się ku morzu. Piękna kobieta o blond włosach i brązowych oczach. Pięć z sześciu. Pięć z sześciu. Same cienie. Bolał go łeb. Był wilkiem, więc co mógł wiedzieć o takich sprawach albo dlaczego miałby o nie dbać?

Nóż przyzywał go. Sięgnął po niego, a Golda przyglądała mu się z leniwym zainteresowaniem. Dotknął łapą rękojeści noża. Oczywiście nie był w stanie go wyciągnąć. Co sprawiało, że uważał, iż może to zrobić?

Zaczął zwracać uwagę na wznoszenie się i opadanie słońca, na przemijanie dni. Zauważył, że stają się coraz dłuższe. Pięć z sześciu. Czymkolwiek to było, przybliżało się szybko, i ta myśl przeszywała go takim dreszczem, że aż skomlał. Przestał towarzyszyć śpiewom pozostałych wilków, ponieważ w jego wnętrzu nie było żadnych pieśni. Pięć z sześciu zdominowało jego umysł i nie pozwalało mu odpocząć. Zapadniętymi oczami zobaczył, jak wstaje kolejny świt. Podeszedł do obranego z ciała szkieletu i zapatrzył się w tkwiący w nim nóż, jakby to była jakaś pamiątka z utraconego świata.

Pięć z sześciu było tuż-tuż. Wyczuwał, jak się przybliża. Nie było sposobu, aby to powstrzymać. Ta świadomość mroziła go od wewnątrz. Ale dlaczego to nie martwiło nikogo innego? Dlaczego on był jedynym, który cierpiał?

Dlatego, że jest inny. Skąd przybył? Czyje sutki ssął? Jak się dostał tutaj do Wilczej Wsi, kiedy pięć z sześciu przybliżało się do niego z każdym oddechem?

Wylegiwał się z Golda w ciepłej bryzie koło falochronu pod błyszczącymi na niebie gwiazdami, kiedy usłyszał Piszczka skomlącego przeciągle na skałach. Nie podobał im się ten dźwięk, słyhać było w nim strach. Po chwili Piszczek wydał serię szybkich, szorstkich szczęknięć, przekazując ostrzeżenie do Wilczej Wsi. Rozległ się huk i Piszczek zawył z bólu. Czarny wilk i Golda podnieśli łby, leżąc na brzuchach.

Wystrzał. Golda wiedziała tylko, że wystrzał równa się śmierci. Czarny wilk wiedział, że to odgłos pistoletu maszynowego „Schmeisser”.

Wycie Piszczka ustało nagle wraz z kolejną serią. Szczurołap podjął jego ostrzegawczy sygnał, a Bursztyнка przekazała go dalej. Czarny wilk i Golda pobiegli w głąb Wilczej Wsi i zaraz wyczuli zniechęconą woń ludzi. Było ich czterech, schodzili ze skał w kierunku wsi, omiatając teren przed sobą światłami latarek. Strzelali do wszystkiego, co tylko mogło się ruszać. Czarny wilk wyczuł jeszcze jedną woń, rozpoznał ją: sznaps. Przynajmniej jeden z ludzi był pijany.

Po chwili usłyszał ich bełkotliwe głosy.

- Zrobię ci futro z wilczych skór, Hans! Zobaczysz, że ci zrobię! Zrobię ci, cholera, najpiękniejszy płaszcz, jaki kiedykolwiek widziałeś!

- Nie, nie zrobisz! Zrobisz go dla siebie, ty sukinsynu! Rozległ się szorstki śmiech. Seria pocisków uderzyła w boczną ścianę domu.

- Wyłażcie, wy włochate gnojki! No, pobawimy się!

- Chcę dopaść jakiegoś dużego! Tamten mały na skałach nie wystarczy nawet na porządną czapkę!

Zabili Piszczka. Pijani faszyci z pistoletami maszynowymi polowali z nudów na wilki. Czarny wiedział o tym, nie zdając sobie sprawy, skąd o tym wie. Czterej żołnierze z załogi strzegącej fabryki chemicznej. W jego pamięci poruszyły się cienie i zaczęły budzić się wspomnienia. Łeb pulsował mu, ale nie z bólu, lecz od wysiłku, z jakim usiłował przypomnieć sobie przeszłość. „Żelazna Pięść”. Latająca forteca. Pięć z sześciu.

Piąty dzień szóstego miesiąca. Piąty czerwca. Dzień lądowania.

Był wilkiem czy nie? Oczywiście, że tak! Miał czarne futro, pazury i kły. Był wilkiem, a myśliwi już się zbliżali do niego i Goldy.

Promień światła śmignął obok nich i zawrócił. Zostali złapani w jego snop.

- Patrzcie na te dwa. Do cholery, ale futra! Czarny i żółty! Rozległ się klekot pistoletu maszynowego i kule przeszły ziemię obok Goldy. Wystraszona obróciła się i rzuciła do ucieczki. Czarny wilk pognał za nią. Wbiegła do domu, w którym leżały szkielety.

- Nie zgub ich, Hans! Będą świetne futra! - Żołnierze też biegli, tak szybko, jak pozwalały im na to chwiejne nogi. - Są tam! W tamtym domu!

Golda cofnęła się pod ścianę. W jej oczach widać było przerażenie. Czarny wilk czuł dochodzącą z zewnątrz woń żołnierzy.

- Obejdźcie od tyłu! - krzyknął jeden z nich. - Złapiemy je w dwa ognie!

Golda skoczyła ku oknu, a wtedy kule uderzyły we framugę, rozpryskując drzazgi. Spadła z powrotem na podłogę i obróciła się jak żółta błyskawica. Czarny wilk rzucił się ku drzwiom, ale oślepiło go światło i cofnął się. Kule zaryły się w ścianie nad jego głową.

- Teraz je mamy! - wrzasnął ochrypty głos - Max, wejdź tam i wykończ je!

- Nic z tego, ty sukinsynu! Sam wchodzi pierwszy!

- Och, ty tchórzliwy gnojku! W porządku, wejdę! Erwin, ty i Johannes pilnujcie okien.

- Rozległ się metaliczny szcęk. Czarny wilk wiedział, że to odgłos zakładanego magazynku.

- Wchodzę!

Golda znowu próbowała wydostać się przez okno. Drzazgi wbiły się w jej ciało, kiedy kolejna seria uderzyła w okno. Spadła na podłogę z krwawiącym pyskiem.

- Przestańcie strzelać! - zakomenderował ochrypty głos. - Sam wejdę i załatwię je obydwu!

Żołnierz ruszył w kierunku domu za światłem latarki. Wypita wódka dodawała mu odwagi.

Czarny wilk wiedział, że on i Golda są skazani na śmierć. Nie mieli drogi ucieczki. Za chwilę żołnierz stanie w drzwiach i oświetli ich latarką. Żadnego wyjścia. Czego mogą dokonać kły i pazury przeciwko czterem ludziom z pistoletami maszynowymi?

Popatrzył na nóż.

Dotknął łapą rękojeści.

„Nie zawiedz mnie”. To powiedział Wiktor, dawno temu.

Usiłował zacisnąć łapę na rękojeści. Promień latarki był już prawie w pokoju.

Wiktor. Mysz. Chesna. Łazaris. Blok. Nazwiska i twarze przemykały przez głowę czarnego wilka jak iskry tryskające z ogniska.

Michael Gallatin.

„Nie jestem wilkiem - pomyślał, kiedy rozbłysk pamięci wypełnił mu mózg. - Jestem...”

Jego łapa przemieniła się. Pokazały się fragmenty białego ciała. Czarne futro się cofnęło, a kości i ścięgna przesunęły z wilgotnym dźwiękiem.

Zacisnął palce na rękojeści i wyrwał nóż ze szkieletu. Golda wydała chrząknięcie, jakby uszło z niej całkiem powietrze.

Żołnierz stanął na progu.

- Teraz wam pokażę, kto tu jest panem! - powiedział i obejrzał się na Maxa. - Widzicie? Trzeba być odważnym, żeby wejść do wilczej jamy!

- Jeszcze dwa kroki, tchórze! - przedrzeźniał go Max. Żołnierz skierował latarkę do wnętrza. Zobaczył szkielety i żółtego wilka.

- Ha! Zwierzak trzęsie się ze strachu. A gdzie ten czarny sukinsyn? - Dał jeszcze dwa kroki z pistoletem maszynowym, przygotowanym do posłania kuli w czaszkę wilka.

Kiedy żołnierz wszedł, Michael wynurzył się ze swej kryjówki za drzwiami i wbił zakrzywione ostrze noża u nasady szyi żołnierza z całą siłą, na jaką potrafił się zdobyć.

Niemiec, dusząc się krwią, upuścił schmeissera i latarkę, by chwycić się dłońmi za przeciętą tchawicę. Michael podniósł broń, przystawił stopę do brzucha żołnierza i wypchnął go z powrotem przez drzwi. Pociągnął za spust, kierując lufę ku latarce drugiego żołnierza. Krzyk i odgłosy pocisków masakrujących ciało zawtórowały hukowi wystrzałów.

- Co to było? Kto krzyczał? - zawołał jeden z żołnierzy z tyłu domu. - Max? Hans?

Michael wyszedł przed próg, czując ból w stawach i napinającym się kręgosłupie. Zza węgła wycelował tuż ponad obydwie latarki. Jedna z nich skierowała promień ku niemu. Puścił w Niemców serię pocisków. Obydwie latarki rozprysły się, a ciała padły na ziemię.

Było po wszystkim. Michael usłyszał jakiś dźwięk za sobą. Obrócił się, czując, jak gęsty pot wypływa mu z porów skóry. Golda stała tylko kilka stóp od niego. Patrzyła nań, napinając mięśnie. Odsłoniła kły, warknęła i rzuciła się w ciemność.

Michael już to wiedział. Nie należał do jej świata.

Wiedział, kim teraz jest i co musi zrobić. Transportowiec już zabrał bomby z karnagem, ale na lotnisku były jeszcze inne ptaki, nocne myśliwce. Każdy z nich miał zasięg około tysiąca mil. Gdyby mógł się dowiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się hangar z „Żelazną Pięścią”, i...

O ile nie było już za późno. Którego to może być? W żaden sposób nie potrafił tego wyliczyć. Popatrzył na zabitych Niemców. Potrzebował ubrania, które by na niego pasowało. Musiał poprzestać na koszuli i marynarce jednego żołnierza, spodniach drugiego, a butach trzeciego. Wszystkie ubrania były mokre od krwi, ale nic na to nie mógł poradzić. Wypchał kieszenie magazynkami z amunicją. Na ziemi zauważył szarą wełnianą czapkę, nie była zaplamiona. Włożył ją i wtedy jego palce natknęły się na bliznę i zaschniętą krew z prawej strony głowy. Ułamek cala w bok i kula roztrzaskałaby mu czaszkę. Zarzucił na ramię pistolet maszynowy i ruszył drogą w kierunku skalistego zbocza. „Piąty czerwca” - pomyślał. Czy już minął? Ile dni i nocy spędził tutaj, uważając się za wilka? Widział wszystko nadal jak we śnie. Przyśpieszył kroku. Pierwszym zadaniem było dostać się do fabryki, a następnym - dotrzeć do bunkra i uwolnić Chesnę i Łazarisa. Wtedy już będzie wiedział, czy zawiódł i czy doprowadził do tego, że na ulicach Londynu leżą zmasakrowane ciała.

Usłyszał wycie. Pulsujący ton rozlegał się za jego plecami. Głos Goldy. Nie obejrzał się. Na dwóch nogach wspinał się po zboczu ku swemu przeznaczeniu.

Niemieccy żołnierze nie przyłożyli się zbytnio do zasypywania dziury, którą wykopał pod ogrodzeniem. Widocznie byli na to zbyt leniwi. Usunął luźną ziemię w ciągu kilku minut i przesunął się na drugą stronę. Znowu słyszał łomoczący rytm fabryki i widział żarówki, które oświetlały biegnące górą kładki. Podążał drózkami w kierunku lotniska, gdzie znajdował się bunkier. Zza rogu budynku wyszedł żołnierz i skierował się ku niemu.

- Cześć! Masz papierosa? - zapytał.

- Jasne. - Michael pozwolił mu się zbliżyć i włożył rękę do kieszeni w poszukiwaniu nie istniejących papierosów. - Która godzina?

Niemiec spojrzął na zegarek.

- Dwunasta czterdzieści dwie. - Rzucił okiem na Michaela i skrzywił się. - Mógłbyś się ogolić. Jak kapitan cię zobaczy w tym stanie, to ci skopie... - Dostrzegł na mundurze krew i dziury po pociskach. Wytrzeszczył oczy.

Michael uderzył Niemca w żołądek kolbą pistoletu, a potem w głowę, i odciągnął jego ciało pomiędzy puste beczki po chemikaliach. Zabrał zegarek, wrzucił ciało do beczki i nałożył na nią pokrywę. Znowu ruszył przed siebie niemal biegiem.

„Czterdzieści dwie minuty po północy - pomyślał. - Ale którego dnia?”

Wejście do bunkra nie było chronione, ale w środku siedział przy biurku samotny żołnierz. Trzymał obute nogi na blacie biurka i miał zamknięte oczy.

Michael kopniakiem wytrącił spod niego krzesło i rzucił Niemcem o ścianę, przywracając go krainie snów. Następnie zdjął z haczyka na ścianie pęk kluczy i ruszył korytarzem, po którego bokach umieszczone były drzwi do celi. Uśmiechnął się ponuro; powietrze w korytarzu drżało od brzmiącego jak pracująca piła chrapania brodatego Rosjanina.

Próbując kolejnych kluczy, usłyszał czyjeś westchnienie. W okienku w drzwiach celi po drugiej stronie korytarza ujrzał wynędzniałą twarz Chesny. Oczy miała pełne łez, próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Gdzie, do cholery, byłeś?! - wybuchnęła w końcu.

- Lizalem rany - powiedział i podszedł do drzwi jej celi. Znalazł właściwy klucz i zamek odskoczył ze szczękiem.

Gdy tylko otworzył drzwi, Chesna rzuciła mu się w ramiona. Trzymał ją drżącą, czując, że jej ciało i ubranie są brudne, ale jej dusza nie została złamana. Jęknęła rozziewającym głosem, ale zaraz zebrała siły i opanowała się.

- Już w porządku - powiedział, całując ją w usta. - Wydostaniemy się stąd.

- Najpierw mnie stąd wyciągnij, ty sukinsynu! - krzyknął Łazaris ze swojej celi. - Do cholery, już myśleliśmy, że zostawiłeś nas, żebyśmy tutaj zgnili!

Głowa Łazarisa pokryła się krótką szczecina, a oczy błyszczały mu dziko. Michael podał Chesnie swój pistolet maszynowy, aby pilnowała korytarza, a sam odszukał właściwy klucz i uwolnił Łazarisa.

Rosjanin wyszedł z celi, roztaczając woń nieco mniej wykwinną od zapachu róż.

- O Boże! - powiedział. - Nie wiedzieliśmy, czy ci się udało uciec, czy nie! Myśleliśmy, że mogli cię zabić!

- Mało brakowało. - Spojrzał na zegarek. Wskazówka zbliżała się do pierwszej. - Którego dziś?

- Niech mnie cholera weźmie, jeśli wiem! - odparł Łazaris. Chesna jednak śledziła bieg czasu, licząc wydawane codziennie posiłki.

- Za późno, Michael - powiedziała. - Nie było cię przez piętnaście dni.

Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

- Dzisiaj jest szósty czerwca - dodała. - Już za późno. Za późno. Te słowa raniły go.

- Wczoraj był dzień inwazji - powiedziała Chesna. Kręciło jej się w głowie, musiała się przytrzymać ramienia Michaela. Miała zszarpane nerwy; szczególnie ostatnie dwadzieścia cztery godziny dały jej się we znaki. - Już po wszystkim.

- Nie! - pokręcił głową, nie mogąc w to uwierzyć. - Mylisz się! Nie mogłem być... Nie mogło mnie nie być tak długo!

- Nie myślę się. - Przytrzymała jego rękę i popatrzyła na zegarek. - Już od godziny i dwudziestu minut jest szósty czerwca.

- Musimy się dowiedzieć, co się dzieje. Gdzieś tu musi być radiostacja.

- Jest - powiedział Łazaris. - W budynku koło zbiorników paliwa.

Wyjaśnił Michaelowi, że został zmuszony do pracy razem z innymi przymusowymi robotnikami przy oczyszczaniu przelewającego się szamba w pobliżu koszar - co tłumaczyło fetor jego ubrania. Stojąc po pas w ekskrementach, zdołał wydobyć nieco informacji na temat fabryki od pracujących z nim robotników. Dowiedział się, że Hildebrand mieszka w swoim laboratorium, które znajduje się w centrum zabudowań fabrycznych w pobliżu komina. Wielkie zbiorniki na paliwo używane były do przechowywania ropy stosowanej do

ogrzewania budynków w długich miesiącach zimowych. Robotników przymusowych trzymano w innych barakach, niedaleko kwater żołnierskich. Na terenie koszar znajdował się magazyn broni na wypadek ataku partyzantów, ale Łazaris nie wiedział dokładnie gdzie.

- Możesz włożyć ubranie tego człowieka? - zapytał Michael Łazarisa, kiedy już doszli do miejsca, w którym leżał ogłuszony strażnik.

Łazaris stwierdził, że spróbuje. Chesna tymczasem przejrzała biurko i znalazła w nim lugera i amunicję. W kilka chwil później Łazaris był ubrany w niemiecki mundur. Koszula napięła się na jego ramionach, a spodnie zwisały mu wokół nóg. Ścisnął pas do ostatniej dziurki. Czapka o płaskim dnie była na niego w sam raz. Łazaris nadal miał na nogach buty, które dostał, kiedy opuszczali Niemcy. Teraz były pokryte niezbyt wykwinną substancją.

Ruszyli w kierunku budynku radiostacji. Chesna nadal kuląła, ale mogła iść samodzielnie. Michael zobaczył maszt radiostacji, na którym mrugały dwa światła ostrzegawcze dla nisko przelatujących samolotów, i skierował ich w tym kierunku. Po piętnastu minutach przemykania się przez dróżki dotarli do niewielkiego kamiennego budynku, który również nie był chroniony z zewnątrz. Drzwi zastali zamknięte, lecz jeden kopniak brudnym butem Łazarisa wystarczył, żeby się otworzyły. Michael znalazł włącznik światła. Zobaczyli radiostację stojącą na biurku pod okryciem z przezroczystego plastiku. Chesna najlepiej znała się na niemieckich radiostacjach, uruchomiła ją, a Michael stanął z boku. Kiedy wskaźniki zajaśniały przytłumionym zielonym światłem, Chesna zaczęła przeszukiwać zakresy. Z blaszanego głośnika rozlegały się trzaski zakłóceń. Potem dosłyszeli słaby głos mówiący po niemiecku o silniku wysokoprężnym, który wymaga generalnego remontu; to nadawała radiostacja okrętu znajdującego się na morzu. Następnie Chesna natrafiła na relację w języku norweskim, omawiającą połowy makreli. Być może była to zaszyfrowana wiadomość przekazywana do Anglii. Na innej częstotliwości usłyszeli muzykę orkiestrową. Grano hymn żałobny.

- Gdyby zaczęła się inwazja, to mówiliby o niej na wszystkich częstotliwościach - zauważył Michael. - Co się dzieje?

Chesna pokręciła głową, nadal przeszukując zakresy. Natrafiła na wiadomości z Oslo. Niemiecki spiker suchym głosem mówił o nowym transporcie rudy żelaza, który został wysłany morzem na chwałę Rzeszy, i o kolejce po przydziały mleka, utworzonej o szóstej rano przed siedzibą rządu. Usłyszeli, że pogoda będzie nadal niestabilna, z siedemdziesięcioprocentową możliwością gwałtownych opadów. Potem zapowiedziano powrót do kojącej muzyki Gerhardusa Kaathovena...



- Więc co z inwazją? - zapytał Łazaris, drapiąc się po brodzie. - Jeżeli miała się zacząć piątego...

- Może się nie zaczęła - zauważył Michael. Spojrzał na Chesnę. - Może została odwołana albo przełożona.

- Musiałby być bardzo ważny powód, aby przełożyć przedsięwzięcie na tak wielką skalę.

- Może było coś takiego. Kto wie, co to mogło być, ale nie sądzę, by inwazja już się zaczęła. Gdyby ruszyła rano piątego, tobyśmy usłyszeli coś o tym w każdej stacji.

Chesna wiedziała, że ma rację. Fale radiowe powinny być teraz pełne bieżących raportów informacyjnych i przekazów dla grup partyzanckich. Tymczasem nadawano normalne poranne programy, urozmaicone smętną muzyką i wiadomościami o kolejkach po przydziały.

Michael nie miał wątpliwości co do tego, co mają zrobić.

- Łazaris, czy potrafisz pilotować któryś z tych nocnych myśliwców stojących na lotnisku?

- Mogę pilotować wszystko, co ma skrzydła. Proponowałbym dorniera-217. Ma zasięg tysiąca mil, o ile zbiorniki paliwa są pełne, i jest szybki jak sukinsyn. Dokąd lecimy?

- Najpierw musimy obudzić doktora Hildebranda i dowiedzieć się, gdzie dokładnie jest hangar, w którym trzymają „Żelazną Pięść”. Ile czasu zajmie nam lot stąd do Rotterdamu? To około tysiąca mil.

Łazaris zmarszczył brwi.

- Mielibyśmy z tym cholerne trudności, nawet gdyby zbiorniki były pełne po brzegi. - Zastanowił się przez chwilę. - Maksymalna prędkość dorniera wynosi ponad trzysta. Można by utrzymać dwieście pięćdziesiąt przy długim przelocie. W zależności od wiatrów... powiedziałbym, że to może być mniej więcej pięć godzin.

Michael pomyślał, że za wiele jest w tym wszystkim znaków zapytania, ale co innego mogliby zrobić? Zaczęli przeszukiwać budynek. W kolejnym pomieszczeniu pełnym półek z segregatorami znaleźli mapę fabryki chemicznej Hildebrand Industries Skarpa. Była przypięta pinezkami do ściany obok portretu Adolfa Hitlera. Czerwony krzyżyk wskazywał lokalizację radiostacji, a inne budynki oznaczone były napisami: „Warsztat”, „Stołówka”, „Hala prób”, „Magazyn broni”, „Koszary nr 1” i tak dalej. Laboratorium badawcze było około stu jardów od miejsca, w którym się znajdowali, a dalej, z drugiej strony fabryki w stosunku do lotniska, znajdował się magazyn broni.

Michael złożył mapę i wsunął ją do zakrwawionej kieszeni. Laboratorium badawcze, długi biały budynek z gęstwą rur łączących go z szeregiem mniejszych budowli, stał w pobliżu centralnego komina. Przez wąskie okna z matowego szkła przeświecały promienie światła - doktor pracował. Na dachu budynku laboratorium znajdował się wielki zbiornik, ale Michael nie wiedział, czy zawiera chemikalia, paliwo czy może wodę. Drzwi frontowe były zamknięte od środka, ale po ścianie biegła drabinka z metalowych prętów. Weszli na nią i odkryli na dachu otwarty właz.

Michael przechylił się przez jego brzeg i zajrzał do środka. Łazaris trzymał go za nogi.

Przy długich stołach, na których stały mikroskopy, stojaki z próbkami i inne urządzenia, pracowało trzech mężczyzn w białych kitlach i białych rękawiczkach. Przy jednej ze ścian laboratorium stały cztery wielkie zamknięte kotły, nieco podobne do szybkowarów. To właśnie z nich dobiegał dźwięk przypominający bicie serca. Michael przypuszczał, że to hałas silnika elektrycznego, uruchamiającego mieszadła w tych piekielnych kotłach. Około dwudziestu stóp nad podłogą przez całą długość laboratorium biegła kładka. Przechodziła kilka stóp od wjazdu i prowadziła do tablicy z miernikami ciśnienia w pobliżu kotłów.

Jeden z trzech mężczyzn miał prawie siedem stóp wzrostu. Blond włosy spływały mu na plecy spod białej czapki. Studiował serię mikroskopowych slajdów.

Michael odsunął się od wjazdu. Dach drżał od pulsującego hałasu.

- Wy oboje, wracajcie na lotnisko - polecił. Chesna próbowała się sprzeciwić, ale przyłożył palec do jej ust. - Słuchajcie tylko, jeżeli tamten dornier nie został zatankowany, to sami musicie to zrobić. Pamiętam, że widziałem na lotnisku cysterny z paliwem. Poradzicie sobie z tym?

- Ja tankowałem sam swój samolot. Stanowiłem własny personel naziemny. - Rosjanin wzruszył ramionami. - Tu nie będzie wielkiej różnicy w obsłudze. Ale samoloty mogą być pilnowane przez strażników.

- Wiem. Jak tylko stąd wyjdę, dokonam pewnej dywersji. Zorientujecie się, kiedy do tego dojdzie. - Spojrzał znowu na zegarek. Była pierwsza trzydzieści dwa. Zdjął zegarek z ręki i podał go Chesnie. - Będę na lotnisku za trzydzieści minut - obiecał. - Zanim zaczną się fajerwerki, zatankujecie do pełna.

- Zostaję z tobą - stwierdziła Chesna.

- Twoja pomoc bardziej przyda się Łazarisowi niż mnie. Żadnych protestów. Musicie się dostać na lotnisko.

Chesna była w wystarczającym stopniu profesjonalistką, aby wiedzieć, że traci tylko czas. Razem z Łazarisem pośpiesznie wróciła przez dach do drabinki, a Michael przerzucił

pas pistoletu maszynowego przez ramię. Opuścił się przez właz i chwycił za żelazną rurę, która biegła wijąc się pod sufitem laboratorium. Przesuwał się w kierunku kładki, przekładając na zmianę ręce na rurze. W końcu przeszedł przez barierkę kładki.

Przykucnął, obserwując pracujących mężczyzn. Hildebrand przywołał jednego z nich i pokazał mu coś na przezroczu. Krzyknął i uderzył pięścią w stół, a jego podwładny potulnie skinął głową, opuszczając ramiona w poddańczym geście. „Prace nie przebiegają dobrze - pomyślał Michael. - Co za szkoda”.

Kropla płynu upadła z pluskiem na kładkę obok niego. Spojrzał do góry. Na żelaznej rurze w równych odstępach umieszczone były końcówki rozpylające; jedna z nich przeciekała. Wysunął dłoń i chwycił kilka kropli, a potem obwąchał rękę. Poczł woń solanki. Oblizął dłoń. Słona woda. „Ze zbiornika na dachu” - pomyślał. Prawdopodobnie zwykła morska woda. Dlaczego na dachu laboratorium znajdował się zbiornik z morską wodą?

Przypomniał sobie słowa Bloka: „Karnagen niezbyt dobrze działa w obecności sodu. Na przykład zawartego w wodzie morskiej”. Być może słona woda niszczyła karnagen. Jeżeli tak właśnie było, to Hildebrand zainstalował system, który pozwoliłby na rozpylenie w powietrzu słonej wody, w razie gdyby w laboratorium wydostał się gaz. Sterowanie systemem musiało być w zasięgu ręki pracujących poniżej. Michael wyprostował się i podszedł do tablicy sterowniczej obok kotłów. Zobaczył rząd czerwonych przełączników; wszystkie były włączone. Wyłączył je po kolei, aż do ostatniego. Rytmiczny hałas stracił intensywność i zaczął zamierać.

Jednemu z mężczyzn upadła na podłogę zlewka. Rozprysła się na kawałki.

- Ty durniu! - krzyknął Hildebrand. - Włącz z powrotem napowietrzacze.

- Ani kroku! - zawołał Michael, podchodząc do nich z wycelowanym schmeisserem. -

Doktorze Hildebrand, porozmawiamy sobie trochę.

- Proszę! Włącz tylko przełączniki!

- Chcę się dowiedzieć, gdzie jest „Żelazna Pięść”. Jak daleko od Rotterdamu?

Jeden z mężczyzn nagle rzucił się ku drzwiom, ale Michael strzelił do niego, zanim ten zdążył zrobić trzy kroki. Upadł, a czerwone plamy rozlały się po jego białym fartuchu.

Echo wystrzału odbiło się od ścian laboratorium. Ktoś musiał je usłyszeć. Czas zaczął szybko uciekać. Michael wycelował dymiącą lufę w Hildebranda.

- „Żelazna Pięść”. Gdzie ona jest?

- W... - Hildebrand przełknął ślinę, patrząc wprost w lufę schmeissera. - Na lotnisku Luftwaffe w pobliżu Wassenaar. Na wybrzeżu, szesnaście mil na północny zachód od

Rotterdamu. - Obejrzał się na kotły - Proszę... błagam pana! Niech pan włączy z powrotem napowietrzacze!

- A co się stanie, jeżeli tego nie zrobię? Czy karnagen ulegnie zniszczeniu?

- Nie! On...

Michael usłyszał dźwięk rozsadanego metalu.

- Ekspłoduje w swej surowej postaci! - krzyknął Hildebrand, dusząc się ze strachu.

Michael spojrzał na zamknięte kotły. Ich pokrywy zaczęły się wyginać, a na spawach pokazały się pęcherze. „O Boże! - pomyślał. - To puchnie w kotłach jak drożdże!”

Drugi technik chwycił nagle za krzesło i podbiegł do okna. Rozbił szybę, wołając:

- Pomocy! Niech ktoś...

Michael uciszył go kulami schmeissera. Hildebrand uniósł błagalnie ręce.

- Niech pan przełączy wyłączniki! Błagam pana!

Kotły nadal puchły. Michael ruszył w kierunku tablicy sterującej, a w tej samej chwili Hildebrand podbiegł do rozbitego okna, usiłując się przez nie przecisnąć.

- Straż! - krzyknął. - Straż!

Michael zatrzymał się dziesięć stóp od przełączników i zwrócił lufę pistoletu w kierunku twórcy okropnej broni.

Kule przeszły nogi Hildebranda. Wijąc się z bólu, upadł na podłogę. Michael założył nowy magazynek do schmeissera i wycelował broń, aby go dobić.

W tym momencie jeden z kotłów pękł na złączach z hukiem rozrywanych nitów. Strumień gęstego żółtego płynu wylał się na zewnątrz, rozprzestrzeniając się po podłodze. Rozległo się wycie syreny, które przygłuszyło wrzaski Gustava Hildebranda. Drugi kocioł również pękł jak nabrzmiały czyrak, rozlewając kolejny żółty strumień. Michael stał zafascynowany okropnym widokiem, a gęsty płyn sunął pod kładką, przewracając krzesła i stoły. W żółtym potoku widać było pienne ciemnobrązowe pasma, które syczały jak tłuszcz na patelni. Trzeci kocioł eksplodował z taką siłą, że jego pokrywa uderzyła o sklepienie laboratorium, a płyn wykipiał górą. Michael cofał się w kierunku włazu.

Karnagen, jeszcze w postaci nie oczyszczonej, gęstej masy, a nie gazu, rozlewał się po podłodze. Przerażony Hildebrand pełził w kierunku czerwonego koła umieszczonego na ścianie. „To koło uruchamiające rozpylacze słonej wody” - pomyślał Michael. Hildebrand odwrócił głowę i zabelkotał z przerażenia, gdy zobaczył, że żółta powódź już go prawie dopada. Wyciągnął rękę, usiłując dosięgnąć koła. Zacisnął na nim palce i przekręcił je o ćwierć obrotu.

Michael usłyszał szum wody w rurach, ale w tej samej chwili ujrzał, jak nie oczyszczony karnagen zalewa Gustava Hildebranda, który zaczął wrzeszczeć w kwaśnych objęciach. Wił się jak posypyany solą ślimak, a jego włosy i twarz ociekały od karnagenu. Zaczął drapać sobie twarz, skręcając się z bólu. Na jego dłoniach ukazały się pękające od razu pęcherze.

Końcówki rozpylaczy trysnęły drobinami wody. Tam gdzie upadały, żółta substancja syczała i osiadała. Ale nie pomogło to Hildebrandowi, który już obrócił się w masę czerwonych pęcherzy, miotającą się w karnagenie jak w trzęsawisku. Uniósł się na kolana. Ciało odpadało mu kawałkami z twarzy. Otworzył usta w okropnym grymasie, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Michael wycelował broń i nacisnął spust. Kule rozerwały klatkę piersiową Hildebranda. Osunął się z dymiącymi dziurami z przodu.

Gallatin zarzucił schmeissera na ramię, wspiął się na barierkę kładki i skoczył. Chwycił się dłońmi rury u sufitu i znowu przesuwał po niej ręce, doszedł do wjazdu. Potem, czując już skurcz w ramionach, podciągnął się na dach. Spojrzał jeszcze raz w dół. Karnagen zniknął pod prysznicem morskiej wody, a Hildebrand leżał jak meduza wyrzucona na brzeg podczas sztormu.

Michael podniósł się i podbiegł do drabinki. Zobaczył wspinających się po niej dwóch żołnierzy.

- Karnagen się wydostał! - krzyknął, udając przerażenie w taki sposób, że nawet Chesna mogłaby mu pogratulować.

Żołnierze zeskoczyli na ziemię. Trzej inni Niemcy usiłowali wyłamać drzwi i wejść do laboratorium.

- Gaz się wydostał! - krzyknął z nie udawanym już przerażeniem jeden z ostrzeżonych przez Michaela żołnierzy i wszyscy się rozpierzchli, wrzeszcząc z całych sił. Syrena ciągle wyła.

Michael spojrzął na mapę i ruszył biegiem w kierunku magazynu broni. Gdziekolwiek tylko zobaczył żołnierza, krzyczał, że karnagen się wydostał. Po kilku minutach wrzaski rozlegały się na całym terenie fabryki. Nawet prości strażnicy dobrze znali działanie karnagenu. Ze wszystkich stron dobiegało wycie kolejnych syren. Gdy dotarł do magazynu broni, stwierdził, że kilku żołnierzy już się włamało do budynku i teraz uciekało z niego z maskami przeciwgazowymi i aparatami tlenowymi.

- Karnagen się wydostał! - zawołał do niego Niemiec o przerażonych oczach. - Wszyscy w sektorze C zginęli! - Założył maskę i uciekł.

Michael wszedł do magazynu i otworzył skrzynkę z granatami oraz z amunicją kalibru 0,5 do lotniczego karabinu maszynowego.

- Ty! - krzyknął jakiś oficer, wbiegając do budynku. - Co ty sobie wyo...

Michael zastrzelił go i wrócił do swej pracy. Postawił skrzynkę z granatami na pojemniku z amunicją, przysunął jeszcze jedną skrzynkę z granatami i również ją otworzył. Potem wyciągnął zawlecзки z dwóch granatów, upuścił je na pozostałe i rzucił się do ucieczki.

Chesną i Łazaris przyczaili się na lotnisku w pobliżu cysterny, słuchając wycia syren. Około dwudziestu stóp od nich leżał strażnik trafiony w pierś kulą lugera. Pompa cysterny pracowała rytmicznie, dostarczając przez brezentowy wąż paliwo lotnicze do zbiornika w prawym skrzydle nocnego myśliwca. Jak stwierdził Łazaris, obydwie zbiorniki były w trzech czwartych napełnione, ale teraz mieli jedyną okazję do uzupełnienia paliwa przed czekającym ich długim lotem. Trzymał wylot węża, a paliwo przepływało mu pod rękami. Chesną w tym samym czasie obserwowwała teren, patrząc, czy nie pojawiają się kolejni strażnicy. Około trzydziestu jardów od nich znajdowała się szopa o ścianach z blachy falistej, służąca jako stanowisko odpraw dla pilotów. Chesną dostała się wcześniej do środka, wyłamując drzwi, i znalazła bogaty łup: mapy Norwegii, Danii, Holandii i Niemiec z zaznaczonymi dokładnymi współrzędnymi lotnisk Luftwaffe.

Niebo się rozjaśniło. Rozległ się ogromny huk, który Chesną początkowo wzięła za grzmot. Musiało wybuchnąć coś olbrzymiego. Usłyszała niezliczone odgłosy wystrzałów, jakby odpalano jednocześnie setki pocisków. Nastąpiły kolejne eksplozje i wtedy zobaczyła płomienie i pomarańczowe smugi pocisków świetlnych, wznoszących się w ciemne niebo po drugiej stronie fabryki. Gorący podmuch przetoczył się przez lotnisko, niosąc ze sobą zapach spalenizny.

- Do cholery! - powiedział Łazaris. - Kiedy ten sukinsyn mówi „dywersja”, to nie żartuje!

Spojrzała na zegarek. Gdzie on jest?

- No, chodź! - szepnęła. - Proszę, chodź.

Przez ogłuszające dźwięki zniszczenia usłyszała tupot czyichś nóg. Przywarła do betonowej powierzchni, trzymając w pogotowiu lugera. I wtedy usłyszała jego głos.

- Nie strzelać! To ja!

- Dzięki Bogu! - powiedziała wstając. - Co wyleciało w powietrze?

- Magazyn broni. - Nie miał czapki, a jego koszula była niemal całkiem porozrywana przez podmuch wybuchu, który go dopadł, kiedy wbiegał w jedną z drózek. - Łazaris! Ile jeszcze?

- Trzy minuty! Chcę dopełnić zbiorniki!

Po trzech minutach byli gotowi. Michael skierował cysternę wprost na messerschmitta Bf-109. Samochód uderzył w myśliwca, uszkodzając jego skrzydło. Wskoczył z Chesną do dorniera, kiedy Łazaris zapinał już pasy, siedząc na fotelu pilota.

- W porządku! - powiedział brodacz, zaciskając pięści. - Zaraz się przekonamy, co może zrobić Rosjanin z niemieckim myśliwcem.

Ryknęły śmigła. Dornier ruszył jak błyskawica i oderwał się od ziemi.

Łazaris zatoczył krąg nad płonąca wyspą.

- Trzymajcie się! - krzyknął. - Dokończymy robotę! Nacisnął przełącznik ładujący karabiny maszynowe, po czym samolot z wyciem zanurkował, wciskając ich w oparcia siedzeń.

Rosjanin zaatakował wielkie zbiorniki z paliwem. Przy trzecim podejściu na jednym z nich pokazał się czerwony ogień, który nagle eksplodował białopomarańczową kulą. Fala uderzeniowa zatrzęsała dornierem, kiedy Łazaris podrywał jego nos do góry.

- Ach! - powiedział z szerokim uśmiechem. - Teraz czuję się znowu jak w domu!

Jak sęp zatoczył ostatni krąg nad wyspą i skierował samolot ku Holandii.

Jerek Blok zawsze sądził, że w dniu, kiedy to w końcu nastąpi, będzie tak zimny, że nawet lód nie stopi się w jego dłoniach. Ale teraz, o siódmej czterdzieści osiem rano szóstego czerwca, drżały mu obie ręce.

Radiooperator z betonowej wieży kontrolnej lotniska powoli przeglądał częstotliwości. Głosy przedzierały się przez szum zakłóceń i odpływały. Nie wszystkie z nich mówiły po niemiecku, co dowodziło, że brytyjskie i amerykańskie wojska już przechwyciły niektóre nadajniki.

W ciągu kilku godzin przed świtem docierały sporadyczne raporty na temat zrzutów spadochroniarzy na terytorium Norwegii. Przekazywano też meldunki o kilku lotniskach zbombardowanych i ostrzelanych przez alianckie samoloty, a tuż przed piątą rano dwa myśliwce wypadły z wyciem z deszczu i ostrzelały budynek, w którym teraz znajdował się Blok. Pociski karabinów maszynowych roztrzaskały wszystkie okna i zabiły oficera sygnałowego. Na ścianie za Blokiem widniały zaschnięte rozbryzgi krwi. Jeden z trzech znajdujących się na lotnisku messerschmittów był już niezdatny do użytku, a drugi miał podziurawiony kadłub. Pobliski magazyn, w którym kiedyś trzymano Theo von Frankewitza, też został dotkliwie uszkodzony. Zrządzeniem opatrności tylko hangar był cały.

Kiedy słońce podniosło się na pokrytym chmurami niebie i silna słońca bryza z kanału La Manche zaczęła wiać w kierunku lądu, fragmentaryczne raporty radiowe przekazały wiadomość: aliancka inwazja na Europę rozpoczęła się.

- Chcę się czegoś napić - powiedział Blok do Stiefla.

Wielki adiutant otworzył termos z brandy i podał go przełożonemu. Blok przechylił naczynie, aż oczy zaszyły mu łzami od ostrego trunku. Z bijącym sercem znowu zaczął się wsłuchiwać w kolejne głosy dochodzące z huraganu wojny, które wyszukiwał radiooperator. Wyglądało na to, że alianci masowo lądują na brzegu w kilkunastu miejscach jednocześnie. U wybrzeży Normandii pojawiła się straszliwa armada: setki transportowców, niszczycieli, krążowników i pancerników. Nad wszystkimi powiewały flagi Stanów Zjednoczonych lub Wielkiej Brytanii. Niebo opanowały setki mustangów, thunderboltów, lightningów i spitfire'ów ostrzeliwujących niemieckie pozycje, kiedy jednocześnie wielkie lancastery i latające fortece zmierzały dalej w głąb do serca Niemiec.

Blok pociągnął następny łyk.



Nadszedł moment, który miał zadecydować o jego losie i losie nazistowskich Niemiec.

Obejrzał się na pozostałych sześciu mężczyzn, przebywających wraz z nim w pomieszczeniu. Dwaj z tej szóstki, kapitan van Hoven i porucznik Schrader, zostali wyszkoleni jako pilot B-17 i drugi pilot.

- Ruszamy - powiedział Blok.

Van Hoven, stąpając po odłamkach szkła, przeszedł do dźwigni na ścianie i bez wahania szarpnął ją w dół. Z dachu budynku rozległ się przenikliwy dźwięk dzwonka. Van Hoven i Schrader wraz z bombardierem i nawigatorem pobiegli w kierunku wielkiego hangaru z żelbetu, stojącego około pięćdziesięciu jardów od nich, podczas gdy inni żołnierze, to znaczy obsługa naziemna i strzelcy B-17, wybiegli z baraku znajdującego się za hangarem.

Blok odstawił termos. Razem ze Stieblem wyszedł z budynku i skierował się do hangaru. Od opuszczenia Skarpy mieszkał w holenderskim dworku położonym około czterech mil od lotniska, skąd mógł nadzorować załadowywanie bomb z karnagenem i ostatni etap szkolenia załogi. O wszelkich porach dnia i nocy przeprowadzał próbne alarmy i teraz miał się przekonać, czy owe ćwiczenia były warte zachodu.

Członkowie załogi weszli do hangaru bocznymi drzwiami. Blok i Stiefel podchodzili do niego, kiedy zaczęły się rozsuwać główne, szerokie wrota. Były jeszcze na wpół tylko otwarte, gdy od ścian hangaru odbiło się echo niskiego pomruku. Dźwięk narastał gwałtownie od warczenia do ryku. Wrota rozsuwały się nadal i gdy tylko otworzyły się całkowicie, zaczął się z nich wyłaniać oswobodzony potwór.

Przeszklona kopuła stanowiska bombardiera poznaczona była pęknięciami, które wyglądały jak prawdziwe nawet z odległości kilku stóp. Namalowane dziury po pociskach, o szarawoniebieskich krawędziach, które symulowały pozbawiony farby metal, znaczyły oliwkowozielone poszycie samolotu pod rysunkiem przedstawiającym Hitlera ściśniętego w żelaznej pięści. Namalowane na nosie B-17 angielskie słowa „Żelazna Pięść” dopełniały dzieła.

Wielki samolot z wirującymi czterema śmigłami wysunął się z hangaru. Szklane osłony stanowisk dolnego i górnego strzelca zostały pomalowane w taki sposób, że wyglądały, jakby były niemal całkowicie roztrzaskane. Fałszywe dziury po pociskach znaczyły tu i ówdzie boki samolotu, podobnie jak wielki statecznik pionowy. Samolot złożono z części wydobytych z różnych rozbitych egzemplarzy, kiedy już Frankewitz wykonał swą malarską robotę. Oznakowania Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych czyniły fałszerstwo przekonującym.

Ze wszystkich stanowisk strzeleckich B-17 tylko dwa obrotowe karabiny maszynowe w połowie kadłuba były obsadzone i uzbrojone. Jednak nie przewidywano użycia karabinów, ponieważ w gruncie rzeczy misja miała samobójczy charakter. Wiadomo było, że samoloty alianckie dopuszczą „Żelazną Pięść” do celu, ale nie liczone na jej powrót do bazy. Van Hoven i Schrader rozumieli, na czym polega zaszczyt wykonania tej misji, i wiedzieli, że ich rodziny zostaną otoczone odpowiednią opieką. Ale stanowiska strzelców, z szerokimi prostokątnymi otworami, w których można było poruszać karabinami maszynowymi w ślad za celem, wyglądałyby bardziej przekonująco, gdyby...

No cóż, trzeba było to jeszcze dokończyć.

Wyjehawszy z hangaru, van Hoven zatrzymał samolot. Blok i Stiefel, przytrzymując rękami czapki, żeby ich nie zerwał podmuch od śmigieł, podeszli do głównego wejścia znajdującego się z prawej strony kadłuba samolotu.

Blok dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Spojrzał w górę. Nad lotniskiem krążył samolot. Przez chwilę poczuł przerażenie, spodziewając się kolejnego ataku, ale zobaczył, że to nocny myśliwiec „Dornier”. Co ten dureń wyprawia? Nie ma zezwolenia na lądowanie!

Jeden ze strzelców pokładowych otworzył im drzwi od wewnątrz i weszli do środka. Kiedy Stiefel schylił się, idąc wąskim korytarzem w kadłubie samolotu, Jerek Blok wyjął lugera i wpakował dwie kule w głowę lewego strzelca, a potem w ten sam sposób zabił prawego. Następnie zajął się układaniem ciał na stanowiskach strzelców w taki sposób, aby krew spływała po poszyciu samolotu i żeby cali byli widoczni z zewnątrz. „Autentyczny element” - pomyślał.

W kabinie pilotów van Hoven zwolnił hamulce i ruszył znowu w kierunku początku pasa startowego. Dotarłszy tam, zatrzymał jeszcze raz samolot i razem z drugim pilotem dokonał przeglądu mierników i przyrządów pokładowych. Stiefel znajdował się w komorze bombowej, zajęty własnym zadaniem: zdejmował gumowe ochraniacze z zapalników dwudziestu czterech ciemnozielonych bomb i ostrożnie przekręcał kluczem każdy zapalnik o ćwierć obrotu, aby uzbroić bomby.

Ukończywszy swą pracę, Blok opuścił „Żelazną Pięść” i wyszedł na zewnątrz, aby poczekać na Stiefela na skraju pasa startowego. Pokryty świetnym kamuflażem samolot drżał jak strzała na napiętej cięciwie. „Kiedy bomby z karnagenem wybuchną na ulicach Londynu, wiadomości o masakrze przedostaną się do dowództwa armady u wybrzeża Normandii, a potem nastąpi przeciek do żołnierzy - myślał Blok. - Do wieczora rozpęta się masowa panika i zacznie się odwrót. Och, co za triumf dla Rzeszy! Sam führer będzie tańczył z...”

Poczuł ściskanie w gardle. Dornier lądował.

I co gorsza, ten idiota pilot pędził po pasie startowym wprost na „Żelazną Pięść!”

Blok wybiegł przed latającą fortecę, machając nerwowo rękami. Dornier zaczął hamować ze śwędem rozgrzanej gumy, ale nadal się zbliżał, blokując pas startowy.

- Zjedź z drogi, ty idioto! - krzyknął Blok, znowu wyciągając lugera z kabury. - Ty cholerny idioto, zjeżdżaj z pasa!

Silniki stojącej za nim „Żelaznej Pięści” pracowały już z grzmiącym rykiem. Czapka spadła mu z głowy, a jedno ze śmigieł pocięło ją na strzępy. Gorące powietrze napełniało się wonią paliwa, kiedy silniki B-17 nabierały mocy. Blok trzymał pistolet w ręce, mierząc do toczącego się ku niemu dorniera. Co za szaleniec siedzi za sterami! Ten samolot musi być siłą usunięty z pasa starto...

Przez szybę kabiny zobaczył, że drugi pilot dorniera ma złote włosy, pierwszy zaś brodę. Rozpoznał twarze obojga: Chesna van Dorne i ten sam człowiek, który był z nią i baronem. Blok nie miał pojęcia, jak się mogli tam dostać, ale wiedział, dlaczego tu przybyli i że nie może pozwolić, aby zrealizowali swój zamiar.

Zaczął strzelać z pistoletu, krzycząc z wściekłości. Kula rozłupała szybę przed twarzą Chesny. Druga odbiła się rykoszetem od kadłuba, a trzecia przebiła szkło i uderzyła Łazarisa w obojczyk. Rosjanin krzyknął z bólu, a odłamki posypały się na Michaela, który siedział w tylnej części kabiny. Blok nadal strzelał, kiedy Michael obrócił klamkę luku wejściowego. Wskoczył na beton pasa startowego i rzucił się biegiem pod skrzydłem dorniera w kierunku pułkownika Bloka. Śmigła myśliwca i latającej fortecy wzniecały w powietrzu prawdziwą burzę.

Dopał go, zanim Blok się spostrzegł. Niemiec próbował strzelić Michaelowi w twarz, ale ten chwycił go za nadgarstek i podniósł lufę lugera w tej samej chwili, gdy Blok pociągał za spust. Zaczęli walczyć, stojąc pomiędzy śmigłami. Pułkownik usiłował wbić palce w oczy Michaela, który jednak uderzył przeciwnika pięścią w szczękę, aż głowa odskoczyła mu do tyłu. Nie wypuszczał też z uchwytu jego nadgarstka, przez co Blok nie mógł użyć trzymanego w dłoni lugera. Szarpnął tylko gwałtownie całą swą masą, usiłując wrzucić Michaela na śmigło, ale ten sekundę wcześniej odgadł jego zamiary. Był gotów do obrony. Blok krzyknął coś, jakiegoś przekleństwo, które zagubiło się w hałasie silnika, i uderzył Michaela otwartą dłonią w nos. Gallatin zdołał wykonać częściowy unik, aby się ustrzec pełnej siły ciosu, mimo to uderzenie trafiło go w bok głowy. Choć oszołomiony, nie wypuszczał jednak nadgarstka Bloka, wyginając mu rękę do tyłu, żeby złamać ją w łokciu. Spoczywający na spuście palec Bloka skurczył się z bólu i kolejne dwie kule trafiły w osłonę silnika latającej fortecy niemal nad ich głowami. Z wybitych otworów zaczął się wydobywać czarny dym płonącego oleju.

Michael i Blok walczyli pomiędzy śmigłami, a powietrze ze świstem krążyło wokół nich, grożąc im wrzuceniem na obracające się łopatki.

Z kabiny „Żelaznej Pięści” van Hoven zobaczył smugi dymu wydostające się z jednego z czterech silników bombowca. Zwolnił hamulce i samolot ruszył do przodu. Stiefel, nadal zajęty w komorze bombowej, podniósł głowę, kiedy zauważył, że ruszyli.

- Co wy, do cholery, wyprawiacie?! - wrzasnął.

Blok uderzył Michaela łokciem w podbródek i wyrwał z jego uchwytu uzbrojoną rękę. Uniósł pistolet, żeby rozłupać czaszkę fałszywemu baronowi. Uśmiechnął się triumfalnie, ale był to jego ostatni uśmiech. Złudzenie triumfu.

W następnej sekundzie Michael rzucił się całą siłą do przodu i chwycił Bloka za kolana, podrzucając go w górę i do tyłu. Kula lugera przeleciała nad barkiem Michaela, ale łopatki śmigła „Żelaznej Pięści” dosięgły celu.

Pokroiły Jerka Bloka w czerwone pasma tkanki i kości od pasa w górę. Michael, nadal trzymając nogi Niemca, dał nurka pod śmigłem na beton pasa. W ułamku sekundy z Bloka nie zostało nic oprócz nóg i krwawej masy opadającej na pas startowy. Srebrne zęby posypały się z brzękiem - i już było po wszystkim.

Michael przetoczył się pod śmigłem, wypuszczając z rąk drgające nogi Bloka. Siedzący w kabinie bombowca van Hoven zjechał „Żelazną Pięścią” z pasa na trawę, aby wyminąć dorniera. Nie zauważył biegnącego za nim człowieka.

Bombowiec nabierał prędkości, wjeżdżając z powrotem na beton. Michael dobiegł do niego, minął ociekające krwią ciało leżące w prostokątnym stanowisku strzeleckim i chwycił rękami za lufę karabinu maszynowego. Sekundę później B-17 runął do przodu, a Michael odbił się od ziemi i wciągnął do samolotu, odpychając barkiem ciało strzelca.

„Żelazna Pięść” dotarła do końca pasa startowego i uniosła nos do góry. Koła bombowca oderwały się od ziemi i niebawem van Hoven położył samolot w zakręt, zmierzając w kierunku Anglii. Jeden z silników pozostawiał za sobą smugę czarnego dymu.

Dwie minuty później dornier oderwał się od ziemi w ślad za B-17. Łazaris, przyciskając dłoń do złamanego obojczyka, usiłował nie stracić przytomności. Chesna przejęła stery. Spojrzała na mierniki paliwa. Ich igły spadły poniżej czerwonych linii, a lampki kontrolne obydwu zbiorników migały ostrzegawczo. Skierowała samolot za smugą dymu. Wiatr z wyciem wdzierał się do kabiny przez pęknięcia w szybie myśliwca.

B-17 wspiął się na jakieś pięć tysięcy stóp, zanim wyrównał lot nad szarymi wodami kanału La Manche. Michael nadal był w środkowej sekcji samolotu, smaganej przez wlatujący przez otwory strzelnicze wiatr. Spojrzał na dymiący silnik. Śmigło przestało się

obracać, a na poczerńiałej osłonie zaczęły się pokazywać niewielkie języki ognia. Wiedział, że takie uszkodzenie nie powstrzyma „Żelaznej Pięści”, a co gorsza - jeszcze bardziej wzmocni skuteczność kamuflażu. Przeszukał nieżyjącego strzelca, ale nie znalazł przy nim żadnej broni. Powstając znad martwego ciała, poczuł, jak B-17 przyśpiesza, i usłyszał potężny szum, kiedy coś przeleciało obok prawej burty samolotu.

Michael spojrział w tym kierunku i zobaczył dorniera. Chesna krążyła około pięciuset stóp nad nimi. „Strzelaj! - wezwał ją w myślach. - Zestrzel tego sukinsyna!” Ale Chesna tego nie robiła i wiedział dlaczego. Bała się, że trafi w niego. Kości zostały rzucone. Zatrzymanie „Żelaznej Pięści” zależało wyłącznie od niego.

Musiał zabić obu pilotów gołymi rękami, jeśli miałyby się to okazać konieczne. Z każdą sekundą zbliżali się do Anglii. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś broni. Karabiny maszynowe zostały załadowane taśmami z amunicją, ale były przymocowane do swoich podstaw. Wnętrze samolotu oczyszczono ze wszystkiego z wyjątkiem czerwonej gaśnicy.

Miał już ruszyć do przodu, kiedy zobaczył przez luk strzelecki następny samolot... nie, dwa samoloty. Nurkowały w kierunku dorniera. Krew zastygła mu w żyłach. To były brytyjskie myśliwce spitfire'y, a z ich skrzydeł mknęły smugi pocisków zmierzających w kierunku Chesny. Kamuflaż Bloka okazał się skuteczny, piloci spitfire'ów myśleli, że ratują uszkodzony amerykański bombowiec.

Siedząca za sterami dorniera Chesna rzuciła samolot gwałtownie w bok, unikając pocisków. Zamachała skrzydłami, błyskając światłami lądowania, ale oczywiście spitfire'y nie zrezygnowały. Ich piloci postanowili ją zestrzelić. Chesna poczuła drzenie samolotu i usłyszała huk pocisków trafiających w prawe skrzydło. Rozległy się brzęczyki alarmowe - koniec paliwa. Ze spitfire'em na ogonie zanurkowała w kierunku morza. Angielski samolot posyłał w kadłub dorniera smugi pocisków, które odbijały się od metalowych żeber samolotu jak grad. Dornier był już prawie na wodzie.

- Trzymaj się! - zawołała do Łazarisa i szarpnęła wolant do tyłu, by poderwać nos samolotu na moment przed uderzeniem w wodę. Myśliwiec zatrzęsł się potężnie, a Chesna, rzucona siłą bezwładu, uderzyła głową w wolant, nieomal tracąc przytomność. Tułów zabolął ją od wrzynającego się w ciało pasa. Poczuła w ustach smak krwi z przygryzionego języka. Dornier unosił się na powierzchni wody. Spitfire'y zatoczyły nad nim koło i odleciały za latającą fortecą.

„Dobrzy strzelcy” - pomyślała ponuro.

Oboje z Łazarisem rozpięli pasy. Woda przedostawała się do kabiny. Chesna wstała, czując ogromny ból w żebrach, i przeszła do tyłu ku tratwie ratunkowej. Udało im się otworzyć umieszczony w pobliżu luk ewakuacyjny.

Michael zobaczył rozkwitającą na powierzchni Kanału pomarańczową szalupę. W kierunku zestrzelonego dorniera już podążał brytyjski niszczyciel.

Obydwa spitfire'y okrążyły „Żelazną Pięść”, a potem zajęły pozycje nieco poniżej bombowca po obu jego stronach. „Eskortują nas do domu” - pomyślał Michael. Wychylił się z lewego luku w wyjący huragan i zaczął rozpaczliwie dawać znaki rękami. Towarzyszący im z tej strony myśliwiec pomachał mu skrzydłami w geście powitania. „Do cholery!” - zaklął Michael, cofając się z wściekłością do środka. Poczł zapach krwi i zobaczył, że ma nią wybrudzone ręce. Pochodziła z ciała, które leżało na stanowisku strzelca. Ściekała po kadłubie bombowca.

Wychylił się znowu, pomazawszy ręce krwią jeszcze bardziej, i zaczął malować na oliwkowozielonym pokryciu samolotu faszystowską swastykę.

Ze strony myśliwców nie było żadnej reakcji. Leciły nadal na swoich pozycjach.

Michael pomyślał w desperacji, że jest jeszcze tylko jeden sposób.

Odszukał bezpiecznik na karabinie maszynowym. Odciągnął go, wycelował lufę w spitfire'a i nacisnął spust.

Pociski uderzyły w bok myśliwca, wrywając dziury w poszyciu. Michael zobaczył zszokowaną twarz pilota myśliwca. Wymierzył znowu i ponownie nacisnął na spust. Po chwili silnik spitfire'a plunął dymem i ogniem. Samolot zaczął ostro nurkować. Pilot nadal nad nim panował, ale myśliwiec zmierzał wprost do wody.

„Przepraszam, stary” - usprawiedliwił się w myślach Michael. Przeszedł do przeciwległego luku i otworzył ogień z następnego karabinu, ale drugi myśliwiec już wzniósł się wyżej, gdyż pilot zobaczył, co się stało z jego partnerem. Michael puścił kilka krótkich serii, żeby Anglik dobrze zrozumiał, o co chodzi, ale kule na szczęście chybiły celu.

- Co to, do cholery, za hałas? - krzyknął van Hoven w kabinie. Spojrzał na Schradera, a potem na Stiefla, którego twarz pobladła, gdy uświadomił sobie, że leci w samobójczej misji do Londynu. - Jakby jeden z naszych własnych karabinów!

Van Hoven wyjrzał przez szybę i dech mu zapało z przerażenia, kiedy zobaczył spitfire'a spadającego w płomieniach ku powierzchni morza. Drugi spitfire krążył nad nimi jak rozszoszczony szerszeń.

Stiefel wiedział, że pułkownik zabił strzelców. Taka była część jego planu, chociaż karabiny zostały załadowane, aby strzelcy wierzyli, że żywi pokonają Kanał. Więc kto teraz obsługiwał karabin maszynowy?

Wyszedł z kokpitu i ruszył przez komorę bombową, w której spoczywały już uzbrojone bomby z karnagenem.

Michael nadal ostrzeliwał krążący nad nimi myśliwiec. Karabin drżał mu w rękach. W pewnej chwili dopiął celu - na skrzydłach spitfire'a pokazały się rozbłyśki karabinów maszynowych. Kule załomotały o bok „Żelaznej Pięści”, obsypując iskrami wnętrze wokół Michaela. Ten nie pozostał dłużny i brytyjski samolot położył się w ciasny wiraż. Jego pilot był już wściekły, gotów najpierw strzelać, a dopiero potem zadawać pytania...

Michael usłyszał stukot podkutych butów na metalowej podłodze.

Spojrzał w lewo i zobaczył Stiefła zmierzającego w jego kierunku korytarzem. Olbrzym zatrzymał się nagle, gdy zobaczył Michaela obsługującego karabin maszynowy. Jego twarz przedstawiała mieszaninę wściekłości i szoku. Natarł na fałszywego barona z furją.

Michael szarpnął karabinem w lewo, żeby do niego strzelić, ale lufa oparła się o krawędź otworu. Nie mógł jej dalej przesunąć.

Stiefel skoczył do przodu. Zanim Michael zdążył się osłonić, został trafiony wielkim butem w żołądek i odrzucony do tyłu. Upadł i przejechał ciałem po podłodze. Nie mógł złapać tchu.

Spitfire oddał kolejną serię strzałów. Pociski karabinu maszynowego przebiły poszycie „Żelaznej Pięści” i zagrzechotały wewnątrz kadłuba, kiedy Stiefel dopadł znowu Michaela. Ten kopnął olbrzyma w prawe kolano. Stiefel zawył z bólu i cofnął się w tym samym momencie, kiedy van Hoven rzucił „Żelazną Pięść” w dół, aby umknąć rozwścieczonemu pilotowi spitfire'a. Niemiec upadł, chwytając się za kolano. Michael zdołał zaczerpnąć powietrza. Przy następnym podejściu spitfire posłał serię w komorę bombową „Żelaznej Pięści”. Jeden z pocisków odbił się od metalowej wręgi i uderzył w zapalnik bomby. Zapalnik trzasnął i dym zaczął wypełniać wnętrze kadłuba.

Stiefel usiłował się podnieść. Michael uderzył go w podbródek hakiem od dołu, aż głowa olbrzyma odskoczyła do tyłu. Jednak Stiefel był silny jak wół i już w następnej sekundzie poderwał się i natarł całym ciałem na Michaela. Obydwaj uderzyli o metalowe żebra kadłuba. Michael zadał z góry cios pięścią w wystrzyżoną głowę Stiefła, a ten uderzył go w obolały brzuch. Kule spitfire'a przebiły wręgę obok, obsypując ich obydwu pomarań-

czowymi iskrami. „Żelazna Pięść” drżała. Już i za drugim silnikiem po lewej stronie ciągnęła się smuga dymu.

Van Hoven wyrównał lot na wysokości tysiąca stóp. Spitfire przelatywał w tę i z powrotem, chcąc koniecznie ich zestrzelić.

- Tam! - krzyknął Schrader, wskazując przed siebie.

Zobaczyli przed sobą zamglone kontury Anglii. W tym samym momencie trzeci silnik zaczął dymić i przerywać. Van Hoven przesunął manetkę gazu, wydobywając z silników resztki mocy. „Żelazna Pięść” mknęła w kierunku Anglii z prędkością dwustu dziesięciu mil na godzinę. Pod jej kadłubem łamały się białe fale kanału La Manche.

Stiefel uderzył pięścią Michaela w szczękę i poprawił kolaniem w krocze. Michael zgiął się. Olbrzym chwycił go za gardło i uniósł do góry, uderzając jego głową o metalowe poszycie kadłuba. Michael był współprzytomny, wiedział tylko, że musi się przemienić, ale nie potrafił się skoncentrować na tej myśli. Stiefel znowu go podniósł i znowu uderzył jego głową o metal. Jednak za trzecim razem Michael huknął go czołem w twarz, miażdżąc mu nos. Stiefel wypuścił go, ale Michael nie zdążył się przygotować na odparcie kolejnego ciosu. Przeciwnik wymierzył mu kopniaka w klatkę piersiową. Michael zdołał wykonać częściowy unik i podkuty but trafił go w prawe ramię. Gallatin syknął z bólu, zaciskając zęby.

Spitfire atakował czołowo „Żelazną Pięść”. Karabiny maszynowe myśliwca zabłyskały i już po paru sekundach kabina latającej fortecy wypełniła się odpryskami szkła i ogniem. Van Hoven padł na twarz, z piersią podziurawioną kulami. Schrader wił się z bólu ze strzaskaną ręką. Jeden z silników „Żelaznej Pięści” eksplodował, a jego fragment wleciał przez osłonę kabiny. Bombardier krzyknął z bólu, oślepiiony kawałkami metalu. Samolot spadał w kierunku fal. Płomienie pożerały pogruchotaną kabinę i rozprzestrzeniały się w prawym skrzydle.

Stiefel, kulejąc, przesuwiał się do Michaela, który rozpaczliwie starał się otrząsnąć z bólu. Olbrzym pochylił się, chwycił Gallatina za kołnierz, uniósł go i rąbnął pięścią w twarz. Michael uderzył całym ciałem o ścianę kadłuba. Twarz ociekała mu krwią. Stiefel znowu uniósł pięść, by zadać mu jeszcze jeden cios w twarz.

Zanim jednak zdążył to zrobić, Michael przetoczył się na bok i chwycił czerwony cylinder gaśnicy. Wyrwał ją z osady i obrócił w kierunku Stiefla, gdy ten już wymierzał cios. Pięść olbrzyma zatrzymała się na gaśnicy, a jego palce trzasnęły jak zapalki. Michael uderzył go w żołądek. Dech uszedł Niemcowi z piersi, a wtedy Michael poprawił od dołu gaśnicą w szczękę. Rozległ się trzask łamanej kości. Stiefel, z oczami wilgotnymi z bólu i



zmiądzonymi wargami, usiłował wyrwać Michaelowi gaśnicę. Trafił go w bok kolanem i gdy Michael osuwał się na kolana, wydarł mu ją z rąk.

Uniósł gaśnicę, żeby roztrzaskać głowę przeciwnika. Michael napiął się, aby skoczyć na olbrzyma, zanim ten zada cios.

Przez wycie wiatru usłyszał klekotanie karabinów maszynowych spitfire'a. Pociski smugowe przebiły bok latającej fortecy, odbijając się od metalowych wręg we wnętrzu kadłuba. W szerokiej piersi Stiefla pojawiły się trzy dziury wielkości męskiej pięści. Kolejna kula trafiła w gaśnicę, która wybuchła jak miniaturowa bomba.

Michael rzucił się na podłogę, kryjąc się przed wypełniającymi wnętrze kadłuba kawałkami metalu. Podniósł głowę i zobaczył, że Stiefel stoi, trzymając się jedną ręką podstawy karabinu maszynowego.

Druga ręka Stiefla leżała kilka stóp obok, palce dłoni jeszcze drgały. Olbrzym patrzył na Michaela, mrugając z wyrazem tępego niedowierzania na twarzy. Puścił się swej podpory i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku leżącej ręki.

Z rany zięjącej w boku Stiefla zaczęły się wysuwać jelita. W ciele Niemca tkwiły błyszczące od krwi kawałki metalu. Jego mundur był mokry od piany z gaśnicy. Z boku szyi olbrzym miał kolejną ranę. Tryskał z niej strumień krwi jak szkarłatna fontanna. Stiefel jakby się kurczył z każdym krokiem. Zatrzymał się, patrząc na leżącą na podłodze rękę, a potem obrócił głowę w kierunku Michaela.

Nie żył już, ale nadal stał nieruchomo na nogach, aż Michael podniósł się, podszedł do niego i przewrócił jednym palcem. Stiefel upadł i legł bez ruchu.

Michael czuł, że jest bliski omdlenia, ale wystarczył jeden rzut okiem przez luk strzelecki, by zauważył, że samolot dzieli od powierzchni morza nie więcej niż trzysta stóp. Otrzeźwiło go to. Dał krok przez zmasakrowane ciało Stiefla i ruszył ku kabinnie pilotów.

Skurczył się w sobie, przechodząc przez komorę bombową, kiedy zobaczył dym i usłyszał syczenie. Jedna z bomb z karnagenem była bliska eksplozji. Przeszedł dalej i wtedy zobaczył nawigatora, rozpaczliwie usiłującego zapanować nad samolotem, martwego pilota i ciężko rannego drugiego pilota. „Żelazna Pięść” opadała nieustannie, a spitfire krążył nad nią. Wybrzeże Anglii było już nie dalej od nich niż siedem mil.

- Woduj! Natychmiast! - zawołał Michael do przerażonego nawigatora.

Nawigator zaczął manipulować przy instrumentach, odcinając silniki i usiłując podnieść nos samolotu. „Żelazna Pięść”, wyglądająca teraz naprawdę jak ranny ptak, opadła kolejne sto stóp. Michael chwycił się siedzenia pilota, przygotowując się do wstrząsu. „Żelazna Pięść” spadła w wody Kanału zadziwiająco łagodnie. W końcu zabrakło jej energii.

Fale przelewały się przez skrzydła. Michael nie czekał na nawigatora. Wrócił przez komorę bombową na środek samolotu i otworzył drzwi. Nie miał czasu na szukanie szalupy ratunkowej, a poza tym wątpił w to, czy chociaż jedna przetrwała grad pocisków. Wskoczył w lodowate wody Kanału i zaczął pośpiesznie płynąć, żeby oddalić się od samolotu.

Spitfire obniżył lot, przesuając się tuż nad falami, przeleciał nad Michaelem i skierował się ku zielonemu lądowi.

Michael płynął nieprzerwanie, chcąc jak najbardziej oddalić się od latającej fortecy. Za sobą słyszał syk rozpalonych elementów tonącego samolotu. Nawigator być może wydostał się na zewnątrz, a być może nie. Michael nie zatrzymywał się, by się o tym przekonać. Rany paliły go od słonej wody, lecz dzięki temu nie omdlewał. Z każdym wyrzutem ramion oddalał się od samolotu. Gdy był już w znacznej odległości od bombowca, usłyszał za sobą szum i bulgotanie. Obejrzał się i zobaczył, że ogon maszyny zaczyna się pogrążyć w morzu. Nos uniósł się i Michael zobaczył na nim namalowany przez Frankewitza obrazek przedstawiający Hitlera ściśniętego w żelaznej pięści. Gdyby ryby znały się na sztuce, miałyby teraz świetną okazję, by ją podziwiać.

„Żelazna Pięść” zaczęła znikać, gwałtownie wypełniana wodą wlewającą się przez luki strzeleckie. Po chwili zniknęła pod wodą. Na powierzchnię wydobywały się już tylko pęcherze powietrza. Michael był coraz słabszy. Czuł, że już długo nie wytrzyma. „Jeszcze nie” - powiedział do siebie. Jeszcze jeden wyrzut ręki. Jeszcze jeden i jeszcze jeden. Mógł teraz przekonać się w praktyce, jak cenna jest umiejętność pływania kraulem.

Usłyszał łoskot silnika. W jego kierunku zmierzała łódź patrolowa z powiewającą flagą brytyjską. Na dziobie stało dwóch żołnierzy z karabinami.

Był w domu.

Wyciągnęli go z wody, owinęli w koc i dali mu filiżankę mocnej jak mocz wilka herbaty. Potem wycelowali w niego karabiny i trzymali go na muszce przez cały czas, kiedy płynęli do brzegu, aby go przekazać władzom. Łódź była około mili od portu, kiedy Michael usłyszał odległy, przytłumiony odgłos eksplozji. Obejrzał się i zobaczył olbrzymi gejzer wystrzelający nad powierzchnią morza. To któraś z bomb, a może więcej niż jedna, eksplodowała w kadłubie latającej fortecy pod wodami Kanału. Gejzer opadł, woda zakotłowała się przez chwilę i wkrótce było po wszystkim.

Ale jeszcze nie całkiem.

Michael wyszedł z łodzi na pomost, rozglądając się po morzu w poszukiwaniu brytyjskiego niszczyciela, który - jak wiedział - musi wkrótce nadpłynąć. Otrząsnął się i

krople wody posypały się z jego włosów i ubrania. Czuł, jak wypełnia go szczęście, mimo że stał przed wycelowanymi karabinami członków Home Guard.

Był tak szczęśliwy, że niemal chciało mu się wyć.

## **CZEŚĆ JEDENASTA**

# **NIEPRZEWIDZIANE OKOLICZNOŚCI**

Miał podkrążone oczy i kredowobiałą twarz. To był bardzo zły znak.

- Niestety, nic nie dało się uratować - powiedział Martin Bormann i odchrząknął. - Doktor Hildebrand nie żyje i... wydaje się, że całe przedsięwzięcie nie przyniosło odpowiednich owoców.

Czekał na dalszy ciąg, zaciskając położone na blacie biurka pięści. Z wiszącego za nim na ścianie portretu spoglądał krytycznym wzrokiem Fryderyk Wielki.

- My... nie sądzimy, że samolot zdołał dotrzeć do Londynu - kontynuował Bormann. Obejrzał się niespokojnie na stojącego za nim sztywno siwowłosego feldmarszałka. - To znaczy: nie ma dowodów na to, że karnagen został dostarczony do celu.

Nic nie mówił. W skroni czuł rytmiczny puls. Patrzył przez okno o pozłacanych ramach, za którym zaczynały kłaść się nad Berlinem wieczorne cienie. Szósty dzień czerwca dobiegał końca. Na drugiej ścianie wisiała mapa Normandii z zaznaczonymi plażami, które wkrótce miały być znane pod kryptonimami „Utah”, „Omaha”, „Gold”, „Juno” i „Sword”. Wszędzie na tych mapach widać było skierowane w głąb lądu czerwone strzałki i czarne linie, oznaczające wycofywanie się wojsk niemieckich. „Och, co za zdrajcy” - pomyślał, patrząc na te symbole.

- Operacja zawiodła - powiedział Bormann. - To w wyniku... nieprzewidzianych okoliczności.

- Nie, to nie dlatego - odpowiedział spokojnym, cichym głosem Hitler - ale dlatego, że ktoś nie miał wystarczającej wiary. Ktoś nie miał odpowiedniej siły woli. Sprowadzić tu Bloka - powiedział już ostrzejszym tonem. - Pułkownika Jerka Bloka. To jego właśnie chciałbym zobaczyć. Natychmiast.

- Pułkownik Blok już... Już nie ma go z nami.

- Zdrajca! - Hitler niemalże poderwał się na nogi. - Co on zrobił? Pobiegł, żeby się poddać pierwszemu angielskiemu żołnierzowi, którego zobaczył?

- Pułkownik Blok nie żyje - powiedział Bormann.

- Tak, też popełniłbym samobójstwo, gdybym się spisał tak fatalnie jak on. - Twarz Hitlera zaczerwieniła się i pokryła potem. - Powiniennem był przewidzieć, że nie można powierzać mu tak odpowiedzialnego zadania. Od początku był *do* niczego, tylko udawał, że potrafi coś zrobić! Świat jest pełen takich jak on!

- Obawiam się, że to prawda, przynajmniej w stosunku do Niemiec - skomentował cicho feldmarszałek.

- Kiedy pomyślę o czasie i pieniądzach poświęconych na to przedsięwzięcie, to niedobrze mi się robi! - Hitler wyszedł zza biurka. - Więc Blok zabił się, tak? Jak to zrobił? Pigułka czy pistolet?

- To było... - Bormann prawie już powiedział „śmigło”. Ale gdyby zdradził führerowi, co naprawdę się wydarzyło, to rozpętałby prawdziwą burzę. Wyszłaby sprawa niemieckiego ruchu oporu, tych brudnych świń, i obcych agentów, którzy w jakiś sposób zniszczyli cały zapas karnagenu. I ta niesmaczna sprawa Chesny van Dorne. Nie, nie! Najlepiej było pozostać przy obecnej wersji: nalot bombowy zrujnował zbiorniki i magazyn broni na Skarpie, a wybuchy unicestwiły zapasy chemikaliów. W tych ciężkich momentach führer i tak miał dość zmartwień. - To był pistolet - oznajmił Bormann.

- No, przynajmniej oszczędziło to nam kuli dla niego, prawda? Ale tyle czasu i wysiłku, wszystko zmarnowane! Gdybyśmy użyli tych pieniędzy inaczej, to moglibyśmy zbudować działo słoneczne! Ale nie, nie - Blok i jego spiskowcy odwiedli mnie od tego pomysłu! Jestem zbyt ufny, na tym polega cały problem! I tak myślę, Martin, że on od samego początku mógł pracować dla Brytyjczyków!

Bormann wzruszył ramionami. Czasami było lepiej pozwolić führerowi wierzyć w to, w co chciał wierzyć. W ten sposób łatwiej było go kontrolować.

- *Mein Führer?* - Feldmarszałek wskazał na mapę Normandii. - Gdyby pan zechciał zwrócić teraz swą uwagę na obecną sytuację. Widać, że Brytyjczycy i Kanadyjczycy zmierzają ku Caen. Tutaj - dotknął innej części mapy - amerykańskie wojska posuwają się w kierunku Carentan. Nasze oddziały są zbyt rozciągnięte, aby poradzić sobie z obydwojma natarciami. Czy mógłbym poprosić pana o opinię, którymi dywizjami należy powstrzymać uderzenie?

Hitler nic nie powiedział. Stał, patrząc nie na mapy, na których przedstawiono śmiertelną walkę, ale na swoje akwarele, na których czaiły się tworzone w jego wyobraźni wilki.

- *Mein Führer?* - nalegał feldmarszałek. - Co mamy zrobić? Policzek Hitlera drgnął. Odwrócił się od obrazów, podszedł do biurka i otworzył szufladę. Włożył do niej rękę i wyjął nóż do otwierania listów.

Patrząc szklanym wzrokiem, podszedł krokiem lunatyka z powrotem do obrazów i zanurzył ostrze w pierwszy z nich. Rozciął od góry do dołu widok wiejskiego gospodarstwa

wraz z kryjącym się w cieniu wilkiem. Przebił drugą akwarelę, tę z górskim strumieniem, na której wilk czaił się za skałą.

- Kłamstwa - szeptał, tnąc płótna. - Kłamstwa i oszustwa.

- *Mein Führer...* - powtórzył feldmarszałek, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Martin Bormann odwrócił się i stanął w oknie, patrząc na Tysiącletnią Rzeszę.

Ostrze przecięło trzeci obraz, na którym wilk krył się na łące pełnej białych szarotek.

- Kłamstwa - powtórzył Hitler napiętym głosem. Przesuwał ostrze w tę i z powrotem.

Strzępy płótna spadały na podłogę u jego stóp.

- Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

Skądś dobiegł odgłos syreny alarmu przeciwlotniczego. Jej wycie odbijało się w okaleczonym mieście, nad którym jeszcze unosił się pył i dym z poprzednich nalotów. Ze wschodu nadciągała noc.

Hitler upuścił nóż na podłogę. Przycisnął obydwie dłonie do uszu.

Nad przedmieściem zawisła flara. Bormann osłonił ręką oczy przed rażącym światłem. Hitler stał z resztkami swych wizji u stóp, a feldmarszałek zakrył dłonią usta, gdyż się obawiał, że może zacząć krzyczeć.

Big Ben wybił jedenastą. „O innej porze doby - pomyślał Michael Gallatin - rozpoczęłaby się godzina wilka”. Teraz jednak była jedenasta w słoneczne przedpołudnie w środku czerwca i nawet wilk nie byłby wystarczająco odważny, aby stawić czoło londyńskiej ulicy.

Obserwował ruch z okna budynku przy Downing Street. Samochody podążały wzdłuż Tamizy i wjeżdżały na zatłoczony Trafalgar Square. Czuł się świeży i pełen sił. Jak zawsze, kiedy był bliski śmierci i pokonywał ją. Przynajmniej do tej pory tak było. Miał na sobie ciemnogrnatowy garnitur, białą koszulę i krawat w granatowe wzory. Bandaże pod koszulą unieruchamiały mu żebra. Nadal nosił opatrunek na rannej dłoni i nieco bolało go udo, ale ogólnie czuł się dobrze. Znowu będzie mógł biegać tak szybko jak zawsze.

- O czym myślisz? - zapytała Chesna, podchodząc od tyłu.

- Och, o tym, że jest piękny dzień i że cieszę się, iż mogłem opuścić szpital. Takie dni jak dzisiaj nie wyglądają ładnie, jeśli spędza się je w łóżku.

- Powiedziałabym, że to zależy od łóżka, prawda? Michael obrócił się ku niej. Chesna wyglądała na wypoczętą.

Z jej twarzy zniknęły zmarszczki, które wcześniej wycisnął na niej ból. No, może zostało kilka, ale takie jest życie.

- Tak - zgodził się. - Też bym oczywiście tak powiedział. Drzwi otworzyły się i wszedł kapitan RAF, masywny mężczyzna o wielkim nosie. Włosy Łazarisa odrosły jeszcze bardziej. Zachował swą brodę, ale starannie ją przystrzygł. Był czysty jak kostka mydła i nawet pachniał jak ona. Jego lewa ręka pozostawała unieruchomiona w gipsie. Również na złamanym obojczyku miał gipsowy opatrunek.

- Witam! - powiedział ucieszony ich widokiem. Uśmiechnął się i Chesna pomyślała, że na swój sposób Łazaris jest bardzo przystojny. - Przepraszam za spóźnienie.

- Nie szkodzi. Najwyraźniej nie obowiązują tu wojskowe zasady - zauważyła, gdyż mieli być przyjęci punktualnie o jedenastej. - A propos wojska, czy już zgłosiłeś się do RAF?

- No, jestem nadal oficerem rosyjskiego lotnictwa - odpowiedział w swym ojczystym języku - ale wczoraj otrzymałem tytuł honorowego kapitana. Latałem spitfire'em. Och, to jest samolot! Gdybyśmy tylko mieli spitfire'y, to moglibyśmy... -Uśmiechnął się znowu. - Wracam, kiedy tylko się da. - Wzruszył ramionami. - Tak jak mówiłem, w samolocie czuję się jak lew. A wy oboje?



- Ja jestem w domu - powiedział Michael. - Zostanę tu na dłużej. Chesna jedzie do Kalifornii.

- Och, tak! - Łazaris przeszedł na angielski. - Ka-le-fornja?

- Tak, właśnie - potwierdziła Chesna.

- Bardzo dobra! Ty będziesz bardzo duża gwiazda!

- Wystarczą mi podrzędne role. Mogę być nawet pilotem kaskaderem.

- Pilotem! Tak! - Już samo to słowo wywołało rozmarzenie na twarzy Rosjanina.

Michael wziął Chesnę za rękę i popatrzył przez okno na Londyn. Piękne miasto, jeszcze piękniejsze z tego powodu, że już nie miały się nad nim pojawić samoloty wroga. Nie sprzyjająca pogoda spowodowała przełożenie terminu inwazji z piątego czerwca na szósty. Od tego dnia już setki tysięcy alianckich żołnierzy zeszły na ląd na normandzkich plażach i parły naprzód, spychając wojska niemieckie. Oczywiście wojna jeszcze się nie kończyła. Spodziewano się trudności, kiedy już naziści zostaną zepchnięci na swoje terytorium. Jednak pierwszy krok był już zrobiony. Inwazja na Europę okazała się wielkim, chociaż kosztownym sukcesem. Teraz było kwestią tygodni oswobodzenie Paryża i całej ojczyzny Gaby.

Terytorialne zdobycze Hitlera już się zakończyły. Od tej chwili jego wojska czekał długi odwrót. Niemiecka machina wojenna miotana się schwytna pomiędzy żelazne pięści Ameryki, Wielkiej Brytanii i Rosji.

Wystawiając twarz na promienie słońca, Michael myślał o odbytej misji. O McCarrenie i Gaby, o podziemnych przejściach, o Camille i Myszy, o zmaganiach na dachu Opery Paryskiej i o walce w lesie przed dotarciem do Berlina, o zrujnowanym domu i życiu Myszy, o Żelaznym Krzyżu, który nie miał żadnego znaczenia. Myślał o „Reichkronen” i o pociągu śmierci Harry'ego Sandlera, o celach w Falkenhausen i długim locie do Norwegii. O Kitty i o nożu z zakrzywionym ostrzem.

Pamiętał też ścieżkę, którą podążał od czasu, kiedy jako chłopiec pobiegł za latawcem do rosyjskiego lasu. Prowadziła go przez świat radości i smutku, tragedii i triumfu do chwili obecnej, za którą czekała go przyszłość.

Człowiek czy zwierzę? - myślał. Wiedział teraz, do którego świata należy tak naprawdę. Akceptując swe miejsce wśród ludzi, sprawił, że cud stał się realny. Nie sądził, aby zawiódł Wiktora. Myślał nawet, że Wiktor mógłby być z niego dumny jak ojciec z ukochanego syna.

„Żyj wolny” - pomyślał. Jeżeli to w ogóle możliwe w tym świecie, był zdecydowany, aby jak najlepiej wypełnić to przykazanie.

Na biurku recepcjonistki rozległ się brzęczyk.

- Teraz was przyjmie - oznajmiła. Była drobną kobietą o wystającej szczęce. W kłapie kostiumu miała wpięty goździk. Wstała i otworzyła im drzwi prowadzące do gabinetu.

Zza biurka podniósł się masywny mężczyzna o twarzy buldoga i wyszedł im na spotkanie. Powiedział, że słyszał o nich wspaniałe rzeczy, i poprosił, aby usiedli. Wskazał ręką trzy krzesła. Ceremonia dekoracji - jak powiedział - miała być dyskretna i cicha. Nie było sensu zwracać uwagi prasy na tak delikatne sprawy. Czy zgadzają się z tym? - zapytał. Oczywiście odparli, że tak.

- Czy nie będzie pani przeszkadzać, jeżeli zapalę? - zapytał Chesnę i kiedy się nie sprzeciwiła, ze stojącej na biurku szkatułki z różanego drewna wyciągnął jedno ze swych długich markowych cygar i zapalił. - Na pewno rozumiecie, jak wielkie usługi oddaliście Anglii. Powiem nawet, że i światu. Nieocenione zasługi. Macie przyjaciół na wysokich stanowiskach i wszyscy będziecie mieć zapewnione właściwe traktowanie. Ach, skoro mowa o przyjaciółach! - Sięgnął do szuflady i wyjął zapieczętowaną kopertę. - To od pańskiego przyjaciela, majorze Gallatin.

Michael wziął kopertę. Rozpoznał pieczęć i uśmiechnął się przelotnie. Wsunął kopertę do kieszeni munduru.

Premier zaczął mówić o sprawach związanych z inwazją. Oznajmił, że przed końcem lata niemieckie wojska zostaną już zepchnięte do granic Rzeszy. Hitlerowskie plany wojny chemicznej zostały całkowicie zniweczone - powiedział - nie tylko z powodu zniszczenia „Żelaznej Pięści”, ale także z powodu... jak by to można ująć... rozwiązania sprawy Gustava Hildebranda.

Patrząc na premiera, Michael nie mógł się powstrzymać od pewnego pytania.

- Przepraszam, panie premierze, czy pan... czy przypadkiem ma pan jakichś krewnych w Niemczech?

- Nie - odpowiedział Churchill - oczywiście, że nie. Dlaczego pan pyta?

- Ja... widziałem kogoś przebranego w ten sposób, że wyglądał jak pan.

- A to bezczelne gnojki! - warknął premier, wydechając chmurę niebieskiego dymu.

Kiedy ich audiencja dobiegła końca, wyszli z rezydencji i stanęli na Downing Street. Na Łazarisa czekał samochód z kierowcą w mundurze RAF. Rosjanin objął jednym ramieniem Chesnę, a potem przycisnął do piersi swojego towarzysza.

- Gałatinow, zajmiesz się Złotowłosą, co? - Łazaris uśmiechał się, ale oczy mu zwilgotniały. - Odnoś się do niej jak dżentelmen... to znaczy: jak Angliczanin, a nie jak Ruski!

- Będę o tym pamiętał - powiedział myśląc, że Łazaris, choć Rosjanin, sam jest dżentelmenem. - A gdzie ty będziesz?

Łazaris podniósł wzrok na bezchmurny błękit nieba. Uśmiechnął się znowu chytrze, klepnął Michaela w plecy i wsiadł do czekającego samochodu, jakby był członkiem rodziny królewskiej. Kierowca ruszył i Łazaris zasalutował Michaelowi na pożegnanie. Samochód włączył się do ruchu i po chwili zniknął.

- Przejdźmy się - zaproponował Michael.

Wziął Chesnę za rękę i poprowadził ją w kierunku Trafalgar Square. Nadal nieco utykała, ale jej noga goiła się bez komplikacji. Michael lubił towarzystwo Chesny. Chciał jej pokazać swój dom, ale kto mógł przewidzieć, co z tego wyniknie? Coś trwałego? Nie, prawdopodobnie nie. Oboje zdążali w różnych kierunkach, chociaż teraz trzymali się za ręce. Jednak przynajmniej przez jakiś czas mogłoby to być wspaniałe.

- Lubisz zwierzęta? - zapytał ją.

- Co?

- Pytam z ciekawości.

- No... psy, koty, tak. A o jakie zwierzęta ci chodzi?

- O trochę większe - powiedział, ale nie rozwijał tematu. Nie chciał jej wystraszyć przed wyjazdem z Londynu. - Chciałbym, żebyś zobaczyła mój dom w Walii. Czy miałabyś chęć tam pojechać?

- Z tobą? - Ścisnęła jego dłoń. - A kiedy jedziemy?

- Niedługo. Mój dom jest bardzo cichy. Będziemy mieli wiele czasu, żeby rozmawiać.

- Rozmawiać? O czym? - zapytała zaskoczona.

- O... o mitach i folklorze.

Chesna roześmiała się. Michael Gallatin był jednym z najciekawszych i z pewnością najbardziej wyjątkowych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała. Jego bliskość podniecała ją.

- Czy będziemy tylko rozmawiać? - zapytała.

Michael zatrzymał się w cieniu kolumny Nelsona, objął ramionami Chesnę van Dorne i pocałował ją.

Przytulili się do siebie. Londyńczycy zatrzymywali się, patrząc na nich, ale ani Michael, ani Chesna nie zwracali na to uwagi. Ich usta stopiły się jak płynny ogień i kiedy pocałunek się przeciągał, Michael poczuł na plecach lekkie mrowienie.

Wiedział, co to jest. Czarne gładkie wilcze włosy pojawiały mu się pod koszulą. Czuł, jak unoszą się na jego plecach i barkach w tej chwili intensywnego pożądania i radości. Po chwili skóra go zaswędziała i włosy zaczęły się cofać.

No cóż, to jeszcze nie koniec.

Pocałował ją w kąciuki ust. Miał zakodowaną głęboko w pamięci jej woń cynamonu i skóry. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i wsiadł do niej z Chesna. Pojechali w kierunku swojego hotelu, mieszczącego się przy Piccadilly.

W drodze wyciągnął z kieszeni kopertę, złamał pieczęć i wyjął list. Składał się z dwóch tylko słów skreślonych znajomą mu ręką: „Następna misja?”

Odłożył list do koperty i wsunął ją z powrotem do kieszeni. Człowiek w nim chciał spokoju, ale wilk pragnął działania. Który miał zwyciężyć? Sam tego nie wiedział.

Chesna przechyliła się ku niemu, opierając głowę na jego ramieniu.

- Czy to jest coś, czym masz się zająć?

- Nie - powiedział Michael. - Nie dzisiaj. Bitwa została wygrana, ale wojna trwała nadal.